

MARIUSZ WOLLNY

Kacper Ryx I KRÓL ALCHEMIKÓW

Jak zawsze - mojej Róży

Serdeczne podziękowania dla Ryszarda Gryglewskiego, Pawła Kowalskiego oraz Janusza Skalskiego udostępnienie księgozbiorów

PROLOG

Uppsala, ma) 1567 roku

i

Musisz ich zabić!

Znów się zjawili. Dawniej odwiedzali go tylko w nocy, ale ostatnio przychodzili, kiedy im się podobało, nawet podczas posiedzenia rady, tak jak teraz. Kiedyś spytał Perssona, czy też ich widział, ale zaufany kanclerz tylko popatrzył na niego ze zdumieniem, więc przestał pytać.

- Musisz zabić obu, brata i bratanka, nim za ich przyczyną utracisz królestwo, zaśię bratową wydać Polakom albo Moskwie - sycząc jak wąż, powtórzył ten z prawej, chłop czarny i kudłaty, sadzą z komina umazany na gębie, utykający na jedną nogę, szpetny niby sam czart.

Drugi był to pies; wielki, srogi i czarny jak noc. Ten sączył mu do lewego ucha, zionąc smrodliwym oddechem:

- Zabij wszystkich panów, nim cię z tronu zrzucą, i chłopów do rady przypuść.

Ukradkiem obrzucił wzrokiem obecnych, ale wyglądało na to, że nikt oprócz niego nie widzi i nie słyszy niesamowitych doradców. Ślepcy i głupcy!

- Wasza królewska mość, nie pora na wahania - ponaglił swego pana jego trzeci zły duch, Goran Persson, milczenie Eryka i jego nieobecne spojrzenie biorąc za namysł. - Nie stać nas na wojnę z Moskwą. Zwłaszcza teraz, gdy mamy konflikt z Polską i Danią. Trzeba spełnić żądanie Iwana Groźnego i wydać mu Jagiellonkę. I to szybko, bo poseł carski Iwan Woroncow już po nią wyruszył i tylko go patrzeć.

Obruszył się na te słowa graf Swen Sture, siwowłosy starzec, ongi znamienity wódz, najpierwszy spośród wielmożów należących do rady królewskiej.

" u

PROLOG

Uppsala, maj 1567 roku

(

Musisz ich zabić!

Znów się zjawili. Dawniej odwiedzali go tylko w nocy, ale ostatnio przychodzili, kiedy im się podobało, nawet podczas posiedzenia rady, tak jak teraz. Kiedyś spytał Perssona, czy też ich widział, ale zaufany kanclerz tylko popatrzył na niego ze zdumieniem, więc przestał pytać.

- Musisz zabić obu, brata i bratanka, nim za ich przyczyną utracisz królestwo, zasię bratową wydać Polakom albo Moskwie - sycząc jak wąż, powtórzył ten z prawej, chłop czarny i kudłaty, sadzą z komina umazany na gębie, utykający na jedną nogę, szpetny niby sam czart.

Drugi był to pies; wielki, srogi i czarny jak noc. Ten sączył mu do lewego ucha, zionąc smrodliwym oddechem:

- Zabij wszystkich panów, nim cię z tronu zrzucą, i chłopów do rady przypuść.

Ukradkiem obrzucił wzrokiem obecnych, ale wyglądało na to, że nikt oprócz niego nie widzi i nie słyszy niesamowitych doradców. Ślepy i głupy!

- Wasza królewska mość, nie pora na wahania - ponaglił swego pana jego trzeci zły duch, Goran Persson, milczenie Eryka i jego nieobecne spojrzenie biorąc za namysł. - Nie stać nas na wojnę z Moskwą. Zwłaszcza teraz, gdy mamy konflikt z Polską i Danią. Trzeba spełnić żądanie Iwana Groźnego i wydać mu Jagiellonkę. I to szybko, bo poseł carski Iwan Woroncow już po nią wyruszył i tylko go patrzeć.

Obruszył się na te słowa graf Swen Sture, siwowłosy starzec, ongi znamienity wódz, najpierwszy spośród wielmożów należących do rady królewskiej.

- Nie Iza frymarczyć ręką księżny finlandzkiej, póki ma męża! -zganiał surowo królewskiego faworyta, którym gardził za jego niski stan, pazerność, okrucieństwo i bezwzględność w dążeniu do władzy.

- Właśnie - uśmiechnął się cynicznie Persson, nienawidzący starej szlachty z równą siłą, jak ona nim pogardzała. - Dlatego trzeba czym prędzej uczynić ją wdową.

Sture poczerwieniał.

- Waśc namawiasz króla do bratobójstwa?! Hańba!

- Hańba! - zawtórowali mu pozostali senatorowie.

W zacierzwieniu stracili z oczu króla i to był błąd, ponieważ Eryk XIV, od czasu najnowszego najazdu Duńczyków zdradzający wyraźne objawy niepoczytalności, dodatkowo wystraszony żądaniami Moskwy, w trakcie narady z wolna popadał w stan podniecenia i wściekłości. Ręce zacisnął na oparciu krzesła, oczy nabiegły mu krwią, mięśnie twarzy drgały, a wargi rozchyliły się i zmarszczyły niczym u wściekłego wilka, obnażając duże i silne zęby.

- Pozwolisz im na takie zuchwalstwo? - podbechtywał go chłop o oczach czarnych i bezdennych jak sama śmierć.

- Zabij ich - poradził mu czarny pies, którego ślepia dla odmiany jarzyły się piekielnym ogniem.

- Auuuuuuu!

Zgromadzeni zmartwieli z przerażenia i zaskoczenia, gdy z rozdziawionych ust króla wydobyło się straszliwe wycie, po czym ustało tak nagle, jak się zaczęło.

- Znów chcesz mnie pouczać?! - wrzasnął Eryk, wbijając gorejący wzrok w nieszczęsnego Sturego, który niedawno w imieniu rady nie zgodził się na zaślubienie przez króla miłośnicy Karin, córki Mansa, dziewczki z ludu, i jej koronację. - Niedoczekanie! Giń, zdrajco!

Błyskawicznym ruchem dobył sztylet i z obłędem w oczach rzucił się na senatora, zadając mu cios za ciosem. Syn mordowanego Nils Sture próbował zasłonić ojca i sam zginął, tak samo jak następny senator. Czarny chłop i czarny pies pomagali Erykowi, jak mogli, kłapiąc i szarpiąc zgromadzonych kłami i pazurami. Król pastwił się nad zwłokami, siekąc je i dźgając, aż jucha bryzgała wokół, ochlapując jego, posadzkę i ściany. Wrzeszczał przy tym obłąkańczo, toczył pianę z ust i wył jak zwierzę. Po czym rzucił się na pozostałych,

10

którzy rozbiegli się po sali w panice. Nie mogąc samemu ich dopaść, zmęczony, zostawił ściganie chłopu i psu, i wezwał strażę.

- Zabijcie wszystkich! - rozkazał drabantom.

Dopiero kiedy rzeź się skończyła i dobito ostatniego rannego, pozwolił się odprowadzić na spoczynek. Zanim usnął, przywołał Perssona.

- Weź ludzi i pojedźcie zaraz do Gripsholmu¹. Wytnijcie wszystkich Polaków, których tam znajdziecie, niewiast nie wyłączając. Mojego bratanka nabij na pał, bratową odeślij Moskalom, a głowę księcia Jana przywieź mi osobiście. Chcę ją zobaczyć, gdy rano otworzę oczy. Na co czekasz? Ruszaj!

Sztokholm, wrzesień 1574 roku

Był ograniczony, ale nie głupi. Nie miał złudzeń. Koronę zawdzięczał nie własnym zdolnościom, bo charakter miał zbyt słaby i chwiejny, i nie chwilowemu szaleństwu brata, tylko temu, co za nie uznano - doprowadzonemu jednak do skutku ożenkowi Eryka z Karin Mansdotter i koronowaniu tej prostej dziewczyny. Ale zdążył zasiedzieć się na tronie i nie zamierzał nikomu dać się z niego strącić. Odstał od okna, z którego oglądał egzekucję. Właśnie stracono sługę Eryka, Charlesa de Mornaya, kuzyna Walezjuszy, za udowodnioną próbę podbechtania szkockich gwardzistów do zgładzenia króla. Spisek ujawnił inny Francuz w szwedzkiej służbie Pontus de la Gardie.

- Jeszcze dziś znajdziesz pewnego człeka i pchniesz go z listem do komendanta zamku w Abo² - powiedział do swego zausznika Bengta Gylda,

- Pojmuję - odparł tamten, skłonił się i ruszył do wyjścia.

- Stój! Nic nie pojmujesz! Na razie niech przewiożą naszego brata do więzienia w Gripsholmie, abyśmy go mogli stale mieć na

1 Kilkadziesiąt kilometrów od Sztokholmu; w tamtejszym zamku na wyspie jeziora Malirm był więziony przez swego brata, króla szwedzkiego Eryka XIV, księżę Finlandii Jan wraz z żoną Katarzyną Jagiellonką, tam też urodził się Zygmunt Waza, 20 czerwca 1566 r.

2 Ówczesna stolica Finlandii, dziś Turku.

11

oku. Jednak na wszelki wypadek miej pod ręką odpowiednio przyprawioną grochówkę.

- A Karin Mansdotter i królewskie bastardy?

Ekskrólowej nie pozwolono zamieszkać z mężem w więzieniu, ale nie rozdzielono ich ostatecznie. Mogła widywać Eryka chwilę przed wieczornym dzwonieniem. Mieszkała zaś wraz z dziećmi w ubogiej chatce pod murem zamku w Abo.

- Mają pozostać w Finlandii.

- Gustawowi Erikssonowi idzie szósty rok - zauważył Gylt znacząco.

Jan III zmarszczył brwi. Od dawna rozważał ten problem. Zimny jak bałtycki śledź, w gruncie rzeczy był tak samo bezlitosny jak Eryk, tylko lepiej się maskował.

- Co proponujesz?
- Niezawodną trójcę: worek, kilka ciężkich kamieni i głęboką wodę.
- Blżej stamtąd do rzeki Aury niżli do morza - uściślił król, który Abo i okolicę znał jak własną kieszeń jeszcze z czasów, gdy był księciem finlandzkim.
- Co to? Kto tu jest?! - Gyltowi wydało się, że usłyszał jakiś szmer za kotarą.

Jan błyskawicznie dobył rapiera i przeszył fałdzistą materię. Raz, drugi i trzeci. Ale żelazo nie napotkało oporu, żaden trup nie zwałił się na pawiment, nikt raniony nie wyskoczył z krzykiem zza opony.

- Masz zwidy - rzekł z ulgą. - Idź już i czyń swoje.

Dopiero gdy i on odszedł, zza zasłony wychynęła ulubiona karlica Anny Jagiellonki, podarowana przez nią siostrze Katarzynie z okazji ślubu i odtąd towarzysząca wiernie nowej pani Dorota Osiecka zwana Dosieczką. Była blada jak śmierć, gdyż ostrze rapiera przeszło jej tuż nad głową, muskając włosy.

Gdańsk-Sztokholm, sierpień 1584 roku

Przedwieczorna burza schłodziła letni skwar, mimo to Mikołaj Rascius pocił się jak szczur, którym był w istocie. Tajny agent Jana III Wazy, miał powody do zdenerwowania. Batory nie cierpiał swego

12

4tr ' -

szwedzkiego szwagra, a jeszcze bardziej jego szpiegów. Z kolei gdańszczanie bardzo nie lubili, gdy naruszano ich przywileje. Dla tych, którzy to czynili, pobudowano w mieście szubienice przed Zieloną Bramą. On zaś znajdował się właśnie pomiędzy miastem a przedmieściem Scotlandia, obdarzonym prawem azylu, i zamierzał pogwałcić to święte prawo.

Było po zmierzchu, zamknięto bramy miejskie i ostatni maruderzy wracali do przedmieścia na noc. Od trzech wieczorów zaczajony w ciemnym zaułku Rascius czekał na ofiarę, eksambasadora szwedzkiego w Polsce Francuza Andrzeja Lorichsa. Jan III dowiedział się bowiem niedawno od Pontusa de la Gardie, który ze zdradzania rodaków uczynił cnotę, o konszachtach swego byłego ambasadora z Iwanem Groźnym i wziął mu to za złe, mimo iż od lat zapominał wypłacać mu pensję.

Rascius z daleka dostrzegł trzy błyski światła. To człowiek, który śledził Lorichsa, dawał znak, że ambasador tym razem był sam. Rascius cicho gwizdnął, by poukrywani po bramach jego ludzie byli w pogotowiu.

Zaatakowany zniemacka, lekko podpity Lorichs nie miał żadnych szans. Ocknął się dopiero na okręcie czekającym w Wisłoujściu, który podniósł żagle, gdy tylko porwany znalazł się pod

pokładem. Jeszcze wiele razy potem tracił i odzyskiwał przytomność, modląc się o śmierć, która nie chciała nadejść.

- Gdzie on jest?! - spytał po raz setny Jan III.

Nowina, którą ujawnił torturowany, uderzyła go jak obuchem. Śmierci by się prędeż spodziewał niż tego. Odkąd się o tym dowiedział, nie mógł jeść ani spać. Złość na zmarłą żonę i jej miękkie serce odejmowała mu rozum, a strach o przyszłość szarpał nerwy. Musiał to wiedzieć, żeby podjąć odpowiednie kroki, tym razem skuteczne.

- Gdzie on jest?! - powtórzył.

Umęczony Lorichs zwrócił ku niemu zmasakrowaną twarz i nie-widzące oczy, i ledwie zrozumiałe wyszeptał przez rozbite wargi i potrzaskane zęby:

- Nie... wiem... Stra...ci...łem... go... z... o...czu...

- Łzesz! - ryknął król i skinął na oprawców.

Jeden z nich podkręcił śrubę garoty.

- Aaaaaaaa... - zajęczał więzień, po czym zarzęził okropnie, wyprężył się i zwiotczał.

13

r

- Gadaj, łotrze! - półprzytomny z wściekłości król szarpał unieruchomione w stalowych cęgach ciało nieszczęśnika.

- On już nic nie powie, wasza królewska mość - oznajmił kat. - Skonał.

Cała nagromadzona złość, lęk i ogromne rozczarowanie króla skrupiły się na Gylcie.

- To wszystko twoja wina! - wrzasnął na totumfackiego, który przed siedmiu laty pomógł mu na dobre pozbyć się trzymanego w zamku Órbyhus pod Uppsalą Eryka, aplikując więźniowi grochówkę zaprawioną arsenikiem. - Sfuszerowałeś robotę! Daję ci ostatnią szansę. Znajdź go, zanim zrobią to inni, bo skończysz jak ten szczur. - Wskazał na trupa.

rozdziali | OSACZONY

Praga, marzec 1587 roku

Nieozdobiona żadnym herbem wielka czarna karoca, otoczona tuzinem zbrojnych, opuściła hradczański zamek. Omijając katedrę Świętego Wita i terkocząc na kocich łbach, potoczyła się w kierunku Złotej Uliczki, ciasno zabudowanej małymi domkami ze sterczącymi kominami na zewnątrz i piecami alchemicznymi wewnątrz. Rudolf II kazał je wybudować dla blisko dwóch setek ściągniętych tu z całej Europy alchemików, astrologów i czarnoksiężników po to, by razem z nimi oddawać się przeróżnym eksperymentom oraz praktykom magicznym.

Kelley, Muller zwany Muhlenfelsem, Gustenhófer, książę Bra-gadino, Scotta i dwaj Polacy już czekali u wylotu ulicy. Gdy powóz stanął, wsiedli do niego. Karoca potoczyła się na południe, w kierunku Małej Strany, po czym skręciła na Most Karola i przejechała na prawy brzeg Wełtawy. Praga to właściwie było pięć miast. Oprócz Hradczan i Małej Strany także Stare i Nowe Miasto po drugiej stronie rzeki. Jednak ciężki pojazd skierował się na północ, do piątej części czeskiej stolicy - kwartału żydowskiego² położonego poza murami Starego Miasta. Minął bejsjolem zwany przez indygenów Starym Hfbitovem, pobudowaną wedle dawnej modły³ synagogę Staronową, zwaną też Altneuschul, i wjechał do miasta żydowskiego o wąskich uliczkach i ciasnej zabudowie. Zatrzymał się przed ratuszem, na którym zamontowano osobliwy zegar (jeszcze osobliwszy

1 Albo raczej dla strażników zamkowych.

2 W końcu XVIII w., kiedy cesarz austriacki Józef II scalił Pragę, dzielnicę tę nazwano Josefov (Józefów).

3 Z XII w., najstarsza z zachowanych w Pradze i całej Europie, przebudowana w stylu gotyckim w XIV w.

15

* "i

rozdziali | OSACZONY

Praga, marzec 1587 roku

Nieozdobiona żadnym herbem wielka czarna karoca, otoczona tuzinem zbrojnych, opuściła hradczański zamek. Omijając katedrę Świętego Wita i terkocząc na kocich łbach, potoczyła się w kierunku Złotej Uliczki, ciasno zabudowanej małymi domkami ze sterczącymi kominami na zewnątrz i piecami alchemicznymi wewnątrz. Rudolf II kazał je wybudować dla blisko dwóch setek ściągniętych tu z całej Europy alchemików¹, astrologów i czarnoksiężników po to, by razem z nimi oddawać się przeróżnym eksperymentom oraz praktykom magicznym.

Kelley, Muller zwany Muhlenfelsem, Gustenhófer, książę Bra-gadino, Scotta i dwaj Polacy już czekali u wylotu ulicy. Gdy powóz stanął, wsiedli do niego. Karoca potoczyła się na południe, w kierunku Małej Strany, po czym skręciła na Most Karola i przejechała na prawy brzeg Wełtawy. Praga to właściwie było pięć miast. Oprócz Hradczan i Małej Strany także Stare i Nowe Miasto po drugiej stronie rzeki. Jednak ciężki pojazd skierował się na północ, do piątej części czeskiej stolicy - kwartału żydowskiego² położonego poza murami Starego Miasta. Minął bejsjolem zwany przez indygenów Starym Hfbitovem, pobudowaną wedle dawnej modły³ synagogę Staronową, zwaną też Altneuschul, i wjechał do miasta żydowskiego o wąskich uliczkach i ciasnej zabudowie. Zatrzymał się przed ratuszem, na którym zamontowano osobliwy zegar (jeszcze osobliwszy

1 Albo raczej dla strażników zamkowych.

2 W końcu XVIII w., kiedy cesarz austriacki Józef II scalił Pragę, dzielnicę tę nazwano Josefov (Józefów).

3 z XII w., najstarsza z zachowanych w Pradze i całej Europie, przebudowana w stylu gotyckim w XIV w.

15

od sławnego staromiejskiego Orloja¹) opisanym żydowskimi literami oznaczającymi godziny. Jego wskazówki obracały się w lewo, a nie w prawo jak w zegarach chrześcijańskich. Ledwie landara stanęła, pajucy jadący na stopniach z tyłu pojazdu pobiegli otworzyć drzwiczki, a rajtarzy z eskorty zeskoczyli z wierzchowców i zaczęli odpychać na bezpieczną odległość gapiów zwabionych niecodziennym widokiem.

- Rozejść się! Raus! Schnell!

Pierwsi wydostali się z karocy alchemicy, utworzyli szpaler i zgięli się w ukłonach. Potem wsparty na ramionach sług pojazd opuścił okryty płaszczem obszytym sobolami brodaty rudzielec z wielką wysuniętą naprzód żuchwą, obwisłą dolną wargą Habsburgów i trochę szalonymi oczyma o rozbieganym spojrzeniu. Do nosa przykładał chustkę, chroniąc nozdrza przed wszechobecnym fetorem. Mimo to ciekawscy natychmiast rozpoznali niezwykle gościa. Był to sam Rudolf II, osobliwy cesarz, który uczynił Pragę „stolicą alchemiczną” Europy, odbierając prymat Krakowowi. Którego nie interesowały sprawy państwa, tylko kolekcjonowanie osobliwości, majsterkowanie oraz eksperymenty alchemiczne i magiczne. Za nim wyszli najzaufańsi: Tadeusz von Hajek, przyboczny lekarz, który kwalifikował i egzaminował kandydatów do zamieszkania na Złotej Uliczce, oraz ten, który ich sprowadzał do Pragi - tajny radca i kamerdyner cesarski Wolf Freiherr von Rumpf.

- Wasza Cesarska Mość... - Stary Żyd, który otworzył drzwi domu posadowionego pomiędzy synagogą a ratuszem, skłonił się nisko i zatoczył ręką zapraszająco. - Polskie porzekadło powiada: gość w dom, Bóg w dom.

Rabin Jehuda vel Low ben Becalel, zwany także Marahal, urodził się sześćdziesiąt siedem lat wcześniej w Poznaniu i nim przybył do Pragi, i tu założył własną jesziwę, w Polsce ukończył szkołę talmudyczną.

- Gdzie on jest? Chcemy go zobaczyć - burknął cesarz, z trudem ukrywając zniecierpliwienie.

Uprowadzony o wizycie i przygotowany rabin znów się ukłonił i poprowadził gości przez szeroką sień na tyły kamienicy, na

1 Orloj - najstarszy (z 1410 r.) zegar astronomiczny, znajdujący się na południowej ścianie ratusza praskiego Starego Miasta.

16

zabudowany z wszystkich stron wewnętrzny dziedziniec. Na środku wybrukowanego podwórza stała ocembrowana i zadaszona studnia. Jednakże to nie ona przyciągnęła uwagę przybyłych, lecz kamienna ławka pod murem, na której coś spoczywało. Coś to właściwe określenie. Bowiem olbrzymia, niemal bezkształtna bryła jedynie z grubsza przypominała człowieka. Wielki łeb, grube łapska i nogi jak tokańskie kolumny wskazywały raczej na bestię, najbardziej niedźwiedzia. Ale stwora nie pokrywała sierść, tylko dziwna substancja przypominająca muł albo glinę.

- To jest ten android? - zapytał cesarz, nie spuszczać z dziwnej istoty zafascynowanego spojrzenia.

- Nie jest nim, jeśli przez androida wasza cesarska mość pojmuje „człowieka sztucznego”, zabawkę mechaniczną znaną już starożytnym Grekom i Rzymianom - objaśnił Żyd. - To golem. Uczyniony z gliny, z której powstał także praojciec Adam. I ożywiony za pomocą kabały i magii.

- Diabelska to sprawka - westchnął któryś z alchemików, a wszyscy się pospiesznie przeżegnali.

- Nieprawda! - zaprzeczył gorąco rabin. - Pierwsze przekazy o golemie, czyli istocie stworzonej przez człowieka, zawiera Talmud. Z kolei w traktacie Sefer Jecira znajduje się formuła bożej kreacji, którą nieudolnie spróbowałem odtworzyć. Zresztą wzmianka o golemie pojawia się w Biblii, w Księdze Psalmów, gdy Adam powiada do Najwyższego:

...nietajna Ci moja istota, kiedy w ukryciu nabierała kształtów, gdy w głębi ziemi się splatała

Cesarz skinął na medyka.

- Dotknij go.

Hajek z niepewną miną podszedł i z daleka szturchnął palcem golema, po czym zaraz odskoczył wstecz jak świerszcz. Ponieważ monstrum ani drgnęło, to samo uczynił cesarz, a po nim alchemicy na wypródki obmacywali i opukiwali golema, wołając przy tym:

1 Psalm 138 (139),15 (werset ten w usta Adama wkłada tradycja żydowska), Biblia Tysiąclecia, Poznań 1965, s. 709.

17

r

- Przebóg! W istocie jest z gliny! To kukła! Bałwan! Diabła zje, kto zechce tchnąć w to życie!

Rudolf II spojrział znacząco na Marahala i uniósł brwi. Rabin podszedł do stwora. Najpierw wyjął mu z wielkiej gęby pasek pergaminu i zastąpił go innym, po czym przez chwilę szeptał coś do nieforemnego ucha, dmuchnął w półotwarte usta, na koniec pomachał ręką przed guzowatym obliczem i klepnął golema w ramię. Spodziewali się tego, lecz gdy golem nagle

otworzył szeroko oczy, aż podskoczyli i cofnęli się o krok. Tępo patrzące ślepie stworza prześliznęły się po nich obojętnie i zatrzymały na rabinie.

- Woda! - rozkazał Lówe ben Becalel, pokazując palcem studnię.

Sztywno jakby kij połknął, stwór wstał, prostując swą ogromną,

na co najmniej sześć i pół stopy wysoką postać, i poszedł ku studni, chrzęszcząc, stawiając niezgrabne kroki, rozrzucając po drodze mniejsze i większe okruchy gliny, i nie rozglądając się na boki. Po kolei napełnił cztery wielkie cebry, zaczepił je na nosidłach, zarzucił sobie na ramiona i wnet zniknął z oczu zgromadzonych, zapewne w kuchni. Wrócił i wszystko się powtórzyło. Raz, drugi, trzeci, dziesiąty.

- Ma nieludzką siłę! - zauważył cesarz.

- I nigdy się nie męczy - potwierdził Marahal. - Byłby idealnym sługą waszej cesarskiej mości.

Za dwunastym razem z kuchni dobiegł kobiecy krzyk. Obserwatorzy drgnęli i niespokojnie popatrzyli na rabina.

- To nic - uspokoił ich. - Tylko kucharka woła, że jeśli nie powstrzymam golema, zaleje cały dom.

- Nie może mu sama powiedzieć, żeby przestał? - zainteresował się cesarz.

- Nie posłucha jej. Nie potrafi mówić ani rozumować i nie ma ludzkich uczuć. Nie jest przecież człowiekiem, tak jak ja nie jestem Stwórcą. Pojmuje tylko proste komendy, a słucha wyłącznie mnie.

- Tedy nam on na nic.

- Mogę waszą cesarską mość nauczyć, jak nim powodować.

Na próżno alchemicy, których zżerała zazdrość i ciekawość, wytężali słuch, gdy Żyd cicho objaśniał monarsze swój sekret. Oprócz oderwanych słów nie usłyszeli nic. Kiedy potwór, patrząc prosto przed siebie, mijał go w drodze do studni, krocząc wciąż tym samym,

18

* w

mechanicznym krokiem, rabin szybko wystawił rękę, wyjął mu pasek pergaminu z grubych ust i zastąpił go poprzednim. A potem znów szeptał mu do ucha jakieś formuły i zaklęcia. Ledwie skończył, w tej samej chwili golem zastygł tak, jak stał - z nosidłami i zwisającymi z nich cebrami na ramionach.

- Bardzo zajmujące spectaculum. Jesteśmy usatysfakcjonowani, rabbi. Ale golema możesz sobie zatrzymać - rzekł na pożegnanie cesarz.

- Rabbi, czy to było mądre, pokazywać gojom golema? - zapytał rabina zięć, Izaak Kohen, kiedy goście odjechali. Kiwając głową, milcząco poparł go brat Marahala Sinai.

- To było konieczne, synu. Jutro o golemie będzie mówiła cała Praga, pojutrze pół świata. Nie stworzyłem go na służbę dla cesarza, jak im powiedziałem dla zamydlenia oczu. On ma obronić nasz lud, który ostatnio chrześcijanie coraz gwałtowniej prześladują za rzekomo bezbożne praktyki i okultyzm. Jeszcze usłyszysz o golemie, zapewniam cię.

Kraków, kwiecień 1587 roku

. * ■ ■ - ' -- Imieniem Adonai panującego nad siłami wszechświata, zaklinam! Mistrzu Twardowski, pokażcie się! Zaklinam i nakazuję! Zaklinam na mą krew, pokażcie się! W imię Adonai, tego co panuje nad widzialnym i niewidzialnym, w imię mocy nadanej i znaków odwiecznych, pokażcie się bezzwłocznie! Tak chcę, tak mogę, tak przykazuję! Mistrzu Twardowski, mistrzu Twardowski, przybywajcie!

Sporządzona zgodnie ze sztuką, czyli o północy, magiczna różdżka w kształcie litery Y drżała w rękach nekromanty wywołującego ducha dawno zmarłego wielkiego maga, ponieważ jako jedyny z obecnych zdawał sobie sprawę z konsekwencji błędu. Jeżeli koniec różdżki lub jakakolwiek część ciała choć przez moment wystawałaby poza ochronny krąg - wszystkich czekały obłęd lub nagła śmierć. Jednak w głosie maga nie słychać było strachu, który go ogarnął. Głos brzmiał pewnie i rozkazująco, tak jak musiał brzmieć, aby zmusić ducha do przybycia.

19

F

Wszyscy trzej, dwaj pozostali w swoich własnych kręgach, nieco inaczej opisanych, czekali w napięciu. Samotny płomyk świecy migotał i rzucał skąpe światło, niezdolne rozproszyć mrok rozległego pomieszczenia, w którym się znajdowali.

- Jak długo jeszcze mamy czekać? - zniecierpliwiał się jeden z obserwatorów, gdy czas mijał i nic się nie działo.

- Nie wiem - odparł szeptem nekromanta. - Czasem duch zjawia się natychmiast, czasem trzeba czekać kilkanaście zdrowasiek, a niekiedy wiele nocy z rzędu.

- Ładna perspektywa - mruknął kwaśno trzeci z obecnych. - Jeśli myślicie, że będę całymi dniami i nocami tkwił w tej norze, i to po ciemku, toście poszaleli!

- Ciiii - syknął czarnoksiężnik. - Coś się dzieje...

W istocie, płomyk świecy zadygotał. Poczuli delikatny powiew, po czym twarze zrosiła im delikatna, ale wyraźna mżawka. Nekro-mancie zdało się, że ujrzał wyłaniającą się z ciemności bladą poświatę, która przybrała kształt ludzkiej postaci.

- Mistrzu Twardowski! Mistrzu Twardowski! - zawołał. - Zdradźcie nam formułę kamienia mędrców lub wyjawcie, gdzie znajduje się wasza księga!

Znów czekali w milczeniu, wstrzymując oddechy. Wreszcie ten bardziej niecierpliwy nie wytrzymał i rzekł ze złością i rozczarowaniem:

- To jakieś bzdury! Nic z tego nie będzie. Nie widziałem żadnego ducha.
- Ja też nie - dodał jego towarzysz i zwrócił się do nekromanty z pogroźką w głosie: - Musisz postarać się bardziej, inaczej marny twój los.
- Był tu - upierał się czarnoksiężnik i ostrzegł tamtych, kiedy chcieli wyjść z kręgu: - Ani kroku! Duch został wywołany z astralu i krąży. Jak nie tu, to gdzie indziej. Będzie na nas nastawał, jeśli nie zakończymy obrządku jak należy.

Napawał się ich strachem, gdy zamarli w bezruchu, jeden z uniesioną nogą. Mieli go w garści, ale w chwilach takich jak ta to on był górą. Nie znali się na czarnej magii, bali się jej i dlatego był im niezbędny. Ciekawe, co by powiedzieli, wiedząc, że nigdy dotąd nie wywoływał duchów? To był jego pierwszy raz. I nie zamierzał tego

20

-

powtarzać. Ten sposób kosztował go zbyt wiele nerwów. Musiał wymyślić coś innego.

A tymczasem wygłosił końcową formułę: - W imię Adonai, mocą i potęgą nadaną, przykazuję ci, duchu Mistrza Twardowskiego, zniknij! Powróć, skąd przybyłeś, i nie zakłócaj naszego spokoju! Tak chcę i tak nakazuję!

Kraków, kwiecień 1587 roku

- Dziwne... Nigdy wcześniej was nie widziałem. Kto was przyjął do roboty? Jak się zwiecie? O, takie duże cycki lubię najbardziej...

Tłustym łapskiem, rechocząc oblesnie, sięgnął do wielkiego biustu jednej z dwóch obsługujących go służek. Ale ta wykonała zręczny unik.

- Co jest?! - Rozgniewał się. - Coście takie wstydlive? Czemu-ście się jeszcze nie rozdziały? Ściągać mi zaraz te łachy!

Tym razem udało mu się pochwycić rąbek giezła drugiej dziewczki. Szarpnął niecierpliwie. Materia pękła, obnażając nagie ciało, przyrodzenie, o jakim sam mógł tylko pomarzyć, oraz sztuczne piersi. Rozdziawił usta w niebotycznym zaskoczeniu. Raptem pojął wszystko i chciał krzyknąć, lecz jedna para silnych dłoni ścisnęła mu gardło, druga zaś zaczęła wpychać głowę pod wodę. Wierzgnął, ale trzymali go krzepko. Udało mu się jedynie zerwać jednemu z zabójców perukę z głowy i na tym koniec. Wreszcie nie wytrzymał. Musiał nabrać oddechu. Ale zamiast powietrza płuca wypełniła mu woda. W kilka chwil było po wszystkim. Otyłe cielsko wypełniało niemal całą miedzianą wannę w kształcie wieloryba, rozwarte szeroko oczy spoglądały w górę przez kilkucalową warstwę wody, niczego już nie widząc. Struga fekaliów wydostała się spod trupa i rażno podążyła ku powierzchni.

Praga, sierpień 1587 roku

- Mam go zabić?

Wilhelm di San Clemente, ambasador jego arcykatolickiej mości króla Hiszpanii Filipa II przy osobie jego cesarskiej mości Rudolfa II, zachnął się, zniesmaczony.

- W żadnym wypadku! Przynajmniej na razie. Chcemy go mieć tutaj, w Pradze. Po dobroci lub przemocą, za jedno.

- Zatem chodzi o porwanie.

Don Guillen zatrzepotał wypiełgnowaną dłonią i skrzywił się, jakby usłyszał coś nieprzyzwoitego. Zresztą obecność tego człowieka drażniła go w najwyższym stopniu. W trakcie kariery dyplomatycznej nauczył się posługiwać takimi ludźmi, ale zawsze wzbudzali w nim obrzydzenie z racji paskudnego wyglądu, a już ten odmieniec wydawał mu się szczególnie odrażający. Z racji obrzydliwego wyglądu i irytująco bezceremonialnego zachowania. Cóż, kiedy był najlepszy. Podobno niezawodny. A na pewno najdroższy.

- Tylko w ostateczności. Jeśli nie da się przekonać ani przekupić.

- Rozumiem. Gdzie go znajdę?

Hiszpan uśmiechnął się krzywo.

- Gdybyśmy to wiedzieli, twoje usługi nie byłyby potrzebne, amigo. Gdzieś w Polsce, jak myślę. Tam go przywieziono w dzieciństwie i ten kraj zna najlepiej. Ostatnio, jak słyszałem, sporo peregrynował po świecie. A niedawno poniosło go gdzieś na Wschód i zniknął nam z oczu. Zakładam, że doszły go słuchy o elekcji kuzyna. Tedy poszukiwania rozpocząłbym od Krakowa. Sugeruję, señor, abyś zabrał się z wojskiem arcyksięcia Maksymiliana, które rychło tam podąży. Przy okazji możesz wystąpić jako przewodnik i doradca arcyksięcia.

Don Guillen dobrze znał Polskę i wiedział, że tamten też ją zna i mówi po polsku jak indygen.

- Tak uczynię. Jak poznam Erikssona?

Ambasador wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nie używa rodowego nazwiska, zaś każdy z naszych szpiegów opisuje go inaczej. Jedno wiadomo: na pewno nie wygląda jak królewski syn, raczej jak wagabunda. Aha, zajmują go nauki tajemne, osobliwie alchemia.

- To niewiele. W dzisiejszych czasach co drugi para się alchemią.

- Płacimy ci właśnie za to, señor, żebyś spośród setek alchemistów znalazł tego właściwego. Jeśli to cię przerasta...
- Poradzę sobie. Do kogo mam się zwrócić, kiedy znajdę naszą zgubę?
- Znacie traktiernię „Pod Jeleniem” przy krakowskim rynku?
- Znam.
- Jej właściciel, Herr Ludwig, dobry Niemiec, to człek oddany nam ciałem i duszą i godny zaufania. U niego będziesz pan zostawiał wieści i przez niego otrzymywał instrukcje.
- Pojmuję. Ile mam czasu?
- Mało.
- Ergo nie warto go tracić.

Człowiek w czerni błysnął czerwonym okiem, ręką trzymającą kapelusz machnął niedbale w imitacji ukłonu, nasunął kapelusz na oczy i wyszedł cicho jak duch. Ambasadorowi mróz przeszedł po grzbiecie. Nie chciałby mieć tego człowieka przeciwko sobie. Raptem ogarnęła go pewność, że albino podoła swemu zadaniu i znajdzie tamtego, zanim Zygmunt umocni się na tronie i cała misja straci sens albo Maksymilianowi uda się zdobyć Kraków i wyjdzie na to samo... Ale Hiszpan znał się na ludziach i nie powierzyłby Maksymilianowi nawet armii zabawkowych rycerzyków. Dlatego przewidywał jego klęskę. A wówczas odnaleziony Gustaw Eriksson będzie jak znalazł. Ubawił go ten kalambur.

Kraków, sierpień 1587 roku

Brzdęk! Trafiona szyba rozprysnęła się z hukiem. Podskoczył przestraszony. Potem rzucił się ku oknu, ale nikogo nie dostrzegł. Schylił się, podniósł kamień, sprawcę całego zamieszania, i wtedy zobaczył kartkę, którą doń przyczepiono za pomocą sznurka. Oderwał ją i zbiegł po schodach na dół, do piwnicy. Załomotał w zamknięte na głucho drzwi.

- Mój jegomość! Mój jegomość!
- Czego chcesz?! - rozległo się po dłuższej chwili zza drzwi. -Przecież zabroniłem ci przeszkadzać, kiedy przeprowadzam doświadczenia!

23

- Wiem, ale... Znów to samo!
- Co?
- Podrzucony list.
- Co piszą tym razem?
- Nie wiem...Toć i ten list napisano sekretnym pismem...

Zgrzytnął rygiel i drzwi otworzyły się, ukazując typową pracownię alchemiczną, zagraconą szklanymi i metalowymi naczyniami, różnymi przyborami, a przede wszystkim wypełnioną gryzącym dymem.

- Daj! - Młody jeszcze człowiek, ze starannie przyciętą brodą, wyciągnął rękę.

Przebiegł okiem dziwny tekst, złożony z figur nieco przypominających geometryczne. Przeczytawszy, podał kartkę na strzępy.

- Czy... Czy to tamci? - spytał załkniiony sługa. - Znowu chcą, żeby jegomość do nich przysłał?

- Nie twoja sprawa. Jutro ruszamy w długą podróż. Przygotuj wszystko i załatw na Kleparzu dobre konie. A teraz odejść, zepsuleś mi robotę.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Zgrzytnął rygiel.

Piotrków, listopad 1587 roku

- Ilu?

Spośród obecnych tylko jeden Zygmunt zachował spokój.

- Dwa tysiące jazdy, najjaśniejszy panie - odparł zdyszany goniec. - Pod Krzysztofem Zborowskim, Erazmusem von Lichtensteinem i Stanisławem Stadnickim, osławionym Diabłem z Łańcuta. W Przedborzu rozbili pospolite ruszenie i zaciężnych pana marszałka wielkiego koronnego Jędrzeja Opalińskiego, po czym podążyli dalej. Chcą ogarnąć waszą wysokość. Imć marszałek pchnął mnie przodem z ostrzeżeniem...

- Tzeba uchodzić, nie mieszkając - powiedział poblady kasztelan podlaski Marcin Leśniowolski, który posłował do Szwecji po Zygmunta i odtąd nie odstępował go na krok. - Christof Zborowski i Diabeł Stadnicki to największe łotry spośród maksymilianistów. Nie Iza rachować na litość z ich strony...

24

- Daleko są? - indagował gońca król elekt.

- Milę od miasta, może dwie...

Szmer przeszedł po zgromadzonej szlachcie, ten i ów poblady i zaczął rozglądać się za wyjściem.

- Jedźmy do Warszawy, synaczku. Tam będziemy bezpieczni. - Anna Jagiellonka załamała ręce.

Niedawno opuściła zamek warszawski i przybyła do Piotrkowa, by poznać zdążającego z Gdańska prosto do Krakowa siostrzana i siostrzenicę Annę Wazównę. Od pierwszego wejrzenia oboje tak bardzo przypadli jej do gustu, że zaczęła ich traktować jak własne dzieci, których nie dane jej było urodzić. Teraz także bardziej bała się o nich niż o siebie.

- Słusznie, matuchno. Zabierzesz Annę i wyruszyście natychmiast.
- Zostanę z tobą - twardo oznajmiła królowa Anna, o której powiadano, że „jako drab nie boi się nic”.
- Pojedziesz - odparł z jeszcze większą mocą.

Uporu mogliby mu pozazdrościć Żmudzini, o osłach nie wspominając. Polacy dopiero go poznawali od tej strony, Szwedzi już o tym wiedzieli, dlatego Anna Wazówna nawet nie próbowała dyskutować. Równie bystra jak jej brat uparty, wiedziała, kiedy ustąpić, dlatego potrafiła nim manipulować jak mały Etiopczyk elefantem, mimo to ciesząc się jego zaufaniem i przywiązaniem.

- A ty, Zysiu? - dociekała stara królowa.

Nim zdążył odpowiedzieć, do komnaty, odpychając usiłujących go zatrzymać drabantów, wpadł Stanisław Gostomski, kasztelan sochaczewski, umorusany sadzami i w osmalonym odzieniu.

- Najjaśniejszy panie! Przedmieście płonie! Moi ludzie pochwycili pacholka/sługę zdrajcy Dunina Szpota, którego ów nasłał dla podpalenia miasta, a teraz walczą z ogniem!

Kilku zgromadzonych chyłkiem wysliznęło się z izby, jeszcze w antyszambrach głośno wołając o konie.

- Podajcie nam zbroję - Zygmunt z najwyższym spokojem zwrócił się do przybocznych.
- A wy, waszmościowie, ruszajcie na mury.
- A jeśli nie wytrzymają? - wtrącił ktoś nieśmiało.

W istocie, nienaprawiane mury miejskie pamiętały czasy Kazimierza Wielkiego i ich solidność pozostawiała wiele do życzenia.

25

- Wtedy będziemy bronić się w zamku. Ale nigdy nie przyjdzie do tego, żeby król polski tchórzliwie uchodził przed zgrają łotrów i zdrajców.

i ✓ Drezno, listopad 1587 roku

- Wstawaj! - Dozorca kopnął śpiącego na wiązce zbutwiałej słomy więźnia, który otworzył oczy. - Idziemy!

Czekali na niego w izbie przesłuchań, za którą znajdowała się doskonale widoczna katownia wypełniona najróżniejszymi narzędziami tortur. Sam ich widok mógł skruszyć najodporniej szych skazańców i najzatwardziały zbrodniarzy. Kat i jego pomocnicy stali w gotowości z boku pokrytego czarnym sukniem stołu, za którym zasiadał oskarżyciel i sędziowie. Izbę rozświetlał lichtarz na stole oraz pochodnie w uchwytych umocowanych do muru. Sędzia nie

tracił czasu i ledwo oskarżony, pobrzękując łańcuchami, stanął przed nim, dał znak pisarzowi, by rozpoczął protokołowanie, i rzekł do więźnia:

- Dla porządku: tyś jest Aleksander Seton zwany Cosmopolita-nusem?
- Jam jest.
- Rodem z Anglii?
- Ze Szkocji.
- Niech ci będzie. A zatem, Setonie! Jesteś oskarżony o czarno-księstwo, przepowiadanie nieszczęść kraju, z którego gościny korzystałeś, wywoływanie umarłych, niepokojenie dusz chrześcijańskich, rzucanie na nie uroku, a także o praktyki diabelskie i związki ze złymi duchami oraz o robienie z ich pomocą złota i leku na wszelkie choroby.
- Czemu tylko o to, a nie o wszystkie możebne *aimina maleficii, falsi et perduellionis*?
- zadrwił oskarżony.
- A żebyś wiedział! - Główny sędzia i oskarżyciel zarazem, młody elektor saski Christian II wałnął pięścią w stół.

1 *Crimina maleficii, falsi et perduellionis* (lac.) - czyny przestępcze, kłamstwa

i zbrodnie stanu.

26

Jego ojciec z zapalem poświęcał się alchemii, wydając ogromne sumy na alchemików i ich doświadczenia. Syn szydził z pasji ojca, a po jego śmierci wypędził wszystkich adeptów i prześladował podejrzanych o praktyki alchemiczne. Przyjazd Setona do Drezna uznał za jawną prowokację. Zresztą sławny alchemik nie ukrywał, że niedowiarstwo księcia stanowiło dla niego wyzwanie. Postanowił zatem zademonstrować kurfirstowi swą sztukę i przekonać go do niej. A ponieważ Christian II miał srogi charakter i sadystyczne upodobania, Kosmopolita ostatecznie nie ujawnił mu Wielkiej Tajemnicy. Dlatego został uwięziony w lochu na dnie zamkowej wieży. Żeby skruszał.

- Ergo nie przyznajesz się do winy?
- Nie.
- A co powiesz na to? - oskarżyciel podniósł ze stołu i pokazał obecnym jakąś bezkształtną, lśniąca bryłę. - Oto *corpus delicti*. Peter Schwerbauch, uczciwy obywatel naszego miasta i właściciel gospody „Pod Zielonym Lisem” przysięga, że na oczach jego i wielu innych uczyniłeś z ołowiu ów kęs złota i własną ręką zaopatrzyłeś go w napis wykrobany szpilką: „13 marca 1587, godzina 4 po południu”. Czy zaprzeczysz temu?
- Nie zaprzeczę. To ja dokonałem tej transmutacji.

- Ha! Zatem przyznajesz się do praktykowania czarnej magii? Zapisz, że oskarżony przyznał się do winy - nakazał pisarzowi sędzia.

- W żadnym wypadku - zaprotestował oskarżony. - Przyznaję się jedynie do tego, że z pomocą Najwyższego uchyliłem przed profanami rąbka tajemnej siły natury, by przekonać niedowiarków.

- Czemu zatem nie chcesz zademonstrować swojej sztuki w przytomności jego wysokości elektora, miłościwie nam panującego Christiana Wtórego?

- Bo dobrze poznałem waszego księcia. Dlatego powiadam wam, i to jest moja ostateczna odpowiedź, że nigdy do tego nie przyjdzie, by moja sztuka służyła takim ludziom jak on.

- Dość tego!

Zniecierpliwiony i rozeźlony książę poderwał się z miejsca. Zanim opuścił loch, zadysponował:

- Ten łotr z własnej i nieprzymuszonej woli nigdy się nie przyzna do oszustwa, a tym bardziej do paktu z diabłem. Kacie, czyń swoje.

27

Jeśli będzie się upierał, co dzień zwiększaj tortury. Tylko z czuciem, żeby mi nie zdechł przed czasem! Wezwijcie mnie, gdy będzie gotów. Czterdziestu zbrojnych ma go pilnować we dnie i w nocy. Jeśli umknie, z ludzką pomocą lub czarów, okryje mnie sromem, a wtedy wszystkich was każę skrócić o głowę! Czy to jasne? No, to do roboty.

Dziwne... Bólu prawie nie czuję... Właściwie to jest mi zupełnie dobrze... Zawsze byłem ciekaw, jak to jest, gdy się umiera... Już raz zdawało mi się, że konam... Było to podczas ucieczki króla Henryka Walezego, kiedy postrzelili mnie jego ludzie... Wówczas jednak udało mi się wyliźać, teraz nie ma o tym mowy... Spodziewałem się tego od wielu miesięcy, a jednak jestem zaskoczony... Chyba zawsze tak bywa... Nawet głównicy zapewne do końca ludzą się, że jakimś cudem zostaną ułaskawieni... Powiadają, że w tym ostatnim momencie człowiekowi staje przed oczyma cały żywot... Nie wiem, jak to wyglądało u innych, bo ja potrafię się cofnąć jedynie do chwili, kiedy to wszystko się zaczęło... Może mam gorszą pamięć od drugich? .. Było to wtedy, gdy polecono mi przechwycić listy kompromitujące króla... Nie! Cała ta sprawa zaczęła się, kiedy włamano się do domu stawnego krakowskiego alchemisty... Nie! Mój Boże, wszystko zaczyna mi się mieszać... Oczywiście, że sprawa, która przywiodła mnie do tego marnego końca, zaczęła się wówczas, gdy wezwano mnie do domu Czeczotki... W marcu... Nie! Na początku kwietnia osiemdziesiątego siódmego...

- Co o tym sądzisz? - spytał mnie hutman Bartłomiej Trojan. -Umrzeć cum mulieribus in balneis balneando Tylko pozazdrościć.

Zignorowałem tę uwagę, bo gdyby naprawdę tak uważał, nie potrzebowałby mnie. A może nie, może było to tylko pobożne życzenie? Zakłęcie, aby obyło się bez komplikacji. Aby

sprawa okazała się taka, na jaką wyglądała - na zasłabnięcie lub zwykły udar sercowy albo mózgowy. Zwyczajna rzecz w przypadku starca, figlującego z młodymi murwami we własnej, a zarazem publicznej łaźni, będącej równocześnie najpopularniejszym w mieście lupanarem.

1 Cum mulieribus in balneis balneando (lac.) - z kobietami się w łaźni kąpiąc.

28

m m

Było jeszcze coś. Uświadomił mi to Matusz Szarski, podhutmani, którego TYoan posłał po mnie, kiedy sprawa wyszła na jaw, rankiem 6 kwietnia. Jak zazwyczaj, a ostatnio nawet częściej, czytałem do późna w nocy. Znałem oczywiście lepszy sposób spędzania czasu w łóżku o tej porze, lecz do niego trzeba dwojga. Zatem spałem jeszcze w najlepsze, kiedy obudził mnie służący.

- Nie ma mowy - odparłem stanowczo, wychodząc do niespodziewanego gościa i trąc poklejone jeszcze snem powieki. - Już się tym nie zajmuję.

- Wiem - skrzywił się ironicznie. - Wielmożny pan Turopoński, doktor medycyny i najbardziej wzięty w całym mieście lekarz nie zajmuje się tak pospolitymi sprawami jak przestępstwa i tropienie zbrodniarzy. To było dobre dla Ryksa.

Był znajdą jak ja i znaleźliśmy się od niepamiętnych czasów. Jednak ja miałem więcej szczęścia niż on, który od lat pełnił ten sam, niezbyt znaczący i niedający znacznych dochodów urząd. A miał na utrzymaniu chorowitą żonę i troje czy czworo dzieci, z których najmłodsze było w wieku Kacpra juniora. Dlatego wyczułem w jego głosie nutę gorzkości.

- Nie o to chodzi - zaprotestowałem, bo w istocie nie o to szło.

- A o co?

- Nieważne.

- Stary naprawdę cię potrzebuje - powiedział. - Niektórzy rajcy od dawna przekonują radę, że Trojan jest zbyt wiekowy na swój urząd. Nie tylko kuleje, ale ostatnio pogorszył mu się wzrok i słuch. Straci pracę, jeśli się pośliźnie na tej sprawie. Dlatego musisz mu pomóc. - Ładnie to o nim świadczyło, że dobrze życzył hutmanowi, chociaż zapewne od dawna marzył, by zająć jego miejsce. - Bo jeśli nie, z pewnością nie omieszkają go usunąć. Ponoć mają już upatrzonego kogoś na jego miejsce - dodał. - Lojalność lojalnością, ale Matys miał dobry powód, by troszczyć się o skórę Trojana. Skoro nie miał go zastąpić, wolał wróbla w garści. Nowy hutman mógł sobie wziąć nowego zastępcę i pewnie by to zrobił. - Pomnij, o kogo chodzi - przypomniał.

Pamiętałem. Dwojga nazwisk, jak ja, Rozmus Czeczotka--Tłokiński, zwany Krwawym Burmistrzem lub Małym Borgią, był łotrem co się zowie. Kazał zabijać, okradał miejską kasę, oszukiwał, tarzał się w rozpuście, brał łapówki, gwałcił żony innych rajców,

a wszystko w majestacie prawa lub przynajmniej bezkarnie. I nic go nie ruszyło. Przeżył czterech królów, od każdego otrzymując kolejne fawory. Był rajcą nieprzerwanie przez czterdzieści lat oraz wielokrotnym burmistrzem. A teraz szczęło mu się w dość niezwykłych okolicznościach. Był moim wrogiem, lecz jedno musiałem mu przyznać - umarł, jak żył. Konsekwencja godna podziwu. Szkoda jedynie, że przyzwoici ludzie mogli ucierpieć z tego powodu.

- Dobrze. Przyjdę do was tak szybko, jak się da - uległem.

Nie kłamałem, mówiąc Szarskiemu, że nie urosłem tak bardzo,

by pogardzać robotą inwestygatora. Problem tkwił zupełnie gdzie indziej.

- Nie ma mowy!

Łudziłem się, że zdołam się wymknąć niepostrzeżenie z domu, ale oczywiście mi się nie udało. Wszystkich mogłem wyprowadzić w pole, z wyjątkiem Janki. Była na nogach od dawna i słyszała wszystko, o czym mówiliśmy z Matysem. Boże, jaka ona była piękna, gdy tak stała przede mną podparta pod boki, a promienie wstającego dopiero wiosennego słońca wpadały przez okno, oświetlając jej zagniewaną twarz i wydobywając zarys apetycznego ciała spod cienkiego giezła. Nawet kwaśna mina nie była w stanie odebrać jej urody. Nikt nie dalby jej trzydziestu lat. Miałem tylko o siedem więcej, ale ze mną czas nie obszedł się tak łaskawie, a ładny nie byłem nigdy.

- Nigdzie nie pójdziesz! - powtórzyła dobitnie na wypadek, gdybym nagle stracił słuch.

- Muszę - odparłem łagodnie.

- Jeśli to zrobisz, pożałujesz.

- Trudno. To stary druh, nie mogę go zawieść.

- Rób, co chcesz, ale...

Nie dowiedziałem się, co mnie spotka po powrocie, bo trojga imion Jędrzej (po dziadku) Stanisław (po bracie Janki oraz moim najlepszym druhu i ojcu chrzestnym malca Stachniku Żółkiewskim) Kacper (na życzenie Janki), lat dwa, wybawił mnie z opresji, dając głos. A jak na swój wiek miał potężny, zwłaszcza o poranku i o głodzie. Cóż, najgorsze już mnie spotkało - osobne sypialnie - więc skorzystałem z okazji i wymknąłem się chyłkiem z domu.

Mieszkaliśmy wcale ładnie, tuż pod miastem, między Garbarami a Smoleńskiem, w otoczeniu zieleni i szlacheckich dworów. Dom był

okazały, zatrudnialiśmy kilkoro służby, powodziło nam się doskonale, a mimo to Janka nie była szczęśliwa. Czuję, że tak się stanie. Brakowało jej atmosfery królewskiego dworu i poczucia, że znajduje się w centrum wydarzeń. Wizyty u sąsiadów i nasze rewizyty, odwiedziny wspólnych starych przyjaciół i moich kolegów medyków z mało interesującymi żonami to wszystko było mało. Odżywała tylko wówczas, kiedy Zamojski z księżną Gryzeldą zjeżdżali z Zamościa, którego budowę nadzorowali, do Krakowa. Zawsze wtedy spędzała mnóstwo czasu w ich Rabsztynie na Wawelu. Dwa razy zaprosili nas do Zamościa na wywczasy. Ale gdy potem wracała do codzienności, było jeszcze gorzej. Nudziła się, nie lubiła mojej pracy i częstych nocnych wezwań do cierpiących, zakazała mi roboty w charakterze inwestygatora. Wciąż się miłowaliśmy, przynajmniej miałem taką nadzieję, równocześnie oddalając się od siebie coraz bardziej. Narodziny Jędrzeja Stanisława Kacpra naprawiły sytuację tylko na krótko.

Polnymi drózkami doszedłem do niebrukowanej ulicy (to był główny minus mieszkania extra muros, zwłaszcza po deszczach) Garncarskiej, potem Szeroką do bramy Szewskiej i kilka minut później pukałem do okazałego domu Czeczotki, na rogu Wiślniej i Świętej Anny.

- No, co o tym myślisz? - ponaglił mnie Trojan niecierpliwie.

Postarzał się od naszego ostatniego widzenia, a nie pamiętałem go młodego. Był ode mnie starszy o jakieś piętnaście lat, równie siwy i chromający na nogę jak ja, tylko bardziej. No i bruzdy na jednookim licu miał głębsze i może kilka blizn więcej, ale ogólnie można było nas wziąć za braci. A za ojca i syna na pewno. Tak też mnie poniekąd traktował. To znaczy jak syna.

Trup niewzruszenie spoczywał na dnie wanny, tak jak go o świcie znaleźli łaźiebni, kiedy jak co dzień przyszli posprzątać łaźnię po nocnych igraszkach swego pana. Rozdziawione usta, wytrzeszczone ślepie i malujące się w nich przerażenie świadczyły, że wiedział, iż umiera. Nawet dla mnie, który go nie lubiłem, nie był to przyjemny widok. Nie mówiąc o pływających w wodzie, odkąd puścił zwieracz odbytu, fekaliach, których zapach woda neutralizowała tylko w części. Nieboszczyk był kanalią i moim wrogiem, odkąd przywiódł do śmierci mego druha magistra Wolskiego, ale widok jego trupa nie sprawił mi satysfakcji. Jeśli tak miała wyglądać śmierć w rozkosznych uściskach, to zamierzałem przy najbliższej

31

okazji poprosić Stwórcę o coś mniej rajcującego. Z tego co wiedziałem o Czeczotce, na raj w życiu wiecznym w jego przypadku też się nie zanosilo. Tuszyłem, że jeśli i mnie przyjdzie kiedyś trafić w to samo miejsce, w którym bez wątplenia ostatecznie osiadł, to przynajmniej do innego kręgu. Wedle Italczyka Dantego było ich aż dziewięć, miałem więc na to lepszą nadzieję niż na wyrzucenie szóstki w grze w kości. Pocieszające.

Nie zdążyłem odpowiedzieć TYojänowi, bo za ścianą uczynił się rumor, drzwi do prywatnej balneoli Czeczotki otworzyły się z hukiem i do pomieszczenia zamaszystym krokiem wmaszerował rajca Jan Grot. Byliśmy równo latkami, lecz nikt nie wzięły nas za braci.

Modnie i kosztownie odziany, nosił ufryzowane włosy, starannie przyciętą brodę, a wizerunku dopełniał wyraz pychy i arogancji malujący się na jego przystojnym obliczu. Miło pomyśleć, że jest w życiu jakaś stałość, którą większość z nas lubi: pewne rzeczy i niektórzy ludzie nie zmieniają się nigdy, więc nie trzeba zmieniać o nich opinii. Dawno go nie widziałem, ale niewątpliwie był to ten sam Grot, którego znałem jak zły szeląg. W towarzyszącym mu nerwowym, niepozornym mężczyźnie w czerni rozpoznałem starszego cechu cyrulików Marcina Jędrzejkiewicza. Mój widok lekko go zdeprymował.

- No, proszę, cóż za szczęśny dzień od samego rana - rzekł Grot na widok topielca. - Staremu łajdakowi szeszło się nareszcie, co hutmanie?

- Niewątpliwie mamy do czynienia z utopieniem - odparł ostrożnie Trojan. - Ale...

- Przypadkowe zachłyśnięcie wodą, czy raczej udar sercowy? -przerwał mu Grot niegrzecznie, podchodząc bliżej i uważnie przyglądając się kadawerowi, po czym, ignorując starego justycjariusza, skinął na chirurga.

Ten, starannie omijając mnie wzrokiem, pochylił się nad zmarłym, marszcząc nos, kiedy smród pływających odchodów dotarł mu do nozdrzy. Chwilę deliberował, po czym rzekł z pewnością w głosie:

- Sądząc po czerwonym obliczu i wysadzonych oczach, to bez wątpienia udar.

- No i dobrze. Krzyżyk na drogę - powiedział Grot. - Chodźmy teraz do ratusza, gdzie powiadomię radę o bolesnej i niepowetowanej stracie, a waść potwierdzisz wynik obdukcji.

32

Skinął na balwierza i obrócił się na pięcie.

- Hola! - wtrąciłem. - Nie tak szybko.

Udał, że dopiero teraz mnie spostrzegł.

- O, Ryx. Ki diabeł cię sam przywiódł?

- Też miło mi cię widzieć, Grocie.

Poznaliśmy się na studiach, dawno temu. Zanim nasze drogi się rozeszły, bo po wydziale artistarum ja wybrałem medycynę, a on prawo, zdążyliśmy serdecznie się znieubić. Grot od zawsze lubił rządzić. Na akademii otoczył się zgają akolitów i terroryzował innych scholarów. Byłem jedynym, który się go nie bał i nie dał mu się podporządkować, i za to mnie znienawidził. Potem doszła jeszcze sprawa Bractwa Trójcy i podpalenia kacerskiego Brogu, która poróżniła nas ostatecznie. Odziedziczone bogactwo umożliwiło mu po studiach szybką karierę, niedostateczną wszak jak na jego wielkie ambicje. Od kilku lat należał do dwudzie-stoczteroosobowej rady, ale nigdy nie dostał nominacji do ósemki rządzącej miastem w danym roku, co nie poprawiło mu i bez tego nieprzyjemnego charakteru. Widocznie teraz, gdy z chwilą śmierci Czczotki zwolniło się miejsce w radzie urzędującej, dostrzegł swoją szansę. Tylko skąd tak prędko się o tym dowiedział?

- Gadaj, co tu robisz? On cię wezwał? - Z groźnym marsem na czole wskazał palcem hutmana, który skurczył się pod srogim spojrzeniem.
- To małe miasto i wieści szybko się rozchodzą - odparłem. -Twoja obecność jest tego najlepszym dowodem. Powinieneś bardziej dbać o zdrowie. Wierz mi: po dobrym śniadaniu widok nieboszczyka zazwyczaj źle wpływa na trawienie...
- Jeszcze nic nie jadłem - przerwał mi, uśmiechając się krzywo.
- Na czczo działa jeszcze gorzej. Zwłaszcza gdy chodzi o ofiarę zbrodni.
- O czym ty gadasz? - Czoło mu spochmurniało ze złości.
- Ano, gdybyś nie przerywał hutmanowi, dowiedziałbyś się, że ktoś pomógł Czeczotce opuścić ten padół.

Z nas wszystkich chyba Trojan wyglądał na najbardziej zaskoczonego moim oświadczeniem, ale ponieważ w gruncie rzeczy chyba się tego spodziewał, szybko usunął z oblicza wyraz zdumienia.

33

- Na jakiej podstawie tak twierdzicie, doktorze Hiropoński? -mimowolnie zaciekawiał się chirurg.
- Na takiej, mistrzu Jędrzejkiewicz. Widzicie te cztery ciemne plamy?

Pokazałem mu siniaki na szyi i obojczykach topielca. Grot, Szar-ski i Trojan także się przybliżyli.

- Tak - odparł. - I co z tego?

Założyłem, że potrafi dodać dwa do dwóch, ale najwidoczniej go przeszacowałem. Grot natomiast świetnie wiedział, do czego zmierzam. Poznałem to po złym spojrzeniu, które mi rzucił. Westchnąłem i zacząłem jeszcze raz.

- Kiedy umarł, według waści?

Balwierz spróbował ruszyć trupa, który ani drgnął.

- Rigor mortis daleko posunięty...
- Zgadza się. Zmarły jest sztywny jak deska. Skoro zaś całkowite stężenie mięśni następuje zazwyczaj mniej więcej po siedmiu-ośmiu godzinach, czasem wcześniej, a nie ma jeszcze ósmej rano, to znaczy...
- Że umarł około północy! - zawołał cyrulik z błyskiem w oku.

- Brawo - pogratulowałem mu błyskotliwości. - Tak jest. Łatwo zauważylibyście odciski kciuków, dwie czarne plamy na karku nieboszczyka, gdyby nie był taki sztywny i dałoby się przygiąć mu szyję. Zobaczmy je, gdy wyniosą ciało.

- Przebóg! Udużono go... - wybąkał Jędrzejkiewicz, przełykając ślinę.

Grot przygryzł wargę.

- Bzdura! - warknął.

- Masz rację - przyznałem, czym nie tylko jego wprawiłem w konsternację. - Nie został udużony. Utopiono go, wciskając mu głowę pod wodę. O! Spójrzcie tu...

Pokazałem im następne siniaki na nadgarstkach.

- Morderców było dwóch. Jeden wpychał go pod wodę, drugi przytrzymywał ręce, żeby nie mógł się wyrwać. Kopał nogami, dlatego tak dużo tu rozlanej dookoła wody, ale nic mu to nie pomogło.

- Spekulacje! - Grot nie dawał za wygraną.

- Bynajmniej. Każdy medyk, nawet początkujący, powie ci, że z chwilą śmierci krew zaczyna odpływać z górnych partii ciała w dół.

34

Na pozbawionym juchy ciele nie porobiłyby się odciski, ergo musiały nastąpić jeszcze za życia. Wtedy, kiedy go mordowano.

- To prawda - poparł mnie cyrulik, po czym zaraz umilkł pod ciężkim spojrzeniem Grota.

- Skąd wiesz, że to byli mordercy, a nie morderczynie? - dociekał ów. - Na przykład dziewczki, które zatrudniał i być może dał im się we znaki. Wiemy, jaki był na nie łasy. Żadnej nie przepuścił.

- Niewiasty nie dałyby mu rady - zaprotestowałem. - Zresztą popatrzcie...

Położyłem dłonie tak, że kciuki dotykały karku trupa, a pozostałe palce spoczywały na obojczykach, ale nie pokrywały się z odciskami.

- Widzicie? Przynajmniej jeden z morderców miał łapska większe od każdego z nas. Nie znam dziewczki o takim rozstawie palców. Zamiast dłoni musiałyby mieć łopaty chlebowe.

Nareszcie odezwał się hutman:

- Burmistrz Tłokiński nie dopuściłby do siebie obcych mężczyzn, i to biorąc o północy kąpiel nagi jak go Bóg stworzył. Nie był sodomitą. Przynajmniej tyle dobrego można o nim powiedzieć.

- A jednak zaskoczyli go. Ciekawe jak... - myślałem na głos.

Od pewnego czasu przyglądałem się owłosionym jak u małpy

rękom nieboszczyka. Jedną było kurczowo zaciśniętą na krawędzi wanny, jakby próbował wydostać się z wody. Drugą dłoń, zwiniętą w kułak, zwisała poza krawędź. Uklęknąłem i sięgnąłem do kieszeni po speculum lapideum. Pozostali patrzyli jak urzeczeni, kiedy spomiędzy zaciśniętych palców wydobyłem dwa długie jasne włosy, które im zademonstrowałem, mówiąc:

- Wyrwał je jednemu z zabójców.

- A jednak pomyliłeś się, mądralo - powiedział z satysfakcją Grot. - To były dziewczki, i do tego białowłose.

- Czyżby? Mistrzu Jędrzejkiewicz, powiedzcie imć rajcy, czego brak tym włosom.

Podąłem mu włosy i szkło powiększające, które wziął nieufnie, a gdy przyłożył do niego oko, wydał okrzyk.

- Niesłychane! Wszystko widać o wiele wyraźniej...

- Do rzeczy - ponagliłem go.

- Te włosy nie mają cebulek.

- Tak jest. A o czym to świadczy?

35

T

Na pozbawionym juchy ciele nie porobiłyby się odciski, ergo musiały nastąpić jeszcze za życia. Wtedy, kiedy go mordowano.

- To prawda - poparł mnie cyrulik, po czym zaraz umilkł pod ciężkim spojrzeniem Grota.

- Skąd wiesz, że to byli mordercy, a nie morderczynie? - dociekał ów. - Na przykład dziewczki, które zatrudniał i być może dał im się we znaki. Wiemy, jaki był na nie łasy. Żadnej nie przepuścił.

- Niewiasty nie dałyby mu rady - zaprotestowałem. - Zresztą popatrzcie...

Położyłem dłonie tak, że kciuki dotykały karku trupa, a pozostałe palce spoczywały na obojczykach, ale nie pokrywały się z odciskami.

- Widzicie? Przynajmniej jeden z morderców miał łapska większe od każdego z nas. Nie znam dziewczki o takim rozstawie palców. Zamiast dłoni musiałyby mieć łopaty chlebowe.

Nareszcie odezwał się hutman:

- Burmistrz Tłokiński nie dopuściłby do siebie obcych mężczyzn, i to biorąc o północy kąpiel nagi jak go Bóg stworzył. Nie był sodomitą. Przynajmniej tyle dobrego można o nim powiedzieć.

- A jednak zaskoczyli go. Ciekawe jak... - myślałem na głos.

Od pewnego czasu przyglądałem się owłosionym jak u małpy

rękom nieboszczyka. Jedną było kurczowo zaciśniętą na krawędzi wanny, jakby próbował wydostać się z wody. Drugą dłoń, zwiniętą w kułak, zwisała poza krawędź. Uklęknąłem i sięgnąłem do kieszeni po speculum lapideum. Pozostali patrzyli jak urzeczeni, kiedy spomiędzy zaciśniętych palców wydobyłem dwa długie jasne włosy, które im zademonstrowałem, mówiąc:

- Wyrwał je jednemu z zabójców.

- A jednak pomyliłeś się, mądralo - powiedział z satysfakcją Grot. - To były dziewczki, i do tego białowłose.

- Czyżby? Mistrzu Jędrzejkiewicz, powiedzcie imć rajcy, czego brak tym włosom.

Podąłem mu włosy i szkło powiększające, które wziął nieufnie, a gdy przyłożył do niego oko, wydał okrzyk.

- Niesłychane! Wszystko widać o wiele wyraźniej...

- Do rzeczy - ponagliłem go.

- Te włosy nie mają cebulek.

- Tak jest. A o czym to świadczy?

35

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami i zwrócił mi przyrząd.

- Ja chyba pojmuje - powiedział Szarski.

Podszedł do kąta i podniósł jakiś mokry kłęb, który tam leżał, najwidoczniej spłynąwszy z wodą wychlapaną z wanny.

- O to chodziło? - Uniósł w górę zdobycz, która okazała się całkiem kunsztowną peruką.

Skinąłem głową.

- Wiemy już, jak Czeczotka dał się zaskoczyć. W jego oczach widzę początki zaćmy. Słabo widział, a ktoś o tym wiedział.

Peruka nie była marną namiastką z lnu, jakimi posługiwałem się czasem podczas inwestygacji. Choć Czeczotka widział nie najlepiej, zabójcy woleli nie ryzykować. A to mogło świadczyć o tym, że morderstwo burmistrza było starannie i odpowiednio wcześniej

przygotowane. I przemyślane. Ergo stał za tym ktoś z głową na karku. Miałem już nawet podejrzanego. Wołałem jednak nie zdradzać się na razie z tą myślą.

- Ale jak zabójcy dostali się do domu? Kto ich wpuścił? - dociekał Trojan.
- Oto jest pytanie - odparłem, uważając, że kluczowa jest jednak inna kwestia: kto ich przysłał? - Chyba pora przesłuchać służbę, hutmanie.
- Słusznie - odrzekł skwapliwie, rad, że nareszcie będzie miał coś konkretnego do roboty.
- Nic tu po nas - oznajmił Grot. - Idziemy, mości Jędrzejkie-wicz.

Cyrulik kiwnął nam na pożegnanie, Grot nie bawił się w żadne uprzejmości. Mijając mnie, przystanął na moment i syknął mi do ucha tak cicho, by nikt inny tego nie usłyszał:

- Nie stawaj mi na drodze, Kacper, bo cię zdepczę jak robaka.
- Melius non tangere, clamoK Lepiej wzuć boty z grubą podeszwą, kiedy będziesz mnie deptał - poradziłem mu. - Żebyś się nie skaleczył.
- Uważaj na niego, Kacper - ostrzegł mnie Trojan po ich wyjściu. -Chodzą słuchy, że Grot przepuścił majątek po ojcu na zachcianki, a resztę pieniędzy utopił w urabianie wojewody, by ów wybrał go

1 Melius non tangere, clamo (łac., Horacy) - zapowiadam: lepiej mnie nie tykać.

36

* kr

do rady urzędującej, gdyż tylko tak mógłby odrobić straty. Jednak jego starania spełzły na niczym i dlatego jest teraz splukany, a zarazem zdesperowany i niebezpieczny niby podrażniony żmij. - Rozejrzał się, czy w pobliżu nie ma nikogo, i dodał: - Wcałe by mnie nie zdziwiło, gdyby maczał palce w zabójstwie Czeczotki.

Mnie też, ale mu tego nie rzekłem.

- Odniosłem wrażenie - powiedziałem jedynie - że przyszli tu z gotową teorią na temat śmierci tego starego łotra.
- Owszem - odparł. - Zastanawiające, że już o niej wiedzieli, chociaż moi ludzie nikogo nie wypuszczali z domu. A przy okazji Grot, być może piekąc dwie pieczenie na jednym ogniu, chciał mnie ukrzyżować. Obojętnie co bym orzekł, zwyczajne utopienie przez zachłyśnięcie czy udar, z pomocą Jędrzejkiewicza zadałby mi kłam i oskarżył o niekompetencję. Pomieszalesz mu szyki. Nie mam pewności, czy to on naciska na radę, by mnie zwolniła, ale to prawdopodobne. Acz nie pamiętam, bym mu kiedykolwiek nadepnął na odcisk, więc może jestem po prostu przewrażliwiony.

- To może być on, zawsze był łotrem. Dobrze go znam i nie lękam się. - Nie bałem się Grota, lecz i nie lekceważyłem. Teraz miałem o wiele więcej do stracenia niż dawniej: własną rodzinę. -Ale jeżeli to Grot zagiął na was parol, będzie próbował do skutku, hutmanie. Pod jednym względem jest taki jak ja: nigdy nie daje za wygraną, jeśli sobie coś postanowił.

- Wiem, lecz i tak dziękuję ci, Kacprze.

- Zawsze do usług. A teraz bierzmy się do indagacji.

Przesłuchanie przeciągnęło się do południa. Tylko dlatego tak

krótko, że ograniczyliśmy się do służby obsługującej łaźnię, a nie całej czeladzi domowej. Publiczna łaźnia, najpopularniejsza w mieście, zajmowała przyziemie obszernej kamienicy. Czeczotka, który mieszkał na piętrze, podejmował w niej wielu ważnych ludzi, zarówno mieszczan, jak szlachtę z zamku, przedstawicieli kurii nie wyłączając. Zapewniał im usługi najładniejszych dziewczek, a w zamian mógł liczyć na ich pomoc i poparcie w swych rozlicznych interesach i matactwach, a także ochronę przed wymiarem sprawiedliwości.

Ostatnie widziały zmarłego dwie łaźiebne, które przygotowywały mu kąpiel. Było to po jedenastej, ale przed północą.

37

i

- I co jeszcze mu zrobiłyście oprócz nagrzania wody? - dociekał Trojan.

- Nic, panie. My nie z tych - obruszyła się starsza. - Zresztą przyszły te nowe i nas przepędziły.

- Jakie nowe?

- Takie dwie postawne białe, z wielkimi cyckami. Nie widziałyśmy ich wcześniej.

Byłem skłonny jej uwierzyć, bo obie najlepsze lata miały za sobą, a chyba nigdy do najurodziwszych nie należały. Może miały inne zalety, ale Czeczotka, o czym wszyscy wiedzieli, gustował w nastołkach, a jeśli już w dojrzałych, to koniecznie dużych i piersiastych. Prowadzący łaźnię stary łaźiebnik potwierdził ich słowa.

- To prawda. Niedługo przed północą Praszka kazał mi iść spać i nie zamykać drzwi.

- Praszka? - zdziwiłem się.

- Tak. Praszka zwany Siekierą, majordomus i famulus do ekstra-ordynaryjnych poruczeń.

- Przecież Praszka nie żyje od lat - zaprotestowałem, bo sam się do tego przyczyniłem.

- Tamten tak, ale niedawno pan znalazł, czy też ktoś mu podsunął, człeka podobnego kropka w kropkę do tamtego, do którego był nadzwyczajnie przywiązany. - W głosie

łaziebnika nie pobrzmiwał nawet cień sympatii dla famulusa. - To on wyszukiwał coraz osobliwsze dziewczki naszemu panu, niech mu ziemia lekką będzie...

- Na przykład jakie? - zaciekawiał się hutman.

- Garbate. Karlice. Olbrzymki. Albo z trzema piersiami. Albo włochate jak niedźwiedzie. - Splunął ukradkiem. - Nie żebym je widział. Słyszałem tylko pogłoski.

Zatem hutman zażyczył sobie widzenia z Praszką, aby zaczerpnąć wiedzy u źródła. Ale to nie okazało się takie proste. Albowiem nowy Praszka vel Siekiera zniknął. Nikt go nie widział od wczoraj. Pewne światło na tę tajemniczą sprawę rzucił Matusz Szarski, który kręcił się po domu i sąsiedztwie, gdy my zajmowaliśmy się indagacją.

- Rozmawiałem z sąsiadem Czczotki. To Włoch. Twój imiennik. Gasparo Trusardi czy jakoś tak.

- Toście się nagadali do syta - zakpiłem, bo jakoś przegapiłem Matysowe studiowanie włoszczyzny.

38

- He, he, he. Bardzo śmieszne. Ten Thisardi mówi po naszemu równie dobrze jak ty, tylko się tak nie złośliwi - odpalił.

- Znam tego Włocha - wtrącił Trojan. - Żarli się z Czczotką na potęgę. Kiedyś burmistrz w czymś mu zawinił, on zaś z zemsty przebił się przez mur dzielący ich domy i podrzucił mu swoje nieczystości.

Niespecjalnie mnie to dziwiło. Nie znałem nikogo, z kim Czczotka nie miałby na pieńku. Oszwabił nawet budowniczego swojej kamienicy, znanego muratora Słońskiego zwanego Słoninką, przez co z przyjaciół zostali największymi wrogami. Wylanie gówien było niegorszym wyrównaniem rachunków, a przynajmniej dobrą zaliczką.

- No i co ci rzekł ten Włoch? - spytałem.

- Że widział po północy trzy osoby wymykające się z domu burmistrza. Licho wie, co sam robił na nogach po nocy, może obmyślał następnego psikusa?

- Ad rem - ponaglił go hutman.

- Dwóch nie rozpoznał, wyglądały z grubsza na niewiasty, ale nie jest pewny, bo coś było z nimi nie tak... Trzecia zaś to był, uważajcie, Praszka zwany Siekierą! No i czy rozumiecie coś z tego? Nieboszczyk ożył? Przecież dawno temu sami go złapaliśmy, a potem wszyscy widzieliśmy trupa... - Obrzucił nas zbaraniałym spojrzeniem.

- Później ci to wyjaśnię - obiecał mu TYoan.

I na tym zakończyła się inwestygacja. Po rozstaniu z justy-cjariuszami zrobiłem to, czemu oddawałem się, odkąd Janka zmusiła mnie do porzucenia profesji inwestygatora, a potem i tak

odsunęła od łoża. Poszedłem się napić do najbliższego szynku. *Vino pellite curas*². Zawsze wybierałem podłe spelunki, gdzie nikt mnie nie znał, i nigdy się nie upijałem za dnia. Nadrabiałem to nocami, wynosząc w tym celu z szynku flaszkę trunku. Z no-wotku było to wino, lecz ostatnio przerzuciłem się na gorzałkę. Wmawiałem sobie, że to jeszcze nie oźralstwo. Jednak tylko się oszukiwałem. Przekonałem się o tym, gdy pewnego razu zapomniałem kupić gorzałki i chciało mi się w nocy wyć i chodzić

1 Zdarzenie to potwierdzają źródła historyczne.

2 *Vino pellite curas* (lac.) - winem rozpraszaście troski.

39

po ścianach. Kiedy wróciłem do domu, tylko jedna osoba powitała mnie ciepło.

- Tata! - zawołał Kacper junior i wrywając się Jance, rzucił się w moje rozpostarte ramiona.

Miał ponad dwa lata i jeszcze dość ubogie, a przy tym w większości swoiste słownictwo, ale dogadywaliśmy się doskonale. Posadziłem go na kolanie i opowiedziałem mu oględnie o tym, co zdarzyło się w domu burmistrza. Co jakiś czas przerywał mi jakimś okrzykiem, ale ogólnie słuchał z wielką uwagą i widoczną przyjemnością. Zazwyczaj nie krytykował moich posunięć i domysłów i nie wrywał się z własnymi koncepcjami, dlatego lubiłem tę naszą wymianę poglądów. Kiedy skończyłem, zeskoczył z mojego kolana i pobiegł do matki, gadając w swojej mowie jak najęty.

- Jak możesz opowiadać dziecku o takich okropnościach? -zbeształa mnie Janka, z trudem wszak utrzymując powagę.

- Przecież podobało mu się. - Broniłem się, a chłopiec potaknął: - Da, da.

- Pobawimy się pistoletami? - zaproponowałem, bo to oprócz opowieści lubił najbardziej; od urodzenia miał po mnie smykałkę do broni.

- Ani mowy! - Zmarszczyła brwi i nos. - Znowu piłeś!

- Tylko jeden kusztyczek...

- Pójdź, Kacperku, pora na drzemkę. - Poczęstowawszy mnie piorunującym spojrzeniem, stanowczo wzięła dziecko na ręce i skierowała się do ich wspólnej sypialni, do której wstęp miałem z rzadka i z laski.

Musiałem jednak przyznać, że z roli matki wywiązywała się nadzwyczajnie. Rzadko wyręczała się mamką czy piastunką i poświęcała małemu naprawdę dużo czasu. O niebo więcej niż mnie, niestety.

- Spóźniłeś się na śniadanie - burknęła przed wyjściem; z jej wcześniejszego rozbawienia nie została nawet ćwiartka połowy wspomnienia po cieniu. - Odgrzej sobie sam,

chyba że dogadasz się z kucharką. Porozmawiamy wieczorem. - To ostatnie zdanie zabrzmiało jak pogrożka.

Malec pomachał mi na pożegnanie. Odmachnąłem, po czym westchnąłem i ruszyłem na poszukiwanie czegoś jadalnego. Zatrudnialiśmy pięć osób, wszystko niewiasty oprócz męża jednej

40

z nich, Ignaca, który dbał o ogród, a w wolnych chwilach mi usługiwał, mając jednak szczególny dar znikania akurat wtedy, gdy go naprawdę potrzebowałem. Wszyscy zaś słuchali przede wszystkim Janki, a mnie woleli schodzić z drogi, choć nie byłem przecież żadnym domowym tyranem. Skończyło się zatem jak zazwyczaj w takich sytuacjach - nie znalazłszy nikogo w zasięgu wzroku, sam przygotowałem sobie posiłek.

Potem, jak co dzień, poszedłem na obchód swoich stałych pacjentów. Po powrocie przeczytałem trochę w gabinecie i domowej bibliotece zarazem, pobawiłem się z Kacprem juniorem w naszej wielkiej bawialni i w ogrodzie, po czym zasiedliśmy do wspólnej wieczerzy w jadalni. Przy posiłku gadał głównie chłopczyk. Zanim poszedł spać, opowiedziałem mu jedną ze starych spraw - jak ujęliśmy pierwszego Praszkę-Siekierę, oskarżonego o mordowanie nierządnic i jak zbrodniarz nie doczekał procesu - znaleziono go w więzieniu obdartego ze skóry. Była to zemsta Czczotki na zaufanym słudze, który go zawiódł i okrył niesławą. Maluch słuchał z wielkim zainteresowaniem, a gdy usnął, odniosłem go do sypialni Janki, gdzie miał własne łóżeczko, przy którym jedna ze służek dorywczo pełniła funkcję niani.

- Dlaczego to robisz? - spytała Janka.
- Co?
- Opowiadasz dziecku te straszne historie. Na szczęście nic z tego nie rozumie.
- Właśnie dlatego. Nic nie rozumie, ale lubi słuchać. Myślę, że czuje wówczas, iż jest traktowany z powagą, i podoba mu się to.
- A co mu będziesz opowiadał, gdy podrośnie?
- Baśnie, podania i takie tam.
- Na przykład o rycerzu Szafrąncu?

Był to raubritter z Pieskowej Skały, który w czasach króla Kazimierza syna Jagiełły grasował na gościńcu i mordował kupców, za co dał głowę pod Wawelem. Jego bezgłowy trup, pochowany u Dominikanów, co noc jakoby wstawał z grobu i krążył po ulicach Krakowa, o czym bąbał prosty lud.

- Zwłaszcza tę. I tę o dwóch braciach budowniczych fary Mariackiej.

Znana bajda głosiła, że wieże kościoła Mariackiego są nierównej wysokości, bo zazdrosny brat zabił tego, któremu budowa szła

41

*

bardziej szparko, po czym pchnął się nożem. Nóż ów na wieczną pamiątkę i ostrzeżenie zawisł u krzyża Sukiennic¹, choć tak po prawdzie to był oznaką, że w myśl prawa majdeburskiego nasze miasto miało przywilej karania zbrodniarzy na gardle.

- Żartujesz... - Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

- Owszem.

Odetchnęła z ulgą. Co to ostatnio porobiło się z jej poczuciem humoru?

- A więc Czeczotce zmarło się nareszcie? - spytała od niechcienia.

- Z czyjąś pomocą. Na miejscu zbrodni błyskawicznie zjawił się Grot. Nie zdziwiłbym się, gdyby maczał w tym palce.

- Dlaczego?

- Od dawna czekał, żeby zwolniło się miejsce w radzie urzędującej. Być może miał dość czekania i postanowił przyspieszyć wypadki.

- A ty oczywiście musiałeś mu dać do zrozumienia, że go podejrzewasz.

- Sam się domyślił.

- Czy ty zawsze musisz się w coś wplątać? Grot wiele znaczy w mieście, może nam mocno zaszkodzić. A prosiłam, żebyś dał sobie z tym spokój. Myślisz, że jest mi łatwo siedzieć w domu i czekać, aż wrócisz i czy wrócisz, czy też cię przyniosą? Ciężko rannego, jak ostatnim razem, albo... albo...

Zanim odwróciła głowę, zdążyłem zobaczyć w jej oczach łzy. Podeszedłem i objąłem ją. No i zupełnie niespodziewanie stało się to, co ostatnio zdarzało nam się coraz rzadziej.

Wylądowaliśmy w łóżku. Ale jak na złość właśnie wtedy ktoś ją szarpać za klekot u wchodu. Chwilę później rozległo się pukanie i służka zawołała przez drzwi:

- Wielmożny panie! Jest tu sługa tego alchimisty z sąsiedztwa, Sędziwoja czy jak mu tam, i pilnie o widzenie prosi...

Niechętnie oderwałem usta od pięknie uformowanej i wciąż jędrnej piersi, i zawołałem:

- O co chodzi?

- Ktoś ich naszedł... Słudze ledwo udało się stamtąd wyrwać... Nie wiadomo, czy jego pan jeszcze żyw...

I I do dziś tam wisi (wielokrotnie wymieniany).

42

* w

- Diabli nadali! - westchnąłem, usiadłem na łóżku i ogarnąłem się. - Muszę iść...

Odwróciła się do mnie plecami i nie odezwała ani słowem. Tylko plecy drgały jej od tłumionego szlochu. Serce mi się krajało, nabrzmiała męskość wołała o dokończenie dzieła, byłem wściekły na siebie i cały świat, a zwłaszcza sąsiadów, którzy pozwalali na siebie napadać, ale co miałem zrobić?

- Już idę! - krzyknąłem i poszedłem.

Ignac, jak zwykle gdy mógłby się przydać, zawieruszył się gdzieś, zatem sam musiałem wziąć latarkę, bowiem zmierzch zapadł dawno temu. Na szczęście nie mieliśmy daleko. Mój najbliższy sąsiad Michał Sędziwój, rodem gdzieś spod Nowego Sącza, był podobno jedynym acz nieprawym synem szlachetnie urodzonego i dość majątnego Jakuba Sędzimira, po którym odziedziczył dwór na Garbarach¹. Zdaje się, że wpieryw zamierzał zostać jezuitą, ale rozmyślił się przed złożeniem ślubów i przez jakiś czas studiował filozofię i teologię na naszej akademii. Potem udał się gdzieś do Orientu zgłębiać sekrety wiedzy tajemnej, zaś wracając, zatrzymał się w Czechach, ożenił, owdowiał, zdobył laski cesarza Rudolfa II, stracił je i wrócił do kraju. Sporo jak na człeka jeszcze niestarego. Lecz to wszystko były wieści zasłyszane, z drugiej ręki, ponieważ poza wymianą zdawkowych pozdrowień nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy. Ani nas nie odwiedzał, ani nie zapraszał do siebie. W ogóle był postacią wielce tajemniczą, większość czasu spędzającą w podziemiach swego dość ponurego domu, gdzie ponoć miał ogromną pracownię alchemiczną. Wygadał się o tym mimochodem jego jedyny sługa, na oko z dziesięć lat młodszy od swego pana Jan Bodowski, który kiedyś przyszedł do nas, bym mu opatrzył rękę, ciężko poparzoną jakimś kwasem.

- Wiesz, kto na was napadł? - zapytałem go, gdyśmy szli szparkim krokiem, przyświecając sobie pod nogi, bo grunt był sam zdradliwy i należało trzymać się dróżki.

- Nie wiem, mieli na sobie długie opończe z kapturami.

- Ilu ich było?

- Trzech. Przynajmniej tylu weszło do domu. Od razu poszli na dół, do pracowni, jakby dobrze wiedzieli, gdzie szukać pana. Mnie

¹ Przy późniejszej ul. Loretańskiej, tam gdzie z końcem XVII w. stanął kościół i klasztor Kapucynów.

43

r

chyba zrazu nie spostrzegli, a potem wołałem nie czekać, aż mnie znajdą, wymknąłem się przez okno i co tchu pogałem po pomoc...

- Dobrześ zrobił - pochwaliłem go. - Nie domyślasz się, czego ci ludzie mogą chcieć od twego pana? - Nie odpowiedział od razu, stąd wyczułem, że coś ukrywa. - Śmiało - zachęciłem go. - Jestem lekarzem, umiem dochować sekretu.

- Zda mi się, że jakoweś tajemne bractwo chce, by mój pan do nich przystał, on zaś dotąd im odmawiał. Może stracili cierpliwość? Pierwej dostawał listy, niejedną raz - wykrztusił wreszcie.

- Z pogróżkami?

- Chyba tak... - odparł niepewnie. - Pan mi się nie opowiada, twierdząc, że to dla mojego dobra, zaś owe listy były pisane sekretnymi buksztabami...

Wahał się chwilę, po czym sięgnął w zanadrze i podał mi jakieś skrawki.

- Kiedy podrzucili, a nigdy nie udało nam się dostrzec posłańca, ostatni list, pan Sędziwój tak się zeźlił, że podarł pismo na strzępy i cisnął do ognia. Znalazłem potem kilka niedopalonych kęsków i zatrzymałem sobie. Ale nic się z nich nie uda wyrozumieć, wasza miłość sam się przekona...

Tymczasem doszliśmy na miejsce. Za życia starego Sędzimira folwark był dobrze zagospodarowany i tętnił życiem. Jego syn zwolnił robieńców i zapuścił majątek. Zardzewiała, na wpół otwarta brama smętnie zwisała na skorodowanych zawiasach, otaczający posesję mur ponędzniał i w dziennym świetle straszył liszajami odpadłego tynku, licznymi spękaniem, a nawet dziurami. Tli, gdzie ongi był zadbany ogród warzywny, teraz rozciągał się zagajnik, gęsto porośnięty dzikimi krzami i drzewami, między którymi wiła się ledwo widoczna ścieżyna, wiodąca do ukrytego w głębi dworu. Oddałem Janowi moją okutą laskę (rapiera nawet nie próbowałem zabierać; tak dawno go nie używałem, że pewnie zardzewiał i nie dałby się wyjąć z pochwy), zachowując sobie jedynie sztylet i latarkę, ponieważ Bodowski znał dobrze ten ogród, a ja nie.

- Ja pójdę główną ścieżką, ty znajdź sobie inną drogę. Spotkamy się przed domem - powiedziałem półgłosem.

Kiwnął głową i zanurzył się w ciemność. Szedłem wolno i ostrożnie, zasłaniając latarkę połą oponczy i starając się świecić nisko przy ziemi. Rękę ze światłem trzymałem daleko wyciągniętą w bok,

44

pamiętając, że przeciwnik zazwyczaj najpierw strzela w źródło światła i że jeśli trzech intruzów weszło do domu, to przynajmniej jeden został na zewnątrz na czatach. Kiedy zarośla zrzędy, zgasłem latarkę, bo uczyniło się jaśniej i już widziałem zarys domu. Choć nie znałem terenu, to nie ja nastąpiłem nieostrożnie na suchą gałąź, tylko nadchodzący z lewej strony Bodowski. Słyszając trzask, człowiek przed domem podskoczył nerwowo, dzięki czemu

mogłem go zlokalizować. Krzyknął coś w otwarte drzwi, z których po chwili wybiegła pozostała trójka i wszyscy razem popędzili za węgieł. A więc było ich czterech, nie trzech, w tym jeden prawy olbrzym. Obudzona tego dnia z uśpienia żyłka inwestygatora znów zagrała we mnie i wbrew rozsądkowi rzuciłem się w pogoń. Na oślep, po omacku, jak nowicjusz. Gdyby to byli profesjonaliści, przypłaciłbym to życiem. A tak prawie ująłem ostatniego z nich, którego ruchy wydały mi się jakby znajome. W ostatniej chwili, gdy już łapałem go za powiewającą połę, dała o sobie znać moja uszkodzona dawno temu noga, nagle odmawiając mi posłuszeństwa. W jednej chwili zwałem się na ziemię, zaś tamten zaklął, szarpnął i wyrwał mi się. W marnym świetle księżycy mogłem tylko bezsilnie patrzeć, jak cała czwórka przełazi przez wyrwę w murze i znika mi z oczu.

Skrzesalem ogień, zapaliłem upuszczoną i zgasłą latarkę, i wróciłem do domu.

- Janie! - zawołałem, znalazłszy się w ciemnej sieni.
- Sam tu bywaj! - doszło mnie z dołu.

Odnalazłem schody i zszedłem do loszku. Dobrze okute drzwi prowadzące do sklepów stały otworem. Przekroczyłem próg pracowni alchemicznej. Ostatni raz widziałem podobną prawie dwadzieścia lat temu, kiedy bezskutecznie usiłowałem ocalić maga Twardowskiego przed nasłanym nań przez Mniszchów mordercem Kettlerem. Ale ta była o wiele większa i lepiej wyposażona. Tylko że wszystkie retorty, alembiki, flaszki, kociołki, mieszki i miechy oraz substancje używane do eksperymentów tworzyły jeden bezładny stos na środku pomieszczenia. Ktoś zadał sobie wiele trudu, demolując pracownię. W świetle dogasającego w piecu alchemicznym ognia najpierw ujrzałem klęczącego Bodowskiego, a potem leżącą postać, którą zasłaniał. Podszedłem bliżej, omijając rozbite szkło i jakiś rozlany, parujący z sykiem płyn. Michał Sędziwój

45

■

spoczywał na wznak z rozkrzyżowanymi ramionami. Ręce miał związane w nadgarstkach i przytwierdzone do wbitych w gliniane klepisko kołków, nogi skrępowane jedna z drugą i społem umocowane do trzeciego kołka. Całą postać otaczały jakieś linie wyrysowane kredą.

- Nie żyje? - spytał Bodowski, unosząc w górę zapłakaną twarz.
- Skąd mam wiedzieć? - odparłem i przyklęknąłem przy alchemiku.

Dotknąłem tętnicy szyjnej. Wyczułem puls. Dobra nasza. Delikatnie obmacałem czaszkę. Cała. Odetchnąłem z ulgą. Z boku wyczułem jednak guza i poczułem lepkość pod palcami. Krew. Musiałem go urazić, bo jęknął i drgnęły mu zamknięte powieki.

- Żyje - uspokoiłem sługę. - Ogłuszony, ale niedługo powinien się ocknąć.

Rozciąłem więzy i wspólnymi siłami przetoczyliśmy nieprzytomnego na bok.

- Co to jest? - Bodowski wytrzeszczył oczy na widok rysunku, który teraz odsłonił się w całej okazałości.

Sędziwoja rozkrzyżowano na obrysie krzyża złożonego z sześciu kwadratów. W środkowy coś wrysowano, chyba koło, ale nie miałem pewności. Zarys był mocno rozmazany, ponieważ w tym miejscu spoczywały barki rannego.

- Ty mi powiedz - odparłem.

- Kiedy widzę to pierwszy raz... Wcześniej tu tego nie było... Wiem, że czarnoksiężnicy rysują różne figury, kiedy przyzywają duchy albo diabła... - Przeżegnał się. - Mój pan nie para się czarną magią.

- Jesteś pewny?

- Tak - odrzekł z przekonaniem.

- Zatem to dzieło napastników.

Obmaciałem napadniętego. Na szczęście nie miał na ciele żadnej innej rany. Wysłałem Bodowskiego do kuchni po czyste płótno i przegotowaną wodę. Czekaając na niego, obejrzałem sobie dokładnie całą pracownię, ale nic ciekawego już nie znalazłem, chociaż prawie wszystko tu było dla mnie nowe. Zresztą zupełnie nie znałem się na alchemii i nie rozpoznałbym kamienia filozoficznego, nawet gdybym się o niego potknął. Płynów i proszków wolałem nie tykać z obawy, by nie odpadł mi palec. Moje ciało

46

i bez tego nosiło wystarczająco dużo blizn i uszczerbków. Nie miałem do zbycia ani kęska. Kiedy sługa wrócił, obmyłem alchemikowi ranę i obwiązałem głowę. Współ z Bodowskim zatasz-czyliśmy go do sypialni na górze. W trakcie składania na łożu odzyskał przytomność.

- Gdzie jestem? - zapytał, mrugając oczyma.

- U siebie. - Zatoczyłem ręką krąg po komnacie, w której Bodowski właśnie zapalał świece w lichtarzach, przy okazji konstatuując, że izba nie została ogołocona z cenniejszych sprzętów.

Od początku nie patrzyło mi to na napad rabunkowy, zresztą napastnicy niczego większego ze sobą nie zabrali, uciekając, a ponieważ na wynajętych zabójców także nie wyglądali, ergo musiało im chodzić o coś zgoła innego.

Sędziwój złapał się za głowę, jęknął i usiadł. Teraz mogłem mu się lepiej przyjrzeć. Miał około trzydziestu lat, pociągłą myślącą twarz z wysokim czołem znamionującym początki łysiny, z sarmackim wąsem i niewielką brodą.

- Co się stało?

- Nie wiesz waść? - zdziwiłem się. - Napadnięto cię. Było ich czterech, wszyscy zakapturzeni. Twemu słudze udało się niepostrzeżenie umknąć i przybiec do mnie po pomoc. Wesołek spłoszyliśmy intruzów.

- Wielki dank.

- Nie ma za co. Czy przyjrzałeś się waszmość któremuś z tamtych, potrafiłbyś rozpoznać choć jednego?

- Nie - odparł bez namysłu. - Pamiętam tylko, jak otworzyłem drzwi od pracowni, a potem już nic. Ciemność. Zdzielili mnie czymś w głowę?

- Owszem. Może mają do waści jakąś anse? Może im się czymś naraziłeś? Daruj szcerość, lecz akurat ci magowie i alchemiści, z którymi miałem dotąd styczność, okazali się frantami.

Wyczułem, że nie był ze mną szczery, i nie widziałem powodu, by go oszczędzać. Dotknęło go to, poznałem po rumieńcu, który wrócił mu na lico, i zaciśniętych szczękach.

- Widzę, że należysz do niedowiarków, mości Turopoński - wycedził przez zęby.

- Wierzę w to, co widzę, oraz w wiedzę zdobytą z ksiąg, swój rozum i doświadczenie. I w Boga.

47

- To zupełnie jak ja, zapewniam cię. Słyszałem o tobie. Nazywają cię poszukiwaczem prawdy, a ty sam siebie inwestygatorem. Inwestygacja zaś to nic innego jak badanie, ergo jesteśmy do siebie podobni. Ja robię to samo na polu scjencji, co ty w dziedzinie crimen. Też dążę do prawdy. Do absolutu. Do jedności z Bogiem. Głęboko wierzę, że z Jego pomocą dokonam Wielkiego Dzieła: znajdę w końcu substancję, która uleczy wszelkie choroby, da ludziom szczęście i wieczną młodość. Jestem za to gotów oddać własne życie. Spójrz - pokazał mi zapisane gęsto karty, porzucane po całej izbie, jakby ktoś czegoś w nich szukał. - To dzieło mojego życia. Do jego ukończenia jeszcze daleko. Jestem na początku drogi, ale już odkryłem coś ważnego. Zastanawiałeś się kiedyś, dzięki czemu żyjemy? Nie? A ja owszem. I oto doszedłem do wniosku, że jest w powietrzu ukryty pokarm życia¹, dzięki któremu możemy oddychać!

- Interesujące - mruknąłem, podnosząc kartę tytułową przyszłego dzieła, wdeptaną przez czyjś obcas w klepisko, i przeczytałem na głos: - Novum Lumen Chymicum². Autor: Divi Leschi genus amo³, inaczej Angelus doce mihi ius⁴.

- To anagramy zawierające wszystkie buksztaby mego łacińskiego imienia i nazwiska: Michael Sendivogius. Ale wróćmy do rzeczy. Badacze natury winni być tacy, jaka jest sama natura: rzetelni, prości, cierpliwi, wytrwali et cetera, i co najważniejsze, nabożni, Boga się bojący, bliźniemu nieszkodzący⁵. Być może w moim fachu zdarzają się franty, nie przeczę, lecz ja do nich nie należę. Nie mam nic wspólnego z czarną magią, gardzę nią i tymi, którzy się tym procederem parają. Wierzaj mi.

Uwierzyłem, bo mówił z żarem i niewątpliwie prosto z serca. Znałem się na tym i wiedziałem, kiedy kto próbował zamydlić mi oczy. Byłem wszak pewien, że nadal wiele przede mną ukrywał.

- Potrafisz wyjaśnić, dlaczego rozpostarto cię na rysunku osobliwego krzyża?

' Dzięki temu spostrzeżeniu Sędziwój uchodzi za pierwszego, który domyślał się istnienia tlenu w powietrzu.

2 Novum Lumen Chymicum [Nowe światło chemiczne], wydane w Pradze (a równocześnie chyba także w Krakowie i Frankfurcie) w 1604 r.

3 Leschi genus amo (lac.) - kocham ród boskiego Lecha.

4 Angelus doce mihi ius (lac.) - Aniele, naucz mnie prawa.

'5 Zdanie wyjęte dosłownie z Novum Lumen Chymicum Sędziwoja.

48

- A tak było? - Zrobił zdziwioną minę. - Nie mam pojęcia.

- I nie dostawałeś wcześniej listów z pogrozkami zapisanymi per ciffras? - iym razem nawet nie usiłowałem ukrywać szyderstwa w głosie.

Rzucił Bodowskiemu pełne wyrzutu spojrzenie.

- Dostawałem. Ale to nie było nic poważnego. Takie żarty.

- Czyje?

- Zapewne kolegów alchemistów. Tworzymy niezbyt miłującą się wzajem rodzinę, w której jeden zażrzy drugiemu.

- A pismo?

- Nie znaczyło nic, dziecinne bazgroły.

- Cóż, wygląda na to, że żadnego najścia także nie było. Wasze uderzyłeś się w głowę wypadkiem, a twój sługa i ja mieliśmy zwidy. Straciłem tylko czas i dorobiłem się bólu w lędźwiach. Żegnam.

Wstałem i zacząłem się zbierać do wyjścia. Nie miałem tu już nic do roboty.

- Ile ci jestem winien, mości Hiropoński? - słabym jeszcze głosem spytał Sędziwój.

- Nic - odparłem. - Potraktujmy to jako sąsiedzka przysługę, już ostatnią. Nie zwykłem fątygować się dla ludzi, którzy nie mówią mi całej prawdy, mości Sędziwoju.

Nikt nie próbował mnie zatrzymać. W domu nikt na mnie nie czekał. Wszyscy już spali. Drzwi do sypialni Janki były zamknięte na glucho. Golnąłem sobie solidny łyk okowity i

niemiłosiernie zmordowany wśliznąłem się do zimnej pościeli. Tak kończy się uszczęśliwianie bliźnich na siłę. Po tej sprawie zostało mi tylko kilka kęsów kartki zapisanej osobliwymi znakami, których nie potrafiłem odczytać, bo nie uwierzyłem Sędziwojowi, że nic nie znaczą. Rozłożyłem przed sobą na nocnym stoliku nadpalone i poszarpane skrawki i spróbowałem je do siebie dopasować. Po paru próbach udało mi się ułożyć taki napis:

49

Wciąż nic mi nie mówił ani z niczym się nie kojarzył, ale na wszelki wypadek starannie go skopiowałem i schowałem do kieszeni, a oryginalne fragmenty spaliłem. Chętnie też dowiedziałbym się czegoś

0 dziwnym krzyżu złożonym z sześciu kwadratów, ale nie mogłem się zajmować żmudną inwestygacją tylko dla własnej satysfakcji i zaspokojenia czezej ciekawości, a nie miałem się do kogo zwrócić o objaśnienia. Ojciec Roch z zakonu duchaków, człowiek o wielkim sercu

1 rozumie, który mnie znalazł na progu swego szpitala i wychował, człowiek, który wiedział wszystko, nie żył od dwóch lat. Wciąż nie mogłem do tego przywyknąć. Przyzwyczailem się zwracać do niego z każdą turbacją. Bardzo mi go brakowało. Bardziej nawet niż cio-teczki Balcerowej, która matkowała mi przez lata. W zeszłym roku odeszła do lepszego świata. Zostawili mnie oboje samego jak palec, jeśli nie liczyć Kacpra juniora i Janki, którą też z wolna traciłem.

Nie wiedziałem zatem, co znaczy osobliwy krzyż, ale już raz widziałem podobny. Nosił go pod kaftanem John Dee vel Jan Devus, krystalomanta i alchemista angielski, który w maju osiemdziesiątego piątego razem ze swym towarzyszem Edwardem Kelleyem wykonał, jak sam to określił, „akcję”, czyli wywołał ducha dla króla Stefana. Razem ze Stachnikiem Żółkiewskim podejrzewaliśmy frantostwo, albo i gorzej, gdyż w sprawę zamieszany był nadworny lekarz, doktor Simonius z Lukki. Król jednak zlekceważył nasze ostrzeżenia i zamiast wziąć magów na spytki, obdarował ich ośmiuset florenami i odprawił. Tenże doktor Simonius był przy królu, kiedy ów nagle zaniemógł i zaraz potem umarł, wedle niektórych - otruty. Cóż, ciężko mi o tym wyrokować, jako że nie było mnie przy tym, a król miał w nodze wilka, który z wolna go pożerał... Z drugiej strony ponoć w ostatnich chwilach trzęsła nim choroba świętego Wital alias kadukowa niemoc, więc... Co ciekawe, widziałem kiedyś starostę krzepickiego Mikołaja Wolskiego, jak opuszczał dom Sędziwoja. Zaś tegoż Wolskiego zdybałem ongiś konferującego z Devusem i Simoniusiem. Czy Sędziwoja coś z nimi łączyło? Czy to któryś z nich wywierał na niego forsę? Czego chciał? Niestety, musiałem zostawić te pytania bez odpowiedzi.

Czczotkę pochowano po trzech dniach. Do opinii publicznej przedostała się oficjalna wersja zgonu, skwapliwie rozpowszechniona

1 Epilepsja.

50

Wm

przez jego wrogów: cum mulieribus in balneis balneando. Biorąc zaś pod uwagę ogólną reputację Krwawego Burmistrza, trudno się dziwić, że na pogrzeb na cmentarzu Mariackim przybyły tłumy. Z kocią muzyką. Dzieci nie miał, druga żona (dla której zwolnił miejsce poprzez otrucie pierwszej) już nie żyła, więc z rodziny żegnali go tylko bratankowie, zresztą zupełnie przyjemni młodzieńcy. Widać się wyrodzili. Pochowano Małego Borgię jak psa, bo księża wszystkich wyznań zgodnie odmówili oddania mu ostatniej posługi. Jakie powitanie czekało nieboszczyka na tamtym świecie, wolałem nie myśleć. I nie zażrzałem mu.

Wieczorem tego samego dnia, grubo po ogłoszeniu ciszy nocnej, nocny ront znalazł nowego Praszkę alias Siekierę. Ale nie udało się go przesłuchać. Leżał twarzą w rynsztoku w zakazanym kurewskim zaułku opodal baszty Katowskiej. Dostał dwa ciosy nożem w plecy, oba śmiertelne. Tajemnicę, kto zlecił mu likwidację Czeczotki, zabrał ze sobą w rejony raczej niedostępne dla ziemskiej sprawiedliwości. Ani jego morderców, ani zabójców burmistrza (niewykluczone, że byli to jedni i ci sami) nigdy nie znaleziono. Być może zostali na tę robotę sprowadzeni z innego miasta. Takie rzeczy się zdarzały, zwłaszcza gdy ktoś wiedział, jak profesjonalnie się do tego zabrać. Grot, jeśli to on za tym stał, nie skorzystał na nagłym zgonie Czeczotki. Nie został dokooptowany do rady urzędującej. Jędrzej Tęczyński, wojewoda krakowski, po raz kolejny odmówił mu nominacji. Zamiast niego powołał Jana Waxmana, bogatego kupca miedzią, osiadłego niedawno w Krakowie Niemca z Norymbergi.

Z końcem lata Sędziwój z nieodstępny Bodowskim gdzieś wyjechali, potem wrócili na krótko, tylko po to, by sprzedać dom jakiemuś bogatemu kupcowi, któremu nie spieszyło się objąć go w posiadanie, więc niszczał, a ogród dziczał po staremu. Ale ogólnie lato upłynęło pod znakiem elekcji, którą emocjonował się cały kraj. Nie pojechaliśmy do Warszawy, choć zwłaszcza Janka miała na to wielką skomę, bo mały złapał złośliwe przeziębienie i baliśmy się zabierać go w długą podróż, a o pozostawieniu samego w domu pod opieką służby nie było mowy. W sierpniu stała się rzecz dotąd niesłychana - dubeltowy obiór! Najpierw następcą zmarłego przed niespełna rokiem Stefana Batorego ogłoszono królewicza szwedzkiego Zygmunta, Jagiellona po kądzieli. Za tym wyborem optowali zwolennicy kanclerza Zamojskiego, zwani kancelarianami,

51

9

zamojszczykami albo czarnymi lub żałobnikami, od czarnych sukien noszonych na znak żalu po zmarłym królu. Ale niezadowoleni z tej decyzji Maksymilianiści vel cezarianie, czyli popiecznicy arcy-księcia Maksymiliana Habsburga, głównie Zborowscy, ich krewni i powinowaci, trzy dni później przeprowadzili elekcję cesarskiego brata. Zaniósł się na wojnę domową.

O tym wszystkim na początku września opowiedział nam ze szczegółami mój najlepszy druh, świeżo upieczony wojewodzie ruski Stachnik Żółkiewski:

- Pomnisz, jakem wam pisał o wypadkach na lutowym sejmie konwokacyjnym?

Pamiętałem, zresztą opisał mi to detalicznie. Wpierw pachół Zborowskich omal nie ubił z rusznicy dworzanina królowej Hanny, kasztelana podlaskiego Marcina Leśniowolskiego, potem stary i zupełnie ślepy warchoł, piniacz i jurgieltnik zaprzędany Habsburgom, eksreferendarz Stanisław Sędziwój Czarnkowski, wymachując kosturem wprost nawoływał do wojny domowej. A wreszcie, gdy rozżarci stronnicy arcyksięcia i Zborowskich usiłowali pozbawić Zamojskiego urzędu hetmańskiego, w jego obronie odważnie wystąpił Żółkiewski. Na to sługa kasztelana gnieźnieńskiego Jana Zborowskiego krzyknął z tylnych rzędów: „Kołpaczku, niedługo podsco-czym!” Kiedy Stachnik wracał potem z zamku warszawskiego do gospody, gdzie mieszkał, ten sam człek Zborowskich cisnął weń od tyłu czekanem, wołając: „To na ciebie, z kurwy synu!”. Na szczęście cios chybił. A Stachnik niedługo potem obiegł gospodę na Pradze, gdzie stacjonowali zborowszczycy, w tym niedoszły zamachowiec. Ale gdy w sukurs oblężonym nadeszły posiłki ze strony wojewody poznańskiego Stanisława Górki, musiał odstąpić.

- Potem było jeszcze gorzej - ciągnął. - Na polu elekcyjnym doszło prawie do bitwy, którą rozpoczęli zborowszczycy. Padły strzały, zginęło dwóch ludzi. Na szczęście hetman i nasi „żałobnicy” dali odpór, a mądrzy ludzie z senatu zapobiegli rzezi. Miało to ten dobry skutek, że oburzony zuchwałością Zborowskich, wahający się dotąd prymas Karnkowski ogłosił królem Szweda. Ale cezarianie nie dali za wygraną i dziś mamy dwóch królów elektów. Który z nich pierwszy dotrze do Krakowa, ten zasiądzie na tronie. Dlatego hetman co prędzej zdążył tu z Warszawy, a ja z nim, aby bronić miasta przed maksymilianistami. I oto jesteśmy.

52

9J

- A gdzie pan hetman? - wtrąciła Janka.

- Ma pełne ręce roboty, ale z pewnością nie zabaczy was nawiedzić - odparł.

Jednak dopiero wieczorem, gdy na stół wjechały mocniejsze trunki, a Janka zabrała Kacpra juniora do spania, na dobre rozwiązał mu się język.

- Nunc est bibendumalbowiem nie jest dobrze - westchnął, stukając się ze mną pełną szklanicą.

- Co masz na myśli?

- Ogólną sytuację. Od Leśniowolskiego, który został wysłany do Szwecji po elekta, dotąd nie ma wieści. A nikomu nie tajno, że Jan III Waza nierad patrzy na obranie swego jedynaka królem polskim i puścić go z kraju nie chce. Zaś Maksymilian ponoć już się zbroi i ku granicy śląskiej przysuwa. Hetman ma wolę bronienia Krakowa przed arcyksięciem do przyjazdu prawego elekta, ale co się stanie, gdy Szwed nie przybędzie wcale?

Wówczas zaiste położenie najpotężniejszej osoby w państwie, hetmana wielkiego koronnego i kanclerza w jednej osobie, zmieniłoby się diametralnie. Maksymilian w końcu dopiąłby swego, a jako król z pewnością poszukałby pomsty na swoim głównym adwersarzu. W istocie, miał Zamojski wiele do stracenia i stał przed niezwykle trudnym wyborem.

- Dlaczego hetman nie stanął do wyborów? - zadałem Żółkiewskiemu pytanie, które w owym czasie stawiało sobie wielu. - Toż ze swojaków „Piastrów”, a może nawet ze wszystkich kandydatów społem, miałby bodaj najlepsze widoki na powodzenie.

- Sam chciałbym to wiedzieć - mruknął i podsunął mi kielich do napełnienia. - I on chyba też.

Pił w milczeniu, zastanawiając się nad czymś, po czym rzekł:

- To prawda, że wciąż jest bardzo popularny pośród braci mniejszej, a i w senacie nie brak mu popleczników, niemniej stracenie Zborowskiego, do czego ty i ja przyłożyliśmy ręce, odjęło mu sporo zwolenników, choć nie aż tylu, jak mu się wydaje.

- Zatem dlaczego?

Wychylił puchar jednym haustem, otarł usta grzbietem dłoni i znów westchnął.

1 Nunc est bibendum (łac., Horacy) - czas się napić.

53

- Myślę, że stchórzył. Tylko mu tego nie mów, broń Boże! Ale taka jest prawda, Kacper. Obserwuję go co dzień od lat i widzę, jak się zmienił. To już nie jest ten śmiały do szaleństwa wódz spod Wielkich Łuk czy Pskowa. Ma zbyt wiele do stracenia. Teraz namyśla się długo, waha i waży w sobie, nim uczyni jakiś stanowczy krok. Statystą był zawsze, ale teraz zrobił się z niego kunktator, ot co. Bardziej lęka się spodziewanej klęski niż zmarnowania pewnego zwycięstwa. Za późno zdecydował się samemu kandydować, a potem, kiedy upadły kandydatury forsowanych przez niego Batorych, nie miał wyjścia i poparł królową Hannę w jej zabiegach o koronę dla królewicza Zygmunta. Wiesz czemu? Bo Szwed jest młody i łąco nim będzie powodować, sam mi tak powiedział. Ale widzę, że już i tej decyzji żałuje i znów się gryzie, na nowo roztrząsając wszystkie istniejące jeszcze możliwości...

Wtedy zakiełkowało mi w głowie podejrzenie, że Zamojski tak naprawdę wcale nie zamierzał bronić Krakowa do upadłego, tylko do czasu, aż będzie można wytargować od Maksymiliana, nomen omen, maksymalnie korzystne dla siebie kondycje. Ale nie powiedziałem tego Stachnikowi, ponieważ mimo wszystko był on oddany kanclerzowi ciałem i duszą.

Dawno nie miałem z kim wychylić kielicha, dlatego opiliśmy się oba jak baki i przenocowałem w izbie gościnnej. Hetman nie odwiedził nas ani następnego dnia, ani w kolejne. Zbyt wiele spraw go zajmowało. A niedługo potem zabrał Żółkiewskiego i większość swoich czarnych rot i ruszył ku Wiślicy, kiedy okazało się, że Andrzej i Krzysztof Zborowscy wpierw porwali kasztelana sandomierskiego Stanisława Tarnowskiego z rodziną, po czym zdobyli i zajęli Wiślicę, gdzie miał się odbyć zjazd szlachty, tusząc, iż go uniemożliwią.

Mimo to zjazd się odbył pod miastem, w którym hetman zamknął Zborowskich jak w saku, a zgromadzona szlachta już bez żadnych dubiów potwierdziła, że jedynym prawym królem elektem jest królewicz szwedzki Zygmunt. To było we wrześniu, a na początku października jednocześnie przyszły dwie wieści: Zygmunt Waza wylądował w Gdańsku i niedługo miał wyruszyć na południe, a jurgieltnicy i wolentarze Maksymiliana Habsburga przekroczyli granicę i ciągnęli na Kraków od południowego zachodu. W drodze dołączali do nich Polacy zdrajcy, co osobliwe (w wypadku

54

arcykatolickiego księcia) - przeważnie kacerze. Wówczas hetman, który już wcześniej pchnął Kozaka Gabriela Hołubka, by wzmocnił załogę zamku Rabsztyn koło Olkusza i powstrzymał pochód wroga, kopnął się nazad ku Krakowowi.

Zaskoczyli nas obaj z Żółkiewskim podczas obiadu, akurat gdy Kacper junior zaczął głośno dopominać się o swoje prawa i oboje mieliśmy pełne ręce roboty - Janka górą ładowała mu kęski w otwarte usta, ja odbierałem to, co wychodziło przeciwną stroną, a służąca sprzątała jedno i drugie. Zamojski niecierpliwym gestem odsunął tamującego przejście Ignaca, nim ten niezguła zdążył zapowiedzieć gości, i wszedłszy do izby, zaraz zaczął się witać tubalnym głosem, po czym rzucił się całować ręce Janki. Acz trzeba przyznać, dopiero wtedy, gdy otarła je w fartuch, a malca powierzyła służce, która wyniosła go z jadalni.

- Rośnie jak na drożdżach - pochwalił, odprowadzając chłopca wzrokiem, w którym dostrzegłem cień zazdrości.

Z trzecią już żoną Zamojski wciąż nie mógł doczekać się syna. Miał córkę, ale (jak zdradził mi Żółkiewski) zamierzał swe ogromne, corocznie pomnażane, istic księżęce włości wokół Zamościa uczynić niepodzielną ordynacją. Do tego potrzebował jednak dziedzica.

- No więc, moi najmilszi - zagaił, gdyśmy się przenieśli do bawialni; ponieważ obaj byli już po obiedzie, Janka błyskawicznie zapełniła stół wetami, zaś ja najlepszymi trunkami z piwniczki,

0 którą miałem osobiste staranie. - Mam dla was zarazem dobrą

1 złą wiadomość. - Nie pozwolił nam wybrać kolejności. - Przykra nowina jest taka - omiótł wzrokiem komnatę - że ładnie tu sobie mieszkacie, lecz będziecie musieli porzucić dom, przynajmniej na jakiś czas.

- Dlaczego?! - Nie wytrzymałem, bo zdążyłem się przywiązać do jedynego własnego domu, jaki miałem w życiu.

- Bo od jutra zaczynamy sypać szańce za Kleparzem i Garbarami, wzdłuż brzegów Promnika i Rudawy. A potem trzeba będzie spalić leżące poza nimi zabudowania, aby nie dawać wrogowi schronu. Ogień nie powinien się przerzucić aż potąd, ale lepiej dmuchać na zimne. Zresztą jest więcej niż prawdopodobne, że wróg jednak podejdzie pod mury, a wtedy

wasz dom i tak się nie ostoi. Dlatego na pewien czas porywam was oboje na Wawel, do mojego Rabsztyna, gdzie wam jedynie ptasiego mleka braknie.

55

- Hi też nam niczego nie brakuje - zauważyłem. - A cóż mielibyśmy do roboty na Wawelu, oprócz niewątpliwej przyjemności obcowania co dnia z waszą miłością, tudzież z jej wysokością księżną Gryzeldą?

- Księżna została w Zamościu - sprostował. - Zaś co do ciebie, moja droga - uniósł puchar w kierunku Janki - to mam dwie propozycje. Primo: abyś doglądnęła przygotowania komnat dla królowej Hanny, która razem z siostrzenicą ma zjechać do Krakowa na koronację siostrzeńca. Secundo: trzeba skompletować polski fraucymer dla księżniczki Anny, a na dal pomyślmy dla ciebie o urzędzie ochmistrzyni przy młodej pani. Stara królowa cię lubi i wciąż dobrze wspomina, wobec mnie ma zaś pewne zobowiązania, więc zapewne nie odmówi zaprotegowania ciebie u siostrzenicy. To jest ta dobra nowina. Co aśka na to?

Ze wzruszenia zaparło jej dech. Nie musiała odpowiadać. Aż miło było patrzeć na rumieniec na liczku Janki i błyszczące radością oczy. Oto spełniało się jej marzenie. Koniec kiśnięcia w prawie wiejskim zaciszu, witaj wielki świecie! Ja jednak, bynajmniej nie wątpiąc w szczerą ku nam afekt hetmana, znałem życie. Gdzieś tu tkwił haczyk, dałbym sobie obciąć paznokcie (na więcej nie było mnie stać).

- A ja? - wtrąciłem.

- Cóż, lekarz wszędy znajdzie chorych. Ale myślałem o czym innym. Zborowscy dawno zagięli na mnie parol. Wiem, że podna-jęli morderzy, aby mnie zabili. Nie dalej jak wczoraj wystrzelona skądś kula chybiła ledwie o cal. Co powiesz na ochranianie mojej osoby, powiedzmy za sto dukatów dziennie?

No proszę, jaka piękna nagroda. Można było w krótkim czasie zgromadzić małą fortunę. A w zamian wystarczało jedynie łapać śmigające wokół kule. Najlepiej na własne ciało. Miałem je po prawdzie niemożliwie pokancerowane, ale mimo wszystko jeszcze nie dziurawe jak rzeszoto i wołałem, żeby tak pozostało, przynajmniej jakiś czas. Co za dużo, to niezdrowo. Stachnik odwrócił wzrok i zacisnął szczęki, Janka zamierzała zaprotestować i już otwierała usta, ale ścisnąłem jej ramię. Nie chciałem, żebyśmy oboje stracili hetmańską łaskę. Ale nim zdążyłem podziękować za zaszczyt, Zamojski, jakby już myśląc o czymś innym, machnął ręką i rzekł:

56

- Mniejsza z tym, pogadamy jeszcze o tej sprawie. Tymczasem proponuję, Kacper, abyś panią Joannę z synem od razu odesłał do Rabsztyna, a sam zajął się przewiezieniem co cenniejszych statków w bezpieczne miejsce. Jak skończysz, zgłosisz się do mnie i wtedy pomyślmy, jaką przydzielić ci robotę.

Na tym stanęło. Niestety, już imć Stanisław Sarnicki w swoich Księgach hetmańskich¹ (przeglądałem manuskrypt u hetmana Zamojskiego, któremu był dedykowany) ostrzegał króla Stefana, że stolica jest niewarowna i trzeba mury umocnić, ale nie uczyniono w tym względzie nic. Wobec tego, o dziwo, z własnej i nieprzymuszonej woli rajcy hojnie sypnęli groszem na obronę, a najhojniej ci niemieckiej proveniencji, jak Gutteter, Spigler, Filhauser albo nowy burmistrz Waxman. Na dodatek złożyli uroczystą przysięgę wobec hetmana, że będą bronić miasta do ostatka. Tym sposobem stolica miała do dyspozycji osiem tysięcy żołnierzy hetmańskich i pięć tysięcy miejskich.

Wkrótce zapłonęły umyślnie podpalone dalsze przedmieścia, a wojsko i mieszkańcy bliższych przedmieść (trzystu ludzi na zmianę, nieustająco we dnie i w nocy), wożąc ziemię w taczkach, sypali wały na przedpolach (okopy miały się ciągnąć półkolem od Kleparza po Kaźmierz). W samym mieście wprawdzie wywołano i precz wypędzono wszelkie hultajstwo i ludzi luźnych poza mury, aby zwolnić miejsce dla bezdomnych mieszkańców przedmieść, potem wyburzono domy, klety i szopy przylegające do murów, a na same mury wciągnięto armaty.

Podczas gdy Janka urzędowała nam tymczasowe locum w Rabszty-nie, ja tymczasowo likwidowałem stałe locum na Garbarach. Czego nie dało się wywieźć na Wawel, to przewiozłem na stare śmieci, do gospody „U Balcera” przy ulicy Wąskiej alias Kąciku. W spadku po cioteczce karczma przypadła w dziale memu mlecznemu rodzeństwu, Jędrzejowi i Hedwiźce, ale oni mieli doskonale prosperujące warsztaty, więc tawernę puścili w dzierżawę Niziołkowi. Olbrzym, niegdyś mój najlepszy kompan do bitki i wypitki, z wiekiem nabrał jeszcze masy i ustatkował się. Prowadził gospodę razem z żoną Tereską, prosperowali może nawet lepiej niż ongi cioteczka Balcerowa, mieli synka Kubę w wieku naszego Kacperka. Jak zwykle ucieszyli

1 Do dziś pozostają w rękopisie (w Bibliotece Jagiellońskiej).

57

się na mój widok, a jeszcze bardziej na wieść, że mogą być użyteczni. Ich nieklamana serdeczność wzruszyła mnie. Podobnie jak wciąż wiszące u wchodu, obok wiechy, Oko Opatrzności, świadczące o mojej niegdysiejszej profesji inwestygatora. I zawieszka: KACPER RYX. INWESTYGATOR J.K.M., NA FRASUNEK LEPSZY NIŻLI TRUNEK. Miedziane buksztaby zaśniedziały, deska poczerniała, ale wciąż tkwiły na swoim miejscu, tak jak je przed laty zawiesił mój szwagier Michał. Jeszcze nie tak dawno Niziołek odsyłał klientów chętnych na tego rodzaju usługi do domu na Garbarach, dopóki Janka ostatecznie nie położyła temu kresu. Ostatnią sprawę prowadziłem... Do licha, ponad rok temu.

- Dobry Boże, Kacper, nic się nie zmieniłeś! - Radował się Niziołek, ciągnąc mnie do kąta, w którym przesiadaliśmy razem pół życia. - W przeciwieństwie do mnie. - Ni to z żalem, ni z dumą poklepał się po wielkim bandziochu, który sobie wyhodował.

Przy garncu gorzałki powspominaliśmy dawne czasy, kiedy piękni i młodzi uganiaлись się za złoczyńcami, co rusz wpadając w tarapaty i kolekcjonując guzy jak drudzy mińce. I jakoś tak się porobiło, że zamiast wracać do zimnego łóżka na Wawelu, częściej w następnych

dniach nocowałem w swojej starej karczemnej izdebce na facjatce, wielkodusznie odstąpionej mi przez gospodarzy, zwłaszcza że trunki miałem na wyciągnięcie dłoni i nikomu nie musiałem się opowiadać. Niziołek, nawet jeśli spostrzegł, że piłem więcej niż dawniej, lojalnie milczał. Tylko minę miał zafrasowaną, gdy od czasu do czasu przychodziło mu zanosić mnie na górę i pakować do łóżka.

Hołubek nie uląkł się Maksymiliana, a na propozycję poddania Rabsztyna za sutą nagrodę odparł arcyksiążęciu zuchwale, że „już inszych między Polaki zdradziec nie masz oprócz tych, którzy u niego”. Ale to nie powstrzymało pochodu wojsk nieprzyjacielskich.

15 października za jednym zamachem skończyły się względny spokój i ładna pogoda. Wszystkie dzwony w mieście rozdzwoniły się na trwogę. Niemieccy najemnicy Maksymiliana i polscy zdrajcy podeszli pod miasto od strony Promnika¹. Na rozkaz hetmański kozacy podpalili wszystkie leżące za rzeką tejże nazwy (zwaną

1 Dziś Prądnik.

58

9 kt

również Białuchą) folwarki, karczmy, młyny i dwory, przez co prawie cały Promnik zgorzał. Zaś na szańce przed rzeką zatoczono armaty (najlepszym stanowiskiem okazało się to na wzgórzu zwanym Powroźnicze za Pędzichowem, gdzie stały dwie murowane szubienice¹, które kat dzień wcześniej w pośpiechu opróżniał), kilka dział ustawiono też na probostwie Świętego Floriana na Kleparzu. Nadejście nieprzyjaciela wywołało w mieście panikę, którą z trudem opanowano. Na szczęście wróg nie wykorzystał okazji do szturm z marszu i rozlokował się poza zasięgiem artylerii, za Promnikiem: w Garlicy, w Bibicach, aż po Rakowice. Zaś sam arcyksiążę przesunął się jeszcze w stronę Mogiły, gdzie stanął kwaterą w klasztorze cystersów. Pogoda, od świętego Michała ciągiem piękna i ciepła, nagle się załamała. Zrobiło się zimno i lunął deszcz tak silny, że następnego dnia Promnik i Rudawa wystąpiły z brzegów, zmuszając najeźdźców do cofnięcia.

Nastał dziwny czas, jakby zawieszenia broni. Nic się nie działo, z wyjątkiem drobnych utarczek i harców, w których wyróżnił się Jan Zamojski, daleki krewny hetmana. A deszcz padał i padał wytrwale przez cały październik i listopad i było coraz zimniej. Dzielny zagończyk Holubek z pomocą olkuskich górników rozbił posiłki ciągnące na pomoc Maksymilianowi i zmusił je do odwrotu, po czym zasilł szeregi obrońców Krakowa. Potem przysłała wieść, że król elekt Zygmunt już dotarł do Piotrkowa, ale wnet ruszył ku niemu silny podjazd na czele z Diabłem Stadnickim i Krzysztofem Zborowskim. Ta wieść zmroziła wszystkie serca, ale rychło nadeszła druga - zdrajcom nie udało się ogarnąć Szweda, który zdążył ku Nowemu Miastu Korczynowi. Można było odetchnąć z ulgą, lecz na krótko, bo oto do wojsk Maksymiliana dołączył z ośmioma kolubrynami garbaty wojewoda poznański, mowny ózralec Stanisław Górka, i szturm należało tylko czekać. Tym bardziej że maksymilianistom głód i chłód srodze już dojadły. Wraże wojsko pomarniało i upadło na duchu. Tymczasem złotousty kaznodzieja, jezuita Piotr Skarga, z ambony kościoła Świętej

Barbary każdego dnia nawoływał krakowian do wytrwania przy prawowitym panu i zagrzewał obrońców do boju.

- Ludu Boży! - grzmiał. - Jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem! Aż do gardeł naszych nie chcemy Rakuszanina

1 Mniej więcej tam, gdzie dziś zakład Helclów.

59

na polskim tronie! Bracia! Precz z Habsburgami! Nie upadajcie na duchu, a wyżeniem z Krakowa i całej Polski najezdniczków! Tak nam dopomóż Panie Boże, w trójcy jedyny!

Podczas gdy wojewoda krakowski Jędrzej Tęczyński doglądał rycerstwa małopolskiego pospołu z mieszczanami czuwającego na blankach, starosta krakowski Mikołaj Zebrzydowski strzegł zamku, Jerzy Farenbach pilnował Kaźmierza, hetman Zamojski osobiście obchodził straże wartujące na przedpolu i szańcach Kleparza i Garbar. Asystowali mu Żółkiewski wraz z siłaczem Markiem Sobieskim, z którym zaprzyjaźniłem się podczas kampanii wielkołuckiej, oraz czterech rosłych przybocznych, osłaniających hetmana z tyłu i z boków.

- O, jesteście! - zawołał Zamojski na mój widok. - Zobaczyłem światło w oknie, więc zaglądnęliśmy.

- Właśnie zakończyłem przeprowadzkę... - Zatoczyłem ręką koło po prawie próżnym wnętrzu. - Jutro miałem się stąd wynosić.

Byłem trochę podpity, wcześniej niż zwykle, bo nie spodziewałem się gości, więc musiałem uważać, by tego nie spostrzegli.

- Wolałbym, żebyś został.

- Z tym nie będzie turbacji. Chyba nawet nie zdążyłem wynieść wszystkich flaszek z piwnicy.

- Nie pogardzimy. - Uśmiechnął się. - Ale idzie o co innego.

- O co?

- Nie o osobistą ochronę. To był marny koncept. Zresztą z tym już sobie poradziłem. - Wskazał czterech pleczystych osiłków, warujących w pobliżu jak wierne psy. - Szkoda by cię było do takiej prostej roboty. Mam coś w sam raz dla twoich talentów.

O co mu szło, wyjaśnił przy drugiej butelce. Ja tym razem tylko markowałem picie. Nadrobię, gdy sobie pójdą.

- Dużo tu na Garbarach mieszka Niemców. Doszły mnie słuchy, że niektórzy z nich sprzyjają Maksymilianowi. Chciałbym, abyś miał oczy szeroko otwarte, porozglądał się tu i ówdzie, powęszył i ostrzegł mnie, gdy spostrzeżesz coś podejrzanego. Wiem, że to

niebezpieczne, ale... W razie czego kieruj się w stronę Zwierzyńca, tam szańców pilnuje Hołubek ze swymi ludźmi.

Zgodziłem się bez namysłu, nawet z zadowoleniem. Nie było to bardziej niebezpieczne niż bezpośredni bój. A przecież nie mogłem w nieskończoność zajmować się wyłącznie prywatą, zaś

60

w przerwach leżeć beczynnio do góry brzuchem i upijać się samemu lub z Niziołkiem, gdy drudzy narażali życie. Nawet praktykę lekarską praktycznie musiałem zawiesić z braku stałych pacjentów, którzy w większości schronili się intra mums.

Suburbium Cerdonum, czyli przedmieście Garbary vel Garbarze, było jurydyką miejską z własnym urzędem wójtowsko-ławniczym i magistratem, dość podłą (choć zaliczaną do Sarmackiego Pięcio-miasta, Sarmatica Pentapolis, jak czasem szumnie i na wyrost określano Kraków z przyległościami), ale ludną. Z wyjątkiem dworów szlacheckich posadowionych w południowej części, graniczącej ze Smoleńskiem, oraz okazalszych kamienic i ozdobionego attyką niewysokiego ratusza¹ przy ulicy Szerokiej², zamieszkiwała je raczej uboga ludność rzemieślnicza, acz nie wyłącznie. Przy jednej z główniejszych ulic, Garncarskiej³, wbrew pozorom stało więcej willi podmiejskich postawionych przez bogatych mieszczan na letnie wywczasy niżli warsztatów garncarskich. Zaś przy jej końcu, na Krupnikach, znajdowały się Dolne Młyny, produkujące kaszę i krupy.

Zgodnie z nazwą najwięcej było tu jednak garbarzy, i to we wszelakich istniejących odmianach. Białoskórniczy wyrabiali delikatny zamsz oraz wyprawiali futra dla kuśnierzy. Czerwonoskórniczy garbowali skóry ciut grubsze, acz zdaniem wielu, różnicę między nimi a białymi garbarzami znali tylko oni sami. Czarnoskórniczy vel czarni garbarze cdias kordybanicy, wytwarzali ze skór kozich bardzo poszukiwany kurdyban, barwiony na różne kolory, w prążki albo matowy na powierzchni, najsposobniejszy na zbytkowne obuwie, obicia sprzętów czy oprawy ksiąg.

Garbarze zajmowali kwartał czy też odrębną osadę między fosą miejską a Rudawą, z centralną ulicą na pagórku Tassenberg⁴ na lewym brzegu Rudawy, zwanej tu Młynówką, gdyż zasilała położone u stóp Tassenbergu Górne Młyny⁵ z największym z nich, w którym mielono korę -dębową na garbnik (biali garbarze posiadali młyn także na Kawiorach). Nie była to przyjemna okolica, ponieważ

1 Karmelicka 12, obecny (barokowy) kształt z XVIII w.

2 Dziś okolica teatru Bagatela.

3 Dziś Krupnicza.

4 Dziś Garbarska (wcześniej Pańska).

s Tam gdzie dziś Dom Plastyka.

garbuzy i farbiarnie okropnie cuchnęły same z siebie. Na domiar zanieczyszczoną wodę z nich wylewano do fosy, czasem zaś przenikała do ujęcia wody pitnej dla miasta. Już z samej nazwy ulicy, Tasenberg (Sakwowe Wzgórze), dało się wywnioskować, że garbarze w większości pochodzili z Niemiec. Podobnie jak mieszkający w pobliżu farbiarze oraz olsternicy, tasznicy i kaletnicy wyrabiający rozmaite torby, mieszki, sakwy czy olstra na broń palną. Ciężko pracujący przedstawiciele pospólstwa nie należeli do bogaczy, do patrycjatu wejść nadziei nie mieli, może istotnie poprawę swego losu upatrywali w panowaniu Habsburga? Nie było to wykluczone.

Odtąd zatem kilka dni i nocy pod rząd spędziłem samotnie na wyrku służącego, dopijając resztę trunków z piwnicy, przegryzając resztką zimowych zapasów i gapiąc się w jedyny obraz, którego do ostatka nie chciałem zdejmować ze ściany. Był to portret Janki, który zaraz po naszym ślubie wykonał dla mnie najlepszy krakowski malarz cechowy, mój imiennik Kacper Kurcz. Mimo wszystkich tarć między nami, bardzo mi jej brakowało, a jeszcze bardziej Kacpra juniora. Poza tym samotność mi nie doskwierała, zwłaszcza że zatrzymałem Leżaka. Leżak był to spory kundel, który trafił nam się razem z domem. Po śmierci mojego poprzednika dom stał pustką przez ponad rok, a jedynym jego lokatorem był Leżak, gotów do upadłego czekać w nim na powrót pana. Nie wiadomo, jak przetrwał ten czas, ale najwyraźniej jakoś sobie radził, zresztą do dziś zachował wszelkie cechy rasowego złodziejaska - bezszelestny chód i umiejętność niepostrzeżonego porwania wszystkiego nadającego się do jedzenia. Gdyśmy tu nastali, dom był częściowo zdewastowany przez dzikich lokatorów. Musieli bardzo pastwić się nad Leżakiem, którego zastaliśmy w kącie sieni, okropnie pobitego i ledwo żywego. Poskładałem go do kupy, ale długo potem nie chciałem wstawać, tylko się czołgał (dlatego nazwaliśmy go Leżak), a kulał do dziś. Nie nadawał się na stróża, z domu wychodził tylko za potrzebą, na widok obcych wlaził w mysią dziurę, ale był nam ogromnie oddany. A przy tym tak łagodny i przyjacielski, że kiedy urodził się mały Kacper i z obawy o jego bezpieczeństwo pozbyliśmy się dwóch brytanów strzegących domu, Leżak został w nim na prawach dożywotniego rezydenta. I na tym polegała mała turbacja, bo wątpiłem, by nawet mnie udało się go stąd wyprowadzić w inne miejsce.

We dnie zostawiałem Leżaka (koń by się uśmieł) na straży domostwa i udawałem się na zwiady. Tego dnia zaszedłem w okolice będącej raczej mostem na Rudawie bramy Drzewianej, ożywiany zapalem religijnym, nagle rozbudzonym z lekkiego uśpienia. Do odwiedzania kościoła Nawiedzenia Najświętszej Panny Marii należącego do karmelitów trzewickowych nie trzeba mnie było zachęcać. Lubiłem tam zachodzić od dziecka, a to z racji związanych z nim osobliwych i cudownych historii. Ponoć świątynię przed pięciuset laty zaczął stawiać ojciec Bolka Krzywogębego, książę Włodzisław Herman, który niemożliwie cierpiał z powodu uciążliwego wrzodu w nosie. Aż razu pewnego ukazała mu się Matka Boska i kazała natrzeć nos białym piaskiem nabranym spod rosnących w tej okolicy leśnych fiołków. Książę tak uczynił i ozdrowiał. Na pamiątkę tego cudu teren wokół nazwano Na Piasku, lecz budowy kościoła dokończyli spolem dopiero Włodzisław Jagiełło i dobra

królowa Jadwiga. Na narożnym kamieniu wciąż znajdował się cudownym sposobem uczyniony odcisk stopy królowej, którą postawiła na głazie, by podarować ubogiemu mularzowi cenną sprzączkę ze swego trzewika na leki dla jego chorej żony.

Kiedyś bardzo mnie ta historia wzruszała, a nawet teraz z niejaką tkliwością spoglądałem na glaz ze „stopką królowej Jadwigi”, po czym uklęknąłem przed łaskami słynącym obrazem Matki Boskiej Piaskowej na krótką modlitwę. Historia tego fresku też nie była zwyczajna. Niespełna sto lat temu na zewnętrznym murze² zaczął go malować pewien natchniony braciszek zakonny. Ale gdy przerwawszy na noc robotę, wrócił skoro świt, by dzieła dokończyć... zastał obraz gotowy. Namalował się w nocy sam. Cóż, można było to wierzyć lub nie, lecz nie ulegało dubium, że od tamtej pory Matka Boska Piaskowa bardzo wielu proszącym pomogła w ich turbacjach i frasunkach. 2 lipca, w święto Nawiedzenia Najświętszej Panny Marii, ściągali na Piasek pobożni pielgrzymi nieraz z bardzo odległych stron, ku uciechu kichlarzy, których pierniki cieszyły się wielkim powodzeniem wśród dziatwy.

1 Wówczas gotyckiego, obecnie barokowego.

2 Dziś wewnątrz, w osobnej kaplicy (fragment muru z obrazem przetrwał zarówno pożar z 1587 r., jak i zburzenie kościoła przez Szwedów podczas „potopu”), zaś „stopkę królowej Jadwigi” wciąż można oglądać w tym samym miejscu na zewnątrz kościoła (za ochronną kratą).

63

Wszedłem do środka i podążyłem wprost do tego konfesjonału, który stał w najciemniejszym kącie kościoła, wypełnionego co prawda w tej chwili niezlicznie przez kilkanaście starowinek w głos klepiących pacierze, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże.

- Jeśli któryś z księży by mnie teraz przyłapał, ani chybi stracę robotę - szepnął przez kratkę Jeremiasz, ocierając pot z czoła.

- Nie frasuj się tym, bo to najmniejsze zmartwienie - odparłem, też szeptem. - Najważniejsze, abyś się niczym nie zdradził. Nie chciałbym cię mieć na sumieniu.

Jeremiasz był tutejszym świętnikiem. Wybrałem go na swoje oko i ucho, ponieważ był śliski jak piskorz, mieszkał w pobliżu, miał żonę Niemkę, a wobec mnie pewne zobowiązanie, czego bezwstydnie nie omieszkalem wykorzystać. Nie mogłem sam kręcić się po Tasenbergu, bo znano mnie tam nie tylko z tego, że zdarzyło mi się kilka razy leczyć (za darmo) tamtejsze dzieci lub dorosłych (za umiarkowaną opłatą), ale i z tego, że cieszyłem się łaską hetmana, który od czasu do czasu nawiedzał mój dom, co zapewne nie przeszło bez echa. Obecność w tym miejscu i czasie człowieka będącego w konfidencji z Zamojskim musiałaby wydać się podejrzana, o ile garbarze w istocie knuli zdradę.

- Ech, powiadam wam, doktorze Hiropoński, że gdybyście nie zratowali mojej Orszulki, nigdy nie podjąłbym się tego zadania... -jęknął, wykrzywiając szpiczastą gębę gryzonia.

Jakiś rok temu jego córeczkę stratował koń. Była w takim stanie, że ocalenie i wyzdrowienie zawdzięczała prędeej łasce Matki Boskiej Piaskowej niżli moim umiejętnościom, lecz nie wyprowadzałem Jeremiasza z błędu, ponieważ nie znałem bardziej perfidnego padalca. Może z wyjątkiem siebie samego.

- Do rzeczy, Jeremiaszu. Trafiłeś na coś?

Zniecierpliwiłem się, bo ostatecznie nie zmuszałem tego spoconego szurka do niczego, a płaciłem godnie: dukata dziennie za fatygę i dziesięć, gdyby coś wyszlakował. Byłem pewien, że bardziej powodowała nim zwyczajna chciwość niż poczucie wdzięczności wobec mnie i dlatego wykorzystywałem go bez skrpułów.

- Chyba tak. Będę dziś wieczorem u szwagra na Tasenbergu, to się wywiem dokładniej.

- Zatem do jutra rana w tym samym miejscu. Tylko bądź ostrożny, pamiętaj!

64

- Będę.

Wsunąłem mu następnego dutka przez kratę, po czym chyłkiem opuściłem konfesjonał i kościół. Stał on na początku ulicy Czarnej, czyli szlaku wiodącego do Czarnej Wsi i dalej, do Łobzowa. Na końcu ulicy umieszczono latarnię umarłych, za nią rozpościerały się już zagrody i ogrody Czarnej Wsi. Ale nie wybierałem się aż tak daleko. Przeszedłem obok kościoła, potem minąłem ogród przyklasztorny i skręciłem w prawo, tak jak mnie prowadził mur okalający cmentarz. Wąską uliczką, jak wszystkie na Garbarach bardziej przypominającą zwyczajną polną ścieżkę, doszedłem do niewielkiego kościoła pod wezwaniem Świętego Piotra Małego¹. Był on posadowiony przy ciągnącej się wzdłuż Rudawy aż do Łobzowa ulicy Rybaki². Na wprost kościoła znajdowały się Górne Młyny, za nim zaś, aż po pierwsze ubogie chaty rybitwów, ciągnął się wielki cmentarz, przez fundatora kościoła Jana Weisa przeznaczony ongi na walną nekropolię dla całego Krakowa. I tak bywało, lecz tylko podczas epidemii, gdy chowano tu zapowietrzonych, zaś na co dzień korzystała zeń parafia Świętego Szczepana, położona po sąsiedzku wewnątrz murów.

Wieczorem 21 listopada, siedząc po zmierzchu razem z Leżakiem przy rozpalonym kominku i nieco się nudząc, a może pod wpływem zbyt wielu kusztyczków gorzałki, zdjąłem ze ściany dawno nieużywaną broń i zająłem się nią. Ostatecznie mieliśmy wojnę i prędeej czy później musiałem jej użyć. Rapier z trudem dał się wydobyć z pochwy, taki był zapuszczony. Doczyszczałem go dobre dwie godziny, potem natłuściłem żelazo i na powrót wsunąłem do pochwy. Teraz chodził gładko. Wyjąłem go na powrót i na próbę machnąłem, usiłując obciąć knot zapalanej świecy stojącej przy pulpicie do czytania. Skutek był taki, że przeciąłem świecę na pół, zwałem świecznik i musiałem szybko ruszyć zadek, bo od płomienia zajęła się podłoga. No tak. Szermierka to sztuka, której nie wolno zaniedbywać. A ja nie ćwiczyłem od miesięcy. Do tego byłem podpity. Westchnąłem i odwiesiłem rapier na miejsce. Pistolety były w nieco lepszym stanie, ale i przy nich zszedł mi kęs czasu. Skończywszy czyszczenie, nabiłem swojego ulubionego skałkowego francuza,

1 Zburzony w 1801 r.; z końcem XIX w. stanął tam kościół Zmartwychwstańców.

2 Dziś Łobzowska (a przedtem Świętego Piotra).

65

wycelowałem w wystający gwóźdź po wiszącym na nim przed przewodzką portrecie mojego dawno zmarłego teścia Andrzeja Wapowskiego i dałem ognia. Odległość nie była wielka, tym bardziej wynik mnie nie zadowolił. Kiedyś wbiłbym gwóźdź w ścianę, nawet od miesięcy nie mając broni w rękach. Teraz trafiłem o cal obok. Cóż, ćwiczenie czyni mistrza, zaś czas i beczynność robią swoje. Nawet w przypadku strzelania, które jest sztuką o niebo łatwiejszą od fechtunku. Jeżeli coś z dawnego Ryksa jeszcze we mnie drzemało, to albo głęboko ukryte, albo wcale nie drzemało, tylko usnęło na amen.

Podszedłem do okna, by wypuścić dym z izby, łowiąc przy tym pełen wyrzutu wzrok wystraszonego Leżaka, który na huk strzału wlaź pod wyrko, wystawiając tylko jedno oko i pół ucha. Za oknem wciąż lało, a lepki chłód, korzystając z okazji, wepchnął się do wnętrza, aż się wzdrygnąłem. Właśnie zamykałem okno, kiedy usłyszałem stuk klekotu, a zaraz potem bezparonowy łomot do drzwi frontowych. Leżak cały zniknął pod łóżkiem, ja zaś wsadziłem sobie z tyłu za pasek drugi, nabity pistolet, do ręki wziąłem łuczywo z kominka i poszedłem otworzyć.

- Kto tam?

- To ja doktorze, Franz Zigler, garbarski wójt.

Poznałem go po głosie i uchyliłem drzwi. Wśliznął się do sieni, a za nim pacholek z latarką. Woda ciurkiem spływała z ich kopie-niaków na kamienny pawiment, tworząc małe kałuże.

- Jeśli oderwaliście mnie od ciepłego kominka tylko po to, by nanieść mi wody, wójcie - rzekłem, gdy milczał dłuższą chwilę, przestępując tylko z nogi na nogę i pocierając czoło - to wyznam, że wolę studzienną od deszczówki. Próżne cebry są tam. - Pokazałem im. - A studnia na zadzi.

Nie uśmiechnął się.

- Żona rodzi! - wyrzucił w końcu z siebie z ciężkim westchnieniem; mówił po polsku bardzo dobrze, gdyby nie gardłowy akcent, nikt nie rozpoznałby w nim Niemca.

- Moje gratulacje. Uiszę, że jest przy niej doświadczona babka. Z pewnością poradzi sobie lepiej ode mnie.

- Podnajałem nawet astrologa - rzucił z pewną dumą, jakby chciał uciąć w zarodku moje powątpiewanie w to, czy go stać na taki ekspens.

66

Niczym w wiekach ciemnych wciąż powszechnie wierzono, że płód przez pierwsze pół roku znajduje się pod wpływem Jowisza, w siódmym miesiącu - Księżycy, w ósmym - Saturna, w

dziewiątym - znów Jowisza. Poza tym Jowisz co sześć lat, a Saturn co piętnaście wyznaczały korzystne lub niekorzystne koniunkcje dla określonej daty urodzin. Nie tylko dzień, ale nawet godzina narodzin były istotne, by na podstawie ówczesnego układu gwiazd doświadczony astrolog mógł postawić horoskop na całe życie człowieka. Mnie wszak mój mentor, pater Roch, nauczył, żeby ufać tylko w rozum i doświadczenie. Nie dałem jednak po sobie poznać, co sądzę o astrologii i podobnych bajdach, żeby nie sprawiać poczciwcowi przykrości.

- Wybornie - pochwaliłem. - Do czego zatem jestem wam potrzebny?

Lekarze rzadko przyjmowali porody, zostawiając to bywałym położnym, które potrafiły pomóc także w usunięciu niechcianego płodu, stosując w tym celu kolokwintę, aloes, szaleję jadowitą, szafran, olejek z mięty polejowej i z jagód jałowca. Nie bardzo wiedziałem po co, skoro podobno wystarczyło rzucać przez lewe ramię rozmaite przedmioty, albo po prostu osobiście zwrócić się do czarnego bzu z propozycją: „ty noś za mnie, a ja będę kwitła za ciebie”. Dopiero niedawno położnictwo z wolna zdobywało sobie jako taką pozycję w medycynie. O ile mnie pamięć nie myliła, to pierwszym (i jedynym jak dotąd) dziełem naukowym z tej dziedziny była u nas Nauka położnic ratowania i leczenia Jędrzeja Glabera, wydana przed półwieczem¹. Dzięki wieloletniemu asystowaniu ojcu Rochowi w szpitalu Duchaków, miałem o położnictwie całkiem spore praktyczne pojęcie, acz nie przepadałem za tą robotą.

- Dziecko ponoć jest źle ułożone... - wyjąkał. - A tak długo żeśmy na nie czekali... Ilem ja wydał na pieprz, goździki, cynamon i drugie zamorskie korzenie dla mojej Hildy, to lepiej nie mówić...

Drogie korzenie, ale także rozmaryn czy mięta, nie wspominając o suszonej krwi wróbla albo wodzie, która ogierowi (broń Boże wałachowi!) wyciekła z pyska, uchodziły za dobre leki na bezpłodność. Ich największą zaletą była nieszkodliwość, dlatego nie to mnie martwiło. Niewłaściwe ułożenie płodu było jednak zbyt poważną

¹ Kraków 1541.

67

sprawą, by ją lekceważyć, zwłaszcza jeśli położnica rodziła po raz pierwszy, a babka była bezradna.

- Macie krzesło porodowe?

- Nie wiem, o czym mówicie, panie... - wybąkał zaskoczony.

- Nie szkodzi. Pójdź ze mną. - Kiwnąłem na chłopaka z latarką, gdyż moja drzazga dawno się wypaliła. - A wy zaczekajcie chwilę, wójcie.

Zeszliśmy do loszku, gdzie pośród drugich zbędnych statków trzymałem rzeczony krzesło, użyte ostatnio przy pojawieniu się na świecie Kacpra juniora. Zalecał je ojciec wszystkich położników, grecki medyk Soranos z Efezu, już bodaj sto lat po Chrystusie. Znałem jego dzieło z łacińskiego, też wiekowego, tłumaczenia Muscia. Krzesło porodowe było bardzo

wygodne. Miało oparcie z tyłu i pod ręce, a siedzenie wycięte półkuliście, aby ułatwić położnikowi przystęp do brzemiennego łona. Dałem je słudze do wyniesienia, a sam poszedłem ubrać się odpowiednio i zabrać sakwę z narzędziami i podstawowymi lekami, do których dodałem jedynie laudanum oraz speculum, które jednak nie było pospolitym zwierciadłem a wielo-częściowym wziernikiem. Chlusnąłem wodą do kominka, bo nie chciałem, by dom zajął się od zabłąkanej iskry, skoro w stosownej chwili mógł zgorzeć dla dobra ojczyzny, planowo i patriotycznie. Schyliłem się i poklepałem po łbie strapionego Leżaka, który zaskomlał, ale nie wylazł spod łóżka.

Byłem rad, że nie zdążyłem osuszyć flaszki do dna, zresztą deszcz chłuszczący lico rychło mnie otrzeźwił. W egipskich ciemnościach, kuląc się dla ochrony przed zimnym wiatrem i zacinającym dżdżem, razem z objuczonym krzesłem porodowym pacholkiem deptaliśmy po piętach osłaniającemu latarkę Ziglerowi. Mimo późnej pory i paskudnej pogody o wyludnieniu się Garbar świadczyło to, że nie spotkaliśmy żywego ducha, nawet zdesperowanego rzezimieszka, i nie świeciło się w żadnej z niegdyś zapełnionych i tętniących gwarem spelunek. Kogo tylko było na to stać albo miał krewnych za murami, przeniósł się już do miasta. Została sama biedota, która nie miała się gdzie podziać. Dlatego nie dziwiło mnie, że zdążaliśmy na Tasenberg. Dziwne było raczej to, że zamożny Zigler został na zagrożonym przedmieściu, i to z brzemienną żoną. Albo jako wójt był obowiązkowy i czuł się odpowiedzialny za suburbium i swoich ziomków, albo...

68

Nie byłem więc specjalnie zaskoczony powitaniem, które mi zgotowano. Kiedy bowiem dotarliśmy na miejsce, czyli do skromnego piętrowego domku ze staromodnym stromym dachem, na moje pytanie: „Gdzie położnica?“, usłyszałem: „Hier“ i zostałem wepchnięty do izby, w której czekało na mnie pół tuzina uzbrojonych po zęby cuchnących garbarzy z zaciętymi minami.

- Który z was ma rodzić? - zapytałem, ponieważ światło było kiepskie.

W odpowiedzi wymierzili we mnie rusznice, a któryś nawet przytknął mi wylot lufy do piersi.

- Wasi ludzie nie znają się na żartach, wójcie.

- Za to dobrze znają waszą mowę, przynajmniej niektórzy. Zatem lepiej ich nie drażnić - poradził mi, po czym dał znak i zaraz dwójka tamtych obmacała mnie w poszukiwaniu broni.

- A co do porodu, to w istocie czeka moją Hildę na dniach. Ale obejdzie się bez waszej pomocy, Hen Doktor.

Znaleźli sztylet i podali Ziglerowi.

- Nieładnie, mości Zigler - powiedziałem z wyrzutem. - Zwabiliście mnie w zasadzkę, o co mniejsza. Ale coś mi tu brzydko pachnie zdradą, a to gorsza sprawa. Rzekłbym: gardłowa. Masz jeszcze czas, by się wycofać. Błądzenie ludzka rzecz. Ze względu na starą konfidencję będę milczał jak grób.

- I tak będziesz, doktorze - rzekł ponuro. - Słyszeliśmy o twoich przewagach wojennych za zmarłego króla. I o przyjaźni z hetmanem Zamojskim. Już byś nie żył, gdyby nie to, że ktoś chce z tobą pogadać. Zaprowadźcie go do lochu - polecił zbrojnym.

Nie łudziłem się, że wyjdę stamtąd żywy. Dlatego wcale się tam nie wybierałem. Widziałem i słyszałem dość, przyszła pora pożegnać niegościnnego gospodarza i czym prędzej udać się z nowinami na Wawel. Gromada niedoświadczonych łyczków nie mogła mnie powstrzymać, mimo że zardzewiałem i byłem pijakiem. Już sięgałem po pistolet, by przystawić go do łba Ziglera, kiedy trzasnęły drzwi i ktoś zaczął się jak psiak otrząpywać z deszczowych kropel.

- Donnerwetter, co za paskudna aura! Ej że, co robicie? Przeszukaliście go aby dokładnie?

Tego nie przewidziałem. Znałem ten głos!

- Ja - potwierdził ktoś.

69

- Zaraz się przekonamy. Hola, rączki do góry, panie l\iropoński! A swoją drogą, Ryx podobało mi się bardziej. Bez urazy.

- Mnie też - odrzekłem bez urazy.

Moja sytuacja dopiero teraz stała się naprawdę poważna. Mogłem zapomnieć o łatwym wydestaniu się z obieży. Teraz czekała mnie ciężka walka o wolność, a pewnie i o życie. I każdemu odradzałbym postawienie na mnie choćby złamanego szeląga. Reinhold Kettler, bielak, profesjonalny zabójca, był przeciwnikiem, którego nie sposób lekceważyć. Nasze drogi krzyżowały się o wiele za często jak na mój gust. Teraz też od razu wymacał mój pistolet wsunięty z tyłu za pasek i lufą wyciął w gębę tego, który zapewnił go

0 dokładnym przeszukaniu mnie.

- Głupcze! - warknął. - Gdybym nie nadszedł w porę, wszyscy bylibyście już martwi, a nasz ptaszek w drodze do hetmana!

- Nie przesadzajcie, Hen Kettler - mruknął wójt.

- Nie znacie imć Ryksa, pardon, pana Tbropońskiego, tak dobrze jak ja, Herr Zigler. Nawet tuzin takich jak wy nie dałby mu rady. Uwierz mi. Ej, ty tam! Ściągnij mu buty!

Wskazany podskoczył jak oparzony i z wielką gorliwością rzucił się wykonać rozkaz, w wyniku czego po chwili stałem na bosaka na zimnych kamieniach, nabawiając się reumatyzmu, oni zaś wzbogacili swój arsenał o dwa odebrane mi noże z płaskimi trzonkami.

- Widzicie, durnie?! A nie mówiłem? - tryumfował albino.

- Skąd wiedzieliście, panie? - spytał go Zigler z szacunkiem.

- Stąd, że chodzimy z Ryksem w podobnych butach. Ręce! - To było do mnie.

Podałem mu złożone dłonie, ale tylko się zaśmiał drwiąco, mrużąc pod nosem: „Nie obrażaj mojej inteligencji”, po czym wykręcił mi je w tył i dopiero wtedy związał na plecach, fachowo

1 ciasno.

- Teraz możecie go dołączyć do tamtego - powiedział do zbrojnych pacholków, a do mnie rzucił: - Wkrótce zagładnę do ciebie, Ryx, to sobie pogadamy do syta.

- Zagładaj, kiedy zechcesz, Kettler, na pewno mnie zastaniesz. Chwilowo nigdzie się nie wybieram.

Loch, do którego kazano mi zeskoczyć, w najmniejszym stopniu nie troszcząc się o całość moich kości, nie miał choćby najmniejszego okna, za to bardzo solidną kratę z jeszcze solidniejszą

70

zasuwą, był ciemny choć oko wykol i bardzo wilgotny. Z powodu długotrwałego deszczu wezbrała niedaleko płynąca Rudawa i okoliczny grunt bardzo namókł. Nawet słoma, na którą spadłem, była obrzydliwie mokra. Na domiar w stęchłym powietrzu wyczułem nutę, którą dobrze znałem. Duszącą woń krwi. Wyciągnąłem rękę i wymacałem coś lepkiego. Było to ciało ludzkie, dosłownie całe zjuzzone. Brak było oznak życia, krew też już prawie zakrzepła, co świadczyło, że zmarł jakiś czas temu. Przepłoszyłem szczura, który zdążył napocząć nieboszczyka, odsunąłem się od niego jak najdalej i zacząłem myśleć, bo w takich warunkach na sen nie było nadziei.

W pułapkę wszedłem z otwartymi oczyma. Bo choć uwierzyłem w historyjkę o rodzącej, to jednak od początku podejrzewałem, że to jedynie dobry pretekst, by wywabić mnie z domu, co dawało mi wyborną okazję dotarcia do ewentualnych spiskowców. Jednak dalszy bieg wypadków mnie zaskoczył. Szczerze rzekłszy, nie przypuszczałem, że trafię na równorzędnego przeciwnika. Złamałem starą zasadę: nie zakładaj, że wróg jest głupszy od ciebie, i oto zostałem ukarany.

Moje spacerunki po Garbarach nic mi nie dały, a przypuszczalnie przyspieszyły wypadki. Bo co prawda niczego podejrzanego nie wypatrzyłem i starałem się zachowywać ostrożność, ale jednak niewidzialny nie byłem. Musiałem się jakoś zdradzić. Janka miała rację - starałem się i należało dać sobie spokój z inwestycją. Powinienem być jej posłuchać. Cóż, teraz mogłem tylko pluć sobie w brodę i mieć nadzieję, że kogoś zaniepokoi moja nieobecność. A w Leżaku przywiązanie do mnie weźmie górę nad niechęcią do opuszczania domu i wierny pies zechce doprowadzić do mnie wybawicieli jak po sznurku. Tego moi porywacze nie przewidzieli. Dobra nasza. Nie wszystko stracone. Wystarczyło jedynie nie dać się zabić do czasu nadciągnięcia odsieczki.

Nie wiem, czy minęła godzina, czy pięć, kiedy usłyszałem głosy, otwarto włącz, spuszczone drabinę i zszedł do mnie Kettler z zapowiadaną wizytą. W ręce trzymał zapaloną latarkę, za pasem miał mój nabity pistolet. Choć byłem związany, wołał nie ryzykować. Co znaczy reputacja! Nawet jeśli zostały z niej marne resztki, nie od razu rzucało się to w oczy. Przynajmniej w takim marnym świetle.

71

- Przyznaj, Ryx, że zaskoczył cię mój widok tam, na górze - powiedział, stawiając latarkę na mokrej polepie.

- Nic, co się z tobą wiąże, nie może mnie zaskoczyć, Kettler -odparłem. - Dziwię się tylko, że taki szczwany lis jak ty tak jawnie postawił na niepewnego konia.

- Myślisz o Maksymilianie? Owszem, przybyłem z jego wojskiem do Krakowa, ale nic mnie z nim nie łączy. Co innego przywiodło mnie do miasta.

- O! Czyżbyś fatygował się z mojego powodu?

Żachnął się i skrzywił z obrzydzeniem.

- Myślisz, że wyręczałbym się jakimiś śmierdzącymi łyczkami?! -Wskazał kciukiem w górę. - Szukam kogoś, lecz nie ciebie. Nie, tym razem spotkaliśmy się nieco przypadkowo. Zawdzięczasz to jemu.

Kopniakiem odwrócił trupa na wznak i oświetlił latarką.

- Poznajesz?

Musieli go długo torturować. Był zmasakrowany, ale mimo to rozpoznałem tę szczurzą gębę. Moje oko i ucho na Garbarach. Jeremiasz.

- Gdzie popełniłem błąd? - spytałem ponuro.

- Nie ty. To ten szczur. - Pogardliwie trącił zwłoki czubkiem buta. - Próbował grać na dwie strony. Chciał cię wydać Ziglerowi za sto czątych. Głupiec! Wzięli go na męki i raz-dwa dowiedzieli się wszystkiego za darmo.

Trochę mi ulżyło. Nie było ze mną jeszcze tak źle. Powinienem tylko na dal lepiej dobierać sobie informatorów.

- Ale - dodał albinos z krzywym uśmieszkiem - skoro o tym wspomniałeś, to owszem... Było na ciebie zlecenie, mospanie, a ja je przyjąłem.

- Od Zborowskich?

Cmoknął przez szparę w zębach.

- Poniekąd. Od Samuela.

- To stare dzieje. - Dwa i pół roku temu asystowałem przy straceniu Samuela Zborowskiego, mordercy i infamisty, do którego ujęcia się przyczyniłem. Uprzytomniłem sobie, że Kettler też tam był: umoczył chustkę w krwi nieboszczyka i pomachał nią w moim kierunku.

- Jednak wciąż aktualne. Dał mi na to pięć lat. Mam jeszcze trochę czasu. Ale, skoro nadarzyła się okazja, grzechem byłoby jej nie wykorzystać.

72

* *

- No to mi ulżyło, bo już myślałem, żeś zrobił się niesłowny, zwlekając tak długo. Albo, co gorsza, że otrzymujesz zlecenia za pośrednictwem nigromanty. A w ogóle to czemu mi o tym mówisz?

Milczał, gapiąc się na mnie nieruchomym wzrokiem bazyliuszka. Ale ja też byłem dobry w tego rodzaju zawodach. Wreszcie mrugnął bezręcznymi powiekami i odparł pytaniem na pytanie:

- Lubisz łowy?

- Nie bardzo - odpowiedziałem zaskoczony. - Towarzyszyłem Zamojskiemu raz i drugi na polowaniu w lasach wokół Zamchu, ale jakoś mnie to nie wciągnęło.

- Dlaczego?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem. Może dlatego, że człowiek zawsze ma przewagę. Nawet tak gruby zwierz jak żubr, najgroźniejszy w całej puszczy, w starciu z człowiekiem nie ma szans. No, chyba jeden tygrys lu-dojad, o którym gdzieś czytałem...

- Bzdura! - Czerwone ślepie rozjarzyły mu się diabelskim blaskiem. - Pewien Portugalczyk opowiadał mi, jak w Indiach polują na tygrysy ludojady. Myśliwiec przywiązuje kożę do drzewa i czeka do skutku. Mój Portugalczyk, by sprawę przyspieszyć, zamiast kozy użył Negra niewolnika. Miał jednak pecha. Raniona bestia umknęła i musiał pójść za nią ze strzelbą do puszczy. A jednak ubił zwierza, choć kosztowało go to nogę, niewolnika nie rachując. Ja z kolei zapolowałem raz w Finlandii na białego niedźwiedzia. Samo jeden i tylko z kuszą. I co? Ubiłem potwora, zanim zdążył mnie choćby drasnąć. Jaki z tego wniosek?

Znów wzruszyłem ramionami. Nie byłem w nastroju, by rozwiązywać głupie zagadki.

- Ty mi powiedz.

- Że jest tylko jedno stworzenie, z którym myśliwy może się zmierzyć jak równy z równym i poczuć ten niepowtarzalny dreszczyk, gdy je wreszcie dopadnie...

Zmroziło mnie, bo nagle pojąłem, do czego zmierzał. Zauważył to i uśmiechnął się bezkrwistymi wargami tak obrzydliwie, jak tylko on potrafił.

- Zgadłeś. Ten stwór to człowiek. Hej tam, łyeczki! Drabina! - zawołał w górę. - Na twoim miejscu - odwrócił się do mnie - pomyślałbym,

73

jak się stąd prędko wydostać. Na to, że twoi przyjaciele cię odnajdą, nie rachowałem wcale.

Był już na czwartym czy piątym szczeblu, w każdym razie za wysoko, abym zdołał go dosięgnąć, kiedy rzucił mi coś pod nogi i przyświecił, bym to rozpoznał.

- Nie musiałeś go zabijać! - wrzasnąłem wstrząśnięty, patrząc z bólem na oderżnięte ucho Leżaka. - Nigdy by mnie nie wytropił. Nie trafiłby nawet do miski z żarciem, gdybym ją wystawił do ogrodu.

- Skąd mogłem wiedzieć? - Będąc już na górze, nachylił się nad otworem, z którego zabrano drabinę. - Jeśli zechcesz go pogrzebać, znajdziesz truchło w zapuszczonym ogrodzie po sąsiedzku, w najgęstszych krzaczach. I jeszcze jedno: pozwoliłem sobie zostawić na twoim łóżku kartkę takiej treści: „Trafiłem na ślad i poszedłem za nim. Nie trąpcie się o mnie. Może mi zejść dzień lub dwa”. I podpis z pieczęcią. Sam widzisz, że musisz rachować tylko na siebie.

- Ha! - zawołałem z satysfakcją, bo nareszcie przyłapałem go na niedopatrzeniu. - Żona i przyjaciele doskonale znają moje pismo! Myślisz, że zwiedzie ich twój napis?

- Ty mnie jednak nie doceniasz... - westchnął z udawanym współczuciem. - W gospodzie „Pod Jeleniem”¹ w Rynku o każdej porze dnia i przez większą część nocy można zastać Pawełka Ki-chlarczyka, który za kielicha i dobrą opłatę bez skrupułów podrobi dowolne pismo lub pieczęć. Nie wiedziałeś o tym? Notabene, bardzo się do tego celu przydały twoje wojenne memuary. Ciekawa lektura. Masz talent.

Kiedy zgrzytnął rygiel kraty i znów zapadła ciemność i cisza, klapnąłem na moką i śliską polepę zupełnie wyzuty z sił, z poczuciem całkowitej klęski. Zostałem upokorzony i pobity na całej linii. Pora spojrzeć prawdzie w oczy: Kettler był lepszy ode mnie. Nie mogłem z nim wygrać. Złudzenia, że wybawienie przyjdzie z zewnątrz, w jednej chwili przysły jak bańka mydlana. Oszukiwałem się jak dziecko. W głębi duszy wiedziałem przecież, że Leżak nie nadawał się do tropienia. Ale jego śmierć i zaglądnienie do moich najtajniejszych zapisków, które chowałem nawet przed Janką,

¹ W kamienicy (narożnej z ul. Sławkowską, na linii A-B, pod nr. 36) zwanej Pod Jeleniem lub Ludwiguowską od właściciela z II poł. XVI w. Jakuba Ludwiga.

74

—

odczułem tak, jakby grzebano mi w bebeczach i wyrwano serce. Było mi niedobrze. Miałem ochotę zwinąć się w kłębek i ryczeć jak dziecko. Nie zrobiłem tego tylko dlatego, że nie umiem płakać. Rozpaczliwie łaknąłem gorzałki. W końcu jakoś wziąłem się w garść i zacząłem rozmyślać nad wyjściem z tej parszywej sytuacji. Ale nic nie wymyśliłem, za to widocznie zasnąłem. Zimno nie pozwoliło mi długo spać, więc jeszcze wiele razy budziłem się, aby potele-pać się i poszczekać zębami dla rozgrzewki, i zasypiałem na nowo. Straciłem rachubę i nie widziałem, czy to noc, czy dzień. Na dobre obudziło mnie szarpanie za ramię.

- Wstawaj! - ponaglił mnie pochylony nade mną człowiek. -Idziemy na górę!

Szarpnął mnie w celu dodania animuszu, a potem popychał, drapiąc się za mną. Na górze dwóch osiłków podjęło mnie pod ramiona i powiodło do kuchni, podczas gdy trzeci szedł z tyłu i trącał mnie końcem lufy gałacza, aby wybić mi z głowy myśl o ucieczce. Spodziewałem się egzekucji poprzedzonej torturami, ale czekała mnie miła siurpryza. W kuchni rozcięli mi więzy, podsunęli miskę zimnego mięsiwa i kubek cienkiego wina. Nie kazałem się prosić, bo chyba minęła doba albo więcej, odkąd miałem coś w ustach. Jeszcze nie skończyłem, gdy zjawił się Zigler z mocno strapioną miną i kiwnął na mnie:

- Pójdź za mną.

Poszliśmy po schodach na piętro, a trójka garbarzy za nami. Stanęliśmy przed uchylonymi drzwiami.

- Zostańcie tu - polecił Zigler swoim ludziom, po czym kładąc dłoń na klamce, powiedział do mnie: - Ona rodzi. Wody odchodzą, a położna jest bezradna. Pomożesz, doktorze?

Powinienem mu odrzec: przyszła koza do woza. I odesłać do diabła.

- Nie traćmy czasu - powiedziałem i przekroczyłem próg.

Gmach sypialny był tak obszerny i wygodnie wyposażony, że

zasługiwał na miano prawdziwie pańskiej kownaty. W kącie stał nawet nowomodny piec z ozdobnych kafli, wydzielając przyjemne ciepło, co było niezbędne, by nie zamarznąć, jako że okna pootwierano na oścież. Chociaż przybywałem z wilgotnej i przeraźliwie chłodnej nory, zrobiło mi się jeszcze zimniej. W wielkim małżeńskim łożu, pod baldachimem, spoczywała ledwie widoczna spod

75

stosu pościeli pojękująca położnica, przy której siedziała okropnie pomarszczona (połowę tych bruzd pot wyrzeźbił w grubej warstwie brudu) starowina, mamrocząc coś pod nosem. Pacierze albo jakieś zaklęcia. Na widok wójta wstała z uszanowaniem.

- Co z nią? - spytał niespokojnie Zigler, ruchem głowy wskazując leżącą.

- Źle - zaskrzeczało babsko, marszcząc się jeszcze okropniej. -Musi ktosik rzucił na nią urok...

- Nie gadaj bzdur! - ofuknąłem ją. - Co tam masz?
- To co trza - odburknęła, patrząc na mnie krzywo, i wydobyła zza pleców siekierę.

Trząśłem się z zimna, ale dopiero teraz mróz przeszedł mi po kościach.

- Oddaj to natychmiast! - wyszarpnąłem jej siekierę i rzuciłem wójtowi; zaskoczony, z trudem ją złapał. - Wójcie! Kазcie tu natychmiast nanieść dużo wrzątku, miednicę, ceber zimnej wody i drugi na brudy, czyste płótna i mydło. Chcę sam także widzieć zaraz moją sakwę z przyborami oraz krzesło porodowe. Nuże! I, do czarta! niech ktoś pozamyka okna i drzwi, zanim przeciąg zawieje położnicę, a nam pourywa głowy!

- Na czas porodu dźwi, okna, skrzynie i szkatuły muszą być po-rozwierane, a głowy rodzącej trza tykać siekierą! Zasię położnica winna dźwżyć w dłoni orli kamień, czorny jantar alibo agat! - protestowała położna. - Kożden gupi to wi!

W istocie, obie garście rodzącej były zaciśnięte. Zapewne tkwiły w nich wymienione kamienie. Pal licha, na razie mogła je sobie ścisnąć, nie zamierzałem ich odbierać, zwłaszcza że w jej oczach oprócz bólu widziałem także ogromny strach. Najwidoczniej kobieta także zdawała sobie sprawę, że coś idzie nie tak. Babka była mi potrzebna do pomocy, więc musiałem ją jakoś ugłaskać. Podczas gdy Zigler wydawał polecenia swoim ludziom, odciągnąłem położną na stronę.

- Babko - rzekłem konfidencyjnym tonem, biorąc babsko pod ramię - z pewnością macie ogromne doświadczenie i nielichą wprawę, czego nie neguję. Dlatego będziecie mi wielce pomocna. Na początek powiedzcie, co z płodem.

Burczała jeszcze przez chwilę pod nosem, po czym spojrzała na mnie łaskawszym, choć nadal zaropiałym okiem.

76

- Źle - powtórzyła. - Wszystko na opak.
- Czyli co? Dziecię wychodzi zadkiem naprzód?
- Żebyż to! Nogami!

Jezu Chryste! Dlaczego mi to robisz? Taka anomalia zdarzała się zaledwie w trzech lub czterech przypadkach na sto. Poród pośladowy, kiedy dziecko wydostaje się tyłem, jest wystarczająco niebezpieczny i complicare, ale nóżkami naprzód to już tragedia.

- Czy wody odeszły całkiem?
- Jeszcze nie. Stale się sączą.

To nie znaczyło nic. Wody płodowe albo odchodziły raptownie, albo stopniowo.

- Jakiej są barwy?

- Gut. Takie jak trza.

Znaczy przejrzyste, białawe lub słomkowe. Dobrze. Brązowe i jakby brudne mogłyby oznaczać odejście czopa śluzowego, niby korek zamykającego szyjkę macicy. W sumie nic groźnego. Ale gdyby były zielone, świadczyłyby to, że z dzieckiem jest niedobrze i wydalilo do pęcherza płodnego smółkę, czyli pierwsze wypróżnienie.

- Pojawiła się krew?

- Nein.

Chwała ci Panie na wysokościach! Nie doszło zatem do krwotoku wewnętrznego spowodowanego pęknięciem macicy. Był jeszcze cień nadziei.

Zrzuciłem kaftan i kiedy przyniesiono wodę, najpierw umyłem się nareszcie, potem w świeżej wodzie dokładnie wyszorowałem ręce, a następnie zmusiłem do tego położną. Pomstowała w głos, narzekając na moje niesłychane dziwactwa, ale byłem nieugięty, bo tak mnie nauczył pater Roch, mój mentor i fanatyk higieny. Przestała pyskować dopiero wtedy, gdy przyniesiono mi wygotowane we wrzątku narzędzia (metoda, którą sam wymyśliłem, wygodniejsza i chyba skuteczniejsza od wypalania przyrządów w ogniu), biorąc mnie za szalonego, a takim, jak wiadomo, lepiej się nie sprzeciwiać.

Wspólnymi siłami przenieśliśmy położnicę na krzesło porodowe. Bała się, bo nigdy o czymś takim nie słyszała, na szczęście dała się uspokoić i przekonać, że tak będzie wygodniej. Oddała nawet kamienie, zamiast nich kurczowo łapiąc oparcia krzesła. Kazałem „mądrzej kobiecie” stanąć za krzesłem i podtrzymywać rodzącą pod

77

ramiona, a sam obmacałem dokładnie wyдутy brzuch niewiasty. Po czym usiadłem przed nią na taborecie, podwinąłem pacjentce długie giezło i za pomocą wziernika zaglądnąłem do pochwy, przy okazji przypominając sobie całą moją niedostateczną wiedzę ginekologiczną, w warstwie teoretycznej zaczerpniętą głównie z ilustrowanego Ogrodu różanego niewiast brzemiennych i położnych Niemca Euchariusza Rosslina. Wszystko składało się tak niefortunnie, jak tylko się dało. Położnica była za stara na pierwszą ciążę, przekroczyła bowiem trzydziestkę, miednicę miała wąską, bardziej męską niż niewieścią, przypuszczalnie dwurozną macicę, a płód był mały i dlatego obrócił się w łonie.

- Czy poród nie jest przedwczesny? - spytałem, bo tego jedynie brakowało do kompletu, wyjąwszy ciążę mnogą.

- Nein. O czasie - odparła babka.

Dobre i to.

- Co z Hildą? - spytał cicho Zigler, chwytając mnie za rękaw. -I z dziecieniem?

Odciągnąłem go na bok.

- Niedobrze - oznajmiłem bez ogródek. - To poród pośladowy i na domiar ten gorszy, kiedy nóżki wychodzą pierwsze.

- Co to oznacza?

- To, że przypuszczalnie będziesz acan musiał wybierać - odparłem bez osłonek, bowiem nie widziałem powodu, żeby łotra oszczędzać. - Dziecię albo matka. Mogę rozkawałkować płód albo wykonać cesarskie cięcie, co oznacza prawie pewną śmierć twojej żony!

Przełknął ślinę, a w spojrzeniu, które posłał rodzącej (krzyknęła rozpaczliwie w tym samym momencie, jakby nas usłyszała), zobaczyłem rozpacz i wielkie miłowanie.

- Uratuj oboje - wychrypiał przez ściśnięte gardło.

- Dziecko przypuszczalnie jest zdrowe, bo mocno kopie. Ale to niemal na pewno dziewczynka, wskazuje na to mały rozmiar płodu - kusilem niczym wąż naszego praojca Adama w rajskim ogrodzie.

- Uratuj oboje - powtórzył, spoglądając na mnie z wyrzutem.

1 W cesarskim (stąd nazwa) Rzymie wykonywano je wyłącznie na martwych kobietach, by uratować dziecko, potem także na jeszcze żywych, ale aż do XIX w. z powodu zakażeń poród przez cesarskie cięcie kończył się najczęściej śmiercią matki.

78

Tym razem ja dla odmiany popatrzyłem na niego przychylniej.

- Dobrze. Wyznam ci, że gdybyś rzekł inaczej, umyłbym ręce. Nie jestem rzeźnikiem. Ale skoro podjąłeś taką, a nie inną decyzję, tedy mamy dwa wyjścia. Pierwsze jest ciut łatwiejsze. Polega na tym, że muszę doprowadzić dziecię do ułożenia pośladowego, to znaczy takiego, by pierwsze wyszły pośladki, a nie nóżki.

- Więc nad czym się tu zastanawiać?

- Ponieważ primo: nie wiadomo, czy uda się ułożyć płód po-śladowo, a jeśli to secundo: czy poród będzie także udany. A jeśli i to się powiedzie, jest jeszcze tertio: i tak nastąpią powikłania. Główka, wychodząc na ostatku, utknie w kanale rodnym, gdyż po przejściu ciała, które jest mniejsze, obkurczy się ścianka macicy. Albo dojdzie do innego urazu: główka odegnie się w tył. A tak czy owak, z pewnością dojdzie do wywichnięcia barków. Wasze dziecię będzie kaleką do końca życia, wójcie.

Otarł pot z czoła. Rodząca krzyknęła rozdzierająco. Musiałem się spieszyć.

- Jest inne wyjście? - spytał z nadzieją.

- Owszem. Skoro i tak trzeba obrócić płód, tedy lepiej od razu spróbować obrotu zewnętrznego na główkę, to jest obrócić dziecko do właściwej pozycji poprzez uciskanie powłoki brzusznej rodzącej. Jest wszak poważna turbacja: to się udaje zaledwie w połowie przypadków.

- Zatem zaczynajcie w imię Boże, Herr Doktor, i niech wszyscy anieli będą z wami.

Też sobie tego życzyłem. Zwłaszcza że trzęsły mi się ręce, i to bynajmniej nie ze strachu. Szlag! Prędzej czy później musiało do tego dojść, ale czemu akurat teraz, kiedy z kilku względów nie mogłem sobie pozwolić na pierwszy w życiu błąd w sztuce lekarskiej?

- Potrzebuję okowity.

- Chcesz ją upić?

- Niezupełnie.

Skinął na jednego ze swoich ludzi, odebrał od niego zawieszony u pasa bukłaczek i podał mi. Potrząsałem. Nie był pełny, lecz powinno wystarczyć. Odkorkowałem i wlałem w siebie całą zawartość. Zapiękło w trzewiach niczym żywy ogień. Nigdy nie piłem podlejszego trunku, jednak dobrze mi zrobił. Zwróciłem próżny bukłak, odczekałem chwilę, aż ustało drżenie rąk. Spokojnie wytłumaczyłem

79

położnicy, co będę robił, a Zigler jeszcze raz wyłożył jej to po niemiecku, po czym wziąłem się do dzieła. Masowałem nabrzmiąły brzuch, delikatnie próbując przesunąć małe ciało do należytego położenia, podczas gdy rodząca wrzeszczała rozpaczliwie, a położna darła się na nią:

- Przyj! Przyj z całych sił! Mocniej, do pioruna, bo się nie uda i zemrzecie oboje!

Ale niewiasta albo nie rozumiała powagi sytuacji, albo po prostu nie miała już sił, bo nie pomagała nam wcale. Co jakiś czas zmienialiśmy się z babką przy tej morderczej robocie, lecz z wolna stawało się jasne, że nic z tego nie będzie. Ręce nam opadły. Któreś z nich, a może nawet oboje, musiało umrzeć. I to ja będę musiał podjąć decyzję. Grzbietem dłoni otarłem pot z czoła. Umęczony, bezmyślnie gapilem się, jak babka wydobywa coś z zawiniątka w podołku, odlicza, wsypuje do małego moździerza ustawionego na stole, uciera, dodaje czegoś, lepi wszystko razem w pigułkę i podaje rodzącej razem z wodą do popicia.

- Co to? - Schyliłem się i podniosłem dwa fioletowe ziarna, które wypadły „mądrej” z zawiniątka.

- Mutterkorn. Znaczy...

- Wiem, co to znaczy. - Wiedziałem już w chwili, kiedy ją pytałem, tylko byłem zbyt otepiały, by to sobie uzmysłwić.

Jezus Maria! „Ziarno matek”. Sporysz. Piekielnie silna trucizna! Dotąd tylko słyszałem, że niemieckie położne stosowały go dla ułatwienia porodu. Ale dawkowanie musiało być bardzo ściśle przestrzegane. Niewielka ilość „ziarna” przyspieszała skurcze, lecz większa wywoływała poronienie, a jeszcze większa - silne zatrucie, drgawki, gangrenę i śmierć. W sumie nic nowego. Każdy lek, zażywany niewłaściwie lub przedawkowany, stawał się trucizną, a każdy jad w niewielkich ilościach bywał lekiem. Czasem jedynym. Jak być może w tym przypadku. Ja jednak nigdy świadomie nie odważyłbym się podać rodzącej sporyszu.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - zrezygnowany mruknąłem ponuro i zabrałem się do roboty.

O dziwo, po niejakej chwili pacjentka zaczęła współpracować jak należy. Jednak nadzieja, że wszystko dobrze się skończy, malała z minuty na minutę. Aż wreszcie, gdy już zupełnie wyczerpany z sił chciałem dać za wygraną, udało się!

80

- Przebóg, martwa! Nie oddycha! - histeryzował Zigler, kiedy babka sprawnie podwiązywała małej odciętą przeze mnie pępowinę.

Obróciłem dziecko, klepnąłem w pupę, potem wetknąłem wrzeszczące wniebogłosy w ramiona szczęśliwego ojca.

- Masz, naciesz się nią, zanim cię obwieszą za zdradę.

Wyczerpanej matce, którą przenieśliśmy z powrotem na łożo,

zaordynowałem laudanum na złagodzenie bólu i sen. Później umyłem ręce, nakazałem to samo uczynić babce, a potem otrzeć z krwi dziecko. Zgodziłem się, by położyła je przy matce, która bez tego nie chciała usnąć. Położna ofiarowała się czuwać przy obojgu aż do rana. Nie miałem tu nic więcej do roboty. Cofnąłem się i ciężko wsparłem o okienny parapet dla wytchnienia. Przypadkowo rzuciłem okiem przez okno i zmartwiałem. Deszcz nareszcie ustał. W resztkach zachodzącego słońca, pomiędzy tumanami wschodzącej mgły, ujrzałem dziesiątki sylwetek chyłkiem przemykające w naszą stronę poprzez ogrody karmelitów. Wojsko Maksymiliana! Jak przedostali się przez szańce i strażę? Widocznie prowadzili ich zdrajcy udający naszych. Nagle zrozumiałem: to wszak do garbarzy należało pilnowanie szajców od strony Kawiorów i Lobzowa. Zdrajcy przepuścili zdrajców. Czyżby zamierzali w nocy szturmować mury? Nie dając poznać po sobie zdenerwowania, które mnie ogarnęło, wdziałem kaftan i umyłem narzędzia przed włożeniem ich do sakwy. Przedtem niepostrzeżenie, a przynajmniej tak mi się zdawało, ukryłem w rękawie jeden z lancetów. W samą porę, bo przystąpiło do mnie tych samych trzech osiłków, którzy mnie tu przywiedli.

- Wybacz - rzekł Zigler z zakłopotaniem. - Nigdy ci się nie odwdzięczę za to, coś dla mnie uczynił, Herr Doktor, ale nie mogę cię wypuścić.

- Tedy na nic mi twoja wdzięczność - odrzekłem zimno.

- Nie wierz mu, Ryx - dobiegło spod drzwi, gdzie niedbale oparty

0 framugę stał Kettler, który nadszedł cicho jak duch. - Leje krokodyle łyzy, ale jeszcze tej nocy wyda cię w łapy Diabła Stadnickiego

1 weźmie za to sowitą nagrodę.

W tej chwili usłyszałem tupot wielu nóg na schodach.

- To żołnierze arcyksięcia - odpowiedział z satysfakcją wójt na moje niezadane pytanie.
- Tę noc przeczekają w domach na Tasen-bergu, a jutro skoro świt uderzą z zaskoczenia na Szewską brzoń.

81

A jak Bóg da, w południe cesarski brat zostanie panem Krakowa i całej Rzeczypospolitej. I co wy na to, mein Hen'1.

Zakląłem w duchu. To się mogło udać! Za wszelką cenę nie mogłem do tego dopuścić. Po to mnie zostawiono na Garbarach, a ja zawiodłem. Kiedy pomyślałem, co rozpasane wraże żołdactwo uczyni z nieszczęsnymi mieszkańcami miasta, z Janką i Kacprem juniorem, zrobiło mi się czarno przed oczyma. Widziałem już coś takiego, gdyśmy zdobyli Wielkie Łuki. Dlatego kiedy przystąpili, by mi związać ręce, wystawiłem je naprzód, a na dodatek nieznacznie rozstawiłem, by zyskać trochę luzu. Niczego nie zauważyli. Bałem się, że czujny jak żuraw Kettler, który przytknął na pożegnanie dłoń do ronda kapelusza, kiedy go mijalem prowadzony z powrotem do lochu, każe mnie związać porządniej, ale nie. Nie odezwał się słowem, tylko mrugnął do mnie króliczym okiem, jakby łączył nas jakiś sekret.

Moi strażnicy nie bardzo przejęli się tym, co zrobiłem dla wójta. W drodze na dół, kiedy przeciskaliśmy się między żołnierzami wypełniającymi prawie cały dom, szturchali mnie, śmiali się i gadali między sobą po niemiecku, a także zagadywali do ludzi Maksymiliana. Na koniec, jak poprzednio, kazali mi skakać do ciemnicy, zamknęli włącz i poszli sobie, opowiadając coś bardzo zabawnego, bo śmiali się do rozpuku.

Mnie nie było do śmiechu. Podczas lądowania pośliznąłem się i upadłem prosto do lodowatej wody. Pod moją nieobecność przybyło jej na stopę głęboko. Przemokłem w jednej chwili i natychmiast wyparowały ze mnie resztki ciepła, które przyniosłem ze sobą z nagrzanego sypialni. Zadygotałem. Póki jeszcze nie całkiem skostniałem, zabrałem się do realizacji planu, który sobie obmyśliłem. Po pierwsze - nie mogłem czekać, aż dotrze tu Diabeł Stadnicki, a może nawet Krzychnik Zborowski, bowiem z obydwojma miałem na pieńku, a „Krzychnik niecnota” wypalił mi ongi na piersiach pamiątkę, którą nosiłem do dziś. Po drugie - musiałem ostrzec Zamojskiego przed niespodziewanym szturmem. Wytrząsnąłem z rękawa lancet. Upadł do wody i długo musiałem grzebać po omacku, nim go odnalazłem w oślizłej brei, w którą z wolna zmieniało się rozmiękczone klepisko. Jeszcze dłużej zeszło mi na wymacaniu w

murze odpowiedniej szpary, w którą wcisnąłem płaski trzonek noża. Dwa razy się zaciąłem, trąc więzy o ostrze,

82

nim puściły. Kiedy wróciło mi do rąk krążenie, przystąpiłem do drugiej części planu.

Spłoszywszy już dwa szczury, w najlepsze konsumujące ka-dawera, i przewyciężając obrzydzenie, zacząłem ściągać z nieboszczyka, któremu już ustąpiło stężenie pośmiertne, wierzchnią kapotę, po czym ubrałem go w mój kubrak i zawlokłem na swój barłóg. Ułożyłem go tak, by z góry nie widać było twarzy. Rozplątałem powrozy moich pęt, a otrzymane sznurki powiązałem ze sobą. Uzyskałem sznur na ponad sążęń długi. Odciałem zbędny odcinek, który wrzuciłem do kieszeni. Resztę zaś przywiązałem do ręki trupa, by móc nią poruszać w celu upozorowania oznak życia, a sam zająłem jego miejsce. Krzątania nieco mnie rozgrzała, więc nie tracąc czasu, zacząłem na przemian to jęczeć, to głośno przyzywać strażników. Hiszyłem, że któryś zlezie zaniepokojony do lochu i w marnym świetle na chwilę weźmie Jeremiasza za mnie, dając mi czas, bym poczęstował go lancetem. Przy odrobinie szczęścia zdążyłbym wspiąć się po drabinie, zanim pozostali połapaliby się, o co chodzi.

Ale nie dane mi było przekonać się, czy plan by się powiódł. Osiągnąłem tylko tyle, że zdarłem sobie gardło. Co prawda w pewnej chwili zdało mi się, że słyszę na górze jakiś szmer i cichy szcęk zasuw, ale musiałem się pomylić, gdyż nikt się nie pojawił. Za to wody wciąż przybywało, i to w niepokojąco szybkim tempie. Widocznie w którymś miejscu puścił nasiąknięty wał na Rudawie i rzeka zaczęła wdzierać się do sklepów. Albo po prostu tak bardzo podniósł się poziom wód gruntowych. Niech to diabli! W jednej chwili było jej po kolana, a kilka zdrowasiek potem sięgała mi już do pasa. Brodząc z trudem, dotarłem do nieboszczyka, w którym nie nagromadziła się jeszcze dostarczająca ilość gazów, by mógł wypłynąć na powierzchnię. Przyciągnąłem trupa pod kratę, wlałem na niego i spróbowałem dosięgnąć powały. Nic z tego. Co gorsza, nagle ni stąd, ni zowąd pojawiła się głośno piszcząca gromada szczurów. Był ich dobry tuzin. Spanikowane miały się w topieli tam i sam, ocierając o mnie. Wzdragając się z odrazy, zakłułem lancetem trzy czy cztery, zanim pojąłem, że wcale nie miały zamiaru mnie kąsać, tylko także walczyły o życie.

Niedługo potrwało, nim straciłem oparcie dla stóp i musiałem zacząć pływać. Obróciłem się na plecy i starałem utrzymywać na

83

powierzchni, wykonując oszczędne ruchy rękoma i nogami. Patrzyłem w górę i choć nie widziałem kraty, to wiedziałem przecież, że tam jest. Zamknięta na głucho. Co będzie, gdy do niej dotrę? Znów spróbowałem krzyczeć, ale skutek był taki sam jak poprzednio - żaden. Ochryplem jedynie do reszty. Szczury pływały wokół mnie, aż wreszcie któryś odkrył, że oto pojawiła się żywa tratwa i hurmą wskoczyły na mnie niby do szalupy ratunkowej. Żeby się ich pozbyć, zanurkowałem. Kiedy wypłynąłem, poczułem, że dotykam głową kraty. To koniec.

Zostało mi tylko jedno - zanurzyć się jeszcze raz, po czym odbić silnie od dna, skulić, wykonać morzpręgi w drodze powrotnej i z całą mocą uderzyć nogami w kratę, modląc się, by jakimś cudem puścił rygiel. Na razie pochwyliłem palcami pręty, by podciągnąć się i po raz ostatni nabrać oddechu. Ale odpychając się, poczułem, że krata ustępuje. Nie była zamknięta! Tłukąc rozpaczliwie nogami, wypchnąłem ją i odwaliłem na bok, po czym podciągnąłem się na rękach i wypęzłem na wyższy poziom. Ale jeszcze nim cały zdążyłem się wynurzyć, gromada szczurów wspięła się po mnie jak po drabinie i z radosnym piskiem pomknęła przed siebie. Ociekając wodą jak utopiec, powlokłem się za nimi w stronę jedyne go nie-okratowanego okna piwnicznego. To znaczy krata w postaci trzech wmurowanych prętów niby była, ale jeden już odpadł do cna przerdzewiały, a pozostałe dały się bez trudu odgiąć. Okienko było tak ciasne, że zdarłem sobie chyba połowę naskórka, nim się przez nie precisnąłem. Myślę jednak, że byłem tak zdesperowany, iż nie będąc wcale bogaczem, zdołałbym przeleźć nawet przez ucho igielne, o dziurce od klucza nie wspominając.

Znalazłem się na podwórzu, o czym zorientowałem się nie od razu, bowiem wszystko otulała gęsta mgła. Za to dzięki niej udało mi się niepostrzeżenie wymknąć na ulicę. Znów kęs czasu zszedł mi na ustalenie, gdzie jestem i dokąd mam podążyć. W pierwszym odruchu chciałem pobiec do klasztoru karmelitów, ale w porę sobie przypomniałem, że stamtąd nadeszli maksymilianiści. Teraz, przynajmniej jak tylko sięgałem wzrokiem, nie było ich widać. Pewnie już pochowali się na kwaterach u garbarzy. Musiałem jak najprędzej dotrzeć do hetmana. Bramy pozamykano, ale miałem w kieszeni uniwersalny wytrych, przydatną pozostałość z czasów bujnej młodości, z którym się nie rozstawałem. Wystarczyło zatem przepłynąć fosę na

84

p y

wysokości ulicy Świętej Anny, gdzie była furta w murze, i otworzyć ją, by znaleźć się w mieście. Notabene, Diabeł Stadnicki też z niej skorzystał podczas bezkrólewia po ucieczce króla Henry kusa. Katolicy studenci zruderowali wówczas zbór kalwiński zwany Brogiem, a Stadnicki z czeredą podobnej sobie heretyckiej szlachty-rębajłów, wdarł się do miasta po zamknięciu bram i urządził żakom rzeź winowajców. Nabierałem powietrza w płuca, ciesząc się, że udało mi się wymknąć z pułapki. Jakoś sobie poradziłem. Z pewną dozą szczęścia, ale jednak. Audaces fortuna iuvat! Przemknęcie się do miasta wobec tego wydało mi się fraszką. Najgorsze miałem wszak za sobą. Zebrałem się w sobie, by ruszyć w drogę.

Wtedy usłyszałem świst i zaraz coś prasnęło w mur tuż przy moim uchu i upadło mi u stóp. Schyliłem się i podniosłem. Był to bełt. Gdzieś w otaczającej mnie mgłę rozległ się stłumiony chichot.

- Wiedziałem, że sobie poradzisz, luby Ryksie, gdy zobaczyłem, jak na oczach tych ślepych głupców chowasz do rękawa nóż chirurgiczny. Zresztą nigdy nie wątpiłem, że zawżdy potrafisz wykaraskać się z tarapatów. Acz przyznaję, że tym razem nieco ci pomogłem. Tuszę, że mi się odwdzięczysz. Pomniesz, co mówiłem o łowach na jedyną zwierzynę godną

prawego łowcy? Daję ci trzy minuty, potem ruszam za tobą. Nie zwlekaj, bo każda chwila jest bezcenna. Darzbór!

A to z murwy syn! Zboczony oprawca! Od początku chciał sobie urządzić na mnie polowanie. To dlatego poczęstował mnie gadką o myślistwie. To on odemknął kratę i odciągnął strażników. Nagły przybór wody nie miał znaczenia. W razie czego pomógłby mi się uwolnić w inny sposób tylko po to, by się ze mną potem zabawić jak kot z myszą. Przeklęty bielak! Oby z piekła nie wyrztał!

Niczym strzała wypuszczona z łuku pomknąłem przed siebie. Gnałem na oślep. Byle prędeej, byle dalej od prześladowcy. Ślizgałem się na mokrym gruncie, grzęzłem w oblepiającym błocie, przeskakiwałem mniejsze kałuże i wpadałem do większych, rozchlapując wodę na wszystkie strony, nim wreszcie pojąłem, że nie tędy droga. Albinos właśnie tego się spodziewał i musiałby być głuchy jak pień, żeby nie posłyszeć, kiedy tak pędziłem bezrozumnie, hałasując niczym dzik borujący buczynowe pole. Zdyszany stanąłem

1 Audaces fortuna iuvat (lac.) - śmiałym szczęście sprzyja.

85

jak wryty i zacząłem się uspokajać. Obolałe gołe stopy paliły mnie żywym ogniem, ale przynajmniej nie odpadały z zimna. Myśl, Kacper, myśl, bo inaczej nie przeżyjesz nawet kwadransa!

Na początek trzeba było zemknąć z widoku. Bo gdy tuman mgły nieco się na chwilę rozstąpił, okazało się, że sterczę na placu przed zamkniętą bramą Drzewianą niby kołek albo tarcza strzelnicza. Wokół żywej duszy. Tylko wezbrana młynówka szumiała niby górski potok. Wrocie wojsko już się zakwaterowało, a jeśli ktoś niewtajemniczony zoczył obcych żołnierzy, to siedział teraz wystraszony i obwarowany we własnym domu i nie w głowie mu były przechadzki. Dopiero bliżej szańców mogłem rachować na spotkanie jakiegoś patrolu. Kiedy to sobie uświadomiłem, padłem w błoto jak długi i to uratowało mi życie. Drugi bełt przemknął z wizgiem nad moją głową, ryjąc we włosach dodatkowy przedziałek i burząc czuprynę, która i tak nigdy nie była wypielęgnowana, ale poza tym nie czyniąc większej krzywdy. Poderwałem się natychmiast i pomknąłem skulony w bok, gdzie rozciągał się gaj, czy raczej dziki ogród zwany Rajem¹, miejsce latem doskonale nadające się do zabaw, ożralstwa i lasciwii pod chmurką. Po drodze nabierałem w garście gliniastej, tłustej ziemi i rozsmarowywałem ją po rękach i twarzy, aby nie rzucały się w oczy w ciemnościach.

Mgła znów zgęstniała, więc dopiero gdy tryknąłem czołem w pierwsze drzewo, pojąłem, że dotarłem, dokąd chciałem. Opadłem na kolana i zacząłem się przeciskać między krzakami. Wiedziałem, że aby podczas czołgania nie narobić rumoru, należy wciągnąć brzuch (z tym, mimo wieku, nie miałem turbacji, co wedle niektórych pacjentów nie stanowiło zalety - dobry lekarz powinien wyglądać jak pączek w maśle albo mój przyjaciel Italczyk Bucella) i poruszać się wyłącznie na czubkach palców, zarówno dłoni jak stóp. Łacno powiedzieć, trudniej wykonać. Mięśnie drżały mi jak w febrze z wysiłku, zwłaszcza że usuwałem z drogi

gałązki, aby któraś zdradziecko nie trzasnęła. Za to miałem pewność, że poruszam się naprawdę bezszelestnie. Na nic mi to się jednak zdało, bo zerknąwszy wstecz ujrzałem na moment błysk latarki, a potem usłyszałem Kettlera.

- Brawo, nareszcie ruszyłeś pomyślunkiem, Ryx. Twoje szczęście,

1 Okolice dzisiejszej ul. Rajskiej.

86

że nie zabrałem ze sobą jakiegoś psa. Lecz jakbyś się starał, ziemia jest tak mokra, że musisz zostawić ślady. Ergo wytropienie cię, to tylko kwestia czasu. Ale dank za to, że mi nie ułatwiasz zabawy. Tak trzymaj.

A zatem należało zmienić metodę. Na ostrożności zjadę nie dalej, jak wprost pod kuszę Kettlera. Musiałem szybko wymyślić coś nowego. Tylko że bycie łowną zwierzyną raczej nie sprzyjało twórczej medytacji. Cóż za absurdalna sytuacja! Najprawdziwsze łowy pośrodku zazwyczaj bardzo ludnego przedmieścia wielkiego miasta. To się mogło zdarzyć tylko tu i teraz, tej jednej jedynej nocy. Miałem pecha. Z całych sił usiłowałem powstrzymać ogarniającą mnie panikę. Myśl, Kacper, myśl. I oddychaj głęboko. Przestałem przykładać się do tego, by nie zostawiać śladów, choć nadal zależało mi na cichości. Już nie odrzucałem na bok napotkanych gałęzi, tylko zabierałem je ze sobą. Zwłaszcza te grubsze, krótkie i ostro zakończone. Uzbierałem ich sporą wiązkę, kiedy przedzierając się przez wyjątkowo gęste krzaki, wpadłem w głębszy dołek i trzymanym w garści kołkiem omal sobie nie wybiłem oka. Mimo to byłem zadowolony. Przypomniałem sobie nauki pewnego doświadczonego kłusownika, z którym krótko przestawałem w pradawnych czasach młodości durnej i chmurnej. Wyjąłem lancet i pracowałem gorączkowo kilkanaście pacierzy, obcinając świeże gałązki potrzebne mi do maskowania oraz ostrząc i osadzając te, które znalazłem po drodze. Zmysły także miałem do tego stopnia wyostrzone, że wyczułem nadchodzącego Kettlera po nieznacznym drganiu gruntu wcześniej, niż go usłyszałem i ujrzałem poświatę latarki - ledwo, ledwo przebijającą się przez zasłonę z śręczogi. Błogosławiłem tę mgłę. Była moim jedynym sprzymierzeńcem i nadzieją zarazem. Zdołałem oddalić się na kilka sążni zaledwie, gdy usłyszałem rumor, a potem głośne przekleństwa.

- Dobra robota, Ryx - doszło mnie przez śręcz. - Całkiem przyjemny wilczy dół zmajstrowałeś w tak krótkim czasie i w tak niesprzyjających okolicznościach. Winszuję. Ale muszę cię zmartwić. Oprócz rozoranej łydki nic mi nie dolega. Bacz, bo idę za tobą!

Odsądziłem się czym prędzej. Kiedy rzuciłem okiem za siebie, na ułamek sekundy zobaczyłem wyłaniającą się z mgły sylwetkę. Kettler wyraźnie utykał. Spodziewałem się lepszego effectusa, ale dobre i to. Starając się stąpać jak najciszej, przygięty do ziemi pomknąłem co

87

sił w nogach na północ, w stronę szańców i naszych straży. Pewnie były rozstawione z rzadka i może nawet niedbałe, skoro ostatnio nic się nie działo, ale do licha, prędzej czy później

musiałem się na nie natknąć. Zwłaszcza że od strony Zwierzyńca stróżowali ludzie Kozaka Hołubka, a nie zdradzieccy garbarze. Jednak wpierv hen, za rzeką i szańcami dostrzegłem słabą na razie łunę i doszedł mnie smród spalenizny, zanim jeszcze kłęby ciemniejszego dymu zaczęły się mieszać z mgielnymi oparami. Ktoś podpalił Kawiory, nasi albo tamci. Jednak nie miałem sposobności długo podziwiać pożogi, bo nagle wyszły ku mnie z mgielnego tumanu dwie uzbrojone sylwetki. Niższa trzymała w ręku latarkę.

- Werda?! - spytał wyższy, unosząc w górę lufę arkebuza.

Fala ulgi ogarnęła mnie tak nagle, że nogi się pode mną ugięły.

Byłem uratowany!

- Swój! - zawołałem półgłosem i uniosłem w górę ręce. - Nazywam się Ryx. Kacper Ryx-Turopoński. Mam ważne wieści. Trzeba natychmiast powiadomić hetmana!

- Spokojnie. Byłem pod Wielkimi Łukami. Znam imię Ryksa. Podejdź bliżej, niech się przekonamy, czy... - unosząc latarkę w górę, zaczął drugi, uzbrojony w alabarę, ale nie dokończył.

Bełt furknął mi koło ucha i zniknął w piersi żołnierza. Jego towarzysz skierował strzelbę w moją stronę, lecz nie zdążył wystrzelić i charcząc, zwałił się na ziemię, gdy kolejny pocisk przebił mu szyję. A więc ten diabeł Kettler przewidział mój zamiar, tak jak ja powinienem przewidzieć, że na to wpadnie. Byłem winny śmierci nieszczęsnych żołnierzy, jakbym sam do nich strzelał. Padłem na ziemię i odturlałem się na bok, zanim zdążył wystrzelić po raz trzeci. Z wolna zaczęło mnie ogarniać zniechęcenie. Obojętnie co uczynię, i tak mu nie ujdę. Odwlekałem jedynie nieuniknione. Nie poddawałem się chyba tylko z przyzwyczajenia, bowiem nigdy dotąd tego nie robiłem i nie wiedziałem, jak zacząć. Przystań się mazać, Kacper, weź się w garść!

- Wracaj natychmiast! - krzyknął niezbyt głośno. - I więcej nie próbuj szukać pomocy. Będziesz miał krew na rękach, bo zabiję każdego, do kogo się zbliżysz! Nie żartuję!

Nie wątpiłem, że spełni swą groźbę, łotr bezecny. Pokazał to dowodnie. Dlatego zmieniłem plany i kierunek ucieczki. Znow znalazłem się w Raju i od razu w kępie leszczyny, co natychmiast

88

poznałem po łupinach orzechów wbijających mi się w stopy i ucieszyłem się, bo oto pojawiła się bodaj ostatnia okazja, by unieszkodliwić Kettlera. Pozbywałem się tym sposobem także mojej jedynej broni, ale gra była warta świeczki. Szybko przygiąłem długą, elastyczną gałąź leszczyny, do jej końca odciętym kęsem sznurka pod kątem prostym przywiązałem lancet, a resztę linki wykorzystałem do skonstruowania misternej pułapki. Pokładałem w niej dużą nadzieję, bo była to metoda szerzej nieznaną (wpadłem na nią przed chwilą) i tuszyłem, że Kettler też o niej nie słyszał. Chyba że czytał w moich myślach.

Ledwo zdążyłem odpełznąć na stronę, kiedy nadszedł. Tym razem wyraźnie mu się spieszyło. Być może uznał, że zabawa przeciąga się ponad miarę. Pewnie dlatego stąpnął nieostrożnie na ruchomy korzeń, który w mojej machinie pełnił funkcję cyngla. Napięta przez sznur gałąź leszczyny została zwolniona. Odgięła się gwałtownie, a umieszczony na jej końcu nóż trafił w cel. Upewniło mnie o tym przeciągłe, pełne niewysłowionego bólu:

- Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa...Ryx, ty diable...

Może nie zginął od razu, może dogorywał i wystarczyło go dobić, ale nie to było mi teraz w głowie. Musiałem jak najszybciej dopłynąć Rudawą do grobli zwanej ulicą Wolską¹ (wiodącej z miasta ku Błoniom zwierzynieckim i dalej ku Woli Justowskiej), a stamtąd przedostać się intra muros. Nie kryjąc się już, pogałem ku rzece, rozpoznając kierunek po rybnej woni niesionej przez podmuchy wiatru, który nagle się zerwał. Rozproszył nieco mgłę, tak iż udało mi się zobaczyć zarys zabudowań Dolnych Młynów². Już wiedziałem, gdzie jestem. Na Krupnikach. Byliśmy tu z Kacprem juniorem na spacerze któregoś z ostatnich ładnych dni tej jesieni.

- Yyy - powiedział wtedy malec z przejęciem, wskazując palcem na rozlaną strugę u naszych stóp. - Lyba.

- Bóbr - poprawiłem go.

- Bób - zgodził się ze mną posłusznie.

Ja także nie mogłem wyjść ze zdumienia. Nigdy nie spodziewałbym się takiego widoku tak blisko miasta. Oto tam, gdzie spiętrzone wodę używaną do poruszania kół młyńskich, ujrzałem

1 Dziś ul. Piłsudskiego.

2 Okolice dzisiejszej ul. Dolnych Młynów.

89

parę uwijających się bobrów. Jeden podpłynął ku nam. Jego łebek unosił się ponad wodą, rysując V na gładkiej powierzchni tuż powyżej tamy. Mały Kacper klasnął w rączki. Spłoszony bóbr plasnął nagle płaskim ogonem, strzelając niczym z pistoletu, po czym zanurkował. Kręgi na tafli rozchodziły się coraz szerzej, aż znikły. Natomiast bobra było jeszcze widać chwilę w półprzezroczystej wodzie, zdążającego prosto do ukrytego w głębi wejścia do żeremia. Przebierał błoniastymi łapami, a czarny ogon łopotał za nim jak żywy, niczym chorągiew na wietrze. Gapiłem się, zafascynowany, bo dotąd tylko słyszałem od sędziwych starców, że drzewiej nad Wilgą w Ludwinowie częściej można było spotkać bobra niż człowieka. Ale do naszych czasów nie dotrwał ani jeden. Skąd zatem te się sam wzięły?

- Nie wiem - śmiał się młynarz, kiedy go o to zapytałem. - Zjawiały się pewnego dnia, pomyszkowały i zostały. Mnie nie wadzą, nawet bawiają. Ale nie pożyją długo. Już rybitwy, którym podbierają ryby, o to się postarają.

Popędziłem na niewysoki wał dzielący mnie od rzeki, a zbiegając, nabrałem rozpędu i z wyciągniętymi naprzód rękoma skoczyłem na głowę. Już w locie usłyszałem morderczy świst i poczułem straszliwy ból w płucach¹. A jednak nie zabiłem Kettlera. To on zabił mnie. Była to ostatnia myśl, nim moje bezwładne ciało z rozbryzgiem gruchnęło do wezbranej po deszczach rzeki i czarna jak smoła woda zamknęła się nade mną.

1 Hi: plecach.

rozdział 2 | OSAMOTNIONA

Kraków, listopad 1587 roku

- Musi tu gdzieś być!
- Ale nie ma. Przeszukaliśmy chyba każdy cal.
- Trzeba pomyśleć. Jesteś pewny, że powinno być tutaj?
- A niby gdzie indziej?
- W Wilnie. Albo w Knyszynie, ostatecznie tam król August bywał częściej nawet niż w Krakowie. Przynajmniej pod koniec życia.
- Ale krótko bawił incognito w Krakowie, niedługo przed śmiercią mistrza. Wiem to od Ryksa.
- Może on coś wie?
- Może. Ale lepiej go nie pytać. Bo co mu powiemy? A jeśli zacznie coś podejrzewać, to nie popuści. Będzie drażył dopóty, dopóki wszystkiego się nie wywie. Dobrze go znam.
- Masz rację.
- No to co zrobimy?
- Zaraz... Ale z nas głupcy! Kto był wówczas królewskim libra-riuszem?
- Górnicki.
- No właśnie! Kto zatem jak nie on będzie najlepiej wiedział, co król zrobił z księgą?
- Powinienem sam na to wpaść! Zaraz napiszę do niego list. Zna mnie i wie, czym się dawniej zajmowałem. Nie powinien się zdziwić ani odmówić przekazania informacji. Jeśli wie... - nagle wpadło mu coś do głowy i uśmiechnął się szatańsko. - Zaraz... Mam lepszy pomysł. Napiszę list, lecz nie w swoim imieniu.
- A czym?

Zrobił tajemniczą minę.

- To mój sekret. Pojmiesz wszystko, kiedy nadejdzie odpowiedź. A potem natychmiast wyruszę we wskazane miejsce.

91

- Dobrze.

- Zatem postanowione. Chodźmy stąd.

- Ale najpierw trzeba uprzątnąć ten bałagan. Z obecności tutaj od biedy jakoś się wytłumaczymy, lecz nie z tego...

Zaczęli zbierać z pawimentu porzucane księgi, manuskrypty i zwoje z mapami, i wkładać na półki.

- Ciii... Coś usłyszałem!

Zastygli i wytężyli słuch. Teraz i tamten usłyszał szmer za półką kryjącą przełaz.

- Jezu! Chyba nie domknąłem sekretnego przejścia! - Winowajca przełknął głośno ślinę.

Wyjął sztylet i skoczył w stronę regału.

- Oszalałeś? - zmiłgował go drugi. - Schowaj to żelazo! Lepiej pomyśl, co powiemy naszemu gościowi. No, na co czekasz? Otwieraj, głupcze. Może to tylko szczury. Śmiało! Raz kozie śmierć.

Ponaglony wziął głęboki oddech i pchnął ruchomy mebel. Regał zgrzytnął, wykonał ćwierć obrotu wokół własnej osi i odsłonił tajne przejście. Mężczyzna wetknął głowę w ciemność i zapytał:

- Jest sam kto?

Wtem zobaczył intruza i wpierw nie mógł uwierzyć własnym oczom, a potem odwrócił się i powiedział z ulgą do towarzysza:

- Spokojnie. To tylko dziecko. Na oko chłopczyk dwuletni albo niewiele starszy.

Spojrzeni po sobie.

- Jak tu trafił?

- Pewnie widział, jak wchodzimy do kanału. A potem przywiodła go sam smuga światła zza uchylonego abakusa...

- Co z nim poczniemy?

- Dobre pytanie...

Drezno, grudzień 1587 roku

Prowadzony przez dwóch drabów oświetlających drogę, kroczył mrocznym labiryntem lochów pod jedną z wież dreźnieńskiego zamku, z obrzydzeniem wdychając ohydny więzienny fetor. Starał się omijać wzrokiem ludzkie wraki wyciągające ku niemu błagalnie ręce

92

przez kraty i nie słyszeć ich jęków, błagań albo niemających w sobie nic ludzkiego skrzeków. Uważał jedynie, by nie powalać juchą (czy innym paskudztwem klejącym mu się do podeszew) drogich żółtych butów, które razem z żupanem z najkosztowniejszego ki-tajskiego jedwabiu oraz kontuszem z najprzedniejszej angielskiej wełny kupił specjalnie na tę okazję. Aby zaprezentować się w stolicy Saksonii jak prawy polski magnat utracjusz i olśnić indygenów z kurfirstem na czele, musiał sprzedać dwór w Krakowie i wszystkie najcenniejsze ruchomości. Stawiał oto na jedną kartę cały majątek, a także głowę, ale twardo wierzył, że nie tylko wyniesie ją cało, lecz także za jednym zamachem zdobędzie sławę, nieśmiertelność i niewyobrażalny skarb. Dlatego nie dopuszczał do siebie robaka zwątpienia. Stawka była warta najwyższego ryzyka.

Skręcili po raz kolejny i już z daleka dostrzegł pomieszczenie oświetlone o wiele lepiej od reszty kazamat. Była to tortornia vel męczennica. Poprzedzona jakby przedsionkiem będącym izbą sądową. Pod kamiennymi filarami sklepienia, przy ścianie, na której wisiał Ukrzyżowany, stał stół pokryty czarnym suknem, zawalony narzędziami do pisania, papierami, zwojami pergaminów, klepsydrą i lichtarzem z zapalonymi świecami. Razem z wetkniętymi w uchwyty w murze pochodniami oświetlały ponurą sceneryę.

- Aaaaaaaa... - rozległ się nieludzki jęk człowieka poddawanego straszliwej męce.

Przybysz uczynił kilka kroków i znalazł się we właściwej katowni. Nie potrafił nawet nazwać wszystkich narzędzi, piekielnych machin i skomplikowanych urządzeń wypełniających okropne pomieszczenie. Rozpoznał jednak, pospolitych dybów i kun nie licząc, stalowe, najeżone kolcami „hiszpańskie buty” do zgniatania stóp; „rękawice” do miażdżenia dłoni; kołowroty do naciągania ciała i wyrywania kości ze stawów; żelazne kola do łamania kości; „konfesjonał” - norymberski wynalazek w postaci krzesła z ruchomymi kolczastymi tarczami; „żelazną dziewicę” - figurę kobiety wybitą od wewnątrz ostrymi gwoździami, w którą wciskano więźnia; albo „gorącego byka” starożytnych Rzymian - pod jego żelazny brzuch z więźniem w środku podkładano ogień.

Na widok wchodzącego osoby otaczające łoże tortur rozstąpiły się, ukazując rozpiętego na ławie nagiego człowieka. To on wydawał

93

z siebie owe przeraźliwe jęki za każdym razem, gdy oprawcy, kręcąc kołem, napinali liny uwiązane do rąk i nóg nieszczęśnika.

- O! Imé Sendivogius! - rzeki miody człowiek w kosztownych szatach, zauważywszy gościa. - Witamy i prosimy bliżej.

- Wasza książęca mość... - Przybysz zdjął z głowy kołpak z czaplim piórem i machnął nim w niezbyt uniżonym ukłonie. - Wezwałeś mnie i oto jestem.

- I jak go waść znajdujesz? - zaciekawiał się elektor, niedbałym gestem pokazując torturowanego.

Polak pochylił się nad ofiarą. Był przerażony stanem więźnia, lecz nie dał nic po sobie poznać. Umęczony i wychudzony jak szkielet starzec nie spuszczał z niego wzroku, w którym ponad wszystko przebijało się zaskoczenie.

- Marnie.

- Właśnie! A mimo to nie chce nic wyjawić.

- Mnie wyjawi. Potrafię go przekonać. Byłem jego najlepszym uczniem.

- Słyszałem. Dlatego tu jesteś. Trzymam cię za słowo.

Zignorował pogroźkę wyraźnie słyszalną w tonie głosu. I bez

tego wiedział, co go czeka, jeśli powinie mu się noga. Wszak niedaleko, po sąsiedzku, Fryderyk Wirtemberski kazał na wzgórzu przy Bragu opodal Stuttgartu postawić pozłocaną szubienicę, na trzydzieści pięć stóp wysoką, specjalnie do wieszania na niej tych alchemików, którzy go zawiedli. Wtem poruszyły się spękane wargi męczzonego.

- Nic ci nie wyjawię! - wycharczał, patrząc na Sędziwoja z nienawiścią. - Zdrajca!

- Nie wie, co mówi - rzekł tamten na głos. - Od tortur miesza mu się rozum.

Pochylił się nad leżącym i syknął mu do ucha:

- Milcz, durniu, i rób, co ci każę, a wyciągnę cię stąd. Klnę się na Boga.

A do kurfirsta powiedział głośno:

- Będzie mówił. Ale koniec z torturami. Trzeba go przenieść w lepsze miejsce i muszę mieć do niego nieograniczony przystęp o każdej porze dnia i nocy.

Godzinę potem wchodził do okazałego domu, który wynajmował w mieście i w którym od tygodni podejmował najbardziej wpływową

94

szlachtę i najgodniejszych mieszczan, budując swój wizerunek dyplomaty cieszącego się laskami samego cesarza, a przy tym bogacza i potężnego maga. Ale pieniądze powoli mu się kończyły i musiał się pospieszyć, by zrealizować swój ryzykowny plan, dopóki miał na to środki. Wyczerpany, opadł na krzesło.

- Bodowski! Przynies wina i coś na ząb - polecił służącemu. - Jestem zupełnie wyczerpany z sił.

Kobieta, jeszcze dość młoda, z widocznymi pretensjami do elegancji i wciąż urodziwa, szeleszcząc kosztowną suknią, podeszła do krzesła, usiadła mężczyźnie na kolanach i zarzuciła mu rękę na szyję.

- Widziałeś go?
- Tak.
- Co z nim?
- Źle. Dotarłem do niego w ostatniej chwili.

Wysunęła język i jego wilgotnym koniuszkiem przejechała mu po małżowinie usznej, a potem delikatnie ugryzła w płatek. Zęby miała białe, kompletne i ostre jak u kota.

- Tedy może szkoda twojej fatygi? Zostawmy go i pojedźmy do Krakowa we dwoje.
- Nie waż się tak mówić! - Odsunął ją szorstkim gestem. - On jest dla mnie jak brat albo ojciec.

Skrzywiła się drwiąco.

- Ale to ci nie przeszkodziło, żeby uwieść mu żonę.
- Kto tu kogo uwiódł! - Parsknął szyderczo, po czym zdecydowanie zepchnął ją z kolan.
- Od teraz wracasz do swojej sypialni. I zajmij się winem dla strażników. Tylko dokładnie odmierz dawki. Tiiszę, że znasz się na truciznach tak dobrze, jak się chwalisz. Nie chciałbym zostawić za sobą gromady trupów.

Sztokholm, grudzień 1587 roku

- Ej, ty tam! Kop tutaj!

Wyznaczony sługa wziął oskard i posłusznie zaczął kopać we wskazanym miejscu. Nie było łatwo, bo choć zima jeszcze na dobre nie nadeszła, to gleba już zdążyła podmarznąć. Kiedy porozstawał

95

wszystkich, otarł pot z czoła i z napięciem jął śledzić efekty poszukiwań.

- Głębiej, głupcze! - zbeształ jednego z kopaczy, który jego zdaniem nie dość starannie przykładał się do roboty.

Trwało tak od dziewiętnastu lat. Od chwili, gdy Eryk Szalony został strącony z tronu, na który buntownicy powołali Jana III. Nowy król niemal natychmiast zarządził dokładne przekopanie ogrodów królewskich w Sztokholmie, gdzie, jak niosła fama, oblężony przez rebeliantów Eryk zakopał ogromne skarby. Poszukiwania nie dały rezultatu, lecz wciąż je ponawiano. Ledwie zryto całą ziemię, znów zaczynało z drugiego końca. Rozemocjonowany Jan III, z rozwianym włosiem, zmierzwiłą długą brodą i płonącymi gorączką oczyma

przebiegający ogród w tę i nazad i zagląający do każdego dołu z nigdy niegasnącą nadzieją, sprawił na przybyszu wrażenie nie mniej szalonego od brata.

Przybysz był jednak zbyt wytrawnym dyplomata, aby dać po sobie poznać, co myśli. Zresztą wiedział dobrze, że i Jan, i Eryk byli ulepiani z tej samej gliny. Obaj ze skłonnościami do porywów szewskiej pasji aż po napady prawdziwego szaleństwa, o brutalności nie wspominając. Toż Jan o mało co nie kazał wziąć brata na męki, aby wydusić zeń informację o ukrytym skarbie. Tylko wstawiennictwo Katarzyny Jagiellonki uratowało Eryka. Do czasu. Przed zatrutą grochówką nie mogła go uchronić. Z Wazów jedynie miody Zygmunt nie zdradzał żadnych objawów nienormalności i okrucieństwa nękających ród. Miał to po matce. Tym gorzej dla niego.

- Wasza królewska mość... - Odziany z hiszpańska w czerń rozjaśnioną dużą białą krezą pod szyją i koronkowymi mankietami u rękawów, poseł skłonił się nisko, także wedle hiszpańskiej mody, zamiatając poruszoną ziemię piórami z kapelusza.

- A! Doktor Georg Kai... Przychodzisz waść nie w porę. Jestem bardzo zajęty.

- Przykro mi to słyszeć, najjaśniejszy panie - odparł bez śladu przykrości w głosie niewzruszony wysłannik jego cesarskiej mości Rudolfa II, prostując się. - Ale wiadomo waszej wysokości, że zależało mi na spotkaniu, i to w cztery oczy. Tymczasem muszę już wracać, a wciąż nie wiem, jaka jest ostateczna odpowiedź waszej królewskiej mości i co mam przekazać ich wysokościom cesarzowi

96

oraz ambasadorowi króla Hiszpanii Filipa II przy osobie cesarskiej, don Guillenowi di San Clemente...

- Powiedz im, że nie znoszę nacisków. Nikomu bardziej niż mnie nie podoba się wola mego syna, by założyć polską koronę, ale to nie znaczy, że zabronię mu ją przyjąć, bo tak sobie życzą twoi mocodawcy, doktorze. Myślicie, że nie wiem, co się wam, papistom, roi? Że najchętniej wpędzilibyście ten kraj w ramiona Rzymu? Niedoczekanie!

- Czy to ostatnie słowo waszej królewskiej mości?

- Tak, do wszystkich diabłów!

Gniew króla spłynął po pośle gładko, jak woda po szarej bałtyckiej foce.

- Wasza wysokość nie pojmuje powagi sytuacji - rzekł zimno.

- Doprawdy? Tedy zechciej mnie oświecić - Jan III już ochłonął i w jego głosie pojawiły się tony niewróżące posłowi nic dobrego.

- Służę. To całe szukanie skarbu - zatoczył ręką krąg - nie ma najmniejszego sensu.

- Tak? A czemuż to?

- A temu, że tuż przed kapitulacją Sztokholmu wydobyl go nadzorca ogrodów pałacowych, wierny sługa Eryka XIV Francuz Jean Allard i zdołał wywieźć do ojczyzny - beznamytnie odparł Austriak, z satysfakcją patrząc na pobladłego nagle króla, a następnie wytoczył największe działo : - Ale to nie wszystko. Najgorsza z punktu widzenia waszej wysokości wieść jest taka, że Allard nie wydał tych pieniędzy i teraz oferuje wielkie sumy każdemu, kto podejmie się zrzucić waszą królewską mość z tronu. Nasi szpiedzy ustalili, że ofertę otrzymał już król francuski Henryk III, papież, inkwizycja, katolickich ksiąząt niemieckich i kondotierów włoskich nie licząc.

Jan III chwiał się jak po zainkasowaniu silnego ciosu, a bezlitosny poseł ciągnął bez ogródek:

- Allard zwlekał tyle czasu, bo podobnie jak wasza królewska mość nie mógł odnaleźć prawego następcy tronu szwedzkiego Gustawa Erikssona. Nam powiodło się to, co nie udało się Allardowi i waszej wysokości, mimo iż pilnie szukaliście od lat. Wpadliśmy na trop Erikssona. Allard i ci, którzy za nim stoją, już o tym wiedzą. Kiedy Eriksson znajdzie się w naszych rękach, wydamy im

97

go i udzielimy poparcia. Chyba że wasza królewska mość odwoła syna z Polski.

Umilkł i cierpliwie czekał na odpowiedź.

- Chcę gwarancji, że już nigdy nie usłyszę o Erikssonie. Ani

0 Allardzie - rzekł król po namyśle. - Takie są moje warunki.

- Myślę, że to się da zrobić - odparł Austriak ostrożnie. - Lecz znając bezrozumną niechęć Polaków do domu habsburskiego, wskazane by było, aby jego królewska mość Zygmunt III, ustępując z tronu, zaprotegował nań któregoś z arcyksiąząt. Być może obeszłoby się wówczas bez nowej elekcji...

Jan III uśmiechnął się przebiegle, bo właśnie wpadła mu do szalonej głowy nowa, wyglądająca bardzo obiecująco kombinacja.

- To dobra myśl. Kraków wart jest mszy. Być może w istocie dałoby się rzecz tak ułożyć, aby obie strony były ukontentowane.

- Nie pojmuję...

- Nie szkodzi - rzekł władca, który resztę czasu pozostałego po szukaniu skarbu równie bezskutecznie trawił na wymyślenie nowej religii, która godziłaby luteranizm z katolicyzmem. - Przekaż to swoim panom, pośle. Oni zrozumieją.

Jeszcze tego wieczora Jan III Waza podyktował sekretarzowi list do syna, w którym nie tylko kategorycznie wzywał go do powrotu do Szwecji: „Sceduj tron na Maksymiliana albo Ernesta

1 wracaj, ale nie wcześniej, nim dostaniesz pisemną gwarancję, że któryś z nich poślubi Annę". Dopisek brzmiał następująco: „Rozglądaj się aby pilnie, zali nie ujrzysz w swojej

bliskości stryjecznego brata Gustawa Erikssona. Sigrid, bawiąca przy twojej siostrze Annie, powinna go rozpoznać. Wiesz, co wówczas wypada ci uczynić. Nie łaż bowiem pozwalać rosnąć skrzydłom takiego ptaszka".

Nazajutrz po śniadaniu, już po wyjeździe cesarskiego posła, znów zebrał robotników z łopatami i oskardami i zagonił ich do rozkopywania ogrodu. Miał przy tym na wychudzonym obliczu chytry uśmieszek nieźrównoważonego doktrynera, który wszystko wie najlepiej i nikomu nie da się oszukać. Pod nosem mamrotał swoją dewizę: Deus protector noster!

- Deus protector noster (lac.) - Bóg jest naszym obrońcą.

98

Praga, styczeń 1588 roku

- Rabbi, ratuj! Goje wdarli się do miasta! Biją i gwałcą spotkanych na ulicy, wdzierają się do domów, rabują kramy! Sądny dzień!

Młody chłopiec, dziecko jeszcze, z obłędem w oczach wpadł do synagogi Staronowej, gdzie Jehuda ben Becalel właśnie intonował hymny rozpoczynające szabas, jako że zbliżał się piątkowy wieczór. Po zgromadzeniu przebiegł niespokojny szmer. Tylko rabin nie stracił spokoju.

- Zawrzyjcie dzwierza i zczekajcie tu na mnie. Niech nikt nie waży się opuścić świątyni. Niedługo wrócę - polecił i prędko opuścił bożnicę bocznym wyjściem.

Chyłkiem przebierając się do domu, słyszał brzęk rozbijanych szyb, krzyki napadniętych i wrzaski atakujących:

- Żydy, wynocha z Pragi!
- Na pohybel parchom!
- Bij-zabij nieprzyjaciół Chrystusa!
- Precz z czarnoksiężnikami i braćmi diabła!

Golem, nieruchomy jak skała, spoczywał tam, gdzie go zwykle zostawiał - w ciasnej klitce w oficynie. Pospiesznie wyjął mu z półotwartych warg pergamin z napisem met, czyli „śmierć”: an. Zastąpił go kartką z napisem: san, czyli emet, po hebrajsku „prawda”. Wymruczał jeszcze kilka formułek kabalistycznych, dmuchnął stworowi w usta, uderzył go w ramię i cofnął się o krok. Niesamowita istota raptownie uniosła powieki i powstała. Okrywająca stwora gliniana skorupa zatrzeszczała niczym nienaoliwiona zbroja i kilka grudek odpadło na klepisko.

- Pójdź - powiedział mag i poparł rozkaz gestem.

Stwór posłusznie poczłapał za swym panem. Przeszli przez dziedziniec i sień. Rabin otworzył drzwi. Na zewnątrz rozgrywały się dantejskie sceny. Rozszalała tłuszcza ze Starego i Nowego Miasta z dzikimi rykami uganiała się po ulicy za nielicznymi uciekającymi w panice Żydami.

Na szczęście większość z nich przebywała już w domach, szykując się do święta. Mimo to kilkanaście ciał spoczywało nieruchomo na bruku. Z wybitych okien sypały się na bruk sprząty. Hi i ówdzie pokazał się dym i płomień rozświetlające szybko zapadający mrok.

99

- Bij! - powiedział z mocą Marahal i uderzył pięścią w drugą, otwartą dłoń.

Bez słowa golem ruszył do walki. W pozornie niezgrabnych ruchach drzemała utajona zwinność i nieludzka siła. Wpadłszy w gromadę napastników szturmujących ratusz, gdzie schroniło się wielu napadniętych, rozdawał ciosy na prawo i lewo, a ludzie padali jak muchy. Brał po dwoje naraz, unosił bez wysiłku w górę i ciskał o bruk. Łamał kości jak drzazgi i rozbił czaszki uderzeniem pięści. Wnet w niebo buchnęły rozpaczliwe wrzaski niedawnych prześladowców:

- Na rany Chrystusa!

- Uciekaj, kto w Boga wierzy!

- Ludziska, ratunku!

Nareszcie stało się to, na co liczył rabin. Ktoś rozpoznał anioła zniszczenia, o którym, od czasu prezentacji w obecności cesarza, szerzyły się niesamowite opowieści.

- To golem!

- Golem! - rozniosło się dookoła i przerażony tłum jął wysypywać się z zajętych domów, rzucać zdobycz i czmychać, aż się kurzyło.

Jeszcze zanim od Hradczan nadciągnęło wojsko, by uśmierzyć tumult, było po wszystkim. Ocaleni ludzie pospieszili ratować rannych, znosić zabitych i szukać rozwleczonych statków. Jehuda ben Becalel zaś tym razem zaprowadził golema na strych synagogi Staronowej, gdzie ułożył go w wielkiej skrzyni i uścił na dobre, po czym zszedł na dół dokończyć śpiewanie hymnów, by można było nareszcie rozpocząć szabas.

Ale jeszcze tego wieczora zebrał rodzinę i rzekł:

- Golem zrobił swoje, lecz żałuję, że powołałem go do życia, by odbierał je innym. Dziś pojąłem, że uczyniłem błąd, uzurpując sobie prawo do boskiego tworzenia. Mój golem nie ocali naszego narodu. Musimy czekać na nadejście mesjasza. Ja zaś muszę natychmiast opuścić to miasto i całą winę za to, co dziś się stało, zabrać ze sobą, cesarz bowiem nie mógłby mi puścić płazem pogromienia chrześcijan. Wierzę wszak, że do mojego powrotu sprawa ucichnie. Zatem czekajcie na mnie. Jadę do Poznania. Nie wiem jeszcze kiedy, ale wrócę do was na pewno.

W nocy miał sen, który utwierdził go w słuszności postanowienia wyjazdu do Polski. Oto ujrzał małe dziecię z zapaloną świecą

100

nad głową, ku któremu zbliżał się anioł ciemności, i usłyszał głos mówiący: „Oto jest Megale Amukot, w którym mam upodobanie. Grozi mu wielkie niebezpieczeństwo. Musisz go ocalić dla mnie i całego Narodu Wybranego”. Potem zobaczył dom obok jakiejś synagogi i rozpoznał ją. Była to bożnica Stara w Kazimierzu leżącym nieopodal polskiej stolicy Kroke1.

Sprowadziliśmy się na Wawel 10 listopada. Byłam zła na Kacpra, dlatego ucieszyła mnie ta odmiana. A im dłużej patrzyłam na jego obojętną minę, mimo iż rozstawaliśmy się na czas przeprowadzki, tym bardziej byłam rada, że się na to zdecydowałam. Nic mnie tak nie złościło, jak to jego opanowanie. Nigdy się ze mną nie kłócił, nie wrzeszczał, nie uderzył. O sobie nie mogę tego powiedzieć. Kiedy miałam ochotę, wrzeszczałam na niego, choć już nie pamiętam dlaczego. Zawsze był jakiś powód. Czasem potrafił mnie zeźlić do tego stopnia, że rzucałam się na niego z pięściami. A on nic. Uśmiechał się tylko i robił uniki. Bardzo to było irytujące.

Albo to jego uparte trzymanie się Krakowa. Przyłgął do miasta jak rzep. Gdyby tylko zechciał, król Stefan z pewnością obdarzyłby go jakimś starostwem. Wystarczyło zresztą poprosić kanclerza Zamojskiego. Uczyniłam tak i poprosiłam w jego imieniu, a pan Zamojski od razu zaoferował mu na początek od siebie i swoich wysoko postawionych przyjaciół kilka propozycji objęcia urzędu podstarościego. Ale Kacper odrzucił wszystkie. Na próżno przekonywałam go, że praca inwestygatora i podstarościego w praktyce się nie różnią - obaj tropią złoczyńców. „Nieprawda - odparł. - Jako inwestygator przyjmuję tylko te sprawy, które mnie zainteresują. Sam jestem sobie panem. Podstarości to popychadło leniwego lub nieudolnego starosty. Kiedy jego zwierzchnik przebywa u boku króla albo zwyczajnie się bawi i korzysta z życia oraz wysokiego uposażenia, podstarości za małe pieniądze nadstawia łba. Zbiera guzy, a profity i chwałę - pan starosta. Podstarości samopas lub z małą gromadą sług za nędzny grosz tropi łotrów wszelkiej maści, narażając życie, bo nikt z herbowych, choć powinien, mu nie pomoże, zwłaszcza gdy chodzi o szlachcica. A jeśli jakimś cudem uda mu się aresztować złoczyńcę, przekupny albo zastraszonego sąd

1 Kroke - po żydowsku Kraków.

101

zapewne uniewinni go, zaś podstarości zyska sobie wroga na całe życie. O ile nie skończy się gorzej - zbrodzień bowiem może zaskarżyć go o bezprawne aresztowanie, wygrać sprawę w sądzie i puścić podstarościego z torbami i w niesławie albo ośmieszonego i upokorzonego. Tak się prezentuje nasz wymiar sprawiedliwości. Chciałabyś, abym stał się jego częścią i ofiarą zarazem?”. „Przesadzasz - odparłam. - Zresztą to byłoby tylko na czas jakiś, dopóki nie zwolniłby się wyższy urząd”. „Nie chcę”. „Nie masz ambicji. Tyle już osiągnęłaś i wystarczy? Chcesz zatrzymać się w połowie drogi?”. „A dokąd chciałabyś, abym doszedł?” „Jak najwyżej. Stać cię na to”. „Mylisz się. Nawet gdybym chciał, daleko nie zajdę. Już

urodzeni o to zadbają". „Nikt nie może zanegować twojej nobilitacji, bo zatwierdził ją sejm". „Owszem, ale to nie zmienia faktu, że dobrze urodzony nie jestem". „Skąd wiesz?". Wtedy po raz pierwszy się uśmiechnął. „Bo urodzeni zazwyczaj nie porzucają swych męskich potomków, chyba że bękarty. A któż chciałby być bękartem?" Był zadowolony, ale pogodził się z tym, gdyż nie miał żadnego punktu zaczepienia, by przeprowadzić inwestycję w sprawę własnej prozapii. Może pater Roch i cioteczka Balcerowa coś wiedzieli, lecz nigdy mu tego nie wyjawili. A teraz nie żyli, zaś sekret, o ile jakiś był, umarł razem z nimi. Mimo to Kacper umiał z tego żartować, choć pewnie w głębi duszy cierpiał jak ja, kiedy nie wiedziałam, kim jestem, mając jedynie pewność, że nie jestem taka sama jak Cyganie, którzy mnie wychowali. „Posłuchaj, żabko - zakończył dyskusję. - Nie ruszę się stąd. Najwyżej możemy kupić sobie lepszy dom przy rynku. To moje miasto i mój świat. Do końca życia będę zawieszony między dwoma stanami, tak naprawdę nie należąc do żadnego. Jeśli chcesz, odejdz i zabierz małego, żeby twój świat stał się jego światem. Będę cierpiał, ale dla waszego dobra jakoś się z tym uporam. A teraz wybac. Muszę się upić. Wychodzę".

Wiedziała, że nas miłuje, bo i ja miłowałam jego, dlatego nie mogłam odejść. Ani wcale nie chciałam, choć mu tego nie powiedziałam. Niech się trochę pomartwi. Potrzebowałam jedynie co jakiś czas odmiany, dlatego tak chętnie korzystałam z zaproszeń Zamojskiego na Wawel lub do Zamościa. Z jednym tylko nie mogłam się pogodzić - żeby narażał życie jako inwestygator. Musiał mi to przyrzec, acz widziałam, że nie było mu łatwo. Ostatecznie to

102

był jego żywioł. Wtedy zaczął na dobre popijać. Ale nie mogłam postąpić inaczej. Nie po tym, co stało się przed rokiem.

Od miesięcy nękał miasto hultaj, który zabijał na ulicach i na Podzamczu. Nie potrafili go ująć ani starościńscy, ani draby miejskie. Wiele razy się na niego zasadzali, ale zawsze im się wymykał. Znajdowano trupy, ale nie wiedziano nawet, w jaki sposób ci ludzie byli zabijani, ponieważ na ciele nie mieli żadnych śladów. Gdyby nie to, że w ostatnim przypadku nocny ront niemal przyłapał sprawcę na gorącym uczynku - ofiara właśnie padała, a zbrodzień porzucił ją i zbiegł - nie wiedziano by nawet, że chodzi o morderstwa. Dlatego poproszono o pomoc Kacpra, a on, oczywiście, zgodził się ochoczo. Wpierw przebadał tych zabitych, których jeszcze nie pogrzebano. I znalazł przyczynę zgonów - było nią wbicie w ucho igły. Dlatego brakowało krwi i śladów z wyjątkiem drobnego zająszenia ucha, czego nie dostrzegano lub lekceważono. Najbardziej podejrzani byli zatem krawcy i szpiglarze, ale Kacper szybko ustalił, że narzędziem zbrodni było szydło szewskie. Znając już modus operandi zbrodniarza i narzędzie zbrodni, mógł pozyskać więcej informacji, zarówno od podstarościego, jak hutmana. Dowiedział się, że w ciągu ostatniego półrocza, oprócz tych dwóch czy trzech ofiar, które już znano, były jeszcze cztery trupy, na których ciele nie stwierdzono widocznych obrażeń. Dwóch mężczyzn i dwie kobiety. W sumie bodaj trzech mężczyzn i cztery niewiasty. Z tych ostatnich jedna była wdową po rybaku, chętnie kojącą samotność w kielichu wychylanym „Pod Skałką", a druga dziewczką wszeteczną pracującą we własnym locum, ale klientów szukającą w „Drewnianej Klecie". Obie blondynki, z włosami

zaplecionymi w warkocz. Mężczyźni też byli niewysocy, podstarzali, łysawi, dobrze pijani, bo nawet po śmierci cuchnęli gorzałką na milę. Widać morderz nie porywał się na silniejszych od siebie ani trzeźwych. Wszystkich obrabowano, ale to nie mogło być głównym celem mordercy, gdyż ofiary nie były zamożne. Łączyło je jeszcze jedno - wszystkich zabójstw dokonano około północy w trójkącie pomiędzy trzema karczmami - „Skalką” vel „Smokową Jamą” pod Wawelem, „Drewnianą Kletą” u wylotu Grodzkiej i „Niegrabką” alias „Latarnią”¹ w Półwsiu Zwierzynieckim.

1 Zdaje się, że stała w okolicy dzisiejszego domu towarowego „Jubilat” i placu Kossaka, ponieważ wówczas właśnie to miejsce zwano Latarnią (może była tu wtedy, jak zazwyczaj na rogatkach, latarnia umarłych?).

103

Długie poszukiwania pośród szewców z Krakowa, Kleparza i Kaźmierza też dały w końcu efekt. A ponieważ najciemniej jest pod latarnią, Kacper trafił na ślad na ulicy Szewskiej w Krakowie, dwa kroki od domu, przewędrowawszy wprzód niemal całe Trójmiasto. Mistrz szewski, Kłofas Kikut, bez środkowego palca u lewej dłoni, czemu zawdzięczał przezwisko, kilka miesięcy wcześniej pozbył się czeladnika, Filipa Wąsa. A to z powodu córki, Klary, która była z Filipem zaręczona. Ale zerwała zaręczyny, gdyż narzeczony z powodu nieuzasadnionej zazdrości często wpadał w niepoohamowany gniew. Odpalony Wąs wpadł w szał i z zemsty uśmiercił wszystkie hodowane przez mistrza na zadzi króliki, wbijając im szydło w uszy. Mistrz wyrzucił czeladnika z domu, córce zabronił go opuszczać, a sam zawsze wychodził w asyście pieczystego ucznia uzbrojonego w solidną pałkę, ratując zapewne tym życie córce i sobie. Bowiem wszystkie ofiary niewiasty przypominały z grubsza Klarę, a mężczyźni - mistrza Kłofasa. Jednak nawet mając opis podejrzanego, nie udało się go zlokalizować.

Wtedy Kacper chwycił się wypróbowanego sposobu. A ponieważ nie miał pod ręką druha, który zwykle się tej roli podejmował, Staszka Żółkiewskiego, sam przebrał się za niewiastę z długimi, jasnymi kosami. Odradzałam mu to, błagałam, ale był nieugięty. „To szalenięć - powiedział. - Jest niebezpieczny, nieobliczalny i czujny jak dziki zwierz. Wywęszy strażników na milę i albo zbiegnie, albo ich pozabija, jeśli go zaskoczą. Muszę to zrobić sam”. Odtąd po ciężkim dniu, spędzonym bądź na wykładach w Collegium Maius, bądź w szpitalu Duchaków albo w lecznicy dla ubogich żaków przy Wiślniej lub na prywatnych wizytach u chorych, włóczył się nocami po spelunkach po obu stronach bramy Pobocznej. IYwalo to chyba ze dwie niedziele. Musiał być bardzo zmęczony, kiedy wreszcie dopadł tamtego. Gdy zwabiony hałasem znalazł ich nocny ront, zbrodniarz był ogłuszony, ale Kacper miał w ciele trzy dziury od szydła, w tym jedną, która o włos ominęła tętnicę udową.

Wtedy powiedziałam: dość! Posłusznie zaniechał inwestygacji, chociaż widziałam, jak bardzo mu tego brakowało. Łatwiej pewnie przyszłoby mu zrezygnować z leczenia, i to mimo iż uchodził za najlepszego medyka w Krakowie, a drzwi od naszego domu niemal się nie

zamykały. Szczerze powiedziawszy, to także mi przeszkadzało, aczkolwiek Kacper kazał wybić dodatkowy wchód z boku

104

W A

domu i przyjmował pacjentów w osobnej izbie. Zarabiał naprawdę dużo i na nic nam nie brakowało. Cóż z tego, skoro rzadko miał dla nas czas, biegnąc na wezwanie każdego biedaka na przedmieściu, a już obowiązkowo, gdy chorym i potrzebującym było dziecko. Mówił, że spłaca w ten sposób dług, który sam zaciągnął u ludzi takich, jak pater Roch i ciotka Balcerowa. I nie dał się przekonać, że własna rodzina jest ważniejsza. Twierdził, że wcale nas nie zaniedbuje, że mamy go do syta, a nawet (tu pił do mnie) wyżej uszu. Tak mnie to złościło, że kiedy wracał wreszcie chwiejnym krokiem (nieraz grubo po zmierzchu) do domu, drzwi do sypialni zastawał zamknięte. Za karę. A w końcu przestaliśmy razem sypiać. Wtedy pojęłam, że ukarałam się sama, lecz już było za późno, by się wycofać.

Starał się być dobrym ojcem, musiałam przyznać, co nie znaczy, że mu to wychodziło. Małemu Kacprowi poświęcał niemal każdą wolną chwilę. Zabierał go na spacer, opowiadał niestworzone historie, pokazywał ryciny ze swoich ksiąg. Żaden ze znanych mi ojców, czy to ze szlachty, czy z mieszczan, ani w ćwierci nie poświęcał potomstwu tyle uwagi. Wszyscy zostawiali malców pod pieczęą matek, co według mnie było rzeczą naturalną i słuszną. Kacper i pod tym względem był inny, więc miał inne zdanie. Ale ta jego inność, która kiedyś mnie w nim pociągała, zaczęła mi ciążyć. Lękałam się o dziecko, choć Kacperek był za mały, by rozumieć wszystko, o czym Kacper mu bąbał, ale on wyśmiewał moje obawy. Chyba dojrzeliliśmy już do jakichś poważnych decyzji. Rozważałam nawet wyjazd z Kacprem juniorem na jakiś czas w ojczyste strony, do Dynowa na Czerwonej Rusi, dokąd zapraszał mnie brat przyrodni Staś, teraz już młodzieniec prawie dorosły. Wahałam się jeszcze ze względu na jego matkę, a moją macochę Katarzynę, która za mną nie przepadała, kiedy życie samo za nas zadecydowało i oto przyszło nam opuścić nasz dom na Garbarach. Wcale nie byłam pewna, czy zechcę tam wrócić, gdy będzie już po wszystkim i wojna się skończy. Jeżeli w ogóle będzie do czego wracać.

A na razie byłam sama. Kacper zaglądał do nas codziennie, o ile nowe obowiązki mu na to pozwalały, głównie po to, by zobaczyć Kacpra juniora, i przed nocą wracał na Garbary. Wiedziałam, że kanclerz Zamojski zlecił mu jakąś ważną misję. Na pewno niebezpieczną, ale nie chciał się na ten temat rozwodzić i zbywał mnie ogólnikami. Zapewnił jedynie, że nie chodziło o ochranianie osoby

105

kanclerza. Bardzo mnie wówczas oburzyła ta propozycja, którą mu złożył pan Zamojski, na szczęście Kacper sam miał dość rozumu, by ją odrzucić. A ja ze swej strony wygarnęłam potem Zamojskiemu, co myślę o takim wystawianiu na szwank życia mojego męża. Kanclerz bardzo się sumitował i zapewnił, że już porzucił tę myśl i Kacper dostał zupełnie inne

zadanie. Ale nie chciał wyjawiać jakie. Ani on, ani Staszek Żółkiewski, który powiedział jedynie, że jest wojna i każdy musi spełniać swoją powinność wobec ojczyzny i prawowitego pana. Łatwo mu było mówić, bo wciąż pozostawał w kawalerskim stanie. Co prawda zaręczył się nareszcie ze swoim dawnym miłowaniem panną Reginą Herburtówną, lecz wciąż odkładał decyzję o ślubie, bowiem, jak sam powiadał, nie miał nic, co mógłby żonie ofiarować, okrom szabli u boku. W istocie, nawet ja musiałam się zgodzić, że nie była to rzecz, o której zazwyczaj najbardziej marzą narzeczone i czego oczekują po ślubie.

Zresztą rzadko widywałam i Stachnika, i jego ciotecznego brata, kanclerza, bowiem obu żywo zajmowała obrona miasta przed wojskami arcyksięcia Maksymiliana, które opasały miasto. Z tego powodu na zamku brakowało mężczyzn i ze wszystkim praktycznie musiałam sobie radzić sama. W tej sytuacji moje zadanie - przysposobienie palatium dominae Reginae, czyli Domu Królowej, jak potocznie zwano zachodnią partię zamku, na przybycie królowej Anny i jej siostrzenicy, także Anny, nie było proste. Ale lubiłam taką robotę i potraktowałam ją jako wyzwanie. Tym trudniejsze, że wielkorządca i niektórzy burgrabiowie (spośród aż dziewięciu), odpowiedzialni za poszczególne jego partie (formalnie podlegali staroście krakowskiemu, acz jego władza nie sięgała zamku), nie sprzyjali mojemu zleceniodawcy, Zamojskiemu, należąc do frakcji Zborowskich i po cichu zapewne sekundując rakuskiemu uzurpatorowi. Lecz nie śmieli się z tym zdradzać i zawsze w końcu uzyskiwałam od nich, czego potrzebowałam, ale lekko nie było i kosztowało mnie to sporo zdrowia i zabiegów. Na szczęście dużo życzliwości okazywał mi niestary jeszcze, czterdziestoletni i bardzo przystojny burgrabia, a zarazem żupnik krakowski Sebastian Lubomirski herbu Szreniawa, który miał ambicję wynieść swój ród wysoko i dlatego nie zadzierał z potężnym kanclerzem i jego protegowanymi.

W kwestii urzędzenia komnat dostałam wolną rękę, z czego rzecz jasna postanowiłam skorzystać, nikomu nie pozwalając się wtrącać.

106

Zresztą podkomorzy bawił przy królu (a marszałek nadworny Andrzej Zborowski, zdrajca, przy Maksymilianie), zaś ochmistrzyni Żalińska przy starej królowej w Warszawie, ergo mogłam postępować wedle własnego uznania. Znałam przy tym upodobania królowej Hanny, a jeśli idzie o królową, to słyszałam, że nie jest wymagająca. W przeciwieństwie do króla jegomości, swego brata, który ponoć hołdował ceremoniałowi panującemu na cesarskim dworze. Ale to nie było moje zmartwienie.

Rzuciłam się zatem w wir pracy, korzystając z pomocy nielicznej męskiej służby, która została w zamku, oraz kilku dworzan niskiej rangi, ich żon i własnych służących zabranych z domu, oprócz jednej, która miała zajmować się tylko małym Kacprem. Za życia króla Stefana królowa Hanna większość czasu spędzała w Warszawie, ale dobrze pamiętałam, jak był urządzonej Dom Królowej podczas jej bytności w Krakowie. Okazało się, że sporo sprzętów i wyposażenia albo wyparowało, albo zostało rozwłócone po całym zamku, przeto wiele czasu i zachodu zajęło mi ich odszukanie i ściągnięcie z powrotem. Nie mówiąc o odczyszczeniu i zawieszeniu opon oraz odgnojeniu wszystkich komnat i doprowadzeniu ich do świetności. A przy okazji usiłowałam z nielicznych pozostałych na zamku pańien należytej proweniencji

sklecić zaczyn fraucymeru dla szwedzkiej królowej. Dziewki były chętne, ale bardzo młode i nieprzyuczone, dlatego musiałam je uczyć od podstaw. Wszystko to pochłaniało mnie całkowicie, tak że nie miałam czasu martwić się swoimi sprawami. Tylko z Kacprem juniorem był kłopot, ponieważ większość dworzan, a nawet sług, odesłała swe rodziny poza miasto w obawie wojny, i chłopiec nie miał rówieśników do zabawy, zaś stara piastunka Zyta nie nadążała za ruchliwym i nudzącym się malcem, przeto często znikał jej z oczu i trzeba było go długo szukać. Zdaje się, że polubił to i traktował jako wyśmienitą rozrywkę, bo szukał coraz wymyślniejszych kryjówek i coraz trudniej go było odnaleźć.

Któregoś dnia natknęłam się na dziedzińcu zamkowym na starszego nad muzyką króla Stefana, imię Krzysztofa Klabona, któremu towarzyszył dobry znajomy z dawnych czasów.

- Wojtaszek! - zawołałam ucieszona.

- Jejmość Tbropońska! - krzyknął i padłszy mi do nóg, jął całować dłonie.

107

- Daj pokój! - Śmiejąc się, bo naprawdę ucieszył mnie widok znanej serdecznej twarzy, podźwignęłam go do pionu. - Nie godzi się tak nisko upadać, skoroś, jak widzę, wysoko zaszedł od naszego pośledniego widzenia.

Dawny bandurzysta Samuela Zborowskiego, który wykradł mu listy świadczące o zdradzie stanu, zaiste wyglądał zgoła inaczej, niż gdyśmy się poznali. Zmężniał, nosił się z pańska i na obliczu, teraz porośniętym krótko przyciętą brodą, miał wyraz powagi. Jakiś czas ukrywał się przed zemstą Samuela w gospodzie „U Balcera”, potem podjął pracę u sławnych lutników krakowskich, Mateusza Dobruckiego i jego ucznia, obecnie jeszcze sławniejszego od swego mistrza Marcina Groblicza. Straciliśmy się z oczu z chwilą, kiedy Kacper za pośrednictwem Zamojskiego polecił jego usługi królowi Stefanowi, gdy sprawa ze straceniem Samuela już nieco przyschła.

- A owszem - wtrącił kapelmistrz, także z ukłonem. - Nasz Wojtaszek to teraz prawy Wojciech i znaczna figura. Najpierwszy lutnista, śpiewak i kompozytor w kapeli jego królewskiej mości!

- Nie przesadzajcie, mistrzu - sumitował się Długoraj. - Azali nawet tak jest, wszystko zawdzięczam wam oraz państwu Turo-pońskiemu. A gdzież to szanowny małżonek waszej miłości?

- Nie masz go sam, mnie zasię samej przyszło zająć się urządzeniem dworu na przybycie królowej Hanny i królowej Anny. Przydałbyś mi się.

- W to mi graj - uradował się szczerze. - Szczególnie, że grania teraz co kot napłakał, a na wojenną potrzebę muzykantów nie biorą.

Tym sposobem zyskałam oddanego i chętnego do roboty (o ile nie miał prób albo napadu weny twórczej) pomocnika, któremu na dodatek zawsze udawało się zająć małego Kacpra grą lub śpiewem albo tym sposobem wywabić nawet z najlepszej kryjówki.

W czwartek, akurat kiedy tłumaczyłam nowemu kucharzowi, co najbardziej lubi stara królowa (oprócz ulubionej kaszy krakowskiej, którą kazała sobie posyłać do Warszawy), i wspólnie

1 Autentyczne - znany czytelnikom z poprzedniego tomu Długoraj został wpiery członkiem czternastoosobowej kapeli Batorego, a potem powiększonej do sześćdziesięciu osób kapeli Zygmunta III, którą do połowy lat 90. XVI w. kierował Klabon.

108

ustaliliśmy spis jadła na pierwsze dni po jej przyjeździe, odszukał mnie jakiś nieznajomy. Zażywny, pod pięćdziesiątkę, odziany na włoską modłę, z zaaferowaną miną.

- Wasza miłość mnie nie zna - rzekł, zamiatając czapką pawiment. - Jestem Antonio de Stesi. Właściwie szukam pana Ryksa--Turopońskiego. Alem nie zastał go w domu na Garbarach i powiedziano mi, bym spróbował tutaj.

Usiłowałam sobie przypomnieć, skąd znam to nazwisko, i nagle mnie olśniło. To był człowiek, który odkupił kamienicę w sąsiedztwie domu Pod Krzysztoforyl razem z alchemiczną pracownią po mistrzu Twardowskim. Przed wielu laty rozegrały się tam wydarzenia, które najchętniej wyrzuciłabym z pamięci...2

- Słyszałam o waszmości - odparłam. - Trudnisz się wyrobem fajansu alias farfury...

- Majoliki - sprostował. - Na mocy przywileju świętej pamięci króla Stefana z roku osiemdziesiątego trzeciego mam wyłączność na jej wypalanie i przedawanie w całej Rzeczypospolitej. Majolika to ekstraordinaryjny, uszlachetniony fajans na orientalną modłę, o cynowym szklowie i...

- Ach! Właśnie sobie przypominałam, że... - przerwałam mu, nieco zniecierpliwiona.

- To wszystko nieprawda! - teraz on, czerwony z oburzenia, wpadł mi w słowo.

- Co mianowicie?

- To że przedsięwzięcie upadło z mojej winy!

- Ależ ja nie...

- Podkrakowska glina jest do niczego! Albo drewno do wypalania kiepskie, albo sól z Wieliczki zbyt twarda! - rozindyczył się alchemik. - A najpewniej to wina tych dwóch łotrów, Michała Ten-duzziego i Klemensa AVECUDA, których na własną zgubę ściągnąłem z Italii!

Najlepsi fachmani od majoliki w Faenzie, paradne! Ordyna-ryjni fuszerzy, ot co! - wrzasnął na koniec.

- Wystarczy! - straciłam cierpliwość. - Nic mnie to nie interesuje. Nie zamierzam kupić właściwej farfury, czy też majoliki, więc marnujesz tylko mój i swój czas.

1 W XVII w. oba domy połączono w jeden pałac Pod Krzysztofony.

2 Szczegóły w I tomie przygód Ryksa.

109

- Scusi! Przepraszam! - zmiłgował się. - Najuniżej proszę o wybaczenie, ale, jak rzekłem, przyszedłem do pana Ryksa--Hiropońskiego...

- Niestety, tutaj także go nie ma. Ale mogę mu przekazać, jeśli się dowiem, o co chodzi.

Mina mu się wydłużyła, przestąpił z nogi na nogę.

- Nie, wolałbym osobiście. Przyjdę innym razem.

- A może jednak? - kusiałam, mimowolnie zaciekawiona, widząc, że aż pali się wyrzucić z siebie strapienie, które go sam przywiodło.

- No dobrze! - ustąpił. - Nie było mnie ostatnimi czasy w Polsce. Dom zaś stał rzekomo zamknięty, odkąd przegrałem w sądzie sprawę z tymi frantami Tenduzzim i Avedudem, i zabroniłem obu przekraczać moje progi. A tymczasem przyjeżdżam niedawno, cudem uszedłszy przed wojskiem arcyksięcia. Niby wszystko w porządku, dom zawarty naглуcho, ale schodzę ci ja do lochu, gdzie mam pracownię i cóż widzę?

- A skąd mam wiedzieć?

- Koła! Wielkie diabelskie kręgi z jakimiś cyframi dookoła wymalowane na klepisku! Nie znam się na tym zbyt dobrze, ale ktoś niechybnie uprawiał praktyki czarnoksięskie! W mojej pracowni pod moją nieobecność! O mamma mia, porca miseria! A któż by to mógł być, jak nie owe dwa łotry spod ciemnej gwiazdy Tenduzzi i Avedudo?! I dlatego jest mi potrzebny imię Ryx-Turopoński, sławny inwestygator. Żeby dowodnie wykazał, że to znaki diabelskie, doszedł jakie i przypisał je tym dwom łajdakom, a wtedy zobaczymy, co powie sąd i czyje będzie na wierzchu, kiedy znów ich oskarżę, tym razem o włamanie i czarną magię! Ha!

Wysapawszy się i wyzołdkowawszy, ostygła z wolna, a ja tymczasem zastanawiałam się. Niespodziewanie sprawa mnie wciągnęła i chętnie dowiedziałabym się, co znaczą owe dziwne koła z cyframi. Poczułam ten sam dreszczyk, który musiał nawiedzać Kacpra i popychał go do inwestygacji. Teraz sama nabrałam na nią skomy i zaczęłam lepiej rozumieć własnego męża.

- Dobrze, powtórzę wszystko mężowi, kiedy tylko się z nim zobaczę. Ale to może potrwać. A tymczasem ja mogłabym w wolnej chwili podejść i rzucić okiem na...

- Dzięki, ale nie trzeba! Zbytek laski i fatygi! - powiedział szybko. - Poczekam na pana Ryksa-Hiropońskiego. Owszem, zamierzam sprzedać dom i wrócić do Italii, ale nie pali mi się z tym. A zresztą teraz i tak nie da się opuścić miasta. Tedy proszę przekazać mężowi, że czekam na niego.

Skłonił mi się nisko i odszedł. Dobrze, że nie przyjrzał się mojej minie. Chętnie dałabym mu w gębę albo kopnęła w zadek. Zadufek! A cóż to, u licha! Czy niewiasty nie potrafią robić tego samego co mężowie, tylko lepiej? Czy nie udowadniamy tego co dzień? Tyle się nasłuchiłam od Kacpra i naoglądałam go przy robocie, a także przeczytałam wszystkie jego księgi, że o inwestycji wiedziałam tyle co on. Poza tym - nie święci garnki lepią. Oj, długo ty poczekasz, panie de Stesi, zanim przedstawię twoją sprawę Kacprowi! A niedługo zdziwisz się jeszcze bardziej niż na widok diabelskich kręgów, już moja w tym głowa...

Jednak nie znalazłam nazajutrz ani chwili, aby wyskoczyć do miasta, zaś następnego dnia miałam kolejnego gościa. Tego znałam. Był to profesor Marencjusz, prawa ręka wielokrotnego, a chyba i aktualnego rektora Akademii Krakowskiej, Glicjusza. Persona ważna na uczelni i szanowana w mieście i na zamku. Raz czy dwa przychodził do naszego domu z jakimiś zleceniami dla Kacpra.

- Sługa uniżony waszej miłości - powiedział grzecznie na powitanie, uchylając biretu. - Ja właściwie do męża waćpani...

- Nie ma go.

- A to pech. Byłem przed niewieloma chwilami w waszym domu na Garbarach i tam go też nie zastałem. Myślałem...

Zgadywałam, że może chodzić o sprawy wojenne. Wiedziałam, że niedawno hetman poprosił, by w razie oblężenia scholarzy, na ogół prędcy do bitki i z bronią obeznani, obsadzili mury wzdłuż dzielnicy uniwersyteckiej, od kościoła Świętej Anny po bramę Wiślną. Jednak władze wszechnicy odrzuciły ten pomysł, nie chcąc narażać się Maksymilianowi na wypadek jego zwycięstwa. Naraziły się za to wszechpotężnemu kanclerzowi i hetmanowi zarazem oraz swojemu dobrodziejowi, a mimo to Akademię i tak trzeba było zamknąć, gdyż część studentów nie wróciła po zeszłorocznej zarazie, a ci, co wrócili, na własną rękę poszli bronić murów. Być może Marencjusz przyszedł prosić, by Kacper ugłaskał jakoś hetmana Zamojskiego. Tym razem wszak, pomna doświadczenia z de Stesim, nie

narzucalam się z pośrednictwem. Ale Marencjusz sam o to poprosił, czym mnie ujął. I okazało się, że sprawa była zupełnie innego rodzaju, niż przypuszczałam.

- Z biblioteki uniwersyteckiej znów giną księgi.

- Może nie wróciły z wypożyczenia?

- Tych, a właściwie tej, nikt nie wypożyczał, nie ma o tym śladu w księdze wypożyczeń.
- Co to za księga? Ta zaginiona.
- Epistolae alchemicaeK Dzieło doktora medycyny i filozofii, zmarłego niedawno niegdysiejszego profesora naszej Akademii Kacpra Skarbimira. To rzecz rzadka. Nakład dawno się rozszedł, a my mieliśmy tylko ten jeden wolumen.
- Skoro nie była wypożyczana, tedy jakim sposobem spostrzeżono brak?

Spojrzał na mnie spod oka. Chyba z uznaniem. Spodobało mi się to. Zaiste, było coś podniecającego w fachu inwestygatora, przekonywałam się o tym coraz bardziej.

- Dobre pytanie. Nowy librariusz sporządził skontrum.
- Czemu zaginięcie jednej księgi wzbudziło taki niepokój?
- Bo niezwykajna to księga i zginęła z niezwykłego miejsca. Z bibliothecae secrétons. Nie ma śladów włamania, są za to ślady myszkowania. Tymczasem od sprawy, którą doktor Hiropoński ostatnio tam prowadził, tylko ja i rektor mamy przystęp do sekretnej biblioteki. Chcemy więc, aby znów przeprowadził inwestygację, wykrył, w jaki sposób ukradziono tę księgę, kto to uczynił i po co.

Ponieważ na to, by wpuszczono mnie w czcigodne mury Collegium Maius, nie było nadziei, zatem sama nie mogłam nic zdziałać, dlatego odparłam:

- Przekażę mu wszystko, jak tylko się objawi.

Wyznam, że z trudem dotrwałam do chwili, gdy mogłam nareszcie wymknąć się z Wawelu, co nastąpiło dopiero dwa dni później. Kiedy otworzył drzwi i po niejkiej chwili mnie rozpoznał, oczy zrobiły mu się wielkie jak talerze i wyjąkał:

- Wszelki duch Pana Boga chwali! Madonna mia! Jejmość Tii-ropońska!

1 Epistolae alchemicae, czyli Listy alchemiczne (zaginione; do dziś nie zachował się żaden egzemplarz).

112

Prawie to samo rzekł Wojtaszek, gdym przyszła do niego, by mi pożyczył któryś ze swoich ubiorów.

- Bójcie się Boga, pani - wyjąkał. - Tak się nie godzi... To jeszcze uchodziło, gdyśmy umykali przed Samuelem Zborowskim i jego zbirami, ale teraz? Toć wasza kondycja i pozycja na dworze...
- O to się nie trap - ucięłam. - To jak?

Marudząc i wzdychając, wyszukał jednak zupełnie przyzwoity strój, z którego wyrósł i w który wciskał się już z trudem, gdyż żał mu było się go pozbyć ze względu na ząbną materię. Odmieniona tak, że z trudem sama siebie poznawałam w zwierciadle, zostawiłam małego Kacpra podczas popołudniowej drzemki pod pieczę piastunki, i opuściłam Wawel przez nikogo nierozpoznana. Przemierzając ulice, utwierdziłam się w słuszności swojej decyzji. Nie była to dobra pora dla samotnej niewiasty na wędrówki po Krakowie. Wielu stałych mieszkańców, zwłaszcza tych zamożniejszych, uciekło na wieść o zbliżaniu się wrogich wojsk, hultaj-stwo wywołano, za to pełno było podpitych żołnierzy i rozmaitej hołoty z przedmieść, której popalono domostwa i która szukała schronienia wewnątrz murów. Niejednemu z tych hultajów świeciły się oczy na widok mojego dostatniego odzienia, ale wystarczyła pewna siebie mina i ręka na pożyczonym kordzie, by ustępowali mi z drogi. Zresztą obowiązywało prawo wojenne i nikomu nie było tajno, że pan hetman wielki nie zwykł certować się z gra-santami i gwałtownikami. Na rynku także, mimo zaostrożonych rygorów, więcej widziało się włóczęgów i żebraków niżli kupców i klientów. Połowa kramów była zamknięta, a przekupniów handlujących żywnością o wiele mniej niż zazwyczaj. Spowodowała to szalejąca drożyzna. Wojska Maksymiliana odcięły bowiem miasto od zaopatrzenia i żywność ceniono na wagę złota. Przykładowo masło podróżowało z kilkunastu groszy do czterech złotych za garniec, ćwierć wołowiny ze złotego do dwóch, to samo wieprzowina, kopa jaj z pięciu do dziesięciu groszy, kurczaki z półtora do trzech groszy, gęsi z dwóch do siedmiu, zaś proste giezło płócienne z sześciu do dwunastu groszy. Przeciętnie zatem wszystko zdrożało co najmniej dwukrotnie, o ile w ogóle było dostępne. Na Wawelu nie odczuwało się tego jeszcze tak bardzo, w domu na Garbarach także, bowiem wdzięczni pacjenci Kacpra z sąsiadującej z Garbarami Czarnej Wsi, słynącej z ogrodnictwa,

113

zapełniali nam loszek wszelakimi rolnymi płodami. Ale w mieście niedostatek rzucał się w oczy. Do domu sąsiadującego z Pod Krzysztofory dotarłam jednak bez turbacji.

- Mąż mnie przysłał - wyjaśniłam wciąż niemogącemu ochłonąć ze zdumienia i zgorzenia de Stesiemu. - Sam przybyć nie może, bowiem pochłaniają go ważne sprawy, lecz wasza, panie, bardzo go zaciekawiła i chce, bym skopiowała dla niego owe osobliwe kręgi.

- Skoro tak... Giuseppe! - zawierając drzwi, zawołał w głąb domu. - A chyba sam zaraz ze światłem! Ciężkie czasy... - Westchnął, zwracając się znowu do mnie: - Całą służbę mi wymiotło. Jedni uciekli z miasta, drudzy poszli do wojska.

Pojawił się siwy sługa, dla kontrastu smagły na licu jak prawy Italczyk, z zapalonymi latarkami w dłoniach.

- Prowadź do pracowni - odbierając jedno światło, polecił mu de Stesi po włosku, którą to mowę poznałam dobrze, w swoim czasie pobierając nauki u messer Giacomo Ventury, totumfackiego signore Montelupiego, naczelnika królewskiej poczty.

Wyszliśmy na dziedziniec, a z niego, krętymi schodami, w dół, do podziemi. Postępowałam za Józefem, a alchemik zamykał pochód. Staralam się ukryć wzruszenie, które mnie ogarnęło.

De Stesi nie wiedział o tym, że już raz tu byłam. Dawno temu, jako na-stółka. Wykradłam się wówczas w środku nocy z gospody „U Balcera”, gdzie wówczas oboje mieszkaliśmy, i poszłam ukradkiem za Kacprem, który wyprawił się sam, by odkryć sekrety mistrza Twardowskiego i zapolować na jego zabójcę Kettlera. Głupi! Byłby zginął, gdybym we właściwej chwili nie odwróciła uwagi mordercy. Łotr zranił mnie wówczas nieomal śmiertelnie i gdyby nie Kacper... Miłowałam go i wprzódy, ale gdy wyrwał mnie śmierci, wiedziałam już, że nigdy nie pokocham nikogo innego... Mój Boże, jak to było dawno! Wieki całe. Co się z nami i naszym afektem podziało od tamtej pory?

Zeszliśmy do przestronnego sklepu, najwidoczniej składu ma-joliki, bowiem na drewnianych półkach stało jeszcze nieco naczyń o rozmaitych kształtach, a na klepisku poniewierały się skorupy. Przez szerokie, łukowate przejście weszliśmy do sąsiedniego pomieszczenia, którego sporą część zajmował wielki piec.

114

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił de Stesi, stawiając latarkę na ziemi. - Ostrożnie, żebyśmy nie zdeptali rysunków. Giuseppe, poświęć sam.

Kiedy służący obniżył latarkę, zobaczyłam kręgi. Były trzy, stykające się wzajem. Narysowano je chyba kredą. Były nieco zamazane i miejscami niewyraźne, niemniej widoczne.

- A zatem to oznaka czarnej magii? - spytałam.
- Bez dubium. A konkretnie nigromacji, czyli wywoływania duchów - odparł alchemik.
- Skąd to waści wiadomo, skoro, jak powiadasz, nie parasz się czarną magią?

Mimo kiepskiego światła zobaczyłam, że się zaczerwienił.

- Bo nie, lecz my, alchemiści, ludzie scjencji, po trosze znamy się i na białej, i na czarnej magii. To w naszym fachu nieuniknione. Ale nie jestem czarnoksiężnikiem ani tym bardziej nigromantą, najlepszy dowód, że nie wiem, co owe koła oznaczają.
- A znaki wokół nich?
- Nie mam pojęcia.
- Ale nie masz nic przeciwko temu, bym je skopiowała?
- Proszę bardzo.

Byłam przygotowana, więc wyjęłam zza pazuchy złożoną czystą kartę papieru oraz kęsek węgla owiniętego w szmatkę i zabrałam się do pracy. Dwa kręgi były bliźniacze, otoczone powtarzającymi się sekwencjami buksztab I, H oraz odwróconego S, rozdzielonych krzyżykami. Natomiast trzeci krąg był inny. Wewnątrz miał wrysowany duży, równoramienny krzyż, mocno zdeptany, lecz niewątpliwy, któremu towarzyszyła strzałka. Pokazałam ją de Stesiemu.

- To chyba jesteśmy w stanie rozszyfrować. Tak zazwyczaj oznacza się kierunek. Jaki, waszym zdaniem?

Sama straciłam orientację w podziemiach, ale alchemista nie miał wątpliwości.

- Wschód.

- Na pewno?

- Tak.

Zajęłam się zatem znakami obiegającymi trzecie koło. Były osobliwe i nic mi niemówiące, okrom dwóch oddzielnie usytuowanych

115

liczb: 48 oraz 642, o ile na końcu w istocie była dwójka, a nie kolejne odwrócone S.

- Mówią coś waści liczby 48, 64 lub 642?

- Nic zgoła.

Staralam się odwzorować znaki jak najakuratniej. Kiedy skończyłam, powstał taki fizyrunek1:

- Skończone - rzekłam, składając na powrót kartę i chowając ją w zanadrze. - Znalazłeś waszmość jeszcze coś ciekawego?

- Nic.

Mimo to pożyczyłam latarkę i obeszłam wszystkie kąty, faktycznie nic osobliwego już nie znalazłszy z wyjątkiem sporej ilości na-kapanego wosku. Na moment oświetliłam miejsce w murze, gdzie po naciśnięciu odpowiedniej cegły odsłaniał się przełaz do sekretnej pracowni mistrza Twardowskiego, chronionej przez wymyślne pułapki. Na nowo ogarnęła mnie fala wzruszenia.

- Czy te sklepy mają połączenie z tymi pod domem Pod Krzysz-tofory?

- Nic o tym nie wiem. - De Stesi zrobił zdumioną minę.

A więc nie poznał tajemnicy Twardowskiego. Wynikało z tego, że z żyjących znała ją tylko trójca: Kacper, ja i... Kettler.

- Czy teraz Giuseppe mógłby już pościerać owe dowody diabelskich praktyk? - spytał alchemista. - Lękam się, by kto przypadkiem się o nich nie dowiedział i mnie o to nie obwinił.

1 Rysunek powstały ponoć wg doświadczeń S.A. Wotowskiego.

116

- Myślę, że tak, mistrzu.

Odetchnął z ulgą i kazał słudze brać się do roboty, a sam z galanterią odprowadził mnie na górę. Obiecałam mu, że jak tylko Kacper się czegoś dowie, natychmiast go powiadomi, i opuściłam miejsce, z którym wiązało mnie tyle wspomnień.

Z pierwotku zamierzałam wstąpić do gospody „U Balcera”. Od śmierci ciotki Balcerowej nie zaglądałam tam, a przecież lubiłam Niziołka i chętnie bym go odwiedziła i zobaczyła, jak mu się wiedzie. Ale przede wszystkim wiedziałam, że Kacper ostatnio często tam zachodzi, i miałam nadzieję go spotkać. Lecz ponieważ to nie było pewne, a zaczynało się zmierzchać, więc zdecydowałam się wracać do zamku. Nieliczni przekupnie już pozamykali kramy oraz stragany i poznikali z rynku, natomiast hołoty na ulicach jakby przybyło. Ciemność od zawsze była ich żywiołem. Nędznie odziani, o ziemistych licach i martwych ślepiach, wyroili się z jakichś zakamarków i łypali na mnie spode łbów, ale nie zaczepiali. Zdążając na Kanonną, skręciłam z Grodzkiej w zaułek Świętego Michała, kiedy na wprost Malowanego Dworu Tęczyńskich¹ poczułam, że ktoś od tyłu łapie mnie za ramię. A zaraz potem zakotłowało się wokół, rozległy się głuche uderzenia ciosów, z których żaden mnie nie dosięgnął, ktoś jęknął, ktoś drugi zaklął i splełany ludzki kłęb runął na burk, pociągając mnie za sobą. Równocześnie usłyszałam oddalający się tupot nóg i zobaczyłam pochylającą się nade mną niewymownie paskudną gębę. Krzyknęłam. Chyba nawet bardziej z odrazy niż ze strachu.

- Ciii... Nie uczynim ci krzywdy. Nie poznajeta mnie, pani? - wychrypiął obdartus, zionąc tak, że oddechu mógłby mu pozazdrościć smok wawelski.

- Nie! - burknęłam, ale przyjęłam uczynnie wyciągniętą, brudną jak święta ziemia dłoń, która pomogła mi się podnieść.

- Jam Kubrak, a to jest Dziura, mój kompanion.

Drugi włóczęga, o ile to możliwe, jeszcze brudniejszy i bardziej cuchnący od swego towarzysza, wyszczerzył dwa ostatnie czarne zęby w grymasie, który chyba miał być przyjaznym uśmiechem.

- Czego chcecie? - spytałam, schylając się i podnosząc kołpak, który spadł mi z głowy.

¹ Mniej więcej tam, gdzie dziś Muzeum Archeologiczne.

117

Nasadziłam go i schowałam pod spód włosy, aby nie gorszyć pobożnych kanoników, których gromadka właśnie podążała z naprzeciwka.

- My? Niczego. Żebrałim sobie właśnie u kruchty Świętego Szczepana¹ i popod tamecznym smyntorzem, kiedy ujrzelim jakowegoś panicza opuszczającego dom obok kamienicy Pod Krzysztofory. Oczy mam, nie chwalący się, jeszcze bystre, tom od razu rozpoznał jasną panią. Nie tak było, Dziura?

- Tak było. Rzekłeś: „O, niech mnie kule biją, zali to nie kobita panicza Ryksa. Cóż ona porabia w domu tego Italczyka?”.

Uwierzyłam im, że mnie rozpoznali nawet po latach i z daleka, bo niegdyś ta dwójka lotrzyków spod ciemnej gwiazdy próbowała mnie porwać na zlecenie Samuela Zborowskiego. Gdyby nie czujność Kacpra, wynieśliby mnie nieprzytomną nocą z gospody „U Balcera” niby oseska. Ale potem, gdy Kacper dał im za to szkołę, sumitowali się gęsto nieświadomością łączących nas stosunków, bo w istocie szanowali bardzo Kacpra, podobnie jak ich naczelnik, Król Żebraków. Musieli mnie sobie wtedy dobrze zapamiętać, lecz ja nie rozpoznałabym ich, nawet potknąwszy się o którego na ulicy.

- No więc kiedy ów człek poszedł za waszą miłością - ciągnął Kubrak - zaraz powiadam do Dziury: Oho, trza nam pójść za nim i chronić jejmość, bo źle mu ze ślepiów patrzy...

- Jaki człowiek? - spytałam oszołomiona.

- No taki jeden, w czarnej opończy z kapturem naciągniętym na głowę. Wychodził cheba ze Szczepańskiej ulicy i szedł ku rynkowi, gdy cię dostrzegł, pani. Wówczas przystanął, jakby go oczy myliły, cofnął się za róg domu Pod Gruszką, a potem polazł za tobą w ślad...

Niech to kaci! Byłam śledzona i nie zauważyłam tego. Zacerwieniłam się. A jednak miałam sporo do nauki, jeśli chciałam się bawić w inwestygatora. Nie było to takie proste, jak mi się zdawało.

- A kiedy ów zbliżył się do was, pani - wtrącił Dziura - wtedy my rzucili się na niego. Szkoda, że ucik. - Pomarkotniał.

- Nie szkodzi - pocieszyłam go. - Dobrze się spisaliście. Jestem wam wdzięczna za staranie i powiem o was dobre słowo imć Ryk-sowi.

1 Tam gdzie dziś plac Szczepański (kościół Świętego Szczepana rozebrano w XIX w., likwidując także cmentarz).

118

nOr

Nasadziłam go i schowałam pod spód włosy, aby nie gorszyć pobożnych kanoników, których gromadka właśnie podążała z naprzeciwka.

- My? Niczego. Żebrałim sobie właśnie u kruchty Świętego Szczepana¹ i popod tamecznym smyntorzem, kiedy ujrzelim jakowegoś panicza opuszczającego dom obok kamienicy Pod Krzysztofory. Oczy mam, nie chwałący się, jeszcze bystre, tom od razu rozpoznał jasną panią. Nie tak było, Dziura?

- Tak było. Rzekłeś: „O, niech mnie kule biją, zali to nie kobita panicza Ryksa. Cóż ona porabia w domu tego Italczyka?”

Uwierzyłam im, że mnie rozpoznali nawet po latach i z daleka, bo niegdyś ta dwójka łotrzyków spod ciemnej gwiazdy próbowała mnie porwać na zlecenie Samuela Zborowskiego. Gdyby nie czujność Kacpra, wynieśliby mnie nieprzytomną nocą z gospody „U Balcera” niby oseska. Ale potem, gdy Kacper dał im za to szkołę, sumitowali się gęsto nieświadomością łączących nas stosunków, bo w istocie szanowali bardzo Kacpra, podobnie jak ich naczelnik, Król Żebraków. Musieli mnie sobie wtedy dobrze zapamiętać, lecz ja nie rozpoznałabym ich, nawet potknąwszy się o którego na ulicy.

- No więc kiedy ów człek poszedł za waszą miłością - ciągnął Kubrak - zaraz powiadam do Dziury: Oho, trza nam pójść za nim i chronić jejmość, bo źle mu ze ślepiów patrzy...

- Jaki człowiek? - spytałam oszołomiona.

- No taki jeden, w czarnej opończy z kapturem naciągniętym na głowę. Wychodził cheba ze Szczepańskiej ulicy i szedł ku rynkowi, gdy cię dostrzegł, pani. Wówczas przystanął, jakby go oczy myliły, cofnął się za róg domu Pod Gruszką, a potem polazł za tobą w ślad...

Niech to kaci! Byłam śledzona i nie zauważyłam tego. Zaczerwieniłam się. A jednak miałam sporo do nauki, jeśli chciałam się bawić w inwestygatora. Nie było to takie proste, jak mi się zdawało.

- A kiedy ów zbliżył się do was, pani - wtrącił Dziura - wtedy my rzucili się na niego. Szkoda, że ucik. - Pomarkotniał.

- Nie szkodzi - pocieszyłam go. - Dobrze się spisaliście. Jestem wam wdzięczna za staranie i powiem o was dobre słowo imć Ryk-sowi.

1 Tam gdzie dziś plac Szczepański (kościół Świętego Szczepana rozebrano w XIX w., likwidując także cmentarz).

118

Sięgnęłam do sakiewki i dałam im garść miedziaków, które zabrałam na wszelki wypadek. Tak się ucieszyli, że z własnej inicjatywy eskortowali mnie prawie aż do zamkowej Dolnej Bramy.

- Bywaj zdrowa, jasna pani - rzekł Kubrak na pożegnanie, mrugając do mnie porozumiewawczo. -1 nie lękaj się, nie powiemy nic jego miłości Ryksowi.

- Będziem milczeć jak grób! - zapewnił Dziura, pokazując zepsute zęby w obleśnym uśmiešku.

A niech to! Ci dwaj obszarpańcy podejrzewali mnie o miłosną schadzke! Zrobiło mi się gorąco i poczułam, że zapłoniałam się, jakbym istotnie poczuwała się do winy. Ale nie miałam czasu roztrząsać tej kwestii, bo miałam ważniejszą turbację.

- Przepustka! - zażądał dowódca straży bramnej.

Prosta wycieczka do miasta, a błędów bez liku. Nie miałam się czym pochwalić. Jak głupia zapomniałam pożyczyć przepustkę od Wojtaszka (incognito nie mogłam się przecież posłużyć własnym glejtem), a oficer mnie nie poznał (na szczęście) i nie chciał przepuścić, ja zaś nie chciałam ujawnić mu przebrania, bowiem dosyć już się najadłam wstydu jak na jeden raz. Wtem, ku mojej niezmierzonej uldze, ktoś podjął mnie pod ramię i usłyszałam znajomy głos:

- Ja znam tego człeka i ręczę za niego. Przepuście nas, mości oficerze.

Staszek Żółkiewski. W samą porę!

- Cóż ma znaczyć ten strój, Joanno? - spytał z marszem na zazwyczaj gładkim jak u dziewczki licu, przez co przezywano go „nadobnym Zubem”(zęby też miał lśniaco białe), zatrzymując mnie przed katedrą. - Gdzie byłaś? Wiesz, że nie jestem wścibski, ale pod nieobecność Kacpra podjąłem się czuwać nad tobą i małym.

- Pewien alchemista przyszedł z osobliwą sprawą do Kacpra, a ponieważ go nie zastał...

- Zatem sama postanowiłaś zabawić się w inwestygatora - dokończył. - Bardzo niemądrze.

- Wiem, ale posłuchaj tylko...

- Opowiesz mi podczas wieczerzy. Albo lepiej nie. Wolę nie wiedzieć. Proszę cię za to, abyś na tym poprzestała. Inwestygacja to nie zajęcie dla niewiast. Wystarczająco niebezpieczne dla mężów. Już zapomniałaś, co spotkało Kacpra ostatnim razem i jak

119

ciosałaś mu za to kolki na głowie? Kto to powiedział, dobrze pamiętam: tylko głupiec, mając na pieczy żonę i małe dziecię, dla czezej satysfakcji wystawia życie na hazard?

Chyba wyczerpałam tego dnia zapas rumieńców z kilku lat wstecz i tyłuż na dal. Pocieszałam się tylko tym, że ten w półmroku był niewidoczny. W Rabsztynie od razu chyłkiem pobiegłam się przebrać do swoich komnat, a na wspólną wieczerzę z Zamojskim, Żółkiewskim i innymi wyższymi oficerami oraz ich żonami nie zeszłam, wyłgawszy się niedyspozycją i ufając, że Stachnik będzie trzymał język za zębami. Nie miałam ochoty wysłuchiwać przed spaniem kazania ze strony hetmana. Na szczęście obyło się.

Tego dnia nie miałam głowy, by o to spytać, więc dopiero nazajutrz dowiedziałam się, że Kacper nie odwiedził nas w Rabsztynie. To mnie jeszcze nie zaniepokoiło, bowiem zdarzyło mu się wcześniej raz czy dwa. Ale kiedy nie zjawił się i teraz, poszłam do Zamojskiego, by sprawdził, co się stało. Uspokoił mnie, mówiąc, że widocznie misja Kacpra tak go zaabsorbowała, że uniemożliwiła mu wizytę na zamku. Ale obiecał następnego dnia posłać

Żółkiewskiego do naszego domu na Garbarach. Spokojniejsza, poszłam spać, ale po południu do starego strapienia doszło nowe. Zaginął Kacper junior.

Zniknął jak kamfora i nawet Wojtaszek ze swoim śpiewem i muzykowaniem nic nie poradził. Odchodziłam od zmysłów, zrugłam piastunkę, która jak się okazało, ucięła sobie południową drzemkę. Babina się poryczała, a ja tylko straciłam czas, by ją uspokoić, bo przecież wiedziałam, jaka jest, i że nie powinnam się na nią zdawać, tylko znaleźć kogoś odpowiedniejszego. Nareszcie wzięłam się w garść i zarządziłam przetrząsanie zamku, planowo i systematycznie, przy pomocy wszystkich, których miałam do dyspozycji.

Łatwo rzec, trudniej wykonać. Zamek był olbrzymi. Miał trzy kondygnacje: przyziemie albo gmachy niższe (gdzie mieszkała czeladź - burgrabio wie mieli własne domy naprzeciw katedry), gmachy średnie i gmachy wyższe¹ oraz dwa główne skrzydła: wschodnie i północne, bowiem od południa był jeno obwiedziony arkadami maskujący mur zwany altaną, a od południowego

1 Tj. I i II piętro; mianem gmachów oprócz pięter określano także wystawne pomieszczenia, apartamenty.

120

zachodu - kuchnie królewskie. Izby mieszkalne znajdowały się w gmachach średnich: we wschodniej (z wyjątkiem skrajnych izb zajmowanych przez wielkorządcę) i północnej części króla jegomości, zachodniej - królowej. Z dziedzińca na pierwszy i drugi gmach, piano nobile² gdzie znajdowała się partia reprezentacyjna zamku (w której król spotykał się z postronnymi ambasadorami, senatorami i posłami, urządzano uczyty i bale), wiodły strome schody: Poselskie (od wschodu) oraz Senatorskie alias Królewskie (od północy)². Wszystkie komnaty były pogrupowane po kilka w układzie amfiladowym, z osobnymi wejściami (oddzielonymi od drugich drewnianymi kratami) od krużganków dla każdej grupy. Izby zaś dzieliły się na wielkie komnaty z kominkami oraz średniej wielkości stuby z piecami z łowickich kafli, pięknie formowanymi i glazurowanymi przez lepiarzy.

Do obu gmachów Domu Królowej wchodziło się ze schodów Senatorskich. Zaczęliśmy od sypialni królowej, to jest skrajnych izb na piano nobile, sąsiadujących z Górną Bramą zamkową, ponad którą znajdowała się stara i wielka izba zwana Laskowiec, gdzie ongi ucztowali królowie, a teraz jadalni dworzanie. Tę partię zamku³, czyli Dom Królowej, jako najpierwszą zaczął przebudowywać na włoską modłę król Zygmunt Stary (rękami i głową Franciszka Flo-rentczyka), wpierw dla matki - Elżbiety Rakuszanki, potem żony, włoskiej księżniczki Bony Sforzy. Do dziś stały tu sprzęty i widniały na ścianach obrazy, szpalery⁴ i pięknie tłoczone kurdybany, które królowa Bona przywiozła ze sobą z ojczyzny Bari. Niektóre miały nawet herb Sforzów zapożyczony (zdaniem Żółkiewskiego, który kiedyś dowiedział się tego od znawcy tych spraw imć Bartosza Paprockiego) od mediolańskich Viscontich, a przedstawiający węża (vel smoka) pożerającego Saracena. Taki sam, jaki

wykuto w głębi nad Górną Bramą, obok herbów Polski i Litwy (od przodka był łaciński napis Si Deus nobiscum quis contra nos⁵).

1 We Włoszech (i w ogóle zazwyczaj) było to dobrze nasłonecznione I piętro, na zamku wawelskim jednak takie warunki spełniało dopiero II.

2 Senatorskie nie są już takie strome, odkąd przebudowano je w barokowym stylu po pożarze w 1595 r.

3 W Domu Królowej obecnie mieści się wystawa stała „Wschód w zbiorach wawelskich”.

4 TU: ozdobne tkaniny.

5 Si Deus nobiscum quis contra nos (lac.) - jeśli Bóg z nami, któż przeciw nam.

121

Kacper junior bardzo lubił chować się pod łóżem królowej jejmości, próbował też nieraz po balaskach i kotarze wdrapać się na wierzch okrywającego je namiotu. Bynajmniej nie przerażały go także fizyrunki smoka pożerającego człowieka i mógł się im przyglądać bez końca. Jednak tym razem tutaj go nie było, ani zresztą w garderobie, ani w świetlicy alias auli vel wielkiej izbie królowej (zwanej salą Pod Panną albo Pod Meluzyną, od zwisającego z powały wielkiego kandelabra w kształcie połowy panińskiej postaci), obwieszanej flamandzkimi arrasami i drugimi cennymi oponami, gdzie królewska małżonka podejmowała gości. Zeszliśmy niżej, gdzie pomieszczenia nie były tak wystawnie urządzone, ponieważ to sam pomieszkiwał fraucymer (pod jej obecność zazwyczaj przebywający w stuba virginum obok pokoi królowej) na czele z ochmistrzynią, która zajmowała dwie najbardziej na zachód wysunięte izby, a teraz zamieszkiwałam ja, odkąd przeniosłam się tu z Rabsztyna, żeby czuć się swobodniej i mieć na wszystko baczenie. Tutaj, po sąsiedzku z Bramą Dolną i domem starosty zwanym Grodem, zachowały się ślady starego zamku, pobudowanego przez króla Kaźmierza Wielkiego, albo nawet jego ojca Włodzisława Łoktka, w postaci obrysu staromodnych, ostro-łukowatych okien. Pod belkowym stropem biegł kraniec, ponoć wymalowany przed półwieczem przez niejakiego Piotra zwanego nie wiedzieć czemu Dziwakiem.

- To koniec. Przepatrzyliśmy już wszystko - oznajmił Długoraj, bardzo przejęty zniknięciem ulubieńca. - W Domu Królowej go nie ma.

Rozesłałam zatem sługi, by rozpytali i rozpatrzyli się w partii przyziemia, a sama razem z Wojtaszkiem poszłam wy badać strażę bramne. Założyliśmy opończe, ponieważ aura, i tak niepiękna, zrobiła się paskudna. Niebo nad nami jakby się rozwarło. Gargulce alias rzygacze na zamkowym dachu wypluwały wodę całymi galonami, na domiar panował przenikliwy ziąb. Niestety, strażę, i te przy bramie, i te przy bocznej furcie (którą bezskutecznie uciekała z Wawelu królowa Jadwiga oraz - z dobrym skutkiem - król Hen-rykus Walezy niedawnymi czasy) koło Wieży Senatorskiej zwanej Lubranką, nie widziały żadnego dziecięcia.

Wypytałiśmy jeszcze w kuchniach, zajrzeliśmy do latryny przy Lubrance i mieliśmy pewność: Kacper junior nie opuścił zamku. Musiał więc gdzieś tu być.

122

- Chyba nawet wiem gdzie - oznajmił Wojtaszek.
- Obyś miał rację - westchnęłam, bliska paniki i pomyślałam z niechęcią i goryczą o mężu: „Gdzie jesteś, Kacper? Znowu cię nie ma wtedy, kiedy jesteś mi najbardziej potrzebny”.

Zebrawszy na powrót gromadę poszukiwaczy, którzy nie znaleźli chłopca w izbach czeladnych na dole, ruszyłam śladem Długoraja, który powiódł nas ku schodom Poselskim.

- Dokąd idziemy? - spytałam.
- Na samą górę, do izby Poselskiej - odparł lutnista. - Już dwa razy go tam zdybałem. Nie mówiłem waszej miłości, żeby cię nie zdenerwować.

Na prawo od schodów znajdowała się kownata Hirniejowa, nazwana tak od krańca obrazującego turniej rycerski, ponoć dzieła no-rymberczyka Hansa Diirera sprzed półwiecza. Hi spotykała się rada królewska i czekały na audiencję obce poselstwa. Wyglądała na pustą, lecz na wszelki wypadek zajrzałam za wypuczony arras Rozmowa Noego z Bogiem oraz do malowanej i rzeźbionej skrzyni florenckiej zwanej cassone, z herbem Medyceuszy. Przeszliśmy przez sień, łączącą tę izbę z drugą, atnum grandę, najpiękniejszą na całym zamku.

Nazywano ją trojako: Tronową, Poselską lub Pod Głowami, ponieważ ze skrzyńców stropu (z włoska zwanych kasetonami) spoglądały w dół na patrzących 194 głowy 1 ludzi z różnych stanów: królów, żołnierzy, dworzan i dworek.

- Lubił tu stać, zadzierać głowę i patrzeć zwłaszcza na tę. - Wojtaszek wskazał głowę niewiasty z zawiązanymi ustami. - Może tuszył, że się do niego odezwie, acz chyba nie do końca pojmował moje objaśnienia.

Znałam historię związaną z tą głową, która ponoć umiała gadać (i to wierszem) i kiedyś, gdy król August niesłusznie skazał przekupkę oskarżoną o kradzież, napomniała go w te słowa: Rex Auguste, iudica iuste!²

- Ale z równą chęcią - dodał - podziwiał kraniec i werdiury na ścianach. Albo wdrapywał się na tron.

Nie dziwiło mnie to, bo kraniec Diirera przedstawiał dzieje człowieka od narodzin do zgonu, a tutejsze arrasy - rozmaite dzikie

1 Zachowało się 30 (są to dzieła absolutnie oryginalne, ponoć wyraz wyrobionego smaku artystycznego Zygmunta Starego).

1 Rex Auguste, iudica iuste! (lac.) - Królu Auguście, wyrokuj sprawiedliwie.

bestie i egzotyczne rośliny. To musiało małego fascynować. Ale nie było go i tutaj, choć zaglądaliśmy pod każdą z prostych ław poselskich, podnosząc przy tym okrywające je wzorzyste tkaniny, poławniki.

- Nie powinienes go tu przyprowadzać - zgańlam lutnistę.
- Nie przyprowadzałem, sam tu przybiegał - bronił się.

Zazwyczaj pod nieobecność króla te komnaty były zamknięte na

głucho, ale nie teraz, gdy nieliczna służba uwijała się jak w ukropie, by zdążyć z porządkami przed rychłym przyjazdem nowego pana. A ponadto klucznik był stary i nie chciało mu się za każdym razem otwierać i zamykać drzwi. Zaś Kacperek na tyle mały, że nawet zamknięte kraty na krużgankach nie stanowiły dlań przeszkody -prześlizgiwał się pomiędzy nimi jak piskorz.

Wróciliśmy do schodów i drugiej partii tego gmachu. Ale nie było malca ani w sali Pod Ptakami, gdzie wedle Długoraja zwykł w nieskończoność podziwiać uczynione w drewnie snycerską robotą wielobarwne ptactwo umieszczone pod stropem, ani w izbie sądowej zwanej Pod Orłem, gdzie na stropie widniał wielki rzeźbiony fizyrunek Białego Orła, ani w sali Senatorskiej, czyli Tanecznicy, największej na zamku, gdzie odbywały się nie tylko posiedzenia senatu, ale także bale i rozmaite widowiska.

Z duszą na ramieniu schodziłam po schodach Senatorskich na niższy poziom. Mój strach rósł, w miarę jak bezskutecznie przetrząsaliśmy pełne zakamarków pomieszczenia w narożnej, najstarszej partii zamku, pamiętającej jeszcze ostatnich królów Piastów. Zwano ją wieżą Duńską od czasu, kiedy gościł w niej król Danii Eryk, kiedy przybył do Krakowa na ślub króla Włodzisława Jagiełły z królową Zofią Holszańską. Przez wieżę Duńską przechodziło się do Kurzej Nogi, gdzie pierwsza żona Jagiełły, królowa Jadwiga, miała sypialnię i prywatną kaplicę. Z tymi pomieszczeniami wiązałam największe nadzieje. Ale nie było Kacperka ani tu, ani w prywatnych izbach króla po drugiej stronie schodów Poselskich - gabinecie w wieży zwanej Jordanką, sypialni i garderobie. Przepatrzyliśmy każdy kominiek razem z kominami, każdą skrzynię, nawet schowki pod siedziskami rzeźbionych italskich ław podnosistych, zwanych cassapanca, nawet rozrzucone tam i sam loca secreta.

Tym sposobem nasze poszukiwania zakończyły się fiaskiem. W potokach lejącej się z nieba wody, zdruzgotana, na miękkich

nogach wracałam do Domu Królowej wsparta na ramieniu Długo-raja, bo inaczej chyba bym upadła, gdy na dziedzińcu raptem dopadła mnie straszna myśl:

- Jezus Maria! A jeśli wypadł z otwartego okna i umierający leży teraz gdzieś popod murem!? Albo poszedł do ogrodu królowej Bony pod basztą Jordanką i skrył się przed deszczem w altance?

- Daj spokój, pani! - Wojtaszek osadził mnie, wrywającą się, by biec i szukać nieboraka, i wysłał kilkoro sług za pozorujący zamkowe południowe skrzydło krużganek zwany altaną, do ogrodu z małym drewnianym domkiem, też obzywany altaną, a mnie siłą zaciągnął do komnat ochmistrzyni i dla uspokojenia poczęstował kielichem mocnej ziołowej gorzałki z mojej własnej apteczki.

Pomogło nieco, acz bardziej szczęśna w tej sytuacji wieść, że ani pod murem, ani w ogrodach chłopca także nie znaleziono. Przynajmniej tyle. Ale co się z nim mogło stać?!

- Mój Boże - niepomna tego, że duży Kacper mógłby mi słusznie zarzucić niedopilnowanie małego Kacpra, westchnęłam do pocziwego muzykanta, który z zafrasowaną miną wciąż wiernie przy mnie trwał: - Jakże marzę o tym, by Ryx się teraz objawił! On z pewnością do tej pory już znalazłby malca.

Aż mnie samą zdumiała taka bezgraniczna wiara w umiejętności męża, z którym przecież żyliśmy ostatnio jak pies z kotem. Ale wyrzekłam te słowa chyba w złą godzinę, bo zaraz służka wprowadziła Żółkiewskiego. Najwyraźniej nie słyszał o moim nieszczęściu, bo minę miał wcale zadowoloną.

- Niepotrzebnie się trapiłiśmy - rzekł, cmoknąwszy mnie w dłoń i przywitawszy się z Długorajem. - Kacprowi nic się nie stało.

Dopiero po chwili doszło do mnie, że mówi o moim mężu, a nie synu.

- Przyszedł z tobą? - ucieszyłam się, myśląc, że zaszedł po drodze do kanclerza i zaraz się objawi.

- Nie, nawet go nie spotkałem. Ale zostawił w domu to.

Podał mi kartkę. Przeczytałam: „Trafiłem na ślad i poszedłem za

nim. Nie trąpcie się o mnie. Może mi zejść dzień lub dwa". Zerknęłam na podpis i pieczęć. To było za wiele. Krzyknęłam, i osunęłam się na podłogę wedle staroświeckiej modły pokrytą czerwonym grubym sukniem, aż się Stachnik przestraszył.

125

- Co jest? Jakaś ty blada! Co ci się stało? Pomóż mi. - Skinął na lutnistę i razem przenieśli mnie na łożo do sypialni.

- Mam wezwać medyka?

- Nie trzeba, zaraz mi przejdzie...
- Ergo o co chodzi?
- O to - podałam mu kartkę, którą wciąż ściszałam w garści.
- Nie pojmuję... - Obracał ją na wszystkie strony. - To przecież jego pismo.
- Nie, tylko dobrze podrobione. A poza tym, czy dla mnie albo dla was, swoich przyjaciół, podpisywałby się tak bombastycznie: doktor medycyny i królewski inwestygator Kacper Ryx-TUropoński? Wiele mu można zarzucić, ale nie jest próżny ani łasy na zaszczyty. A już nigdy nie opatrywałby zwykłej informacji pieczęcią, skoro nawet herbowy sygnet najczęściej nosi w kieszeni. Ktoś zadał sobie wiele trudu. A co z psem?
- Nigdzie nie było psa, choć go przyzywałem.
- No widzisz! Leżak nigdy nie odszedłby od domu, ciebie zaś dobrze zna i nie chowałby się przed tobą. Ergo psa usunięto, a Kacpra porwano. Musicie go znaleźć, nim będzie za późno!

Oszołomiony, z zasepioną twarzą poszedł zanieść hetmanowi złe nowiny i szykować się do poszukiwań Ryksa, a ja odprawiłam także pocziwego Wojtaszka. Dopiero gdy zostałam sama, mogłam sobie pofolgować. Ryczałam tak, że już myślałam, iż wypłaczę sobie duszę, a przecież nie sięgałam pamięcią, kiedy zdarzyło mi się płakać poprzednio. Stracić jednego dnia i męża, i syna, to było jednak ponad siły każdej niewiasty, nawet moje. Wystraszona służba nie śmiała mi przeszkadzać. Dopiero gdy usłyszałam gdzieś w głębi energiczne pukanie, wzięłam kilka głębokich oddechów i z wolna się uspokoiłam. Po chwili nieśmiało zapukano do drzwi sypialni, po czym pokojowa wsadziła głowę i uśmiechnięta od ucha do ucha, co wydało mi się nader niestosowne, powiedziała radosnym tonem:

- Jakiś obcy pan do jejmości i nie uwierzysz, pani, kogo ze so...
- Proś go do bawialni - ucięłam. - I zapal tam światło.

Gdy poszła wykonać polecenia, szybko podniosłam się z łoża, obciągnęłam suknie, otarłam z oczu łzy i chciałam poprawić fryzurę przed zwierciadłem, ale już zmierzchało i prawie nic nie widziałam. Ale nie musiałam doń zerkać, by wiedzieć, że wyglądam okropnie.

126

Dlatego kazałam służącej postawić lichtarz na stoliku, a sama odsunęłam się od niego jak najdalej. Kiedy gość przestąpił próg, byłam już jako tako gotowa stawić mu czoło.

Ale nim przybysz zdążył otworzyć usta, oderwała się od niego mała, kochana sylwetka i rzuciła mi w ramiona z okrzykiem:

- Mama!

Hililiśmy się do siebie i ściskaliśmy, jakbyśmy się nie widzieli rok, a nie zaledwie pół dnia. Znów się splotałam jak bóbr. Kiedy nacieszyliśmy się sobą, zawołałam piastunkę i oddałam jej malca, by go nakarmiła i ułożyła do spania, bo leciał z nówek. Pytania i bura za niesubordynację mogły zaczekać do rana.

- Nie wiem, jak mam ci dziękować, panie... Panie... - Dopiero teraz przypominałam sobie o człowieku, który zwrócił mi syna, i zrobiło mi się wstyd.

- Ależ to zgoła naturalne w zaistniałych okolicznościach - zbagatelizował i skłonił się dwornie. - Nie mieliśmy dotąd okazji, aby się poznać, nad czym wielce boleję, bo mało dotąd widziałem niewiast dorównujących urodą twojej, pani, a bywałem w wielu krajach - dodał, a ja nagle poczułam się jak kocmołuch i zrobiło mi się nieswojo, gdyż był niezwykle przystojny, wymuskany i chyba

0 dobrych kilka lat młodszy od Kacpra, a przynajmniej na takiego patrzył. - Jestem Mikołaj Wolski herbu Półkozic z Podhajec na Rusi, starosta krzepicki i miecznik koronny - zakończył nareszcie.

Odruchowo przyglądałam włosy, po czym dygnęłam wedle wszelkich reguł dworskiej etykiety.

- Urodzona Joanna Hiropońska z Wapowskich. Gdzie waszmość znalazłeś mojego synka?

- W librarii. Bardzo zajmują mnie księgi, a raczej zgromadzona w nich scjencja. Mam w Krzepicach pod Częstochową kilka kuźnic

1 tyleż warsztatów metalurgicznych wyrabiających drut i blachę, pasjonuje mnie także mechanika oraz alchemia, acz nie jestem adeptą, jeno skromnym...

- W librarii? - przerwałam mu. - Toć szukając małego, byliśmy w baszcie Jordance, gdzie król August miał swój gabinet, ale tam żadnych ksiąg nie ma...

- Bo jeszcze imć Łukasz Górnicki, ówczesny bibliotekarz, za wiedzą i zgodą króla część ksiąg wywiózł do Knyszyna, a stamtąd, po śmierci króla, do Tykocina, zaś resztę księgozbioru, która pomieściła

127

się w armarii bibliotecznej ad servandos libellos, w której król August miał także schowek na przybory do pisania, przeniósł na górę, do stubelli, w której sypiał jako otrok, obok komnaty Pod Ptakami...

- Zaglądaliśmy i tam!

- Łatwo ją przegapić, jeśli się dobrze nie zna zamku. Wejście od zewnątrz jest obite tą samą tkaniną co ściany, a od środka wymoszczone grubo dla wyciszenia. Ja zaś, za wiedzą i zgodą pana kanclerza Zamojskiego, pełniąc nieformalny urząd tymczasowego bibliotekarza, byłem tak zatopiony w lekturze pewnej księgi o osobliwościach natury, że nie słyszałem, jak

szukaliście chłopca, a jego odkryłem dopiero wtedy, gdy zbierałem się do wyjścia, bo zaczęło się ściemniać. Wystaw sobie, pani, moje zdumienie, gdy zdybałem malca ledwie uczącego się mówić, który z zajęciem przeglądał rozłożone na pawimencie księgi z rycinami!

- Jak on mógł się dostać do biblioteki?
- To moja wina. Chyba zostawiłem uchylone drzwi. Zamknąłem je potem, ale malec pewnie był już w środku i siedział jak mysz pod miotłą.
- Uwielbia się chować.
- Ergo masz odpowiedź.

Zaczął się żegnać, sumitując gęsto, że to z jego winy nastąpiło tak ogromne zamieszanie i że mimowolnie naraził mnie na wielką przykrość i zapewniając, jak bardzo jest mu przykro z tego powodu i jak niewymownie z kolei jest rad, że mógł mnie poznać, jakkolwiek nastąpiło to w tak przykrych okolicznościach... Zmęczył mnie wreszcie ten potok gładkich słówek, a siedząca na twardym zydłu służka przyzwoitka zaczęła się wiercić i dyskretnie ziewać, więc przerwałam mu mało uprzejmie, zapewniając o swojej dozgonnej wdzięczności. Na koniec, już stojąc w progu, rzucił jakby mimochodem:

- Zali pamięć mnie myli, czy to aścki małżonek, imię Ryx--Turopoński, sławny inwestytor, odwiedził w swoim czasie pracownię mistrza Twardowskiego?
- Pamięć masz dobrą, panie Wolski. Informatorów także. A o którą pracownię ci idzie? Bo mistrz Twardowski miał ich kilka.

1 Mała izba, niewielkie pomieszczenie w tzw. Pawilonie Gotyckim (wieży Duńskiej), obok późniejszej sypialni Zygmunta III, który na przełomie XVI i XVII w. podczas przebudowy po pożarze kazał urządzić tam kaplicę.

128

Oczy mu błysnęły.

- Doprawdy? Nie wiesz, pani, czy pan Hiropoński znalazł w nich coś ciekawego, na przykład jakiś traktat albo formuły na luźnych kartach lub inne zapiski, pospolite albo per affrasl
- O niczym takim mi nie wiadomo - skłamałam. - Musisz go wasze sam zapytać.
- Oczywiście, oczywiście. Ale to nic ważnego ani pilnego. Drobiazg bez znaczenia. Może poczekać. Do nóżek padam łaskawej pani i polecam się na dal. - Gnąc się w ukłonach, cofał się jak rak, aż nareszcie poszedł sobie.

Z wolna opuszczało mnie napięcie. Sprawdziłam, czy Kacperek śpi, i upewniłam się, że oddycha miarowo, po czym, zupełnie wyczerpana, sama też poszłam spać. Ale długo nie mogłam usnąć. Stachnik Żółkiewski nie objawił się, widać nie miał nowych wieści o dużym Kacprze, a na pewno dobrych. Zastanawiałam się, czy w zniknięcie mego męża nie był

zamieszany nowy znajomy, imię Wolski. Musiałam przyznać, że jego uroda i światowe obejście zrazu podziały na mnie oszałamiająco. Odebrały zwykłą trzeźwość osądu. Na krótko, gdyż po pewnym czasie jego gładkie słówka zaczęły mnie nużyć, a ostatecznie otrząsnęłam się z zauroczenia, kiedy niby przypadkiem zagał o sprawę z Twardowskim. Natychmiast przypomniałam sobie, że to przecież przed nim ostrzegał mnie Zamojski.

Wolski od dziecka więcej czasu spędzał w cesarstwie niżli w ojczyźnie. Mimo to cieszył się łaskami wpiętego króla Augusta, potem Henryka, który uczynił go miecznikiem za wstawiennictwem Zborowskich, na końcu Stefana, dla którego sprowadził z Pragi doktora Symoniusza. Do Krakowa przybył niedługo przed pojawieniem się wojsk Maksymiliana i hetman podejrzewał, że nie bez ukrytej przyczyny. Dlatego kazał go dyskretnie obserwować. Ale Wolski z nikim nie spiskował, nie próbował także porozumiewać się ze swymi przyjaciółmi Zborowskimi i w żaden sposób nie można było oskarżyć go o zdradę. Przybył zaś do Krakowa na koronację (tylko nie wiadomo czyją), a ponieważ miecznik wielki koronny był podczas niej niezbędny (niósł przed królem miecz, głownią do góry), więc wypadało tolerować jego obecność. Jednak wciąż był na cenzurowanym.

Do tej pory jakoś się mijaliśmy. Może istotnie większość czasu spędzał w bibliotece, z nosem w uczonych księgach. Mimo lekkiego

129

tonu od razu wyczułam, że łże jak pies (swoją drogą, nie znałam ani jednego kłamliwego psa) i pamiętki po Twardowskim obchodzą go bardziej, niż chciał się do tego przyznać. Dobrze wiedziałam, co Kacper znalazł w sekretnym schowku Twardowskiego. Napisane własną ręką mistrza wyznanie, że zlecone mu przez Mniszchów rzekome wywołanie ducha królowej Barbary dla króla Augusta było szytym grubymi nićmi frantostwem, mającym na celu omotanie króla przez rzeczonych Mniszchów i ich kochanicę Gizankę. Oraz jakąś osobliwą formułę, z której nic nie wyrozumiał. Nie wiem, co z tym wszystkim zrobił, ale gdybym wiedziała i tak bym nie wyjawiała. Nic Wolskiemu do tego. Ani nikomu innemu. Ale mnie chyba Kacper mógłby powiedzieć?

Ranek nadszedł deszczowy i ponury jak mój nastrój. Stachnik nie wpadł na ślad Kacpra, ale obiecał nie ustawać w poszukiwaniach. Ryx przepadł jak kamień w wodzie. Odzyskałam syna, ale straciłam męża. O Boże, co ja gadam, nawet w myślach! Nie wolno mi tracić wiary. Jezus Maria! Kacper, kochany, nie rób mi tego! Cofam wszystko, co złego mówiłam o tobie! Wcale nie byłeś takim niedobrym mężem, to że mnie jest sekutnica! Poprawię się, zobaczysz. Znowu będzie między nami jak dawniej. Tylko daj mi szansę i wróć! W jednej chwili cała zapiekła niechęć, jaką czułam do męża, ulotniła się jak dym, zostawiając poczucie winy i dławiący gardło strach.

Myśl, że mogłabym go stracić, zupełnie pozbawiła mnie sił. Nie mogąc się zmusić do pracy, zrobiłam sobie wolne. Dzięki temu mogłam rozwikłać przynajmniej jedną tajemnicę. Bo oto kątem oka spostrzegłam, jak Kacperek zsuwa się z kolan śpiącej piastunki i zmierza do drzwi. Klamka była za wysoko, lecz poradził sobie. Sapiąc, przyciągnął zydeł bez oparcia, zwany scabellą, wspiął się na niego, uwiesił na klamce i tym sposobem otworzył drzwi, po czym odsunął stółek i wysliznął się na schody. Dyskretnie ruszyłam za nim. Szło mu całkiem sprawnie, ale z czasem zmęczył się i do wyższego gmachu dotarł na czworakach. Byłam ciekawa, jak się upora z zamkniętymi drzwiami. Co prawda w antyszambrach stały ławy dla oczekujących na audiencję, lecz zbyt ciężkie do przesunięcia dla takiego malca. Ale dał sobie radę widać dobrze wypróbowanym sposobem. Po prostu pobiegł krążgankiem, tak żwawo przebierając nogami, że kiedy podążyłam za nim równoległe przez salę Tronową, sień, salę Pod Orłem i następną, podziwiając przy tym przez

130

okna, jak sprytnie prześlizguje się pomiędzy kratami oddzielającymi poszczególne gmachy, on już wpadał do narożnej sieni. A kiedy ja tam wchodziłam, jego nie było nigdzie widać. Znalazłam boczne drzwi, rzeczywiście nierzucające się w oczy, lecz gdy ostrożnie nacisnęłam klamkę i pchnęłam, nie ustąpiły. Zamknięte. Tak czy owak mały Kacper nie poradziłby sobie z nimi. Zdezorientowana i przestraszona nie na żarty, że znów zgubiłam syna, robiąc sobie poniewczasie gorzkie wyrzuty, zaczęłam gorączkowo rozglądać się dookoła. Wtem posłyszałam podzwanianie, człapanie i z sąsiedniej izby wyszedł klucznik, stary Błażej. Ponieważ najlepszą obroną jest szturm, więc zaatakowałam, zanim on to uczynił.

- Cóż tu robicie, dziadku?

- A co mam robić? - zdziwił się. - Zawieram dźwierza, bo cosik ostatnimi czasy za dużo sam zamieszania. Ponoć wczoraj zgubił się w kownatach jakiś otrok.

- Już się znalazł.

- To i dobrze. Teraz się nie zgubi. Potrzeba ci czego, pani? Dać ci klucze? A może zaczekać tu na ciebie?

- Nie trzeba, Błażeju... - Nagle przyszło mi coś do głowy, bo po namyśle stwierdziłam, że Wolski nie powiedział mi całej prawdy o znalezieniu Kacperka, a jego samego nie zdążyłam porządnie wypytać (ani, gwoli prawdy, dać w skórę za nieposłuszeństwo, i oto zbierałam skutki niewczesnej łagodności). - Macie swoje lata, może słyszeliście coś o sekretnych przełazach?

- He? - znowu się zdziwił. - Sam, na zamku?

- Tak.

Namarszczył czoło i pogładził sumiaste wąsiska.

- A mogę se siednąć i odsapnąć krzynę? Siły już nie te, co drzewiej, a i z pamięcią nie najlepiej...

- Oczywiście, spocznicie dziadku, a ja z tobą.

Usiedliśmy na ławie pod ścianą, a on zaczął dumać. Już myślałam, że usnął, kiedy się odezwał:

- Ja tam niczego podobnego nie widziałem, ale tatulo mój, co służyli na zamku jeszcze za króla Starego, powiedzieli mi, że kiedy muratorzy zabrali się do przebudowy wieży Duńskiej na italską modłę, natrafili na kanał w murze, idący ze starych kuchni, obok których

1 Autentyczne, zarówno ów kanał, jak i studnia.

131

była też wówczas studnia głęboka na dwadzieścia sążni z okładem! Żeby tak zdrów był, jeśli lżę - uderzył się w piersi, jakby podejrzewał mnie o niedowiarstwo. - Więc jeśli jest jakiś sekretny przełaz, to jeno w tej partii zamku, albo tam, kędy gmachy królowej przytykają do Brony Górnej i gdzie widać starożytny mur...

Zamyśliłam się nad tym, co powiedział, i dopiero po chwili zorientowałam, że umilkł, a po następnej, gdy zaczął chrapać, że usnął smacznie. Było mi to na rękę, więc nie budząc staruszkę, natychmiast wznowiłam poszukiwania. Skrupulatnie badając obicia i każdy cal ścian, znalazłam w końcu bardzo sprytnie zamaskowany przełaz, lecz nie w sieni, ale w następnej izbie, graniczącej z wieżą Duńską. A naprowadził mnie ślad dziecięcego trzewiczka odcisnięty w niedokładnie wymiecionym z popiołu kominku i leżący obok zwinięty w rulonik skrawek papieru, który zapewne wysunął się z prawie niewidocznej szpary, gdy Kacperek wślizgiwał się do przełazu. Podniosłam go, rozwinęłam i zdumiałam się, ponieważ zapisano go znakami, których nigdy nie widziałam. Napis wyglądał tak:

I nniDLUODJEtc A nnc<UTDL

Schowałam znalezisko za pazuchę i dopóty macałam boczną ściankę kominka, tę pod którą leżała zrolowana karteczka, dopóki nie ustąpiła. Mechanizm okazał się prosty, zresztą nie mogło być inaczej, jeśli mały Kacper samodzielnie sobie z tym poradził. Ujrzałam przed sobą mroczną czeluść i pożałowałam, że nie miałam pod ręką latarki. Ale skąd mogłam przewidzieć, że będzie mi potrzebna? Na wszelki wypadek zablokowałam wejście ozdobnym grzebieniem zdjętym z włosów, pozostawiając niewielką szparę. Przydała się, gdyż przepuszczała odrobinę dziennego światła.

Kanał był całkiem spory i szło się nim zupełnie wygodnie, lecz dorosła osoba musiała się mocno pochylać. Kłopot w tym, że wiódł w dwóch kierunkach. Skręcałam w prawo.

Poruszanie się po omacku nie było łatwą sztuką, ale, wystawiając naprzód ręce, by na coś nie

wpaść, radziłam sobie jakoś, dopóki nie zorientowałam się, że schodzę w dół i chyba nie tędy droga. Zawołałam cicho:

- Kacper! Kacperek! To ja, mama.

132

Odzewu nie było, więc zawróciłam, z ulgą witając smuzkę światła dobywającą się z pozostawionej szpary przy kominku. Po czym zmieniłam kierunek. Kanał nie biegł tędy prosto. Za drugim zakrętem wpierw wyczułam, potem usłyszałam cichutkie pochlipywanie. Z trudem powstrzymałam się od krzyku, a po chwili już brałam w ramiona mojego synka.

- Mama - chlipnął, mimo ciemności rozpoznając mnie natychmiast, jak ja jego. - Ziazi... Nózia. Boli.

Był dzielny. Musiał upaść i uderzyć się w nogę, a może nawet ją zwichnął, ale nie narobił rabanu i nawet teraz mówił szeptem jak ja, widać i on czuł, że należy być cicho.

- Już wszystko dobrze. - Głaskałam go po buzi, aż się zupełnie uspokoił i przyłgnął do mnie ufnie. - Mama zaraz cię stąd zabierze.

Ale właśnie w tej chwili ujrzałam ledwo widoczną, ale na tle otaczającego mroku zupełnie wyraźną, jaśniejszą smugę, cienką jak nić. Przemozna ciekawość wzięła górę i zamiast zabierać dziecię i uciekać stąd czym prędzej, spytałam tylko:

- Wytrzymasz jeszcze trochę?

Wsparta na moim ramieniu główka poruszyła się w górę i w dół.

- Ale ciiii... Ani słowa. Dobrze?

- Yhm.

Opasałam go jedną ręką, uniosłam, przyciskając do piersi, i poszłam w stronę poświaty. Było łatwiej, ponieważ kanał się rozszerzał tak, że na końcu mogłam się całkiem wyprostować. Domyśliłam się, że za sztuczną ścianą była libraria. Przytknęłam oko do szpary, ale niewiele widziałam, natomiast to, co usłyszałam, sprawiło, że zamieniłam się w słuch. Wprzód jednak przytknęłam palec do ust, nakazując Kacperkowi milczenie. Rozmówców było dwóch. Mówili półgłosem, więc nie wszystko rozumiałam. Wydawało mi się, że jeden z głosów należał do Wolskiego, lecz nie miałam pewności. Drugiego nie rozpoznałam.

- ... może wszystko zepsuć...

- ... staw to mnie.

- ... ci gadać. Nie znasz Ryksa, jeśli ona mu...

- ... dzimy sobie. Nie panikuj.

- Oby. Więc ona twierdzi, że nic nie wie o...

133

- ... stwo wierutne. Przecież byia z nim, kiedy... Głupcze! Po coś... Nic nie uzyskałeś, a tylko się zdra... Jeśli zaczęła coś podej-rze.....ba ją koniecznie uci...

- ... zgadzam się! ...tuję stanowczo! ...zwołę na to!

- ... gorączkuj się! ...brze, załatwię to sam. ...kojnie, nie uczynię jej krzywdy. Gdzie, u licha, jest... Spóźnia się.

- ... pliwosci. Może mu coś wypadło?

Zaferowana nawet nie zauważyłam, że mały usnął. Zorientowałam się dopiero, gdy krzyknął przez sen, widać przyśniło mu się coś złego. Zamarłam, a głosy także raptem ucichły. Usłyszałam dość. Najwyższa pora była się stąd zabierać, zwłaszcza że tamta dwójka czekała na kogoś trzeciego, dla kogo zapewne zostawiono wiadomość w kominie. Starając się nie panikować, rozpoczęłam pospieszny odwrót. Włos jeżył mi się na głowie, gdy imaginowałam sobie, że mogę zostać razem z dzieckiem zamknięta w pułapce, jeśli nie zdążę przed nadejściem tego trzeciego. Co prawda Wolski nie sprawiał wrażenia krwiożerczego i gotowego na wszystko, z mordem włącznie, desperata, ale jego komiliton i owszem. Jeśli ten trzeci był do niego podobny, tedy łącznie moglibyśmy z Kacperkiem zniknąć bez śladu, zwłaszcza gdyby przeciwny wylot kanału prowadził do owej zapomnianej studni. Mury były sam grube jak nigdzie indziej w zamku i nikt by nie usłyszał moich krzyków, a już na pewno nie śpiący i na wpół głuchy klucznik.

Na szczęście obyło się bez niemiłej siurpryzy. Bezpiecznie dotarłszy do wyjścia, zamknęłam je tym razem dokładnie, po czym co sił w nogach pobiegłam do Domu Królowej. Stary klucznik wciąż spał i chrapał, aż niosło się echo, za to pokojowa spojrzała na mnie dziwnie, kiedy objawiłam się z Kacperkiem na rękach. Rozbudzona piastunka usiłowała się tłumaczyć, ałem ją uciszyła i kazałam jedynie nakarmić małego, który właśnie się obudził. Dopiero w swojej komnacie, zerknąwszy do zwierciadła, pojęłam zdumienie służki. Byłam rozczochrana jak nieboskie stworzenie, we włosach miałam pełno kurzu i trochę pajęczyn, a na licu czarną smugę od sadzy. Ogólnie jednak kanał okazał się suchy i dość czysty. Nie służył zatem za komin do odprowadzania dymu. Pewnie był to starodawny przewód ciepłowniczy. Niektóre izby, zwane waporariumi, do dziś były ogrzewane w ten sposób. Miano vaporarium magnum nosiła królewska jadalnia.

134

w

W balneoli, gdy z rozkoszą tym większą, że za oknem wciąż lalo, a przez szpary wciskała się do wnętrza zimna i lepka wilgoć, taplałam się w ciepłej wodzie, zeszło ze mnie napięcie i miałam czas spokojnie pomyśleć. Z pierwotku zamierzałam opowiedzieć Stachnikowi Żółkiewskiemu o swojej przygodzie, lecz zmieniłam zdanie. Gdyby chodziło o sprawki

szpiegowskie, nie wahałabym się ani chwili. Ale nie miałam żadnego dowodu, że Wolski spiskował na szkodę prawowicie obranego króla, natomiast że żywo zajmowała go spuścizna po magu Twardowskim, to pewne. Tylko mało zajmujące dla hetmana i jego ciotecznego brata, którzy w tej niespokojnej porze mieli ważniejsze sprawy na głowie. Za to mnie ciekawiło, kto towarzyszył Wolskiemu w bibliotece i na kogo razem czekali. Mimo iż nie rozpoznałam drugiego głosu, dręczyło mnie przekonanie, że jednak było w nim coś znajomego. Ale choć wyteżałam pamięć, do niczego nie doszłam. Potrzebowałam dużego Kacpra. Jemu jednemu mogłam się zwierzyć ze wszystkiego, a on z pewnością wiedziałby, co robić.

Ale Żółkiewski nie miał dla mnie dobrych nowin. Wiedziałam to od razu, kiedy po południu zagłędnęli razem z Zamojskim.

- Nic? - spytałam dla pewności, a serce zatrzepotało mi niczym spłoszony ptak.

- Nic - odparł Stachnik ponuro. - Przykro mi.

- Teraz mogę ci wyjawić, że kazałem Kacprowi zostać na Gar-barach, by śledził poczynania tamecznych Niemców, co do których lojalności zachodzą poważne wątpliwości - powiedział hetman z miną winowajcy, po czym dodał, jakby na usprawiedliwienie: - Ktoś musiał to robić, a przecież wszyscy wiemy, że nikt bardziej nie nadaje się do tej roboty od niego.

- Głowa do góry - usiłował mnie pocieszyć Stachnik. - Kacper nie z takich terminów wynosił całą skórę. Wierzę, że lada chwila się objawi. I będzie się śmiał z naszych lęków.

- Nie mogę dłużej czekać - oznajmił Zamojski, rozkładając ręce. - Moi szpiegowie w nieprzyjacielskim obozie donieśli mi o jakichś ruchach w szeregach wroga. Deszcz ustaje, za to pojawiła się mgła. Do rana może zgęstnieć jak śmietana. Jeszcze tej nocy każę podpalić Kawiory, żeby cezarianie nas nie zaskoczyli. Jeżeli ogień przerzuci się na Garbary i dotrze do miasta, tedy niech Bóg ma w opiece Kacpra i nas wszystkich.

135

Kiedy wyszli, rozmówiłam się nareszcie z małym Kacprem, ale niczego, czego już bym nie wiedziała, nie wyciągnęłam z niego. Klapsa, którego dostał dla porządku, zniósł z godnością i ani pisnął. A zaraz potem spytał:

- Tata gdzie?

Wtedy nie wytrzymałam i wybiegłam na ganek, żeby się wypłakać. Broniłam się przed rozpaczą, nie chciałam dopuszczać do siebie najgorszego, lecz przychodziło mi to z coraz większym trudem. Przemierzyłam krużganki tam i nazad, zanim jako tako doszłam do równowagi. Zmarzłam przy tym, ale nie zmokłam. Deszcz w istocie ustawał, robiło się mgliście. Szybko zapadał zmrok. Wzdrygnęłam się, bo nagle ogarnęły mnie złe przeczucia i znów naszyły najczarniejsze myśli. Jednak nie przyszło mi do głowy, że spełnią się tak szybko.

- Gdzie Kacperek? - spytałam piastunki Zyty po powrocie.

- Nakarmiłam go i obmyłam, ale nie chciał spać w swoim łóżeczku i musiałam go zanieść do łoża jejmości. Jak uśnie, to go przeniosę - obiecała, biorąc moją zasepioną minę za niezadowolone.

- Nie trzeba. Wszystko w porządku.

Nie było, dobrze o tym wiedziałam, na domiar musiałam powiedzieć to w złą godzinę. Nie należało kusić losu. Jak się myliłam, przekonałam się prawie natychmiast. Mimo słabego oświetlenia od razu spostrzegłam, że ktoś myszkował w izbie. Służąca zostawiła na stole zapaloną świecę, aby malec czuł się bezpieczniej, choć Kacperek nigdy nie bał się ciemności, a ostatnio to dowodnie wykazał. Zakutany po uszy, bo wilgoć szybko wysysała ciepło z izby, chłopiec spał spokojnie. Widziałam zarys głowy i ciała pod pościelą.

Jednak ktoś tu niedawno był, i to ktoś obcy. Pokojówka wiedziała, że lubię wszystko mieć na swoim miejscu (nauczyłam się tego od Kacpra, wcześniej byłam okropną bałaganiarą), piastunka nie ośmieliłaby się niczego tknąć, a Kacperek wiedział, że niechętnie patrzę na jego zabawy moimi rzeczami bez przyzwolenia. Tymczasem prawie każdy przedmiot, czy to stojący na wierzchu, czy schowany w skrzyni lub abakusie, był ruszany. Ktoś próbował odstawić je na swoje miejsce, ale uczynił to niedbale. Albo bardzo mu się spieszyło. Wezwałam pokojówkę i spytałam:

- Czy ktoś okrom starej Zyty wchodził do tej izby w ciągu, powiedzmy, ostatnich dwóch godzin? - mniej więcej tyle minęło, odkąd się wykapałam i przebrałam.

136

Kiedy wyszli, rozmówiłam się nareszcie z małym Kacprem, ale niczego, czego już bym nie wiedziała, nie wyciągnęłam z niego. Klapsa, którego dostał dla porządku, zniósł z godnością i ani pisnął. A zaraz potem spytał:

- Tata gdzie?

Wtedy nie wytrzymałam i wybiegłam na ganek, żeby się wypłakać. Broniłam się przed rozpaczą, nie chciałam dopuszczać do siebie najgorszego, lecz przychodziło mi to z coraz większym trudem. Przemierzyłam krużganki tam i nazad, zanim jako tako doszłam do równowagi. Zmarzłam przy tym, ale nie zmokłam. Deszcz w istocie ustawał, robiło się mgliście. Szybko zapadał zmrok. Wzdrygnęłam się, bo nagle ogarnęły mnie złe przeczucia i znów naszły najczarniejsze myśli. Jednak nie przyszło mi do głowy, że spełnią się tak szybko.

- Gdzie Kacperek? - spytałam piastunki Zyty po powrocie.

- Nakarmiłam go i obmyłam, ale nie chciał spać w swoim łóżeczku i musiałam go zanieść do łoża jejmości. Jak uśnie, to go przeniosę - obiecała, biorąc moją zasepioną minę za niezadowolone.

- Nie trzeba. Wszystko w porządku.

Nie było, dobrze o tym wiedziałam, na domiar musiałam powiedzieć to w złą godzinę. Nie należało kusić losu. Jak się myliłam, przekonałam się prawie natychmiast. Mimo słabego oświetlenia od razu spostrzegłam, że ktoś myszkował w izbie. Służąca zostawiła na stole zapaloną świecę, aby malec czuł się bezpieczniej, choć Kacperek nigdy nie bał się ciemności, a ostatnio to dowodnie wykazał. Zakutany po uszy, bo wilgoć szybko wysysała ciepło z izby, chłopiec spał spokojnie. Widziałam zarys głowy i ciała pod pościelą.

Jednak ktoś tu niedawno był, i to ktoś obcy. Pokojówka wiedziała, że lubię wszystko mieć na swoim miejscu (nauczyłam się tego od Kacpra, wcześniej byłam okropną bałaganiarą), piastunka nie ośmieliłaby się niczego tknąć, a Kacperek wiedział, że niechętnie patrzę na jego zabawy moimi rzeczami bez przyzwolenia. Tymczasem prawie każdy przedmiot, czy to stojący na wierzchu, czy schowany w skrzyni lub abakusie, był ruszany. Ktoś próbował odstawić je na swoje miejsce, ale uczynił to niedbale. Albo bardzo mu się spieszyło. Wezwałam pokojówkę i spytałam:

- Czy ktoś okrom starej Zyty wchodził do tej izby w ciągu, powiedzmy, ostatnich dwóch godzin? - mniej więcej tyle minęło, odkąd się wykapałam i przebrałam.

Kiedy wyszli, rozmówiłam się nareszcie z małym Kacprem, ale niczego, czego już bym nie wiedziała, nie wyciągnęłam z niego. Klapsa, którego dostał dla porządku, zniósł z godnością i ani pisnął. A zaraz potem spytał:

- Tata gdzie?

Wtedy nie wytrzymałam i wybiegłam na ganek, żeby się wyplakać. Broniłam się przed rozpaczą, nie chciałam dopuszczać do siebie najgorszego, lecz przychodziło mi to z coraz większym trudem. Przemierzyłam krużganki tam i nazad, zanim jako tako doszłam do równowagi. Zmarzłam przy tym, ale nie zmokłam. Deszcz w istocie ustawał, robiło się mgliście. Szybko zapadał zmrok. Wzdrygnęłam się, bo nagle ogarnęły mnie złe przeczucia i znów naszyły najczarniejsze myśli. Jednak nie przyszło mi do głowy, że spełnią się tak szybko.

- Gdzie Kacperek? - spytałam piastunki Zyty po powrocie.

- Nakarmiłam go i obmyłam, ale nie chciał spać w swoim łóżeczku i musiałam go zanieść do łóża jejmości. Jak uśnie, to go przeniosę - obiecała, biorąc moją zasępioną minę za niezadowolenie.

- Nie trzeba. Wszystko w porządku.

Nie było, dobrze o tym wiedziałam, na domiar musiałam powiedzieć to w złą godzinę. Nie należało kusić losu. Jak się myliłam, przekonałam się prawie natychmiast. Mimo słabego oświetlenia od razu spostrzegłam, że ktoś myszkował w izbie. Służąca zostawiła na stole zapaloną świecę, aby malec czuł się bezpieczniej, choć Kacperek nigdy nie bał się ciemności, a ostatnio to dowodnie wykazał. Zakutany po uszy, bo wilgoć szybko wysysała ciepło z izby, chłopiec spał spokojnie. Widziałam zarys głowy i ciała pod pościelą.

Jednak ktoś tu niedawno był, i to ktoś obcy. Pokojówka wiedziała, że lubię wszystko mieć na swoim miejscu (nauczyłam się tego od Kacpra, wcześniej byłam okropną bałaganiarą), piastunka nie ośmieliłaby się niczego tknąć, a Kacperek wiedział, że niechętnie patrzę na jego zabawy moimi rzeczami bez przyzwolenia. Tymczasem prawie każdy przedmiot, czy to stojący na wierzchu, czy schowany w skrzyni lub abakusie, był ruszany. Ktoś próbował odstawić je na swoje miejsce, ale uczynił to niedbale. Albo bardzo mu się spieszyło. Wezwałam pokojówkę i spytałam:

- Czy ktoś okrom starej Zyty wchodził do tej izby w ciągu, powiedzmy, ostatnich dwóch godzin? - mniej więcej tyle minęło, odkąd się wykapałam i przebrałam.

136

H A *

Wytrzeszczyła oczy.

- Nikt.

- Nawet ty?

- Sprzątnęłam wcześniej, nie zaglądałam sam później. Nie miałam po co.

Uwierzyłam jej i odesłałam, zapewniając, że nic nie zginęło i o nic jej nie posądzam. I tak było. Obwinałam siebie. Byłam głupia. Nie powinnam zabierać kartki znalezionej w kominku, tylko zapamiętać signa, a potem je skopiować. Być może ci w bibliotece wzięliby szmer za ścianą za odgłosy szczura lub kota, lecz zniknięcie zapiski musiało ich naprowadzić na właściwy trop. I druga sprawa: należało uważniej słuchać Błażeja. Mówił przecież, że ukryte w murze sekretne przejście może być nie tylko w okolicy wieży Duńskiej, ale także partii Domu Królowej sąsiadującego z zamkową bramą, ponieważ tylko w tych miejscach zachowały się pozostałości zamku króla Kazimierza Wielkiego. Czyli gdzieś tu!

Teraz, kiedy o tym wiedziałam, znalazłam je bez większego trudu. Wcale nie było jakoś wymyślnie ukryte. Po prostu otwór w murze zasłonięty grubym kobiercem. Nie zamierzałam jednak się tam zapuszczać przed powrotem dużego Kacpra. Wezwałam tylko pokojówkę, żeby pomogła mi przesunąć abakus. Chciałam bowiem zastawić przełaz. Nie wiem, co sobie pomyślała, bo patrzyła na mnie dziwnie, ponieważ pora na przemeblowanie była co najmniej osobliwa. Ale pewnie zdziwiłaby się bardziej, gdyby zobaczyła, że po jej wyjściu do abakusa, z najwyższym trudem, dopchnęłam jeszcze ciężką skrzynię. Za to teraz już nikt nie mógł niespodziewanie wejść do izby, a przynajmniej bez narobienia rabanu. Staralam się krzątać cicho, ale i tak zdziwiłam się, że Kacperek ani drgnął. Spał jak zabity. Widocznie przygoda w kanale wyczerpała go, choć na szczęście okazało się, że z wyjątkiem stłuczonego kolana nic mu się nie stało. Podeszłam, by poprawić mu posłanie, i serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Nogi uczyniły mi się miękkie i upadłam na łożo jak martwa.

Porwali mi dziecko! Zamiast niego pod posianiem spoczywała uformowana z jakichś szmat kukła, z grubsza tylko przypominająca ludzki kształt. W pierwszym odruchu, kiedy tylko

wróciła mi zdolność rozumowania, chciałam wrzeszczeć, narobić rumoru i poderwać na nogi cały gmach, ale wówczas zobaczyłam wsuniętą

137

pod kukłę kartę i przeczytałam polecenie wypisane wielkimi, kul-foniastymi (zapewne dla niepoznaki, by nie można było rozpoznać charakteru pisma) buksztabami:

EGIPCJANKO! CHCESZ ODZYSKAĆ DZIECIĘ?

SZUKAJ W DOMU SWOJEJ KRAJANKI.

NIKOMU ANI SŁOWA, BO NIGDY GO NIE ZOBACZYSZ.

Tym razem nie płakałam. Nie było czasu na okazywanie słabości. Należało wykrzesać z siebie całą energię, na jaką było mnie jeszcze stać. Mimo przemożnego lęku o życie malca, ogarnęła mnie wściekłość. O nie, mości Wolski, przebrałeś miarę i drogę za to zapłacisz! Już chciałam biec, odszukać Staszka Żółkiewskiego i o wszystkim go powiadomić. On z pewnością raz-dwa potrafiłby wyciągnąć z Wolskiego, gdzie lotry ukryły Kacpra juniora! Ale zaraz naszała mnie refleksja. A jeśli Wolski nic nie wiedział o porwaniu? Jeśli to sprawa jego kamrata? Przecież to on, gdy Wolski zaproteutował przeciw uciszeniu mnie na zawsze, powiedział: „Załutuję to sam”. Tedy gdy dobierzemy się do skóry Wolskiemu, a tamten się o tym dowie, z pewnością nie zawaha się wykonać groźbę. Nie, nie mogłam wystawiać na azard życia mojego synka. Musiałam postępować zgodnie z pouczeniem.

Ba, kiedy napis stanowił dla mnie zagadkę. Pisał go niewątpliwie ktoś, kto wiedział, że wychowywali mnie Cyganie zwani też Egipcjanami. Ale to była rzecz mało komu wiadoma. Praktycznie tylko gromadce najbliższych. Z pewnością nie Wolskiemu. Kto zatem stał za porwaniem? Ale stokroć ważniejsze było inne pytanie: gdzie jest ów dom mojej rzekomej krajanki? Nic nie przychodziło mi do głowy. Cyganów w mieście nie widziano od dawna. O jakie miejsce w takim razie mogło chodzić? Musiałam je znaleźć jak najprędzej, bo gdy pomyślałam sobie o malcu, porzuconym gdzieś w nieznannej kryjówce, być może pośród ciemności, i płaczącym za rodzicami, samej chciało mi się ryczeć bez końca. Ale nie mogłam sobie pozwolić na taki luksus. Musiałam działać, i to natychmiast, póki rozpacz mnie nie sparaliżuje. Znów zatęskniłam do dużego Kacpra. Wróć, Kacper, wróć czym prędzej! Nie wiesz nawet, jak bardzo cię potrzebuję...

Wzięłam się w garść. Zeskoczyłam z łoża i ułożyłam kukłę z powrotem, żeby któraś ze służek nie spostrzegła jej przypadkiem i nie

138

odkryła podmiiany, podrywając na nogi cały gmach. Wdziałam grubą opończę i opuściłam izbę. Dziewki służebne zrobiły wielkie oczy, widząc mnie zdążającą do wyjścia, ale im wyjaśniła, że idę do Rabsztynu po nowiny. Uwierzyły łatwo, bo wiedziały już o zaginięciu dużego Kacpra i o tym, jak niecierpliwie czekam na wieści o nim. Skłamałam, że mały śpi

twardo, zakazałam mu przeszkadzać, chyba żeby zaczął płakać. Za czym wszystkie okrom starej Zyty, której zresztą jak zwykle kleiły się oczy, zwołam z powinności na ten dzień i pozwoliłam zjeść wieszczę, a potem udać się na spoczynek.

Nie padało już wcale, ale cały dziedziniec wewnętrzny tonął we mgle. Dopiero zaczęło się zmierzchać, lecz z powodu mgły widoczność była bardzo marna. Na szczęście przewidziałam to i wzięłam ze sobą zapaloną latarkę. Klucznik Błażej już zażywał odpoczynku po pracowitym dniu i szykował się do skromnego posiłku. Na mój widok rozdziawił usta, ale wpuścił mnie do swej izdebki i uczynnie podsunął twarde zydel. Wyłuszczyłam mu, z czym przysłam. Byłam tak pewna, że u niego znajdę odpowiedź na najważniejsze w tej chwili pytanie: gdzie szukać dziecka, iż rozczarowanie spadło na mnie jak grom.

- Jak to nie wiecie, dziadku - wyjąkałam. - Toć znacie tu każdy kąt.
- Alem o domu Egipcjanki nigdy nie słyssał - sumitował się, strapiony, że nie może mi pomóc.
- Kiedy musi być gdzieś niedaleko. Sam albo na Niższym Zamku -nie ustępowałam.

Niższym Zamkiem nazywano zachodnią partię Wawelu, obszerny zewnętrzny dziedziniec za zamkiem i katedrą (istne miasteczko rozciągające się aż do murów zamkowych), na którym stały dwa kościoły z cmentarzami, Świętego Michała i Świętego Jerzego I, kilka domów szlacheckich, jak choćby Pińczów Oleśnickich albo Rab-sztyn Tęczyńskich, obecnie zajmowany przez Zamojskiego, dom wielkorządcy, domy burgrabiów, psalterzystów, wikariuszy katedry czy budynek szkoły katedralnej obok baszty Złodziejskiej oraz inne. Było ich wiele i tuszyłam, że może któryś z nich obzywano domem

1 Dziś oba już nie istnieją, wyburzone przez Austriaków po III rozbiórce Polski, aby utworzyć w ich miejscu plac ćwiczeń dla wojska, które zajęło Wawel; zostały po nich tylko fundamenty.

139

Egipcjanki. A tu taka niemiła siurpryza, odbierająca wszelką nadzieję... Zrobiło mi się niedobrze, omal nie zwomitowałam. Starzec obserwował mnie ze współczuciem i choć nie pojmował dlaczego, widział, jak bardzo zależy mi na tej informacji.

- Jam nic o tym nie słyssał, ale jest ktoś, kto może coś wiedzieć -rzekł po namyśle.
- Kto, Błażeju?! Mówcie, a nie pożałujecie.
- Klemens. Najstarszy ze świątników katedralnych. Już za stary, by pełnić posługę, ale nikt nie ma sumienia oddalić go ze służby.
- Gdzie go znajdę?
- Jeśli jeszcze nie poszedł spać, albo, co gorsza, nie umarł, to najpewniej leży krzyżem w katedrze, przed Czarnym Chrystusem.

- Wielkie dzięki, uratowałeś mi życie.

Wzięłam nieco grosza na taką potrzebę, więc podarowałam mu dukata. Ucieszony, chuchnął w minca i schował go pospiesznie.

- Zaczekaj, pani - zawołał, gdy pożegnałam się i sięgałam do klamki. - Nie mogę pozwolić, byś samopas chodziła po ęmoku, bo to i nieobyczajne, i niebezpieczne. Pójdę z tobą. I wezmę klucze, mogą się przydać.

Strażnicy przy bramie Górnej rozpoznali nas i jeśli nawet zdziwiła ich ta wycieczka o tak późnej porze, nic nie mówili. Mgła tak zgęstniała, że zdawało nam się, jakbyśmy w niej brodzili. Obawiałam się, że katedra będzie już zawarta na głucho, ale mieliśmy szczęście.

- To przez Klemensa - marudził młody jeszcze posługacz, wpuszczając nas do wnętrza.
- Wciąż modli się pod Czarnym Chrystusem, o ile nie usnął, co coraz częściej mu się zdarza. Jeśli uda się wam, pani, go obudzić, będę rad, bo chciałbym już iść do domu.

Mimo to w jego głosie nie czułam gniewu na uciążliwego staruszka. Zapewne był jego krewnym, może nawet dziadkiem albo pradziadkiem. Posługę w katedrze pełnili bowiem, nieprzerwanie od dwustu lat, ludzie z kilku tych samych rodzin. Wszyscy pochodzili z leżących trzy lub cztery mile od Krakowa, przy trakcie węgierskim, Świątnik Górnych, które właśnie im zawdzięczały miano. Niegdyś zwały się Górką i była to wówczas puszczańska polana zasiedlona przez smolarzy, którzy ugościli i przenocowali królową Jadwigę, gdy zdążyła z Węgier do Krakowa. Wdzięczna królowa wystarała się u biskupa krakowskiego o dziedziczny przywilej obsługiwania

140

m >

katedry przez gościnnych Smolarzy, którzy odtąd zmienili fach, a ich osada imię.

Nie dziwota zatem, że wielka figura Ukrzyżowanego, poczerniała ze starości i stąd zwana Czarnym Chrystusem, cieszyła się taką estymą starca. Toż adorowała ją szczególnie właśnie dobra królowa Jadwiga, powszechnie do dziś ciesząca się opinią świętości. Zresztą on sam nas o tym upewnił. Wcale nie spał. Klęczał przed figurą, z opartą na pulpicie ptasią głową porośniętą rzadkimi, siwymi włosami, oblepającymi czaszkę nakrapianą jak indyjskie jajo. Podobno był głuchy, lecz widocznie wyrobił w sobie jakiś niezwykły instynkt, bo choć staraliśmy się stąpać cicho, natychmiast wyczuł naszą obecność i obrócił ku nam twarz. Aż się wzdrygnęłam. Skóra na niej była z jednej strony tak naciągnięta, że oblicze wyglądało jak trupie, z drugiej pomarszczona niby suszone jabłko i porośnięta twardą szczeciną. Ale najbardziej przerażające były oczy, całkowicie pokryte bielmem. A całość tak krucha, że aż dziw, iż trzymał się jeszcze na nogach, nawet wspierając się kosturem, opartym o pulpity. Jedynie głos zachował zadziwiającą siłę.

- Wiecie, że kiedy królowej Jadwidze nie udało się wyrąbać toporem przejścia w bocznej furcie przy Lubrance, by tamtędy zbiec do umiłowanego księcia Wilhelma z rodu

Habsburgów, i z lękiem oczekiwała wyznaczonego jej przez Polaków nienawistnego małżonka, Litwina Jagiełłę, pociechy szukała u Boga, modląc się nieustannie do Czarnego Chrystusa? I ponoć Jezus z krzyża, wyciągnąwszy nad nią rękę, ukoił ją tymi słowy: Exaud.ita est oratio tua!

Wzniósł niewidzące oczy w górę, jakby i on oczekiwał od Niego słów pociechy. Może bał się śmierci. Podobno człowiek im starszy, tym trudniej przychodzi mu się rozstać z życiem. Osobliwe, zwłaszcza w przypadku takiej zasuszonej egipskiej mumii, ale taka jest natura ludzka. Jednak skojarzenie z mumią przypomniało mi, po co tu przyszedłam. Czas mijał nieubłaganie. Mały Kacper czekał na mnie. Nie mogłam go zawieść. Ale nim zdążyłam się odezwać, staruch mnie uprzedził:

- Błazej, to ty? Młodzik z ciebie, a sapiesz jak miech kowalski. Wstyd. Powinieneś bardziej o siebie dbać. Więcej ruchu i modlitwy. Kto jest z tobą?

1 Exaudita est oratio tua (lac.) - wysłuchana została twoja modlitwa.

141

- Pewna miła pani...

- Jestem Joanna TUropońska z domu Wapowska... - próbowałam przejąć inicjatywę, lecz Klemens mi przerwał.

- Znałem twojego dziada. Co to go dawno temu Samuel Zborowski zabił przed katedrą...

- To był mój ojciec.

-Hę?

- Musisz mówić głośniej, pani, i wprost do jego ucha - poradził mi Błazej.

- To był mój ojciec! - wrzasnęłam.

- Wybacz, czasem mieszają mi się czasy i ludzie... Ale nie musisz tak krzyżeć, słucham dobry, chwalić Pana Boga i wszystkich świętych.

Zniecierpliwiłam się.

- Starcze, potrzebuję waszej pomocy i bardzo mi się spieszy.

- Mów.

- Słyszałeś coś o domu Egipcjanki? Musi być gdzieś niedaleko, ale nie wiemy gdzie. Pomóż mi, to bardzo ważne.

Długo milczał. Niemal czułam, jak zmusza swoją zetlałą pamięć do wytężonego wysiłku. Wreszcie rzekł:

- Kiedy byłem młody jak ty i dopiero zacząłem pełnić swe powinności w katedrze, a było to jeszcze za króla Aleksandra... -Przebóg, przebiegło mi przez myśl, ten starzec musiał mieć sto lat z okładem! - Starcy sędziwi powiadali, że dawnymi czasy tam, gdzie potem stanął Dom Królowej, między katedrą a stołpem, czyli poprzedniczką wieży pobudowanej przez króla Kazimierza Wielkiego, stała wielka świetlica 1 alias palatium, a przed nią kościół pod wezwaniem Świętego Gereona...

- Dziadku, miało być o domu Egipcjanki!

- Cierpliwości, dziecko. O czym to ja mówiłem...

- O kościele Świętego Gereona. Cóż za osobliwe wezwanie! Nie znam takowego świętego ani kościoła tego miana.

- Bo go nie ma od dawna. Rzeczony król Kazimierz kazał go wyburzyć. Pozostała po nim tylko kaplica, której zmieniono miano...

1 Odkryto jej przedromańskie ślady w postaci znajdującej się dziś głęboko pod ziemią (w północnej partii zamku) „sali o 24 słupach”.

142

- Na jakie?! - zawołałam, ledwie hamując zniecierpliwienie, kiedy zawiesił głos.

- Świętej Marii Egipcjanki. Była to nierządnicą, która...

W przeciwieństwie do świętego Gereona, o Marii Egipcjance słyszałam. Żyła w V lub VI stuleciu po Chrystusie i uprawiała nierząd w rodzinnej Aleksandrii, a nawróciła się i umarła jako pokutująca pustelnica, kiedy dla lepszego zarobku przeniosła się do Jerozolimy i u Grobu Chrystusowego doznała objawienia.

- Klemensie, na rany Chrystusa! Toć i takiej kaplicy nie ma na całym Wawelu!

- Nie, ponieważ król Zygmunt, jeszcze w onczas nieobrzywany Starym, usunął ją, by postawić Dom Królowej dla Barbary z Zapo-lyów, bardzo pobożnej pani, albo wtórej małżonki, królowej Bony, już nie pomnę...

- Więc i kaplicy także nie ma?! - wykrzyknęłam zrozpaczona, bo dał mi nadzieję, by zaraz ją odebrać.

- Ale została podziemna krypta. Gdzieś na lewo od Brony Górnej. Byłem tam kiedyś, ale próżno się fatygowałem. Nic tam nie zostało z dawnego uposażenia, wszystko przeniesiono do nowej kaplicy1, co to ją król Zygmunt Stary kazał dostawić do katedry dla pogrzebania w niej królowej Barbary...

- Chyba wiem, gdzie jest ta krypta - oznajmił Błazej. - I kędy się tam wchodzi.

Pobiegłabym tam zaraz jak na skrzydłach, lecz musieliśmy pomóc opuścić katedrę Klemensowi, wyczerpanemu rozmową. Zgięty w pałąk wiekowy Świątnik sunął jak ślimak.

- Ja go odprowadzę do domu. - Przy drzwiach przejął go od nas młody posługacz.

Wyjęłam mińca i wcisnęłam w dłoń ślepcy.

- Portugal! - wykrzyknął, bezbłędnie rozpoznając nominał, pewnie wyostrzony dotyk zastępował mu wzrok.

- Uratowałeś mi życie. To najniższa cena.

- Dla mnie to zbyt wiele. Ziemskie potrzeby są już dawno poza mną.

- Więc przeznacz go na wypominki za swoją duszę. Wystarczy na wieczność. Ja ze swej strony obiecuję, że będę się modlić, abyś żył

I Chodzi o słynną Kaplicę Zygmuntowską.

143

jak najdłużej. A po śmierci trafił do nieba, po sąsiedzku z królową Jadwigą.

Wracałam na zamek tak szybko, że Błażej z trudem za mną nadązał.

- To musi być tutaj - oznajmił, gdyśmy stanęli przy żelaznych drzwiach tuż obok wchodu do gmachów królowej (a trzecich, rachując od bramy), które mijałam setki razy, nigdy się przy nich nie zatrzymując i nie zastanawiając, dokąd wiodą.

- Dzięki za pomoc, Błażeju. Możesz już udać się na spoczynek, boś pewnie wielce utrudzon. Ostaw mi jeno klucz do tych drzwi, jeśli łaska. Jutro ci oddam - widziałam, że jest zaciekawiony, ale musiałam się go pozbyć, bo porywacze, którzy zapewne obserwowali wchód do krypty, żądali, bym była sama.

Co prawda wątpiłam, by w tej mgle cokolwiek dostrzegli, ale nikt nie mógł mi zaręczyć, że nie czyhają gdzieś wewnątrz, skoro znali zamek lepiej ode mnie. Nie mogłam ryzykować.

- Kiedy... - podrapał się po głowie z zakłopotaniem. - Nie mam klucza do tych dzwierzy. Jak daleko sięgam pamięcią, nikt ich nigdy nie odmykał. Nie było takiej potrzeby.

- Spróbuj, a nuż się uda.

Jednak miał rację, żaden z wielu kluczy, których cały pęk nosił przy pasie, podzwaniając nimi przy chodzeniu, nie pasował.

- Trudno - powiedziałam, siląc się na beztroski ton. - Spróbujemy jutro. Idź spać.

Kiedy odszedł, puściłam się biegiem do domu. Kacper miał bardzo przydatny w jego profesji inwestygatora zestaw wytrychów, подарowany mu dawno temu przez zaprzyjaźnionego włamywacza. Niestety, zazwyczaj nosił go przy sobie, a jeśli nie, to i tak został na Garbarach.

Ale fortunnie na wszelki wypadek kazał zrobić duplikaty, które, zresztą przypadkiem, zabrałam ze sobą razem z innymi najpotrzebniejszymi statkami. Teraz błogosławiłam ten przypadek.

Dom był cichy i wyludniony. Służba poszła spać, a niania drzemała z głową złożoną na ramionach wspartych na stole. Obok niej dopalała się świeca. Wymieniłam ją na nową i dla bezpieczeństwa odsunęłam od śpiącej. Nie budząc starej sługi, zaczęłam przetrząsać skrzynkę, w której trzymałam mało przydatne na co dzień przedmioty. Pęk wytrychów leżał na samym dnie. A obok dwa noże do

144

rzucania, które mi zostały z dawnych czasów. Porwałam jedno i drugie i wybiegłam na dziedziniec.

Nie musiałam się obawiać, że kogoś zdziwią moje manipulacje przy żelaznych drzwiach, gdyż mrok i mgła ograniczały widoczność do dwóch kroków najwyżej. Dla pewności zgasiłam jednak latarkę. Ręce mi się trzęsły z nerwów i nie mogłam trafić do dziurki, mimo że była całkiem spora. Aż się spociłam, chociaż panował przenikliwy ziąb. Zrobiłam sobie chwilę przerwy, wzięłam kilka głębokich wdechów i dopiero wtedy zabrałam się znów do roboty. Teraz szło o wiele łatwiej. Już trzecim z kolei wytrychem otworzyłam zamek. Zamek nawet nie zgrzytnął, mechanizm obrócił się gładko, zaś kiedy go wyjęłam, ubabrałam sobie palce jakowymś smarem. Błazej nie miał racji. Ktoś jednak korzystał z tych drzwi, i to zupełnie niedawno. Dobry znak. Chyba byłam na właściwym tropie.

Z wielką ostrożnością przestąpiłam próg i domknęłam za sobą drzwi. Zapaliłam latarkę. Znajdowałam się w niewielkim przedsionku na poziomie zamkowego przyziemia. Wiekowy kurz pokrywał wszystko grubą warstwą, po kątach i z powały zwieszały się girlandy pajęczyn wielkie jak rybackie sieci. A jednak ktoś tędy chodził. Świadczyły o tym odciski stóp na zapyłonych kamieniach pawimentu oraz pozrywane tu i ówdzie pajęczyny. Po wielu stopniach zeszałam z przedsionka do krypty. Nie mylił się stary Świątnik. Wciąż istniała, choć pozbawiona wszelkich sprzętów i mocno zruderowana. Gruz chrzęścił mi pod stopami, gdy badałam ponury loch. Gdzieś tu powinno być moje dziecko. Na tę myśl zrobiło mi się gorąco.

Nikłe światło latarki wydobyło z mroku przysadziste kolumny wspierające strop. Na głowicy jednej z nich spostrzegłam osobliwy kamienny wzór, jakby sznurową plecionkę. Nigdy nie widziałam takiej dekoracji. To potwierdzałoby słowa świątnika, że krypta była pozostałością po zamierzchłych czasach i nieistniejących już budowach, o których nawet pamięć zaginęła. Przeszedł mnie dreszcz. Niemal czułam oddech wieków na plecach. W jednej ze ścian czerniał wybity otwór, częściowo zagruzowany. Wiało stamtąd zapachem pleśni i gryzoni. Dwa ogromne jak koty szczury wychynęły stamtąd

I Istnieje do dziś, acz niedostępna do zwiedzania; gdzieś pod nią, w czeluściach wawelskiej skały, spoczywa ponoć słynny hinduski święty kamień, czakram, albo nawet... św. Graal (zob. M. Woliny, Oblicze Pana).

145

i węszyły dookoła, jakby szukały żeru. Podniosłam kęs cegły i rzuciłam w ich kierunku. Z piskiem uciekły w głąb. Być może było tam przejście do owej wielkiej świetlicy z prawieków, a stamtąd nawet do wieży Duńskiej i znanego mi już kanału, ale nie zamierzałam tego sprawdzać. Bo oto ujrzałam wielki cios kamienny, jakby cokół ołtarza, a na nim bezkształtne zawiniątko czy raczej tobolek. Stałam jak wryta, a serce podskoczyło mi do gardła. Wyglądało to bowiem na jakąś przerażającą, pogańską ofiarę.

Ze stłumionym okrzykiem rzuciłam się tam i po chwili brałam w ramiona mojego synka. O radości niezmierzona! Żył! Co za ulga! Spowity niby kokon w ciepły pled czy może czaprak, miał regularny oddech, a na liczku wyraz błęgiego zadowolenia. Choć tuliłam go mocno, ani drgnął. Sekret mocnego snu i słodkiego oddechu wydał się, gdy z okrycia wysunął się chechłacz. Natychmiast wyczułam lepkość oraz zapach cukru, maku i bodaj gorzałki. Malca uśpiono. Chwała Bogu choć za to, że przynajmniej on nie najadł się strachu. Niemniej natychmiast odrzuciłam gałganek precz.

Ułożyłam sobie dziecko na ramieniu, sięgnęłam po postawioną na postumencie latarkę i wtedy spostrzegłam następną kartkę zapisaną znanymi mi już i znienawidzonymi koślawymi buksztabami:

MOWA JEST ŚMIERCIA, MILCZENIE ŻYCIEM,

A MY MAMY DŁUGIE RĘCE.

NIGDY O TYM NIE ZAPOMINAJ.

DRUGIEGO OSTRZEŻENIA NIE BĘDZIE.

Podpisu oczywiście też nie było. Był za to znak: kółko z kropką w środku. Zmiałam kartkę w dłoni, cisnęłam na pawiment i zgmiotłam obcasem. Teraz, gdy ustąpił lęk o malca, wróciła wściekłość. Nikt Joannie Turopońskiej de domo Wapowskiej nie będzie bezkarnie grał na nosie! Czekajcie, łotry, niech no tylko zjawi się duży Kacper! Odechce wam się straszenia naszej rodziny raz na zawsze. Kiedy spieszyłam po schodach na górę, tak kipiałam ze złości, że omal pragnęłam, by któryś z porywaczy stanął mi na drodze. Z pewnością byłam gotowa zabić go jak psa. Z tą różnicą, że psa byłoby mi żal.

Ale nikt mi drogi nie zastąpił. Zatrzasnęłam za sobą żelazne drzwi do krypty i pobiegłam do domu. Kiedy ułożyłam malca w łóżku,

146

obudziłam piastunkę i odesłałam ją do porządnego spania, po czym nareszcie ległam sama, tuląc do siebie dziecię, mój odzyskany, najdroższy skarb. Ale wprzódę sprawdziłam

poprzednią kartkę z pogrozkami i dopiero teraz zauważyłam, że ona także miasto podpisu miała signum: kółko z kropką pośrodku. Złożyłam ją starannie i razem z drugą, zapisaną per ciffras, schowałam dla dużego Kacpra. On ją z pewnością odcyfruje i wytropi naszych prześladowców.

Długo nie mogłam usnąć. Wpierw schodziło ze mnie napięcie związane z porwaniem i ratowaniem Kacperka, a potem wrócił lęk

0 dużego Kacpra. Postanowiłam sobie solennie, że jeśli do jutra się nie odnajdzie, sama wyruszę na poszukiwania. Nareszcie, gdy zmęczenie przeważyło i zaczęłam usypiać, nagle gdzieś w mieście zagrały armaty i rozpętało się piekło, także na zamku. Tak oto we wtorek 24 nowembra, w wilię świętej Katarzyny, wojna dotarła do miasta i stała się czymś realnym, a nie dziejącym się gdzieś tam, niby niedaleko, ale też nie w bezpośredniej bliskości. A zaraz potem, zanim nadciągnęły kłęby gryzącego dymu i woń spalenizny przeniknęła do wnętrza, do okien na chwilę zagładnęło blade światło wschodzącego świtu. Zupełnie irracjonalnie wprawiło mnie w lepszy nastrój. Pomyślałam z dziwną pewnością, że dziś zobaczę Ryksa. Skąd wtedy miałam wiedzieć, że to przecucie spełni się w najbardziej przerażający sposób z możliwych do imaginacji...

Wyskoczyłam z łoża, prędko się ochędożyłam, pobudziłam sługi

1 wyrzałam na zewnątrz. Na zamku huczało niby w ulu. Zdezorientowani ludzie biegali tam i sam w nieładzie, aż pojawił się jakiś oficer, w którym rozpoznałam burgrabiego Lubomirskiego, i zaczął formować z nielicznych dworzan lada jako uzbrojoną kupę, po czym wyprowadził ich za bramę. Żony, matki i miłośnice czepiały się ich szat, lamentując w głos. Mężowie, synowie i kochankowie nadrabiali minami. Ostatni podążał, dopinając w biegu kaftan jedną ręką, drugą dzierżąc alabardę, Wojtaszek Długoraj.

- Cezarianie rozpoczęli szturm! Ponoć zaskoczyli naszych i wdarli się do miasta! - wrzasnęła, dostrzegłszy mnie na ganku.

Zbiegłam na dół, zebrałam z dziedzińca wszystkie dziewczki i białki i kazałam im zaraz stawić się w komnacie Pod Meluzyną z tyłoma czystymi sztukami płótna, ile zdołają zebrać. Wróciłam do domu i zamiast do śniadania zapędziłam wszystkie moje sługi do przetrząsania skrzyń i wyciągania poszew i prześcieradeł.

147

Potem odesłałam piastunkę Zytę do opieki nad małym Kacprem, a pozostałe służebne, z naręczami płótna, zaciągnęłam do sali Pod Panną, gdzie już czekały dworki. Społem, niczym podczas haftowania i wyszywania pod okiem królowej w spokojniejszych czasach, zajęłyśmy się darciem płócien na pasy zdadne do opatrywania rannych. Wszystkie z lękiem spoglądałyśmy w okna, w których szyby drżały od armatnich wystrzałów. Niedaleko toczyła się bitwa na całego. Co nam przyniesie? Zwycięstwo zali klęskę, śmierć bliskich i los nie do pozazdroszczenia? Opuściłam towarzystwo, by przepatrzeć domową apteczkę i opróżnić ją ze specyfików przydatnych rannym, po czym owinęłam się opończą i pobiegłam na Niższy

Zamek, do Rabsztyna, dowiedzieć się, gdzie założono tymczasowy lazaret i komu dostarczyć zgromadzone opatrunki i leki.

Zrący dym ze spalonego prochu i palących się przedmieść kłębił się nad dziedzińcem jak wcześniej mgła. Grunt i mury trzęsły się za każdą odpaloną salwą, ponieważ działa zamkowe także nie próżnowały. Za Grodem chciałam skręcić do Rabsztyna, lecz drogę zastąpił mi ciągnący od Dolnej Bramy wymoszczony słomą odkryty wóz z jęczącymi i ciskającymi się w malignie lub leżącymi zupełnie nieruchomo rannymi. Eskortowało go kilku zbrojnych, także ledwo trzymających się na koniach.

- Dalej, ku Rabsztynowi! - wrzasnął do prowadzącego pochód oficer, w którym z trudem dało się poznać Stachnika, tak był pomazany na twarzy i ubiorze krwią i błotem. - Imć hetman wielki kazał zamienić na infirmerię swoją świetlicę! I znajdźcie mi zaraz doktora Bucellę!

Wtem mnie zobaczył. Lico mu się zasępiło, zeskoczył z wierzchowca, ściągnął z głowy pogięty szyszak, porwał mnie w ramiona i przycisnął mocno do piersi. Zaskoczyła mnie taka czułość, gdyż zazwyczaj bywał o wiele bardziej powściągliwy w okazywaniu afektów, zwłaszcza wobec mnie. Kiedyś bowiem zdawało mu się, że czuje do mnie coś na kształt miłowania. Wybiłam mu to z głowy, lecz nigdy nie zapomniał o rekuzie, nawet gdy się szczęśliwie zaręczył. Na punkcie swego honoru był bowiem bardzo wrażliwy.

- Co się dzieje? - zapytałam, kiedy odzyskałam dech, od razu mając przekonanie, że stało się coś niedobrego.

148

¥

-Już w porządku, acz było bardzo źle, zgoła krucho... Ttiż przed świtem, korzystając z resztek mgły i dymów od płonących Kawiorów, jak spod ziemi pojawiły się i runęły na słabo bronioną Szewską bronę co najmniej dwie dobrze okryte rotę, które wiedli obaj Zborowscy i Diabeł Stadnicki. Byliby nas zmogli przez zaskoczenie, bo straż nie zameldowała, że taka znaczna siła przedarła się przez szańce, gdyby...

- Co z Kacprem?! - przerwałam mu, przejęta nagłym przecuciem nieszczęścia, które zakradło mi się do serca niczym ostry nóż. - Widziałeś go?

Spojrział na mnie tak, że omal nie zemdlałam z trwogi.

- Widziałem. To on uratował nas i miasto. Właśnie z wojewodą Tęczyńskim obchodziliśmy straż na murach, gdy wtem w świetle pochodni zoczyliśmy jakąś postać, która wypełzła z fosy i ociekając wodą jak utopiec, na czworakach wlokła się ku bramie, aż nagle ustała... To był Kacper. Natychmiast kazałem otwierać furtę i kopnęliśmy się ku niemu. Zanim stracił przytomność, zdążył jeszcze powiedzieć, że Maksymilianiści pod osłoną nocy i mgły przeniknęli przez szańce na Garbarach od strony Łobzowa, gdzie straż pełnili garbarze, i dotarli do Garbar, popod samą Szewską bronę. Tam przeczekali noc, ukryci w domach

zdradzieckich garbarzy, zamiarując nastąpić skoro świt... Ledwie zdążyliśmy skrzyknąć ludzi i posłać po hetmana, kiedy w istocie nastąpił szturm, który wiedli Krzysztof Zborowski, Jazłowiecki i Stadnicki we trzy chorągwie, razem z armatami niecnoty Górki... Mimo naszych starań przekłębniom powiodło się wyłamać Bramę Szewczą, choć pan Łaszcz cudów dokazywał i zacny odpór dawał... Wtem nadbiegł hetman ze swymi czarnymi rotami i z boku uderzył na zdrajców... Żebyś go widziała! W czarnej zbroi i szatach, z chorągwią w garści, wyglądał jak sam czart z piekła rodem albo jaki olbrzym z rycerskich romansów! Kiedy ujrzął go Stadnicki, jakby piorun weń strzelił! Z wrzaskiem podał tył, a jego ludzie za nim. Nasi wściekle na nich natarli i wielu usiekli, po czym ruszyli za umykającymi, wyrzynając ich niemal do nogi i zdobywając wszystkie armaty, które przywiódł niecnota Górka... Bój przeniósł się do Garbar, ku Górnym Młynom, a potem dalej... Pożoga takież... Widziałem, jak ogień pojawił się na Zwierzyńcu, zaczął też trawić Górne Młyny, zagrażając Kleparzowi i Krakowowi... Kto żyw i kogo udało się odciągnąć od rzezi i rabunków

149

na Garbarach, spieszył walczyć z ogniem, alem ja nie pobiegł za drugimi... Kiedy jeno powiodło mi się nareszcie ściągnąć wóz, załadowałem na niego Kacpra i drugich, i...

- Co z nim?!

W oku błysnęła mu łza. Ujął moje dłonie w swoje i spojrzał na mnie z bezbrzeżnym smutkiem.

- Dostał postrzał w plecy. Nie pojmuję, jak z taką raną zdołał przedrzeć się do nas... I jeszcze przepłynąć fosę...-To chyba cud. Kiedy kładliśmy go na wóz, żył jeszcze, ale... Nawet nie wiesz, jak mi przykro i żal...

Przestałam go słuchać, gdyż z rozwartych drzwi Rabsztynu wytoczyła się właśnie korpulentna postać doktora Bucelli, a z wozu zdejmowano pierwszego rannego, który leciał niosącym przez ręce.

- To on? - spytałam bez tchu.

- Tak.

Zadzierając suknię i opończę, popędziłam tam jak szalona. Kacpra wnoszono właśnie do świetlicy, z której służba pospiesznie usuwała sprzęty, wносиła sienniki i układała je pokodem na pawimencie. Na jednym z nich położono Kacpra, a lekarz pochylił się nad nim.

- Żyje?

Bucella podniósł głowę, poznał mnie i obrzucił spojrzeniem pełnym współczucia.

- Jeszcze dycha, ale ledwo, ledwo...

- Musisz go uratować, doktorze!

- Uczynię, co w mojej mocy, lecz nie jestem cudotwórcą, moja droga. A teraz mi pomóż.

Posłał służkę po gorącą wodę i zaczął wyjmować z sakwy narzędzia, zaś ja kazałam najlżej rannemu żołnierzowi pójść do Domu Królowej i ściągnąć tu ku pomocy dla drugich cierpiących pozostawione tam niewiasty razem z przyszykowanymi szarpami i medykamentami.

- Uratujcie go, pani - powiedział przed odejściem stary wiarus. -Pan Uiropoński ocalił mi żywot pod Wielkimi Łukami, a dziś wszyscy już bylibyśmy trupami, gdyby nie on... To bohater.

Nie wytrzymałam. Łzy wielkie jak groch sypnęły mi się z oczu. Tłumiąc łkanie, obróciłam Kacpra na bok. Spojrzałam w kochaną twarz, z zamkniętymi oczyma, ściągniętą i śmiertelnie bladą, którą przed chwilą obmyłam z brudu i krwi.

150

- Nie możesz umrzeć! Kacper, słyszysz mnie? Nie umieraj! Kocham cię! Nie zostawiaj mnie samej! Mały Kacper potrzebuje ojca! Nie możesz nam tego zrobić!

Zaczęłam rozcinać mu mokre, zabrudzone mułem i pokrwawione odzienie, odsłaniając tors i płuca oraz okropną dziurę z poszarpanymi krawędziami. Obmyłam ją delikatnie czystym gałganem, czując pod palcami jakąś twardość. Boże, dzięki ci, czyżby kula tkwiła tak płytko?

- Niedobrze - westchnął Bucella, oglądając ciało i pozbawiając mnie złudzeń. - Nie ma rany wylotowej. Przebóg! To bełt!

A pół godziny później odłożył lancet i obmył zajązione dłonie w miednicy.

- Nic z tego. Ostrze dotarło zbyt blisko serca. Boję się go ruszyć. Bełt zacopował ranę niby korek w butelce i zapobiegł upustowi krwi. Dlatego mąż pani wciąż żyje, choć nie powinien. Bóg jeden wszak wie, jak rozległy jest wylew wewnętrzny. Sztuka medyczna jest w takim przypadku bezradna. Może jeden imć Hiropoński dałby radę wyłuskać pocisk, ale, z oczywistej przyczyny, nie może się tym zająć. To i tak prawy cud, że jeszcze dycha. Ale umrze natychmiast, skoro wyjmę bełt. I tak zresztą nie doczeka jutra, to pewne. Wielka szkoda, bo lubiłem go nadzwyczajnie. Nie znałem zręczniejszego chirurga i pewnie już nie poznam. A teraz daruj, pani, lecz czekają inni potrzebujący...

Kacper leżał cichutko jak martwy. Pierś nie unosiła się. Życie jednak jeszcze się w nim kołatało. Czoło zrosił pot, a lekka mgielka pokryła tafłę zwierciadła, które przyłożyłam mu do ust. Nie mogłam się pogodzić z wyrokiem Bucelli i wiedziałam, że Kacper też by się z nim nie pogodził, gdyby chodziło o mnie. Przecież wyrwał mnie kiedyś śmierci, choć doświadczony doktor Siennik postawił na mnie krzyżyk. Teraz ja musiałam dla niego zrobić to samo. Nie poddawać się. Walczyć do końca, modlić się i ufać, że wszystko dobrze się skończy. A przede wszystkim - działać! Kazałam jednej z dziewczek nie odstępować Kacpra na

krok, po czym wybiegłam z Rab-sztynu z gorączkowym pośpiechem. Na dziedzińcu, przed stajniami, stał osiodłany koń. Zakasałam suknie, dosiadłam go i pomknęłam w stronę miasta.

ROZDZIAŁ 3 | ZAWRÓCONY

Kraków, grudzień 1587 roku

Dotarli do Nowego Miasta Korczyna, budząc wielkie zainteresowanie mieszkańców, ciekawych nowego pana. Czekali na potwierdzenie, że bród na Wiśle nadaje się do przeprawy i w jaki sposób: promem czy po lodzie, ale przede wszystkim na wieści z oblężonego Krakowa.

- Najjaśniejszy panie! - Marcin Leśniowski, kasztelan podlaski, ulubieniec Zygmunta, pierwszy u króla, o nieograniczonym przystępie zarówno w komnacie sypialnej jak i tajnych naradach, mąż niezmiernie wykształconego umysłu i miłego obejścia, wpadł do izby bez tchu.
- Jest poseł od pana kanclerza, imię Oborski...

- Wpuścić - rzucił krótko Zygmunt, oderwawszy się od cichej konferencji z Erykiem Brahe.

Zmarznięty na kość goniec z trudem zgiął obolałe ciało w niskim ukłonie, lecz mimo zmęczenia twarz jaśniała mu radością.

- Mów. Słuchamy. - Król, chłodny i lakoniczny, skinął na niego, ale gońca uderzyło nie obejście króla, ale to, że tak dobrze mówił po polsku.

- Wiktoria! Wielki tryumf hetmana Zamojskiego! Wróg odparty od murów stolicy po krwawym boju z 24 nowembra! Doliczono się tysiąca pięciuset sześćdziesięciu czterech zabitych nieprzyjaciół, pomiędzy którymi był baron Tejfel, wzięto także do niewoli wiele znakomitej młodzieży niemieckiej. Pięć dni później wojska Maksymilianowe cofnęły się i ponoć już są w Siewierzu, kierując się ku granicy... Oswobodzony Kraków stroi się na potęgę i z niecierpliwością oczekuje przybycia waszej królewskiej mości!

Król zachował spokój i kamienną twarz, panowie z rady rozprawiali z ożywieniem, tylko jeden, marszałek wielki koronny

152

Andrzej Opaliński miał kwaśną minę. Sprawiała to wzmianka o Zamojskim. Pan marszałek, mimo iż Jan Zborowski miał za żonę jego siostrzenicę, nie należał do frakcji Zborowskich i żył w zgodzie z Zamojskim, ponieważ nienawidził wojewody poznańskiego Górki. Jednak zazdrościł hetmanowi potęgi i po cichu knuł przeciw niemu, całą drogę od Piotrkowa sącząc królowi elektowi do ucha niechęć wobec Zamojskiego. Korzystając zaś z mocy swego urzędu, usunął z otoczenia króla dworzan i służących poleconych przez kanclerza, powołując w ich miejsce swoich ludzi. Jedynie Leśniowski, człowiek Zamojskiego, był nie do ruszenia, ciesząc się absolutnym zaufaniem króla.

- Szykować się do drogi, wyruszamy natychmiast! - zarządził Zygmunt.

Na przejeździe, gdy orszak ostrożnie przeprowadzał się przez Wisłę, dla ominięcia ewentualnej zasadzki zamierzając przybyć do Krakowa nie od północy, jak zazwyczaj wjeżdżali królowie, tylko od strony Niepołomic i Wieliczki, zauważono jeźdźca, który po skarpie zjechał ku rzece, machając kapeluszem jak szalony i wrzeszcząc na całe gardło.

- Co on krzyczy? - spytał Opaliński.

- Nie mogę wyrozumieć, wiatr porywa słowa, ale to na pewno po szwedzku! To musi być goniec od króla Jana III - odparł podniecony Leśniowolski, który posłował do Szwecji po Zygmunta i rozumiał trochę po szwedzku.

Powiadomił zaraz króla o gońcu. Zaczekano na niego na drugim brzegu. Zygmunt odebrał przywiezione listy, po czym wsiadł do karocy, do której zaprosił Szwedów ze swego najbliższego otoczenia: Eryka Brahego, Eryka Sparrego oraz hrabiego Hiro Bielkego. Złamał pieczęcie, przebiegł wzrokiem tekst, po czym rzucił list doradcom. Kiedy i oni skończyli lekturę, spytał:

- Co radzicie?

Porozumieli się wzrokiem, po czym głos zabrał Bielke:

- W obecnej sytuacji, najjaśniejszy panie, proponuję jechać do Krakowa. Tam wobec senatu i szlachty wyłożyć swoje racje, abdykować i dopiero potem wracać do ojca.

- Gdybyście teraz, panie, obrócili się do Szwecji - dodał Sparre - Polacy, którzy przelali już wiele krwi w obronie waszej sprawy, przyjęliby to bardzo źle.

153

- To zachwiałyby naszymi stosunkami z Polską, a Szwecja nie może sobie teraz na to pozwolić. Toć niedługo wygasa nasz rozejm z Moskwą - zakończył Brahe.

Zygmunt doszedł do takich samych wniosków. Poza tym miał ochotę na koronację, mile łechzczącą jego dumę oraz kusiło go podjęcie bardziej skomplikowanej gry politycznej. Jej pomysł podsunął mu ojciec w dopisku na osobnej karcie, której nie pokazał doradcom. Wychowując się na dworze, gdzie wciąż spiskowano i intrygowano, nabrał upodobania w zakulisowych rozgrywkach i zamierzał wykorzystać niepowtarzalną okazję, by sprawdzić swe umiejętności w tej materii.

9 grudnia po południu, w mroźny i słoneczny dzień, wjeżdżał do Kazimierza. Orszak królewski wiodł marszałek Opaliński, a stanowiła go, oprócz gromady panów towarzyszących królowi od Gdańska i Piotrkowa, piechota nadworna złożona ze Szwedów i Niemców z rusznicami i w półbrojach oraz jazda polska Opalińskiego w jednakowych, modrych ubiorach. Na polu przed miastem czekali na króla elekta dostojnicy z wielobarwnymi pocztami: senatorowie, biskupi i przede wszystkim - on. Niedawny tryumfator, kanclerz i hetman Jan Sariusz Zamojski. Po raz pierwszy mogli sobie spojrzeć w oczy. Młody,

niedoświadczony król z nuworyszowskiego, niewiele znaczącego w Europie rodu naprzeciw znakomitego męża stanu oraz świetnego wodza w jednej osobie. Zygmunt nie był ułomkiem, ale ponieważ hołdował zachodniej modzie, wyglądał szczupło i niepozornie przy odzianym na polsko-węgierską modłę hetmanie. W którego ubiorze na domiar dominowała czerń, czyniąc go jeszcze ogromniejszym. Dobrze poinformowany Zygmunt wiedział, że to oznaka żaloby po zmarłym Stefanie, i nie spodobała mu się taka manifestacja przywiązania do swego poprzednika, zaś pewność siebie bijącą z twarzy i oczu hetmana wziął za wyraz pychy i niemego przypomnienia: Pamiętaj, komu zawdzięczasz tron, szwedzki przybłądo.

Nie dając jednak poznać po sobie żadnych uczuć, z kamiennym obliczem król wysłuchał powitalnych przemów, każdej dłuższej od poprzedniej. Najbardziej wylewnie, w imieniu senatu, witał nowego pana biskup kamieniecki Wawrzyniec Goślicki, który posłując kiedyś do Szwecji, poznał tam Zygmunta, a teraz wzruszony rzeki tak:

154

- Powołał Pan Bóg waszą królewską mość na Królestwo Polskie z matki Polaka; przyjechać raczyłeś swój między swe. Gościem tu nie jesteś!

Uprzejmie odpowiedział wszystkim po polsku, czym wzbudził zachwyt przyszłych poddanych, bowiem poprzedni władcy, Francuz i Węgier, po polsku nie mówili. Poza tym był młody, przystojny, i po kądzieli z rodu Jagiełłowego. To się ludziom podobało. Ale ponieważ podziękowanie króla, choć wyrażone po polsku, było tak krótkie, jak długie mowy powitalne wielkich panów (a najdłuższa i mocno samochwalna Zamojskiego, który przyrównał się do Scypiona Afrykańskiego), hetman poczuł się z lekka urażony. Już zatem pierwsze spotkanie tych dwóch nie rokowało dobrze na przyszłość.

Ogromny orszak przeciął Kazimierz, witany zarówno przez chrześcijan, jak i Żydów z Oppidum Iudaeorum. Za czym przemierzył Stradom i zaczął okrążyć Kraków od wschodu, wzdłuż wałów i nowo usypanych szańców. Król i jego otoczenie podziwiali umocnienia oraz ustawiony na wałach i przed nimi front żołnierzy, ochędożonych i w pełnym rynsztunku, zarówno piechotę, jak jazdę, w tym czarne roty hetmańskie. Przejeżdżając mimo, hetman przedstawiał znacniejszych wojaków królowi, chwalił ich dzielność i służby zalecał.

- Przebóg! - wyrwało się Zygmunтови. - Toć nigdy dotąd nie widzieliśmy takiego pocztu i tylu żołnierzy tak cudnie moderowanych!

Największy i najbarwniejszy tłum widzów zgromadził się na celestacie obok bramy Mikołajskiej, gdzie witali króla mieszczanie krakowscy i kolegiaci. A ponieważ i oni hołdowali polskiemu upodobaniu do napuszonych mów, które tak irytowało cudzoziemców, zrobiło się późno. Zmarznięty i wynudzony Zygmunt zachowywał jednak niewzruszony spokój. O zmierzchu orszak stanął na Kleparzu, witany przez kardynała Andrzeja Batorego, senatorów, uniwersytet i rajców. Przy kościele św. Floriana stała brama z wizerunkiem Stefana Batorego, który jakby oddawał berło swemu następcy. Hitaj też zgromadzono armaty, zbroje i łupy zdobyte na Maksymilianistach, zaś Zamojski wręczył królowi dwie zdobyczne buławy i trzy chorągwie, które potem zawisły u grobu świętego Stanisława na Wawelu.

Była już noc, około dziesiątej, kiedy w blasku pochodni król elekt wjeżdżał nareszcie do Krakowa przez Bramę Floriańską. Na „drodze królewskiej” do zamku witały go tłumy ciekawskich oraz okazałe bramy z portretami królów polskich od Zygmunta Augusta począwszy, a na Władysławie Jagiello pod zamkiem skończywszy, aby uprzytomnić nowemu panu pochodzenie po kądzieli z domu Jagiełłowego. Zaś nad najokazalszą z bram powitalnych, u zbiegu Floriańskiej i Rynku, unosił się w gnieździe herbowy Orzeł Biały, skrzydłami bijąc królowi pokłony, a w szponach trzymając Snop, herb Wazów, z którego młode orlęta wydziobywały ziarna.

U wrót katedry oczekiwała Zygmunta kapituła krakowska z kardynałem Andrzejem Batorym na czele. Król wszedł do świątyni i złożył hołd przed konfesją Świętego Stanisława. Przy Górnej bramie zamkowej witali monarchę burgrabiowie i wielkorządca krakowski.

Valde placuit omnibus faciem Pńnceps et gravitatis et lenitatis simul plena¹ - zanotował w swoim diariuszu dworzanin i kronikarz, Stanisław Reszka.

Nazajutrz po przyjeździe króla senatorowie, zarówno duchowni jak rycerze, stawili się w Sali Poselskiej przed ubranym po hiszpańsku elektem, a on, chłodny i zimny oraz po hiszpańsku oficjalny, zbywał ich kwieciste oracje półsłówkami. Kanclerz Zamojski, któremu Zygmunt zapomniał podziękować za udaną obronę stolicy i tronu, od poprzedniego dnia tłumił w sobie urazę, ale tym razem nie wytrzymał:

- Et quid tandem daemonium nobis mutum ex Suecia addixistis?² -zwracając się niby tylko do Marcina Leśniowońskiego, skwitował głośno wyniosłą lakoniczność Zygmunta, tak żeby usłyszał, kto chciał, czyli wszyscy.

Zygmunt tylko zacisnął usta i nic nie rzekł, ale ci, którzy go znali, wiedzieli, że nigdy nie zapomina uraz. Co rozsądniej szych martwił ten konflikt między niekoronowanym jeszcze królem a potężnym hetmanem, zwłaszcza że sytuacja polityczna wciąż była niepewna,

1 Valde placuit omnibus faciem Pńnceps et gravitatis et lenitatis simul plena (lac.) - podobała się wszystkim twarz monarchy pełna powagi i łagodności.

2 Et quid tandem daemonium nobis mutum ex Suecia addixistis? (lac.) - jakież to nieme monstrum przywiozłeś ze Szwecji?

a wróg nie opuścił polskich granic. Tylko jeden Opaliński uśmiechał się krzywo. Nie uszło to uwagi Zamojskiego.

- Mów, jak było po drodze - zażądał na osobności od Leśniowolskiego.
- Z czym?
- Z królem i Opalińskim. Miał-żem go za przyjaciela, a widzę, że kopie pode mną dołki.

Leśniowolski był zmartwiony. Zamojskiego znał od dawna, ale i młodego królewicza szwedzkiego zdążył już polubić. Wiedział, że elekt wyniosłością maskuje swoją niepewność w obliczu starszego, znacznie bardziej doświadczonego kanclerza, przy tym świetnego wodza, któremu de facto zawdzięczał koronę. Ale wątpił, by Zamojski przyjął takie tłumaczenie i dał się ugłaskać, dlatego wołał zwalić winę na Opalińskiego, za którym nie przepadał.

- Słyszałem, że Opaliński odbył sekretne spotkanie z Janem Zborowskim. Zawarli pakt: gdy wygra Maksymilian, Zborowscy pozbędą się Górki, którego zastąpi Opaliński. Skoro zaś wygra Zygmunt, Opaliński załatwi przywrócenie do łask Zborowskich. Przez całą drogę z Piotrkowa imć marszałek wielki sączył królowi jad do ucha. Prawił: „Bogactwa, wyniosłość, chęć panowania w Zamojskim są nieograniczone. Pamiętaj, królu, że monarcha, którego wielmożność i świetność przyćmione są przez jednego obywatela potęgę, igrzyskiem własnych poddanych stanie się. Tak jak ongi to się przygodziło królowi węgierskiemu Ludwikowi Jagiellończykowi”.

- Teraz pojmuję. - Zamojski zacisnął zęby. - No to zobaczymy kto kogo.

10 grudnia, gdy rozpoczął się sejm koronacyjny, senatorowie i posłowie, a najgłośniej Zamojski, jęli się upominać o obiecaną Estonię, którą Szwecja podstępnie wydarła Polsce zajętej wojnami z Moskwą. Zygmunt, znów odziany jak lubił najbardziej - w ubiór hiszpański i z całą hiszpańską powagą - zdecydowanie odmówił, zdając sobie sprawę, że Szwedzi by mu tego nie darowali i mógłby się pożegnać z koroną szwedzką po śmierci ojca.

- Jeżeli wasza królewska mość taki masz wstręt do ustąpienia Estonii, pozwól, a przystąpimy do obrania innego pana - odparował Zamojski. - Będzie to bolesna przykrość dla twoich wiernych polskich poddanych, ale... Henryk Walezy także wyjechał i nic się

157

w

złego nie stało, przeciwnie: Bóg zesłał Rzeczypospolitej mądrego i walecznego króla.

- Wołałbym się i tej korony zrzec, niż przeciw sumieniu mojemu czynić lub podobnych słuchać zarzutów - odpalił król.

Po czym, obrażony, udał się do swoich komnat.

- Mityguj się, mości kanclerzu - zganił Zamojskiego Opaliński. -Czyżbyś dążył do nowej elekcji?

Tego wszyscy się obawiali i dlatego przyjęli z ulgą kompromisową propozycję Leśniowskiego, by sprawę Estonii odłożyć do czasu, gdy król obejmie także tron szwedzki i będzie mógł samodzielnie o tym zdecydować.

Uroczystość promienna, koronacja, odbyła się zaraz po Bożym Narodzeniu, w niedzielę 27 grudnia. Nie została, jak należało, poprzedzona uroczystością żałobną, czyli pogrzebem Batorego. Nie było na to czasu, ponieważ Maksymilian wciąż zagrażał swemu szczęśliwшему rywalowi. Ceremonię (bez udziału Litwinów, urażonych, że nowy pan zaraz po tytule króla polskiego mieni się w pierw przyszłym królem szwedzkim, a dopiero potem wielkim księciem litewskim, zamiast na odwrót) prowadził prymas Stanisław Karn-kowski. Aby uśmierzyć gorszącą kłótnię katolików z innowiercami, Zygmunt musiał zaprzysiąc pokój wyznaniowy. Przedstawiciele akademii wygłosili szereg wiernopoddańczych ód, aby uświetnić uroczystość, a zarazem przypodobać się nowemu monarsze (którego nieżyczliwi za plecami już zdążyli ochrzcić mianem „króla jezuitów”) i zyskać jego łaski dla akademii.

W poniedziałek 28 grudnia, podczas tradycyjnego homagium mieszczańskiego na Rynku, gdy nowy pan przyjmował hołd od mieszczan, rzucono w tłum monety pamiątkowe z twarzą króla na awersie oraz mieczem okolonym napisem „Pro iure et populo” na rewersie.

Wilno, styczeń 1588 roku

Ojciec Daniel Butwił przemykał cicho korytarzami należącego do akademii wileńskiego kolegium jezuitów. Jedną spoutniałą ręką ścisnął świecę zasłanianą drugą dłonią. Klucze, podstępem wyłudzone

158

od brata librariusza i spoczywające w kieszeni rewerendy, parzyły go niczym czapka gorejąca na złodzieju. W myślach układał sobie wytłumaczenie nocnego markowania na wypadek, gdyby mimo późnej pory ktoś przyłapał go na gorącym uczynku. Ale nikogo nie napotkał. Ojcowie kolegiaci spali o tej porze jak przykazał Pan Bóg oraz ksiądz kanclerz. Z wyjątkiem, rzecz jasna, ojca Daniela, który obiecał sobie solennie wypowiadać się z planowanego występku.

Dotarłszy na miejsce, chciał otworzyć drzwi biblioteki, ale klucz ani drgnął. Zdenerwowany do granic, rozglądając się czujnie niby zając buszujący w kapuście, postawił świecę, położył dłoń na kłamce i... drzwi ustąpiły. Wcale nie były zamknięte. Na dodatek zdało mu się, że zoczył w głębi światło. Ale gdy wśliznął się do wnętrza, znów spowijał je mrok, nie licząc oczywiście światła, które przyniósł ze sobą. Uznał więc, że z napięcia i ze strachu miał omamy. Jednak zmienił zdanie, gdy, omijając półki i skrzynie pełne cennych woluminów, dotarł do znajdującej się w narożniku librarii sekretnej biblioteczki, którą gęste kraty oddzielały od reszty pomieszczenia.

W sekretnym zakątku, na pulpicie i jego bocznych półkach, spoczywały księgi zakazane i podejrzane, przykute łańcuchami do muru, do których przystęp mieli tylko najbardziej zaufani

ojcowie, i to za zezwoleniem rektora. Ojciec Daniel nie należał do wybrańców. Chociaż wszyscy wiedzieli, jakim jest zagorzałym tropicielem diabła we wszystkich jego postaciach. A może właśnie z powodu tej jego gorliwości, którą niektórzy postrzegali jako nadgorliwość graniczącą z chorobliwą obsesją. Tymczasem ojciec Butwił od dawna marzył o możliwości przestudiowania dzieła sławnego maga, mistrza Twardowskiego, pod wielce wymownym tytułem Opus magi-cum. Ponoć napisane za podszeptem czarta Mefistofelesa, któremu Twardowski w zamian oddał duszę, stanowiło summę wszelakiej wiedzy tajemnej oraz źródło, z którego czarnoksiężnik czerpał swą moc. Ojciec Daniel, acz za nic by się do tego nie przyznał, nawet przed sobą samym, też ochotnie poświęciłby swoją nieśmiertelną duszę, byleby posiadać choćby kęsek zawartej tam scjencji. Cóż z tego, skoro nie miał przystępu do bibliothecae secretoris. Jakoś się z tym w końcu pogodził. Aż do dziś, kiedy przypadkiem bawił z pewną sprawą u rektora akurat wówczas, gdy przybył ten gość. Aż z Krakowa, z listami polecającymi, w których proszono jego magnificencję

159

o umożliwienie owemu wglądu do Opus magicum, a nawet wypożyczenia dzieła na jakiś czas. Wprawdzie rektor zdecydowanie zabronił wyniesienia księgi poza bibliotekę, lecz zezwolił obcemu na korzystanie z niej na miejscu. Wtedy ksiądz Butwił pojął, że musi się spieszyć i za wszelką cenę pilnować księgi (a przy okazji do niej zaglądnąć), nim będzie za późno, bowiem przybysz wydał mu się podejrzany. Prawy sługa szatana, aż dziw, że jego magnificencja tego nie dostrzegł. Z pewnością zamierzał posiadać księgę, miał to wypisane w oczach. Zaś ojcu Danielowi, który nagle poczuł w sobie odwagę lwa, poskromionego przez jego biblijnego imiennika, jakiś głos wewnętrzny, przemożna siła, nakazała tu przyjść jeszcze tej nocy i ratować księgę przed Złym.

Omali się nie spóźnił. Ktoś go ubiegł. Z tym światłem, widzianym wcześniej, to mógł być omam, ale gdy dodać do tego otwarte drzwi, uchyloną kratę i rozłożoną księgę na pulpicie, to... Nagle podskoczył, gdyż zegar na wieży ratuszowej zaczął wybijać północ. Godzinę duchów i mocy nieczystych! Drżącymi ze zdenerwowania palcami przewrócił ciężką okładkę i przeczytał wielkie buksztaby na pierwszej stronie manuskryptu: OPUS MAGICUM. Wówczas zobaczył nacięty do połowy łańcuch, którym księgę przytwierdzono do muru. Przelknął głośno ślinę i uniósł w górę latarkę.

- Jest tu kto?

Coś zaszumiało w pobliżu, za najbliższą półką z księgami, po czym rozległ się jakiś ni to szelest, ni to szum... A potem wypełził skądś kłęb cuchnącego siarką dymu, który szybko zbliżał się ku przerażonemu księdzu. Jego uszy wypełnił ogromny zgiełk i łoskot, jakby wszystko dookoła się waliło, w kłębach dymu zaczął rozpoznawać sylwetki poszczególnych ohydnie powykrzywianych demonów. Wtem poczuł silny ból głowy, w której wpierw wybuchł mu milion gwiazd, a potem nagle wszystko zgasło i ucichło...

Kraków, styczeń 1588 roku

W samo Nowe Lato 1588 roku król po raz pierwszy (postanawiając robić to dorocznie) odwiedził kościółek Świętej Barbary, uczestnicząc w nabożeństwie i kazaniu. Jeszcze nie tak dawno fara Mariacka była

160

W ir

przeznaczona dla bogatych patrycjuszy niemieckiego pochodzenia, już nielicznych, którzy w niej słuchali kazań w swoim języku, zaś lud polski tłoczył się u Świętej Barbary, zaledwie kaplicy cmentarnej ufundowanej przez sławnego rajcę Wierzyńka z czasów Kazimierza Wielkiego i zbudowanej z resztek cegieł pozostałych po wzniesieniu fary. Ale za panowania króla Zygmunta Starego nastąpiła zamiana -odtąd kazano po niemiecku tylko u Świętej Barbary¹. Lecz nie to przyciągnęło do tego kościółka monarchę, lecz sława kazań głoszonych tam przez pewnego złotoustego jezuitę. Niedawno bowiem Societas Iesu otrzymało ten kościół w użytkowanie (a wprzód kościół Świętego Szczepana), ale przymierzało się do wykupienia gruntu przy Grodzkiej, w miejscu zruderowanej Bursy Prawników naprzeciw Collegium Iuridicum, i wybudowania tam kościoła na zupełnie nową modłę, której wyrazem był rzymski kościół Ił Gesu².

Zygmunt III cenił jezuitów, był zresztą przez nich wychowywany, a dawny preceptor, ksiądz Bernard Gołyński, zwany w zakonie ojcem Pakoszem, wciąż bawił przy jego osobie jako spowiednik. Kazanie tak się Zygmuntowi spodobało, że po mszy wezwał do siebie autora i zapytał:

- Czy to ciebie zwą Skargą, księżę?
- Tak jest, wasza królewska mość.
- Co byś rzekł na to, gdybyśmy cię przyjęli na naszego nadwornego kaznodzieję?
- Byłbym zaszczycony, mości królu.
- Tedy postanowione.

Niedługo potem przysłała wieść, że Maksymilian pustoszy ziemię wieluńską, czekając na posiłki z Czech, Śląska i Łuzacji. 13 stycznia, w środę, hetman Zamojski, odprowadzany przez większość panów, przed wieczorem ruszył ku Krzepicom i Wieluniowi w pościg za upartym wrogiem. Będąc dobrej myśli, ugłaskany chwilowo Zamojski (acz pokłócony ostatecznie z Opalińskim, gdyż starostwo chęcińskie, o które się powadzili, król przyznał jednak kandydatowi kanclerza), rzekł chełpliwie do ciotecznego brata:

1 Ta tradycja jest kontynuowana do dziś (w niedzielę wieczorem); również obecnie (po przerwie) kościołem znów opiekują się oo. jezuici.

2 Pod koniec XVI w. zaczęto tam stawiać pierwszy barokowy kościół w Polsce, pod wezwaniem Świętych Apostołów Piotra i Pawła; w jego podziemnej krypcie został pochowany Piotr Skarga.

- Ha! Przyszła koza do woza! Jak trwoga, to do Zamojskiego! Jeszcze będzie mi to szwedzkie szczenię jadło z ręki, obaczysz.
- Wątpię - bąknął Żółkiewski.
- Co tam mruyczysz pod nosem?
- Że się cieszę, iż arcyksięcia opuścili już i Jan Zborowski, i Ja-złowiecki. To dobrzy żołnierze i ongi nasi towarzysze broni. Nie chciałbym się z nimi bić.

Starosta śniatyński Mikołaj Jazłowiecki głosował na elekcji na Zygmunta, ale powadził się z Zamojskim, zaś Jan dał się przekonać braciom. Jednak po koronacji, nie chcąc występować przeciw pomazańcowi i narazić się na zarzut zdrady stanu, jeden wrócił do Gniezna, drugi do swoich dóbr na Rusi.

- Ja takż. - W gruncie rzeczy chciał zagłuszyć poważne obawy. Nigdy nie dowodził w polu, w walnej bitwie.
- Obaczysz, zadamy cezarczykom bobu! - zuchowato rzucił kuzyn, z góry ciesząc się na potyczkę.
- Obyś miał rację.

Drezno, styczeń 1588 roku

Pieniądze ze sprzedaży kamienicy na Garbarach oraz pożyczka otrzymana od Wolskiego, a także czeskiego druha, Jana Hynka z Hasenburga, już się prawie skończyły. Ale nie zostały zmarnowane. Więziennicze strażę, łącznie z naczelnikiem i jego brzydką córką, którą bezwstydnie uwodził, mając obietnicą małżeństwa, miał w kieszeni. Podobnie jak wielu obdarowanych cennymi prezentami dworaków z otoczenia Christiana II, który uwierzył w skuteczność metod Polaka i kazał umieścić inkarcerata w lepszych warunkach. Acz równocześnie zalecił, by czterdziestu rajtarów nie spuszczało go z oka we dnie i w nocy.

- Dziś wieczorem albo nigdy - powiedział cicho do więźnia, równocześnie puszcżając oko do zakochanej w nim córki naczelnika więzienia, która nie pojmowała łaciny ani w zęb. - Dlatego najwyższy czas pogadać o nagrodzie.
- Dostaniesz tyle bogactw, że wystarczy ci do końca życia - zapewnił słabym głosem Seton, który wciąż nie odzyskał pełni sił.

- Przysięgnij.
- Przysięgam na rany Chrystusa.
- Dobrze, tedy słuchaj uważnie...

Wracając, wstąpił do mieszkania naczelnika, aby uprzedzić go

0 tym, że zamierzał po południu w więziennej świetlicy urządzać wielką ucztę, ponieważ więzień nareszcie zgodził się nazajutrz wyjawić księciu Christianowi wszystkie swoje sekrety. Naczelnik tak się ucieszył, że oddał mu do dyspozycji własną bawialnię. Był bowiem wdowcem i miał na wydaniu brzydulę, której nikt nie chciał, a oto zdarzył się cud i bogaty cudzoziemiec ze szlachetnego rodu zapalał do niej afektem. Czyż z punktu widzenia troskliwego ojca sprawy mogły potoczyć się lepiej? Czy takiemu zięciowi nie należały się specjalne względy? Brzydka córka naczelnika odprowadziła Sędziwoja do wyjścia.

- Kiedy damy na zapowiedzi? Albo choć powiadomimy wszystkich o zaręczynach?

- Już niedługo, moja luba - zapewnił ją niezłą niemczyzną

1 uszczypnął w wielki zadek, aż pokraśniała z zadowolenia.

Trochę się lękał, nie bardzo ufając Teresie, czy aby nie przesadziła z laudanum, albo innym tylko jej znanym specyfikiem. Ale nie, wszystko przebiegało jak należy. Jeszcze przed zapadnięciem zmroku i daleko przed wyczerpaniem całego jada i trunku wszyscy strażnicy spali snem sprawiedliwych, chrapiąc aż miło. Najdłużej trzymał się naczelnik więzienia.

- D...drogi zięciu... - Objął szyję Polaka z pijacką czułością. -Mocne to twoje w...wino...

Po czym zwałił się na podłogę nieprzytomny.

- Czego szukasz? - spytała jego niepijąca córka, widząc, że alchemik rozgląda się pilnie.

- Kluczy do celi Setona. Muszę się jeszcze raz z nim rozmówić, aby jutro nie spotkała nas przy księciu niemiła siurpryza.

- Wiem, gdzie są.

- To bierz je i chodźmy - rzucił Sędziwój z niecierpliwością, ponieważ od tej chwili każda sekunda była na wagę złota i życia zarazem.

Ale panna miała swoje plany. Wprzódy zaciągnęła więc Polaka do rodzicielskiej sypialni i nie puściła wcześniej, nim nie została całkowicie zaspokojona, a trwało to jakiś czas i nie było łatwe do

163

osiągnięcia. Dlatego Sędziwój szedł do więźnia na miękkich nogach, zupełnie wyczerpany, dziewczka zaś podrygiwała, radosna niczym szczygieł. Dobry humor przeszedł jej w jednej chwili, gdy Sędziwój wpierw wytaszczył z celi Setona, po czym zamknął dziewczynę w jego zastępstwie i precz odrzucił klucz.

- Co robisz!?! - zawołała, przyciskając tłustą twarz do judasza wyciętego w solidnych drzwiach.

- Nie widać? Odchodzę - odparł, zarzucając sobie na ramię więźnia, który sam nie mógł chodzić, za to, wyniszczony torturami, był lekki jak piórko.

- Nie możesz! Obiecałeś! Tyle dla ciebie zrobiłam... - zapłakała.

- Ja dla ciebie zrobiłem więcej. Tyle ile nikt inny wcześniej, a obawiam się, że długo poczekaś na następny raz. Tedy jesteście kwita. Żegnaj.

Zamknięcie kolejnych solidnych drzwi w więziennym korytarzu ucięło krzyki oszukanej dziewczki jak nożem. Przed więzieniem, na koźle wynajętej kolasy, czekał Bodowski. Razem wciągnęli lecącego z rąk Setona do pojazdu, po czym sługa zaciął konie. Po dziesięciu minutach karetka stanęła przed domem wynajmowanym przez żonę Kosmopolity, Teresę.

- Obudź się. Gdzie to jest?! - Polak potrząsnął ramieniem Szkota, który otworzył oczy.

- Nie śpię. Wiesz, nie wierzyłem, że to się może udać...

- Teraz widzisz, że ja dotrzymałem obietnicy. Kolej na ciebie. Mów, gdzie to jest?!

- U Teresy. W jej szkatule na klejnoty.

- Oszalałeś? - powiedziała podenerwowana Teresa, kiedy zaczął jej robić wyrzuty, iż od początku go okłamywała, a przy tym naraziła na ekspensy i utratę życia. - Myślisz, że jakakolwiek niewiasta nie wie, co trzyma w szkatule z precjozami, do której zagląda najmniej dwa razy dziennie? Zapewniam cię, że tam nie ma żadnej tynktury!

- Zobaczymy! - rzekł ponurym tonem, po czym zbiegli oboje po schodach i wsiedli do kolasy, która natychmiast ruszyła.

- Mój najdroższy mężu, nareszcie razem - powiedziała słodkim tonem Teresa, tuląc do kształtnej piersi głowę starca.

- Szkatuła! - warknął Sędziwój, brutalnie przerywając małżeńskie czułości.

164

Wydobyła z fałd okrycia ozdobną skrzyneczkę i podała Setonowi. Ten nacisnął ją w pewnym miejscu i zwolnił sprężynę, która wypchnęła ukrytą szufladkę.

- Sprytne! - pochwalił Sędziwój, ale nie mógł powstrzymać rozczarowania na widok wyjętej ze skrytki niewielkiej fiolki z czerwonym proszkiem, którą nieufnie obracał w palcach. - Tak mało?

- Mało? - sarknął Seton. - Owszem, to waży tylko uncję, ale zdolne jest uszlachetnić aż pięć tysięcy części dowolnego metalu. Tedy trzymasz w dłoni skarb wart sto dwadzieścia tysięcy talarów! To chyba godziwa zapłata za uwolnienie, nie sądzisz?

- Obyś mówił prawdę - westchnął Sędziwój, do którego raptem dotarło, że karta, na którą postawił wszystko, co miał, życie i cały majątek, mogła być fałszywa.

Ale kiedy strażom przy zamkniętej bramie miejskiej pokazywał glejt otwierający każde drzwi, wystawiony w kancelarii książęcej dzięki wysoko postawionym przyjaciom, na jego obliczu malowała się bezgraniczna pewność siebie.

Niepokój wrócił na trasie, gdy koła pojazdu co rusz zapadały się w rozmiękłym gruncie. Znów pożałował, że nie dało się użyć sań. Niestety, śniegu było tyle co kot napłakał, na dodatek jak na złość przyszła odwilż. O świcie, kiedy nareszcie, poruszając się w żółwym tempie, dotarli do gospody na rozstajach, gdzie od dawna miał przygotowane konie do zmiany, był przestraszony nie na żarty.

- Dlaczego jedziemy na południe, a nie prosto na zachód? - spytał przytomnie Seton, kiedy wynosili go z pojazdu.

- Bo do Czech jest bliżej niż na Śląsk - wyjaśnił, głowiąc się nieustannie, jak usprawnić podróżowanie. - Dotrzemy do Krakowa przez Ołomuniec i Cieszyn, zamiast Wrocław i Bytom.

Miał do wyboru dwie drogi: prosto na południe do Teplic, mniej uczęszczaną i przez to bezpieczniejszą, ale forsowną, bo wiodącą przez dzikie góry Rudawy. Seton mógłby nie wytrzymać takich trudów. Zdecydował się zatem na wygodniejszy trakt do Deczina przez Pirnę, biegnący wzdłuż Łaby.

- Zgłodniałem - poskarżył się starzec.

- Zjemy za czeską granicą. To już niedaleko - odparł Sędziwój, z niepokojem oglądając się za siebie. - Musisz wytrzymać.

Wierzchem mieliby sporą szansę uciec przed pościgiem, który niewątpliwie ruszył, gdy tylko spostrzeżono ucieczkę więźnia,

165

■

czyli najpóźniej o brzasku, w porze zmiany straży. Ale Seton z pewnością nie przeżyłby takiego wysiłku, nawet gdyby go przywiązali do konia. Sędziwój musiał szybko coś wymyślić. I wymyślił. Wymienił z gospodarzem ciężką landarę na postaw grubego płótna, z którego uczynili rodzaj kołyski umocowanej między dwoma wierzchowcami, których dosiedli Sędziwój i Bo-dowski, starając się jechać jednakim tempem i utrzymywać taki sam dystans między sobą, aby oszczędzić niewygód Setonowi, okutanemu w żonine futra niby w kokon. Teresa Seton podążała za nimi, ciągnąc za sobą luzaka obładowanego sakwami podróżnymi z najcenniejszym dobytkiem.

Teraz poruszali się znacznie szybciej. Po południu przejechali przez małe i senne miasteczko Konigstein. Ponad nim, niczym straszliwa groźba, na co najmniej dwudziestosążniowym

nadrzecnym urwisku sterczał zamek-więzienie Konigstein. Serce w nim zamarło. Jeszcze nie byli bezpieczni, a gdyby tam trafili... Przełknął ślinę. Na moście przez Labę stały straże, lecz glejt książęcy i pękata sakiewka zrobiły swoje. Sędziwój odetchnął z ulgą, gdy znaleźli się na drugim brzegu, a od granicy dzieliła ich tylko mila, najwyżej dwie. Kwadrans później Teresa spojrzała za siebie, po czym wrzasnęła z trwogą:

- Ścigają nas!

Sędziwój również zerknął wstecz i ujrzał w oddali małe postacie, które jednak szybko rosły w oczach. Dali koniom ostrogi. Dzielne zwierzęta dobywały resztek sił. Miotany na wszystkie strony Seton kurczowo uchwycił się poręczy swojej kolebki, ale się nie skarżył. Granica była blisko, lecz książęcy rajtarzy także...

Kraków, luty 1588 roku

W poniedziałek 1 lutego, w wilię święta Gromnic, mimo przenikliwego chłodu, tłum krakowian zapelniał ulice, by powitać niezwykle popularną królową polską Annę i jej imienniczkę, królową szwedzką. Obie przybywały do stolicy z Warszawy, aby nareszcie spotkać się z ukoronowanym już „synaczkim” i bratem oraz na spóźniony pogrzeb Batorego, przewidziany na wiosnę. Anna Wazówna,

166

chłodna jak brat, lecz o wiele od niego bystrzejsza, z ciekawością rozglądała się wokół błyszczącymi inteligencją oczyma, co rusz wymieniając uwagi, to z ciotką, to (częściej) z kuzynką Sygrydą, córką Eryka Szalonego i Karin Mansdotter.

Annę Jagiellonkę całą drogę zajmowało obmyślanie projektu kaplicy, którą zamierzała wystawić mężowi w katedrze, wyrzeźbienie sarkofagu z postacią zmarłego planując powierzyć sławnemu artyście Santi Gucciemu. Przymierzała się także do połączenia miedzianych dachówek na kopule nad kaplicą Zygmuntofską, kryjącą szczątki jej ojca i brata. W tym celu wiozła cały worek dukatów¹. Ale im bliżej dawno niewidzianego Krakowa, jej myśli coraz częściej biegły ku umiłowanemu Zysiowi, z którego dzieciennym portretem (z pieskiem), otrzymanym dawno temu, nigdy się nie rozstawała, wioząc go nawet teraz ze sobą². Serce schorowanej, sześćdziesięcioletniej władczyni, której niezbyt się w życiu poszczęściło, przepełniała radość i duma. Oto spełniło się jej największe dzieło - mimo tysięcznych przeciwności zdołała (z pomocą Zamojskiego) osadzić siostrzeńca na polskim tronie. W zamian oczekiwała wdzięczności i serdeczności, których tak niewiele w życiu zaznała. Szykowała się także do roli głównego mentora i doradcy, jaką spodziewała się odgrywać przy niedoświadczonym królu.

Tym większe było więc jej rozczarowanie. Król co prawda wyjechał konno na spotkanie ciotki za miasto, i to w asyście wielkich panów razem z barwnymi pocztami oraz rajcami i kupcami krakowskimi w najkosztowniejszych ubiorach. Ale przy powitaniu twarz miał bez wyrazu, zaś słowa powitania były krótkie i zdawkowe. Zaś zaraz potem spał konia,

zamierzając ruszać przodem ku miastu. Starszej pani zrobiło się przykro, a jeszcze bardziej wstyd, że została tak zlekceważona na oczach wielmożów, pośród których i tak miała niewielu przyjaciół.

Na szczęście ksiądz Skarga, doskonale znany jej z dawnych czasów, zauważył przykrość, jaką oschle powitanie sprawiło starej królowej, i dyskretnie szepnął coś królowi do ucha. Zaraz też Zygmunt zawrócił wierzchowca, zatoczył koło i odtąd podążał tuż obok kolasy, przywracając królowej dobry humor.

' Według legendy, ale w istocie kopułę wyzłocono na jej koszt i pod nadzorem burmistrza Waxmana i wielkorządcy Franciszka Rylskiego w latach 1591-1593.

1 Można go do dziś podziwiać w komnatach wawelskich.

167

Na „drodze królewskiej”, od Bramy Floriańskiej, po Rynek, Grodzką, Kanonną, aż do zamku, zbita ciżba gapiów, oddzielona od bruku, po którym poruszał się pochód, szeregiem żołnierzy uzbrojonych i zaopatrzonych ostatnimi czasy przez miasto na potrzebę z Habsburgiem, radośnie witała dawno niewidzianą królową. A z jeszcze większą ciekawością wypatrywano księżniczki szwedzkiej, o której słyszano, że była równie gorliwą luteranką, jak jej brat katolikiem. Obie wyglądały z karety, by nie zawieść zgromadzonych, uśmiechając się łaskawie. Wtem Sygryda Wazówna, ciekawie zerkając ponad ich głowami, zawołała, wskazując wystającego ponad szpaler żołnierzy rosłego blondyna w żebraczym odzieniu, wspartego na pielgrzymim kosturze:

- Gustaw!

Obie Anny jak na komendę zwróciły ku niej głowy i zaciekawione spojrzenia.

- Jaki Gustaw? - spytała królowna.

- Mój brat.

- Przecież on nie żyje!

- Wiem. Ale to on. Na pewno. Poznałabym go zawsze i wszędzie - upierała się Sigrid, zżyta z bratem, którego w dzieciństwie porwano niemal na jej oczach.

Stara królowa nie rozumiała po szwedzku, ale bez trudu domyśliła się, o czym mówiły księżniczki.

- Gustaw żyje - powiedziała ku zdumieniu siostrzenicy. - Potem ci wszystko wyjaśnię. I Zygmuntowi - dodała, nie zdając sobie sprawy, że król już wiedział od ojca o istnieniu kuzyna i miał twardy orzech do zgryzienia. - A teraz przywołajcie go do nas.

Ale choć kazały zatrzymać powóz i rozglądały się pilnie, nigdzie nie dostrzegły jasnowłosego żebraka, więc pojechały dalej, poruszone niespodziewanym spotkaniem. Tymczasem ów, który je tak bardzo zajmował, kiedy tylko spostrzegł, że został rozpoznany, narzucił kaptur i

chyłkiem zaczął przeciskać się w tłumie, by wnet zniknąć w bocznej uliczce. Za nim zaś, sunąc jak wilk, podążał człowiek w czerni, mimo uderzającego wyglądu nierzu-cający się w oczy.

Szukajcie, a znajdziecie, proście, a będzie wam dane. Po długich i bezskutecznych poszukiwaniach, dzięki nierozważnemu okrzykowi szwedzkiej księżniczki, Reinhold Kettler nareszcie dopadł tego,

168

którego polecono mu odnaleźć. A kiedy raz złapał trop, ofiara nie miała prawa mu ujść. Nawet gdy, jak teraz, nagle rozplynęła się w mroźnym powietrzu niczym duch.

Kraków, marzec 1588 roku

Pora została dobrze wybrana. Do wieczornego nabożeństwa było jeszcze sporo czasu i wierni nie zaczęli napełniać świątyni. Nie brakowało jedynie bab i dziadów prośalnych, kłębiących się w kruchcie lub drzemających w ławkach oraz dewotek leżących krzyżem przed głównym ołtarzem. Złachmanieni i śmierdzący żebracy napawali go obrzydzeniem, ale ołtarz zachwyił. Oto był przykład doskonalej niemieckiej roboty! Jak ci głupi Polacy mogli przedłożyć Szweda, którego dziad przerzucał jeszcze gnój jako pospolity wiejski parobek, ponad Habsburga ze starożytnego domu i narodu, który wydał mistrzów zdolnych do stworzenia takiego arcydzieła jak ten ołtarz?!

Po półgodzinie, kiedy zdążył się już znecierpliwic, ktoś się do niego przysiadł. Instynktownie chciał się od niego odsunąć, kątem oka z odrazą rejestrując połataną opończę, kiedy przybysz odrzucił kaptur i chwycił go za ramię. Wpierw się zachnął, lecz spojrzawszy w niesamowite oczy tamtego, przestał się opierać. To był człowiek, na którego czekał.

- Doktor Kai? - spytał półgłosem człowiek o dziwnych oczach.
- Tak. Imć Kettler, jak mniemam?
- Zgadza się.
- Spóźniłeś się pan.
- Jestem tu od godziny z okładem. Obserwowałem cię.
- Po co? - nagle zrozumiał. - Podejrzewałeś pułapkę?
- Mógł cię ktoś śledzić. Ale masz rację, zawsze podejrzewam niemiłą siurpryzę, dlatego wciąż żyję. W moim fachu przezorności nigdy dosyć. Zdarzało się już, że mocodawcy zmieniali zdanie i nagle stawałem się dla nich niewygodny.
- Tym razem to nie wchodzi w grę. Jesteśmy z ciebie zadowoleni, choć na rezultat kazałeś nam długo czekać.
- Szukanie igły w stogu siana nie jest proste.

- Wiem. Jesteś pewny, że to on?
- Całkowicie.
- Gdzie go znajdę?
- Niedaleko.
- Może go tam już nie ma? - zaniepokoił się. - Nie powinieneś spuszczać go z oka.
- Widzisz pan tych żebraków? Kilku z nich to moja asystencja, a pozostali we dnie i w nocy pilnują obiektu.
- To pewni ludzie?
- Znam ich naczelnika. Poleciał mi najlepszych, a ja im dobrze płacę. A skoro mowa o pieniądzach...
- Oto umówiona nagroda, minus zaliczka. - Dyskretnie przekazał albinosowi sakiewkę.

Ten zważył ją w dłoni, nim niedbale wsunął za pazuchę.

- Miałem extra koszta - przypomniał.

Tajny radca cesarskiego dworu skrzywił się.

- Nie mam przy sobie więcej. Zgłoś się jutro do tawerny „Pod Jeleniem”. I pozostań w kontakcie z gospodarzem. Możemy cię jeszcze potrzebować. A teraz prowadź.
- Spokojnie. Zdaje się, że chciałeś się z nim rozmówić w cztery oczy?
- To konieczne.
- Zatem musimy poczekać, bowiem znalazł sobie nie byle jakiego protektora, który strzeże go niczym Argus.

W tej chwili do albinosa podszedł jakiś obdartus, szepnął mu coś na ucho i zaraz usunął się w cień.

- Możemy iść - powiedział Kettler do Austriaka.

Poprowadził go do bocznego wyjścia, przed którym, przykuty

za szyję do kuny tkwił jakiś półdiota z guzami na łbie, strzykający wokół śliną i wyrzucający z siebie potok bluźnierstw i przekleństw. Widocznie skazano go na kunę za obrazę świętego miejsca. Kilko wyrostków, schowanych za okazałym nagrobkiem, śmiejąc się, obrzucało szaleńca śnieżkami i kawałkami lodu, pobudzając go do jeszcze głośniejszych

złorzeczeń. Przerwali i pierzchnęli niby spłoszone ptactwo, gdy na cmentarnej ścieżce pojawiła się sylwetka chudego jak szczapa księdza. Maszerował szparkim krokiem. Wiatr

' Zachowała się do dziś.

170

rozwiewał długie, siwe włosy i odsłaniał jego ascetyczną twarz, której surowość łagodził życzliwy uśmiech. Mimo mrozu odziany był jedynie w cieką rewerendę, łopoczącą za nim niczym żagiel na wietrze.

Albinos gwałtownie szarpnął Kala i pociągnął go w głąb kruchty.

- To ów Argus? - szepnął cesarski radca.

- Ksiądz Piotr Skarga we własnej osobie - potwierdził najemnik. - Królewski kaznodzieja. Pewnie bieży na zamek, więc kto inny odprawi wieczorne nabożeństwo. To ci daje dużo czasu.

Kiedy sylwetka jezuita zniknęła za cmentarną bramą, wyszli z ukrycia. Jurgieltnik, próbując ominąć miotającego się w łańcuchach idiotę, przypadkowo otarł się o kamienny portal i uraził w przedramię.

- Au - syknął i złapał się za bolącą rękę.

- Co waści jest?

- Stara rana. Tyle że wciąż się jadzi. Ale to nic. - Jednak spot-niałe czoło i wykrzywione z bólu usta świadczyły o czymś wręcz przeciwnym. - Widzisz pan te drzwi za Ogrojcem? Tam go znajdziesz - powiedział Kettler. - Gdyby coś poszło nie tak, wołaj. Będę w pobliżu.

Co za potworny ból! Przewiercał całe ciało i wbijał się w serce jak nóż. Mózg mi eksplodował. Musiałem na moment stracić przytomność, lecz lodowata woda zaraz mi ją przywróciła... Po co?! Mój Boże, niechże już skonam i niech ustanie to nieznośne pieczenie w płucach, gardle, wszędzie... A jednak, musiał to sprawić instynkt, poszedłem na dno z zamkniętymi ustami, wcześniej nabrawszy ogromny haust powietrza, co było spowodowane przenikliwym bólem, a nie świadomym działaniem. Kiedy zaś dotknąłem dłońmi i kolanami mulistego dna, w którym natychmiast zapadłem się do połowy ciała i wróciła mi zdolność rozumowania, ten sam instynkt, czy też przemożna wola życia, sprawiły, że zacisnąłem szczęki, wstrzymałem dech... I przypomniałem sobie, co się stało.

Gdzieś tam nade mną czyhał bezlitosny morderca. Czekał, żeby się wynurzył. Natężał wzrok, a jeszcze bardziej słuch, bo w tej mgłę ten zmysł był pewniejszy, aby dokończyć dzieła. Nie dam mu tej satysfakcji. Już raczej zdechnę tu, na dnie. Nagle myśl jak błyskawica przebiegła mi przez głowę: nie mogę tak skończyć!

171

Nie tu i nie teraz. Muszę ostrzec naszych, bo inaczej wróg zdobędzie miasto. Moi najbliżsi zginą, bo zawiodłem. Dałem się złapać jak dziecko i zabić jak szczur, podczas ucieczki. Zresztą pal diabli ambicję: śmierć to śmierć. Jednak nie wolno mi umrzeć. Jeszcze nie. Ba, tylko jak to zrobić? Kończył mi się zapas powietrza. Boże, pomóż...

Wtem, gdy ostrożnie wypuszczałem dech, aby zbyt wielka ławica bąbelków, rącho mknących ku powierzchni, nie zdradziła mnie przed Kettlerem, przypomniałem sobie przechadzkę z małym Kacprem i nasze zdumienie na widok bobrów. Przecież staliśmy wówczas prawie, a może nawet dokładnie w tym samym miejscu, w którym wskoczyłem do wody! Gdzieś opodal, nieco na lewo, powinno być żeremie. Podtopione obficie przybraną wodą, niewidoczne w nocnych ciemnościach i śrzedzde płożącej się nad wodą szczególnie grubym kożuchem.

Doznałem olśnienia. Jakby sam Jezus wskazał mi drogę. Mózg wypełniała mi jedna myśl: do żeremia! Tam będę bezpieczny. Do żeremia! Zanim utonę. Odbiłem się od dna i ostrożnie popłynąłem naprzód pod wodą, starając się tylko minimalnie poruszać kończynami. Zresztą każdy ruch sprawiał mi niewysłowioną boleść. Do żeremia! Tam czekało ocalenie. Nagle poraziło mnie zwątpienie, czy raczej otrzeźwienie. Chyba oszalałem, skoro ni to pełznąć po dnie, ni to płynąć pod wodą i zupełnie nic nie widząc, chciałem po omacku znaleźć wejście do bobrzego tunelu, wiodącego do chatki na wodzie. Czysty obłęd! Jak człowiek zdoła się wcisnąć w otwór sposobny w sam raz dla bobra? Wtem moje wystawione rozpaczliwie naprzód dłonie dotknęły ostro sterczących gałęzi tworzących ściany żeremia. Darłem je i szarpałem, równocześnie pchając się w górę wpierw z użyciem kolan, potem stóp, coraz wyżej i wyżej, czując, że zapas tchu skończył mi się w zeszłym roku i dłużej już nie wytrzymam. Piersi bolały mnie jeszcze bardziej od płuc. To koniec. Otworzyłem usta...

Nie poczułem, kiedy moja głowa przebiła taflę wody, ale skoro się nie zachłysnąłem, więc było to faktem. Podciągnąłem się na rękach i udało mi się połową ciała wciągnąć na rodzaj szerokiej półki czy też tarasu. Leżałem i dyszałem, łapczywie ruszając ustami, niczym ryba wyrzucona na brzeg. Potem całkiem wdrapałem się na suchą powierzchnię. Była gładsza, niż się spodziewałem, zbudowana

172

#1

z delikatniejszych gałązek, poza tym wyrównana suchym mułem i czymś jedwabistym, co po dokładniejszym badaniu okazało się wyliniałą sierścią.

W każdej chwili oczekiwałem wściekłego fukania gospodarzy, zaniepokojonych, albo nawet oburzonych moim wtargnięciem. Nie zdziwiłbym się, czując na ciele ukąszenia ostrych siekaczy. Ale nic takiego nie nastąpiło. Byłem w żeremiu sam. Widocznie, tak jak przewidywał młynarz, rybacy zlikwidowali bobrzą parę, zanim zdążyła dorobić się potomstwa i zapełnić cały dom. Cóż, dobrze przynajmniej, że żeremia nikt nie zburzył.

Solidna, kopulasta konstrukcja miała niecały sążeń wysokości i półtora szerokości. Mogłem w niej siedzieć skurczony, głową dotykając sklepienia, albo leżeć z podwinętymi nogami. Może

za dnia przez jakieś szpary przenikała do wnętrza odrobina światła, lecz nie o tej porze. Było ciemno jak w grobie. I w istocie, wyglądało na to, że tym dla mnie będzie. Obojętnie, czy siedziałem zgięty, czy próbowałem leżeć na boku, doskwierał mi ból trudny do opisanego, a tym bardziej do wytrzymania. Zwłaszcza, gdy zdarzyło mi się urazić ranę. Wiedziałem, że jest poważna, może nawet śmiertelna, i jedyne co mnie dziwiło, to że wciąż żyłem.

Zacisnąłem zęby i próbowałem skupić się na czym innym. Nasłuchiwałem. Uczucie było osobliwe. Zupełnie jakbym siedział pod czarodziejską kopułą. Niewidzialny dla otoczenia, równocześnie słysząc, co się dookoła działo, tylko jakby wytlumione. Nie wiem, jak długo tak trwałem, cały zamieniony w słuch. Najpierw usłyszałem plusk, jakby jakaś ryba płaśnięła ogonem lub żaba wskoczyła do wody. Tylko skąd pod koniec listopada miałyby się wziąć aktywne żaby? Po pewnym czasie trzasnęła gałązka, a potem dały się słyszeć kroki, ciche lecz niewątpliwe. Woda dobrze przewodziła dźwięki. Wreszcie ktoś zaklął i dobiegły mnie słowa:

- Żegnaj, Ryx. Byłeś dobry, ale niewystarczająco. W tym fachu wygrywają tylko najlepsi. Do zobaczenia w piekle.

Dobrze poznałem tę podstępłą bestię. Dlatego czekałem. Drżałem jak w febrze, głównie z zimna, ale pewnie także z powodu gorączki. Żeremie nagrzało się odrobinę od mego rozpalonego ciała, lecz niedostatecznie. Rozważałem, czy nie spróbować choć częściowo pozbyć się mokrego odzienia, jednak bałem się drgnąć. I słusznie, bo dopiero po dłuższej chwili rozległo się pokasywanie,

173

ktoś charknął i głośno splunął do wody. A zaraz potem moje wyczułone uszy wyłowiły oddalające się stapania. Kettler, ty przebiegły diable, tym razem cię przechrztyłem!

Nagle zeszło ze mnie napięcie. Teraz już nie musiałem tłumić dzwonienia zębów, mogłem także trochę rozprostować kości. A przynajmniej tak mi się zdawało, aż straszliwy ból prawie rozdarł mnie na dwoje. Zaprzagnąłem zwinąć się w kłębek i umrzeć. Skuliłem się. Czuję, jak chłód stopniowo ogarnia od dołu moje ciało. Sztywniałem i obojętniałem na wszystko, ale było mi coraz przyjemniej. Zamknąłem oczy. Nagle pod powiekami pojawił się obraz Janki. Wyciągała błagalnie ręce i coś wołała. Zapłakany Kacperek czepiał się sukni matki. Była za daleko i nie mogłem jej usłyszeć, lecz odczytałem z ruchu warg błagalne: Kacper, wróć! Potrzebowała mojej pomocy. Musiałem ruszać...

Jęcząc i klnąc na przemian, z powrotem wczołgałem się do tunelu. Zacerpnałem tchu i wcisnąłem się w głąb wąskiej jamy, mocno pracując rękoma i nogami. Na powierzchnię wydostałem się bez większego trudu. Noc wciąż trwała. Dopłynąłem do brzegu i dwa razy ześliznąłem się do wody, zanim udało mi się wyczołgać na pewny grunt. Zataczając się jak pijany, ruszyłem naprzód, w stronę miasta. Ale nie utrzymałem się długo na nogach. Opadłem więc na czworaki, a w końcu pełzłem jak robak, nie wiedząc nawet, czy podążam w dobrym kierunku. Nic nie widziałem. Ale się poruszałem. Za każdym razem, kiedy ustawałem, przychodzili bliscy, będący już po tamtej stronie: cioteczka Balcerowa, ojciec Roch, Sęp, mistrz Kochanowski. Nic nie mówili, lecz na obliczach malowały im się taki spokój i błogość,

że pragnąłem do nich dołączyć. Ale wtedy pojawiała się Janka i mały Kacper i zmuszali mnie do następnego wysiłku. Aż w końcu zjawili się jacyś obcy ludzie, a żona i syn zaczęli się ode mnie oddalać. Nie mogłem do tego dopuścić.

- Zaczekajcie! - zawołałem z rozpaczą. - Nie zostawiajcie mnie samego!

Otworzyłem oczy, lecz niewiele zobaczyłem, gdyż wokół panował półmrok. Siedziałem na czymś miękkim, chyba łóżku. Nic więcej nie zdążyłem zarejestrować, bo przeszkodził mi radosny krzyk:

- Zbudziłeś się! Mój Boże, to chyba cud!

Skądś znałem ten głos. Ale skąd? Dopiero po pewnym czasie przypisałem głos do osoby, acz wcale nie miałem pewności.

174

- Stach...nik?

Mój własny głos zabrzmiał mi w uszach obco. Był chrapliwy i jakiś taki niewyraźny, jak nie mój.

- We własnej osobie... Chryste, ależ się cieszę! Hej tam, wołać panią Thropońską, a nuże! - huknął w bliżej nieokreślonym kierunku.

Siedzenie zmęczyło mnie, więc opadłem na poduszkę, wilgotną od potu.

- Gdzie... jesteśmy? - mówienie też mnie męczyło, język mi jakby skołowaciał.

- W Rabsztynie, w sypialni hetmana jegomości.

- A on?

- W Zamościu.

Nic z tego nie rozumiałem.

- Który... dziś?

- Chyba dziesiąty.

- Grudnia?

- Lutego.

- Jezu...

- Właśnie. Już myśleliśmy, że nigdy się nie obudzisz. Tylko Joanna nie traciła nadziei.

Zbierałem myśli, które gdzieś mi pierzchały, kiedy rozwarły się jakieś drzwi i po chwili już ktoś był przy mnie, tuląc, całując i mówiąc ze szlochem:

- Kacper! Kochany! Żyjesz! Wiedziałam! Wiedziałam, że nas nie zostawisz! Dzięki ci, Boże!

Kiedy odzyskałem dech, wychrypiałem:

- Kto... ty... jesteś? Zamarła.
- Nie! Czyżbyś...

Nie mogłem dłużej trzymać jej w niepewności.

- Żarto... wałem tylko - powiedziałem i uściśnąłem jej dłoń, zdając sobie raptem sprawę, jak słaby to uścisk.
- Ech, ty! - uśmiechnęła się przez łzy. - Kiedy wreszcie dorośniesz...
- Świat...ła... - poprosiłem.
- Kiedy doktorzy powiedzieli, że jasność pacjentom szkodzi...
- Bzdu...ry.

175

Wstała, podeszła do okna i rozsunęła opony. Do komnaty wpadły promienie słońca, zimne i blade, ale zawsze. Od razu poczułem się lepiej. Kiedy znów przysiadła na skraju łoża, nie mogłem oderwać od niej oczu. Pomizerniała. Oczy miała zapadnięte i podkrążone. Piękne lico wyciągnęło zmartwienie, ujrzałem pierwsze zmarszczki i kilka siwych włosów, których nie było wcześniej. Ogarnęło mnie wzruszenie.

- Śni...łaś mi się co noc... I mały Kac...per.

Oczy znów się jej zaszklily. Przelknęła ślinę.

- Bo też przesiadywała przy tobie całymi dniami i nocami, myła, karmiła, strzygła, nie chcąc się zdać na sługi - wtrącił Żółkiewski. -Aż dziw, że jeszcze trzyma się na nogach.

Pogłaskała mnie po rękę, po czym nachyliła się i pocałowała mocno w usta.

- Musisz być głodny jak wilk. Pójdę po coś dobrego, zanim się tu na dobre rozryczę i nie ustane. Zaraz wracam - chlipnęła i wybiegła, zanim zdążyłem ją zatrzymać.
- Co tu ro...bisz? - spytałem Stachnika po jej wyjściu.

Odrzucił posłanie i odsłonił nogę, grubo spowitą bandażami.

Zgiętym palcem stuknął w łupki.

- Oberwałem w biodro. Ale to długa historia.
- Ma...my czas.

Nie ociążał się, rad, że znalazł słuchacza, który nie wiedział nic o wypadkach zaszłych podczas ostatnich dwóch miesięcy z okładem.

- No więc, kiedyśmy ruszyli za umykającym Maksymilianem...
- To już po oblężeniu?

- I po oblężeniu, i po koronacji nawet. A to wszystko dzięki tobie, człeku! Nie pamiętasz? Ostrzegłeś nas w ostatniej chwili i szturm cezarian na miasto spalił na panewce. Musieli z podkulonymi ogonami umykać ku szląskiej granicy. Od Godów mamy nowego pana, miłościwie nam panującego Zygmunta III z domu Wazów. Ale Maksymilian nie zrezygnował i rozsiadł się w Wieluniu, czekając na posiłki z Moraw i Węgier. Kiedy zatem nadeszła pełnia, chwycił luty mróz i drogi się poprawiły, 13 stycznia hetman ruszył przeciwko nim, wcześniej posławszy przodem Węgrów, trzy chorągwie jazdy Baltazara Batorego i piechotę Bornemiszy. Na wieść o naszym zbliżaniu, Maksymilian zemknął za granicę i stanął pod Byczyną, dość pewny siebie z racji nadejścia owych posiłków i ufny w nienaruszalność

176

granic. Tam go dopadliśmy 24 stycznia, w niedzielę, bo Janek Zamojski przezornie zapewnił sobie zgodę sejmu na przekroczenie granicy. Farensbek, Drohojowski, Kiraly, Wybranowski, Serny, Uro-wiecki, Struś, Sobieski, Pękosławski, wszyscy starzy towarzysze broni z czasów wojen z Moskalami tam byli i wszystkim nam cię brakowało...

- Kto miał prze...wagę?

- Wojska były równe, bodaj po sześć tysięcy ludzi z obu stron. Tylko że Maksymilian i jego hetman, Jędrzej Zborowski, okazali się marnymi wodzami. Ufali w otaczające miasto bagna i moczary, zapomniawszy, że mróz je ściął. Toteż gdy hetman Zamojski w przebraniu podsunął się pod szyki nieprzyjacielskie, łatwo stwierdził, że skrzydła są słabo broniące. Kazał więc naszym zjechać z głównego traktu, zwanego gościńcem królewskim, zatoczyć armaty i zająć stanowiska z boku, na wysokiej grobli, w czym Maksymilian nie przeszkadzał wcale, ufny w swą siłę. Dochodziło już południe, lecz mimo to hetman zarządził, by szturmować, nie zwlekając...

- Nieprawda!

Do komnaty wkroczyła Janka, trzymając za rękę Kacpra juniora, a za nią dwie służące z tacami pełnymi parujących sma-kowitości.

- Nieprawda! - powtórzyła, gestem nakazując służkom wyłożyć jadło i napitki na krótkich ławach, które stały przy naszych łózkach. - Staś jak zwykle nadto skromny. Ale ja dobrze wiem od imię Uhrowieckiego, że to Stachnik, a nie hetman zaproponował, by zaatakować wraże skrzydła, i to on, gdy pan Zamojski po powrocie z rekonesansu się wahał, a

panowie Farensbach i Pękosławski radzili odłożyć szturm do następnego dnia, zalecał, by uderzać, póki wojsko nie dowiedziało się o posiłkach dla Maksymiliana. Niech ci też powie, jak zdobył chorągiew cesarską.

- E tam... - Machnął ręką, niby to lekceważąco, ale dobrze go znałem i wiedziałem, że Janka mile połechtala jego próżność.

- Ale teraz koniec gadania, pora na jedzenie - zarządziła. - Lecz wprzód... Kacperku, przywitaj się z ojcem.

Malec kurczowo chwycił się matki, patrząc na mnie rozszerzonymi z ciekawości i odrobiny lęku oczyma. Nie poznał mnie! Podniosłem rękę do twarzy. Porastała ją gęsta broda, przycięta co

177

prawda, ale to ona musiała zmylić chłopca, bo zapamiętał mnie gładko ogolonego. Wyciągnąłem ku niemu dłoń, mówiąc:

- To ja, syn...ku.

Zachęcony przez matkę, cmoknął mnie pospiesznie w wierzch dłoni i zaraz skrył się za Jankę. Gestem nakazałem jej dać mu spokój. Odesłała go z jedną ze służ i zajęła się karmieniem mnie kęskami tłustego kapłona i pojeniem, podczas gdy druga dziewczka obsługiwała Stachnika.

- A teraz oba grzecznie śpijcie - rzekła, gdy skończyły, i pocałowała mnie przed odejściem. - Musicie szybko wrócić do sił. Zajrzę niedługo.

Nie chciało mi się spać. Żółkiewskiemu najwidoczniej też.

- Ma urwanie głowy - powiedział, a ja dopiero po chwili pojąłem, że mówi o Jance. - Kilka dni temu zjechały do Krakowa jejmość królowa Hanna i jej siostrzenica, królowna szwedzka. Tej ostatniej Joanna wielce przypadła do gustu i uczyniła ją swoją ochmistrzynią.

Czułem jednak, że aż się palił, by dokończyć relację o potrzebie byczyńskiej. Ja zresztą też byłem ciekaw.

- Opowiadaj - mówienie przychodziło mi nieco łatwiej.

- Na czym to skończyłem? Aha. No więc w istocie, jam namówił hetmana, by szturmować, nie zwlekając. Wówczas Zamojski wyjął półzegar, jajco norymberskie podobne do tego, jakie ty kiedyś dostałeś, i rzekł do przybocznych: Panowie! Mamy pięć godzin do nocy, trzeba nacierać, póki jest w wojsku zapał i ochota! Tośmy natarli. Stach Pękosławski z husarzami i ja z pancernymi na lewym skrzydle, Gabriel Holubek, Kozak, na prawym, zaś hetman, w swoim czarnym pancerzu, środkiem. Prawe skrzydło ugięło się, gdy ten piekielnik Diabeł Stadnicki strzałem w głowę ubił Hołubka. Na szczęście śmiała szarża setki desperatów

pod Jędrzejem Kar-chowskim zadała bobu Stadnickiemu, który pierzchnął i nie oparł się aż we Wrocławiu. Tymczasem myśmy znieśli ze szczętem resztę wojsk Maksymilianowych, a jego samego, któren nie mógł uwierzyć w tak srogą klęskę, ledwie Erazm Lichtenstein w ostatniej chwili zdołał nakłonić do schronienia się w mieście, ująwszy arcyksiążę-cego konia za cugle... W godzinę było po wszystkim.

- Kto cię ranił?

- A bo ja wiem... Jakowyś rajtar wypalił z arkebuza, akurat gdyśmy ich gromili, a mnie powiodło się zdobyć główną chorągiew

178

cesarską - żółtą z dwugłowym czarnym orłem¹. TYafił mnie, szelma, w biodro, ażem zleciał z konia na łeb. Ale chorągwi z garści nie wypuściłem. Co było potem, to wiem z opowieści druhów...

- A co było?

- Nasi usiekli tamtych chyba z połowę, nim reszta się rozproszyła w ucieczce albo schroniła w Byczynie przed zawarciem bram. Miasto miało mury wysokie, lecz słabe, więc gdy nasi jęli się na nie drapać, Maksymilian wysłał pana Ciołka, by poprosił pardonu. Nie mając pod ręką ani papieru, ani inkaustu, Janek Zamojski kęskiem ołówka napisał na pugilaresie list do Maksymiliana, w którym gwarantował jemu i wyższym oficerom godziwe warunki niewoli w swym zamku, dopóki warunki pokoju między naszymi krajami nie zostaną ustalone, a szkody wynagrodzone. Prostych zaś żołnierzy i niższych oficerów obiecywał zaraz puścić wolno. Maksymilian nie miał wyjścia i zaproponowane kondycje przyjął. Mimo dnia świętego i zakazów hetmańskich wojsko zaczęło łupić, mordować i gwałcić, zresztą to samo robili w okolicy rozbitkowie z wojska Maksymiliana, po czym podpaliło miasto. W pęta zostali wzięci stary garbaty pijak Górka, Jędrzej Zborowski, książę Proński z Litwy, Erazm Lichtenstein i wieczny wichrzyciel, ślepy eksreferendarz Czarnkowski. Maksymilian, pilnowany przez Drohojowskiego, jechał w małej karetce ciągnionej przez dwa białe konie, a pozostali znaczniejsi jeńcy społem na dwóch wozach. Razem ze zdobytymi armatami Zamojski zawiózł ich prosto do Zamościa, gdyż spieszył do żony na krzcziny wyznaczone w mięsopust, na które zaprosił arcyksięcia. Dlatego nie masz sam hetmana do teraz. Pisał mi, że już odesłał brańców do Krasnegostawu, do pilnowania księcia wyznaczwszy siłacza Marka Sobieskiego²...

Musiałem sobie przysnąć, bo gdy znów otworzyłem oczy, słońce za oknem z wolna zachodziło. Przy łożu Żółkiewskiego uwijał się jakiś niski jegomość w czerni.

- O, nie śpisz - ucieszył się Stachnik. - Tedy poznaj doktora Stanisława ze Lwowa. Ojciec mi go podesłał, gdy się zwiędział o mojej ranie. I na całe szczęście, bo albo bym ducha całkiem wyzionął, albo stracił nogę, gdyby nie doktor. A tak, niedługo będę jak nowy.

1 Trafiała do Skarbca Koronnego na Wawelu.

2 Dziadek przyszłego króla.

179

- Tego nie powiedziałem - zastrzegł lekarz, kończąc oględziny i zabierając się do zmiany opatrunku. - Jeszcze długo będziesz waszmość musiał pilnować łoża...
- A potem? - Stachnik rzucił to niby beztrąsko, a jednak obaj wyczuliśmy nutę napięcia w jego głosie.
- Szczerze?
- Proszę.
- Kula strzaskała kość udową i uszkodziła kolano. Niebezpieczeństwo wdania się gangreny wciąż istnieje. A nawet jeśli leczenie zakończy się pomyślnie, w co wierzę, zawsze już będziecie utykać, panie. Przykro mi.

Stachnik milczał dłuższą chwilę, po czym westchnął i rzekł:

- Ha, trudno. Quid sit futurum eras, fuge quaerere!1 Mogło być gorzej. Doceniam, coście dla mnie zrobili, doktorze. Choć patrzy na to, że odtąd będę potrzebował osobistego medyka. Co acan na to powiesz?
- Byłbym zaszczycony. - Lekarz zarumienił się z zadowolenia.

Nie dziwiłem mu się, bo chyba właśnie załatwił sobie utrzymanie do końca życia.

- Aequam memento rebus in arduis servare mentem2. Do wesela się zagoi - pocieszyłem Stachnika; język już mi nie przeszkadzał podczas mówienia. - Witaj w kompanii kuternogów.

Dawno temu też postrzelono mnie w nogę i od tamtej pory lekko kuśtykałem, zwłaszcza w dżdżyste dni.

Zakończywszy krzątanie przy Żółkiewskim, lekarz przeniósł się na moje łóżko i kazał mi obrócić się na brzuch, po czym długo oglądał moje plecy.

- I jak? - spytałem.
- Wygląda na to, że rana dobrze się goi. Przynajmniej na zewnątrz.
- Waść mnie operował, doktorze?
- Nie. Doktor Syreniusz. Od niego dowiedzie się więcej, doktorze Hiropoński.
- Kiedy?

Wzruszył ramionami.

1 Quid sit futurum eras, fuge quaerere! (lac., Horacy) - co będzie jutro, nie pytaj.

2 Aequam mento rebus in arduis servare mentem (lac., Horacy) - pamiętaj o zachowaniu równowagi w trudnych chwilach.

180

- Tego nie wiem. Jeszcze niedawno przychodził co dzień, ale w mieście panuje mór i tamtejsi medycy mają pełne ręce roboty, więc ostatnio zdał się na mnie.

- Zatem dzięki za pieczę.

- Nie ma za co. Podziękujcie raczej żonie. Jest lepsza niż wszystkie siostry duchaczki, jakie znam, razem wzięte.

Obciągnął mi gieżło i zezwolił obrócić się na plecy.

- Tedy do jutra, mości panowie - rzucił na pożegnanie i odszedł.

- Jest naprawdę dobry - zapewnił Stachnik.

- Wierzę.

- Ale ponoć to, co pokazał w twoim przypadku doktor Syreniusz, to był istny majstersztyk. Misterstwo czternastej próby. Przyznał to sam Bucella, który nie podjął się tej roboty, zgodził się jedynie asystować. To samo Fox i Picus. Ergo możesz sobie imaginować, jak cienka przeczka dzieliła cię od lepszego ze światów. Żaden ze znanych medyków nie dawał Joannie cienia nadziei, lecz ona się nie poddała. Szukała, kołatała, aż wynalazła doktora Syreńskiego. W infirmerii wprzódę uczynili we czterech konsylium: Bucella, Fox, Picus i Syreniusz. Ale operował ten ostatni. Pracował cały wieczór i pół nocy, z dziesięć razy chciał dać za wygraną i za każdym razem Joanna pilnowała, by nie ustawał. Aż dopięła swego.

Znów zrobiło mi się ciepło na sercu. Głównie z powodu Janki i jej miłości, ale także Syreniusza. Szymon Syreński z Oświęcimia, zwany Syreniuszem, sprowadził się niedawno do Krakowa ze Lwowa, aby od wiosny zastąpić mnie na wykładach w Akademii i w lecznicy dla ubogich żaków na Wiślnej. Bardzo go ceniłem i dlatego poleciłem na swoje miejsce, kiedy Janka zmusiła mnie, bym porzucił pracę na uczelni, żeby mieć więcej czasu dla niej i synka. Syreniusz miał mi więc co nieco do zawdzięczenia, ale był przede wszystkim ekspertem od ziołolecznictwa, a nie chirurgii, którą zresztą większość wykształconych medyków nadal pogardzała. Postawił zatem na jedną kartę całą swoją dotychczasową reputację i przyszłą karierę. Umiałem to docenić. Aby się nie rozkleić, powiedziałem:

- A teraz opowiedz mi, jak zakończyło się obłączenie.

- Ostrzeżeni przez ciebie, odparliśmy pierwszy impet szturmujących, zaś wnet nadszedł od Zwierzyńca Holubek i w bok uderzył

od strony ogrodów aż po kościółek Świętego Piotra, gdzie doszło do walki wręcz wedle Górnych Młynów. Hultajstwo miejscowe także się dzielnie sprawiło, porażając wroga, a wtenczas natarli przybyli z miasta czarni Węgrzy hetmańscy, porwali działa i prochy z kulami. Fury i furmanów do miasta nazad wwiedli, zaś armaty i hakownice natychmiast obrócono na lud Maksymilianowy, zaś pan rotmistrz hetmański Stanisław Łaszcz, tudzież Marek Sobieski z ośmioma dziesiątkami husarzy i reszta konnych pod Stachem Pękosławskim, Farensbachem i mną, uderzyli na nich z furją. Aż tył podali i schronili się w domach garbarzy, skąd razili jazdę, nim przez otwartą furtę w Szewskiej Bramie nie wyszła piechota i nie natarła wściekle. Hajducy po ogrodach strzelali do uciekających, zaś prosty człowiek i chłopstwo dobijali rannych kijami i cepami, od razu odzierając zabitych z odzienia i wszystkiego dobytku. Wielką dzielnością popisali się zacy Akademii, którzy zdobyli wielki sztandar oraz bęben z godłami cesarskimi...¹

- A walne wojsko Maksymiliana? Nie ruszyło się z za szanów, by przyjść swoim w sukurs?

- Kiedy dotarły do nich niedobitki, wzbudziły taki popłoch, że Maksymilian, zamiast udzielić wsparcia swojej wyrzynanej i ginącej piechocie, wycofał jazdę aż do Zielonek. A gdy już było po potrzebie i opór ustał, wtenczas zaciekła i łupów żadna hołota wdarła się do domów garbarzy i mimo rozpaczliwego oporu Niemców i Rusnaków Jazłowieckiego, siekła i mordowała bez pardonu, ogołocone trupy ciskając do Rudawy. Chryste! Rzeka zajązzyła się do czerwoności, a ryby zdychały, opiwszy się wodą. Sądny dzień! TYup na trupie leżał, gdziekolwiek spojrzeł. Najwięcej kadawerów, cała góra, spoczywała za kościołem Świętego Piotra. Ostatek Niemców, co broń odrzucili, zawzięta piechota węgierska przyparła do rzeki, w której się potopili. A kiedy bój ustał całkiem, wszelkie hultajstwo wypełzło z nor i rzuciło się plądrować domy garbarzy i napełniać swoje położyska. W dwie godziny całe przedmieście zostało ze szczętem ogołocone. Dopiero Zamojski, gdy go o tym powiadomiono, wyjechał z miasta i część łupów udało się siłą odzyskać. Zaś trębacze otrąbili, że kto odtąd na łupieży zostanie pochwycony, ten da gardło. Za czym hetman rozkazał, by wykopać trzy wielkie groby u kamiennego

¹ Ozdobiły potem bibliotekę Kolegium Większego.

Pif

młyna i tam pogrzebać pobitych, zaś z Rudawy spuścić zarażoną wodę i wybrać z niej trupy...

Przerwał, by złapać dech, ja zaś zacząłem się zastanawiać, czy żona Ziglera i dziecię, któremu pomogłem - jak się okazało, tak bardzo nie w porę, że trudno byłoby gorzej utrafić - przyjść na świat, przeżyli rzeź. Nie zamierzałem jednak o to pytać, ani tego sprawdzać. Woląłem ludzi się nadzieją, że dopisał im łut szczęścia. Nie lubiłem, gdy moja robota szła na marne. Nie miałem zresztą czasu, by dłużej nad tym deliberować, bo przyszła Janka ze służką i

obmyły wprzód mnie, potem Stachnika, a następnie nakarmiły i napiły, po czym Janka odesłała służkę i zwróciła się do Żółkiewskiego:

- Mówiłeś mu?
- Jeszcze nie. Właśnie doszedłem do rzezi na Garbarach...
- O czym mi nie powiedział? - zainteresowałem się.
- Nie mamy już domu - odparła.
- 27 nowembra, gdy hetman dowiedział się, że Maksymilian szykuje kolejny szturm, nakazał o pierwszej w nocy podpalić Garbary, Krupniki i Rybitwy - powiedział Żółkiewski. - Nieszczęśliwie zerwał się wiatr tak potężny, że ludzi obalał, toteż zajęły się nie tylko Garbary, ale i Zwierzyniec. Oba przedmieścia spłonęły w szalejącym ogniu, łącznie z kościołem Panny Marii na Piasku i klasztorem Norbertanek na Zwierzyńcu. Ludzie uciekali, gdzie i z czym kto mógł, płacząc i lamentując. Kamienice zgorzały aż do sklepów. Spłonęły folwarki i pięknie utrzymane ogrody. Sodoma i Gomora! Chwalić Boga ocalały Kleparz i Kraków, choć ogień i dym spalenizny docierał aż do rynku, budząc trwogę. Jednak, łaska boska, zajęła się jedynie Katowska baszta. Pożar ustał dopiero nazajutrz w południe. A na drugi dzień Maksymilian zarządził odwrót ku Szląskowi... Waszego domu nie udało się ocalić z pożogi, zresztą nikt nie miał do tego głowy. Przykro mi.

Oboje spojrzeli na mnie niespokojnie, niepewni, jak przyjmę utratę tego, do czego dobiłem się ciężką pracą. Niepotrzebnie się lękali. To było bez znaczenia. I tak mieliśmy furę szczęścia, a zwłaszcza ja. Wszystko, co najważniejsze, ocalało. Kiedy człowiek ociera się o śmierć, zmienia mu się perspektywa.

- Mała strata. - Pogłaskałem Jankę po wąskiej dłoni, po raz nie wiadomo który podziwiając smukłość jej palców. - I tak nigdy go nie lubiłaś. Znajdziemy nowy. Grunt, że żyjemy.

183

Ulżyło jej tak, że aż się popłakała. Kiedy się uspokoiła, pocałowała mnie czule.

- Tak uczynimy. A na razie imć hetman oddał nam do dyspozycji cały Rabsztyn, ja zaś mam także wcale przyjemną kwaterę na zamku, w Gmachach Królowej.
- Winszuję urzędu.

Uśmiechnęła się.

- Stachnik ci powiedział? Owszem, jej wysokość królewna Anna, z poręki królowej Hanny, uczyniła mnie swą ochmistrzynią. Księżniczka to bardzo miła i rozumna osoba. Wkrótce ją poznasz, bo chce cię odwiedzić, może nawet ze swoim królewskim bratem. Jesteś teraz bardzo znaną osobą. Bohaterem, który uratował miasto.

Widziałem, że nie jest to jej niemiłe, więc i mnie zrobiło się przyjemnie.

- Rana ładnie się goi - powiedziała. - Ale posłałam po doktora Syreniusza. Obiecał zajrzeć do ciebie jutro lub pojutrze. Chcesz, żebym następnym razem przywiodła Kacperka?

- Lepiej nie, bo znów się przestraszy. Poczekajmy, aż na powrót będę wyglądać jak człowiek, a nie przybysz z zaświatów.

- Dobrze.

Na odchodnym pocałowała mnie tak, że natychmiast przypomniałem sobie o swoim jedynym nieuszczerbionym organie i długo wstrzymywanym pożądaniu, i szepnęła mi do ucha:

- Wytrzymaj jeszcze krzynę, a wszystko ci wynagrodzę z nawiązką. Kacperkowi przydałaby się siostra do kompanii.

Syreniusz odwiedził mnie następnego dnia, akurat wówczas, gdy byliśmy sami, a Stachnik spał i chrapał donośnie. Medyk wyglądał marnie, wydawał się śmiertelnie znużony. Poruszał się ociężale, a odzienie miał wymięte, jakby w nim sypiał. Kazał mi się obrócić na brzuch, obejrzał dokładnie moją ranę, przysunął sobie zydel i rzekł:

- Miło cię widzieć pośród żywych, doktorze TUropoński.

- Niewiele brakowało. Już spozierałem na księżą oborę.

- To prawda. Zawróciłeś w samą porę.

- Wasza to zasługa, doktorze.

- Nie będę ukrywał, że była to najcięższa robota, jakiej się w życiu podjąłem. I to tylko dlatego, że Petrycy, który nadawałby się do

184

tego dużo lepiej, wyjechał do Italii, a nikt drugi nie chciał się tego tykać. Sam wiesz, jak żywe są wciąż przesady, że prawy medyk nie powinien się babrać w krwi, bo to robota w sam raz dla cyrulika...

- Słyszałem, i moja wdzięczność...

Machnął ręką lekceważąco i teraz on wpadł mi w słowo:

- Miałeś mnóstwo szczęścia, mospanie. P^{mo}: belt zacopował ranę, ergo nie wykrwawiłeś się na śmierć w kilka chwil. Secundo: mimo iż pocisk ugodził cię w plecy, a nie od przodu - co z dwojga złego, jak wiadomo, rokuje lepiej - nie uszkodził ani płuc, ani stosu pacierzowego. Utkwił dokładnie pomiędzy aortą, żyłą próżną górną i oskrzelem prawym, niczego nawet nie zadrasnąwszy. Niewiarygodne! Wcisnął się pomiędzy nie niczym piskorz. To istny cud.

Chciałem coś wtrącić, lecz mi nie pozwolił.

- Wyjąć go stamtąd było wszak niełatwą sztuką, przyznaję. Udało się w końcu, rana goi się dobrze, nie jadzi się, ale mam też kiepską wiadomość...

Zerknął na Stachnika.

- Śpi. To dobrze, bo chciałem ci to powiedzieć w cztery oczy. Nawet twojej żonie nie rzekłem. Jeśli zechcesz, wyznasz jej prawdę, jeśli nie, zrozumieć. Decyzja należy do ciebie.

- O co chodzi? - spytałem, po jego poważnej minie czując, że dobre wieści w istocie już się skończyły.

- Czubek grotu odłamał się podczas wyjmowania bełtu. Nie sposób było go usunąć, bez naruszenia ważnych narządów. Został zatem w twoim ciele i może tam spokojnie tkwić wiele lat, nie powodując turbacji. Albo powędruje sobie i któregoś dnia wyczujesz go pod skórą. Wtedy da się go usunąć bez trudu. Ale obaj dobrze wiemy, że może stać się inaczej. Za chwilę, jutro albo kiedykolwiek, gdy się zmęczysz lub natężysz, albo i bez tego, ten kęsek żelaza może przedziurawić naczynia wieńcowe, nastąpi wylew wewnętrzny i nagła śmierć. Co jeszcze nie byłoby najgorsze. Wiesz, o czym mówię...

Wiedziałem. Obce ciało w ciele mogło wywołać ropień. Doszłoby do ropowicy. Ropa rozlałaby się, penetrując rozmaite organy. Nastąpiłoby inflamatio, zarażenie krwi zwane posocznicą. Jeśliby tak się stało, będę wprzód bardzo osłabiony, potem pojawią się na skórze sine, martwicze placki oraz czerwona, krwawiąca wysypka. Będę to tracił, to odzyskiwał przytomność. Tracił, gdy temperatura

185

osiągnie najwyższy możliwy pułap, i odzyskiwał, kiedy spadnie poniżej normy, spocony jak szczur śmierdzącym, zimnym i krwawym potem. Będę blady jak śmierć, mózg zacznie mi obumierać. Pojawią się omamy i umrę do dziesięciu dni od wystąpienia pierwszych objawów.

- Komu innemu bym tego nie mówił - rzekł Syreniusz, klepiąc mnie pocieszająco po grzbiecie dłoni i patrząc współczująco. - Ale jesteś medykiem, więc i tak byś się domyślił.

- Dobrzeście uczynili, doktorze - odparłem, a mój głos nawet we własnych uszach zabrzmiał chrapliwie i nieswojo.

- Muszę już iść, chorzy czekają...

- Słyszałem, że w mieście panuje zaraza. Czyba nie czarna śmierć?

Przeraziłem się nie na żarty, zapominając na chwilę o swoim przypadku. Bo też nic nie mogło się równać z czarną śmiercią, nawet wojna. Na tę chorobę nie było bowiem lekarstwa, a rozszerzała się jak płomień, pochłaniając mnóstwo istnień. Pozostawało czekać, aż sama

ustanie, zresztą w każdej chwili mogła powrócić. Zawsze wracała, dopóki nie wypaliła się do cna, co zazwyczaj zajmowało kilka lat. Syreniusz przeżegnał się pospiesznie.

- Chwalić Boga, nie. Idzie o czerwonkę alias czerwoną biegunkę. Z nędzy niewczasów, do których nie przywykli, zapadli na nią Niemcy Maksymiliana, acz mniemali, co było oczywistą bzdurą, że to hetman kazał im namieszać wapna w piwo i stąd wziął się mór. Kiedy 29 nowembra Maksymilian zarządził odwrót, jego ludzie odeszli, po drodze rabując ludność Mogiły, a potem innych wsi, miasteczek, dworów szlacheckich i kościołów, zostawiając wszak na miejscu swoich rannych i chorych. Wielu z nich zmarło, jako i dziewczek, których było ze trzysta, nie samych ladacznic, lecz także wziętych gwałtem na sromotę a pohańbienie wieśniaczek i urodzonych przez nie dzieci. Smród od zarażonych był taki, że miejscowi też się zarażali i marli, po czym zaraza z Mogiły dotarła do Krakowa. Na szczęście już ustępuje - kciukiem i palcem wskazującym prawej dłoni potarł opadające ze znużenia i niewyspania powieki. - Każdy większy wysiłek może cię zabić. Pamiętaj o tym - dodał na pożegnanie.

- Z pewnością nie zapomnę - zapewniłem go.

Jakżebyś mógł! Oto dostałem wyrok. Odroczone i niepewny, ale jednak. Jak z tym żyć? I czy powiedzieć Jance? Powinienem, bo

186

##

przecież mąż i żona to jedno. Miała prawo wiedzieć, jakie są moje rokowania i czego się spodziewać na dał. No i dlaczego marzenia o powiększeniu rodziny nie mogą się spełnić. Z drugiej strony nie chciałem, by przeżywała to samo co ja, już pierwszej nocy budząc się co chwila i z bijącym sercem wsłuchując w swój organizm, czy aby głupie klucie w boku to nie symptom nadchodzącego kresu. Szczerą prawdę napisał Horatius, w którym zagustowałem pod wpływem Żółkiewskiego: Si ventri bene, si lateri pedibusque tuis, nil poterunt dwitia regales addereK Koniec końców stchórzyłem i nie powiedziałem jej nic, gdy zobaczyłem, jak raduje się najmniejszymi nawet oznakami mego powrotu do zdrowia. Wiedziałem, że kiedyś będę musiał to zrobić, ale odsunąłem tę konieczność na bliżej nieokreśloną dał, doskonale zdając sobie sprawę, że na taką nowinę nigdy nie będzie dobrej pory. Na razie postanowiłem jednak nie odbierać jej odzyskanego szczęścia i samemu się nim cieszyć na tyle, na ile zdołam.

Tak więc nie wyjawiałem jej swojego sekretu, za to musiałem im obojgu opowiedzieć, co mnie spotkało na Garbarach. Słuchali z wypiekami. Gdy skończyłem, Janka objęła mnie i się popłakała. A potem wyrzuciła z siebie nareszcie wszystko, co tak długo musiała w sobie tłumić. Opowiedziała mi, co działo się z nią i Kacprem juniorem w czasie, gdy ja byłem zajęty szlakowaniem za zdrajcami na Garbarach, dawałem się pojmać, a potem robiłem za łowną zwierzynę. Obaj ze Stachnikiem, wobec którego, jako najlepszego przyjaciela całej naszej rodziny, nie mieliśmy tajemnic, słuchaliśmy cierpliwie, nie przerywając. Wreszcie Stachnik nie wytrzymał i zawołał:

- Jak mogłaś! Dlaczego mi wszystkiego nie wyjawiałaś?!
- Bo nie chciałaś słuchać.
- Owszem, wonczas, gdy zabawiałaś się w inwestygatora i po-szłaś do domu de Stesiego. Ale o porwaniu małego powinnaś mi powiedzieć!
- Miałaś co innego na głowie...
- Dla was zawsze znalazłbym czas! - naburmuszył się.

Wiedziała równie dobrze jak ja, jaki jest drażliwy i jak bardzo

go uraziła swoim milczeniem, dlatego próbowała łagodzić:

I Si ventri bene, si lateri pedibusque tuis, nil poterunt divitiae regales addere (lac.) -jeśli brzuch, boki i nogi są w porządku, to niczego więcej dać ci nie mogą królewskie bogactwa.

187

- Nie wątpiłam o tym ani przez chwilę - zapewniła. - Ale bałam się o życie Kacperka. Ci ludzie nie patrzą na żartownisiów. Nie gniewaj się, na moim miejscu każda matka postąpiłaby tak samo.

- A ty, co o tym sądzisz, Kacper? - zwrócił się do mnie, już na poły udobruchany.

Milczałem, bo wciąż nie mogłem dojść do siebie, wstrząśnięty nowinami. Mój Boże, przez co moi najbliżsi musieli przejść pod moją nieobecność... Przyrzekłem sobie solennie, że już nigdy nie przedłożę spraw publicznych, choćby najważniejszych, ponad dobro rodziny. Koniec z wysługiwaniem się możliwym i zabawą w in-westygatora. Tylko dom, spokojna praktyka lekarska i ciepłe filcowe kapcie zamiast pistoletów i rapiera.

- Dobrześ uczyniła - orzekłem wreszcie, biorąc jej dłoń i przyciskając do ust. - Nikt na twoim miejscu nie spisałby się lepiej, ani ja, ani Stachnik. On to pojmuje, tylko jest tak samo zły jak ja, że sprawcom rapt uszedł na sucho. Ale co się odwlecze, to nie uciecze. A ty zrobiłaś wszystko jak należało. Jestem z ciebie dumny.

Pokraśniała, po czym oczy jej zwilgotniały. Otarła je kułakiem.

- Jednak nie powinnam była zabierać kartki z komina. To mnie zdradziło, a nas oboje wystawiło na szwank - stwierdziła samokrytycznie, pociągając nosem.

- Owszem, to był błąd - przyznałem. - Lecz nie musisz się obwiniać. Gdyby nie usłyszeli dziecka, nie powiązali by tego z tobą. Poza tym, nikt nie jest nieomylny. Błędów, które popełniłem, nie spisałby na wołowej skórze. Aż dziw, jak wiele z nich uszło mi na sucho.

- A zatem stoi za tym pan starosta krzepicki Wolski? - spytał Żółkiewski tonem wróżącym Wolskiemu pilnowanie łoża co najmniej tak długie, jakie stało się naszym udziałem. - Pamiętasz, Kacper, jakieśmy się z nim zetknęli pierwszy raz?

Kiwnąłem głową. Nigdy niczego nie zapominam.

- O czym mówicie? - spytała Janka.

- O tym, jak wiosną osiemdziesiątego piątego, bodaj w kwietniu...

- W maju - poprawił mnie Stachnik.

- Zatem w maju, dwóch Angielczyków, alchemistów i nigroman-tów, Jan Devus i Edward Kelley, wywołało w Niepołomicach dla króla Stefana ducha...

188

- Nic mi o tym nie mówiłeś - poskarżyła się. - Pamiętam, że król wezwał cię do Niepołomic, ale o wywoływaniu duchów nie wspominałeś.

- Bo zakazano nam o tym mówić.

- To prawda - potwierdził Żółkiewski.

- Myślałam, że król Stefan nie był taki jak król August i nie wierzył w czary.

- Owszem - odparłem. - Zgodził się na ową „akcję”, jak ją owi magowie obzywali, po trosze z ciekawości, a po trosze ulegając namowom wojewody sieradzkiego Olbrachta Łaskiego, który poznał ich w Anglii i ściągnął do Polski, by wkraść się w łaski królewskie, kiedy przepuścił już cały ogromny majątek...

- Ale król nie był naiwny i podejrzewał, że stoi za tym królowa angielska Elżbieta, heretyczka, której nie w smak poszło zdobycie przez nas Inflant i odcięcie heretyckiej Moskwy od broni dostarczanej z Anglii - wtrącił Stachnik. - Dlatego zlecił Kacprowi, aby jeszcze w Krakowie śledził Angielczyków i wybadał ich prawdziwe intencje.

- Dee alias Devus okazał się mężem prawdziwie uczonym. Przekonałem się o tym, kiedy nawiedził Akademię i ostawił tam księgę z własną dedykacją, a przyjaciel, którego o to poprosiłem, poddał go małemu examenowi. Z kolei Kelley, acz niegłupi i znający łacinę, to był prawy frant. Zarazem medium, przez które Devus kontaktował się z rzekomymi zjawami, i jego zły duch.

- Kacper wykrył, że Kelley, który nosił długie włosy i nie rozstawał się z czapką, był szelmą.

- Niby przypadkiem dosiadłem się do niego w gospodzie. Za czym spiłem go jak bełę, a gdy zwałił się na ławę bez przytomności, zajrzałem mu pod kudły. Uszy obcięli mu pewnie jeszcze w Anglii, z której musiał uchodzić. Ale, co ważniejsze, zaraz po przyjeździe do Krakowa, jeszcze w kwietniu, spotkali się w gospodzie „Pod Jeleniem” w Rynku w pięciu:

Dee, Kelley, doktor Simonius, Łaski i Wolski. O czym mówili, nie wiem, bo postawili człeka na straży, aby nikt im nie przeszkodził.

- A co ciekawe, imię Mikołaj Wolski, który z dawna drużył się z Łaskim, polecił królowi usługi doktora Simoniusa. Zaś wszyscy

1 Kelley rzeczywiście był zwykłym szarlatanem, naprawdę nazywał się Edward Talbot, za oszustwa i fałszowanie monet został ukarany pręgierzem i obcięciem uszu w Lancaster.

189

-ś'p

trzej byli związani z dworem cesarskim, a Devus i Kelley przybyli do Krakowa prosto z Pragi - doda! Stachnik. - Gdzie, jak zapewniał wojewoda sieradzki, oprócz przepowiadania przyszłości z pomocą duchów, potrafili ponoć zrobić kamień filozoficzny zdolny wyprodukować mnóstwo złota.

- Tedy zwróciliśmy królowi uwagę na osobliwy przypadek, że akurat Łaski, druh serdeczny niecnoty Christofa Zborowskiego i jak on łotr i przeniewierca, polecił jego królewskiej mości usługi dwóch Angielczyków, zapewne wysłanych do nas na przeszpiegi albo i gorzej. Pijany Kelley chwalił się znajomością trucizn... A Stachnik wypadkiem słyszał, jak doktor Simonius szepnął do kardynała Radziwiłła wybierającego się do Rzymu: „Dni króla są policzone”. Na długo przed jego śmiercią!

- Za naszą poradą król zaraz po „akcji” zapłacił obu magom za fatywę i odprawił ich precz. Ale Simoniusa zatrzymał. I niedługo potem zmarł, akurat wtedy, gdy był przy nim tylko Simonius, protegowany Wolskiego - zakończyłem opowieść.

- A Wolski, bardzo dogodnie, akurat wtedy bawił w Pradze przy cesarzu, skąd wrócił dopiero na koronację króla Zygmunta - znacząco uzupełnił Żółkiewski. - O nic nie można było go oskarżyć, lecz wątpliwość pozostała.

Wszyscy troje jak na komendę zerknęliśmy niespokojnie na drzwi, bowiem rozmawialiśmy o sprawach, o których szeptano pokątnie, lecz nikt nie odważył się poruszyć ich publicznie. Po chwili odezwała się Janka:

- Wolskiego nie Iza tknąć. To teraz najbardziej wykoczolowywany z dworzan. On i król są nierozłączni. Wkradł się w łaski króla, zaraził go alchemią i pomaga mu urządzić prywatny gabinet, a w nim pracownię alchemiczną. Niemal się nie rozstają. Zresztą mówiłam wam, że Wolski nie nastawał na mnie, przeciwnie, bronił przed swym towarzyszem. Ergo nie wierzę, by brał udział w spisku na życie króla Stefana. To nie ten rodzaj człowieka.

- Więc poszukajmy tego drugiego. Mówiłaś, że i jego głos wydał ci się znajomy - dociekałem.

- Owszem, lecz nie doszłam, do kogo należał, choć wiele nad tym myślałam. Na pewno to nikt dobrze mi znany. Zresztą słyszałam ich przez sztuczną ścianę, która wytłumiała głosy, a może i nieco je zniekształcała.

190

m *

m-

- Czy to mógł być Michał Sędziwój?

Spojrzała na mnie zaskoczona.

- Nie wiem... Skąd to przypuszczenie?

- Strzelam na oślep. Bo był naszym sąsiadem, z którym rozmawiałaś raz czy dwa, ale nie znałaś zbyt dobrze. Poza tym to al-chemista, a Wolski też para się alchemią. I obaj jakiś czas bawili w Pradze u cesarza, u którego, zdaje się, osiadł też Kelley, podczas gdy Devus wrócił do Anglii. Ergo, pewnie wszyscy się znają. Ale zostawmy to na razie. Podobnie jak magiczne kręgi, których tymczasem z niczym drugim nie sposób powiązać. Zachowałeś kartkę z owymi osobliwymi cyframi?

- Mam ją nawet ze sobą. - Sięgnęła w zanadrze. - A tu są koła, które odrysowałam w pracowni de Stesiego.

Dokładnie obejrzałem oba szkice, po czym podałem Stachnikowi, który aż drżał z ciekawości. Po czym mina mu się wyciągnęła i zapytał:

- Pojmujesz coś z tego?

- Nie. Ale widzę związek.

- Jaki? Bo ja nic nie widzę.

- Ja też - poskarżyła się Janka.

- Sekretnym pismem, jak się okazuje, posługują się alchemi-ści. Przynajmniej niektórzy. Z kolei magiczne pierścienie, wedle de Stesiego, to dzieło nigromantów. Zaś jednych i drugich zajmuje wiedza tajemna. Być może tworzą jedno bractwo, albo przeciwnie - są szampierzami, o czym mogła świadczyć napaść na Sędziwoja, o której wam wspominałem. Możemy założyć, że Sędziwoja i Wolskiego coś łączy. A jeżeli tak jest, to pytanie: są współnikami, czy wrogami?

- Nie widziałam Sędziwoja na zamku. Ani wcześniej, ani ostatnio. Lecz to o niczym nie świadczy, bo i Wolskiego spotkałam pierwszy raz dopiero wtedy, gdy odprowadził Kacperka. To spory zamek, a Dom Królowej jest na uboczu.

- Zatem do niczego na razie nie dojdziemy. Pora dać pokój spekulacjom. Zajmijmy się raczej zapiskami per ciffras.

- Zamierzasz je odczytać? - zdziwił się Stachnik.
- Przynajmniej spróbuję. Teraz, gdy mamy dwa zapiski, może się udać...
- Jakie dwa zapiski? - zdziwiła się Janka.

191

T

- Gdzie moje stare odzienie? - spytałem, zamiast odpowiedzieć.
- Te łańchmany, w których cię znaleziono? Kazałam spalić.
- Szkoda. Miałem w kieszeni kopię pisma, które dostałem od sługi Sędziwoja. Zapisanego takimi samymi hieroglifami jak te na zwitku znalezionym przez ciebie.
- O tym nie wspominałeś.
- Bo nie byłeś ciekawa. Ha, trudno. Spróbuję je odtworzyć z pamięci. Pogadamy jutro. Jestem zmęczony, nic teraz nie wymyślę.
- Pójdę już - powiedziała Janka. - Potrzebujecie czegoś?

Stachnik nie chciał niczego, ja miałem tylko jedno życzenie.

- Przynies mi ołówek i jakąś kartkę. I speculum lapideum, jeśli gdzieś je znajdziesz.

Pocałowała mnie czule przed wyjściem. Czuję się wyczerpany. Miało to tę dobrą stronę, że nie miałem czasu na myślenie

o swojej ranie i jej konsekwencjach. Ledwie Janka odeszła, zasnąłem jak kamień. Gdy wstałem, ujrzałem na ławce przyrzady do pisania i zająłem się odtwarzaniem utraconego zapisu. Kiedy Janka przyszła ze śniadaniem, byłem gotów do dalszych łamigłówek. Ale wprzódę się posiliłem. Po raz pierwszy z apetytem. Po odprawieniu służek podałem Jance i Stachnikowi rysunki, które wykonałem w trzech kopiach.

- I co o tym sądzicie?
- Są identyczne! - wykrzyknęli chórem.
- Podobne - sprostowałem. - W każdym razie to ten sam szyfr. Ale chyba macie rację, oba zapiski wyszły spod jednej ręki. Nie mamy oryginału kartki podrzuconej Sędziwojowi, lecz dobrze pamiętam, że signa wyglądały tak samo: pogrubione kreski pionowe, jakby piszący mocniej dociskał pióro, i cieńsze, bardziej niedbałe, poziome. - Podałem im oryginał świstka znalezionego przez Jankę.
- W istocie - mruknął Żółkiewski.

- Powiedziałbym także, że autor tych tekstów to człek nerwowy
- 1 popędliwy - dodałem.
- Z czego to wyciągasz? - zacięła się Janka.
- Ten chiffrę to jakaś kombinacja figur geometrycznych: kątów, kwadratów i kół. Masz, narysuj kwadrat bez jednego boku, taki jak ten tutaj. - Pokazałem jej i dałem ołówek, chwilę obracając

192

go w palcach, bowiem nie był to wciąż pospolicie używany pręt ołowiany, lecz nowomodny angielski wynalazek, grafit w drewnianej oprawie. - Skąd go masz?

- Od księżniczki Anny, tak jak i speculum lapideum, a ona pożyczyła od swego królewskiego brata, który rad zabawia się rysowaniem.
- Król malarz? Ciekawe... Widzisz?! - zawołałem, gdy skończyła. - Narysowałaś go jednym ruchem, nie odrywając ołówka! A teraz spójrzcie, przez szkło powiększające lepiej widać, jak to samo uczynił nasz nieznajomy: trzema nerwowymi kreskami, minimalnie krzyżującymi się na końcach. Oczywiście, możliwe, że taki właśnie kształt winny mieć owe cyfry, lecz moim zdaniem to kwestia charakteru piszącego. Jeśli zaś jest taki, jak przypuszczam, czyni go to tym bardziej niebezpiecznym. Ergo idę o zakład, że to on porwał Kacpra juniora. Zresztą pogrózki, które podrzucono Jance, dowodnie o tym świadczą: buksztaby napisano w taki sam sposób, co sekretne signa.

Kiedy je czytałem, ogarnęła mnie taka zimna wściekłość, że mógłbym udusić autora gołymi rękoma, skoro tylko bym go dostał, co solennie obiecałem sobie uczynić.

- Ciekawy wywód - mruknął Stachnik. - Lecz pozostaje najważniejsze: kto to jest.
- I co znaczą te osobliwe zapiski - dodała Janka.
- Z tym ostatnim być może zdołamy sobie poradzić.

Spojrzelili na mnie okrągłymi ze zdziwienia oczyma.

- Dworujesz sobie chyba?
- Ślęczałam nad tym wiele razy i do niczego nie doszłam.
- Ale teraz mamy dwa zapisy, powinno pójść łatwiej. Trzeba jedynie znaleźć klucz, albo przynajmniej jakiś punkt zaczepienia na początek...

Społem wgapialiśmy się w zapisy, każdy w swoje.

- Jaka jest najczęściej używana buksztaba? - zapytał nagle Stachnik.
- A bo ja wiem... Może „i”? - zgadywałem. - A czemu pytasz?

- Bo najwięcej, aż siedem, naliczyłem kwadratów bez jednego boku... Ale to bez sensu. Nie ma słowa zaczynającego się na dwa „i”...

193

- Pomijając to, że jedne z owych niepełnych kwadratów mają kropki z lewej, a drugie z prawej strony, co raczej nie jest bez znaczenia - dodałem.

- Mam inny koncept - pochwaliła się Janka. - Samotny daszek to może być łącznik. A zdanie na znalezionej przeze mnie karcie brzmiałoby: „Spotkajmy się w bibliotece”. Nie, to też się nie zgadza, bo wówczas dwie poślednie buksztaby byłyby identyczne...

- Nie zniechęcaj się - rzekłem, od pewnego czasu coś rozważając i dopasowując signa. - Bo chyba jesteś na dobrym tropie. Myślę, że twój skrypt w istocie dotyczy spotkania. Ale nie określa miejsca, bo po co, skoro pewno zawsze spotykali się w bibliotece, jeśli nasz zmyślny syn co najmniej dwa razy trafił w to samo miejsce. Chodzi raczej o porę. Kiedy znalazłaś ten zwitek?

- To znaczy?

- Którego dnia.

Zmarszczyła gładkie czoło.

- To było tuż przed szturmem cezarian...

- Który nastąpił 24 listopada we wtorek, w wilię świętej Katarzyny - uściślił Stachnik.

- Zatem to był poniedziałek.

- Jesteś pewna?

- Tak.

- To by się zgadzało - powiedziałem z zadowoleniem. - Policzcie buksztaby w pierwszym wyrazie tekstu znalezionej w kominku.

Pierwszy, pomagając sobie palcami i rachując na głos, poradził sobie z tym Stachnik.

- Thzin! Jak w słowie „poniedziałek”! Brawo! Touche, jak powiadają Francuzi.

- To tylko przypuszczenie - zgasilem jego zapal. - Niech teraz każdy z nas przypisze do danej buksztaby odpowiedni sekretny znak... Gotowe? Tedy następne zadanie: odszyfrowane naszym zdaniem buksztaby powstawić do obu skryptów. Do roboty!

Skończywszy, porównaliśmy rezultaty. Tekst z kominka brzmiał następująco:

PONIEDZIAŁEK . POL . DNIE

194

Zaś ów urwany tak:

. 00 . . A . NIE O . .

- No cóż - podsumowałem. - Zapis znaleziony przez Jankę bez żadnego dubium zawiera informację: PONIEDZIAŁEK W POŁUDNIE. Chyba że ktoś ma inny koncept?

Nikt się nie zgłosił.

- Natomiast z drugim zapisem jest większa turbacja, bowiem nawet nowo odkryte buksztaby, W i U, na nic nam się zdadzą. Poza tym tekst jest niekompletny... Ale powinniśmy sobie poradzić. Ostatecznie niewiele jest dwubuksztabowych wyrazów kończących się na O...

- Mam! - wykrzyknął Stachnik. - DO OBACZENIA...

- Nie tak szybko - mitygowałem. - Byłeś blisko, lecz...

- Nie DO, lecz TO - rzekła Janka z pewnością w głosie. - Powiadałeś, że Sędziwojowi ktoś groził. Tedy ocalały fragment brzmiałby tak: TO OSTATNIE OST, a całość: TO OSTATNIE OSTRZEŻENIE.

- Wybornie. Ttafiłaś w sedno. Cóż, teraz przynajmniej mamy jasność. To nie Sędziwój pisał te listy, acz niewątpliwie zna sekretne signa i umie je odcyfrować. Jednak możemy go wykreślić z rejestru podejrzanych o porwanie Kacperka. Autorem obu skryptów jest jakiś szampierz Sędziwoja, o którym nic nie wiemy, i od Sędziwoja się tego nie dowiemy. Nawet nie warto pytać. Już raz próbowałem i wątpię, by za drugim razem poszło mi lepiej. A teraz zbierz wszystkie zapiski i spał, jeszcze tego brakuje, by wpadły w niepowołane ręce. Póki jesteśmy unieruchomieni, musimy postępować z wyjątkową ostrożnością.

- Dobrze. Ale tłumaczenie mogłoby nam się jeszcze kiedyś przydać.

- Sporządziłem sobie wokabularz sekretnych znaków. Wystarczy w zupełności.

- Dobra robota - westchnął z ukontentowaniem Żółkiewski. - Miło było znów widzieć cię przy pracy, Kacper.

Mnie też powrót do rozwiązywania zagadek sprawił przyjemność. Zdołałem nawet na chwilę zapomnieć o swojej zdrowotnej turbacji. Jankę jednak zaniepokoiły nasze dociekania, czemu dała wyraz, gdy Stachnikowi zamknęły się oczy.

- Kacper - powiedziała, mocno ściskając moją dłoń. - Nie zamierzasz chyba tropić porywacza?

195

1

- Na leżąco byłoby to trudne. Ale jak tylko stanę na nogi, będziemy musieli go wytropić. Dla własnej prezerwatywy. To, co uczynił Kacperkowi, skończyło się tylko na strachu, i to twoim, ale wcale nie musiało. Malec mógł się udusić albo spaść z cokołu i rozbić sobie głowę. Zresztą wystarczyło, by się obudził. Imaginujesz sobie jego przerażenie? W ciemnościach, bez matki u boku? Mieliśmy szczęście, lecz drugim razem może nam go zabraknąć. Oni, kimkolwiek są, szukają czegoś, co należało do maga Twardowskiego, i podejrzewają, że ja mogę wiedzieć, gdzie to jest. Wolski powiedział ci to wyraźnie. Łatwo nie ustąpią, choćbym od dziś zaczął chodzić po mieście i wołać w głos: Ludzie, nic nie wiem o sekretach mistrza Twardowskiego i niech mnie grom z jasnego nieba na miejscu powali, jeśli łzę! Dlatego muszę ich znaleźć wprzód, nim znowu sobie o nas przypomną. Ale jedno ci mogę obiecać. Już nigdy nie zrobię niczego bez twojej wiedzy i pomocy. Dziś mieliśmy najlepszy dowód, jak dobrze nam się społem pracuje.

Zrozumiała. Mogłem sobie imaginować, jaka była wściekła, gdy już odnalazła naszego synka w krypcie kaplicy Marii Egipcjanki i lęk o jego życie przestał ją paraliżować. Szedłem o zakład, że gdyby wówczas porywacz wpadł jej w ręce, zabiłaby go bez wahania. Może mi się zdawało, lecz pocałunek, którym mnie obdarzyła, był jeszcze czulszy niż poprzednie i bardziej namiętny. Co rokowało mi na czas, gdy wreszcie wydobreję, tak wyśmienicie, że aż zrobiło mi się gorąco w lędźwiach.

- O mało co, a z tych emocji byłabym zahaczyła - rzekła i cofnęła się od progu, wyjmując zza pazuchy zalakowaną kartę. - To przyszło poranną pocztą. Z Tykocina.

- Od mistrza Górnickiego? - ucieszyłem się.

- Tak. Dam ci list, ale wprzód musisz mi obiecać, że przeczysz go dopiero, gdy się wyśpisz.

- Obiecuję! - Porwałem list i otworzyłem natychmiast, gdy tylko zamknęły się za nią drzwi.

Zacząłem czytać z zapalem, potem ogarnął mnie chłód i czytałem coraz wolniej i uważniej, na koniec złożyłem kartę i pogrążyłem się w zadumie. Senność odeszła mnie zupełnie.

- Przeczytam wam coś - zaproponowałem, kiedy znów byliśmy we trójkę.

- Co to jest? - zapytał Stachnik, gdy rozkładałem kartę.

196

- List od pana Górnickiego - wyjaśniła Janka. - Przyszedł dziś rano.

- Słuchajcie. Z pierwotku zaczynał się tak: Drogi Ryksie (a może raczej WM Panie Turopoński?), tylko potem autor skreślił Drogi.

- Ciekawy początek - zauważył Żółkiewski.
- Dalej jest jeszcze ciekawiej - zapewniłem i zacząłem czytać:

Mniemałem, że jesteśmy przyjaciółmi, lecz widać się myliłem. Sprawił mi przykrość i zdumienie moje wywołał już twój suchy i rzeczowy list, datowany na koniec nowembra, zgoła nie taki jak przystało w korespondencji między dwoma druhami, którzy dawno się nie widzieli. Jak pomnisz, prosiłeś w nim, bym ci wyjawiał, co się stało z Opus magicum, księgą imię Twardowskiego, którą ten ongi podarował JKM Augustowi świętej pamięci. Nie raczyłeś nawet wspomnieć, po co ci to dzieło. Mimo to, zgodnie z prawdą, grzecznie odpisałem, iż jeszcze za życia król August podarował księgę bibliotecznej kolegium Ojców Jezuitów w Wilnie, dokąd sam ją zawiozłem. Imaginuj sobie moje zdumienie i wstrząs, kiedy niedługo po Nowym Lecie ojciec lib-rariusz, słusznie oburzony, napisał mi, jak z listem instancjonalnym, rzekomo otrzymanym ode mnie, wkradłeś się w jego łaski, by nocną porą ukraść rzeczona księgę, turbując przy tym bawiącego wówczas u; bibliotecznej ojca Butwiła. Ów, gdy doszedł nareszcie do przytomności, upierał się wprawdzie, że napadła nań gromada diabłów, lecz nikogo innego nie zwiódłeś. Nie spodziewałem się tego po tobie. Tylko ze względu na łączącą nas drzewiej druźbę nie powiadomiłem jeszcze o wszystkim JW Kanclerza Wielkiego, naszego wspólnego dobrego znajomego. Wstrzymuję się do wiosny, gdy przybędę do Krakowa na pogrzeb króla Stefana. Obym uzyskał wówczas od ciebie satysfakcjonujące objaśnienie tak niegodziwych postępów. W przeciwnym razie nie zawaham się przed wszczęciem odpowiednich kroków.

- Podpisano: Łukasz Górnicki z Oświęcimia, a na Lipnikach i Tokowisku, starosta tykociński i wasilkowski - zakończyłem. - Chyba nie muszę dodawać, że wszystkie zaimki są napisane małą literą. Dowód oczywistej i uzasadnionej odrazy.
- Nie pojmuję - poskarżył się Stachnik, patrząc na mnie zbara-niałym wzrokiem. - Toć kiedy to wszystko się działo, bliski śmierci leżałeś sam jak kłoda...

197

- Cóż tak patrzysz? Co mam ci odrzec? Że ciałem leżałem sobie tutaj jakby nigdy nic, a mój duch pisał w tym czasie listy, fruwał do Wilna, myszkował w tamtejszej bibliotecznej i turbował poczciwego księdza?

Janka była bardziej rzeczowa.

- Jakim sposobem nikt nie spostrzegł, że oba listy były sfalszowane?
- Bo zrobił to ten sam fachman czternastej próby,, który zostawił w naszym domu rzekomą wieść ode mnie. Mój charakter pisma już znał, a Górnickiego poznał, gdy ten przysłał odpowiedź na moją domniemaną prośbę o wskazanie miejsca przechowywania dzieła mistrza Twardowskiego. Wiem nawet, jak się ten człek zwie i gdzie go szukać. Wyjawiał mi to Kettler, mniemając, że ta nowina umrze razem ze mną.
- Myślisz, że to on za tym stoi?

- Kettler? A czy zabijałby mnie, gdyby zależało mu na sekretach Twardowskiego? Na razie patrzy na to, że jedyne, co go łączy z tamtymi, to osoba fałszerza. Ale na pewno stoi za tym ktoś, kto sporo

0 mnie wie. Nawet to, że druzyliśmy się z Górnickim, a to dość stare dzieje, bo nie widzieliśmy się od lat. Wcale mi się to nie podoba. Jednak na razie nie możemy z tym nic zrobić. Okrom jednego. Nie chcę czekać do wiosny. Jutro napiszę list do mistrza Górnickiego

1 wszystko mu wyjaśnię. A ciebie poproszę, byś skrobnął od siebie kilka słów i to potwierdził - zwróciłem się do Stachnika, którego prawości nikt nigdy nie odważył się zanegować, a dodatkowo dobrze znali się z Górnickim.

- Napiszę - obiecał.

- Do licha! Gdybyśmy tylko mogli przycisnąć Wolskiego! - Ze złości zacisnąłem dłoń w kułak, aż zabolalo.

- Nawet o tym nie myśl - zmitygowała mnie Janka, kładąc uspokajająco dłoń na moim ramieniu. - Musimy znaleźć inny sposób, by się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Na razie zdrowiejcie, a ja postaram się mieć na niego oko. I jeszcze jedno: nie skreślajmy pochopnie Sędziwoja z rejestru potencjalnych łotrów.

- Dlaczego?

- Bo wypadkiem słyszałam, jak Wolski wspominał królowi o powrocie Sędziwoja do Krakowa, gdzieś z końcem stycznia, z jakichś dalekich wojaży. Mógł zatem być wtedy w Wilnie, czas się zgadza.

198

Co więcej, Sędziwój jakoby coś przywiózł ze sobą. Od razu kupił dom przy kościele Świętego Szczepana, ponoć z wielkim sklepem, w którym zaczął urządzać alchemiczną pracownię. I szasta złotem na prawo i lewo, że już całe miasto o tym gada. I najważniejsze: może istotnie to jego głos słyszałam wtedy w bibliotece...

- Dobrze, nie skreślimy Sędziwoja - zgodziłem się. - Zwłaszcza że nadal nie wiemy, co oznaczał ów osobliwy rysunek krzyża, na którym go rozpięto w starym domu. Może faktycznie posiadał księgę mistrza Twardowskiego, a z nią sekret kamienia filozoficznego?

- Jeszcze jedno. Myliłeś się, mniemając, że kręgi w pracowni de Stesiego nie wiążą się z pozostałymi sprawami. Przecież wcześniej była tam pracownia Twardowskiego. Mogło być tak: ktoś próbował wywołać ducha czarnoksiężnika, by ten wyjawiał swoje sekrety. Może mu się nie udało i wtedy postanowił zdobyć jego dzieło?

- Też na to wpadłem. Nie byłoby to pierwszy raz. Coś mi mówi, że kiedy znajdziemy złodzieja Opus magicum, będziemy wiedzieli, kto ukradł Epistolae alchemicae Skarbimira z bibliothecae secretoris w bibliotece uniwersyteckiej. Możemy też odwrócić kolejność i zacząć

poszukiwania od Collegium Maius. Niewykluczone, że z pewniejszym skutkiem. Tak czy owak, inwestycja musi poczekać.

Przez kilka następnych dni nic się nie działo. Napisałem list, Staszek się dopisał, a Janka zadbała, by pismo trafiło do rąk pocz-mistrza, imię Montelupiego, który obiecał pchnąć je do Tykocina przy najbliższej okazji. Za zgodą doktora Stanisława Stachnik, podpierając się kulami, zaczął wstawać z łóżka i próbował chodzić. Szło mu marnie. Patrząc na jego męczarnie, miałem przedsmak tego, co mnie też za niedługo czekało. Przy okazji zauważyłem, że nawet gdy nie było to konieczne, Stachnik lekko się garbił. Na domiar, jeśli lekarz się nie mylił, miał kuśtykać do końca życia. Cóż, w porównaniu ze mną i tak mu się upiekło. Lecz żadna to była pociecha, bowiem ciężkie przejścia zostawiły także ślady na jego gładkim niegdyś obliczu. Przypomniałem sobie, jak młodo wyglądał, kiedy się poznaliśmy przed wielu laty. Teraz nikt, nawet z dala, nie wzięłby go za wcale powabną dziewczkę. Mój Boże, kiedy ten czas tak przeleciał? Już nie byliśmy młodzieniaszkami. Ba, przekroczyliśmy wiek średni. Labuntur anni...1 Ile nam zostało? Ile zostało mnie?

' Labuntur anni... (łac., Horacy) - upływają lata.

199

Tego dnia, a była chyba sobota, zostaliśmy umyć i ogoleni wyjątkowo starannie, po czym ubrano nas w nowiutkie szatki, zaś Janka oznajmiła:

- Siurpryza! Ktoś was dziś odwiedzi.
- Król? - spytał Stachnik.
- Niewykluczone. A na pewno królowna Anna, może razem z królową Hanną.
- Jaki on jest? - spytałem.
- Kto?
- Król.

Naprawdę byłem ciekaw nowego pana. Któż by nie był, przynajmniej spośród tych, co jak ja zaczytywali się w Historii prawdziwej

0 przygodzie żalostnej księżęcia finlandzkiego Jana i królowny polskiej Katarzyny I Marcina Kromera. Sławny pisarz opisał w niej perypetie Katarzyny, siostry królowej Hanny, która została wydana za księcia Jana ze szwedzkiego rodu Wazów, obecnego króla Jana III. To nie spodobało się jego królewskiemu bratu Erykowi Szalonemu. Kazał oboje uwięzić, a ich sługi wymordować. Z nowotku, z obawy przed gniewem Zygmunta Augusta, chciał odesłać Katarzynę do Polski. Ale dumna polska królowna pokazała tylko posłom szwedzkiego króla swój ślubny pierścień z łacińskim napisem Nemo nisi mors², przypominając tym sposobem, że z małżeńskiej przysięgi tylko śmierć może ją zwolnić. Gdy zaś nalegali, wskazała pierścień

1 rzekła stanowczo: „Przy tym pozostanę!”. W wieży gripsholm-skiego zamku spędzili cztery lata. Księżna urodziła w więzieniu najpierw córeczkę Izabelę, która zmarła po półtora roku z powodu niewygód, potem syna Zygmunta, nazwanego na cześć króla Augusta. Przyszły król Polski Zygmunt III powity w więzieniu! Co za historia! Ale na tym się nie skończyło, bo gdy malec miał ledwie pół roku, całej trójce zagroziło nowe, śmiertelne niebezpieczeństwo. Oto Iwan Groźny uzależnił podpisanie pokoju ze Szwecją od wydania mu Katarzyny, której ręki mu kiedyś wzgardliwie odmówiono. Sanie z orszakiem czekały już na granicy Finlandii, a bojarzy Naumow i Woroncowa przybyli do Sztokholmu po Katarzynę. Eryk bał się zarówno Iwana, jak i naszego Augusta, więc

1 Wydana anonimowo w 1570 r.

2 Nemo nisi mors (lac.) - nikt oprócz śmierci.

200

z poduszczenia swego doradcy Jurgiepietrza¹ kazać zamordować Jana i małego Zygmunta, myśląc, że wtedy nikt nie sprzeciwi się wydaniu wdowy. Do ostateczności nie doszło za sprawą panów szwedzkich. Byli oni wystraszeni postępami wojsk polskich w Inflantach i rozeźleni dodatkowo na króla, który w napadzie szału zadźgał kilku z nich, sprzeciwiających się wydaniu Katarzyny Moskalom. Nazajutrz po tej zbrodni ukazała się ponoć Erykowi biała postać. Ten fragment opowiadania spodobał mi się najbardziej, dlatego znałem go na pamięć: „Tyranie! - miał rzec duch. - Umyśliłeś brata zabić, a żonę jego Moskiewskiemu posłać. Bóg przeze mnie każe ci tego poniechać. Jeśli ich nie uwolnisz, a okrucieństw nie poniechasz, tedy ci Pan Bóg rozum odejmie. Królestwo swe utracisz, i po skałach i lesiech biegać będziesz. TYawę będziesz żarł jako wół i bestią się staniesz, i wszystko odzienie na sobie podrapiesz, że i ciała swego okryć czym nie będziesz miał!”. Ale coraz bardziej szalony Eryk wolał słuchać podszeptów szatana: „I widali ludzie jawnie czarnego chłopca, co królowi w uszy szeptał, nad inszy ludzie szkaradniejszego, o którym powiadali, że był czart. Widzieli też i srogiego psa czarnego, któren króla poduszczał, aby wszystkie pany wybił i chłopów do rady nasadził”. Wysłał zatem, istny biblijny Herod, owego Jurgiepietrza do Gripsholmu z rozkazem, aby księcia i syna jego zabić, książęcą głowę przynieść, dziecię na pal wbić, Polaki wszystkie pozabijać i panny, co były przy królownie, żadnej nie żywić, a królownę przywieźć i zaraz Moskwie oddać. Na szczęście, wykorzystując Erykowe lucidum intervallum², panom z jego otoczenia udało się namówić króla, by „posłał pacholę za ludźmi Jurgiepietrza i dawszy mu sygnet z palca rozkazał, aby, jeśli książę nie zabity, zaniechano go w pokoju”. „Potem poszarpał szatę na sobie i pobieżał w las. Tam trzy dni i trzy noce po lesiech i po skałach się tułał. Aż potem zwołano kilkanaście-set ludzi, którzy go z trudem znaleźli wygłodzonego i szalonego i doprowadzili dwie mile od Sztokholmu”, do Väntholm. A gdy Jana z rodziną stawiono przed królem, Eryk padł na kolana przed więźniami, błagając oboje o zmiłowanie, a brata, by go zastąpił na tronie. I tak się stało. Zupełnie jak w baśni.

1 Tj. Görana (Jürgena) Perssona.

2 Lucidum intervallum (lac.) - jasna przerwa, chwila przytomności, przebłysk w chorobie.

- Jaki jest? - powtórzyła Janka. - Ma dwadzieścia jeden lat z okładem. Osoba jego jest prawdziwie kawalerska, kształtnej postawy, twarz ściągła, czoło wysokie, nos kształtny, lecz, moim zdaniem, trochę za duży, oczy niebieskie, włos jasny, orzechowa, ze szwedzka przyszyty bródka i mały wąs, wzrok łagodny i uprzejmy. Nosi się kuso na modłę hiszpańską, lubi przy tym naszyjniki i drugie precjoza. Ponoć zajmuje go historia, zna także biegle kilka języków: szwedzki, polski, w mowie i w piśmie, łacinę, niemiecki, włoski i ulubiony hiszpański, acz najchętniej milczy. W ogóle jest skryty i zamknięty w sobie, z jednym wszak wyjątkiem...

- Jakim?

- Lubi niewiasty.

- Jak to? - zdziwił się i zgorszył Stachnik. - Toć uchodzi za prawego jezuickiego chowańca, pobożnego ponad zwykłą miarę.

- Pobożny jest, to prawda. Dużo czasu spędza w kaplicy. Co wszak nie przeszkadza mu oglądać się za podwikami.

- Ciebie też próbował napastować? - spytałem.

Uśmiechnęła się.

- Pochlebiasz mi. Ja jestem dla niego za stara. Ale kilka dworek z fraucymeru królowej Hanny, która ulega mu we wszystkim i pieszczotliwie zowie go Zysiem, podobnie zbałamucił. Lecz to się już skończyło, jeśli w ogóle było coś na rzeczy. Sama słyszałam, jak prymas Karnkowski w głos utyskiwał, że na dworze „wszędzie białogłowy, a z królem polskim w ką”, po czym kazał zburzyć gmach, w którym król Zygmunt niby to chciał grać w piłkę jak król Henryk, a w istocie urządził sobie dom schadzek. Jednak lożniczy królewski, luteranin Jan Bojanowski, zapewniał mnie osobiście, gdy wprost go zapytała w trosce o powierzone mi panny z fraucymeru szwedzkiej królowej: „O piłki żywe, upewniam waszą miłość, że te wieści fundamentu nie mają”. Jak więc z tym było naprawdę, nie wiem. Myślę wszak, że mógł tak czynić trochę z pustoty przynależnej wiekowi, a poniekąd z nudów. Żle się u nas czuje i marzy o powrocie do Szwecji. To widać. Zresztą pieniędzy panowie tak królowi skąpią, odwlekając tę sprawę do sejmu, że brakuje na wszystko i dla niego, i jego dworu. Dlatego stołuje się u królowej Hanny, na czym cierpią jego miłość własna i majestat monarszy.

- Cóż... - myślałem głośno. - To by tłumaczyło jego zażyłość z Wolskim i zainteresowanie alchemią. Jeśli znajdą społem kamień

filozofów, niczego mu nie zabraknie i nikogo o pieniądze nie będzie musiał prosić.

- Coś w tym jest - przyznał Żółkiewski.

- Nie tylko to - ciągnęła Janka. - Wiem od królowy Anny, że królowi imponuje dwór cesarski, a odkąd Wolski naopowiadał mu, że cesarz Rudolf namiętnie kocha się w alchemii oraz lubi osobiście formować ze złota cegły, tudzież wykonywać rozmaite rzeczy, jak na przykład monstrancje albo zegary, zapragnął go naśladować. Dlatego kazał sobie urządzić pracownię w dawnej narożnej wieży. Powiadał mi pan Leśniowski, który pojechał po króla do Szwecji i dobrze go poznał, że król od najmłodszych lat miał zamiłowanie do muzyki i śpiewu. Nie tylko słuchał chętnie, ale i sam lubił śpiewać, zresztą Długoraj już zdążył przypaść mu do gustu. Lubi także matematykę i ciekawi go wszelka sztuka: malunki, snycerstwo i muratorstwo. Ponoć razem z księdzem Skargą wykreślają plany nowego kościoła jezuickiego, który ma stanąć na Grodzkiej ulicy.

Z przyjemnością patrzyłem i słuchałem, z jakim ożywieniem opowiadała, przejęta dworskim życiem i plotkami. Tego jej brakowało. Odżyła. Cieszyłem się razem z nią. Już nie było we mnie zazdrości, bo wiedziałem, że jej nie stracę, nawet gdy powinności zmuszą ją do wyjazdu razem z całym dworem na jakiś czas, na przykład do Warszawy. Może nawet pojedę za nią?

Król okazał się dokładnie taki, jak opisała go Janka. Przybył razem z siostrą, której towarzyszyła tylko Janka i jakaś postawna blondynka, zaś skromną asystencję króla stanowili ksiądz Skarga, z którym znaliśmy się z dawnych czasów i lubili, oraz pokojowiec i zarazem osobisty sekretarz Jan Sycymiński. Wsparty na kulach Stachnik na powitanie znamienitych gości usiłował przybrać wojskową postawę, lecz słabo mu to wychodziło, ja zaś pół siedziałem, pół leżałem wsparty o poduszki, bo na tyle tylko było mnie na razie stać. Zaprezentował nas monarsze ksiądz Skarga, przy okazji szeroko rozwodząc się o naszych dawnych i niedawnych przewagach.

Jego wysokość, z nieruchomym obliczem, długo wodził wzrokiem od jednego do drugiego, nie ruszając głową na cal. Spojrzenie bladoniebieskich oczu było zimne, za to bardzo intensywne, wręcz świdrujące i nie wyrażało żadnych emocji. Zupełnie jakby

203

*

4E0P

uczony przyrodnik badał owada nabitego na szpilkę. Z drugiej strony w królewskim oku brakowało błysku żywej inteligencji, zazwyczaj cechującego prawych badaczy. Znałem takie nieco puste, trochę rybie spojrzenia. Zazwyczaj maskowały niedostatek bystrości, dając pozór zamyślenia i czas na podjęcie decyzji. Jeśli się nie myliłem, to król z tym ostatnim miał kłopoty, ale jeśli się już na coś zdecydował, trzymał się tego jak oźralec płotu. Biada było takim ludziom podpaść, albo nie daj Boże, okazać się bystrzejszym, bo urazy pielęgnowali do końca życia.

Kiedy milczenie króla jegomościa przeciągało się ponad zwykłą miarę i zrobiło nieco uciążliwe, interweniowała jedyna osoba, która mogła to uczynić bezkarnie. Królewska siostra. Wysoka, smukła, jasna i jak on niebieskooka. Ona także miała uważne, badawcze spojrzenie, ale inne niż brat, a na twarzy nie maskę, lecz życzliwy uśmiech. Mówiła po polsku biegle, acz z obcym akcentem.

- Doktorze Thropoński, słyszałam od waścinej małżonki, że macie rozległe zainteresowania. I nie idzie mi o to, że w przerwach w praktyce medycznej walczyacie na wojnie albo uganiacie się za złoczyńcami. Ciekawam, czy zajmują was zioła? Bo mnie bardzo.

- Hmm - chrząknąłem zakłopotany, nie tyle dostojnym zgromadzeniem, co tym, że akurat zielarstwo było moją piętą Achillesową. Na studiach nudziło mnie okropnie. - Owszem, jak każdy lekarz znam się na ziołach o tyle, o ile...

- Chętnie uzupełniłabym swoją aptekę...

- Która jest większa i zasobniejsza niż nasza apteka klasztorna -wtrącił ksiądz Skarga. - Szkoda, że wasza miłość tyle uwagi, co ziołom, nie poświęca sprawom prawdziwej wiary, grzęznąąc w błędach kacerstwa i narażając swą nieśmiertelną duszę na wieczne potępienie.

Uśmiechnęła się krzywo, a ja w tym momencie spostrzegłem, że nie był to zamierzony grymas. Pomijając nieco wysuniętą zuchwę, co, jak się zdaje, było cechą Wazów odziedziczoną po dziadku Gustawie, cała jej rozumna twarz była lekko asymetryczna. Do tego odrobinę podniesione łopatki, nieznaczne pochylenie głowy w lewą stronę i ku przodowi... Jeśli się nie myliłem, były to oznaki impresio basillaris, wgniecenia podstawy czaszki, rzadkiej choroby, która mogła nie objawiać się dolegliwościami przez lata, by zamienić starość w jedno wielkie cierpienie.

204

- Nie przybyliśmy tu dysputować o kwestiach wiary, ojcze - napomniała kaznodzieję bez gniewu w głosie, po prostu stwierdzając fakt.

Ale tyle było w jej tonie stanowczości i autorytetu, że duchowny natychmiast stracił misjonarski zapał. Teraz pojąłem, jakim sposobem królowna Anna, o czym wspominała Janka, owinęła sobie królewskiego brata wokół palca. Do tego stopnia, że on, wzorowy katolik i jezuicki chowaniec, przy tym wciąż czujący się nieswojo w obcym kraju, zezwalał jej nawet na słuchanie luterskich nabożeństw w zamkowej kaplicy, mimo iż nie przydawało mu to sympatii większości panów i wywoływało oburzenie biskupów.

- Jeśli łaska, wasza książęca mość, tedy polecałbym twojej uwadze doktora Syreniusza. To on ocalił mi życie. A poza tym jest najlepszym znawcą ziół w całej Rzeczypospolitej. Mówię to nie z życzliwości dla niego i nie ze względu na łączącą nas przyjaźń, tylko dlatego, że to szczerza prawda. Jeśli ktoś potrafiłby jeszcze czegoś nauczyć tak wyborną zielarkę jak wasza miłość, to jeno on.

- Tedy przyślijcie go do mnie któregoś dnia, doktorze - odparła.
- A może i nam polecilibyście kogoś, panie Turopoński? -pierwszy raz, nie zmieniając wyrazu twarzy, z chłodną uprzejmością odezwał się król. - Nudzi nam się.
- Nie wiem, co waszą królewską mość zajmuje - skłamałem.
- Alchemia. Ale od tego mamy imć Wolskiego. Słyszeliśmy wszak, że cesarz Rudolf robi piękne zegary. Chcemy wykonać jeszcze piękniejszy i podarować go papieżowi.
- Mam szwagra rusznikarza. Praktykował we Francji. Wybornie zna się na wszelkich mechanizmach.
- Doskonale. Tedy załatwione. A może znacie dobrego malarza? Malowaliśmy trochę w Szwecji, lecz nie przywieźliśmy ze sobą ani farb, ani przyborów.
- Najlepszym malarzem w Krakowie jest mój imiennik Kacper Kurcz.
- Zapamiętamy. Podobno ocaliliście miasto przed szturmem wojsk arcyksięcia, doktorze. Czego w zamian oczekujecie od nas?
- Niczego, wasza wysokość - odparłem bez wahania. - Spełniłem tylko swoją powinność. Niedawno zaś za jednym zamachem

205

odzyskałem życie, żonę i dziecko. To wszystko, czego mi potrzeba. I więcej, niż sobie zasłużyłem.

- Szczęściarz. Ponoć uprawiacie także osobliwą profesję inwestygatora, o ile nas pamięć nie myli. Ergo przyznamy wam serwitoriat na jej wykonywanie.
- Nie trzeba, najjaśniejszy panie. Skończyłem z tym raz na zawsze.
- Uparty z was człek, doktorze. Tedy czynimy was lekarzem dworskim. Patent odbierzecie później. Nie odmawiajcie, bo pomyślimy, że gardzicie naszą łaską.

No to awansowałem! Lekarz dworski obsługujący wszystkich dworzan, medicus aulae, to co prawda nie to samo co lekarz nadworny, physicus regius, przyboczny, osobisty medyk królewski. Ale tego urzędu zazdrośnie strzegł Bucella, a nie zamierzałem psuć sobie z nim stosunków. Nie bardzo też uśmiechało mi się faszzerowanie gromady hipochondryków nieszkodliwymi pigułkami, wysłuchiwanie niekończących się wynurzeń na temat wymyślonych dolegliwości i udzielanie im równie bzdurnych co przekonujących porad, ale zawsze było to coś. Jankę powinno ucieszyć. A i mnie mogło się przydać, zwłaszcza gdyby po rezygnacji z wykładów w Akademii ktoś w radzie miejskiej lub z Collegium Medicum zechciał czynić mi wstręty w praktykowaniu zawodu.

- Dziękuję waszej królewskiej mości.

Nie ruszając się z miejsca, odwrócił się w stronę Stachnika.

- Mości Żółkiewski, w uznaniu waszycich zasług wojennych poproszono nas, byśmy wynieśli cię na urząd hetmana polnego koronnego. Co wy na to?

Stachnik skamieniał. Stał z otwartymi ustami i nie mógł wydobyć z siebie słowa.

- Nie wiem, co powiedzieć, wasza królewska mość - wystękał wreszcie. - Nie spodziewałem się... Nie wiem, zali jestem godzien...

- Dlatego wciąż się zastanawiamy - rzekł król lodowatym tonem. - Damy ci znać, kiedy podejmiemy decyzję.

Obrócił się na pięcie i ruszył ku wyjściu, a pozostali za nim.

- Gdybyś czegoś potrzebował, synu - szepnął mi po drodze ksiądz Skarga - to współbracia z Nowego Świata niedawno przysłali mi nieznane u nas medykamenty. A nuż się przydadzą?

206

-

Wybiegł za resztą, nim zdążyłem mu podziękować. Została tylko Janka.

- Chryste! - Stachnik odrzucił kule i zwałił się na łożo. - Co ten Janek Zamojski narobił!

- To on rekomendował cię u króla? - spytałem.

- A któżby inny? Jak mógł mi to zrobić?

Nie rozumiałem jego rozpacz.

- Przecież zawsze o tym marzyłeś. Co ci raptem nie pasuje?

- Nie pojmujesz? - Na jego obróconym ku mnie licu malowała się nieklamana rozpacz. - Kanclerz nie jest w laskach u króla. Powadzili się o Estonię i nie tylko. Jego protekcja w tej chwili to jak pocałunek śmierci! Widzieliście minę króla? Całe to gadanie

o nominacji, to jeno mydlenie oczu. Nigdy nie zrobi mnie hetmanem!

- Przesadzasz - mitygowała go Janka. - Wszyscy widzieliśmy, jak zaskoczyła cię ta nowina. Król też. Może nie ma tak ostrego umysłu jak księżniczka Anna, ale patrzeć i wyciągać wnioski z pewnością potrafi. Wie, że niczyja protekcja nie jest ci potrzebna. Powiem ci, kogo zobaczył: dzielnego żołnierza, który dla niego wygrał potrzebę byczyńską, omal przy tym nie zginął, a mimo to dziwi się, że chcą go za to nagrodzić. To musiało mu się spodobać. A na pewno spodobało się królownie Annie. Wystarczy, że szepnie bratu słowo w twojej sprawie, zwłaszcza gdy ją o to poproszę. Wie-rzaj mi, postąpienie na urząd hetmański

masz w kieszeni. Musisz się tylko uzbroić w cierpliwość, bo król nie lubi, gdy go naciskać. Trzeba to robić stopniowo i umiejętnie, a w końcu uwierzy, że to był jego własny koncept.

- Naprawdę myślisz, że to się uda?
- Z pewnością - uśmiechnęła się pod nosem.

Znałem ten uśmieszek i tę minę. Pojawiały się zawsze, gdy była pewna, że jej niewieście sztuczki przyniosą efekt. I nigdy się nie pomyliła. Przynajmniej ja nie słyszałem o takim wypadku - na mnie zawsze się sprawdzało.

- Ha! - Staszek nagle poweselał. - Hetman polny koronny... Nieźle brzmi, nieprawdaż?
- Doskonale.
- A kim była ta postawna blondynka, która przyszła z księżniczką
- 1 nie rzekła ani słowa? - zainteresował się.

207

4P

- Sygryda, naturalna córka króla Eryka Szalonego. Stryjeczna siostra królowej. Nie odzywała się, bo dopiero poznaje naszą mowę. Spodobała ci się?

Zarumienił się.

- Nie. To znaczy tak. Po prostu przypomniała mi moją Reginę.
- Powinniście się w końcu pobrać.
- Wiem... - Pomarkotniał, po czym zaraz znów humor mu się poprawił. - Jak tylko postąpię na hetmaństwo! Obiecuję. I czujcie się zaproszeni na huczne weselisko.
- Ależ jestem z was dumna! - Janka pocałowała wprzód Stachnika, który był tak zaskoczony, że nie stawiał oporu, potem mnie. - Nie spodziewałam się, Kacper, że nie przyjmiesz patentu inwestygatora...
- Przecież ci obiecałem. Wyjaśnimy tylko, kto był gotów skrzywdzić nasze dziecko i na tym koniec.

Mijały dni, podobne jeden do drugiego jak krople wody, ale za to coraz dłuższe. Czytałem książki, które Janka przynosiła partiami z gospody „U Balcera”, dokąd udało mi się je przenieść przed szturmem Maksymilianistów i spaleniem domu. Ze szczególnym wzruszeniem, po raz nie wiadomo który, sięgałem do wierszy Sępa i Kochanowskiego, przy okazji wspominając zmarłych przyjaciół. Często budziłem się w środku nocy, zlany potem, ze strachem szukając oznak nadchodzącego końca, bowiem tylko za dnia, zwłaszcza w towarzystwie Janki, na chwilę zapominałem o wiszącym nad moją głową mieczu Damoklesa. Ciężka rana i długie zdrowienie miały jedną dobrą stronę - wyleczyłem się z opilstwa. Nie

znaczyło to, że nie miałem ochoty zajrzeć do kielicha. Przeciwnie. Ale jakoś sobie z tym radziłem, z coraz większą łatwością. Wiedziałem wszak, że stale muszę się mieć na baczności. Znałem wielu, którzy rzucali picie, by potem wrócić do jeszcze gorszego ożralstwa. Któregoś dnia Janka przyniosła mi obiecany przez króla patent lekarza dworskiego, trochę markotna, bo nie poszło w ślad za tym należne uposażenie, co czyniło moją nową godność czysto tytułarną. Ja zaś byłem z tego rad, gdyż w ten sposób z czystym sumieniem miałem prawo unikać (oczywiście, gdy dojdę do zdrowia) związanych z tym powinności, które wcale mnie nie pociągały. Korzyść była jeszcze jedna - odtąd mogłem żądać od aspirujących do wyższych sfer bogaczy podwójną stawkę, która i wcześniej do niskich nie należała.

208

m &

Natomiast w sprawie Żółkiewskiego na razie nie było wieści, lecz Janka kazała mu być dobrej myśli.

3 marca obudziły nas dzwony kościelne. Pierwszy raz słyszałem sławnego „Zygmunta” z tak bliska. Brzmiał potężnie, trzęsły się mury i szyby w oknach.

- Zmarł książę legnicki Fryderyk - oświeciła nas Janka. - Poza-wczoraj król z ciotką i siostrą bawili w farze Mariackiej na krzcinach Mikołaja, syna kasztelana bieckiego Mikołaja Firleja, a potem na obiedzie w jego kamienicy sąsiadującej z domem Sebastiana Montelupiego, w którym wybito ścianę, żeby dostojnym gościom było wygodniej. A potem do późnego wieczora odbywały się maskary pod Domem Włoskim i gonitwy do pierścienia. Ale przerwano zabawę, gdy książę nagle zaniemógł. A teraz nie żyje.

W marcu Stachnik odrzucił kule. Wciąż się garbił i utykał, lecz już niecierpliwie przebierał nogami, rwąc się do drogi i czekając jedynie na zgodę swego medyka. Przyszły bowiem niepokojące wieści z domu - ojciec Stachnika ciężko zaniemógł, liczył się z rychłym zgonem i chciał przed śmiercią zobaczyć syna. Kiepski stan starego Żółkiewskiego potwierdził hetman Zamojski, który napisał do nas obu serdeczny list, życząc rychłego ozdrowienia, a przy okazji informując, że wciąż twardo negocjuje ze swoim dostojnym więźniem warunki podpisania pokoju i nie wiadomo, kiedy objawi się w Krakowie.

Zatem pewnego ładnego i słonecznego, prawdziwie wiosennego dnia pożegnałem się z najlepszym przyjacielem, nie wiedząc, kiedy i czy w ogóle jeszcze się spotkamy. Po spodziewanej śmierci ojca, planowanym ożenku i oczekiwanym postąpieniu na urząd hetmański spadłaby bowiem na niego góra nowych obowiązków.

- Bywaj, Kacper - rzekł tylko, tłumiąc wzruszenie, po czym zamknęły się za nim drzwi i zostałem sam.

Dwa dni potem odwiedził mnie Syreniusz, wylewnie dziękując za polecenie swojej osoby królownie Annie.

- Jej wysokość obiecała, że wspomże jakąś sumką wydanie mojego Zielnikagdy tylko stan jej finansów, na razie kiepski, na to pozwoli. Oczywiście, kiedy go wreszcie ukończę, do czego jeszcze daleko - opowiadał cały rozpromieniony, unosząc się nad

1 Ukazał się dopiero w 1613 r., istotnie współfinansowany przez Annę Wazównę.

209

*

zaletami królewskiej siostry: - Co za umysł! Zgoła nie niewieści. Jaki rozum, jaka wiedza medyczna! Imaginuj sobie waść, że jej wysokość sama sporządza medykamenty, a robi to nie gorzej od ciebie czy ode mnie! Lękam się jedynie, czy to przystoi niewieście. A może to sprawka diabła, skoro królowa jest heretyczka, a szatan do niewiasty, jak wiadomo, przystęp ma łatwiejszy... -dodał trwożliwie i kęs czasu zajęło mi przekonanie go, że nie widzę w tym nic zdrożnego.

Mnie to nie dziwiło. Ani rozterki Syreniusza, ani wiedza i umiejętności szwedzkiej królowny. U Janki jej rozum pociągał mnie tak samo jak uroda i charakter. A królowa Anna ostatecznie była wnuczką królowej Bony. Oslawa Bony brała się właśnie z rozumu Włoszki, tym bardziej godnego potępienia, że w naszym pięknym kraju nawet w męskich głowach rozum gościł z rzadka, a posługiwanie się nim zawsze rodziło podejrzenia o konszachty z diabłem, a przynajmniej uchodziło za szkodliwe dla zdrowia. Dobrze pamiętałem ten złośliwy wierszyk pana Rejowey:

Rozum miała, że i dziś ta niewieścia główka, Sławna w Połszcze i długo pamiętne jej słówka. Włoszka była z narodu, gdzie się rozum rodzi, Najślachetniejszy kłenot, lecz, co nazbyt - szkodził.

Stachnik ostawił mi swoje kule, za pomocą których od razu rozpocząłem pierwsze próby chodzenia po długim leżeniu. Z początku szło mi nieszczególnie, z czasem coraz lepiej. Wreszcie porzuciłem kule i zacząłem wykorzystywać ściany oraz sprzęty. Pełzłem akurat wzdłuż ściany do okna, popatrzeć na rozświetlony wiosennym słońcem dziedziniec i uwijających się na nim ludzi, kiedy zaskoczył mnie Kurcz, pakując się do izby ze skrzynką na przybory pod jedną pachą i jakimś obrazem pod drugą.

- Kacper Ryx, pardon, pan Hiropoński jak żywy! - odezwał się, kopnięciem zamykając za sobą drzwi, aż zatrzęsła się futryna. -Chyba że to twój duch.

- Ten duch zaraz ci da kopniaka na powitanie. Jeśli podejdziesz bliżej, ustawisz się odpowiednio i nie będziesz się ruszał.

1 M. Rej, Wybór pism, oprac. A. Kochan, Wrocław 2006, s.305.

210

m' *

- A jednak to ty - rzekł z zadowoleniem. - Więc to prawda, żeś w ostatniej chwili zawrócił z drogi do lepszego świata.

- Nawet później.

- Widzę. Ogień piekielny zdążył ci osmalić pięty. I tak tam trafisz. Nie lepiej było zostać, skoro zaszedłeś tak daleko?

- Woląłem zaczekać na ciebie. Razem raźniej.

Wyszczерzył zęby i pomógł mi dotrzeć do łoża. Lubilem go.

Miał zawsze wesołe, smagłe lico, do tego wysokie czoło, cienki i opuszczony jak u suma wąs, wątły zarost i jakby tatarski czy kozacki typ fizjonomii. Rad żartował, ale w przeciwieństwie do mnie, znajdy, nie cierpiał pytań o prozapię. A przecież musiał być z prawego łoża, bo inaczej nie dostałby obywatelstwa miejskiego. Poza tym był utalentowany, i to nie tylko jako malarz. W osiemdziesiątym piątym wygrał strzelanie do kura w zawodach trwających cztery dni.

- Idziesz do króla?

- Właśnie od niego wracam. Na dobre. Jego królewskiej mości nic z mojej pomocy, bo jest po prostu lepszy, niż ja będę kiedykolwiek. Zorientowałem się po drugiej lekcji. Mówię szczerze, a wiesz, że nie należę do skromnych. Widziałem dzieła Rubensa i powiadam ci, że nasz pan mu dorównywa. - Pokręcił głową z podziwem. - Zostawiłem mu tylko trochę zagruntowanych płócien, farb i pędzli. Ale dzięki za rekomendację.

- Szkoda, że nic z tego nie wyszło.

Wzruszył ramionami.

- Stara królowa wynagrodziła mnie hojnie za fatygę. Ponadto z góry zamówiła polichromię do kaplicy, którą zamierza wystawić królowi Stefanowi za ołtarzem w katedrze, więc jestem na plusie. A poza tym rajcy obstalowali u mnie freski do Izby Pańskiej w ratuszu, zaś parafia Najświętszego Salwatora obraz przedstawiający ubogiego skrzypka, któremu odziany w bogate szaty Chrystus zrzuci z krzyża pantofel ze złotogłowia w podzięcie za piękną grę. Obraz ma zastąpić prawdziwy krucyfiks z Panem Jezusem, który w istocie uczynił ów cud¹. Ergo na brak roboty nie narzekam.

¹ Obraz zachował się do dziś i jest umieszczony w bocznym ołtarzu, obok kopii cudownego krucyfiks, którego oryginał odnalazł się we włoskim Sirolo koło Loretu.

211

Pamiętałem ten krucyfiks z dzieciństwa, potem zniknął i nikt do teraz nie wiedział, gdzie się podział. Dobrze, że przynajmniej namalowany wróci na swoje miejsce.

- Co tam masz? - spytałem, wskazując płótno.
- Prezent dla ciebie.

Z ciekawością odwinąłem obraz ze spowijającej go płachty i zaniemówiłem. Był to portret Janki, jeszcze piękniejszy od tego, który spłonął w pożarze domu.

- Piękny - westchnąłem.
- To zasługa jejności Turopońskiej. Nie wiem, jak twoja żona to robi, ale z każdym rokiem jest coraz piękniejsza.
- Ja tak na nią wpływam.

Roześmiał się. Zanim poszedł, zawiesił mi obraz na wprost łoża, żebym mógł się nim sycić do woli.

- Po co ci on? Oryginał ci nie wystarczy? - droczyła się Janka.
- Kochanego widoku nigdy dosyć - odparłem i przyciągnąłem ją do siebie.

Upadła na mnie. Zaczęliśmy się gorączkowo pieścić.

- Nie wiem, czy poradzę - wystękałem z żalem.
- Zostaw to mnie - wyszeptała i usiadła na mnie okrakiem.

Mój Boże! Sam nie wiem, ile razy tego wieczoru z rozkoszy

wzbijałem się pod samo niebo. Kiedy wreszcie skończyliśmy, byłem zupełnie wyczerpany z sił, ale szczęśliwy jak nigdy.

- Kacper... - powiedziała, ubierając się.
- Tak?
- Czy ty mnie naprawdę miłujesz? Nigdy mi tego wprost nie powiedziałaś.
- Niemożliwe! - zdumiałem się.
- A jednak.
- Nadrobię to - obiecałem.

Ach te kobiety! Słowa zawsze znaczą dla nich więcej niż uczynki. Wciąż czekała na deklarację, gdy pociągnąłem ją na łóżko. Powtarzaliśmy to potem, kiedy tylko nadarzyła się okazja, już zawsze pamiętając jednak o zamknięciu drzwi na klucz. To były moje najwspanialsze chwile od bardzo dawna. Napawałem się nimi tym bardziej, im więcej byłem przekonany, że mój czas się kończy. I w takim, w sumie pogodnym, nastroju zastały mnie święta Wielkiej Nocy. W niedzielę po sumie miałem odwiedzin

całej rodziny: brata mlecznego Jędrzeja, wyśmienitego miecznika, z żoną Margotką, siostry mlecznej Hedwiżki z mężem Michałem, zawołanym rusznikarzem, oraz czeredą ich dzieciaków obojga płci w wieku od dwóch do dwunastu lat, wszystko moich krześnia-ków. Przyszedł nawet Niziołek, trochę onieśmielony, z żoną Teresą i ich synkiem Kubą, niewiele starszym od mojego Kacpra. Na krótko uczyniło się tak wesoło jak ongiś, gdyśmy byli młodszy i żyli jeszcze ciotka Balcerowa i ojciec Roch, których wspominaliśmy z rozrzewnieniem. Gadaliśmy o wszystkim i o niczym, a dziatwa uganiała się po całej komnacie.

- Byłeś u króla? - spytał Michała, którego przez Jankę powiadomiłem o królewskim zaproszeniu.

- Byłem, nawet zaczęliśmy obmyślać duży zegar z ruchomymi figurami, kiedy nagle stracił zainteresowanie i mnie odprawił. Ale parę dutków mi wpadło, nie powiem. Dzięki.

- Króla bez reszty pochłonęła alchemia - wtrąciła Janka, kiedy zostaliśmy sami. - Dlatego nie zajmują go inne sprawy. I wiesz, kogo dziś widziałam idącego razem z Wolskim do królewskich komnat?

- Sędziwoja.

Mina jej się wydłużyła.

- Skąd wiesz?

- Nietrudno było się domyślić, skoro nagle zrobił się taki popularny.

- Może warto mieć go na oku?

- Z pewnością nie zaszkodzi. Tylko dyskretnie, nie chcemy przecież powtórki z tego, co się stało, a mnie jeszcze daleko do dawnej sprawności. Musimy być cierpliwi.

Zanim odeszła do swoich powinności, ostawiła mi Kacperka, który już przestał się mnie bać. Odtąd codziennie spędzaliśmy ze sobą dużo czasu. Przynosił mi swoje zabawki, misternie wyrobione przez Michała z drewna i metalu, i razem wymyślaliśmy przeróżne gry. Czytałem mu co łatwiejsze fragmenty z żywotów świętych oraz z Biblii i opowiadałem niestworzone historie. Bardzo się rozwinął w ciągu ostatnich miesięcy, dużo więcej pojmował i gadał jak najęty, coraz bardziej zrozumiałe. Najbardziej przypadła mu do gustu historia króla i królowej porwanych przez złego brata królewskiego i uwięzionych oraz urodzonego w zamknięciu małego

213

królewicza, cudownie ocalonego przez anioły. Dwukrotnie zamiast Janki przyprowadzał go do mnie Wojtek Długoraj, by pochwalić się łaskami u nowego króla, wspominać stare dzieje i umilić nam czas ucieśnymi pieśniami.

Któregoś dnia, wyjątkowo słonecznego i prawdziwie wiosennego, Janka z małym Kacprem kazali na siebie wyjątkowo długo czekać. Wpadli do izby zarumienieni, wnosząc ze sobą powiew powietrza lekko woniejącego rybami.

- Pogoda taka ładna, że wybraliśmy się na krótki spacer nad starą Wisłę - wyjaśniła.
- Podobało się? - spytałem malca.

Kiwnął głową.

- Widziałeś coś ciekawego?

Znowu skinął.

- Lybki. I komaly - dodał po namyśle, pocierając czoło.
- Wyroilo ich się z dnia na dzień tyle, że musieliśmy szybko uciekać - powiedziała Janka.

Odkąd puściła tama na wprost Skalki, odnoga Wisły, oddzielająca Kraków od Kaźmierza, zaczęła się zamulać. A że bagien w okolicy miasta i bez tego nie brakowało, komary były istnym utrapieniem od wiosny do jesieni.

- Nie drap się. - Odjąłem małemu rączkę od czoła. - Wtedy swędzenie szybciej ustanie.

Niedługo po świętach przyszła odpowiedź od mistrza Górnickiego, na którą czekaliśmy niecierpliwie. Zaczny druł sumitował się gęsto i kajał, że musiało go zaćmić, skoro choć przez chwilę mógł podejrzewać mnie o takie frantostwo. Zwalał to na swoje zapracowanie i zamieszanie związane z narodzinami nowego potomka, już szóstego albo siódmego wedle mojej rachuby. Przepraszał, że jednak się rychło nie ujrzymy. Przypuszczalnie nie przyjedzie do Krakowa na pogrzeb króla Stefana, bo połamało go jakieś choróbsko i powaliło na łożo, zaś medycy odradzają długą podróż. Zresztą już powiadomił o swym stanie króla i starą królową i uzyskał od nich dispensę. Życzył mi rychłego powrotu do zdrowia, a nam obojgu z Janką dużo szczęścia i przynajmniej tyle samo dziatek, co w ich stadle z jejmością Barbarą de domo Broniewską. Ciekawszy fragment przeczcilem Jance na głos:

214

Posiałem do Wilna, by ojcowie opisali mi człeka, który tak beze-cnie wykorzystał moją naiwność, żeby się pod Ciebie podszyć. Niestety, ojciec Bujwid, który - chwalić Pana - cieieśnie już doszedł do siebie, wciąż jest tak przerażony, że jego opis jako żywo przypomina fizyru-nek diabła w ludzkiej postaci i nie zda Ci się na nic. Ojciec librariusz pamięta jedynie gęstą brodę i długie, kręcone włosy, jedno i drugie smoliście czarne, co mogło być uczynione sztucznie dla niepoznaki, jako że nie patrzył na młodzieniaszka. Odziany był w czarne lub bardzo ciemne szaty. I to już wszystko, co mogli mi rzec o wyglądzie tego łotra...

- Zaiste niewiele - westchnąłem. - Z takim opisem szukaj wiatru w polu.
- A czy nie przypomina on Kettlera?
- Owszem. Ale Kettlera nie sposób pomylić z kim innym z powodu oczu. Włosy można poczernić lub rozjaśnić, lico pobielić lub zarumienić barwiczką, lecz koloru oczu nie da się

odmienić. Gdyby to był Kettler, pierwsze co uderzyłoby pocziwych księżulków, to jego królicze ślepie i martwe spojrzenie zimnego płaza.

- Szkoa. Tedy znów drepczemy w miejscu.
- Niezupełnie, najciekawsze zachowałem na koniec. Posłuchaj.

I przeczytałem kolejny fragment:

Pytasz, co uczyniłem z formułą mistrza Twardowskiego, przed łaty należoną przez Ciebie w łochach domu Pod Krzysztofony. Tobie mogę to wyjawić, boś mógł ją zatrzymać dla siebie lub sprzedać z zyskiem jakiemuś alchimiście, a przecie tego nie uczyniłeś...

- No właśnie, jak on w ogóle po czymś takim mógł cię podejrzewać o tak szpetne frantostwo! - oburzyła się Janka.
- Daj pokój, było minęło. Chcesz słuchać czy nie?
- Czytaj. Zamieniam się w słuch.

Doprawdy nie wiem, na co Ci ona, bo mniemam, że obaj należymy do tej samej rasy niedowiarków, i tuszę, iż nie wierzysz w istnienie fantomów, za którymi uganiają się głupcy udający ludzi scjencji. Morosophi moriones pessimNie wiem, dlaczego od razu jej nie

1 Morosophi moriones pessim (łac.) - uczeni głupcy są najgorsi.

215

zniszczyłem. Ale skoro ma to pomóc w ujęciu owego franta, tedy proszę: znajdź armadę na księgi, należącą ongi do króla Augusta, w której król miał także schowek na przybory do pisania. Powinna stać w jego gabinecie, chyba że zmienił przeznaczenie i dokądś ją przeniesiono. Skrytkę, w której ukryłem formułę, najdziesz na samym dole po lewej stronie. Niechaj Cię nie zmyli, że spodniej szuflady nie da się wysunąć. Da się, jeno trza naleźć i wyjąć drzewiane kolki, które ją unieruchamiają. Za czym łatwo wyjmiesz szufladę. Sekretny schowek znajduje się pod nią...

- A zatem... - Spojrzała na mnie z błyskiem w oku.
- Wiem, co ci chodzi po głowie - mitygowałem ją. - Ale musimy jeszcze trochę zaczekać. Chyba że chcesz tam pójść sama.
- Pójdziemy razem. Tylko szybko zdrowiej, bo nie mamy wiele czasu. Król przymierza się, aby bibliotekę przenieść do pracowni, w jej miejscu utworzyć kaplicę, a w najbliższym sąsiedztwie urządzić swoją sypialnię.

Od tej pory wzmogłem wysiłki, by dojść do pełnej sprawności. Nie zapomniałem, że nie wolno mi było się natężyć, dlatego nie spieszyłem się. Zacząłem od najprostszych ćwiczeń gimnastycznych, powoli zwiększając obciążenia i ćwicząc coraz mocniej. I jakoś to szło. Po dwóch tygodniach potrafiłem już bez większego trudu poruszać się po komnacie. A kilka dni

później odważyłem się, wsparty na lasce, wyjść na dziedziniec zamkowy, by zażyć spaceru w wiosennym słońcu. Dobrze mi to zrobiło. Powtórzyłem to kilka razy i byłem gotów na wędrówkę po zamkowych antyszambrach.

Ale nim do tego doszło, stało się coś nieoczekiwanego. Acz, gdyby się nad tym zastanowić, to należało się tego spodziewać. Akurat niecierpliwie czekałem na Jankę, by jej oznajmić, że jestem gotów na naszą małą wycieczkę, kiedy wpadła do izby rozgorączkowana.

- Spóźniłaś się. Coś się stało?
- Nie uwierzysz! Sędziwój w przytomności króla i półtuzina iściców dokonał transmutacji metali! Królowa zdecydowała zabrać mnie ze sobą w ostatniej chwili, dlatego nie zdążyłam cię powiadomić.
- Opowiadaj.
- Poszliśmy we cztery: królowa stara, królowa szwedzka, księżniczka Sygryda i ja. Król już czekał w pracowni, a razem z nim

216

41 *

ksiądz Skarga i imć Wolski. Sędziwój uwijał się przy piecu alchemicznym, wokół stało pełno rozmaitych naczyń szklanych i glinianych, w których coś syczało, kłębiło się, parowało...

- Widziałem już pracownie alchemiczne. Ty też.
- Ale nie czynną. Zaś ta jest naprawdę doskonale wyposażona! Król nakazał nawet zburzyć wielki piec kaflowy i w zupełnie innym miejscu zbudować piękny kominek na swoje alchemiczne eksperymenty. Ale racja: ad rem. Na początek Sędziwój zademonstrował królowi srebrny medal, który otrzymał od cesarza Rudolfa II, a król posłał go w obieg. Potem Sędziwój krzątał się przy kominku razem z pomocnikiem, tym Bodowskim, o którym opowiadałeś, i choć jak inni wyciągałam szyję, nie ujrzałam zbyt wiele. Tylko imponujący effectus...
- Na pewno był srebrny? - Łatwo było domyślić się, co nastąpiło potem, dlatego wolałem się upewnić.
- Medal? Na pewno. Ale gdy po tych wszystkich manipulacjach Sędziwój wrzucił go do zimnej wody, po czym podał królowi na dłoni, medal był złoty. Bez żadnego dubium. Kiedy bowiem wszyscy już go dokładnie obejrzel, tym razem król popisał się sztuką: stopił w tyglu medal, po czym uformował go na nowo na kształt krzyża. To było niesamowite. Zaś Sędziwój po raz drugi zademonstrował swój kunszt i przemienił srebrny gwóźdź w złoty. Co masz taką minę? Podejrzewasz szachrajstwo? Upewniam cię, że oglądałam to na własne oczy i nie ja jedna. Co więcej, Sędziwój obiecał jutro podarować królowi sto talarów i przemienić je w czerwone złote, a potem ponawiać tę sztukę każdego dnia. Króla jakby kto na sto koni wsadził, taki był rad. Powiadam ci, Sędziwój zawojował go ze szczętem!

W to akurat nie wątpiłem. Monarcha bez grosza przy duszy i magik produkujący złoto na zawołanie, przypadkowo powiązany z dworakiem pragnącym odgrywać pierwsze skrzypce u boku nowego pana. Rzecz jasna, mógł to być zadziwiający zbieg okoliczności. Tylko że ja nie wierzyłem w zbiegi okoliczności.

- O czym myślisz?

- O niczym ważnym. Kłopot w tym, że za mało wiem o alchemii, by pochopnie wnioskować cokolwiek. Będę musiał to nadrobić, choć nie bardzo wiem jak. Chciałbym także, abyś w jakiś sposób zdobyła choć po jednym mińcu z tych, które Sędziwój zamierza transmutować. Ale nie pali się. Na razie mamy pilniejszą robotę.

217

- Powiedziałaś królowie Annie, że zaczęłaś chodzić, lecz skończyły ci się własne lektury, nudzisz się i chciałbyś sobie poszukać w królewskiej bibliotece czegoś do czytania, jeśli wolno.

- Twoja przemyślność dawno przestała mnie zadziwiać. I co?

- Jutro po śniadaniu mogę cię zaprowadzić.

- Zatem do jutra.

Pocałowaliśmy się na dobranoc, ale na tym się nie skończyło. Rano obudziłem się rześki, a po obfitym śniadaniu - gotów do działania. Wsparty na ramieniu Janki raźno pokuśtykałem na zamek. Schody okazały się jednak wyzwaniem. Uporałem się z nimi jakoś, odpoczywając na każdym półpiętrze, lecz do górnych gmachów dotarłem na ostatnich nogach, wycieńczony jak po forsownym biegu i sapiąc niczym miech kowalski. Janka miała klucz, więc do biblioteki dostaliśmy się bez turbacji. Opadłem na jedyne krzesło. Strzygąc uchem, czy ktoś nie zbliża się do drzwi, których nie zamknęliśmy na klucz, nie chcąc wzbudzać podejrzeń, gdyby ktoś niespodzianie zajrzał do biblioteki, przyglądałem się, w duchu ją podziwiając, jak sprawnie zabrała się do dzieła. Szafa biblioteczna ad sewandos libellos, miała dwoje drzwi, do połowy oszklonych. Za szybami widać było ustawione na półkach księgi. Po otwarciu drzwi ukazywały się szuflady, w dwóch rzędach po obu stronach.

- Najniższa po lewej - przypomniałem, kiedy schowana za skrzydłem drzwi Janka długo się nie pokazywała.

- Wiem. Tylko nie mogę jej wydostać...

- Pomóc ci?

- Nie trzeba, już się udało. Mam!

Wyprostowała się, tryumfalnie pokazując mi zwitek.

- Zostaw wszystko, jak zastałaś.

- Już to zrobiłam.
- Wyjmij dla mnie jakąś książkę, w końcu po to tu przyszliśmy.
- Jaką?
- Pierwszą z brzegu.

Zamknęła szafę i podała mi rulonik, który dobrze pamiętałem. Rozwinąłem go i przekonałem się, że to ten sam, który znalazłem przed laty. Tekst też był ten sam i tak samo niezrozumiały jak wprzódy:

218

O U A et SI

t reAftfiadic O)

O U*U6U4 Amor

IV

- To ten?
- Tak - podałem jej papier.
- Co to znaczy?

O ty A i fi Życia Nadzieją jesteś Po śmierci zmartwychwstania 0) O jedyna miłości Boga

Wn-ójcy Zmiłuj się nade mną W Wieczności.

Przez Q powstaje Kamień Filozoficzny.

y *

- Nie pytałam o dosłowne tłumaczenie. Też umiem czytać po łacinie. Ale co znaczą te dziwne słowa i znaki? Zauważyłeś, że kółko z kropką w środku jest takie samo, jak to, którym porywacz Kacperka podpisał pogróżki?

-Zauważyłem. Signa wydają mi się znajome... Może mają związek z astrologią, lecz to zawsze była moja pięta Achillesowa. - Utało się, że dobry medyk winien być dobrym gwiazda-rzem, lecz mnie pater Roch wpoił nieufność wobec tego rodzaju praktyk, każąc ufać w rozum i doświadczenie, dlatego na studiach

219

psim swędem prześliznąłem się po astrologii. - Jeśli się nie mylę, ten znak to symbol Saturna, ten Wenus, ów Luny, a owo kółko z kropką, teraz sobie przypomniałem, to oznaka Słońca. Lecz nadal nie widzę w tym za grosz sensu. Ergo nie jestem mądrzejszy od ciebie.

Raptem wpadło mi do głowy, że mógłbym spytać Syreniusza. Niektórzy lekarze, jak ojciec Roch, gardzili naukami tajemnymi. Mój profesor z Akademii Picus Zawadzki utrzymywał wprost, że astrologia, alchemia, perły, klejnoty, amulety i zażegnania nie powinny być stosowane w medycynie, gdyż nie przyczyniają się nijak do leczenia chorób. Wtórował mu Walenty Fontanus, w głos gardlując przeciw alchimistom i szarlatanom, którzy „nie leczą pospolitymi środkami, lecz cudownościami: okrzyczanym eliksirem, balsamem, złotem, niebem, kamieniem filozoficznym”. Radził zachować te złote środki na mający nadejść złoty wiek, a na teraźniejszy wiek drzewiany zalecał medykom przychodzić ludziom z pomocą, „posługując się zwykłym drzewem”. Syreniusz z kolei był wyznawcą Paracelsusa (którego i ja szanowałem pod pewnymi względami) i wiele leków sporządzał, jak to sam nazywał, „sposobem alchimickim”. Ale wtajemniczenie go w nasze sekrety niemal natychmiast odrzuciłem jako zbyt azardowne.

- Już myślałam, że nigdy się do tego nie przyznasz.
- Zmieniłem się. Na lepsze.
- Co zamierzasz z tym zrobić?
- Zatrzymać. Do produkcji złota. Przydałoby nam się trochę.
- A poważnie?
- Na wszelki wypadek. Może się nadać jako argument przetargowy.
- Do czego?
- Jeszcze nie wiem - rozprostowałem zwitek i wsadziłem między karty książki.

Przy okazji zerknąłem na autora oraz tytuł i uśmiechnąłem się mimowolnie, bo ze wszystkich ksiąg w armarii Janka akurat musiała trafić na doskonale mi znanego Dworzanina polskiego mistrza Górnickiego.

- Wracamy? - spytała.
- Skoro już tu jesteśmy, pokaż mi to sekretne przejście. - To był impuls, napad mojej nieuleczalnej choroby, ciekawości.

220

w4§

- Nie widziałam go od tej strony.
- Nie szkodzi. Znajdziemy je.

Nie zajęło nam to wiele czasu. Właz do kanału znajdował się tuż obok armarii. Ścianę za nią do jednej trzeciej wysokości wyłożono cennym, różnobarwnym drewnem, co z francuska zwało się bua-zerią. Drewnianą wykładzinę podzielono na prostokątne kwatery. Podczas opukiwania jedna z nich wydała głuchy odgłos. Wystarczyło ją przesunąć w bok, bowiem

górną i dolną listwę obramowania miały wyżłobione prowadnice, a jedna z bocznych listew nie była przytwierdzona do pozostałych, tylko przesuwała się razem z kwaterą. W ten sposób odsłonił się przełaz, dość niski i wąski, lecz wystarczający, by niezbyt gruby człowiek prześliznął się przezeń bez większego mozołu. Co też uczyniliśmy, wprzód jednak zamknąwszy drzwi do biblioteki na klucz. Nie mogliśmy bowiem zasunąć za sobą sekretnego przejścia, gdyż w kanale panowała ciemność jak w ulu, a my nie wzięliśmy ze sobą światła, zaś w biblioteki, jak na złość, w lichtarzach zostały same ogarki, wypalone prawie do cna.

- Musimy się pospieszyć - przypomniała.
- Wiem. Pójdziemy tylko potąd, pokąd coś widać.

Lecz nie dane nam było dotrzeć nawet tam. Bo zaledwie po kilku krokach tuż przy uchu usłyszałem jakiś szmer i zastygłem w bezruchu.

- Co jest pod nami? - szepnąłem.

Zastanawiała się chwilę.

- Chyba pracownia alchemiczna. A co?
- Ktoś tam jest. Aż tu słyszeć rozmowę.
- Jakim sposobem?
- Nie wiem. Wspominałaś, że król kazał zburzyć stary piec... Może nie zlikwidowano rury łączącej go z przewodem kominowym albo tylko ją ucięto?
- Daj pokój, jeszcze tego brakuje, by przyłapano nas na podsłuchiwanie. Chodźmy już.

Miałem taki zamiar, lecz w tej samej chwili usłyszałem coś, co mnie zmroziło. Dlatego wsadziłem palec w szparę, z której dobiegały głosy, i ostrożnie wydobyłem obłuzowaną cegłę, od wewnętrznej strony całą czarną i błyszczącą od sadzy. Teraz głosy było słyszeć o wiele lepiej. Gestem nakazałem Jance przysunąć się bliżej i położyłem palec na ustach. Zamarliśmy, strzygąc uszami. Ktoś zaczął

221

coś mówić po szwedzku, poznałem głos królowej Anny, lecz nic nie zrozumiałem.

- To tajna narada - szepnęła mi wprost do ucha Janka, cała drżąca z przejęcia. - Słyszałam o tych praktykach. Panom polskim bardzo się to nie podoba, że król woli się skrycie radzić swoich Szwedów, a przede wszystkim słucha we wszystkim siostry. Wielce jej za ten wpływ na brata nie lubią...
- Ciii - przerwałem jej, bo głos zabrał król.

- Mówmy po łacinie - rzekł. - Panowie Sparre i Brahe niewiele pojmują w polskiej mowie, natomiast imć Wolski po szwedzku jeszcze ani w ząb.

No proszę! A więc obrotny pan starosta krzepicki błyskawicznie awansował z doradcy i przewodnika po arkanach alchemii do rangi królewskiego powiernika i zausznika. To się nazywa kariera!

- Dobrze - zgodziła się królowna. - Imć Wrader właśnie przybył z listami, w których ojciec nasz, król Jan III, pomieścił dokładne instrukcje do tego, co nazwał „sekretem królewskim”...

Znałem Wradera. Lambert Wrader, Infantczyk i rodak Kettlera, tak samo jak on biegły w sekretnych sprawkach, jeszcze przez króla Stefana był wykorzystywany w rozmaitych tajnych misjach, wymagających bardziej zręczności, przebiegłości i znajomości sztuki dyplomacji niż siły i bezwzględności, w czym celował Kettler. Po zgonie Batorego Wrader natychmiast zaoferował swe usługi królowej Hannie i, jak słyszałem, razem z Leśniowolskim jeździł do Sztokholmu, by nakłonić królewicza Zygmunta do przyjęcia polskiej korony.

- Czy ktoś pilnuje drzwi? - przerwał jej zaniepokojony król.

- Imć Sycymiński ostał na straży, wasza miłość - uspokoił go ktoś.

- To Wolski - szepnęła Janka.

- To dobrze, ponieważ nic, o czym zaraz usłyszycie, mości panowie, nie może wyjść poza te mury.

Nikt się nie odezwał, dla wszystkich było to oczywiste.

- W największym skrócie rzecz wygląda tak - kontynuował król. - Ze względu na nasze szwedzkie sprawy rezygnacja z tronu polskiego jest nieuchronna. Wielu nas tu nie chce i nie lubi. Kanclerz Zamojski dlatego tak mocno naciskał w sprawie Estonii, że tuszył, iż tym sposobem zmusi nas do abdykacji, skoro nie ustąpimy.

222

A tego nam nie było wolno uczynić i on o tym dobrze wiedział. Z drugiej strony, nie możemy zawieść tych Polaków, którzy nam zaufali. Dzięki Bogu ojciec nasz znalazł rozwiązanie godne Salomona. Oto istota tego, co nazwaliśmy „sekretem królewskim”: polega on na doprowadzeniu dyskretną dyplomatyczną drogą do jednoczesnego wydania naszej siostry Anny za któregoś z arcyksiążąt oraz naszego ożenku z którąś z córek arcyksięcia Karola...

- Moim zdaniem to błąd - przerwała mu królowna, stając w obronie protestanckiej narzeczonej brata. - Nie powinieneś zrywać zaręczyn z księżniczką holsztyńską! ...

- Nie przerywaj, moja droga, to już postanowione. Ad rem. Kiedy zatem do tego dojdzie, scedujemy tron na szwagra, nie wcześniej jednak, zanim nie złożą stosownych

deklaracji w kwestii estońskiej i nie zagwarantuje życzliwego kierunku polityki polskiej wobec stosunków Szwecji z Moskwą. A także nie wydebi od króla hiszpańskiego i nie wypłaci do naszej prywatnej szkatuły sum neapolitańskich, należnych nam jako potomkowi królowej Bony i jako rekompensata za poniesione koszty i obecny niedostatek, urągający naszej królewskiej godności...

Wstrzymałem dech. Sumy neapolitańskie, bagatela! prawie pół miliona florenów plus odsetki (dziesięć od sta za każdy rok), były głośną sprawą, ciągnącą się od lat i rozpalającą imaginację Polaków. Wbrew zakazowi króla Augusta wywozła je do Włoch królowa Bona, po czym pożyczyła królowi Hiszpanii i Neapolu, Filipowi II. Kiedy zaś upomniała się o zwrot pożyczki, Filip przekupił jej dworzanina, niejakiemu Pappacodę, by otruił starą królową. Nie udało się odzyskać długu ani królowi Augustowi, ani Walezemu, ani Batoremu². Miałobyż udać się Zygmuntovi?

- Polacy nie zaakceptują Maksymiliana - sądząc po akcencie i twardej wymowie, przytomnie zauważył któryś ze Szwedów.

- Dlatego myślimy o Erneście - wyjaśnił król. - Brał udział w poprzednich elekcjach i choć przegrał, a wrogowie przezwali go Rde-stem lub Agrestem, miał także wielu zwolenników. Bo też jest to

1 Krystyną - rozczarowana i zła na wiarołomnego Zygmunta oddała rękę jego stryjowi Karolowi Sudermańskiemu, który pozbawił Zygmunta szwedzkiego tronu i sam na nim zasiadł jako Karol IX Waza.

2 Ani nikomu innemu, sumy neapolitańskie stały się w Polsce synonimem przepadłych skarbów.

223

człek stateczny i rozumny, przeciwieństwo Maksymiliana, z którym zresztą, jak nam doniesiono, kanclerz Zamojski prowadzi konszachty za naszymi plecami. Kto wie, co społem uradzili na naszą zgubę. Dlatego nie ma czasu do stracenia.

- A co na to cesarz? - zapytał drugi Szwed.

- To szwedzki podkanclerzy Eryk Sparre - dmuchnęła mi w ucho Janka.

- Tego właśnie musimy się dowiedzieć - powiedziała królowna.

- Dlatego, mości Wrader - dodał król - za niedługo, kiedy drogi obeschną, puściecie się w drogę do Grazu, na dwór arcyksiążęcia Karola, w naszym imieniu niby to naocznie ocenić piękność zachwalanych nam arcyksiężniczek.

- Kiedy tylko wasza królewska mość rozkaże.

- Ale potrzebny nam drugi zaufany posłaniec, który po drodze odłączy się od was i podąży do Pragi, by wybadać stanowisko cesarza Rudolfa II. Nie może to być Szwed ani nikt z naszego najbliższego otoczenia, bo panowie polscy natychmiast nabiorą podejrzeń.

- Ja znam odpowiedniego człowieka - odezwał się Wolski.

Musieli jednak się oddalić na stronę, bo głosy cichły stopniowo

i nie dowiedzieliśmy się, kogo Wolski miał na myśli. Zresztą słyszeliśmy już dość, żeby odjęło nam spokój i apetyt. Nawet w marnym świetle widziałem rozszerzone oczy Janki, a kiedy otarłem czoło, rękę miałem mokrą od potu. Pomasowałem sobie kark, korzystając z okazji, że jeszcze miałem szyję i głowę na niej. Przekląłem swoją ciekawość. Co mnie podkuśliło, żeby tu wtykać nos? Teraz byliśmy w posiadaniu tajemnicy, która mogła nas zabić szybciej i pewniej niż kęsiek żelaza tkwiący pod moim sercem. Szlag! Podniosłem wyjętą cegłę i włożyłem na miejsce.

- Zdajesz sobie sprawę, w co wdepnęliśmy? - spytała Janka drżącym głosem. - Toż to podpada pod zdradę stanu!

- Myślisz, że o tym nie wiem?

- I co z tym zrobimy?

- Nie wiem. Musimy pomyśleć.

I to jak!

- Może lepiej udawać, że o niczym nie wiemy?

To było najlepsze rozwiązanie. W takich sprawach ostatnią i najpewniejszą instancją był król. Ale nie wtedy, gdy to on zamyślał zdradę. No bo jak nazwać targi z Habsburgami i kupczenie polską

224

koroną poza plecami Polaków, którzy mu zaufali i obdarowali najwyższą z możliwych godności? Wiedziałem, że powinniśmy trzymać się od tej śmierdzącej sprawy jak najdalej, ale nie mogłem tego tak zostawić.

- Jedno jest pewne: na razie nikomu ani słowa. I nie zdradź się wobec królowy.

- Mój Boże, nie wiem, czy potrafię udawać, że nic się nie stało.

- Musisz. Bo będzie po nas.

- Król nie jest taki.

- Ale nie wiesz, do czego jest zdolny, kiedy poczuje się przyparty do muru. Chcesz sprawdzić? Pamiętaj, że Kacper junior nie ma dziadków, którzy zajęliby się nim, gdy nas nie stanie.

- Chodźmy. - Janka złapała mnie za rękę i pociągnęła za sobą. -Tylko tego brakuje, by ktoś nas tu przydybał.

Jedną nogą była już w librarii, kiedy ktoś na zewnątrz poruszył klamkę. Szybko cofnęliśmy się z powrotem, a Janka zasunęła przełaz.

- Szybko! Wyjdziemy drugą stroną, przez kominek!

- Stój! - syknąłem, chwytając ją mocno za ramię. - Nie możemy tego zrobić. To ostateczność. Jeśli ktoś zauważyłby nas wychodzących tamtędy, wtedy od razu bylibyśmy skończeni.

- Zatem co mamy robić?

- Nic. Czekać.

Przysunęliśmy głowy do pozornej ściany i przez szparę wbiliśmy wzrok w klamkę. Znow się poruszyła, tym razem energiczniej. Dłoń Janki, wsunięta w moją, drżała. Uścisnąłem ją, usiłując dodać jej pewności siebie, której sam nie miałem. W napięciu czekaliśmy na zgrzyt klucza w zamku.

rozdział 4 | POSZUKIWANY

Kraków, kwiecień 1588 roku

- Umieram.

- Tak. Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Zrobiłeś, co mogłeś.

Sędziwój kiwnął głową, bo w istocie uczynił wszystko, co było w jego mocy, aby postawić Kosmopolitę na nogi. Jako medyk samouk cieszył się w Pradze niejaką sławą. A jednak, wyczerpany torturami i trudami ucieczki, starzec gasł w oczach. Od pewnego czasu stało się jasne, że jego dni były policzone.

- Byłeś znów u króla?

- Wczoraj.

- Użyłeś mojej tynktury? Podziałała?

- Owszem.

- Ergo czemu jesteś taki chmurny?

Nie odpowiedział od razu. Sprawa była poważna, więc musiał ważyć słowa. Zaufanie króla zdobył dzięki własnej sztuce, ponieważ nie do końca ufał Setonowi. Ale poświęcenie złotego medalu otrzymanego od Rudolfa II oraz stu florenów zbyt wiele go kosztowało. Na dłuższą metę nie mógł sobie pozwolić na dalsze takie ekspensy, dlatego wczoraj, z duszą na ramieniu,

zdecydował się zastosować tynkturę Setona. Pozytywny wynik zrazu wprawił go w euforię. Lecz teraz, gdy spoglądał na umierającego, naszły go wątpliwości.

- Powiedz mi, jak to możliwe... - rzekł po namyśle, patrząc choremu prosto w oczy. - Jeśli w istocie posiadasz Wielką Tajemnicę, tedy potrafisz sporządzić eliksir młodości i wiecznego życia. A skoro tak, to dlaczego, miast młodnieć i odzyskiwać siły, jesteś bliski śmierci i w istocie umrzesz niebawem?

226

Starzec, któremu wydawało się, że nic go już nie jest w stanie zdziwić, zdumiał się.

- Naprawdę tego nie wiesz?

- Nie.

- Tedy jesteś lepszym człowiekiem, niż mi się zdawało.

- Nie pojmuję...

- Widzę. Spytam zatem wprost: zali imaginowałeś sobie, że oślepiłem i ogłuchłem na tyle, iż nie wiem o tobie i Teresie?

Sędziwój się zmieszał.

-Ja...

- Nie tłumacz się. Nie mam do ciebie żalu. Pytałeś, więc odpowiedziałem.

- Mówisz zagadkami. Dalej nic nie pojmuję.

- Żal mi cię, bo umrzesz w nieświadomości.

Sędziwój miał dość tych słownych gier. Zbyt długo już czekał, a teraz zostało niewiele czasu.

- Jest na to rada. Skoro prawdziwie ci mnie żal, zatem wyjaw mi sekret produkcji tynktury. Tobie on już na nic, a nie zamierzasz go chyba zabrać ze sobą do grobu?

Seton pokręcił głową.

- Byłem twoim najlepszym uczniem - nie ustępował Sędziwój. -I zawdzięczasz mi co nieco.

- W obu przypadkach masz rację. Ale za wyrwanie mnie z łap Christiana już dostałeś nagrodę, a moim uczniem przestałeś być z chwilą, kiedy nie nauka i chęć dotarcia do prawdy zaczęły cię zajmować, lecz sława, bogactwo i pożytki z tego płynące. Przecież widzę, co się z tobą porobiło w ostatnim czasie.

- Mścisz się za Teresę - wycodził Sędziwój przez zaciśnięte wargi.

Kosmopolita chciał się zaśmiać, lecz wywołał tylko atak kaszlu, który omal go nie zabił. Starzec, który u schyłku żywota żeni się z niewiastą o wiele młodszą od siebie, musi liczyć się z jej niewiernością albo nie ma rozumu. A Seton, mimo choroby, umysł wciąż miał sprawny.

- Głupcze - odparł, gdy się uspokoił. - Ślepy i głuchy głupcze. Kiedyś wszystko zrozumiesz, ale wtedy będzie już za późno.

- Więc nie wyjawisz mi sekretu? To twoje ostatnie słowo?

227

- Nie wyjawię, mój słaby i niewierny uczniu - odparł starzec zadziwiająco silnym głosem i wyciągnął wychudłe ręce poznaczone straszliwymi bliznami po torturach. - Patrz! Czy przyszłoby do tego, gdybym kiedykolwiek miał wyjawić Tajemnicę?

- Obyś się smażył w piekle, nieużyty i niewdzięczny starcze!

Zerwał się na równe nogi i opuścił izbę, trzaskając drzwiami. Za

progiem wpadł na Teresę, która niosła choremu puchar czerwonego wina na wzmocnienie.

- Umarł? - spytała, mylnie interpretując jego zdenerwowanie.

- Jeszcze nie.

- Szkoda. Nie mogę się już doczekać, mój przyszły mężu. - Przynęła się do niego i wolną ręką usiłowała objąć w pasie.

Odepchnął ją brutalnie.

- Wybij to sobie z głowy, bo nigdy do tego nie przyjdzie. Jak tylko go pogrzebiemy, spakujesz się i wyniesiesz z mojego domu.

- Zobaczymy - wysyczała, patrząc za oddalającym się Sędziwo-jem zmrużonymi oczyma i wyrazem twarzy, na której malowały się głęboka uraza, przebiegłość i złowroga pewność siebie.

Kraków, kwiecień 1588 roku

- Oszukałeś mnie! Nie tak się umawialiśmy! To mnie miałeś zaprezentować królowi, nie Sędziwoja!

- Nie gorączkuj się. Miałem zaprezentować wprzód tego, który pierwszy będzie gotów. On był, ty nie, a króla już urobiłem, więc na co miałem czekać?

- Zatem po to marnowałem czas, tłułem się aż na Litwę i ryzykowałem skórą, aby teraz zostać z niczym? - W jego głosie zabrzmiała pogróżka.

Wolski był zaniepokojony. Tamten wiedział o nim zbyt wiele, poza tym stali za nim ludzie, z którymi lepiej było nie zadzierać. Należało go czym prędzej ugłaskać.

- Przeczyłeś już Opus magicum?
- Tak.
- I znalazłeś receptę na wytwarzanie tynktury?
- Tak.

228

*

P' V __

- Jesteś więc gotów dokonać transmutacji na oczach króla?

-Tak.

Trzy kłamstwa gładko przeszły mu przez gardło. Nie przeczytał całego Opus magicum. Dzieło mistrza Twardowskiego okazało się zbyt trudne, zbyt zawile. Nie miał dostatecznej wiedzy, by je w pełni zrozumieć, ale nie mógł się do tego przyznać. A tym bardziej do tego, że czarnoksiężnik nigdzie nie podał sposobu uzyskiwania złota, napomykał o tym jedynie ogólnikami. Musiał go umieścić gdzie indziej. Ale gdzie? Na razie trzeba więc było sobie radzić samemu. I to szybko, nim Sędziwój na dobre rozgości się w należnym mu miejscu. To by zaś oznaczało katastrofę. Mróz przeszedł mu po kościach na myśl, co zrobiliby jego mocodawcy, gdyby zawiódł ich oczekiwania.

- Dobrze. Sędziwój niedługo wybiera się w daleką podróż, która zajmie mu kęs czasu. Wtedy polecę cię królowi, który ugrzązł w alchemii po uszy i rad pozna nowego adepta. Lecz jeśli zawiedziesz i narazisz mnie na śmieszność, wyprę się wszelkiej z tobą konfidencji. Wiem, co ci chodzi po głowie, ale nie ludz się, że zdołasz mi zaszkodzić. Jak myślisz, komu król uwierzy, tobie czy mnie?

- Nie zawiodę.
- Oby. Dla twojego własnego dobra. Zatem odejdz i czekaj w gotowości, aż przyślę po ciebie. Aha, może pożyczylbyś mi Opus magicum, skoro jużes je przestudiował?
- Jeszcze nie wszystko. Dostaniesz księgę, kiedy skończę.

Szedł wolno ulicą i myślał gorączkowo. Potrzebował złota, którego nie miał, nie mógł pożyczyć od Wolskiego. Starosta krzepic-ki nie był adeptem, ale wystarczająco długo parał się alchemią, by natychmiast zorientować się w jego zamiarach. Znał pewną niezawodną sztuczkę, jednak wymagała użycia co najmniej kilkunastu uncji złota. Zgodnie z zasadą: „Ażeby robić złoto, trzeba mieć złoto”. Wiedział, kto mu może pomóc, ale bał się ceny, jaką

przyjdzie mu za to zapłacić. Jednak nie miał innego wyjścia. Ciężkie jak z ołowiu nogi niosły go ku przeznaczeniu.

229

MB

Kraków, maj 1588 roku

Pogrzeb Kosmopolity, najślawniejszego z żyjących alchemików, lecz w Polsce mało popularnego, nie zgromadził tłumów w kościele Świętego Floriana na Kleparzu¹, ponieważ całe miasto żyło zbliżającym się pogrzebem króla Stefana, wyznaczonym na 23 maja. Prawie nikt nie znał wdowy po Setonie, dlatego jej wymknięcie się z pogrzebu jeszcze przed zasypaniem grobu nie wzbudziło sensacji. Za to coraz popularniejszy alchemik krakowski Michał Sędziwój wywołał poruszenie, gdy wskoczył do wykopanej mogiły, czule obejmując trumnę, jakby nie mógł się pogodzić ze śmiercią przyjaciela. Nikt nie domyślił się, że uczynił to ze zgoła innego powodu. Każdy alchemista wiedział bowiem, że wielcy adepci, zazdrośnie strzegący za życia swoich sekretów, często zabierali je ze sobą do grobu, i to bynajmniej nie w przenośni, ale jak najbardziej dosłownie. Zgodnie z zaleceniem Villanovy: *Qui révélat secretorum artis, maledicetur apoplexia*² Anglik Kelley nie ukrywał, że formuły kamienia filozoficznego, którą się chlubił, wcale nie wymyślił, tylko spisana na pergaminie odkupił od pewnego szynkarza, nieświadomego rzeczy, który zabrał ją z grobu parającego się alchemią biskupa z Walii razem z dwoma kościanymi kulami. Rozbiwszy je, Kelley znalazł w jednej białą, w drugiej czerwony proszek, które zmieszane razem dały tynkturę. Dlatego Sędziwój wolał się upewnić, czy Teresa, zobowiązana do tego przez Setona, nie wrzuciła czegoś ukradkiem do otwartego grobu. A wcześniej, w domu, nim zamknięto trumnę, dokładnie przetrząsnął i ją, i całun, w który owinięto ciało i jeszcze dokładniej obejrzał zwłoki. Zajrzał nawet w głąb jamy ustnej i do odbytu. I nic. Przeklęty staruch faktycznie zabrał sekret do grobu! A niech go czarci!

W podłym humorze wracał do domu, w drzwiach omal zderzając się z mężczyzną, który właśnie stamtąd wychodził. Tamten przytknął palec do kapelusza w niedbałym, a w odczuciu alchemika drwiąco ironicznym, pozdrowieniu.

- Co on tu robił? Nie życzę sobie, żeby tu bywał! - Z odrazą spostrzegł rozmazaną szminkę na jej wąskich wargach. - I nie

1 Według innej wersji został pochowany u dominikanów lub w katedrze (co jednak wydaje się najmniej prawdopodobne).

2 *Qui révélat secretorum artis, maledicetur apoplexia* (lac.) - kto zdradzi tajemnicę sztuki, niech będzie apopleksją tknięty.

230

zachowuj się jak goniąca się suka, ledwo ciało męża ostygło. Dlaczego opuściłaś cmentarz przed końcem uroczystości? Co sobie ludzie pomyśleli?

Wzruszyła ramionami.

- Prawie nikt mnie tu nie zna. Zresztą nic mnie to nie obchodzi. Niech sobie myślą, co chcą.
 - Byłaś z nim umówiona?
 - Nie twoja sprawa. Nie jesteś moim mężem. Jeszcze.
 - I nigdy nie będę. Myślisz, że nie zauważyłem dziwnych plam na ciele Setona? Nic nie rzekłem, bo i tak miał umrzeć, a może dzięki temu śmierć miał lżejszą, ale miałbym się z pyszna, gdyby to się wydało. Jednak nie zamierzam skończyć jak on. Jutro wyjeżdżam za granicę w sprawach królewskich, wiesz o tym. Kiedy wrócę, ma cię tu nie być.
 - Jadę z tobą.
 - Nie ma mowy.
 - Zmuszę cię. Do małżeństwa także.
- Jak?

- Tak. - Pokazała mu coś, co trzymała w zaciśniętej dłoni. - Poznajesz?

Poznał. Była to fiołka z tynkturą Setona. Przełknął głośno ślinę.

- Uwważaj! Potrzebuję jej.

Jego własne badania nad produkcją złota były jeszcze w powijakach. A bez tynktury nie miał czego szukać na dworze królewskim. Byłby skończony.

- Wiem - odparła ze złośliwym uśmiechem i nim zdołał cokolwiek uczynić, cisnęła fiołką o ścianę.

Szkló roztrzaskało się na tysiąc odłamków, zaś proszek uniósł w powietrze czerwoną chmurą, po czym opadł na pawiment w takim rozproszeniu, że nie było co zbierać. Patrzył na swoją klęskę oniemiały i niezdolny do ruchu.

Nogi się pod nim ugięły. Musiał oprzeć się o ścianę.

- Przestań się mazać - powiedziała zimno. - Nie masz tynktury, ale możesz mieć formułę jej wytwarzania.
- Gdzie ona jest? - spytał, odzyskując nadzieję.
- Tutaj. - Puknęła się palcem w skroń. - Kiedy wrócimy z zagranicy, wyjawię ci ją. To będzie mój posag.

Nareszcie pojął, co miał na myśli Seton, kiedy nazwał go głupcem. Kosmopolita dobrze wiedział, że jest podtruwany i przez kogo. Nie był jedynie pewny, czy on, Sędziwój, maczał w tym palce. Olśnienie przyszło jednak za późno. Zabrnął już tak daleko, że nie mógł się teraz wycofać. Kiedy się znów odezwał, jego głos brzmiał całkowicie normalnie.

- Wyruszamy wcześniej rano. Idź się spakować.
- Nie muszę. Od dawna jestem gotowa. Ale możemy pójść do sypialni. Co ty na to?

Kraków, maj 1588 roku

Specjalnie wybrał tę porę dnia. Po zmierzchu na Stradomiu, nawet na głównej ulicy, Moście Królewskim, nikt przyzwoity nie wy-ściubiał nosa z domu, oddając pole rozmaitym bezdomnym mętom, które dopiero teraz wypełzały ze swoich nor i zaludniały liczne podłe spelunki. Oni mu nie przeszkadzali. Zresztą omijali go szerokim łukiem, instynktownie rozpoznając drapieżcę groźniejszego od najbardziej niebezpiecznego z nich.

Doszedłszy do drewnianej chałupy, wyróżniającej się spośród innych na tym najmarniejszym z krakowskich przedmieść jedynie bardziej dziurawym dachem, rozejrzał się szybko na boki. Nie dostrzegł nikogo, wyjął więc sztylet i po krótkiej manipulacji pchnął bramę prowadzącą na podwórze. Przecisnął się przez powstałą szparę i zamknął na powrót wrota. Znał drogę, więc ruszył wprost na zadź, do indermachu, gdzie mieścił się warsztat ślusarza i zegarmistrza w jednej osobie Protazego Kwaka. Jak przypuszczał, mistrz wciąż był w warsztacie, ale nie pracował. Siedział przy ogarku świecy i popijał gorzałkę z na wpół opróżnionego gąsiorka. Dostrzegł przybysza dopiero wówczas, gdy ten wyrósł przed nim jak spod ziemi.

- Jak wasza miłość sam się dostałeś? - Nie wyglądał na zbyt zaskoczonego ani przestraszonego, spojrzenie miał nieco zmętniałe.
- Mam swoje sposoby. Gotowe?
- Wedle umowy. Prot Kwak zawsze dotrzymuje terminu. Okowity?

232

w #r

Podsunał gościowi ośliniony kubek, a sam pociągnął bezpośrednio z naczynia. Czknął i otarł usta rękawem. Mimo to krople trunku wciąż skapywały mu z niechlujnej brody.

- Dziękuję, nie piję - wymówił się przybysz, skrzywiony z obrzydzenia. - I nie mam wiele czasu.
- Słusznie, czas to pieniądz.

Mamrocząc coś pod nosem, nieco chwiejnym krokiem poszedł w głąb warsztatu, po czym wrócił z zamówieniem, które położył na stole.

- I jak? - spytał z poczuciem zawodowej dumy w głosie.

Klient z zainteresowaniem przyglądał się dziełu.

- Pomóż mi przymierzyć.

System pasków i sprzączek był nieco skomplikowany, ale dobrze spełniał swoją funkcję.

- No i co? Nie czuje wasza miłość bólu?

- Nie. Spisałeś się wybornie. Pasuje jak ulał.

- Ośmielę się zauważyć, że wasza dostojność wygląda dużo lepiej niż poprzednim razem.

- Wtenczas byłem zaraz po operacji.

- No tak. Jeśli wolno coś rzec, to doradzałbym obstalowanie u rękawicznika skórzanej rękawicy kryjącej mechanizm.

- Słusznie. A co z tymi ulepszeniami, o których mówiliśmy?

- Oto one. - Sięgnął pod stół i wyłożył na blat kolejne elementy.

- No, no... - Klient przejechał palcem po ostrzu. - Wyśmienita stal. Zaprawdę świetna robota, mistrzu Procie.

Pobrużdżona gęba ślusarza rozjaśniła się. W kaprawych oczach błysnęło coś na kształt wzruszenia.

- Nie było to łatwe. Musiałem obstalować ostrza u znajomego miecznika.

- Ale nie wspomniałeś mu po co ci one?

- A niech mnie Bóg broni! Dyskrecja to moja dewiza.

- Bardzo słusznie. Jak to działa?

- Bardzo prosto. Widzi wasza miłość ten gwint na końcu? Wystarczy wykręcić tamtą część, a wkręcić tę. Ot, cała tajemnica.

- Znakomicie. Ile ci jestem winien?

- Zadek wynosił dziesięć dukatów. Powiedzmy, że należy się jeszcze drugie tyle.

- Dużo.

233

- Ale robota nietypowa. Plus dyskrecja. I miecznik też słono sobie policzył. Myślę, że to ucziwa cena.

- Niechaj ci będzie. Mogę wprzódki wypróbować?

- Oczywiście.

Klient błyskawicznym ruchem machnął ręką. Z przeciętego gardła rzemieślnika buchnęła krew, a w oczach na moment pojawiło się zaskoczenie i zaraz zgasło. Nim ciało zważyło się na brudną podłogę, zabójca zdążył jeszcze przebić je nowym ostrzem. Weszło jak w masło.

- Brawo, mistrzu Protazy - mruknął morderca, czyszcząc narzędzie mordy. - To z pewnością najlepsza rzecz, jaką w życiu zrobiłeś. Zachowam cię we wdzięcznej pamięci.

Zanim wyszedł, zgasił świecę. Kwak mieszkał w domu sam. Nie miał żony ani dzieci. Zbrodzień sprawdził to wcześniej. Zanim ktoś znajdzie ciało, może minąć wiele dni.

Nieznosne napięcie przedłużało się ponad miarę. Kiedy jednak wciąż nikt nie wchodził do biblioteki, nie wytrzymałem i odsunąłem sztuczną ścianę. Janka mnie ubiegła i zwinnie przecisnąwszy się przez otwór, podbiegła do drzwi i przyłożyła oko do dziurki od klucza.

- Uff, to tylko Zyta - powiedziała z ulgą, zaraz wszak dodała, na powrót zaniepokojona:
- Czego ona chciała? Pewnie mnie szuka. W ważnej sprawie, bo inaczej nie taszczyłaby starych kości po schodach na górę... Jezus Maria, coś stało się Kacperkowi!

W jednej chwili zapomniawszy o wcześniejszych lękach, myśląc tylko o dziecku, chciała pędzić za piastunką, ledwo ją pohamowałem. A i tak w drodze na dół wyprzedziła mnie znacznie. O ile zdążając na górę, ponieważ była to pora wieczery, nie natykaliśmy się prawie na nikogo, to teraz z wolna dworacy wracali na noc do swoich kwater. Spotkałem kilkoro znajomych, którzy widząc mnie na chodzie, przystawali, by się przywitać i wypytać o zdrowie. Dlatego, gdy ściskając pod pachą wypożyczoną książkę, dotarłem w końcu do Gmachów Królowej, Janka już je opuszczała, niosąc na ręku naszego synka.

- Tata - ucieszył się na mój widok jak zwykle, lecz tym razem w jego głosie zabrakło zwykłego entuzjazmu, a oczy błyszczały niezdrowo.

234

—

- Ma dreszcze - powiedziała Janka. - A kiedy jeszcze zwomito-wał, stara Zyta wpadła w panikę i pobięła mnie szukać.

- Ziiimno mi - zaszczekał zębami malec.

Położyłem mu dłoń na czoło. Gorączka, jeśli była, to dopiero w początkowym stadium.

- To febra, ale co się z niej rozwinię, dopiero zobaczymy. Zabierzmy go do mnie. Jest przecież wolne łóżko po Stachniku. No jak, Kacperku? Chcesz do taty?

- Taaak.

Opatuliliśmy malca dokładnie, aby go nie zawiąło na dziedzińcu, i przenieśliśmy do Rabsztyna. Kiedy Janka szykowała dziecko do spania, ja zająłem się wypisywaniem recept.

- Musisz pójść na rynek do apteki „Pod Żółtą Głową” Pipanów, oni mają najlepsze zaopatrzenie. - Apteka o tej porze była już zamknięta, lecz Pipan znał nas oboje i z pewnością przyjąłby Jankę w domu. - Poszedłbym sam, ale jestem wykończony. Za ten czas potrzymam małego w chłodnej wodzie, jeśli gorączka postąpi.

- Nie trzeba chodzić tak daleko - odparła. - Królowna Anna też ma zasobną apteczkę.

- Racja. Pamiętaj, że najważniejszy jest proszek z kory wierzbowej¹. Już Hipokrates odkrył, że zbija temperaturę i łagodzi dolegliwości. Jeśli nie będzie miała wszystkiego, co przepisałem, niech da substytuty, ostatecznie zna się na tym nie gorzej ode mnie.

Kiedy poszła, zbadałem małego dokładniej. Nie opierał się, ale też nie brykał jak zazwyczaj. Wciąż był osowiały, gdy zanośłem go do łóżka, i oczy mu się zamykały, lecz ciało wciąż nie było rozpalone. Usnął z małą dłonią ufnie wtuloną w moją.

Szwedzka królowna nie bezpodstawnie uchodziła za znakomitą zielarkę. Janka przyniosła od niej wszystko, o co prosiłem. W samą porę, bo Kacperek zaczął gorączkować na całego, znów zwomitował i skarżył się, że mu niedobrze. W pewnej chwili zerwał się z krzykiem, usiadł i pokazując palcem na ścianę, zawołał:

- Pająk! Jaki wielki! Tata, latuj!

Czoło miał rozpalone jak piec. Utuliłem go, tłumacząc, że nie ma żadnego pająka, że tylko mu się przyśnił, zaś Janka zajęła się sporządzeniem odwaru z kory wierzbowej, cortex salicis. Nadawała się

1 Zawiera kwas acetylosalicylowy, czyli aspirynę.

235

do tego celu w zasadzie każda wierzba, lecz najlepsza była wierzba purpurowa, czyli pospolita wiklina, i to jej korę dostarczyła Janka. Odwar miał słaby zapach, lecz smak cierpki, kwaskowato-gorzki. Kacperek krzywił się okropnie, gdyśmy mu go podali.

- Faj!

- Lek im gorzej smakuje, tym jest skuteczniejszy - przekonywałem, bo faktycznie ta prawidłowość często się potwierdzała. - Dlatego musisz to wypić.

Posłusznie wypił wszystko do dna, zwłaszcza że w nagrodę czekał go słodki syrop. Janka naniósła z kuchni letniej wody i wykąpaliliśmy malca w balii. Chłodna woda i odwar z wierzby zbiły nieco gorączkę i junior usnął na powrót bez problemu. Janka postanowiła zostać z nami na noc. Kiedy się rozbierała, po raz nie wiadomo który zachwyił mnie widok jej nagiego ciała. Ale tym razem nie byliśmy w nastroju do igraszek.

- Jak myślisz, co mu jest? - spytała, gdyśmy legli obok siebie.
- Trudno powiedzieć. Mógł po prostu coś zjeść, wiesz, jakie są dzieci. Jutro będę mądrzejszy. Ale prawie na pewno to zimnica alias gorączka przerywana.
- Trzeciaczka czy czwartaczka?
- Pewność zyskamy za dwa dni, lecz raczej ta pierwsza, inaczej „gorączka wiosenna”, gdyż zazwyczaj pojawia się właśnie o tej porze. Nie pytaj dlaczego, bo nikt tego nie wie. Włosi nazywają tę chorobę mala aria, złe powietrze albo gorączka bagienna lub rzymska, ponieważ już Hipokrates zaobserwował, że jej występowanie ma związek z mokradłami. Zaś Rzym leży na bagnach.
- Kraków też. Myślisz, że zaszkodził mu spacer nad Wisłą?
- Możliwe, ale nie obwiniaj się. To pospolita choroba¹.
- Wiem, królowa Hanna często na nią zapada.
- Sama widzisz. Nie trap się na zapas, wszystko będzie dobrze.

Nie chciałem jej straszyć, lecz dobrze wiedziałem, że o ile dorosłych trzeciaczka jedynie osłabiała i na jakiś czas czyniła niezdolnymi do pracy, to dla dzieci, zwłaszcza małych, bywała śmiertelna. Nie chcąc nawet rozważać takiej ewentualności, zająłem się czym

¹ W XV i XVI w. malaria (w postaci groźniejszej czwartaczki, ale na ogół trzeciaczki wywoływanej przez drobnoustroje z gatunku *Plasmodium vivax*, przenoszone przez komary widliszki) była szeroko rozpowszechniona także w Europie aż po Anglię na północy.

236

innym. Janka milczała dłuższy czas, więc sądziłem, że zasypia. Ale nie. Okazało się, że znów rozmyślaliśmy o tym samym.

- Co zrobimy z tamtym? - odezwała się po przerwie.
- Z czym?
- Z „sekretem królewskim”.
- A co proponujesz?
- Sama nie wiem. Kogoś musimy o tym powiadomić.
- Zamojskiego?
- Uważasz, że to zły pomysł?

- Chyba istotnie nie mamy wyjścia, niestety. - Znalezienie się pomiędzy młotem a kowadłem to nic przyjemnego, a właśnie wylądowaliśmy w takim położeniu, mimo iż nie należałem do żadnej z dwóch partii, na które podzieli się Polacy: regalistów i zamojszczyków, i nie chciałem opowiadać się ani za królem, ani za kanclerzem.
- Dlaczego niestety?
- Zdaje się, że obaj z królem są sobie wrogi. Słyszałaś, że hetman cichaczem negocjuje z Maksymilianem. Nie mam ochoty po raz kolejny mieszać się w jego grę.
- Ale. co nieco mu zawdzięczamy. Choćby teraz korzystamy z jego gościny. Mamy zatem inne wyjście?
- Chyba nie - przyznałem niechętnie. - Pozostaje pytanie: jak to uczynić. Poczta odpada.
- Zamojski z pewnością przyjedzie do Krakowa na pogrzeb króla Stefana, czyli najpóźniej z końcem maja.
- Wtedy może być za późno.
- Ty pojechać do Zamościa nie możesz, ja też nie. A gdyby tak wysłać Długoraję albo Niziołka?

Po krótkim namyśle odrzuciłem i ten pomysł.

- Pewnie pojechaliby, o nic nie pytając, gdybyśmy ich o to poprosili, ale nie mamy prawa ich narażać.
- Ergo wróciliśmy do początku.
- Na to wygląda. Dajmy sobie kilka dni. Może coś wymyślimy.

Ale mieliśmy większe zmartwienie niż zdrada stanu. W środku

nocy obudził nas płacz dziecka. Kacperek dostał biegunki i pocił się niemożliwie, lecz gorączka ustąpiła. Już nie było wątpliwości - dopadła go trzeciaczka lub czwartaczka. Gorączka miała powrócić za czterdzieści osiem albo siedemdziesiąt dwie godziny i powtarzać

237

się w cyklu trzy- lub czterodniowym z regularnością zegarka aż do wyzdrowienia chorego lub skrajnego wyczerpania... i śmierci.

Rano chłopiec wyglądał ciut lepiej, lecz był tak wymizerowany i blady, że aż żal było patrzeć. Osłabienie sprawiło, że dużo spał. Na szczęście, bo kiedy się budził, skarżył się na bóle głowy, a podczas zabawy szybko męczył i zasypiał. Poiliśmy go naparem z kory wierzbowej, aplikowaliśmy inne leki i modliliśmy się. Dowiedziawszy się o chorobie Kacpra juniora, odwiedziła go nawet królewna szwedzka, przynosząc hiszpańskie frukta i słodkie konfekty.

Było to miłe z jej strony i świadczyło o dobrym sercu, lecz w niczym malcowi pomoc nie mogła. Obiecała jednak przysłać Bucellę. Zresztą, jak się okazało, czekała nas prawdziwa procesja medyków.

Gruby Italczyk zmienił się od czasów, gdy go poznałem. Był jeszcze grubszy, lecz ani w połowie tak wylewny i serdeczny, co zauważyłem już wcześniej. Być może sprawiła to moja nowa godność, lekarza dworskiego; bał się o swoją pozycję przybocznego medyka królewskiego i widział we mnie szampiera do pańskiej łaski. Nic by nie dało zapieranie się, że nie mam zamiaru wchodzić mu w paradę, bo i tak by nie uwierzył, prędzej utwierdził się w podejrzeniach. W kwestii leczenia febry nie miał do dodania nic, czego bym nie wiedział, ale nie omieszkał wygłosić obszernego wykładu na użytek Janki. Po czym zostawił jakieś ziółka na biegunkę i poszedł sobie.

Wkrótce po nim zaglądnął Syreniusz. Wracając z Podzamcza od pacjenta, przy okazji wstąpił do mnie sprawdzić, jak postępuje rekonwalescencja. Choroba juniora dała mu dobrą okazję, by pochwalić się własnym najnowszym balsamem rozmarynowym, wedle wskazań Paracelsusa przygotowanym „sposobem alchimickim”, który nazwał quinta essentia 1. Odważnie, skoro tak określił Arystoteles piąty, niebieski element alias żywioł (oprócz wody, powietrza, ognia i ziemi), eter; doskonały, wieczny i nieskończony, marzenie wszystkich alchemistów. Sięgnąwszy do pękatej sakwy, wydobył z niej wspomniane cudo i przez pół godziny rozwodził się nad składem, a drugie pół nad sposobem zażywania, ściśle związanym z ruchem ciał niebieskich.

1 Quinta essentia (lac.) - piąta esencja; tu: balsam rozmarynowy rzeczywiście wymyślony przez Syreniusza.

238

jfc

Ale najbardziej zaskoczył nas widok trzeciego gościa.

- Pan Sędziwój... - wyjąkała Janka.

Alchemista wyglądał zupełnie inaczej niż podczas naszego ostatniego spotkania. Kosztownie odziany, mógłby uchodzić nawet za magnata, zwłaszcza że na obliczu gościł mu wyraz powagi i lekkiej arogancji, właściwej wielu ludziom, którzy osiągnęli w życiu powodzenie i wysoką pozycję. Wobec nas był jednak uprzedzająco uprzejmy.

- Witam państwa - zdjawszy z głowy kołpak, skłonił się dwornie. - Nie przeszkadzam? Wypadkiem dowiedziałem się o waszym nieszczęściu. Wiem, co musicie przeżywać. Sam mam dziecię w wieku waszego syna, Michała Krzysztofa...

- Nie wiedziałam - wyrwało się Jance.

- Bo został w Pradze, u zacnych ludzi, których za pieczę nad nim sownie opłacam. Żona, Weronika z domu Stiberin, Panie świeć nad jej duszą, odumarła nas niedługo po porodzie, mnie zaś, z racji profesji, nosi po świecie, więc nie mógłbym zajmować się malcem.

Jednak tuszę, że niedługo będę miał sposobność go odwiedzić. Ale do rzeczy: pomogłeś mi kiedyś, panie Turopoński, więc ja chcę pomóc wam.

Sięgnął w zanadrze i wydobył małą flaszkę.

- Nie wszystkim o tym wiadomo, lecz liznałem nieco medycyny i w Pradze na cesarskim dworze uchodziłem za wcale zręcznego lekarza. Oto preparat przeze mnie należony, który ośmieliłem się nazwać lapis dwinus seu lapis Sendwogi¹. Stanowi on roztwór złota i służy przede wszystkim do leczenia febry. Mam nadzieję, że pomoże waszemu synowi zwalczyć gorączkę, tak jak pomógł drugim. Musicie go wszak dozować ostrożnie, gdyż zapisane dawkowanie tyczy dorosłych.

Postawił flaszkę na stole, znów się skłonił i wyszedł, nim zdążyliśmy mu należycie podziękować.

- Może myliliśmy się co do niego? - spytała Janka niepewnie.

Być może naszły ją wyrzuty sumienia, bowiem, zgodnie z moim

poleceniem, udało jej się zdobyć dwa mińce z kolejnych transmucacji dokonanych przez Sędziwoja przed obliczem króla. Kiedy zaś

1 Lapis dwinus seu lapis Sendwogi (lac.) - boski kamień lub kamień Sędziwoja; rzeczywiście lek wymyślony i stosowany przez Sędziwoja.

239

spytałem: „Jak udało ci się tego dokonać?“, odparła: „Po prostu podczas demonstracji niepostrzeżenie podmieniłam owe na te, które miałam wcześniej przygotowane“. Teraz miałem je ja, nie bardzo wiedząc, co dalej z nimi począć.

- Wątpię. Skoro spodziewa się rychło spotkać z synem, przypuszczam, że to jego polecił Wolski królowi na posłańca. Szczególnie jeśli Sędziwój jest w takiej zażyłości z cesarzem, jak się chwali. Ale przynajmniej wiemy, że poczucie wdzięczności nie jest mu obce.

- Co to może być? - nieufnie oglądała lek, który zostawił.

Wyjąłem jej go z ręki i obejrzałem pod światło. W zawieszistej

cieczy pływały płatki, chyba złota.

- Myślę, że to jakaś odmiana złota do picia, aurum potabile. Raczej nie zaszkodzi, a może pomóc. Obyśmy jednak nie musieli z niego skorzystać.

Nie wierzyłem ani w zle układy gwiazd jako genezę chorób, ani w skuteczność „leków“ w rodzaju tłustości kretyna, mózgu samobójcy, proszku z wyschniętego na wiór wisielca albo z czaszki ludzkiej, krwi suszonej z ropuchy, nietoperza, węża et quidquid vêtus délirât medicina Wierzyłem za to, że można zaradzić przypadłościom per medicinam physicam et chirurgiam adeptam². Ale teraz byłem gotów chwycić się brzytwy.

Mimo stosowania różnych leków Kacperkowi się nie poprawiało. Był coraz słabszy. Za to rozwiązała się druga turbacja, bo oto następnego ranka wpadł do mnie jak burza Jarek, dawny przyboczny Żółkiewskiego. Ucieszył się, widząc mnie w dobrym zdrowiu, bo słyszał, że byłem umierający. Wiedział także o ciężkiej ranie Stachnika i wracając z Wielkopolski, gdzie bawił w sprawach spadkowych po dalszym krewnym, zamierzał się spotkać z Żółkiewskim, a gdyby było trzeba, odwiedzić go w rodzinne strony ich obu, na Czerwoną Ruś.

- Mam do ciebie prośbę - rzekłem, gdy zbierał się do wyjazdu po skromnym traktamencie przygotowanym przez Jankę, podczas gdy ja pisałem list do Stachnika, na wszelki wypadek ostrożnie

1 Et quidquid vêtus delirat medicina (lac.) - i cokolwiek bredzi stara sztuka lekarska.

2 Per medicinam physicam et chirurgiam adeptam (lac.) - za pomocą lekarstwa naturalnego oraz zabiegu chirurgicznego.

240

spytałem: „Jak udało ci się tego dokonać?“, odparła: „Po prostu podczas demonstracji niepostrzeżenie podmieniłam owe na te, które miałam wcześniej przygotowane“. Teraz miałem je ja, nie bardzo wiedząc, co dalej z nimi począć.

- Wątpię. Skoro spodziewa się rychło spotkać z synem, przypuszczam, że to jego polecił Wolski królowi na posłańca. Szczególnie jeśli Sędziwój jest w takiej zażyłości z cesarzem, jak się chwali. Ale przynajmniej wiemy, że poczucie wdzięczności nie jest mu obce.

- Co to może być? - nieufnie oglądała lek, który zostawił.

Wyjąłem jej go z ręki i obejrzałem pod światło. W zawiesistej cieczy pływały płatki, chyba złota.

- Myślę, że to jakaś odmiana złota do picia, aurum potabile. Raczej nie zaszkodzi, a może pomóc. Obyśmy jednak nie musieli z niego skorzystać.

Nie wierzyłem ani w złe układy gwiazd jako genezę chorób, ani w skuteczność „leków“ w rodzaju tłustości kretyna, mózgu samobójcy, proszku z wyschniętego na wiór wisielca albo z czaszki ludzkiej, krwi suszonej z ropuchy, nietoperza, węża et quidquid vêtus delirat medicina. Wierzyłem za to, że można zaradzić przypadłościom per medicinam physicam et chirurgiam adeptam². Ale teraz byłem gotów chwycić się brzytwy.

Mimo stosowania różnych leków Kacperkowi się nie poprawiało. Był coraz słabszy. Za to rozwiązała się druga turbacja, bo oto następnego ranka wpadł do mnie jak burza Jarek, dawny przyboczny Żółkiewskiego. Ucieszył się, widząc mnie w dobrym zdrowiu, bo słyszał, że byłem umierający. Wiedział także o ciężkiej ranie Stachnika i wracając z Wielkopolski, gdzie bawił w sprawach spadkowych po dalszym krewnym, zamierzał się spotkać z Żółkiewskim, a gdyby było trzeba, odwiedzić go w rodzinne strony ich obu, na Czerwoną Ruś.

- Mam do ciebie prośbę - rzekłem, gdy zbierał się do wyjazdu po skromnym traktamencie przygotowanym przez Jankę, podczas gdy ja pisałem list do Stachnika, na wszelki wypadek ostrożnie

1 Et quidquid vêtus delirat medicina (lac.) - i cokolwiek bredzi stara sztuka lekarska.

1 Per medicinam physicam et chirurgiam adeptam (lac.) - za pomocą lekarstwa naturalnego oraz zabiegu chirurgicznego.

240

spytałem: „Jak udało ci się tego dokonać?“, odparła: „Po prostu podczas demonstracji niepostrzeżenie podmieniłam owe na te, które miałam wcześniej przygotowane“. Teraz miałem je ja, nie bardzo wiedząc, co dalej z nimi począć.

- Wątpię. Skoro spodziewa się rychło spotkać z synem, przypuszczam, że to jego polecił Wolski królowi na posłańca. Szczególnie jeśli Sędziwój jest w takiej zażyłości z cesarzem, jak się chwali. Ale przynajmniej wiemy, że poczucie wdzięczności nie jest mu obce.

- Co to może być? - nieufnie oglądała lek, który zostawił.

Wyjąłem jej go z ręki i obejrzałem pod światło. W zawiesistej

cieczy pływały płatki, chyba złota.

- Myślę, że to jakaś odmiana złota do picia, aurum potabile. Raczej nie zaszkodzi, a może pomóc. Obyśmy jednak nie musieli z niego skorzystać.

Nie wierzyłem ani w złe układy gwiazd jako genezę chorób, ani w skuteczność „leków“ w rodzaju tłustości kretyna, mózgu samobójcy, proszku z wyschniętego na wiór wisielca albo z czaszki ludzkiej, krwi suszonej z ropuchy, nietoperza, węża et quidquid vêtus delirât medicina}. Wierzyłem za to, że można zaradzić przypadłościom per medicinam physicam et chirurgiam adeptam². Ale teraz byłem gotów chwycić się brzytwy.

Mimo stosowania różnych leków Kacperkowi się nie poprawiało. Był coraz słabszy. Za to rozwiązała się druga turbacja, bo oto następnego ranka wpadł do mnie jak burza Jarek, dawny przyboczny Żółkiewskiego. Ucieszył się, widząc mnie w dobrym zdrowiu, bo słyszał, że byłem umierający. Wiedział także o ciężkiej ranie Stachnika i wracając z Wielkopolski, gdzie bawił w sprawach spadkowych po dalszym krewnym, zamierzał się spotkać z Żółkiewskim, a gdyby było trzeba, odwiedzić go w rodzinne strony ich obu, na Czerwoną Ruś.

- Mam do ciebie prośbę - rzekłem, gdy zbierał się do wyjazdu po skromnym traktamencie przygotowanym przez Jankę, podczas gdy ja pisałem list do Stachnika, na wszelki wypadek ostrożnie

1 Et quidquid vêtus delirat medicina (lac.) - i cokolwiek bredzi stara sztuka lekarska.

2 Per medicinam physicam et chirurgiam adeptam (lac.) - za pomocą lekarstwa naturalnego oraz zabiegu chirurgicznego.

* --

dobierając słowa. - Chciałbym, abyś jak najprędzej dostarczył ten list imię Żółkiewskiemu do rąk własnych.

To było najlepsze rozwiązanie, chociaż tym sposobem umywałem ręce, decyzję, co zrobić z „królewskim sekretem”, pozostawiając przyjacielowi.

- Dobrze - odparł ochotczo, odbierając przesyłkę.
- Wiedz jednak, że nie może on wpaść w obce ręce. W razie czego, dla własnego dobra, zniszcz go natychmiast.

Spoważniał, lecz rzucił zuchwale:

- Zrobi się. Jakby co, połknę go nawet bez popitki.

Tym sposobem jeden problem mieliśmy z głowy, ale Kacperek martwił nas nie na żarty. Pogarszało mu się z godziny na godzinę. Znowu miał dreszcze, zęby mu dzwoniły, czoło było suche i lodowate, oczy wielkie i błyszczące. W nocy zaś dostał tak wielkiej gorączki, że nie udało się jej zbić żadnymi środkami. Ani naparem z kory wierzbowej, ani „piątą esencją” Syreniusza, ani kamieniem Sędziwoja. Wołał, że wszystko go boli, kaszlał, majaczył, nie poznawał nas.

- Smok! - wrzasnął, gdy Janka pochyliła się nad nim, i szarpnął wstecz z płaczem.

Dopiero nad ranem gorączka ustąpiła, lecz na malca strach było patrzeć. Cerę miał żółtą i przezroczystą, usta poczerniałe, oczy podkrążone, buzię wychudłą i postarzałą. Wszystko zwracał, miał biegunkę i zmizerniał tak, że wyglądał jak przecinek. Życie ledwo w nim kołatało. Popłakiwał cichutko, gdyśmy go tulili.

- On umiera! - zaszlochała Janka, gdy zapadł w niespokojny sen.
- Nie przetrzyma trzeciego ataku - potwierdziłem ponuro, obejmując ją i przez ramię z rozpaczą spoglądając na umierającego synka. - Jeśli nie zdarzy się cud, zostały mu góra dwa dni.

Widziałem wielu konających, dzieci także, gryzłem wówczas palce z poczucia bezsilności, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że będę oglądał śmierć własnego syna, nie mogąc mu pomóc.

- Co możemy jeszcze zrobić?
- Nic. Uczyniliśmy wszystko, co było w ludzkiej mocy.
- To niemożliwe! Musi być jakiś sposób!

Nic nie odpowiedziałem, tylko przytuliłem ją jeszcze mocniej. Zmordowani po bezsennej nocy, trwaliśmy objęci i odrętwiali

dobierając słowa. - Chciałbym, abyś jak najprędzej dostarczył ten list imć Żółkiewskiemu do rąk własnych.

To było najlepsze rozwiązanie, chociaż tym sposobem umywałem ręce, decyzję, co zrobić z „królewskim sekretem”, pozostawiając przyjacielowi.

- Dobrze - odparł ochotczo, odbierając przesyłkę.
- Wiedz jednak, że nie może on wpaść w obce ręce. W razie czego, dla własnego dobra, zniszcz go natychmiast.

Spoważniał, lecz rzucił zuchwale:

- Zrobi się. Jakby co, połknę go nawet bez popitki.

Tym sposobem jeden problem mieliśmy z głowy, ale Kacperek martwił nas nie na żarty. Pogarszało mu się z godziny na godzinę. Znowu miał dreszcze, zęby mu dzwoniły, czoło było suche i lodowate, oczy wielkie i błyszczące. W nocy zaś dostał tak wielkiej gorączki, że nie udało się jej zbić żadnymi środkami. Ani naparem z kory wierzbowej, ani „piątą esencją” Syreniusza, ani kamieniem Sędziwoja. Wołał, że wszystko go boli, kaszlał, majaczył, nie poznawał nas.

- Smok! - wrzasnęła, gdy Janka pochyliła się nad nim, i szarpnęła wstecz z płaczem.

Dopiero nad ranem gorączka ustąpiła, lecz na malca strach było patrzeć. Cerę miał żółtą i przezroczystą, usta poczerniałe, oczy podkrążone, buzię wychudłą i postarzałą. Wszystko zwracał, miał biegunkę i zmizerniał tak, że wyglądał jak przecinek. Życie ledwo w nim kołatało. Popłakiwał cichutko, gdyśmy go tulili.

- On umiera! - zaszlochała Janka, gdy zapadł w niespokojny sen.
- Nie przetrzyma trzeciego ataku - potwierdziłem ponuro, obejmując ją i przez ramię z rozpaczą spoglądając na umierającego synka. - Jeśli nie zdarzy się cud, zostały mu góra dwa dni.

Widziałem wielu konających, dzieci także, gryzłem wówczas palce z poczucia bezsilności, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że będę oglądał śmierć własnego syna, nie mogąc mu pomóc.

- Co możemy jeszcze zrobić?
- Nic. Uczyniliśmy wszystko, co było w ludzkiej mocy.

- To niemożliwe! Musi być jakiś sposób!

Nic nie odpowiedziałem, tylko przytuliłem ją jeszcze mocniej. Zmordowani po bezsennej nocy, trwaliśmy objęci i odrętwiali

241

*

z rozpaczy, a moja koszula nasiąkała Izami Janki coraz bardziej. Czułem się jak po mocnym ciosie w żywot, tylko gorzej. Ogromny ciężar przygniatał mi piersi i dławił gardło. Nagle coś sobie przypomniałem.

- Czy ksiądz Skarga jest u króla?

- Nie wi...dzia...łam go od dwóch dni - odparła, szlochając, przez łzy.

Odsunąłem ją łagodnie i wstałem.

- Pomóż mi się odziać. Muszę go odnaleźć.

- Po co? Modlić się o zdrowie Kacperka mogą księża z katedry, a nawet sam biskup.

- To nie zaszkodzi, ale my potrzebujemy księdza Skargi.

- Dlaczego akurat jego?

- Powiem ci, jak wrócę.

Pięć minut później, podpierając się laską, spieszyłem do miasta. Lęk i nadzieja, przed którą na razie się broniłem, dodawały mi skrzydeł. Ale dostałem zadyszki, nim jeszcze dotarłem do Rynku. Musiałem przystanąć i wysapać się, zanim ruszyłem dalej. U wylotu Siennej znów przystanąłem, akurat pod kamienicą Szarą, z którą wiązało się tyle niemiłych wspomnień. Wciąż należała do Zborowskich, z których Samuela przywiodłem do śmierci. Został wszak Krzychnik, jeszcze gorszy łotr, z którym nadal miałem na pieńku. Jednak zupełnie mnie to teraz nie zajmowało. Cały się trząsałem z nerwów. Spojrzawszy w głąb ulicy, mogłem dostrzec wznoszoną dopiero stałą siedzibę Bractwa Miłosierdzia i Banku Pobożnego w gruntownie przebudowywanej kamienicy Salomonowej.

W październiku osiemdziesiątego czwartego, ledwie kilka miesięcy po swoim przybyciu z Wilna do Krakowa i powołaniu na superiora jezuitów przy kościele Świętej Barbary, ksiądz Skarga napotkał niejaką Magdalenę Walentową. Zapłakana żona ciężko chorego stolarza i matka trójki drobiazgu, których nie miała z czego wyżywić, modliła się gorąco do Boga o ratunek, ale nie wyciągała ręki po prośbie. Wzruszony jej nędzą i łzami, poczciwy ksiądz przypomniał sobie natychmiast o towarzystwach dobroczynnych, z którymi zetknął się w Rzymie, i na najbliższym nabożeństwie wygłosił żarliwe

1 Sienna 5 (róg ze Stolarską).

242

kazanie. Wypadkiem byliśmy tam wówczas z Janką, a słowa Skargi pamiętałem do dziś.

- Bez miłosierdzia - prawil - wiara katolicka jest jako drzewo bez owocu, nadzieja jako najemnik bez roboty, miłość jako matka bez dzieci. Zaś bez jałmużny żadna cnota smaku nie ma.

Nie zachęcał jednak do wspierania żebraków i dziadów proszal-nych, którzy mnożyli się niczym pchły na psie. Przeciwnie.

- Pomaganie nie jest rzeczą prostą, gdyż wprzód trzeba ustalić, która nędza pierwszego i większego ratunku i miłosierdzia jest. Lepiej szpitale zakładać, niżli fałszywego żebraka grzechu uczestnikiem być i lenistwo jego mnożyć, i chlebem go głodujących ubogich karmić.

Dlatego namawiał do utworzenia bractwa rozumnie i skutecznie opiekującego się potrzebującymi, dla duchowych korzyści zarówno darczyńców, jak obdarowanych, zgodnie z dewizą semino metam

- Lecz gdy się wielu skupi i na jedno zmówi, wszystko się najdzie i dogodzi się wszystkiemu za pomocą Bożą. Ten, kto nie ma pieniędzy, da posługę, da modlitwę, da radę; co mało ma, z drugim się złożywszy wnet urosnie wiele.

Od razu po kazaniu siedem osób, duchownych i świeckich, powołało Bractwo Miłosierdzia dla wspomagania nędzarzy wstydzających się żebrać, a Skarga położył kamień węgielny pod budowę siedziby dla konfraterni. Dziś liczyła ona wielu członków wspierających, wśród których byli biskupi, magnaci, patrycjusze, a nie dziwiłbym się, gdyby mownemu jezuitcie udało się nakłonić do przystąpienia samego króla². Wkrótce Skarga rozszerzył działalność i, za zgodą jezuickiego prowincjała Campanusa, w zeszłym roku powołał przy Bractwie Komorę Potrzebnych alias Mons Pietatis³. Ów Bank Pobożnych, bo i tak go nazywano, zbierał i pomnażał kapitał w celu pożyczania ubogim i pod zastaw, bez pobierania procentów. Ponoć dysponowano już wcale pokaźną kwotą pięciu tysięcy dukatów rocznie do rozpożyczenia. Wiedziałem o tym, bo

1 Semino metam (lac.) - sieję, będę zbierał.

2 Zygmunt III (a potem inni królowie) istotnie należeli do Bractwa Miłosierdzia, które ostatecznie zakończyło działalność dopiero kilka lat temu (z powodu sporu między świeckimi a duchownymi członkami).

3 Mons Pietatis (lac.) - Góra Pobożności.

243

choć nie byłem sodalisem, to wspierałem konfraternię doroczną kwotą stu czerwonych złotych. Bractwo zbierało między innymi na wyposażenie ubogich panien, „które posagu nie mając, pożywienia nie mając, pokusom łacne miejsce dać mogą”. Zawieszono po kościołach „skrzynki świętego Mikołaja” na datki w tej intencji, fundowano także stypendia dla biednych

zaków, wizytowano szpitale i więzienia, wspierając cierpiących, bezdomnych i wszelkich potrzebujących.

A teraz oto ja sam znalazłem się, czego nigdy bym nie przypuścił, w położeniu tamtych nędzarzy. Całkowicie bezradny i zdany na łaskę. Ksiądz Skarga był dla mnie ostatnią deską ratunku. Tylko czy zdoła mi pomóc? Nie był przecież cudotwórcą. Minąłem bramę cmentarną, farę Mariacką z bocznym wchodem okupowanym przez namolnych żebraków, celowo ominąłem drzwi plebanii Świętej Barbary i wszedłem do kościoła. Jezuiści już przystąpili do jego przebudowy na najnowszą modłę, a na zadzi, od strony Wendety, zaczęli wznosić gmach kolegium. Na razie z powodu protestów uniwersytetu jedynie profesorskiego. Podszedłem do prezbiterium i przed głównym ołtarzem chwilę modliłem się o zdrowie juniora, po czym stanąłem przed drzwiami do zakrystii, przez którą przechodziło się do drugich izb. Przeżegnałem się i szarpnąłem klekot. Raz, drugi i trzeci, aż jakaś babina leżąca krzyżem przed ołtarzem spojrzała na mnie z dezaprobatą. Dobrych kilka pacierzy potrwało, nim usłyszałem po drugiej stronie czyjeś kroki. Kłapka judasza uniosła się i zaraz opadła z powrotem.

Otworzył mi rosły mnich, w którym po postawie od razu poznałem byłego żołnierza, co nie powinno dziwić w zakonie założonym przez Ignacego Loyolę, za młodu przybocznego gwardzistę króla Nawarry i niezgorszego rębajłę. Tylko że ten tutaj patrzył mi bardziej na stróża niż sługę bożego. Szedłem o zakład, że w fałdach rewerendy chował jakąś broń.

- Czy ja cię skądś nie znam, ojcze? - spytałem.

- Wojowałem pod Wielkimi Lukami. Waszmość poskładałaś mnie do kupy, doktorze Turopoński, dzięki czemu mogłem zratowany żywot oddać na służbę Bogu. Dlaczego nie skorzystałaś z frontowego wchodu?

- Miałem swoje powody.

- Czego sobie życzysz?

244

- Czy ksiądz Skarga jest u siebie?

- Jest, ale zajęty.

- A czy mimo to może mnie przyjąć? To sprawa życia lub śmierci.

- Zapytam.

Zanim odszedł, starannie zasunął rygle i przekręcił klucz w solidnym zamku, jak spostrzegłem, założonym niedawno, bo stał jeszcze błyszcząca nowością. Ciekawe przed czym strzegł domostwa ksiądz, który, jak powszechnie wiadomo, wszystko rozdawał ubogim?

- Prosto, potem schodami na górę, drugie drzwi za sienią - oznajmił były wojak, znów wcielając się u drzwi w rolę odźwiernego i strażnika zarazem.

- Oto człowiek, którego potrzebujemy, Gustawie - rzekł na mój widok ksiądz Skarga, podnosząc się od stołu. - Chwała Bogu, żeś już doszedł do siebie, synu. Co cię sprowadza?

Spożywali we dwóch skromny podwieczerek. Towarzyszem jezuity był młodzian na oko dwudziestoletni, niebieskooki blondyn o łagodnym obliczu okolonym jasną, niewielką brodą. Kogoś mi przypominał, ale kogo? Zresztą nie zamierzałem się nad tym głowić, co innego mnie zaprzętało.

- Mój synek jest umierający. Zabija go febra. Wspominałeś, ojczcze, że znajomy konfrater z Nowego Świata przysłał ci tamtejsze medykamenty, u nas jeszcze nieznanne.

- To prawda. Jam nawet nie miał dotąd okazji, by je wypróbować...

- Nie szkodzi. Nic innego już mi nie pozostało.

- Zatem pójdź.

Zaprowadził mnie do sąsiedniej izdebki, pełniącej funkcję ni to apteczki domowej, ni składziku na różności i zaczął grzebać na zastawionych półkach.

- To nie to... To też nie... - mruczał, przekładając rozmaite słoiki, dzbanki i płócienne sączki. - I to... Mam!

Wyjął jakiś pakiet, owinięty w skóry, a z niego metalową skrzynkę. Otworzył ją, wyjął jakieś uschnięte korzenie i kartkę z opisem.

- Nie, to ipek...ipeku...ipekakuana'. Ponoć środek na womi-ty o wiele silniejszy od liści naszego kopytnika... Sproszkować

I Ipekakuana - wymiotnica, wiecznie zielony krzew z Ameryki Środkowej i Południowej; stosowana w zbyt dużej ilości powoduje zatrucie przypominające zatrucie arsenem.

245

i zażywać w postaci wyciągu, naparu, nalewki lub syropu... - odczytał z kartki. - Pomocny także na suchy kaszel, tamuje krwawienie...

- Nie o to mi szło.

- Wiem, ale weź sobie jeden korzeń, może ci się kiedyś przydać.

Zaczął grzebać głębiej.

- Jest! Wiedziałem, że musi tu gdzieś być.

Podał mi szczelnie zalakowaną flaszkę z jakimś proszkiem.

- Słyszałeś o Indianach?

- To tubylcy z Nowego Świata.

- Tak jest. Znają oni w puszczy wiecznie zielone drzewa rosnące na zboczach tamtejszych gór, które zowią „drzewami gorączkowymi”. Ich korę proszkują i jako napar zadają chorym na febrę. Widząc skuteczność tego specyfiku, ojcowie jezuici użyli go sami i zaczęli podawać hiszpańskim konkwistadorom, przez co zyskał on miano kory lub proszku jezuitów¹. Jest bardzo gorzki i może być trujący, dlatego należy go zażywać w małych dawkach. Z pier-wotku na czubek noża, nie więcej.

Zerwał lak i do mniejszego pojemnika hojnie odsypał mi znaczną ilość.

- Masz. I niechaj poskutkuje. Będę się o to modlił.

Pochwyciłem „proszek jezuitów” jak największy skarb. Jak mityczny eliksir życia, którego daremnie poszukiwali alchemiści. Bóg wysłuchał moich próśb!

- Nie wiem, jak ci się wywdzięczę, ojcze.

- Ale ja wiem.

Poprowadził mnie z powrotem do jadalni, gdzie młody blondyn już skończył się posilać.

- Nie uwierzysz, ale tuż przed twoim przybyciem rozmawialiśmy właśnie o tobie - powiedział Skarga. - Poznaj księcia Gustawa Erikssona z domu Wazów, naturalnego syna króla Eryka szwedzkiego, poprzednika Jana III.

Skłoniłem się.

- Wasza księżęca mość...

¹ W 1638 r. z dobrym skutkiem jezuici zastosowali ten środek do leczenia żony wicekróla Peru Anny de Chinchon. Odtąd (od jej przekręconego nazwiska) pod nazwą chininy proszek ten zaczęto na masową skalę sprowadzać w pierw do Hiszpanii, a potem wszędzie, gdzie panowała malaria.

246

w i²

- Gustaw - przerwał mi, podniósł się i bez certacji podał rękę, którą uścisnąłem. - Po prostu Gustaw, doktorze Niropoński. Albo Desdichado, co po hiszpańsku znaczy Wydziedziczony, gdyż Rigs-dag, szwedzki sejm, dawno temu bezpowrotnie pozbawił mnie praw do tronu.

- W takim razie mów mi Ryx, Kacper Ryx.

- Dobrze.

- Dlaczego używasz hiszpańskiego imioniska?

- Znam kilka języków, hiszpański jest jednym z nich.

- Ale jesteśmy w Polsce. I tutaj dla kogoś, kto nie szuka rozgłosu, Desdichado brzmi równie dobrze i pospolicie jak Ali Baba. Albo Czyngis-chan.

- A Snopkowski?

- Znacznie lepiej.

- Usiądźmy - zaproponował ksiądz.

- Myślałem, że nie żyjesz - powiedziałem do Gustawa. - Że zabili cię siepacze króla Jana.

- Wielu tak myślało. On też. Niestety już wie, że nie zginąłem.

- Opowiedz doktorowi, Gustawie - zachęcił go Skarga.

- Miałem pięć czy sześć lat. Mieszkaliśmy wówczas, moja matka Karin, starsza siostra Sigrid i ja, w Abo w Finlandii, w małej chatce popod zamkiem, gdzie więziono mego ojca. Matka pobiegła na zamek, ponieważ doszły ją słuchy, że wkrótce nas rozdzielą. Ojca przenoszono do Gripsholmu, matka miała do końca życia pozostać w Finlandii, Sygrydę dobra królowa Katarzyna zabierała na swój dwór, a ja... O mnie w ogóle nie było mowy. Bawiliśmy się z Syg-rydą na podwórzu. Schowała się, a ja miałem jej szukać, gdy nagle pojawił się jakiś człek, zatkał mi usta, wsadził na konia i pojechaliśmy w stronę nieodległej rzeki. Tam mnie związał, wpakował do worka z kamieniami i ciągnął ku rzece, choć zapierałem się z całych sił i kopałem jak szalony... Potem straciłem przytomność, a gdy ją odzyskałem, jakiś szlachcic sadzał mnie na konia, a nad rzeką leżał jak martwy mój oprawca... Co sił w końskich nogach pogналиśmy ku morzu, gdzie już czekał okręt!

1 Wedle innej wersji wywieziono chłopca za morze do Prus i porzucono w lesie, lecz jego płacz usłyszeli wędrujący tamtędy akurat jezuici i zabrawszy do klasztoru w Braniewie, zaczęli kształcić w swoim kolegium, na cołożyła litościwa Katarzyna Jagiellonka, matka przyszłego Zygmunta III.

247

- Ten szlachcic to był zaufany dworzaniek obu królowych, Hanny i Katarzyny, który woził listy między siostrami, imię Wawrzyniec Ryłski - wtrącił Skarga. - Królowa Katarzyna za sprawą ulubionej karlicy Dosieczki dowiedziała się o zbrodniczych planach swego królewskiego małżonka i nakazała Ryłskiemu ratować chłopca. Z kolei królowa Hanna zaleciła Ryłskiemu oddać królewicza, oczywiście incognito, do kolegium jezuickiego w Braniewie...

- Tam ojcowie zrobili wszystko, bym zapomniał o swym pochodzeniu - przerwał mu bezceremonialnie Gustaw. - Zresztą nie winię ich za to, takie mieli rozkazy. Jednak, gdy się o tym w sekrecie dowiedział, nie strzymałem. Uciekłem stamtąd i tułałem się po całej Rzeczypospolitej o żebraczym chlebie...

Przypomniałem sobie swoją młodość, jakże podobną. I ja w tym wieku rzuciłem szkołę, opuściłem ojca Rocha i włączyłem się po świecie w kompanii kuglarzy i linoskoków.

- ... I wtedy poznałem Lorichsa, Francuza, który niegdyś służył mojemu ojcu, albo raczej to on mnie rozpoznał - ciągnął Wydziejczony. - Kiedy wszak zorientowałem się, że ten łotr chce mnie sprzedać Iwanowi Groźnemu, uciekłem od niego i wróciłem do ojców jezuitów, tym razem do Torunia, potem do Wilna, do tamtejszej akademii. A stamtąd poniosło mnie aż do Kozaków na Zaporozie. Nareszcie dwa lata temu udałem się do Rzymu i Padwy, studiować astrologię, alchemię i medycynę...

- Wrócił, dowiedziawszy się, że jego brat stryjeczny został polskim królem - dodał Skarga.

- Z ciekawości, nic więcej. Poza tym chciałem się zobaczyć z Sy-grydą, o której wiedziałem, że została pierwszą dworką swej królewskiej siostry i razem z nią przybyła do Polski.

- Nie odwiedziłeś stryjecznego brata? - spytałem.

- Nie. Bałem się. Wiedziałem, że jego ojciec wciąż mnie szuka i pragnie zgładzić. Błąkałem się po mieście, dopóki z Warszawy nie przybyła na pogrzeb króla Stefana stara królowa z królowną Anną i Sygrydą. Siostra poznała mnie w tłumie, choć minęło wiele lat od naszego ostatniego widzenia. I wtedy zobaczyłem człeka, który bez wątpienia za mną szlakował. Z trudem zdołałem mu uciec. Długo kluczyłem, aż w końcu tutaj znalazłem schron. Ale dłużej już nie wytrzymam.

248

Zdaje się, że temu jezuickiemu chowańcowi nie dostawało odwagi, nie miał też zadatków na męczennika, na panującego tym bardziej. Za to niewątpliwie tkwiła w nim ciekawość świata i pociąg do włóczęgostwa. Ot, niegroźny dla nikogo poczciwy wagabunda, biegus niepotrafiący nigdzie zagrzać miejsca. Ba, ale jak o tym przekonać tych, którzy zagięli na niego parol?

- Rozpoznałbyś tego człeka, który cię śledził?

- Zawsze i wszędzie. Miał trupie lico i czerwone, gorejące ślepia.

- Znacie go, doktorze? - spytał jezuita, widząc moją minę.

- Lepiej, niżbym chciał. To Kettler. Morderz do podnajęcia. Najlepszy w tym fachu. Mógł zgubić Gustawa, to zdarza się nawet najlepszym. Ale miał dość czasu, by go na powrót odnaleźć.

- Skąd wiesz? Nie ruszałem się stąd na krok.

- Stąd. - Podniosłem się i podszedłem do okna, uchylając oponę. - Podejdźcie sam i spójrzcie, tylko ostrożnie. Uderzyło mnie to, gdy tu zachodził. Widzicie tych dwóch dziadów proszalnych? Niby żebrzą, a równocześnie obserwują wejście do plebanii. Ktoś ich

do tego podnajął. Ktoś, kto zamierza tylko porwać lub zlokalizować Gustawa, nie zabić, bo inaczej Kettler załatwiłby sprawę od ręki. Ergo nie zatrudnił go król szwedzki.

- A ja zachodziłem w głowę, jakim sposobem ten Rakuszanin sam trafił i skąd wiedział, gdzie szukać Gustawa - rzekł z goryczą ksiądz Skarga, gdyśmy wrócili na miejsca.

- Ktoś was odwiedził?

- Niejaki doktor Kai, tajny radca cesarskiego dworu, całkiem niedawno - odparł Gustaw. - Był uprzejmy. Nie groził mi, a jedynie pytał w imieniu cesarza i króla hiszpańskiego, czy chciałbym, aby poparli moje goszczenia do szwedzkiego tronu.

- I coś im odrzekł?

- Zgodnie z prawdą: że o tym nie myślę i w ogóle mnie to nie interesuje. Przecież uznano mnie za bastarda, bo ojciec poślubił matkę kilka miesięcy po moim urodzeniu.

W jego głosie wyłowiłem nutę goryczy.

- Przykre, ale inni mają gorzej. Na przykład ja jestem znajdą. Więc co doktor Kai odparł na twoje dictum?

- Nic. Przyjął do wiadomości i poszedł sobie.

249

- Ale kazaliście wzmocnić zamek i rygle i postawiliście u drzwi strażnika, który zna się na rzeczy.

- Lękaliśmy się o życie Gustawa, odkąd tu trafił - przyznał jezuita.

- A teraz?

- A teraz sami nie wiemy, co czynić.

- Mam dość czekania. Czuję się jak w więzieniu - wtrącił Gustaw. - Żałuję, że przybyłem do Krakowa.

- Dlatego potrzebujemy ciebie, sławnego inwestygatora - dodał Skarga. - Co radzisz? Może powinienem pójść do króla razem z Gustawem i szczerze się z nim rozmówić?

- Odradzam. Albo dobrze, lecz bez Gustawa.

- Dlaczego? Król jest dobrym człowiekiem.

- Nie neguję. Ale sytuacja ostatnio uległa odmianie. Być może do niedawna cesarz w istocie zamierzał wykorzystać Gustawa, by szachować króla. Aby zwolnił tron polski dla Habsburgów i wrócił do Szwecji. Lecz to nieaktualne. Rakuszanie już nie potrzebują Gustawa, zwłaszcza jeśli nie uwierzyli jego zapewnieniom, że tron szwedzki go nie interesuje.

Skarga spojrział na mnie bystrze.

- Skąd o tym wiesz?
- Tego nie mogę wyjawić. Ergo dopóki nie poznamy stanowiska króla, nie dałbym złamanego grosza za życie Gustawa. Może nawet nie dotrzeć na Wawel, zginie po drodze. Idę o zakład, że nie tylko wchód do kościoła i plebanii jest pod obserwacją, ale drzwi i okna od zadzi, wychodzące na Wendetę.
- Co zatem mamy robić?
- Nic. Uzbroid się w cierpliwość. Zajmę się tym za niedługo, tyle mogę obiecać. Jestem księdzu to winny.

Wracałem na Wawel tak szybko, że omal nie padłem z wyczerpania na progu Rabsztyna. Wydrążywszy figę darowaną Kacperkowi przez królową, wsypałem do niej niewielką dżę jezuickiego proszku i społem zachęciliśmy małego, by połknął lek. Musiał być bardzo gorzki, skoro nawet figa nie potrafiła złagodzić jego smaku, więc malec krzywił się i marudził, lecz w końcu zażył specyfik, popił sokiem z cytrusa i zasnął. Noc minęła w miarę spokojnie, a i nazajutrz obyło się bez biegunki, zaś dreszcze i uczucie zimna już tak Kacperka nie nękały. Przełknął nawet ze smakiem co nieco i nie

250

zwomitował. Mimo to studziłem radość Janki, bowiem nie znając działania leku, obawiałem się, że rozbudzona nadzieja każe nam koloryzować rzeczywistość, a własne pobożne życzenia bierzemy za faktyczne objawy zdrowienia. Junior patrzył przytomniej, więc opowieścią o czerwonych ludziach w ubiorach z kolorowych piór, żyjących w ogromnej, wiecznie zielonej puszczy, którzy nigdy nie chorują, gdyż zawsze znajdują w lesie odpowiednie zioła, nakłoniłem go do przełknięcia następnej dawki proszku, a po zmierzchu -kolejnej. Przesiedzieliśmy tę noc wpatrzeni hipnotycznie w śpiące dziecko, z napięciem oczekując nadejścia ataku febry, już ostatniego. Nie nadszedł, zaś rankiem Kacperek obudził się wesoły jak szczygieł, my zaś byliśmy jak z krzyża zdjęci, ale szczęśliwi. Malec wciąż słabował, lecz zniknęły cienie pod oczyma, a lico z wolna odzyskiwało rumieńce. Janka zaraz pobiegła do katedry, pod Czarnym Chrystusem podziękować Bogu za uratowanie syna. Ja jednak pamiętałem komu, oprócz Opatrzności, zawdzięczaliśmy szczęśliwą odmianę losu. Tego dnia byłem jeszcze zbyt wymęczony, poza tym nie chciałem opuszczać Kacperka, wciąż wymagającego starania, lecz dłużej nie mogłem zwlekać.

- Boję się, Kacper - powiedziała Janka, gdy szykowałem się do wyjścia:
- Zaciągnęliśmy wielki dług. Musimy go spłacić.
- Wiem, ale miałam nadzieję, że już nigdy nie będziesz zajmował się inwestycją.
- I nie będę. Z tym jednym wyjątkiem. Zresztą to sprawa osobista, więc się nie liczy.

- Biorąc pod uwagę ujawnienie łotra, który porwał Kacperka, to będzie drugi wyjątek. Może powinniśmy dać temu pokój? Nie jesteś już taki sprawny jak niegdyś. Pamiętaj o tym.

Pamiętałem aż za dobrze.

- Nie mam wyjścia.

- A ja mam złe przeczucia.

Objąłem ją.

- Nie przesadzaj. Wszystko będzie dobrze. Rozmawiałaś z królowną?

Zaraz po moim powrocie z plebanii, gdy Janka z wypiekami na twarzy wysłuchała niesamowitej historii wydziedziczonego królewicza, ustaliliśmy, że zanim ksiądz Skarga wybada stosunek króla

251

zwomitował. Mimo to studziłem radość Janki, bowiem nie znając działania leku, obawiałem się, że rozbudzona nadzieja każe nam koloryzować rzeczywistość, a własne pobożne życzenia bierzemy za faktyczne objawy zdrowienia. Junior patrzył przytomniej, więc opowieścią o czerwonych ludziach w ubiorach z kolorowych piór, żyjących w ogromnej, wiecznie zielonej puszczy, którzy nigdy nie chorują, gdyż zawsze znajdują w lesie odpowiednie zioła, nakłoniłem go do przełknięcia następnej dawki proszku, a po zmierzchu -kolejnej. Przesiedzieliśmy tę noc wpatrzeni hipnotycznie w śpiące dziecko, z napięciem oczekując nadejścia ataku febry, już ostatniego. Nie nadszedł, zaś rankiem Kacperek obudził się wesoły jak szczygieł, my zaś byliśmy jak z krzyża zdjęci, ale szczęśliwi. Malec wciąż słabował, lecz zniknęły cienie pod oczyma, a lico z wolna odzyskiwało rumieńce. Janka zaraz pobiegła do katedry, pod Czarnym Chrystusem podziękować Bogu za uratowanie syna. Ja jednak pamiętałem komu, oprócz Opatrzności, zawdzięczaliśmy szczęśliwą odmianę losu. Tego dnia byłem jeszcze zbyt wymęczony, poza tym nie chciałem opuszczać Kacperka, wciąż wymagającego starania, lecz dłużej nie mogłem zwlekać.

- Boję się, Kacper - powiedziała Janka, gdy szykowałem się do wyjścia.

- Zaciągnęliśmy wielki dług. Musimy go spłacić.

- Wiem, ale miałam nadzieję, że już nigdy nie będziesz zajmował się inwestycją.

- I nie będę. Z tym jednym wyjątkiem. Zresztą to sprawa osobista, więc się nie liczy.

- Biorąc pod uwagę ujawnienie łotra, który porwał Kacperka, to będzie drugi wyjątek. Może powinniśmy dać temu pokój? Nie jesteś już taki sprawny jak niegdyś. Pamiętaj o tym.

Pamiętałem aż za dobrze.

- Nie mam wyjścia.
- A ja mam złe przeczucia.

Objąłem ją.

- Nie przesadzaj. Wszystko będzie dobrze. Rozmawiałaś z królowną?

Zaraz po moim powrocie z plebanii, gdy Janka z wypiekami na twarzy wysłuchała niesamowitej historii wydziedziczonego królewicza, ustaliliśmy, że zanim ksiądz Skarga wybada stosunek króla

251

do stryjecznego brata, Janka delikatnie spróbuje poznać stanowisko królowny Anny, której wpływ na królewskiego brata warto było wykorzystać. Zresztą nie mogliśmy postąpić inaczej, bo gdyby kiedykolwiek wydało się, żeśmy trzymali obecność jednego z członków królewskiej rodziny w tajemnicy przed pozostałymi, nawet niezbyt lotny król pojąłby, że powątpiewaliśmy w jego szlachetność i nigdy by nam tego nie wybaczył. Nie mielibyśmy czego szukać na dworze, a poza nim także traktowano by nas jak zapowietrzonych. Ja bym to jakoś przeżył, lecz Janka nie. A nasz syn byłby napiętnowany. Tak to bywa, gdy prosty człowiek zostanie wplątany w sprawę moźnych tego świata. Znałem to aż za dobrze.

- Próbowałam mówić ogródkami, ale wiesz, jaki ona ma ostry umysł. Od razu zorientowała się, o co chodzi, i wezwała księżniczkę Sygrydę. Musiałam wyznać, że ich brat wciąż przebywa w Krakowie, ale lęka się ujawnić.

- I co?

- O dziwo, nie były oburzone. Królowna, która potrafi być bezpośrednia, wprost przyznała, że król Jan przysłał królowi Zygmunтови instrukcję w sprawie Gustawa. Nie powiedziała, co mu zalecił, przez co pośrednio przyznała, że obawy Gustawa nie są bezpodstawne. Jednak całkowicie odrzuciła myśl, by król Zygmunt był zdolny do pokrzywdzenia krewniaka lub kogokolwiek drugiego.

- Musimy mieć pewność.

- Ona też. Trzeba trochę zaczekać.

- Tak czy owak, Gustaw nie może zostać na plebanii. Jest na skraju wytrzymałości i wcale mu się nie dziwię. Jeśli rychło go stamtąd nie wydostanę, gotów uczynić coś nierozważnego. Muszę iść, przygotować grunt pod ewakuację.

- Kacper...

- Tak?

- Bądź ostrożny.

- Nic mi nie grozi.

Niezupełnie odpowiadało to prawdzie, ale nie chciałem jej niepokoić. Tym razem nie spieszyłem się, napawając ładnym dniem, świeżym powietrzem i odzyskanym spokojem ducha. Nie przeszkadzały mi ani śmieci i błoto na tretach oraz nieczystości płynące rynsztokami, ani sterty ostro woniejącego łąjna na koślawym burku, ani wrzaski umorusanej dzieciarni goniącej się po ulicach

252

mjm

i zaczepiającej przechodniów, ani tłok i gwar na Rynku. Truchtałem z wolna, laski używając z rzadka, i oddychałem pełną piersią, wciągając w głąb zapach mojego miasta.

Skręciłem na cmentarz Mariacki. Roilo się tu od żebraków wszelkiej maści, obojga płci i rozmaitego wieku. Chromych, bezrękich, owrzodzonych, parchatych, ślepych, bezuchych. O kulach, podskakujących na jednej nodze, pełzających w błocie lub unoszących na rękach beznogie tułowia. Do wyboru. Niektórzy byli tymi, za których się podawali. Pozostali tolerowali ich obecność, ponieważ przydawała im wiarygodności. Profesjonalne franty gnieździły się na miejscu - mur cmentarny od wewnątrz i na zewnątrz, podobnie jak mury miejskie, był oblepiony budami i kletami. Od czasu do czasu, gdy szykowała się jakaś uroczystość na Rynku, panowała zaraza, lub po prostu król lub władarze miasta tracili cierpliwość, burzono te nędzne domostwa, a ich mieszkańcy rozpełzali się po mieście jak plaga szczurów. W narożniku muru stała sadyba okazalsza od drugich i to ona mnie zajmowała. Wiedziałem jednak, że jeżeli pójde tam nieproszony, mogę stracić życie. Musiałem więc się zapowiedzieć. A wcześniej kogoś odszukać. Nie było to łatwe, ponieważ podczas wędrowki po cmentarzu nie odstępowała mnie gromada natarczywych obszarpańców.

- Daj, panie, miedziaka wojakowi, co stracił nogę pod Pskowem!
- Poratuj panie wdowę, co ma w domu ósemkę drobiazgu...
- Powróżyć? Wróżycha prawdę ci powie, daj rękę, no daj, nie bój się.
- Kup święty obrazek, dobrodzieju. Nie? To może zaklęcie na wszelki urok skutkujące...
- Weź ten cudowny różaniec, łaskawco, prosto z Rzymu, z pielgrzymki pobożnej przyniesiony. Jedyna okazja, tanio odstąpię...

Obszedłszy cały cmentarz, nie spotkałem żadnej znajomej gęby. Cóż to? Czyżby wszystkie stare łotry wymiotła jakaś zaraza? Wywieszano ich? Wyświecono z miasta? Opędziłem się od natrętów, wstąpiłem do farnej kruchty i odetchnąłem z ulgą. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że ucieszy mnie widok tej ohydnej gęby.

- Dziura!
- Pan Ryx!

Rozglądnałem się wokół.

- A gdzie Kubrak?

Te dwa łotrzyki były nierozłączne jak Kastor i Polluks.

253

- Ma robotę na Tandecie.

Czyżby moi znajomkowie byli podnajęci do szpiegowania Gustawa?

- Czym mogę usłużyć waszej wielmożności? Jak zdrowie szanownej małżonki?

- Dziękuję. Szukam Garbusa. Jest w swoim pałacu? - Była to owa najokazalsza kleta przy cmentarzu.

Rozejrzał się czujnie i przysunął usta do mojego ucha, zionąc mi w szyję smrodliwym oddechem z wyraźną nutą czosnku.

- Ni ma go tam. Ostatnio nie nocuje dwa razy w jednym miejscu.

- Co się dzieje?

- Długo by gadać. Sam powi waszej wielmożności, jeśli zechce.

- Gdzie go znajdę?

Szepnął ledwie słyszalnie:

- O tej porze winien być w „Gospodzie Hultajskiej”.

- Znak.

- Co?

- Musi być jakiś znak, po którym poznajecie swoich.

Złapał się czarną jak święta ziemia lewicą za dorównujące jej brudem prawe ucho, ale nic nie odparł. Szarpał tylko za małżowinę i skrobał ją, jakby chciał się pozbyć uciążliwego insekta.

- Pchły cię oblazły?

- To znak.

- Dzięki. - Rzuciłem mu talara, którego pochwycił zręcznie.

- Zdrowia wieszczę i wszelkiej pomyślności! - krzyknął za mną.

Wyszedłem przez bramę cmentarną, skierowałem się w prawo

i wzdłuż muru cmentarnego podążyłem na Mikołajską. Na rogu ze Szpitalną i Tandetą znajdował się zruderowany dom, który czcigodni mieszczanie omijali szerokim łukiem, zwłaszcza po zmierzchu. Mieściła się tam bowiem niesławna „Gospoda Hultajska”, najgorsza

spelunka w obrębie murów miejskich. Zaś po sąsiedzku¹ tymczasowo umieścił swoje Bractwo Miłosierdzia ksiądz Skarga. Doprawdy, ciężko imaginować sobie bardziej dziwaczne sąsiedztwo, choć z drugiej strony być może poczciwy księżulo rachował, że taka bliskość wpłynie łagodząco na obyczaje bywalców tawerny i nakieruje ich na dobrą drogę. Cóż, mogłem mu tylko zażreć optymizmu.

1 W XVII w. bogata rodzina wioska Lamellich połączyła trzy sąsiednie domy w jedną okazałą kamienicę, w której obecnie mieści się Śródmiejski Ośrodek Kultury.

254

Nawrócenie łotrów nawiedzających ten przybytek uznałbym za cud większy nawet od wskrzeszenia Łazarza.

Teoretycznie tawerna zajmowała przyziemie, a wchodziło się do niej od ulicy, ale to była jedynie przykrywka dla niewtajemniczonych lub pomniejszego hultajstwa. Złoczyńcy naprawdę dużego kalibru gromadzili się w rozległych sklepach pod ziemią, z przesłoniętym oponą wchodem za szynkwasem i drugim wyjściem w oficynie. Można było się tamtędy ulotnić na zadź, po czym, klucząc po podwórkach przyległych domów, zgubić każdy pościg. Podejrzywałem, że w lochach wybito też jakieś sekretne przełazy, znane jedynie najbardziej zaufanym. Dlatego „Gospoda Hultajska”, jak zresztą inne podobne spelunki, dawała bezpieczny schron głównikom, którzy urwali się od stryka, oraz innym groźnym złoczyńcom poszukiwanym przez justycjariuszy. Mogli się tutaj ukrywać miesiącami, dlatego traktowali ją jak swój dom i uważali, poniekąd słusznie, za twierdzę nie do zdobycia. Zresztą ze świecą należałoby szukać stróża prawa, który odważyłby się przekroczyć próg tego przybytku zbrodni i wszelkiego występku. Ja przynajmniej nie znałem nikogo takiego, okrom siebie. Pewnie dlatego, że nie obracałem się w kręgach szaleńców i potencjalnych samobójców.

Jak przypuszczałem, o tej, stosunkowo wczesnej, porze, szynk świecił pustkami. Gospodarz, niechlujny brodacz w poplamionym odzieniu, w pół drzemał. Czworo gości bez zapału rozgrywało karcianą partyjkę, kłócąc się i przekomarzając też jakoś ospale. Jakiś oźralec chrapał w kącie. Moje wejście nikogo nie zainteresowało, przynajmniej na pozór. Tylko pijak, nie taki znów chyba pijany, nie przerywając chrapania, tytnął łakomie na moje odzienie, mimo iż celowo założyłem dziś swój najbardziej wyświechtany obercuch, lecz zaraz zamknął oczy. Podszedłem do szynkwasu i plasnąłem dłonią o polany skwaśniałym piwem blat. Znów nikt nie zareagował. Oźralec nadal chrapał, karcjarze nie przerwali gry, a gospodarz drzemki. Dopiero za drugim plaśnięciem ciężko podniósł się z zydła i spytał leniwym głosem:

- Coś podać?
- Szukam Garbusa vel Ślepca.

Wzruszył ramionami i zatoczył ręką krąg.

- A widać tu takiego?
- A czy ja patrzę na idiotę?

Głupie pytanie, ale za późno ugryzłem się w język. Spojrzał na mnie z jawną drwiną, jakbym zgadł. Gracze wciąż grali, lecz wiedziałem, że mnie obserwują, pijak też. Podniosłem lewą rękę i sięgnąłem do prawego ucha.

- Mam do niego ważną sprawę. Wiem, że gdzieś tam jest. -Wskazałem wiszącą na ścianie za plecami oberżysty brudną i wytłuszczoną szmatę.

- Zaprowadź go, Morda.

Natychmiast wytrzeźwiający ózralec poderwał się ze swego legowiska i wtedy ujrzałem zasłoniętą dotąd drugą połowę gęby, której zawdzięczał imionisko. Widziałem już wiele potworności, lecz takiej ohydy jeszcze nigdy; ostatecznie byłem jeszcze dosyć młody i nie doświadczyłem wszystkiego. Oko na wpół wysadzone, skóra lisza-jowata, obwisła i tak poblizniona, że dzikie mięso zwisało całymi piatami, do tego brodawka z kępą szpeceniastych włosów, zniekształcona żuchwa przesunięta na bok, z jednym kłębem sterczącym na zewnątrz. Każdy zbieracz osobliwości dałby fortunę, mogąc podziwiać wypchanego Mordę w swoim gabinecie. Żywy Morda był jednak kłopotliwy. Kiedy bowiem karczmarz wcisnął mi do garści zapalony kaganek i uchylił zasłonę, odkrywając schody wiodące w dół, Morda puścił mnie przodem i niemal przykleił mi się do pleców, przystawiając do nich coś ostrego i kłującego.

Pochyleni schodziliśmy niskim, pełnym zakrętów tunelem po wyślizganych stopniach nierównej wysokości. Gdyby nie laska, nieraz wyłożyłbym się jak długi, a i tak, gdy doszliśmy do kresu wędrówki, nie czułem nóg, łydki mi dygotały, a całe ciało protestowało przeciwko takiemu traktowaniu. Zaopatrzone w judasza ciężkie drzwi z kutego żelaza mogły wytrzymać uderzenia tarana lub wybuch miny. Morda na chwilę oderwał sztylet od moich pleców, aby głowicą rękojeści załomotać w drzwi. Dwa uderzenia, potem trzy i znowu dwa. Kaprawe ślepie pojawiło się w otwartym judaszu, zlustrowało nas obu, po czym drzwi uchyliły się na tyle, byśmy mogli się przecisnąć, po czym natychmiast zatrzęsnęły. Byłem uwięziony.

W swoim czasie odwiedziłem wiele podłych tawern, ale żadna bardziej od tej nie zasługiwała na miano spelunca latrones, łotrow-skiej jaskini. Olbrzymi sklep nie był wprawdzie zupełnym dziełem natury, gdyż wzniesiono go po części z dzikich głazów wapiennych,

m >

a beczkowaty strop uczyniono z cegieł. Tb i tam ze ścian sterczały pochodnie, rzucając nieco światła na przeważnie tonące w półmroku niesamowite pomieszczenie i jego niezwykłych lokatorów. Łotry wszelkiej maści, często cudacznie odziane, zapełniały sklep nie całkowicie

co prawda, na to było jeszcze zbyt wcześnie, ale wystarczająco licznie jak dla mnie. Nawet w najlepszych czasach i z Niziołkiem u boku zapewne zastanowiłbym się chwilę, zanim-bym z nimi zadarł.

Cóż to był za przegląd rodzaju ludzkiego! Zaraz innymi oczami spojrzałem na Mordę, który co prawda nie zyskał błyskawicznie na urodzie, ale na tle niektórych z obecnych miał prawo uważać się za przystojnego. Byli tu bowiem ludzie jeszcze potworniej okaleczeni albo przez bliźnich, albo przez bezlitosny kaprys natury: obrośnięci gęstym włosiem na całym ciele, łącznie z licem, niczym małpy lub wilkołaki; karły z wielkimi, guzowatymi czerepami; mężczyzna z jedną ręką o połowę mniejszą i krótszą od drugiej, zakończoną palcami niemowlęcia; kobieta z trzema piersiami, a nawet dwójka nastoletnich bliźniaków zrosniętych rękami i nogami, poruszających się zgodnym rytmem. Dla tych nieszczęśników ta spelunka z pewnością była domem i jedynym pewnym schronieniem przed światem, na który, jeśli w ogóle, wyglądali tylko nocą, chyba że ktoś zechciał pokazywać ich gawiedzi za pieniądze. Ale oprócz tej niezawinionej ludzkiej nędzy były też franty pierwszej wody, które korzystały z okazji, by odrzucić kule i wyprostować rzekomo brakujące kończyny, przywracając im krążenie, zdjęć sztuczny garb i rozprostować grzbiet, zerwać opaskę i nareszcie nie udawać ociemniałych albo zetrzeć z gąb krosty i guzy uczynione z ciasta. Rozwalali się na stosach szmat, słomy i skór rozłożonych pod ścianami. Spali, drzemali, iskali się i drapali, pili, jedli, grali w kości i karty, gzili się bezwstydnie, gwarzyli, kłócili się, bili albo po prostu nie robili nic, gapiąc się w jakiś punkt bezmyślnymi oczyma idiotów. Pomiędzy dorosłymi biegały i bawiły się obdarte, rozczochrane i umorusane dzieci, na które nikt nie zwracał uwagi. Patrząc na nie, pomyślałem, że gdyby nie ślepy traf, moje dzieciństwo też mogło tak wyglądać.

- Co jest, Morda? Kogoś nam sam przywiódł?

Gruby, wulgarny głos przerwał mi obserwacje i medytacje. Niedaleko wejścia stały wielkie kufy, z których dla chętnych i wypłacalnych

257

piwo i gorzalka lały się strumieniem, obok był wielki piec kuchenny, na którym pichciły się w wielkich kotłach jakieś potrawy, a opodal, wprost na kamieniach, paliło się ognisko i piekło okazałe prosię, z którego kto chciał, odkrawał sobie kęsy. Zarządzał tym interesem i inkasował należność pleczysty, półnagi mężczyzna z łysą głową, ociekający potem. Z uszu zwisały mu, lekko pobrzękując, złote kółka, przez co wyglądał jak kaper. Przez moment zdawało mi się nawet, że to Chris Żeglarz, mój dawny sługa i łotr pierwszej wody, który wszak zginął marnie w Toropcu, podczas wojny z Moskwicinami.

Ale nie on nas zagadnął, tylko jego pomagier, istny olbrzym, z wielką brodą i jednym okiem przesłoniętym czarną opaską, łapskami jak bochny chleba promnickiego i tak paskudnym wyrazem wielkiego pyska, jakby żywił się ludzkim mięsem. Spożywany na surowo.

- To szpieg! - kwiknął Morda rozdzierająco. - Starościński albo z ratusza!

Dźgnął mnie i poprawił kopniakiem, tak że poleciałem głową wprost w objęcia małpoluda, którego uścisk wyparł mi dech z piersi.

- Skąd wiesz? - Siłacz, który już jedną łapą nakrył mi całą głowę i właśnie szykował się do jej ukręcenia, wstrzymał się na moment. Byłem mu wdzięczny za skrupulatność.

- Sam się zdradził! Coś mu tam świtało we łbie, ale nie wiedział, w którym kościele, i lewą ręką złapał się za prawe ucho, dureń!

Ożeż, Dziura, ty ciężki idioto, niech cię czarci! Aleś mnie urządził, mańkucie złamany! A może zrobiłeś to specjalnie? Jednak pretensje miałem głównie do siebie, bo powinienem być bardziej spostrzegawczy albo mieć lepszą pamięć, ostatecznie znałem Dziurę nie od dziś, tylko stale myliłem go z Kubrakiem. Tym razem pomyliłem się o jeden raz za dużo i teraz brakowało mi czasu i sposobności, by to nadrobić. Musiałem szybko coś uczynić, jeśli nie chciałem skończyć pogrzebany w jakimś dole, który z pewnością gdzieś tu wykopali na podobną okoliczność i zapełniali takimi jak ja. Na szczęście nie wypuściłem z dłoni laski. Zamachnąłem się, na ile mogłem, i z całej siły na oślep machnąłem w próżnię. Za drugim razem trafiłem się w duży palec i z bólu zagryzłem język. Ale trzeci cios był celny.

258

Ugodzony wielkolud ryknął jak zraniony zwierzę, złapał się za poszkodowaną gołą stopę i jął skakać na jednej nodze. Korzystając z chwilowo odzyskanej wolności, postanowiłem jednak odłożyć na później sprawę, która mnie sam przywiodła. Pośpiech zawsze jest złym doradcą. Ale było poniewczasie. Raptem pozazdrościłem Danielowi, który w podobnej jaskini miał do czynienia jedynie z pocziwymi, nieco tylko wyposzczonymi lwami.

Od zbawczych drzwi oddzielał mnie nie jeden Morda, z którym jakoś bym sobie poradził, ale cały tłum uzbrojonych po zęby zbirów, na których widok najgroźniejszy lew z podkulonym ogonem zemknąłby gdzie pieprz rośnie. Pozostali zbliżali się coraz ciaśniej, półkolem, przypierając mnie do ściany. Laską odtrąciłem wyciągające się ku mnie szponiaste paluchy, wskoczyłem na jakąś beczkę, a z niej na wielką kufę.

- Precz! Nie jestem szpiegiem! Szukam waszego króla! To mój przyjaciel!

Zaczerpnąłem tchu i to był następny błąd. Powietrze, nasycone wonią zepsutej kapusty, dymu z ogniska, potu, moczu, kału, rzy-gowin, niestrawionej gorzałki i Bóg wie czego jeszcze, tak gęste, że można było zawiesić w nim siekierę, zwyczajnie mnie zatkało. Nic więcej nie zdołałem powiedzieć. Próbowałem się jeszcze bronić. Wyrznąłem laską w łeb najbliższego przeciwnika, lecz tylko się oblizał, wyszczerzył zęby, po czym wyrwał mi laskę, zgryzł ją w gębie niby wierzbową witkę, odrzucił na bok obie połówki, ściągnął mnie za nogę z beki i cisnął między wyjąca, żadną krwi cizbę.

- Zabić szpiega!

- Na męki z nim!

- Po co? Od razu zarzezać!
- Nie od razu! Pasy wprzód zedrzeć!
- Za dużo mitręgi! Na kawały porznąć!
- Tak jest! Ino powoluśku, coby więcej bolało!

Żywo (jeśli to właściwe słowo) zainteresowany, która opcja ' zwycięży, acz niemający niestety prawa weta, już zęgnął się z życiem, kiedy nagle przez tumult przebił się przenikliwy, rozkazujący głos:

- Zostawcie go!

Tyle w nim brzmiało siły i autorytetu, że krwiożercza orda natychmiast przestała się nade mną pastwić, rozstępując się niby

259

Morze Czerwone przed Mojżeszem i dając przejście niepozornemu człeczynie.

- Witaj, Garbusie - powiedziałem, odzyskując mowę, podnosząc się, otrzepując i przy okazji badając kości. - Wyznam, że po raz pierwszy twój widok sprawia mi nieklamana przyjemność.
- Słyszałem, że umarłeś.
- Wszyscy mi to mówią. Niektórzy z rozczarowaniem.
- Ja do nich nie należę.
- To mnie cieszy.
- Pójdź za mną.

Zaprowadził mnie na koniec pieczary, gdzie kolejna opona maskowała przejście do mniejszego sklepu, z którego zapewne także było jedno lub dwa wyjścia. Dzięki temu Garbus od wielu lat wymykał się obławom przeprowadzanym przez ludzi starosty lub pachołków miejskich, ponieważ wszystkie sklepy i loszki w okolicy Rynku tworzyły pod nim istny podziemny labirynt, którym znający drogę mogli przejść z jednej strony placu na drugi.

- Siadaj. A wy zabierajcie się stąd. Duchem!

Dwie młode, urodziwe i na wpół nagie dziewczki uniosły się leniwie z posłania i odmaszerowały posłusznie, fajtając jędrnymi cyckami, kręcąc kuprami i rzucając mi w przelocie zachęcające spojrzenia. Usiadłem na miękkich kobiercach, w których zapadłem się natychmiast niemal po pas. Poznałem kiedyś upodobanie Króla Żebraków do luksusu i nie dziwił mnie bogaty wystrój jego tutejszej siedziby, a wiedziałem, że miał podobnych co najmniej kilka albo kilkanaście, porozrzucanych w rozmaitych punktach miasta. Nie wydał żadnego polecenia, a jednak natychmiast ci sami, co przed momentem chcieli mnie rozerwać

na sztuki, teraz z szerokimi uśmiechami na wypródki znosili i składali na niskiej ławie przeróżne smakołyki i najwyborniejsze trunki, po czym znikali bezszelestnie. Ktoś niepostrzeżenie podrzucił mi nawet nową laskę, znacznie kosztowniejszą od poprzedniej.

- Często się.
- Nie jestem głodny.
- Ale tokaju nie odmówisz?
- Wyglądam na aż tak chorego?
- Jeszcze jak.

260

- Ale napić się jeszcze mogę - skłamałem.
- Znaczy, nie jest z tobą tak źle.

Nalał nam obu do kielichów z rżniętego szkła. Miałem wielką ochotę opróżnić puchar jednym haustem i poprosić o jeszcze, tymczasem, ćwicząc silną wolę, tylko umoczyłem usta.

- Ile to lat minęło od naszego pośledniego widzenia?
- Pięć albo nawet siedem. Nie pomnę.
- Kęs czasu. Ty też nie wyglądasz najlepiej. Przyganiał kocioł garnkowi.

Był ode mnie starszy o dziesięć, góra piętnaście lat, lecz w istocie patrzył na starca, a garb przygniatał go prawie do ziemi. Brzydką i pomarszczoną, ale rozumną twarz, przecinały mu głębokie bruzdy.

- Mam kłopoty. Zajmujesz się jeszcze inwestycją?
- Już nie.
- Szkoda. - Westchnął. - Przydałbyś mi się.

Cóż, tak to jest z przysługami. Ja potrzebowałem jego, on mnie. W ten sposób człowiek wpłatywał się w spiralę zobowiązań i choćby chciał, nie mógł się wyplatać. Za wszystko w życiu trzeba płacić. Też westchnąłem i spytałem:

- O co chodzi?

Obracał próżny kielich w palcach, wpatrując się w szkło z intensywną zadumą.

- Ktoś chce mnie wykopać z interesu i przejąć kontrolę nad Bractwem.
- Kto?
- Gdybym wiedział, nie byłbyś mi potrzebny.

- Co się dzieje?

- Ginią moi ludzie. Od czasu oblężenia, lecz wówczas można to było przypisać Niemcom. Pewnie słyszałeś, jak dzielnie sobie poczynaliśmy na Garbarach. - Zapomniał dodać, że przy okazji z pewnością sownie się obłowili. - I to nie jacyś podrzędni, lecz z najbliższego otoczenia. Namiestnicy i porucznicy. To się nigdy wcześniej nie zdarzało. Draby miejskie, o ile kogoś chwytaly, to same płotki. A jeśli ktoś znaczny wpadł im w łapy przypadkiem, nawet nie wiedzieli, kogo mają, i za przynajmniej dawało się go wyciągnąć z kabatów. Od niedawna to się zmieniło.

261

Uderzają celnie i eliminują mi jednego z zaufanych po drugim. Szybki sąd i ciach, łeb ucięty na kabacie1, żebyśmy wypadkiem nie próbowali go odbić w drodze na Powroźnicze. Inni znowu co rusz znajdowani są w fosie. Utopieni z kamieniem u szyi i ze śladami tortur.

- Znam hutmana Trojana. To do niego nie pasuje. Nigdy nie posuwał się do skrytobójstw.

- Właśnie. I to mnie niepokoi, bo nie wiem, kto za tym stoi. W całym Pięciomieście nie miałem dotąd godnego szampierza.

- Może patrzyłeś zbyt daleko? Poszukaj bliżej.

- Myślisz, że któryś z surogatorów mnie zdradza? To niedorzeczne.

- Cezar też tak uważał. A potem miał tyle dziur w ciele, że mógł służyć za przetak.

- Kto niby miałby być moim Brutusem, Kulas? - zastępcą Króla Żebraków był kuternoga, a raczej łotr udający kalekę, którego nigdy nie lubiłem.

- Na przykład.

Potrzęsnał głową.

- Nie rozumiesz. Gdyby szło wyłącznie o pozbycie się mnie i proste przejęcie schedy, tedy może przyznałbym ci rację. Kulasowi byłoby najłatwiej mnie dostać. Ale tu chodzi o coś innego.

- O co?

- Ktoś buduje nowe imperium i pragnie całkowicie wyeliminować nasze Bractwo Żebracze, zastępując je własnym. Moich ludzi już wyparto z wiertelu sławkowskiego2, teraz wojujemy o wiertel garncarski. I przegrywamy, bo tamci są nieuchwytni. Walczyć z nimi, to jak mierzyć się z duchami. Jeszcze gorzej niż ongi z żabojadami z Bractwa Syjonu, za króla Henryka. Poradziłeś sobie z tamtymi, poradzisz i z tymi. Dlatego cię potrzebuję.

- Ergo, jeśli dobrze pojąłem, ktoś pragnie opanować zbrodnicze podziemie, wprzód usunąwszy całą terażniejszą starszyznę?

- Nie inaczej.

1 TU: wewnętrzny dziedziniec w krakowskim ratuszu, miejsce niepublicznych kaźni.

2 Północno-zachodni kwartał dawnego Krakowa; garncarski - południowo--zachodni, rzeźniczy - północno-wschodni, grodzki - południowo-wschodni (granice

kwartałów krzyżowały się pośrodku Rynku).

262

- I nie masz żadnego podejrzenia, kto to może być?

- Najmniejszego. To ktoś nowy. Gracz czternastej próby. Prawy tuz. Na pewno żaden z podległych mi podhetmanich z Kaźmierza, Kleparza, Stradomia i Garbar. Ambicji im nie brakuje, za to nie dostaje zdolności. Najzdolniejszych pozbyłem się dawno temu.

- Może przeoczyłeś jakiegoś młodego wilczka?

- Nie. No to jak, zajmiesz się tym? Dostaniesz tyle, że będziesz mógł kupić nowy dom. Ba, pałac.

Propozycja była kusząca, ale nie mogłem jej przyjąć.

- Spójrz na to - pokazałem laskę. - Ledwo się ruszam. Nie nadaję się już na inwestygatora. To zamknięty rozdział. Mogę popytać tu i tam, i tyle.

- Pojmuję. Dobrze i to. A teraz mów, co cię sam sprowadziło.

- Twoi ludzie obserwują kościół Świętej Barbary.

- Owszem.

- Chciałbym, żebyś ich wycofał.

Poskrobał się po brodzie. Zabrał się do napełniania obu kielichów i wówczas spostrzegł, że tylko markowałem picie.

- A jednak źle z tobą.

- Nie da się ukryć. Więc jak?

- Ciężka sprawa. Uczciwie ich opłacono.

- Wystarczy mi kwadrans. Powiedzmy pojutrze w samo południe. Zapłacę jak za dwie pełne dniówki.

- Umowa obowiązuje tylko do końca miesiąca. Nie możesz poczekać dwie niedziele?

- Za długo. A mój ptaszek wrywa się z klatki.

- Co to za jeden?

- Nie mogę powiedzieć. Może kiedyś, jak będzie po wszystkim. To jak?
- Chciałbym ci pomóc, ale to nie takie proste. Nie wiesz, kto za tym stoi.
- Wiem.
- Wiesz? - Uniósł brwi. - Tedy sam pojmujesz, jak niebezpiecznie z nim zadrzeć. Z drugiej strony... Nie widziałem go ostatnio. A i wcześniej wyglądał gorzej niż my obaj razem wzięci. Coś mu dolegało. Jakaś stara rana, jak powiadał. Palce lewej dłoni miał całkiem szerniałe.
- Może to on mordował twoich ludzi?

263

II

- Też na to wpadłem. Dlatego kazałem go śledzić. Ale w czasie, gdy zginęło aż pięciu z naszego Bractwa, nie ruszał się z kwatery. Odwiedził go nawet chirurg, niejaki Jędrzejkiewicz.
 - A teraz co porabia?
 - Nie wiem, może umarł. Przestał mnie zajmować. Myślałem nawet, jeśli żyje, czy nie podnając go do osobistej ochrony, ale to za duży azard. Mój nieznany szampierz mógł mnie ubiec i sam bym się wystawił na strzał.
 - Słusznie - podniosłem się. - Dobrze było cię zobaczyć. Przypomniały mi się stare czasy. Ale muszę już wracać". Żona i syn na mnie czekają.
 - No to strzemiennego.
- Tym razem upiłem pół łyka. Odsunął oponę.
- Spójrz na nich. Ty masz żonę i dziecko, ja tylko ich, a oni mnie. Dla takich jak ty to odmienicy, wyrzutki, nic niewarte śmieci. Zginą, kiedy mnie nie stanie. Dlatego nie poddam się bez walki, wiesz o tym, więc wprzódy to miasto spłynie krwią i ucierpi wielu niewinnych.
 - Zrobię, co będę mógł. Ale nie spodziewaj się zbyt wiele.
 - Powiadasz: pojutrze w południe? Załatwione.
 - Termin może się przesunąć. Wtedy powiadomię cię przez Dziurę. Aha... - Wpadło mi do głowy, że nie muszę narażać Garbusa na ewentualną zemstę Kettlera. - Nie trzeba ich zdejmować, to mogłoby się wydać podejrzane. Wystarczy, że wyznaczysz największych gamoni.
 - Jak chcesz.

- Nie uraczyłeś mnie nowym fragmentem swojej Peregrynacji dziadowskiej - zauważyłem nagle z zaskoczeniem. Od lat pisał poemat, którym częstował mnie przy każdym spotkaniu.

- Nie miałem do tego głowy. A ty dopisałeś nowe strofy do swego wiersza o gorzałce?

- Też nie.

- No widzisz. Nie pijesz i nie składasz rymów. Starzejemy się, Kacper. Już nas takie rzeczy nie bawią. Morda!

W jednej chwili zjawił się mój przewodnik, zdyszany. Król Żebraków wymagał ślepego posłuszeństwa i karał bezlitośnie. Dbał o swoich ludzi, lecz trzymał ich żelazną ręką. Miał przy tym swoje zasady i specyficzny kodeks rycerski, może dlatego że był szlachcem

264

z pochodzenia, co jednak samo w sobie o niczym nie świadczyło. Pamiętałem z dzieciństwa, jak wyglądało wtedy miasto. Rozmaite ordy złoczyńców walczyły o terytoria, zabijając się bez litości jak wściekle bestie, a przy okazji przypadkowych świadków lub zwykłych przechodniów. Kradzieże i mordy rabunkowe były na porządku dziennym i nocnym, mimo iż po zmierzchu nikt o zdrowych zmysłach nie odważył się wyściubić nosa z domu, zaryglowanego na dziesięć spustów. Od tego czasu sporo się zmieniło na lepsze. Po części dzięki uczciwemu i sprawiedliwemu hutmanowi Trojanowi, lecz i Garbus miał w tym swój udział. Jego następcą mógł się okazać znacznie gorszy.

- Odprowadź naszego gościa. Tamtędy. - Wskazał boczne wyjście. - Weź światło ze stołu. Bywaj, Kacper.

- Do następnego razu. Odezwę się, jak będę coś wiedział.

Zanurzyliśmy się w mroczny, wąski korytarz, który zaprowadził

nas do sporego pustego sklepu, skąd odchodziły cztery następne odnogi.

- Dokąd jaśnie pan sobie winszuje? - Tym razem głos Mordy brzmiał uniesienie, wręcz służalczo.

- Pod kościół Świętej Barbary, jeśli można.

- Wedle rozkazu.

Kluczyliśmy tyle razy, że samopas z pewnością byłbym się zgubił, lecz mój przewodnik nie pobłądził ani razu. Kiedy przebyliśmy koryto ścieku biegnącego pod rynkiem i chodnik zaczął się wznosić, pojąłem że zbliżamy się ku powierzchni. A gdy zapachniało trupiarnią - że wyjdziemy przez cmentarz. I tak się stało. Dotarliśmy do małego pomieszczenia, zastawionego trumnami czekających na pochówek i rozjaśnionego przez okrągły świetlik. Morda wytrychem otworzył żelazne drzwi, wypuścił mnie, a potem zawarł je na powrót. Zobaczyłem, że była to największa z kostnic na cmentarzu Mariackim, dobudowana do boku

kościół Świętej Barbary. Dziura już opuścił stanowisko, zastąpiony przez innego obszar- pańca, księdza Skargi też nie zastałem. Poszedł na Wawel i miał wrócić przed zmierzchem. Musiałem się spieszyć, żebyśmy się nie minęli po drodze. Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. Byłem tak potwornie zmęczony i obolały, że posuwałem się naprzód tylko siłą woli i gdybym ścigał się z zółwem, postawiłbym na niego wszystkie pieniądze. Zachodziłem w głowę, nie jakim cudem w swoim

265

stanie zdołałem skakać po beczkach jak Świercz, bo nie ma lepszej podniety od perspektywy nagłej i okrutnej śmierci, lecz dlaczego przy takim wysiłku nie zabił mnie tkwiący wewnątrz kęsek żelaza. Może nie było ze mną tak źle? Ta myśl dodała mi ducha, lecz nie sił.

Spotkaliśmy się na podjeździe do zamku.

- Dobrze, że cię widzę, synu.
- Wzajemnie.
- Wracam od króla.
- Domyśliłem się. Jak było?
- Ciężko. Król nie na żarty obraził się na Gustawa, że zwlekał tak długo z ujawnieniem się i na mnie, z kim go ukrywał i milczał. Obu nas uratowała królowa Anna, niech dobry Jezus wybaczy jej kacerstwo. Przypomniała najjaśniejszemu panu stanowisko jego ojca w wiadomej sprawie i przyznała, że ona na miejscu Gustawa postąpiłaby dokładnie tak samo. Dopiero wówczas król dał się udobruchać i nakazał nam stawić się przed jego obliczem jak najrychlej, choćby jutro.
- Pojutrze. Przyjdę po Gustawa w południe. Zrobimy tak...

Przez chwilę ustalaliśmy szczegóły, po czym każdy ruszył

w swoją stronę. Janka powitała mnie z ulgą. Nie wspominałem o układzie z Królem Żebraków, nie chciałem jej martwić. Wystarczająco zdenerwował ją mój plan doprowadzenia Gustawa na Wawel, acz w końcu dała się przekonać, że nic nam nie groziło, co nie było takie pewne. Lecz wołałem nie przeciągać struny, zwłaszcza że z zapalem zajęła się przygotowaniami, kiedy ją o to poprosiłem. Kacperek czuł się dobrze i nie mógł już wytrzymać w łóżku. Musiałem mu obiecać, że kiedy zrobi się cieplej, wybierzemy się nad rzekę i nauczę go pływać.

Rano obudziłem się obolały, jednak przed Janką udawałem, że nic mi nie dolega, aby znów puściła mnie do miasta. A miałem do załatwienia kilka ważnych spraw i dokładnie obmyślałem forsowną trasę. Zjadłem obfite śniadanie, bo czekał mnie pracowity dzień, i wyszedłem. Nareszcie dobrze przespana noc, kiedy nie martwiłem się ani o juniora, ani o to, co być może mnie zabijało, dodała mi energii. Ładna pogoda też zrobiła swoje, a nawet nowa laska okazała

się lepiej dopasowana od starej. Dlatego szybko zapomniałem o wczorajszym zmęczeniu, obolałych mięśniach i potłuczonych kościach.

266

V

Szwagra Michała, mieszkającego na Grodzkiej obok cekhauzu królewskiego, zastałem w warsztacie na zadzi domu.

- Już na chodzie? - ucieszył się. - Zaprosiłbym cię na traktament, ale Jadzia z dziećmi poszli na zakupy do Rynku, a ja mam pilny obstalunek. Nie wiem, czy wyrobię się na termin. Wystąpiłem nawet do cechu o pozwolenie na zatrudnienie trzeciego ucznia.

Pracował nad piękną strzelbą myśliwską, obok zaś uwijali się czeladnik i dwóch uczniów.

- Nie szkodzi. Grunt, że na brak roboty nie narzekasz.

- Chwalić Boga, nie. Co cię przywiodło?

- Potrzeba. Straciłem pistolety, które miałem od ciebie.

- A co, wybierasz się na wojnę? Z tym? - Wskazał na moją laskę. - A może wplątałeś się w jakąś awanturę? Znow bawisz się w inwestygację?

- Nie, ale przywykłem do broni i bez niej czuję się nagi.

- Co powiesz na to? To wspólna robota, moja i Jędrka.

Za jego plecami, na ścianie, wisiały pistolet kołowy z zupełnie prostą rękojeścią i doczepionym czekanem oraz rapier kombinowany z pistoletem.

- Niezłe zabawki, ale nie dla mnie. Wolę coś mniejszego.

- Z zamkiem kołowym czy skałkowym?

- Skałkowym. Kołowe są zbyt zawodne. Jeszcze tego brakuje, żebym zgubił klucz do zamka albo piryt mi się wykruszył w najmniej odpowiednim momencie.

Zaprowadził mnie do małego składu i pokazał całą kolekcję przeróżnych pistoletów. Wziął jeden za lufę i mi podał.

- Ten powinien ci odpowiadać. Solidna robota, zamek niderlandzki.

Broń była dość krótka, dobrze leżała w dłoni, z ładną rękojeścią w kształcie rybiego ogona. Zajrzałem pod światło do lekko rozszerzonej na końcu lufy.

- Zgrabny. Ale przy tak krótkiej lufie, do tego niegwintowanej, kula nie doniesie daleko.

Sięgnął do skrzynki, i wy dostał z niej coś owiniętego w zamsz. Odwinął go i położył przede mną istne cacko.

- Voila! jak powiadają Francuzi. Podobny do twojego poprzedniego francuza, z udoskonalonym przeze mnie zamkiem, który Niemcy zowią Steinschloss, a Angielczycy flintwck. Lufa krótka,

267

ale nagwintowana, rękojeść też krótsza, bo bez wydatnej główicy. Lekki, zgrabny, pod kaftanem prawie niewidoczny. O to ci chodziło?

Porwałem broń, przyłożyłem do oka, napiąłem kurek i pociągnąłem za cyngiel. Zwolniony kurek stuknął o iglicę.

- Idealny. Biorę.

- Jest twój. Nie. - Chwycił mnie za rękę, którą sięgałem do sakiewki. - Zrobiłem go specjalnie dla ciebie. To podarek. Ani słowa! -dodał, widząc, że chcę zaprotestować. - Bierz, pókim dobry, bo się pogniewam.

Nie certując się dłużej, uściskałem go, po czym nabiłem pistolet i wsunąłem za pas. Od razu poczułem się pewniej.

- Nie będę ci dłużej zawracał głowy. Ucałuj ode mnie Hedwiżkę i dzieciaki.

Odprowadził mnie do wyjścia.

- Byłem wczoraj na pogrzebie - zagaił po drodze.

- Kto umarł? Znam go?

- Nie. Nikt ważny. Kolega po fachu. Stary rusznikarz ze Stra-domia. Moczymorda. Ale nie umarł zwyczajnie. Zamordowano go.

Milczałem, czując, że coś go gnębi i musi to z siebie wyrzucić.

- To moja wina! - zawołał, przystanął i pochwycił mnie za ramiona. - Posłuchaj! Ten morderz do podnajęcia, o którym kiedyś opowiadałeś, bielak o czerwonych ślepiach, odziany na czarno, jak się zwie?

- Kettler.

- Właśnie. Tak mi się zdawało. Przyszedł do mnie jakieś dwie niedziele temu.

- Po co?

- Po protezę ręki. Lewej. Dowiedział się na mieście, że się tym kiedyś zajmowałem.

Dawno temu, gdy jego warsztat kulał, podrzuciłem Michałowi ryciny z dzieła francuskiego genialnego chirurga Parégo Dix livres de la Chirurgie z licznymi przykładami najróżniejszych protez i aparatów ortopedycznych, sztucznych ramion, nóg i rąk, które mogły nawet utrzymać

pióro, wyrabianych z drewna (dla biedaków) i metalu (dla bogaczy) przez paryskiego ślusarza i zegarmistrza, którego nazywał „małym Lotaryńczykiem”. Nie mniej od tamtego zdolny Michał szybko nauczył się nowych umiejętności i zdobył sobie pewien rozgłos, który pozwolił mu stanąć na nogi.

268

- Ale już się nie zajmujesz?

- Nie, odkąd mam tyle obstalunków na broń, że ledwo się wyrabiam. Protazy Kwak, ten zabity rusznikarz, rozpił się po śmierci żony i miał coraz mniej zamówień. Żał mi go było, więc czasem podrzucałem mu lufy do nagwintowania i inne drobne prace, a wreszcie podarowałem skopiowane twoje ryciny i odsyłałem do niego klientów potrzebujących protez. Tego Kettlera też odesłałem, choć oferował naprawdę godziwą nagrodę. Jednak w zamian żądał roboty ekstraordinaryjnej...

- Jakiej?

- Nie chciałem wiedzieć. Wyznam szczerze: przestraszył mnie. Dlatego odesłałem go do Prota. A teraz męczą mnie wyrzuty sumienia.

Otarł pot z czoła.

- Niepotrzebnie. - Klepnąłem go w plecy. - Nie mogłeś przewidzieć, jak to się skończy. Notabene, jak zginął ten Kwak?

- Miał poderżnięte gardło. A w piersi pięć dziur, każda o ćwierć cala od drugiej, równo jak pod sznurek. Trupa znaleziono dopiero po trzech dniach. Ponoć widok był makabryczny. Wszędzie pełno krwi. Brrr...

Poklepałem go po ręce.

- Nie myśl o tym.

- Łacno ci rzec... Nie jestem taki jak ty. Boję się, Kacper.

- Czego?

- Że będę następny. Tobie mogę to wyznać, Jadzia o niczym nie wie. Dlatego wciąż pyta, czemu wpiersz nie umiem zasnąć, a potem krzyczę przez sen.

- Uspokój się. Gdyby Kettler miał cię zabić, już byś nie żył. Nie poznałeś jego sekretu, więc nic ci nie grozi.

Chyba go przekonałem, bo wyraźnie mu ulżyło. Idąc w kierunku Rynku, miałem o czym myśleć. W przeciwieństwie do szwagra domyślałem się, na czym polegała ekstraordinaryjna robota, którą Kettler zlecił Kwakowi, i dlaczego rusznikarz musiał umrzeć. Zgadzało się to z tym, czego dowiedziałem się od Garbusa. Niegojąca się stara rana. Czarne palce. Kettler omal mnie nie zabił, ale i ja dogodziłem mu niezgorzej. Przywiązany do elastycznej leszczynowej

gałęzi nóż chirurgiczny, którego nie zdążyłem umyć, zrobił swoje. Jak powiadał nieodżałowanej pamięci

269

f

pater Roch - hygieny arnica valetudinis¹. Trochę to potrwało, lecz w końcu w ranę wdała się gangrena. Dlatego Kettler wyglądał jak żywy trup. Za długo zwlekał z wizytą u lekarza i zostało mu tylko jedno - amputacja, której dokonał imć Jędrzejkiewicz. Ale Kettler nie byłby sobą, gdyby pogodził się z kalectwem. Dlatego z ułomności uczynił dodatkowy atut, a nieszczęsny rusznikarz był martwy już w chwili, gdy przyjął niezwykle obstalunek. Oźralec z pewnością zbyt długo nie zachowałby tajemnicy, zwłaszcza kiedy już skasował należność, ale nawet gdyby był wzorem trzeźwości i można by było polegać na jego słowie jak na Zawiszy, Kettler i tak by nie zaryzykował. Jeżeli bielak doszedł już do siebie na tyle, żeby osobiście nadzorować obserwację Gustawa, zadanie, które czekało mnie jutro i zapowiadało się dość prosto, teraz niosło ze sobą ogromne ryzyko. Aż się wzdrygnąłem. Dobry nastrój przysł bezpowrotnie.

W marnym humorze dotarłem do Collegium Maius. Znajomy bedel przy wrotach wykrzyknął zdumiony:

- Wszelki duch Pana Boga chwali, doktor TUropeński! To wasza miłość żyjesz?

Tłumaczenie się z nieprzyzwoitej żywotności doprawdy stawało się nudne.

- Nie, ale święty Piotr na chwilę wypuścił mnie za niebieską bramę. Gdzie znajdę profesora Marencjusza?

- O tej porze siedzi pewnie w bibliotece.

- Wyśmienicie się składa.

Marencjusza zastałem w toku ożywionej rozmowy prowadzonej z rektorem Glicjuszem oraz dziekanem wydziału medycznego i rajcą miejskim zarazem Picusem Zawadzkiem. Nie było niczym dziwnym, że trafiłem na spór między nimi, ponieważ reprezentowali dwa odmienne stanowiska. Glicjusz optował za utrzymaniem status quo na uczelni, Pik natomiast był za zmianami, które pozwoliłyby akademii skutecznie rywalizować z nowoczesnymi szkołami jezuickimi. Łączyło ich jedno: niechęć do jezuitów. Przełamawszy opór eksrektora Górskiego, autora niedawnej reformy uniwersytetu, sympatyzującego z Towarzystwem Jezusowym, zdołali zablokować projekt utworzenia w Krakowie kolegium jezuickiego i dlatego przy

1 Hygieny arnica valetudinis (lac.) - higiena przyjaciółką zdrowia.

270

kościelie Świętej Barbary budowano jedynie dom dla profesorów, bez sal wykładowych.

Moje przybycie nie wzbudziło sensacji, co było miłą odmianą po ostatnich doświadczeniach.

- O, Kacper. Miło cię widzieć - rzekł tylko Picus, po czym wrócił do przerwane go wątku, włączając mnie do dyskursu: - Słyszałeś? Mało jezuitom Świętej Barbary, którą zajęli prawem kaduka, już zagarnęli Świętego Szczepana i właśnie przystąpili do budowania przy nim nowicjatu! I co z tym zrobimy?

Rektor, do którego było skierowane pytanie, wzruszył ramionami.

- A co możemy zrobić?

- Protestować!

- U kogo?

- A choćby u króla! Toć odwiedził uniwersytet 20 marca i obiecał wsparcie. Kiedy przybędzie 20 maja, jak zapowiedział, żeby wpisać się do metryki dostojnych gości, trzeba mu o tym przypomnieć.

- To na nic. Najjaśniejszego pana już obzywają królem jezuitów, a ksiądz Skarga rej u niego wodzi.

- Przeklęty klecha! Do tej jego kongregacji mariańskiej należy bez mała połowa scholarów!

- Mitygujcie się, mistrzu. W pobożności nie widzę niczego złego.

- Tak? A z czyjej winy w zeszłym roku szlachta innowiercza omal nie spaliła uniwersytetu po tym, jak owi pobożni żacy w maju po raz wtóry zruderowali Bróg? - Zawadzki za młodu był kacperem i pewnie dlatego oburzało go to, że większość profesorów mniej lub bardziej otwarcie popierała dzikie ekscesy studentów w stosunku do Żydów i heretyków. - Bezkarność wobec sprawców i wasza, magnificencjo, niewczesna pobłażliwość, sprawiły, że, jak słyszałem, lato żacy znów się zmawiają, tym razem do napaści na zbór ariański przy Szpitalnej!

Glicjusz spokojnie pozwolił wyzołdkować się medykowi, po czym odparł:

- Odbieглиśmy od meritum, doktorze. Nasz główny problem to nie awanturnictwo studentów, którego bynajmniej nie pochwalam, ale zakusy Towarzystwa Jezusowego na swobody i przywileje naszej akademii. Musimy jednak postępować rozważnie, aby księdzu

271

kanclerzowi Myszkowskiemu nie napytać wrogów w osobach nuncjusza i prymasa Karnkowskiego.

- Poprośmy o wsparcie naszego dobrodzieja, kanclerza Zamojskiego - włączył się Marencjusz. - Kiedy przybędzie do Krakowa na pogrzeb króla Stefana.

- Co o tym sądzisz? - zwrócił się do mnie Pik. - Ty najlepiej znasz hetmana.
- Spróbować nie zawadzi - odparłem ostrożnie, pamiętając o zaawansowanych planach Zamojskiego powołania akademii w ukochanym Zamościu, co z pewnością nie uraduje tu obecnych, kiedy się o tym dowiedzą. Na pewno jednak nie ode mnie, nie zamierzałem podgrzewać atmosfery, i bez tego gorącej.

Ale Zawadzki już myślał o czymś innym.

- A co z projektem scholae privatae¹ - I znowu zwrócił się do mnie: - Idzie o osobne pedagogia akademickie alias szkoły przygotowawcze, wzorem drugich uniwersytetów. Jak wiesz, jest wielu studentów prywatnych, szlacheckiej proveniencji, którzy albo nie chcą się poświęcać systematycznym studiom uniwersyteckim, bądź nie mają do nich należytego przygotowania. Trzeba ich zagospodarować, zanim uczynią to jezuiti.

- Zaczekajmy z tym jeszcze - rzekł Glicjusz. - Wystarczy, żeśmy wprowadzili do nauczania łaciny podręcznik tego portugalskiego jezuita Alvaresa...

- Nie ma co czekać! Trzeba iść z postępem!

- Póki ja tu rządzę, powiadam: veto\ Jeśli zaś na świętych Wojciecha i Jerzego, czyli lada dzień, zostanie obrani na rektora naszej prześwietnej akademii, doktorze, czego z serca wam życzę, wtenczas uczynicie, co zechcecie.

- Tak zrobię, jak mi Bóg miły! Żegnam! - Gniewnie wcisnął czapkę na głowę, skinął mi niedbale na pożegnanie i wyszedł zamaszystym krokiem.

¹ Zawadzki dopiął swego i podczas zaledwie półrocznego rektorowania w ekspresowym tempie, już 1 czerwca 1588 r., powołał pierwszą w Krakowie trzyletnią szkołę średnią z nowoczesnym programem, do której natychmiast wpisało się 530 uczniów. Pierwotnie mieściła się ona w Bursie Jerozolimskiej, potem Nowej. Na początku XVII w. znaczną kwotą wsparł szkołę dzielny wojak Bartłomiej Nowodworski, przez co zyskała jego imię i nową siedzibę (dziś ul. Świętej Anny 12). W XIX w. szkoła nosiła miano gimnazjum św. Anny, a następnie liceum im. B. Nowodworskiego. Obecnie jego tradycję kontynuuje I LO im. Nowodworskiego przy placu Na Groblach 9.

272

- Dobry wykładowca, ale gorączka - westchnął Glicjusz. - A wy, doktorze, pewnie w kwestii skradzionej książki?

- Tak, wasza magnificencjo.

- Tedy zostawiam was z imię Marencjuszem, on zna sprawę lepiej ode mnie. Dzięki, żeście się zechcieli pofatygować.

Zostaliśmy sami z Marencjuszem.

- Zupełnie jak przed laty, nieprawdaż, doktorze? - powiedział, wyjmując mi to z ust. - To samo miejsce, taki sam problem.

Tylko my się zmieniliśmy. Piętnaście lat temu Marencjusz był postawnym mężem w sile wieku, dziś pochylonym starcem, jeszcze po prawdzie nie zgrzybiałym, ale ręce mu się trzęsły, co próbował ukryć, chowając je w rękawach. On także obserwował mnie z uwagą i wiedziałem, że myśli o tym samym. Bezlitosnym upływie czasu.

- Nadal zajmujecie się inwestygacją?

- Już nie, ale postanowiłem wejrzeć w tę sprawę z afektu dla naszej Almae Mater. Czy zginęło coś oprócz Epistolae alchemicae doktora Skarbimira?

- Nie.

Poszliśmy do kąta, gdzie była wydzielona partia librarii, bi-bliotheca secretior. Marencjusz uporał się ze skomplikowanymi zabezpieczeniami i weszliśmy do wnętrza małej komory utworzonej z dwóch regałów pod kątem prostym dostawionych do ścian. Nic się tu nie zmieniło od czasu, gdy badałem sprawę dziwnego zgonu doktora Janeczki1. Nieupubliczniony księgozbiór mieścił się w dwóch skrzyniach, małej i wielkiej.

- Epistolae alchemicae była w tej. - Klepnął wieko dużej skrzyni i zaczął szukać klucza do imponującej kłódki z sekretnym zamkiem, w której natychmiast poznałem robotę znakomitych ślusarzy ze Świątnik Górnych.

- Nie trzeba. - Powstrzymałem go. - Kto jest teraz librariuszem?

- Ja. Wciąż nie jest to najlepiej opłacana posada, doktorze, dlatego trudno znaleźć chętnych do jej objęcia.

- Ale macie pomocników?

- Owszem, spośród magistrów, a czasem nawet bakałarzy z Kolegium Mniejszego. Ale oni nie mają przystępu do sekretnej biblioteki.

- Kto odkrył kradzież?

1 Szczegóły w Kacper Ryx i król przeklęty.

273

m

- Ja. Dokonując corocznego rutynowego przeglądu. Od razu spostrzegłem, że księgi w skrzyniach są poukładane w innym porządku, niż były wprzód. Gdym je spisał i porównał z rejestrem, zauważyłem stratę.

- I nic więcej nie zginęło? A Liber magnus, rzekome dzieło mistrza I\vardowskiego?

Spojrzał na mnie spod oka.

- Dlaczego: rzekome?
- Bo ja wiem najlepiej, że Twardowski napisał inne dzieło, Opus magicum, które podarował świętej pamięci królowi Augustowi.
- Nie mówiliście tego wprzód, doktorze.
- Wy mieliście wówczas swoje sekrety, doktorze, i ja swoje. Jesteście pewni, że Liber magnus nie opuściła bibliothecae secretioris!

Uśmiechnął się z wyższością.

- Kiedyście ją odzyskali, razem z rektorem Glicjuszem znaleźliśmy dla niej kryjówkę, której sam diabeł nie wysłodzi. Po zniknięciu Listów alchemicznych sprawdziłem ów schowek i ręczę wam, że jest nienaruszony.
- Jesteście pewni? Czy któraś ze skrzyń ma podwójne dno?
- Nie. Powiadam wam, że księga jest tak dobrze ukryta, że nawet wy byście jej nie znaleźli.

Wziąłem od niego latarkę i oświetliłem pomieszczenie. Za wielu możliwości ukrycia tu czegokolwiek nie spostrzegłem.

- Zatem schowek znajduje się pod większą ze skrzyń, którą ciężko przesunąć. Pewnie pod kamieniem pawimentu, który wyjęliście, po czym osadziliście z powrotem. Zgadłem?

Jego osłupiała mina sprawiła mi drobną satysfakcję. Przeżegnał się.

- A niech was... Chwała Bogu, że fur nie miał waszego rozumu, doktorze.
- Ale na wszelki wypadek radzę wam zabrudzić spoiny, które pewnie odróżniają się od drugich. Bo o tym, mniemam, nie pomyśleliście?
- Nie - westchnął ciężko. - Nadrobimy to niezwłocznie. Wyjaśnijcie mi jednak, dlaczego sądzicie, iż to Liber magnus szukał złodziej?

274

- Bowiem z biblioteki akademii w Wilnie niedawno zginęło prawdziwe dzieło Twardowskiego Opus magicum. Ergo idę o zakład, że obie kradzieże są dziełem jednego fura. Którego bardzo zajmują sprawy czarnoksiężskie. Nie znalazłszy księgi Twardowskiego, zadowolił się dziełem Skarbimira. Podajcie mi wykaz waszych surogatów w ciągu minionego roku.

Teraz on uśmiechnął się z satysfakcją.

- Przewidziałem to - sięgnął w zanadrze togi i wydobyl złożoną kartkę. - Oto on.

Rozłożyłem papier i przebiegłem listę wzrokiem.

- Co możecie mi powiedzieć o tym człeku? - stuknąłem palcem w jedno nazwisko.

- Mathias Araneus? - uniósł brwi. - To nasz były scholar. Chyba nawet nie zrobił bakalaureatu. Nie było go stać na naukę. Potem też nie wiodło mu się najlepiej. Zgłosił się do mnie tuż przed rozpoczęciem roku akademickiego i poprosił o zatrudnienie w bibliotece. Powiadał, że kocha książki i zadowoli się najmniejszą zapłatą. Uwierzyłem mu, bo już raz, podczas studiów, pomagał w bibliotece. Zrobiło mi się żal nieboraka i zgodziłem go. Ale odszedł po dwóch miesiącach. Widać znalazł lepszą robotę.

- Macie swojego fura. Nie przybył tu za pracą, tylko po księgę. Nie znalazłszy jej, ukradł, co się nadarzyło, i udał się na dalsze poszukiwania.

- Jesteście pewni?

- Całkowicie. Jeśli go wypadkiem znajdę i odzyskam księgę, wtedy się do was zgłoszę.

- Będziemy zobowiązani. Dank za fatygę, doktorze.

Zamyślony szedłem do rynku. Jedno się wyjaśniło. Wiedziałem

także, kto porwał mi dziecko i tyle strachu napędził Jance. Na myśl o tym ogarnęła mnie zimna furia. Jak on mógł?! Nigdy bym się tego po nim nie spodziewał. Cóż, był to kolejny dowód na to, że ludzie się zmieniają, i to najczęściej na gorsze.

Hutman Trojan był w swoim mieszkaniu na piętrze ratusza. Siedział przy stole i pociągał gorzałkę z glinianego bukłaka. Lico miał ziemiste, oczy podkrążone, niechlujny szczeciniasty zarost i przygaszone spojrzenie. Cuchnął okropnie, na odzieży widniały plamy. Nigdy go w tak marnej kondycji nie widziałem. Przemknęło mi

275

przez myśl, jak niewiele brakowało, bym i ja doszedł do takiego stanu, i aż się wzdrygnąłem.

- Siadaj. - Wskazał mi kulawy stołek naprzeciwko. - Napijesz się? Gdzieś tu powinien być jakiś w miarę czysty kubek...

- Nie będę pił. Czeka mnie dziś jeszcze sporo mozołu. Co się dzieje, hutmanie?

- W tym sęk... Żeby to wiedział... - Pociągnął solidny łyk. - Naprawdę się nie napijesz?

Machnąłem przecząco.

- Czegoś tu nie rozumiem. Ponoć jeszcze nigdy dotąd nie chwytałeś tyłu złoczyńców co ostatnio. Czym więc się trąpicie?

Westchnął.

- To prawda. Idzie nam jak po maśle. Nawet teraz Szarski pobiegł zaarrestować jakiegoś łotra... I to właśnie nie daje mi spokoju.

- Dlaczego?

Czknął.

- Słyszałeś o Królu Żebraków, który jakoby trzęsie tutejszym przestępczym światkiem?

- Baśnie.

- Też tak myślałem. Ale twój druh Szarski uważa inaczej. Nie chce wyjawiać, skąd ma tę i drugie informacje, lecz trzeba przyznać, że uderza celnie. Każdy pochwycony okazuje się niegorszym łotrem, i to tak zatwardziały, że nawet na najgorszych torturach nie wydaje swego naczelnika. Lękają się go bardziej niż nas, tedy może to nie baśnie...

- Tak czy owak oczyszczacie miasto z szumowin, więc czym się tu trapić?

Podnosił bukłak do ust, lecz rozmyślił się w połowie drogi i odstawił naczynie.

- Coś mi tu śmierdzi, Kacper. A wiesz, że mam do takich spraw nosa. - Dotknął wymienionego organu, wiśniowego z przepicia. - Szarski zachowuje się dziwnie, rada rozważa wyrzucenie mnie z roboty, do której jestem już ponoć za stary - gdyby nie kilku dobrych przyjaciół, którzy mi jeszcze zostali, dawno by to zrobiono - w mieście dzieje się coś osobliwego... Wyczuwam jakiś podskórny ferment... Powiadam ci, coś się szykuje. Coś strasznego. A ja błędzę jak dziecię we mgle... I dlatego piję jak smok. Jak mają mnie wywalić, przynajmniej niech mają dobry powód. Kiedy

276

będziesz potrzebował kompana do flaszki, wiesz, gdzie mnie na razie szukać...

Kiedy wychodziłem, opróżniał bukłak do dna. Na dole, przed Izbą Pańską, kilku pacholków miejskich spuszczało do ciemnicy jakiegoś obdartusa. Matys Szarski stał z boku i ssał wierzch dłoni.

- Dziabnął mnie nożem, łotr - rzekł na mój widok.

- Daj, obejrzę ranę.

- Nie trzeba. To tylko draśnięcie. Do jutra się zagoi. Byłeś u TYo-jana? Znów pije?

Zrobiłem nieokreślony gest.

- Martwi się.

- To moje sukcesy go trapią. Czuje się stary i niepotrzebny. Jeśli dalej będzie tak chłał, w końcu się doigra. Nie będę go krył w nieskończoność.

Chociaż powiedział to szeptem, by nie usłyszał ktoś postronny, w jego głosie pobrzmiwały twarde nuty, które jeszcze niedawno się nie pojawiały. Bez wątpienia Szarski dojrzał do wyższego urzędu i jego lojalność wobec Trojanana szybko się wyczerpywała. Patrząc na to, co podziśla się ze starym, trudno było mieć do Matysa pretensje.

- Słyszałem, że zrobiłeś się bardzo skuteczny.
- Ktoś musi.
- I że masz dobrego informatora. To jakiś szkolnik?

Rzucił mi ostre spojrzenie.

- O tym też ci powiedział? Owszem, to prawda, ale dałem słowo, że nie zdradzę informatora. Dlatego nie powiedziałem nic Trojanowi i ty też niczego ode mnie nie wyciągniesz. A teraz daruj, mam robotę.

Pożegnany tak obcesowo, odwróciłem się na pięcie i ruszyłem w dalszą drogę. Szczerze rzekłszy, miałem dość i najchętniej wróciłbym już do domu, ale nie mogłem. Na szczęście nie był to dzień targowy, więc przecinając Rynek, nie musiałem się przeciskać przez zbity tłum. Żyd Izaak, złotnik, też akurat nie miał żadnego klienta w swoim kramie. Pogrążony w przyciszonej rozmowie z innym Żydem, nobliwym starcem o rozumnym obliczu i patriarchalnej brodzie, zauważył mnie dopiero wówczas, gdy postukałem w ladę. Spojrzał na mnie, oczy mu zolbrzymiały i opadła szczęka. Zamachał rękami, aż zafurkotały szerokie połę jego kapoty.

277

- Zgiń, przepadnij, maro nieczysta!

Już się obawiałem, że ze strachu zapomni się do tego stopnia, by uczynić znak krzyża, lecz na szczęście do takiej publicznej kompromitacji nie doszło.

- Szalom, cny Izaaku. Miło cię widzieć w dobrym zdrowiu. - Odkąd go pamiętałem z czasów, gdy jako otrok płatałem mu małpie figle, Izaak zawsze wyglądał jednako staro, a przy tym czerstwo i była w tym jakaś krzepiąca stałość, zwłaszcza po tym, co dziś widziałem.

- Musisz mnie straszyć nawet po śmierci, nnieznośny chłopcze? -poskarżył się zająkliwie.

- Po śmierci znajdę lepsze zajęcia. Będę grał sobie na harfie lub cytrze, uczył się używać skrzydeł i podziwiał ziemię z lotu ptaka. Na ciebie nawet nie spojrzę, ojcie wszelkiego szachrajstwa, ponieważ moje myśli będą ulatywały w górne rejony, a wyraźna woń czosnku, którą teraz wyczuwam, przeszkadzałyby mi w kontemplowaniu nieskończoności. Ergo korzystaj z okazji póki czas i napawaj się moim widokiem.

- A jednak żyjesz. - Pokiwał głową z żalem. - Poznają to po nieposkromionym i bezbożnym języku, na którym obys dostał pypcia.

- Wielkie dzięki. Też życzę ci wszystkiego najlepszego. A gdzie podziwia się twoja hoża córka, najszczęśliwszy z ojców? Chyba nie schowała się przede mną?
- Rebeka została w domu. Na dniach urodzi mi piątego wnuka -nadał się z dumy.
- Brawo! Moje gratulacje. Zuch białka. Uściskaj ją ode mnie.
- Obejdzie się bez twoich czułości - burknął ugodzony w słabi-znę. Jakimś szóstym zmysłem wyczuwał, bo przecież nigdy nas nie przyłapał na gorącym uczynku, że w młodości mieliśmy się z Rebeką ku sobie. - Mów nareszcie, co cię sam przywiodło, i pozbaw mnie swego utrapionego widoku.

Sięgnąłem za pazuchę i położyłem na blacie dwie monety. Izaak rozejrzał się niespokojnie, ale drugi Żyd już dawno dyskretnie usunął się do maleńkiego kantorka na zapleczu kramu, a kupujący nie kręcili się w pobliżu.

- Oto mój dar dla ciebie i twego piątego wnuka, który oby odziedziczył po tobie rozum, o najprzebieglszy z Izraelitów.

278

- A haczyk? - spytał Żyd na dowód, że moje pochwały nie były bezpodstawne, chciwie przykrywając mińce ręką.

- Musisz je dla mnie sprawdzić.

Cofnął dłoń jak oparzony.

- Podejrzewasz fałszerstwo? - rzucił szeptem, nagle poblady.

Potaknąłem.

- Oszalałeś? Chcesz mi zadzierzgnąć sznur na szyi?

- Nie obawiaj się. - Dorzuciłem mu złożoną kartkę. - TU masz pismo, w którym oświadczam czarno na białym, że powierzam ci te dwa dukaty do fachowego przebadania w ramach prowadzonej przeze mnie inwestygacji.

Sprawdził dokładnie tekst, podpis i pieczęć, i dopiero wówczas zgarnął monety, po czym, jedną po drugiej, zgryzł we wciąż jeszcze mocnych zębach.

- Hmm... Trudno wyrokować... Muszę je zabrać do warsztatu i poddać obróbce.
- Trudno. Jeżeli uszkodzisz mińce, wykorzystasz je do innych celów, o ile okażą się w istocie złote. Mnie chodzi jedynie o pewność.
- To potrwa.
- Nie ma pośpiechu.
- Zatem zgoda.

Okropnie nie chciało mi się dalej iść, ale tej ostatniej wizyty w żaden sposób nie mogłem odłożyć na później, więc jakoś dokużyta-łem na Mikołajską, gdzie dom z warsztatem miał mój mleczny brat Jędrzej. Mijając „Gospodę Hultajską”, wzdrygnąłem się i przyspieszyłem kroku. Za skarby świata nie zaglądnąłbym tam po raz drugi. Byłem za stary na takie wzruszenia. Za to u Margotki i Jędrka, który skończył na dziś robotę, nareszcie mogłem się posilić i odsapnąć. A potem wprawiłem ich w zdumienie swoją prośbą.

- Chcesz się jutro u nas przebrać?
- Nie inaczej. Nie mogę paradować w przebraniu przez całe miasto. I bez tego ledwo łażę.
- A po co w ogóle musisz się przebierać?
- Tego na razie nie mogę powiedzieć. Dowiedzie się w swoim czasie.
- Czy Janka wie, że znów zabawiasz się w in...inwestygatora? -Małgorzata spojrzała na mnie surowo.

279

- Wie. A z inwestygacją skończyłem na dobre. Spłacam jedynie dług przyjacielowi.
- Oj, Kacper, Kacper. Ty się w końcu doigrasz...

Odprowadzając mnie do wyjścia, Andrzej dał mi kuksańca i powiedział:

- Wstąp na chwilę do warsztatu. Coś ci pokażę.

Odemknął drzwi, zapalił światło i pociągnął mnie w głąb. Zdjął ze ściany jakieś żelazo i wręczył mi z tryumfalną miną.

- Co o tym sądzisz?

Obracałem w dłoniach osobliwą broń. Podobną do rapiera, ale

0 wiele krótszą, długości najwyżej dwóch stóp i lekką jak piórko. Głownia wąska i sztywna, przeznaczona tylko do klucia. Rękojeść z kulistą głowicą, niewysoki trzon, krótki jelec z ramionami wygiętymi ku głowni, dwa obłęki ustawione w płaszczyźnie przy ricassie, tworzące właściwie pierścienie na palec wskazujący i średni. Do tego pozioma dziurkowana tarczka ochronna w formie podwójnego owalu.

- To szpada. Nosi się ją na temblaku przez ramię. Najnowszy krzyk dworskiej mody. Wymyślili ją Włosi, zdążyła pojawić się we Francji, ale na razie nie cieszy się popularnością.
- Nie dziwię się - mruknąłem, machając nowomodnym dziwad-łem. - Wygląda w sam raz jak zabawka dla dziecka. Na wojnę się nie nadaje.

- Na wojnę nie. Ale na co dzień i od święta jak najbardziej. Lekka

1 poręczna, pasuje do każdego stroju. I w pojedynkach doskonale się sprawuje, bo jest szybsza tak od rapiera, jak i szabli. Pod warunkiem że umie się nią posługiwać, a ponoć to duża sztuka. Niestety - pomarkotniał - nie ma chyba jeszcze żadnego traktatu do nauki fechtów na szpady, ale jak go zdobędę, to może się skusisz? Będzie jak za dawnych czasów!

Oczy mu się zaświeciły na wspomnienie, gdyśmy razem studiowali szermiercze traktaty i uczyli się fechtów na szable i rapiery. Pokusa była duża, gdyż straciłem swój wierny rapier, który tak długo mi służył i na wojnie, i potem, gdy, stosownie odziany na włoską modłę w nobliwą czerń, jako lekarz wychodził po zmierzchu do chorych. Zostały mi jedynie ozdobne karabele i szabla batorówka, przypasywana w tych rzadkich przypadkach, gdy, ubierając polski strój szlachecki. Jednak zwalczyłem skomę.

280

ip

WiM

- Nie. - Pokręciłem głową i oddałem szpadę. - Jestem już za stary na naukę. Dzięki. Znajdź mi raczej solidny sztylet.

- Szkoda... - Westchnął.

Opuściłem gościnne domostwo z nowym sztyletem i dwoma płaskimi nożami, łatwymi do ukrycia i sposobnymi do rzucania, i dopiero wówczas poczułem, że czas rekonwalescencji minął i znów byłem sobą. Odpoczynek też zrobił swoje, do zmierzchu było jeszcze trochę czasu, dlatego postanowiłem odwiedzić Niziołka. Za niecały miesiąc, na pogrzeb króla Stefana, Zamojski zapowiedział swój przyjazd do Krakowa. Nie wypadało nadużywać jego gościny, dlatego musiałem się do tego czasu wyprowadzić z Rabsztyna. Na nowy dom nie było nas jeszcze stać, a zresztą wyszukanie odpowiedniego musiało trochę potrwać. Do tej pory chciałem ulokować się w gospodzie „U Balcera”. Tam czułem się najlepiej, poza tym tam zostawiłem cały nasz co cenniejszy dobytek, zwłaszcza księgi, za którymi tęskniłem.

- Przybywaj choćby jutro. - Niziołek z rozczuleniem objął mnie wielkim ramieniem, kiedy po jednym małym piwie nareszcie przebierałem się do domu. - I siedź, ile chcesz. Zawszy będziem ci radzi. Twoja izba jest zamknięta na cztery spusty, odkąd złożyłeś tam swoje statki.

Dobrze po zmierzchu, lekko powłócząc nogami, zmęczony, ale zadowolony, wracałem na Wawel, pogwizdując fałszywie, co dawno mi się nie zdarzyło. Co prawda fałszowałem zawsze, ale gwizdałem albo podśpiewywałem pod nosem tylko, kiedy miałem dobry humor. Znów żyłem! Quis scit, an adiciant hodiernae crastina summae di super?' Trzeba się cieszyć tym, co jest. Carpe diem!1 Chociaż bronilem się przed tym, nie mogłem się sam oszukiwać: investigo ergo sum!3

- A to niewdzięczny łotr! Po tym wszystkim, co dla niego zrobiłeś! - gorączkowała się Janka, gdy opowiedziałem jej o odkryciu dokonany w bibliotece uniwersyteckiej.

- Znajdę go - obiecałem - i dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi.

1 Quis scit, an adiciant hodiernae crastina summae di super (łac., Horacy) - kto wie, czy dorzucą niebawem czas jutrzejszy do dni przeżytych.

2 Carpe diem (łac.) - chwytaj dzień, ciesz się chwilą, korzystaj z życia.

3 Investigo ergo sum (łac.) - badam (tu: prowadzę dochodzenie), więc jestem.

281

- A wiesz, gdzie go szukać?

- Nie, ale mam pomysł, jak zwabić go do nas.

- Jaki?

- Powiem ci, gdy przyjdzie czas.

Wyprawiając mnie nazajutrz, miała zatroskaną minę.

- Wróć szczęśliwie.

- Nie trój się. To dla mnie bułka z masłem.

TY ochę się rozpogodziła.

- Swoją drogą, chciałabym to zobaczyć.

- Przecież widziałas podczas przymiarki.

- To nie to samo.

Z tobołkiem na plecach i sękatym kosturem w ręku dziarsko ruszyłem ku kościołowi Świętej Barbary. Na cmentarzu Mariackim wypatrywałem pilnie Kettlera, ale go nie dostrzegłem. Dobra nasza. To dodało mi otuchy. Przez boczną bramę cmentarną wydostałem się na Wendetę. TU również nie dostrzegłem niczego podejrzanego. Nikt nie chował się pomiędzy jatkami rzeźniczymi i kramami z używaną odzieżą (nie tylko - pokątnie można było tu tanio nabyć zupełnie nowe odzienie, które szyli żydowscy krawcy-partacze z Kaźmierza), nikt za mną nie poszedł, kiedy zdążyłem do Balcerów.

- Jejku! - Klasnęła w dłonie Margotka, gdy z jej pomocą wdziałem na siebie to, co przygotowała Janka, a ja przyniosłem ze sobą w tobołku.

Dzieci wpięrowo wyrzeszczyły oczy, a potem, zanosząc się ze śmiechu, jęły mnie szarpać za poły, po czym wybiegły za mną na podwórze. Tam dołączył do nich Jędrzej i jego robieńczy,

gapiąc się w zdumieniu, gdym mazał błotem twarz i odzienie. Po namyśle, z ciężkim westchnieniem, wziąłem w garść psie gówno i starannie wtarłem w kapotę, przy okazji z grubsza wycierając dłoń. Teraz nawet śmierdziałem należycie.

- I jak? - spytałem brata.
- Nie do wiary... - wystękał, kręcąc głową w podziwieniu. - Nigdy bym cię nie poznał.
- I o to chodzi.

Zakazałem dziatwie leżać za mną, po czym zarzuciłem na plecy toból i wróciłem na Wendetę. Tym razem wlokłem się noga za nogą, postępując, mamrocząc pod nosem pacierze i potrząsając miseczką, w której pobrzękiwały miedziaki.

282

- Wspomóżcie garbatego od urodzenia, dobrzy ludzie! Choć marny grosik na najnędnniejszą strawę... Niechaj Wszechmocny wynagrodzi twe miłosierdzie, dobra kobieto. Będę się za ciebie modlił... Ludzie, dobrzy ludzie, poratujcie nieszczęsnego!

Bawiłem się doskonale, zupełnie jak przed laty, gdy przebrany za Murzyna wtargnąłem do łaźni Cieczotki. Zanim doszedłem do zadzi kościoła Świętej Barbary (nie chciałem zachodzić od strony cmentarza, gdzie wszystkie dziady proszalne dobrze się znały, a obcy rzucał się w oczy jak Etiopczyk na śniegu), miałem prawie pełną miskę i dwie świeże bulki w kieszeni. Dobrze to świadczyło

o miłosierdziu krakowian, a przy okazji przekonałem się, że fach żebraczy należał do wcale opłacalnych. Było o co walczyć. Ten lub ci, którzy usiłowali wysadzić z siodła Króla Żebraków, umieli rachować.

Długo kołatałem do tylnej furty, nim otworzył mi ten sam ple-czysty pater co poprzednio.

- Czego? - burknął, marszcząc nos i z trudem maskując niegodną duchownego odrazę.
- Wsparcia, wielebny ojcze - wyjęczałem, równocześnie napierając na niego, aż uczynił krok wstecz, nie chcąc sobie powalać sutanny.
- My jałmużny żebrakom nie udzielamy - bronił się. - Idź do siedziby Bractwa Miłosierdzia, tam cię wspomogą, o ile jesteś uczciwym nieborakiem, a nie frantem, na którego mi patrzysz...

Byłem już za progiem, więc nogą zatrzasnąłem za sobą furkę

1 wyprostowałem się z ulgą, aż popuszczwały troki i sztuczny garb zjechał mi prawie do tyłka.

- Prowadź do księdza Skargi, ojcze - poleciłem swoim normalnym głosem. - Jesteśmy umówieni.

- Apage satanas- jęknął i przeżegnał się szybko, znów cofając się o krok i wystawiając przed siebie rozcapierzone dłonie obronnym gestem.
- Cóż to, nigdy cudu ozdrowienia nie widziałeś? - zadrwiłem.
- Przebóg! Imć Hiropoński! Ale... Ale...
- Ale którądy?
- Na górę.

1 Apage satanas! (lac.) - Przepadnij, szatanie!

283

Skarga i Desdichado czekali na mnie, a mimo to mój wygląd nimi wstrząsnął.

- Dalipan! - jęknął Gustaw. - I ja mam toto założyć?
- I to szybko - ponaglił go ksiądz. - Nie łaż kazać czekać królowi. To dla ciebie, ufam, że będzie pasować.

Pokazał mi rewerendę przewieszoną przez oparcie krzesła. Wprzód jednak musiałem obmyć twarz i ręce, a potem ubrać Gustawa w moje przebranie, zaś jego odzienie dorzucić do mojego w tobołku. Garb, uszyty przez Jankę z płótna i wypchany sianem, był zaopatrzony w specjalne pasy, które należało umiejętnie umocować na grzbiecie, aby się nie obsunął. Na to wyświechtana i połatana kapota z kapturem oraz rozczochrana peruka z konopi z doprawionymi wąsami i wielką zmierzwioną brodą.

- Bardzo pięknie - oceniłem. - Wykapany ksiązę incognito. Tylko przygnij się bardziej i bacz, by oczy mieć stale na wysokości nacięcia, które zrobiłem na kosturze. Musisz jeszcze uczernić dłonie i lico. Sam, ja nie zamierzam się już babrać.
- Czym?
- Błotem. Na kapocie zostało go całkiem sporo. Wystarczy je trochę nawilżyć.
- A to? Faj! Toż to ordynarne łajno!
- Nie ordynarne. Specjalnie wybrałem najświeższe i najmocniej woniejące. Książęta, nawet wydziedziczeni, mają swoje prawa.
- Jajca sobie robisz - powiedział z urazą.
- Wcale nie. A nawet jeśli, to żarty właśnie się skończyły. Pamiętaj, że to nie zabawa. Od tego, jak dobrze wczujesz się w rolę, zależy twoje bezpieczeństwo. I moje przy okazji. Więc nie marudź i postaraj się.

Sam przebrałem się szybko i sprawnie. Habit jezuicki prawie nie różnił się od rewerendy świeckiego księdza. Ten, który mi go użyczył, był nieco wyższy ode mnie, ale węższy w ramionach, ogólnie jednak sutanna leżała całkiem nieźle. Aż pożałowałem, że skromny ksiądz Skarga nie miał w izbie żadnego lustra.

- Weź jeszcze to. - Podał mi kapelusz z szerokim rondem. -Ja go prawie nie używam. Tylko nie zniszcz. Nie mam drugiego. I chodźmy już. Zrobiło się późno.

- Słusznie. Powtórzmy jeszcze raz: ksiądz wychodzi przez cmentarz i zachowuje się trochę dziwnie, żeby odwrócić uwagę ewentualnych

284

szpiegów. W tym czasie Gustaw opuszcza plebanię tylnym wyjściem i udając żebraka, niespiesznie kieruje się ku bramie Nowej. Chwilę potem ja wychodzę za nim. Wszystko jasne? Zatem w drogę!

Wszystko poszło według planu. Z jednym wyjątkiem. Właśnie opuszczałem Wendetę, kiedy wpadło na mnie jakichś dwóch szamocących się wyrostków. Jeden z nich strącił mi kapelusz.

- Darujcie, wielbny - wyjąkał, podniósł kapelusz z ziemi, otrzepał i wręczył mi z uszanowaniem. - Najmocniej przepraszam...

Byłbym mu uwierzył, gdyby nie ostre, świdrujące spojrzenie, którym obrzucił moją fizys i dobry słuch. Usłyszałem bowiem, jak powiedział cicho do drugiego:

- To nie on.

Cóż, niczego innego się nie spodziewałem. Nawet jeśli Kettler w istocie stracił już zainteresowanie Gustawem, chwilowo lub zupełnie, to Król Żebraków dostał opis Szweda, jakże bowiem inaczej jego ludzie mogliby go rozpoznać. I z pewnością był ciekaw, co za persona tak bardzo zajmowała Kettlera i mnie. A może nawet miał ochotę porwać Gustawa i potem wymienić za okrągłą sumę? Wcale by mnie to nie zdziwiło. Środki zapobiegawcze, które przedsięwziąłem, nie okazały się daremne.

Szedłem wolno za całkiem zgrabnie udającym dziada Gustawem, pilnie rozglądając się dookoła, ale Wałem Miejskim obeszliliśmy miasto i nikt nas nie śledził. Za bramą Grodzką spotkaliśmy się z księdzem Skargą i razem dotarliśmy na Wawel. W Rabsztynie czekali na nas Janka i mały Kacper.

- Tata? - wybąkał na mój widok i oczy zrobiły mu się okrągłe.

- A zatem dotarliście szczęśliwie. - Janka odetchnęła z ulgą, gdy jezuita przedstawił jej wygnańca. - Przebierajcie się czym prędzej. Dopiero co przybiegłam od królowy, król już opuścił prywatne apartamenty. Chyba szykuje się oficjalna prezentacja, bo na dworze wielkie poruszenie. Będzie nuncjusz, prymas, cudzoziemscy posłowie, senatorów nie rachując.

Imć Sycymiński, przechadzając się nerwowo tam i sam po dziedzińcu, podbiegł do nas, ledwie przekroczyliśmy bramę.

- Tędy, do Sali Poselskiej - powiedział i powiodł naszą trójkę, gdyż Janka pobięła powierzyć małego piastunce.

Bramy, dziedzińca, komnat i korytarzy zamkowych strzegła gwardia królewska, składająca się z Rusinów, Szwedów i Ślązaków.

285

Zwano ich drabantami, nosili się z niemiecka, mieli halabardy, ra-piery i puginały. Oprócz nich zauważyłem hajduków węgierskich, uzbrojonych w szable i czekany. Szwedów, z tych, których król przywiózł ze sobą, pozostało niewiele. Nie służyło im nasze powietrze.

Chorowali i marli, zarażali też ludzi w gospodach, w których stacjonowali. A ci, którzy od nich cokolwiek kupowali, ze starzyzny lub nowości, też chorowali. Resztę, której udało się przeżyć, król odesłał skutami przez Gdańsk do ojczyzny.

Zdyszana Janka dogoniła nas na stromych schodach. Przed drzwiami, strzeżonymi przez czterech drabantów, Gustaw zaparł się i za nic nie chciał wejść.

- Nie spodziewałem się takich honorów. Nie mam odpowiedniego stroju. I nie lubię takiej pompy. Jestem człowiek pospolity i takim chcę pozostać...

- Teraz już nie możesz się wycofać - rzekł Skarga, podjął go pod ramię i łagodnie pociągnął ku drzwiom, właśnie otwieranym przez odźwiernego.

Weszliśmy do wielkiej sali, ozdobionej pysznymi tkanymi obrazami na ścianach i stropem z rzeźbionymi głowami, spoglądającymi z góry na obecnych. Nie zapelniono jej nawet w połowie, mimo iż oprócz wymienionych przez Jankę, przybyły także wszystkie trzy dwory: króla, królowej starej i królowy szwedzkiej.

- Szlachetnie urodzony Gustaw Eriksson z domu Wazów, brat stryjeczny miłościwie nam panującego Zygmunta III, obranego króla Polski, prawowitego następcy tronu szwedzkiego i wielkiego księcia litewskiego - zaanonsował Gustawa mistrz ceremonii.

Co prawda odmówiono Gustawowi tytułu książęcego, którego zresztą został formalnie pozbawiony, ale za to uznano jego szlachetne pochodzenie, przez wielu także negowane, i podkreślono pokrewieństwo z królem, który dał jasny sygnał, że nie zamierza wypierać się stryjecznego brata. Moim zdaniem było to bardzo zręczne posunięcie. Wyczułem w tym palec i głowę księżniczki Anny. Oczy wszystkich obecnych natychmiast obróciły się na Gustawa i prowadzącego go jezuitę. Korzystając z okazji, natychmiast zemknęliśmy z Janką na bok. Ona dołączyła do fraucymeru królowy, ja wmieszałem się pomiędzy podrzędniejszych dworzan.

Król, w swoim ulubionym czarnym stroju z dużą kryzą pod brodą, siedział na tronie, po prawicy mając ciotkę, po lewicy siostrę. Krzesło

286

obok tej ostatniej zajmowała księżniczka Sygryda, zaś krzesło obok królowej Hanny stało próżne.

Nieszczęsny Gustaw, cały czerwony, pod naporem tylu spojrzeń zupełnie oklapł, nie wiedział, gdzie uciec z oczami, i bardziej był wleczony przez Skargę, niż sam szedł wzdłuż szpaleru ciekawskich, gapiących się na niego bezwstydnie i szeptem wymieniających komentarze. Dotarł zaledwie do połowy drogi i od podwyższenia dzielił go jeszcze spory dystans, kiedy król porzucił swą zwykłą powagę i z nagle ożywionym obliczem podniósł się z tronu.

- Bracie! - zawołał, a mnie i drugich pewnie też, najbardziej uderzył ludzki ton w jego głosie.

Prędkim krokiem, za nic mając swą monarszą godność, której zazwyczaj strzegł zazdrośnie i rad ją okazywał, z wyciągniętymi rękoma postąpił ku Gustawowi, zamknął go w serdecznym uścisku, po czym doprowadził ku starej królowej i usadził na wolnym miejscu. Wróciwszy na tron, potoczył wzrokiem po zgromadzeniu i oznajmił z naciskiem:

- Doszły nas słuchy, jakoby ojciec nasz, król szwedzki, miał dybać na życie tu obecnego brata naszego Gustawa. A i nas podejrzewano ponoć o nieżyczliwość dla jego osoby. Tylko ludzie podli mogli rozpowszechniać takowe oszczerstwa. Niniejszym kładziemy kres tym ohydnym pomówieniom i paszkwilusom. Niechaj wżdy i swoi, i postronni wiedzą, iż wielce radzi jesteśmy objawieniu się naszego drogiego brata, którego mieliśmy za zaginionego i oplakaliśmy gorzkimi łzami. Od tej pory pragniemy stale cieszyć się jego obecnością przy naszej osobie. Ktokolwiek zaś uczyniłby krzywdę naszemu bratu, to jakby nas pokrzywdził i obraził majestat Rzeczypospolitej. Będziemy go ścigać i nękać, i nie spoczniemy, dopóki nie pochwycimy i nie ukarzymy z całą surowością.

Dziwnym trafem, mówiąc to, przenosił groźny wzrok od swoich Szwedów do dwóch posłów rakuskich, którzy zaprzestali poszep-tywania, ale długo nie wytrzymali królewskiego spojrzenia i zajęli się kontemplacją mozaiki na pawimencie. Musiałem przyznać, że posunięcie było mistrzowskie. Oficjalna prezentacja i życzliwe przyjęcie ucinają dubia co do intencji, jakie król mógł żywić wobec stryjecznego brata, a deklaracja zapewniała Gustawowi bezpieczeństwo, przynajmniej na obszarze Rzeczypospolitej. Przesłanie było

287

jasne, także dla Gustawa: dopóki jesteś w pobliżu (i mam cię pod kontrolą), nic ci nie grozi.

- Przy okazji - ciągnął król - pragniemy wyrazić swoją wdzięczność księdzu Skardze oraz medykwowi dworskiemu i znanemu inwestygowi imię Turopońskiemu, że otoczyli brata naszego opieką i przywieśli przed nasze oblicze. Równocześnie powierzamy temu ostatniemu pieczę nad naszym bratem, jak długo zechce on przebywać w naszym królewskim mieście Krakowie.

No pięknie, a to się urządziłem! Na domiar musiałem wystąpić na środek, skłonić się unieżeń monarsze oraz zgromadzeniu i podziękować za zaszczyt, który mnie spotkał. Fortunnie Janka przygotowała mi najlepszy strój, więc nie musiałem świecić oczyma przed wystrojonym

towarzystwem jak biedny Gustaw, który był w swoim, zapewne jedynym, jakie miał, podróżnym odzieniu, a na nosie została mu niedokładnie starta smuzka brudu. Którą właśnie, troskliwym gestem, śnieżnobiałą chusteczką ścierała mu stara królowa.

Po części oficjalnej nastąpiła uczta. U starej królowej i na jej koszt, ponieważ król, wiedziałem to od Janki, wciąż nie miał pieniędzy ani na gwardzistów, ani na wojsko, ani na posłów, ani na dwór, ani na podejmowanie gości. Ba! Sam stołował się u ciotki. Dlatego i teraz podejmował tylko wybranych, pośród których znaleźliśmy się i my z Janką, posadowieni między Skargą a panną Sygrydą, oddzielającą nas od Gustawa. Królowa szwedzka ustąpiła swego miejsca przy królu Gustawowi i skromnie dosiadła się do jezuitę, z którym natychmiast pograżyli się w religijnej dyspucie. Król przez cały czas okazywał bratu wiele serdeczności, a na koniec raczył mi jeszcze raz przypomnieć, bym miał na niego baczenie.

Uczta nie była wystawna, lecz panował sztywny ceremoniał, chyba zgodny z etykietą na dworze cesarskim. Najpierw ksiądz Skarga pobłogosławił stół, po czym wniesiono wodę do splukiwania rąk i ręczniki, a potem potrawy po kolei, nie biesiadowaliśmy więc przy suto zastawionym stole, jak to drzewiej bywało. Każdą potrawę podawał naprzód kuchmistrz koronny krajczemu z ukłonami, potem krajczy stolnikowi, ten dopiero maczał kawałeczek chleba w potrawie, przykładając chleb ten do języka, na koniec rzucał go w stojący blisko duży srebrny kosz. I tak to szło, zanim dotarło do króla, a potem każdego z biesiadników (wedle

288

wrL

ważności) z osobna: krajczy kroił, stolnik próbował, podczaszy maczał usta w każdym kielichu, przy każdej czynności zginając się w głębokim ukłonie. Zdrowie królewskie wielmoże pili, stojąc, zaś pomniejsi goście - na klęczkach. Może i było to dystyngowane, acz nigdy nie wyklęczałem się aż tyle, nawet w kościele, a uczta ślimaczyła się niemożliwie i z trudem wysiedziałem (kiedy nie klęczałem, podlewając winem nogę od stołu) do końca. Kiedy nareszcie wracaliśmy z Janką do siebie, posłyszeliśmy rumor na schodach i obróciliśmy się wstecz. Przesadzając po dwa stopnie naraz, dopędził nas Gustaw.

- Zaczekajcie! - sapnął. - Nie zostawiajcie mnie samego! W twojej izbie, Kacper, widziałem wolne łóżko. Mogę je zająć? Choćby tymczasowo. Proszę...

Spojrzeliliśmy z Janką po sobie. Spodziewaliśmy się mieć tej nocy spokojną chwilkę tylko dla siebie.

- Król na pewno przydzielił ci godną kwaterę - próbowałem się wykręcić. - Przecież był dla ciebie dobry.

- To prawda. Nie spodziewałem się takiego przyjęcia.

- Myślisz, że jeno udawał życzliwość?

- Potrafię wyczuć takie rzeczy. Był szczery.

- Więc o co chodzi?
- Nie chcę tu mieszkać. Nie wytrzymam na dworze. Nie nadaję się do takiego życia.
- A siostra? Przecież tęskniłeś za nią, a ona za tobą. Nie widzieliście się tyle lat...

Zaczerwienił się.

- O to też chodzi. Miłujemy się nadal, ale... Nie uwierzysz, lecz zapomniałem szwedzkiego! Imaginujesz sobie? Ja, który posiadałem tyle obcych języków, nie znam ojczystego. Dukąłem jak żak w szkółce parafialnej, poznający dopiero łacinę, tylko gorzej. Ona tak samo po polsku. Tak mi się zrobiło wstyd, że zaraz uciekłem...
- To drobiazg bez znaczenia - pocieszyłem go. - Z czasem będziecie się dogadywać coraz snadniej.
- Wiem, lecz tymczasem... To co, przyjmiesz mnie?

Cóż było robić. Pożegnaliśmy się z Janką, która wróciła do Domu Królowej, i poszliśmy we dwóch do Rabsztyna. Wyjąłem flaszkę węgryna, który mieliśmy napocząć z Janką, i rozlałem do szklanic. Sobie ledwo na dno.

289

- Nunc est bibendum.

Przepiliśmy.

- Sprawiam ci kłopot.
- Żadnego - skłamałem.
- Już niedługo. Nigdzie nie zagrzewam miejsca. Nosi mnie po świecie. Ile dałbyś mi lat?
- Dwadzieścia?
- Mam dziewiętnaście, a zeszedłem już pół świata. Gdzie ja nie był i czego nie widział! Któregoś dnia może przebiorę się do Nowego Świata. - Rozmarzył się.
- A z czego żyjesz?
- Z tego i owego, jak się zdarzy. Zajmuje mnie astrologia i drugie nauki. Słyszałeś o Galileuszu?
- Nie.
- A o Koperniku i jego teorii heliocentrycznej?
- Owszem. Brzmi przekonująco.

Byłem kiedyś nawet na wykładzie, który Retyk, uczeń wielkiego Kopernika, wygłosił na sekretnym posiedzeniu nowinkarzy w ogrodzie za bramą Mikołajską. Na uniwersytecie nauka Kopernika była bowiem niemile widziana, acz na przykład jego admiratorem był doktor Walenty Fontanus, persona znacząca na akademii.

- No widzisz! Tak samo uważa włoski uczyony Galileo Galilei, już sławny, choć niewiele starszy ode mnie, i też jezuicki chowaniec. Kiedy miał ledwie siedemnaście lat, odkrył prawa rządzące ruchem wahadła, a niedługo potem zbudował wagę hydrostatyczną, imaginujesz sobie?! Teraz zaś usiłuje potwierdzić teorię Kopernika, skonstruował silnie powiększające szkła do obserwacji ciał niebieskich, pracuje nad przyrządem do badania drobin niewidocznych gołym okiem, kompasem przydatnym dla puszkarzy i jeometrów, termometrem, a nawet osobliwym instrumentem do długiego pisania bez ciągłego maczania w inkauscie. Niezwykły człek! Kęsek czasu byłem jego uczniem. Może kiedyś do niego wrócę, kto wie. O ile Święta Inkwizycja nie zakáže mu dalszych prac. Pokażę ci coś... - Sięgnął do swego tobołka, który, zdaje się, mieścił wszystkie jego doczesne statki, i wydobył jakiś długi przedmiot, starannie opakowany w miękką skórę. Gdy ją odwinął, ukazała się rura długa na półtora łokcia. - Masz, przyłóż ją do oka. Nie tym końcem, drugim.

290

f

Zrobiłem, jak radził, i omal nie wypuściłem rury z rąk, gdy Janka z portretu wiszącego na ścianie dobre trzy sążnie ode mnie, prawie wyskoczyła z ram i stanęła tuż obok.

- Do kroćset! Co to jest?!

- Galileusz nazwał ten przyrząd z grecka teleskopem, daleko widzącym. Nie chwając się, to ja podsunąłem mu o nim myśl, gdym opowiedział o badaniach nad załamaniem i rozpraszaniem światła w soczewkach Angielczyka Jana Devusa', którego poznałem w Pradze. W nagrodę podarował mi pierwszy udany egzemplarz.

- Niesłychane... - Z ciekawością obracałem instrument na wszystkie strony. - Więc to tylko kwestia odpowiedniego doboru i ustawienia soczewek? Wielu widziałoby w tym czary i moce piekielne.

- Właśnie dlatego Galileusz nie pochwalił się jeszcze swym wynalazkiem. Czeką na odpowiedni moment i stale udoskonala dzieło. Mnie wystarczy takie, jakie jest.

Czułym gestem pogładził rurę, na powrót starannie opatulił i schował. Trochę mu zażrzałem, głównie tych zaledwie dziesiętnastu lat i właściwego temu wiekowi entuzjazmu. Ale i teleskop był godny pozazdroszczenia. Oczyma duszy widziałem możliwości, jakie stwarzał, i bynajmniej nie chodziło mi o ruchy ciał niebieskich. Kiedy dopijał flaszkę, odważyłem się zapytać:

- Naprawdę nie zamýślasz upomnieć się o należne prawa?

- Naprawdę, Bbóg mi świadkiem - odparł zdecydowanie, acz trochę zająkliwie. - Owszem, kiedym dorósł i pojął, że celowo ukrywano przede mną pprawdę, abym nie zagroził Zygmuntowi, wezbrała we mnie gorycz. Dlatego uciekłem od jezuitów. Ale ppo-tem miałem wiele sposobności, by wszystko sobie przemyśleć. I pojąłem, że równie ddo dobrze mogłem zginąć marnie, więc winienem wdzięczność tym, którzy ocalili mi żywot, a nie bboczyć się na nich, wysuwając pretensje i roszczenia. Życie jest takie ciekawe i tyle w nim do odkrycia, a władza i odpowiedzialność z nią związana takie nudne, że już ddawno przestałem czegokolwiek żałować.

Kiedy szykowaliśmy się do spoczynku i przekładałem swoje odzienie, z kieszeni wypadła mi jakaś kartka. Gustaw uczynnie

I John Dee, zawołany krystalomanta, istotnie interesował się także optyką, jednak konstrukcją odpowiednich przyrządów zajęli się dopiero Holendrzy, których prace zainspirowały Galileusza do skonstruowania sławnego teleskopu, zademonstrowanego publicznie w 1609 r.

291

Zrobiłem, jak radził, i omal nie wypuściłem rury z rąk, gdy Janka z portretu wiszącego na ścianie dobre trzy sążnie ode mnie, prawie wyskoczyła z ram i stanęła tuż obok.

- Do kroćset! Co to jest?!

- Galileusz nazwał ten przyrząd z grecka teleskopem, daleko widzącym. Nie chwając się, to ja podsunąłem mu o nim myśl, gdym opowiedział o badaniach nad załamaniem i rozpraszaniem światła w soczewkach Angielczyka Jana Devusa', którego poznałem w Pradze. W nagrodę podarował mi pierwszy udany egzemplarz.

- Niesłychane... - Z ciekawością obracałem instrument na wszystkie strony. - Więc to tylko kwestia odpowiedniego doboru i ustawienia soczewek? Wielu widziałoby w tym czary i moce piekielne.

- Właśnie dlatego Galileusz nie pochwalił się jeszcze swym wynalazkiem. Czeką na odpowiedni moment i stale udoskonala dzieło. Mnie wystarczy takie, jakie jest.

Czułym gestem pogładził rurę, na powrót starannie opatulił i schował. Trochę mu zażrzałem, głównie tych zaledwie dziewiętnastu lat i właściwego temu wiekowi entuzjazmu. Ale i teleskop był godny pozazdroszczenia. Oczyma duszy widziałem możliwości, jakie stwarzał, i bynajmniej nie chodziło mi o ruchy ciał niebieskich. Kiedy dopijał flaszkę, odważyłem się zapytać:

- Naprawdę nie zamyślasz upomnieć się o należne prawa?

- Naprawdę, Bbóg mi świadkiem - odparł zdecydowanie, acz trochę zająkliwie. - Owszem, kiedym dorósł i pojął, że celowo ukrywano przede mną pprawdę, abym nie zagroził

Zygmuntowi, wezbrała we mnie gorycz. Dlatego uciekłem od jezuitów. Ale ppo-tem miałem wiele sposobności, by wszystko sobie przemyśleć. I pojąłem, że równie ddo- dobrze mogłem zginąć marnie, więc winienem wdzięczność tym, którzy ocalili mi żywot, a nie bbo- czyć się na nich, wysuwając pretensje i roszczenia. Życie jest takie ciekawe i tyle w nim do odkrycia, a władza i odpowiedzialność z nią związana takie nudne, że już ddawno przestałem czegokolwiek żałować.

Kiedy szykowaliśmy się do spoczynku i przekładałem swoje odzienie, z kieszeni wypadła mi jakaś kartka. Gustaw uczynnie

I John Dee, zawołany krystalomanta, istotnie interesował się także optyką, jednak konstrukcją odpowiednich przyrządów zajęli się dopiero Holendrzy, których prace zainspirowały Galileusza do skonstruowania sławnego teleskopu, zademonstrowanego publicznie w 1609 r.

Zrobiłem, jak radził, i omal nie wypuściłem rury z rąk, gdy Janka z portretu wiszącego na ścianie dobre trzy sążnie ode mnie, prawie wyskoczyła z ram i stanęła tuż obok.

- Do kroćset! Co to jest?!

- Galileusz nazwał ten przyrząd z grecka teleskopem, daleko widzącym. Nie chwając się, to ja podsunąłem mu o nim myśl, gdym opowiedział o badaniach nad załamaniem i rozpraszaniem światła w soczewkach Angielczyka Jana Devusa\ którego poznałem w Pradze. W nagrodę podarował mi pierwszy udany egzemplarz.

- Niesłychane... - Z ciekawością obracałem instrument na wszystkie strony. - Więc to tylko kwestia odpowiedniego doboru i ustawienia soczewek? Wielu widziało by w tym czary i moce piekielne.

- Właśnie dlatego Galileusz nie pochwalił się jeszcze swym wynalazkiem. Czeka na odpowiedni moment i stale udoskonala dzieło. Mnie wystarczy takie, jakie jest.

Czułym gestem pogładził rurę, na powrót starannie opatulił i schował. TYochę mu zażrzałem, głównie tych zaledwie dziewiętnastu lat i właściwego temu wiekowi entuzjazmu. Ale i teleskop był godny pozazdroszczenia. Oczyma duszy widziałem możliwości, jakie stwarzał, i bynajmniej nie chodziło mi o ruchy ciał niebieskich. Kiedy dopijał flaszkę, odważyłem się zapytać:

- Naprawdę nie zamyślasz upomnieć się o należne prawa?

- Naprawdę, Bbóg mi świadkiem - odparł zdecydowanie, acz trochę zająkliwie. - Owszem, kiedym dorósł i pojął, że celowo ukrywano przede mną pprawdę, abym nie zagroził Zygmuntowi, wezbrała we mnie gorycz. Dlatego uciekłem od jezuitów. Ale ppo-tem miałem wiele sposobności, by wszystko sobie przemyśleć. I pojąłem, że równie ddo- dobrze mogłem zginąć marnie, więc winienem wdzięczność tym, którzy ocalili mi żywot, a nie bbo- czyć się na nich, wysuwając pretensje i roszczenia. Życie jest takie ciekawe i tyle w nim do odkrycia, a

władza i odpowiedzialność z nią związana takie nudne, że już dawno przestałem czegokolwiek żałować.

Kiedy szykowaliśmy się do spoczynku i przekładałem swoje odzienie, z kieszeni wypadła mi jakaś kartka. Gustaw uczynnie

I John Dee, zawołany krystalomanta, istotnie interesował się także optyką, jednak konstrukcją odpowiednich przyrządów zajęli się dopiero Holendrzy, których prace zainspirowały Galileusza do skonstruowania sławnego teleskopu, zademonstrowanego publicznie w 1609 r.

291

ją podniósł i chciał mi podać, ale raptem zamarł, patrząc na mnie w napięciu, nagle zupełnie wytrzeźwiały.

- Skąd znasz sekretne pismo różokrzyżowców? Należysz do bractwa?

Spojrzałem na wokabularz osobliwych znaków, który kiedyś sobie sporządziłem.

- Nie znam. Wypadkiem wpadły mi w ręce dwa luźne zapiski, które udało mi się odcyfrować drogą dedukcji. O różokrzyżowcach pierwsze słyszę. Co to za jedni?

Widać było, że poniewczasie najchętniej ugryzłby się w język.

- Rodzaj tajnego bractwa, czy też zakonu, Societas Rosicruciana. Mało kto o nim słyszał.

- Ale ty najwyraźniej należysz do wtajemniczonych - drążyłem bezlitośnie, niespodziewanie odkrywając, że Gustaw, którego uważałem raczej za utrapienie, może okazać się nadspodziewanie przydatny.

Uciekł z oczyma i milczał z zaciśniętymi ustami.

- Czy różokrzyżowcy są tożsami z alchemistami?

- Powiem tak: każdy różokrzyżowiec jest alchemistą, ale nie każdy alchemista jest różokrzyżowcem.

- No, dalej - ponagliłem go, kiedy przerwał. - Nie daj się ciągnąć za język. Gdybym nie umiał dochowywać cudzych sekretów, nie mógłbym być ani lekarzem, ani inwestygatorem. A ciebie nie wypyuję bez przyczyny, przekonasz się.

Ulżyło mu, a kiedy już się rozgadał, zalał mnie potokiem słów, jakby od dawna pragnął się zwierzyć, tylko nie bardzo miał komu.

- Każdy konfrater róży i krzyża należy do jednej z ansamblei. Różokrzyżowcy widzą w alchemii drogę do poznania pierwotnej materii, będącej jednocześnie najwyższą regułą rządzącą wszystkim, uniwersalnym językiem prawdy. Albowiem człowiek stanowi jedność ze wszechświatem. Jak to wyraził ojciec królowej sztuk, alchemii, i wszelkich nauk tajemnych,

żyjący przed tysiącami lat król i kapłan egipski, po trzykroć wielki Hermes Trismegistos w swojej Tabula smaragdina': „To, co na górze, znajduje się też na dole”, co obrazuje żydowski heksagram zwany Gwiazdą Dawida albo

1 Tablica szmaragdowa, rzekome dzieło legendarnego Hermesa Trismegistosa, stąd arabska nazwa al-chemia, czyli sztuka egipska (arab. Kham - Egipt).

292

Pieczęcią Salomona, wymyślony przez króla Salomona z rodu Dawidowego, także wielkiego maga i alchemisty...

- A skąd róża i krzyż?

- Pączek róży to boska cząstka, znajdująca się u szczytu prawej komory ludzkiego serca. To dzięki niej dążymy do szczęścia, spokoju i harmonii. Róża z małym krzyżem pośrodku to człowiek. Posadowiona w centrum dużego krzyża, będącego symbolem Boga, dają razem różany krzyż. Signum doskonałości, zespolenia człowieka z Bogiem, zarazem poznania wszelkich sekretów wszechświata. Ku temu właśnie dążą różokrzyżowcy poprzez uprawianie trojga nauk hermetycznych, inaczej okultystycznych: alchemii, magii i astrologii. Alegorie i symbole są bowiem kluczem do oświecenia i poznania Wielkiej Tajemnicy, otwierającej oczy i umysły na przyjęcie Najwyższej Prawdy, która daje umiejętność stworzenia Wielkiego Dzieła. Aby tego dokonać, trzeba oświeconej wiary i wiedzy, dostępnej jedynie wtajemniczonym, bez której zbawienie nie jest możliwe. Z kolei oświecenie, rozumiane jako dotarcie do prawdy ukrytej, hermetycznej, nie jest możliwe bez astrologii i magii, tedy koło się zamyka.

- Na milę trąci mi to herezją. Jeśli nie czystym pogaństwem. -Nigdy nie byłem mocny w zawiłościach teologicznych, ale cały ten wywód brzmiał mi bełkotliwie, nie mówiąc o tym, że jako żywo nigdy nie dostrzegłem żadnego pączka róży na sercach nieboszczyków, którym potajemnie i wbrew prawu udało mi się zrobić sekcję, jeszcze za życia ojca Rocha.

- Zależy, jak na to spojrzeć. Wedle gnostyków świat jest zły, bo stworzył go zły Bóg, Jahwe czy też Jaldabaoth. Chrystus przyszedł na świat po to, aby pokonać złego Boga ze Starego Testamentu. W człowieku tkwi iskra boża i należy ją wyzwolić za pomocą gnozy, by mógł zespolić się znów z dobrym Bogiem i wyrwać się ze złego świata. Gnozę można też rozumieć jako wiarę oświeconą, dostępną jedynie wtajemniczonym, do której powinien dążyć każdy światły chrześcijanin. Kiedyś Bóg odkupi ludzkość, ujawniając tajemnice, które obecnie są udziałem garstki wybranych. Cały świat stanie się niczym jedna księga, zaś wszystkie sprzeczności scjencji i teologii zostaną rozwikłane. Różokrzyżowcy kontynuują dzieło templariuszy... Słyszałeś o nich?

- Co nieco. - Kiedyś, przy okazji badania sprawy maga Twardowskiego, zetknąłem się z ich sekretnymi znakami. - Zdaje się,

293

że droga do zbawienia, którą wybrali templariusze, zaprowadziła ich na stos, o co chyba niezupełnie im szło. Jeśli różokrzyżowcy podążają tym samym tropem, tedy nie wygląda to zachęcająco.

- Za pośrednictwem templariuszy różokrzyżowcy odkryli starożytną i zapomnianą już sekretną formę chrześcijaństwa, różną od oficjalnej nauki Kościoła, co nie znaczy, że gorszą. Pragną udoskonalić rodzaj ludzki poprzez alchemię rozumianą jako transfiguracja duszy. Dla wielu z nich róża i krzyż to symbol zmartwychwstałego Chrystusa. Nie walczą z chrześcijaństwem, nawet je akceptują, ponieważ jednak nie stronią od magii i okultyzmu, tedy postępują wbrew naukom Kościoła, który ma im to za złe.

- Powiadasz: wielu z nich. Są zatem inni?

Westchnął.

- Celem bractwa jest naprawienie zepsutego świata i uszczęśliwienie ludzkości poprzez Wielkie Magisterium, odkrycie kamienia filozoficznego, który ma dwoistą postać: duchową, to jest uszczęśliwienia ludzi przez swą uzdrawiającą moc, nawet do umożliwienia wiecznego życia, oraz materialną: przemiany wszelkich metali w złoto.

- I cóż z tego wynika?

- Lapis philosophorum, inaczej occultum lapidem, niczym cudowna laska Mojżesza daje wielką moc oraz zapewnia wieczną młodość, ale tylko sprawiedliwym. Na złych, wrogów rodu ludzkiego, służy szatana, działa jak trucizna. Są zatem dwa rodzaje alchemistów różokrzyżowców. Jedni poszukują kamienia filozoficznego w znaczeniu mistycznym, aby posłużył do duchowego uszlachetnienia i odrodzenia ludzkości. Są oni niczym kapłani, a sztuka to dla nich świętość i misterium. Wierzą, że praca alchemisty może się dokonać tylko z bożą pomocą, gdyż Bóg otwiera umysł prawego adepta jedynie wówczas, gdy ten jest tego godny. I są drudzy, których transmutacja metali zajmuje w wymiarze czysto materialnym i wyłącznie po to, aby zapewnić bogactwo i władzę. To z myślą o nich święty Tomasz z Akwinu odradzał dążenie do Wielkiego Dzieła, uważając, że „lepiej dbać o zbawienie duszy niż o dobro doczesne”. Są to często ludzie podli i mali, a do tego nieprzyjaciele Chrystusa. Jak mogą, szkodzą Kościołowi, papieża uważają za wcielonego Antychrysta, zaś jezuitów za swych najgorszych wrogów...

294

Nareszcie znalazłem się na pewniejszym gruncie i niczym owi wtajemniczeni w ukryte przed profanami prawdy doznałem iluminacji.

- Jesteś jezuickim szpiegiem!

- Nie nazwałbym siebie tak - zaprotestował. - Nie zostałem jezuitą, choć niewiele brakowało, a do różokrzyżowców przystąpiłem, ponieważ wiele wybitnych umysłów do nich należy i dzięki temu miałem do nich łatwiejszy dostęp. O teologiczne aspekty działalności Bractwa Róży i Krzyża zgoła nie dbam i nie pochwalam antykościelnych zapędów niektórych iluminatów. Za to, odkąd sięgam pamięcią, zawsze zajmowała mnie czysta wiedza, alchemia i drugie nauki, często zakazane przez Kościół. Jak choćby teoria Copernicu-sa. Dorastałem przecież w Braniewie, zaledwie milę od Fromborka, gdzie wielki astronom dokonał swych odkryć i żywota. Niejeden raz wymykałem się z konwiktu do Fromborka, po prostu żeby pochodzić ulicami, po których stąpał Kopernik. Ksiądz Skarga, z którym znamy się od dawna, nigdy nie potępiał tej ciekawości, ufając, że moja wiara na tym nie ucierpi. Prosił tylko, kiedy wyruszałem w świat, bym go uprzedził, gdyby załęgła się u nas jakowaś ansamblea różokrzyżowców wrogich Kościołowi i Towarzystwu Jezusowemu.

- I odkryłeś coś?

- Z pierwotku nic. Dopiero kiedym dotarł do Pragi i wmieszał się w tłum zgromadzonych tam przez cesarza magów, astrologów, alchemistów i wynalazców z rozmaitych krain i nacji, poznałem trzech Polaków...

- Wolskiego, Sędziwoja i Araneusa?

Drgnął przestraszony i wytrzeszczył na mnie oczy.

- Skąd wiesz?

- Mówiłem ci, że sporo wiem. Powiadaj dalej.

- Szybko pojąłem, że Wolskiego i Sendivogiusa pasjonowało poznanie. Obaj pragnęli zgłębić sekrety natury, acz każdy na swój sposób. Wolski jako człowiek majątny nie jest chciwcem i w alchemii widzi nowe sposobności dla pomnażania publicznego dobra. Odkryte metody chciałby zaprowadzić w swych metalurgicznych zakładach w Krzepicach, by zwiększyć i ulepszyć produkcję. Poza tym lubi alchemiczną robotę. To go bawi. Z kolei Sendivogius należy do tych, którzy chcą dotknąć absolutu i osiąść Wielką Tajemnicę. Ale interesuje go jej duchowy aspekt: pragnie uszczęśliwić ludzi. Tak jak jego mistrz Seton, jedyny z żyjących, o którym wiadomo na

295

pewno, że posiadał tynkturę. Sędziwój ciężko pracował, podglądał drugich, rad się uczył i jeśli jeszcze nie został adeptem, to znajduje się na najlepszej drodze. Sam cesarz koniecznie chciał go zatrzymać, gdy razem z Wolskim przebierali się do ojczyzny, i zapewnił, że zawsze będzie go mile widział z powrotem. Byłem przy tym.

Przerwał, jakby zbierając myśli.

- A Araneus?

- Ten jest inny. - Skrzywił się pogardliwie. - O ile Sendivogius jest już wtajemniczonym, wybranym przez Boga adeptem lub niedługo nim zostanie, to z Araneusa jest prawy dmuchacz.

- Kto?

- Dmuchacz. Profan, przeciwieństwo adepta, nieznający praw natury marny alchemista. Araneus nie miał cierpliwości ani żądy wiedzy cechujących prawdziwych ludzi scjencji. Wszystko pragnął osiągnąć szybko, idąc na skróty. Nie stronił nawet od nigroman-cji, choć prawi alchemiści gardzą czarną magią. Sam nie potrafiąc prowadzić rzetelnych badań, szpiegował lepszych od siebie, usiłując wydobyć od nich sekrety, podstępem lub przemocą. Jak rzep przylgnął do Sędziwoja, czym ten nie był bynajmniej zachwycony. Araneus bowiem należy do tych, których zajmuje jedynie przyziemna strona Wielkiego Magisterium - produkowanie złota dla zdobycia bogactwa i potęgi. Sam słyszałem, jak nagabywał tych, którzy byli przy tym, jak rabin ben Becalel demonstrował cesarzowi stworzonego przez siebie golema, by opisali, jak to uczynił. A potem rzekł do mnie, gdy się upił: „Gdyby to mnie udało się zrobić golema, nie ukrywałbym go przed ludźmi. Zbiłbym fortunę na pokazywaniu potwora każdemu, kto chciałby go oglądać. Albo stworzyłbym całą armię golemów i zawojował świat". Nic dziwnego, że w końcu musiał uchodzić z Pragi w niesławie, cudem, a raczej dzięki wstawiennictwu konfratrów, uniknąwszy osadzenia w Białej Wieży hradeckiego zamku.

- Dlaczego Sędziwój tolerował go u swego boku?

- Z tej samej przyczyny, dla której cesarz nie wtrącił go do lochu. Bo różokrzyżowcy zawsze wspierają swoich sodalisów i nigdy nie opuszczają ich w biedzie.

- A ty skąd to wszystko wiesz?

Bez słowa podciągnął rękaw nocnego giezła i pokazał mi wypalone na ramieniu signum:

296

<

n - f o

K

- Moje w różanym krzyżu zwycięstwo - przeczytałem. - A cóż znaczą owe buksztaby CRC?

- Tego nikt nie wie! Nie każdy znak wygląda jak mój. Jest jeszcze róża w koronie z cierni, które przypominają mękę templariuszy, a nad nią krzyż. Albo kolo oznaczające wieczność i nieskończoność, w które wpisany jest trójkąt równoramienny, obrazujący Tróję Świętą, oraz kwadrat, podstawa dla tworu będącego odrodzoną istotą ludzką.

- Daleko odszedłeś od nauk jezuitów.

Opuścił rękaw.

- Jestem przede wszystkim alchemistą. Alchemia zaś nie jest zakazana. Sądy, zarówno kościelne jak świeckie, nikogo nie ścigają przecież za praktyki alchemiczne, a jedynie za fałszerstwa i frańkostwo. Co innego bowiem magia naturalna i alchemia praktyczna, które wydzierają przyrodzie jej sekrety ku pożytkowi ludzkiemu, a co innego magia haniebna, polegająca na wróżeniu dzięki obcowaniu z nieczystymi duchami. Ta jest dziełem niegodziwej ciekawości i słusznie zwie się ją czarnoksięstwem. Taką magię potępiają wszyscy mężowie znakomici i uczeni, gdyż nie zawiera ona żadnej istotnej prawdy, a tylko urojenia.

1 Dopiero Johann Valentin Andreae, luterański pastor ze Stuttgartu, w wydanej w 1616 r. „biblii” różokrzyżowców Chemiczne wesele Chrystiana Rosenkreutza, Anno 1459 rozszyfrował je jako inicjały rzekomego założyciela bractwa: Christianus Rosae Crucis.

297

n

Zawsze mnie zdumiewało, że choć papież uważali alchemistów za ingenia coriosa Jan XXII całe wieki temu wydał bullę potępiającą alchemię jako naukę oszukańczą i ars prohibita², dobrotliwie pokpiwał sobie z niej uczony papież Leon X, to jednak ją uprawiano. Nawet w zakonach. Ba! Tenże sam żyjący w XIV wieku Jan XXII wydał dzieło Elixir filozofów, a podobno pierwszym, który zaszczerpił alchemię na europejskim gruncie, był żyjący na przełomie tysiącleci uczony Gerbert, późniejszy papież Sylwester II. Ponoć wielki pożar Krakowa w 1462 roku spowodowali dominikanie zabawiający się alchemią. Również w naszej arcykatolickiej Akademii studiowano dzieła Arnolda de Villanovy i Lullusa, a na wydziale artium wykładano Arystotelesa i jego teorię czterech żywiołów. A kiedy byłem mały, razem z gromadą podobnych do mnie łobuziaków próbowaliśmy zaglądnąć do wielkiej pracowni alchemicznej przy bramie Wiślniej, należącej do Mikołaja Husmana, profesora Akademii. Miałem także w swojej prywatnej bibliotece dwa dzieła Paracelsusa z zakresu alchemii i medycyny hermetycznej, które sumptem Olbrachta Łaskiego wydał w Krakowie poeta i alchemista, Ślązak z Nisy Adam Schröter, otrzymawszy na to przywilej od króla Augusta. Według Paracelsusa do Wielkiej Przemiany potrzebny był archeusz, wszystko ożywiający duch. Ja jednak ceniłem Paracelsa raczej za to, że upowszechnił stosowanie laudanum oraz za kilka skutecznych leków nieorganicznej proveniencji, które spopularyzował. Sztuka spagiryiczna, czyli medycyna hermetyczna, nie pociągała mnie wcale.

- Poza tym pośród różokrzyżowców byli i są tacy jak angielski franciszkanin Bacon, któremu zawdzięczamy przepis na proch strzelniczy, medyk Paracelsus, sławny malarz niemiecki Dürer, An-gielczycy Dee i wspomniany Seton. Ergo w samej przynależności do zakonu nie widzę nic złego. Ważne, w której jesteś partii: bogobojnych czy zaprzędanych diabłu.

- A Wolski, Sędziwój i Araneus do której należą?

- Wolski to pobożny poszukiwacz prawdy. Sendivogiusowi proponowano przystąpienie, lecz odmówił. Araneus, jak się zapewne domyśliłeś, jest różokrzyżowcem, lecz chluby zakonowi nie przynosi. Straciłem go z oczu, gdy uciekł z Pragi. Ale potem widziałem dwa czy

1 Ingenia coriosa (lac.) - zwariowanych.

2 Ars prohibita (lac.) - sztuka zakazana.

298

• "m

trzy razy w Krakowie. Zawsze w towarzystwie dwóch tych samych ludzi. Nie patrzyli na przyjemnych. Nie mogłem za nim pójść, bo bałem się rozpoznania. Powiedziałem o tym księdzu Skardze. Zmartwił się. Jezuita mają w Krakowie wielu wrogów, niepotrzebna im jeszcze pod nosem ansamblea różokrzyżowców podobnych do Araneusa.

- Może będę mógł wam pomóc. Też szukam Araneusa. Nie wiem, czy planuje założyć w mieście ansambleę, ale że knuje jakieś łotro-stwo, to pewne.

- Mówisz tak, jakbyś go znał.

- Kiedyś znałem i miałem za przyjaciela. Ale ostatnio, chociaż lata się nie widzieliśmy, poznałem go lepiej. Pora, aby się dowiedział, że przestałem go lubić. A teraz pokaż mi, jak wygląda pismo różokrzyżowców - już wcześniej miałem pewien koncept, a dzięki poznaniu szyfru nie musiałbym więcej łamać sobie głowy.

Podsunałem mu kartkę i ołówek, którego jeszcze nie zwróciłem. Sekretne pismo okazało się w gruncie rzeczy proste. Jak wszystko, kiedy już pojmiemy ideę.

- Dzięki. - Odwróciłem kartkę i pokazałem mu szkic krzyża, który zrobiłem ongi w domu Sędziwoja. - Czy to jest to, co myślę?

- To różany krzyż - potwierdził. - W jego centrum znajduje się boska róża, taka jak wewnątrz Pieczęci Salomona. W alchemii to symbol doskonałości, czyli złota, a równocześnie graficzne przedstawienie punktu, w którym przecinają się dwa wymiary: boski i ludzki, a człowiek i Bóg stają się jednością. Ale ów circumpunct,

1 Z czasem prosty symbol przekształcił się w misternie zdobiony krzyż wypełniony skomplikowaną symboliką.

299

wszzechwidzące oko, oko Boga i Jego uniwersalny symbol - wskazał na kółko z kropką w środku - ma wiele znaczeń. W starożytnym Egipcie był to znak boga słońca Ra, w kabale oznacza Malchut, dziesiątą i ostatnią sefirę Drzewa Życia, która odpowiada Królestwu, czyli Ziemi. Wedle kabalistycznej księgi Zohar róża jest uważana za symbol ludu Izraela i

najbardziej „ukrytego z ukrytych”. Dla pitagorejczyków róża-circumpunct była symbolem monady, boskiej prawdy, prisca sapientia, pierwotnej, prastarej mądrości...

- Sub rosa² - mruknąłem. - Wystarczy. Objaśnij mi przy okazji jeszcze to. - Podsunąłem mu symbole zapisane w formule Twardowskiego.

I tak dowiedziałem się, że % to ołów, a także Saturn. O - oznaczał nie tylko złoto, ale i Słońce. C - srebro i Lunę, © lub 0 - sól, (j - siarkę, a - rtęć i Merkurego.

- Powiedz mi na koniec, co sądzisz o tym?

Tylko rzucił okiem na szkic Janki, który wykonała w krzyszto-forskich lochach, i miał gotową odpowiedź.

- Ktoś wywoływał duchy.

- To wiem. Cóż jednak znaczą owe signa wokół jednego z kręgów?

1 Zohar (hebr.) - światło, blask.

2 Pod różą (lac.) - w dyskrecji, w zaufaniu, w sekrecie; dla Rzymian róża była symbolem tajemnicy.

300

- W obrzędzie uczestniczyło troje ludzi. W tym kręgu stał wywołujący ducha. Dla prezerwatywy przed siłami nieczystymi narysował wprzód święconą kredą pieczęć hermetyczną. To ta. Ma postać dwóch L, w tym jednego odwróconego do góry nogami, połączonych krzyżem. Za nią idzie krzyż równoramienny, po nim siedem znaków Logosu, znów pieczęć, tym razem w postaci krzyża z ramionami zakończonymi strzałkami, dalej kolejnych dziewięć znaków Logosu, zamykający krzyż oraz pieczęć hermetyczna, taka sama jak pierwsza. A po niej kolejny krzyż i następne. Tyle, by zappełnić wolną część obwodu koła aż do pierwszej pieczęci.

- Tu ich nie widzę, a myślę, że nie zostałyby przeoczone, gdyby były.

- Bo widać wywołujący nie był dobrym nigromantą i nie znał się na rzeczy. Ergo idę o zakład, że z wywoływania wyszły nici. Zresztą to trudna i niebezpieczna sztuka, lecz nic więcej ci o niej nie powiem, gdyż należy do czarnej magii, a prawi al-chemiści nią się nie zajmują. Zbyttno zalatuje siarką i ogniem piekielnym. Obawiam się, że ten, kto rysował te kręgi, zaprzedał duszę diabłu.

Kładąc się nareszcie do spania, miałem o czym myśleć. Gustaw też.

- Myślisz, że wciąż coś mi grozi? - spytał grubo po północy.

- Po deklaracji króla? Wątpię. Ale na wszelki wypadek nie wychodź do miasta beze mnie. Przynajmniej przez jakiś czas.

- Dobrze.

Wróciłem do swoich rozważań. Na nowo przetłumaczyłem sobie w myśli formułę Twardowskiego:

O ty Alfo i Omega życia Nadzieją jesteś

Po śmierci ołów zmartwychwstania złoto i srebro O jedyna miłości Boga W Trójcy

Zmiłuj się nade mną W Wieczności.

Przez sól, siarkę i rtęć powstaje Kamień Filozoficzny.

301

Nadal nie widziałem w tym za grosz sensu. Nazajutrz na szczęście była niedziela i mogliśmy pospać ciut dłużej. Kiedy Gustaw poszedł do króla na śniadanie, na które był zaproszony, podzieliłem się z Janką zastyszczanymi nowinami. Po czym powiedziałem jej, co zamierzałem uczynić.

- Nie rób tego - poprosiła. - To się źle skończy.

- Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. A wiele może się wyjaśnić. Tylko zdobądź znów klucz do biblioteki.

Westchnęła i już nie próbowała mnie odwozić. Zatem po sumie w katedrze, gdy wszystkie dwory udały się na podwieczerek, przemknąłem do biblioteki pod pozorem zwrotu pożyczonej książki, którą ostentacyjnie niosłem w rękę. Upewniwszy się, że w antyszambrowi nie ma nikogo, a drabanci patrzą w inną stronę, podrzuciłem do kominka kartkę. Wiadomość, napisana buksztabami różokrzyżowców, brzmiała: PONIEDZIAŁEK W POŁUDNIE. PILNE. ARANEUS. Nie chciałem moim przeciwnikom zostawiać zbyt wiele czasu w obawie, że zdążyliby się porozumieć bez mojego pośrednictwa.

Zatem niecałą dobę później, niby pajak w sieci, w zupełnych ciemnościach czekałem na swą ofiarę. Czekałem długo. Mój gość się chyba spóźnił. Może go ktoś lub coś zatrzymało. Wreszcie w zamku zachrobotano. Drzwi uchyliły się, wpuszczając smugę światła, po czym zaraz zamknęły.

- Chyba rozum ci odjęło, żeś mnie tu ściągnął! - syknął przybysz. - Przecież zakazałem ci wstępu na zamek! Gdzie jesteś? U licha, nic nie widzę...

Zapaliłem świecę. Gdy mnie ujrzał, skamieniał tak, że żona Lota mogłaby przy nim uchodzić za wierzchołek, i broda zaczęła mu się trząść.

- Siurpriza - powiedziałem.

ROZDZIAŁ 5 | CZARY

Zamość, maj 1588 roku

Hetman Zamojski był strapiony, a przede wszystkim zmęczony. Dopiero co wrócił z Podola, gdzie ucierał się z ordą, która jak zwykle na wiosnę najechała Rzeczpospolitą. Tylko że tym razem był to zaledwie wstęp do poważnej rozprawy z Hircją. A jednak w Polsce mało kto w to wierzył, lekceważąc zagrożenie tureckie i oskarżając hetmana, że celowo je wyolbrzymia, aby jeszcze bardziej podkreślić swą pozycję i przewagę nad niewojennym królem. Z namarszczonymi brwiami drugi raz uważnie przeczytał list, który nadszedł pod jego nieobecność. Przysłał go Leśniowski. Hetmańskie oko i ucho w otoczeniu króla, który ufał kasztelanowi podlaskiemu bezgranicznie, potwierdzał to, czego Zamojski już dowiedział się od Ryksa za pośrednictwem Żółkiewskiego, którego wracając z Podola, odwiedził w Winnikach. Dodawał także kilka interesujących szczegółów.

Zatem JKM, co wyznał mi w zaufaniu w szczerzej rozmowie, przy której był obecny także jego najnowszy miłośnik¹ Jego Eminencja kardynał Jerzy Radziwiłł, bardzo oddany cesarzowi, od którego dostał zegarek wart dwa tysiące talarów, zdecydowany jest złożyć koronę, ciężącą mu nieznośnie. Rozważa zatem dwa rozwiązania: albo, jak ongi król Henricus, uciec do Szwecji, nie zważając na nic i pozostawiając sprawy swemu biegowi, albo pozostać i dopilnować, by któryś z arcyksiążąt zasiadł na polskim tronie. W tej sprawie wysłał posła do Szwecji, proponując JKM Janowi III spotkanie na granicy w Rewlu tak szybko, jak tylko się da. Stamtąd razem udadzą się do ojczyzny, chyba że uznają, iż korzystniejsze będzie drugie rozwiązanie [...].

1 Ulubieniec.

303

ROZDZIAŁ 5 | CZARY

Zamość, maj 1588 roku

Hetman Zamojski był strapiony, a przede wszystkim zmęczony. Dopiero co wrócił z Podola, gdzie ucierał się z ordą, która jak zwykle na wiosnę najechała Rzeczpospolitą. Tylko że tym razem był to zaledwie wstęp do poważnej rozprawy z Hircją. A jednak w Polsce mało kto w to wierzył, lekceważąc zagrożenie tureckie i oskarżając hetmana, że celowo je wyolbrzymia, aby jeszcze bardziej podkreślić swą pozycję i przewagę nad niewojennym królem. Z namarszczonymi brwiami drugi raz uważnie przeczytał list, który nadszedł pod jego nieobecność. Przysłał go Leśniowski. Hetmańskie oko i ucho w otoczeniu króla, który ufał kasztelanowi podlaskiemu bezgranicznie, potwierdzał to, czego Zamojski już dowiedział się od Ryksa za pośrednictwem Żółkiewskiego, którego wracając z Podola, odwiedził w Winnikach. Dodawał także kilka interesujących szczegółów.

Zatem JKM, co wyznał mi w zaufaniu w szczerzej rozmowie, przy której był obecny także jego najnowszy miłośnik¹ Jego Eminencja kardynał Jerzy Radziwiłł, bardzo oddany cesarzowi, od którego dostał zegarek wart dwa tysiące talarów, zdecydowany jest złożyć koronę, ciężącą mu nieznośnie. Rozważa zatem dwa rozwiązania: albo, jak ongi król Henricus, uciec do Szwecji, nie zważając na nic i pozostawiając sprawy swemu biegowi, albo pozostać i dopilnować, by któryś z arcyksiążąt zasiadł na polskim tronie. W tej sprawie

wysłał posła do Szwecji, proponując JKM Janowi III spotkanie na granicy w Rewlu tak szybko, jak tylko się da. Stamtąd razem udadzą się do ojczyzny, chyba że uznają, iż korzystniejsze będzie drugie rozwiązanie [...].

1 Ulubieniec.

303

ROZDZIAŁ 5 | CZARY

Zamość, maj 1588 roku

Hetman Zamojski był strapiony, a przede wszystkim zmęczony. Dopiero co wrócił z Podola, gdzie ucierał się z ordą, która jak zwykle na wiosnę najechała Rzeczpospolitą. Tylko że tym razem był to zaledwie wstęp do poważnej rozprawy z Turcją. A jednak w Polsce mało kto w to wierzył, lekceważąc zagrożenie tureckie i oskarżając hetmana, że celowo je wyolbrzymia, aby jeszcze bardziej podkreślić swą pozycję i przewagę nad niewojennym królem. Z namarszczonymi brwiami drugi raz uważnie przeczytał list, który nadszedł pod jego nieobecność. Przysłał go Leśniowski. Hetmańskie oko i ucho w otoczeniu króla, który ufał kasztelanowi podlaskiemu bezgranicznie, potwierdzał to, czego Zamojski już dowiedział się od Ryksa za pośrednictwem Żółkiewskiego, którego wracając z Podola, odwiedził w Winnikach. Dodawał także kilka interesujących szczegółów.

Zatem JKM, co wyznał mi w zaufaniu w szczerzej rozmowie, przy której był obecny także jego najnowszy miłośnik Jego Eminencja kardynał Jerzy Radziwiłł, bardzo oddany cesarzowi, od którego dostał zegarek wart dwa tysiące talarów, zdecydowany jest złożyć koronę, ciężącą mu nieznośnie. Rozważa zatem dwa rozwiązania: albo, jak ongi król Henricus, uciec do Szwecji, nie zważając na nic i pozostawiając sprawy swemu biegowi, albo pozostać i dopilnować, by któryś z arcyksiążąt zasiadł na polskim tronie. W tej sprawie wysłał posła do Szwecji, proponując JKM Janowi III spotkanie na granicy w Rewlu tak szybko, jak tylko się da. Stamtąd razem udadzą się do ojczyzny, chyba że uznają, iż korzystniejsze będzie drugie rozwiązanie [...].

1 Ulubieniec.

Z listami do Rakuz pozawczoraj, to jest 17 maja, wyruszył magus Sendwogius i niejaki Wrader, Inflantczyk, człek zręczny, do specjalnych poruczeń sposobny jak nikt, zresztą WM go przecież znasz.

Zapalił list od świecy, poczekał, aż płomień zaczął mu parzyć palce, po czym pozwolił szczałkom opaść na pawiment i rozdeptał je butem. Następnie kazał pokojowcowi sprowadzić oddanych sekretarzy: doświadczonego Heidensteina oraz młodego, energicznego i pełnego zapachu Szymonowica. Stawili się natychmiast.

- Mości panowie - rzekł. - Chciałbym, abyście wyruszyli do Pragi.

Trzydziestoletni Simon Simonides, wywodzący się z lwowskich Ormian, który zmienił nazwisko na Szymon Szymonowie, gładko-licy, trochę pyzaty i długowłose, wyglądał na młodszego. W Akademii Krakowskiej uzyskał bakalaureat na wydziale artium, po czym uzupełnił studia we Francji. Po powrocie do kraju napisał i wydał poemat *Castus Joseph*¹, czym ugruntował swoją sławę znakomitego poety łacińskiego, godnego następcy Kochanowskiego. Przeszedł na służbę Zamojskiego, kiedy hetman poszukiwał błyskotliwych ludzi, którzy pomogliby mu stworzyć Akademię Zamojską, przewyższającą pogrążoną w stagnacji wszechnicę krakowską. Zamojski cenił młodych, zdolnych i ambitnych, bo kiedyś sam był taki. Na razie Simonides kompletował przyszlą bibliotekę uniwersytecką, miał dużo zapasu, ale też nic przeciwko milej odmianie, mimo iż od pewnego czasu zaprzętały mu głowę rymy w mowie ojczystej. Coś w rodzaju bukolik Teokryta, *Georgik* Wergilego albo *Pieśni świętojańskiej* o Sobótce Kochanowskiego. Na początek szukał dla nich dobrego, polskiego określenia, lecz na razie nie mógł nic wymyślić. To go trochę męczyło...

- Kiedy? - zapytał Reinhold Heidenstein.

Zadomowiony w Polsce Prusak z Królewca, o pięć lat starszy od Simonidesa, nie miał jego energii. Mimo iż zajmowała go historia najnowsza, czego dał dowód, pisząc relację z wojen króla Stefana z Moskalami, nie był na żadnej, zadowolając się sprawozdaniami z drugiej ręki. Teraz także nie miał ochoty nigdzie wyruszać z dwóch powodów: oto zaczął spisywać dzieje Polski

1 *Castus Joseph* (*Cnotliwy Józef*), wydany w 1587 r.

304

* *

poczawszy od śmierci króla Augusta I, a niedawno poślubiona ukochana Erdmunda z Konarskich była właśnie w ciąży i nie najlepiej ją znosiła.

- Jutro. Jeszcze dziś napiszę listy, które powieziecie.

- Dobrze - westchnął kronikarz; wiele zawdzięczał Zamojskiemu, choćby uzyskany niedawno polski indygenat, więc nie wypadało mu odmówić.

Szymonowie nie odpowiedział. Powtarzał w myślach: wieś, wioska, osada... Wieśniaczki? Bez sensu. Wioskoliki? Idiotycznie. Nie, z tego nic się nie da zrobić. Sioło. Lepiej. Sielanki?

- Oczywiście! - zakrzyknął z takim zapalem, że aż spojrzeli na niego ze zdumieniem.

- Zatem uważajcie: macie nie rzucać się w oczy, a po doręczeniu listów natychmiast wracać. W Pradze skontaktujecie się z ichmoś-ciami Warszewickim i Głogowskim - kanclerz lubił trzymać rękę na pulsie i miał na wielu dworach sownie opłacanych szpiegów i informatorów. Dzięki czemu zawsze wiedział z wyprzedzeniem, co w trawie piszczało. - Dacie im listy i przykażecie, aby mieli oczy szeroko rozwarte i natychmiast informowali mnie, jeśli coś wywęszą. Po drodze zatrzymacie się w Oświęcimiu u tamtejszego starosty imię Piotra Myszkowskiego. Jemu też doręczycie list, podobnie jak jego ekscelencji biskupowi

ołomunieckiemu Stanisławowi Pawłowskiemu. To Polak, choć służy cesarzowi. Przyjmie was życzliwie, lecz nie marudźcie. Pośpiech jest najważniejszy. Nie fatygowałem was bez przyczyny, sprawa bowiem jest zbyt ważna, wymagająca najwyższej delikatności i dyskrecji, by powierzyć ją byle komu. Rachuję na wasze doświadczenie i znajomość niemieckiego, mój Reinholdzie, oraz na waszą zręczność, Szymonie, i tuszę, że mnie nie zawiedziecie. A teraz idźcie i gotujcie się do drogi. Możecie brać wszystko, czego tylko będziecie potrzebowali. Rano zgłóście się po pieniądze i pisma.

Całą noc bił się z myślami. Dręczyły go wątpliwości. Gdzie się podziała energia i zdecydowanie, z których sływał jeszcze niedawno? Dlaczego po śmierci Batorego nie sięgnął po koronę, która sama pchała mu się w ręce? Przecież ambicji mu nie brakowało

I Rerum Polonicarum ab excessu Sigismundi Augusti libri XII (Dzieje Polski od śmierci Zygmunta Augusta do roku 1594, ksiąg XII), wydane przez syna autora, Jana Heidensteina, w 1672 r. we Frankfurcie nad Menem.

305

a obiektywnie rzecz biorąc, był najlepszym kandydatem. Dlaczego stchórzył w ostatniej chwili? A potem Byczyna. Zwyciężył i okrył się chwałą, lecz dobrze wiedział, komu to zawdzięczał. Gdyby nie śmiałość Żółkiewskiego, który nastawał na natychmiastowe uderzenie, pewnie wciąż jeszcze oblegaliby miasto z niepewnym wynikiem. A teraz? Też nie wiedział, co czynić. Nie lubił szwedzkiego przybłądy i chętnie widziałby go z powrotem w Szwecji. Chce chyłkiem zemknąć do ojczyzny? Krzyżyk na drogę! Ale z drugiej strony, tylko u boku tego niedoświadczonego i niezbyt bystrego młokosa z nic nieznaczącego rodu mógł odgrywać tak wielką rolę jak dotychczas. Jedynie przy słabym królu on sam mógł być wszechpotężny. Każdy inny, a zwłaszcza Habsburg mający za sobą całą potęgę Domu Rakuskiego, byłby trudniejszy do zdominowania... Tak czy owak, dobrze byłoby mieć w ręku atuty zarówno przeciw Wazie, jak Habsburgom. To pozwalało kontrolować sytuację do czasu, aż powźmie ostateczną decyzję. Jaką? Tego jeszcze nie wiedział. Na razie mógł uczynić jedno - poszczuć jednego Habsburga na drugiego i spowodować zamęt w Domu Rakuskim. Dla dobra Rzeczypospolitej było to niewątpliwie korzystne, a przecież słusznie uważał siebie za głównego obrońcę ojczyzny.

Rankiem, niewyspany lecz zdeterminowany, odwiedziwszy wprzód żonę, odprawił posłańców, po czym kazał zaprzęgać kolasę i z niewielką eskortą ruszył w drogę. Niecałe cztery mile dzielące Zamość od Krasnegostawu przebyto do południa. Zamaszystym krokiem ruszył do zamku przez dziedziniec, na którym prężyli się strażnicy. Zdyszany siłacz Marek Sobieski, w biegu dopinający paski na potężnym torsie, powitał go na schodach.

- Więzień u siebie?

Pojmanego Maksymiliana traktowano z szacunkiem należnym osobie cesarskiej krwi. Oczywiście nie było mowy, by trzymać go in fundo, w podziemnych kazamatach zamkowej wieży, na słomianym barłogu. Miał do dyspozycji całkiem wygodną komnatę na piętrze i nie

zbywało mu na niczym. Mógł nawet spotykać się z przetrzymywanymi (na jego usilne prośby) razem z nim polskimi zdrajcami, o których życie się obawiał. O losie ich wszystkich miał zdecydować najbliższy sejm. O ile posłowie podejmą decyzję zgodną z życzeniem hetmana i kanclerza w jednej osobie.

- Musiałem go przenieść, wasza miłość.

306

- Dlaczego?

- Ponieważ odkryłem, że Zborowscy, Jędrzej i Krzychnik niecnota, uknuli spisek, chcąc wybić w komnacie księżęcia mur, spuścić go oknem i na rozstawnych koniach uwięzić na Szląsk. W ostatniej chwili im to udaremniłem. Za czym podwołem czujność i strażę, arcyksięcia przeniósłem do pewniejszej izby i odseparowałem od drugih więźniów.

- Dobrze się spisaleś. A teraz prowadź mnie do Maksymiliana i dopilnuj, by nikt nas nie podsłuchał.

Kraków, czerwiec 1588 roku

- Rozczarowałeś nas. Nie taka była umowa.

Chociaż zostało to powiedziane bez gniewu, zaczął dygotać. Mimo iż milczący towarzysz mówiącego, brunet o zwalistej posturze, ponurym obliczu i nieruchomych czarnych oczach, parzących niczym węglem, wyglądał groźniej i parał się okropną profesją, to blondyna bała się bardziej. Wiedział, że kosztowny strój, mowa znamionująca wykształcenie, gładkie lico i malujące się na nim powaga oraz pycha wskazywały na kogoś znacznego i ów w istocie nim był, to był także bardziej niebezpieczny od swego nieokrzesanego kompana i to on rządził w tym dobranym duecie.

- Miało być złoto. Dużo, dużo złota - przypomniał ten drugi ochryplym głosem brzmiącym jak zgrzyt. - Istne złote góry.

- Zmarnowałeś nasz czas i pieniądze. Milcz! - warknął biały, widząc, że chce się bronić i usprawiedliwiać, po czym zaczął po kolei, w miarę odliczania, wystawiać palce. - Primo: zarzekałeś się, że masz kamień mędrców. Uwierzyliśmy. Secundo: kiedy okazało się to nieprawdą, zapewniałeś, że potrzebujesz jedynie trochę czasu. Dostałeś. Tertio: miałeś wywołać ducha Twardowskiego, żeby wyjawiał sekret. Nie potrafiłeś, a my, biorąc w tym udział, wyszliśmy na głupców. Quarto: twierdziłeś, że potrzebujesz pewnych ksiąg. Opłaciłem twoje wojaże, ergo posiadałeś je na mój koszt. Quinto: miałeś olśnić króla i zapewnić jego łaski sobie i nam. I na to otrzymałeś środki. Tymczasem skompromitowałeś się ostatecznie... Psiakrew! Palców zaczyna mi brakować...

307

- To nie moja wina! - zaskamlał. - To przez Ryksa! Ta sztuczka była niezawodna!
Gdyby nie on...

- Dość! Jesteś nie tylko niekompetentny, ale i głupi. Stanowisz zagrożenie. Przez ciebie
Ryx gotów zwrócić na nas uwagę, i to akurat teraz, gdy sprawy nareszcie idą gładko.

- Wciąż mnie potrzebujecie!

- Już nie. Mamy lepszą opcję.

- Sędziwoja?

- Nie twoja sprawa. Ty musisz zniknąć.

Skinął na czarnego, który podniósł się z miejsca i zszedł z oczu wodzącemu za nim
prerażonym wzrokiem nieszczęśnikowi.

- Nie! Dajcie mi jeszcze jedną szansę! - krzyknął rozzłością, oblewając się potem. -
Nie zabijajcie mnie! Bracia różokrzyżowcy mnie pomszczą!

Blondyn machnął ręką lekceważąco.

- Nie boimy się twego bractwa. Lepiej niech ono boi się nas, bo nie będę tolerował
konkurencji w swoim mieście.

- Posłuchajcie! Wiem już, gdzie tkwił błąd i czego mi zabrakło do sporządzenia
tynktury! Tylko jednej, jedynej ingrediencji! - Pot spływał mu z czoła strumieniem, głos
drżał; zdawał sobie z tego sprawę, lecz nie dbał o to, za wszelką cenę usiłując przekonać ich o
swej użyteczności.

- Czego? - zainteresował się blondyn.

- Krwi! Krwi niewinnego dziecięcia!

- Było mówić, dostałbyś tuzin bachorów do zarznięcia - odezwał się czarny zza jego
pleców.

- Jednak to nie zawsze skutkuje. Zazwyczaj trzeba wielu prób, by trafić na prawego
baranka bez skazy. Ale teraz pojawiła się nadzwyczajna sposobność, jedna na milion!
Gwarancja powodzenia!

- Mów - zachęcił go blondyn.

- Widziałem w mieście rabina ben Becalela z Pragi, o którym wam opowiadałem, tego,
co stworzył golema, pamiętacie?

- Jak mamy nie pamiętać, skoro obiecałeś stworzyć golema dla nas. I co? I też nic z tego
nie wyszło, choć wybraliśmy chyba wszystkim glinę spod Krakowa. Cały sklep do dziś mam
zawalony tym paskudztwem!

- Nie pojmuję, dlaczego się nie udało... - wystękał płaczliwie. -Przecie użyłem tych samych zaklęć co rabbi Becalel! A wracając

308

do niego... Jedno tylko mogło tego maga sprowadzić do Krakowa! Chęć poznania, a może i chronienia Megale Amukota...

- A któż to, u diabła?

- Po żydowsku: Odkrywca Tajemnic. Pośród Żydów rozniosła się niedawno nowina o narodzeniu cudownego dziecięcia o tym właśnie imieniu, godnego następcy wielkich proroków ze Starego Testamentu. Pojmujecie? Skoro Marahał, największy z żydowskich kabalistów i talmudystów zarazem, zjawił się tutaj, to oznacza, że Megale Amukot urodził się w Mieście Żydowskim na Kaźmierzu! Wystarczy porwać to dziecię, bo jego krew z pewnością nada się do zrobienia tynktury! Łacno je znaleźć, gdyż w oknie jego mieszkania dzień i w nocy pali się nigdy niegasnąca świeca. Tylko trzeba uważać, bo Becalel mógł postawić na jego straży golema...

Umilkł, patrząc z nadzieją na blondyna. Ten zaś milczał, bowiem w tej chwili wykuł mu się w głowie szatański plan. A jednak ten marny alchemista przydał mu się na coś. Co bynajmniej nie zachwiało jego postanowieniem.

- Chwalisz się, że znasz hebrajski. Napisz mi, jak będzie „golem” w tym pogańskim języku.

Podsunał mu woskową tabliczkę i rylc. Alchemik sporządził napis i oddał tabliczkę białemu, który rzekł:

- Przestań się tak trząść. Hej, gdzie to wino?

Brunet pojawił się jak duch, z trzema pełnymi kubkami i jeden wcisnął w drżące ręce gościa.

- Napij się - powiedział blondyn, stukając się z nim. -I uspokój. Skończyliśmy współpracę, ale nic ci nie grozi. Musisz jednak zniknąć z miasta. Wrócisz, jeśli będziesz mógł oddać dług. Nie wcześniej. To twoja kara. I od tej pory nie znamy się.

Wypili wszyscy trzej. Poczł tak wielką ulgę, że omal nie zemdłał. Jednak, znając ich dobrze, jeszcze nie wierzył w swoje szczęście. Dopiero gdy znalazł się na ulicy, odetchnął z ulgą. Niewiarygodne stało się faktem. Nie zginął.

Trzy dni później poczuł pierwszy ból w żywocie. Potem dostał krwawej biegunki. Wpierw pocieszał się, że to rozstrój jelit, ale wkrótce zyskał pewność. Został otruty. Natychmiast zażył antidotum, lecz nie miał złudzeń. Płacząc nad sobą i swoim zmarnowanym życiem,

sięgał po kolei po księgi, dla których zdobycia tak bardzo się narażał, a które przywiodły go do tak marnego końca, nic nie dając w zamian,

309

choć tyle obiecywały. Z wściekłością darł je na strzępy i wrzucał do ognia na kominie, karta po karcie. Kiedy spłonęła ostatnia, rozgrzebał popioły ożogiem i chwiejnym krokiem opuścił kwaterę. Sędziwój jeszcze nie wrócił z podróży, więc pozostała mu ostatnia deska ratunku. Tylko jeden człowiek na świecie mógł mu pomóc.

Praga, czerwiec 1588 roku

Cesarz Rudolf II miał problem. A bardzo tego nie lubił. Kłopoty nie tylko psuły mu humor i odbierały apetyt, ale przede wszystkim odrywały od majsterkowania i doświadczeń alchemicznych. A tu jak na złość Dom Habsburski przeżywał najcięższe chwile od lat. Klęska wspaniałej hiszpańskiej armady z angielskimi korsarzami rudowłosej „królowej dziewicy” Elżbiety, bunt w hiszpańskich Niderlandach, zagrożenie ze strony Hircji, no i jeszcze ten dureń Maksymilian dał się uwięzić Polakom. Syn i brat cesarski zakładnikiem! Wstyd na cały świat! Hańba dla Cesarstwa! Trzeba było błagać papieża Sykstusa V o wstawiennictwo. Zręczny kardynał Aldobrandini już ponoć wybierał się na mediacje do Polski. Ale to mało. Zamojski nie raz dowiódł, że potrafi nie liczyć się z nikim, nawet z koronowanymi głowami. A na wojnę z Polską Cesarstwo nie mogło sobie pozwolić, zwłaszcza że księżęta Rzeszy nie zamierzali zadzierać ze wschodnim sąsiadem. Na szczęście był ten parweniusz Zygmunt Waza (swoją drogą, jak ci Polacy mogli przedłożyć kogoś takiego ponad Habsburga! - prawdziwe dzikusy). Ponoć złożył Ernestowi obiecującą propozycję. Na tyle, że młodszy brat domagał się narady w gronie rodzinnym. Cóż, to uciążliwe i nie w porę, ale wypadało go wysłuchać. Mój Boże, jakimi przyziemnymi sprawami musiał się zajmować w chwili, kiedy w pracowni złoto czekało na przetopienie w piękne, foremne sztabki w kształcie cegieł... A także ten niesłychanie zdolny Polak Sendivogius, który uprzedził go o zamiarach swego króla i przychylnie usposobił do całej sprawy.

- Więc jakie są owe kondycje młodego Wazy przedstawione ci za pośrednictwem owego, jak mu tam, Wradera, mój bracie? - spytał z westchnieniem.

Ernest był podekscytowany i rozentuzjasmowany propozycjami przywiezionymi przez Wradera. Co prawda był pierwszy w kolejce

310

do sukcesji po bezdzietnym Rudolfie, ale brat miał dopiero trzydzieści sześć lat, mógł żyć jeszcze długo i spłodzić potomka, więc pewna korona królewska była lepsza od niepewnej cesarskiej. Dlatego gnał z Wiednia do Pragi jak na skrzydłach. Nie odmawiał Maksymilianowi praw do polskiego tronu, ale uważał, że jeśli Polacy nie chcą jego brata, to dla Domu Austriackiego lepszy byłby on, Ernest, niż nikt. Zdawał sobie jednak sprawę, że z

Rudolfem nie pójdzie mu łatwo. Jego wywiad w Polsce potwierdzał, że cesarz i król polski mieli ze sobą zdumiewająco wiele wspólnego. Więcej niż on z zaledwie

0 rok starszym bratem, chociaż razem wychowywali się na dworze hiszpańskim swego stryja Filipa II. Rudolf przejął z Hiszpanii język, strój i styl życia, choć bez przesadnej religijności. Ale poza tym wiele łączyło go z Zygmuntem Wazą - brak zamiłowania do wojny

1 pewna gnuśność, małowówność, odkładanie decyzji w nieskończoność, melancholijność połączona z napadami gniewu, pamiętliwość, a przede wszystkim upodobanie do sztuki i wszelkich nauk, w tym tajemnych. Ostatnio zaś zaczął zdradzać objawy niejakiej aberracji umysłowej, coraz bardziej oddalając się od rzeczywistości i coraz częściej zrzucając obowiązki na tajną radę cesarską, w której rej wodził podkanclerzy Jakub Kurtz. Dlatego Ernest musiał poskromić entuzjazm i starannie dobrać słowa.

- Warunki Zygmunta, przekazane przez Wradera w listach napisanych przez Gustawa i Eryka Brahego - położył pisma przed cesarzem - są następujące: Estonia dla Szwecji, za to zrzeczenie się Szwecji roszczeń do reszty Inflant, o ile będą dożywotnio płacił za nie Zygmunтови odszkodowanie, zwrot somma Barensse, sum barskich w Polsce zwanych neapolitańskimi oraz wypłata zaległego posagu jego matki Katarzyny. Zaś po śmierci Anny Jagiellonki winie-nem wydać Zygmunтови wszystkie jej ruchomości, zawrzeć pokój i przymierze z królem szwedzkim przeciw Moskwie i wynagrodzić wierne sługi Zygmunta. Na koniec: mam poślubić Annę Wazównę, zaś Zygmunt jedną z córek stryja Karola.

- Żaden Habsburg nie ożeni się z kacerką - odparł Rudolf stanowczo, udając że przegląda listy. - Na to nie może być zgody.

Rudolf nie był zbyt religijny, jednak nie mógł burzyć swego wizerunku władcy arcykatolickiego ani zadzierać z papieżem i Hiszpanią, chociaż nie chodził na pasku ani Rzymu, ani Madrytu.

- Dobrze - zgodził się potulnie Ernest.

311

- A co do pozostałych kondycji... Musimy poznać stanowisko stryjów. - Rudolf swoim zwyczajem wolał odwlec decyzję.

- Już do nich pisałem - rzucił Ernest i podał bratu następne listy. - Oto odpowiedzi.

Wiedząc, że Rudolf nie zada sobie trudu ich przeczytania, pokrótce je streścił. Ferdynand tyrolski z Innsbrucku nie wierzył, by Zygmunt zdołał zrealizować swój plan, poza tym popierał Maksymiliana i twardo domagał się jego uwolnienia za wszelką cenę. Karol styryjski z Grazu ucieszył się z pomysłu wydania córki za Zygmunta i radził przyjąć polskie warunki, także te związane z uwolnieniem Maksymiliana, zdając się przy tym na papieską mediację, bo Cesarstwa nie stać na wojnę z Polską.

- Nieszczęsny casus Maximiliani - westchnął powtórnie Rudolf. - Jakże wiąże nam ręce... Stryj Ferdynand ma rację, Erneście. Nic w twojej sprawie nie możemy uczynić

wcześniej, nim nasz brat nie wróci bezpiecznie do domu i dobrowolnie nie sceduje na ciebie swoich praw.

- Tego możemy się nigdy nie doczekać - wtrącił milczący dotąd trzeci z braci Maciej, którego Ernest poprosił o osobiste poparcie.

Ci dwaj byli podobni do siebie, także z wyglądu. Obaj o twarzach szczupłych i pociągłych, ozdobionych hiszpańskimi bródkami, a przy tym poważni i rozsądni. Z kolei Maksymilian bardziej przypominał Rudolfa. Oblicze lekko nalane, wylupiate oczy, wysunięta habsburska żuchwa z obwisłą wargą, mocniejszy zarost. Obaj niezrównoważeni, z wybuchowymi skłonnościami. Maksymiliana cechowały do tego pycha, wybujała ambicja i brak skrupułów. Przeznaczony do stanu duchownego biskupem nie został, ale jako koadiutor wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego (z siedzibą w Wiedniu, odkąd utracił Prusy) Henryka von Bobenhausena usunął staruszka do konwentu w Alzacji i odtąd bezprawnie mienił się wielkim mistrzem. Zmusić takiego człowieka, aby dobrowolnie wyrzekł się korony, choćby najbardziej mglistej, graniczyło z niepodobieństwem i Maciej zdawał sobie z tego sprawę, mimo iż z całego serca sekundował Ernestowi. Nie tylko dlatego, że zaraz po nim był ewentualnym sukcesorem Rudolfa.

- Stryj Filip II zgadza się z Ferdynandem - dodał Rudolf. - Przekazał mi to jasno ustami don Guillena de San demente. Don Guillen utrzymuje, że propozycje Zygmunta to prowokacja Zamojskiego,

312

który chce poróżnić Ernesta z Maksymilianem, by samemu sięgnąć po tron. Poza tym jego zdaniem Zygmunt co innego mówi, a co innego myśli, co innego przysięga, a co innego pisze. Ergo Hiszpania jest zdecydowana twardo bronić praw Maksymiliana, nawet gdyby miało to grozić wojną z Polską.

- Łatwo im mówić, bo nie oni będą się bić z Polakami - mruknął Maciej. - Zamojski to wyga kuty na cztery łapy i zawołany wojen-nik, a my nie mamy nikogo, kto mógłby się z nim zmierzyć w polu.

- Nie chcę negować praw Maksymiliana - wtrącił Ernest. - Chcę go przekonać, że mam od niego większe szanse na polski tron i do tego potrzebuję poparcia całej rodziny, a zwłaszcza waszej cesarskiej mości.

- Ernest ma rację - zgodził się z nim Maciej. - Uważam, że Maksymilian pogrzebał swoje szanse, zaś Ernest cieszy się w Polsce opinią nieskazitelnego i mądrego człowieka, odkąd podczas ostatniej elekcji oświadczył, że woli raczej nie być obrany niż obrany bez miłości obywateli.

Rudolf wahał się, nie chcąc zająć stanowiska. Zasadniczo zgadzał się z tymi argumentami, popierał Ernesta i za nic nie chciał konfliktu z Zamojskim, którego cenił i wołałby pozyskać drogą układów. Ale też nie zamierzał drażnić Maksymiliana, wybuchowego i skorego do gwałtownych kroków. Obawiał się przy tym, że podrażniony i upokorzony więzieniem

Maksymilian może całą misterną grę Zygmunta z Ernestem ujawnić publicznie, co z jednej strony obróciłoby opinię szlachecką w Polsce przeciw Ernestowi, a z drugiej ujawniło gorszące niesnaski w rodzinie cesarskiej, zaś to fatalnie odbiłoby się na interesach Domu Austriackiego w Rzeszy, na Węgrzech i w Niderlandach. Co robić?

- Jeżeli tak ci na tym zależy - rzekł wreszcie do Ernesta z kolejnym westchnieniem, bowiem rozbrat z alchemią przeciągał się zdecydowanie ponad miarę - tedy każ spisać Westernacherowi ostateczną asekurację dla Zygmunta, a ja ją zatwierdzę i niech diabli wezmą protesty stryja Filipa oraz zastrzeżenia de Clemente. Musicie w niej wszak przypomnieć, że inicjatywa wyszła od Zygmunta, ty za-się godzisz się objąć tron, ale nie ożenić z ewangeliczką Anną, i tylko pod warunkiem że Zygmunt po swojej abdykacji uzyska zgodę sejmu na twoją sukcesję. Dopiero w takim wypadku przystaniesz na pozostałe kondycje. Jednak wyślecie asekurację Zygmuntowi

313

dopiero wtedy, gdy Maksymilian wróci z niewoli i przedstawi swoje stanowisko w tej sprawie. A na razie poczekajmy na to, co uda się osiągnąć kardynałowi Aldobrandiniemu, oraz na sejm w Polsce, by sytuacja się przejaśniła. Tymczasem mogę wysłać do Zygmunta z listami imię Daniela Printza, by wybałał sytuację na miejscu. Niechaj ten cały Wrader zaczeka na niego w Ołomuńcu, pojedą razem. Do czasu powrotu Printza wszelka wiążąca odpowiedź na propozycje Zygmunta musi pozostać w zawieszeniu.

Był z siebie zadowolony, bo odwlekał decyzję, a równocześnie w ten sposób chwilowo uśmierzał rozbrat w rodzinie cesarskiej. Ernest też nie narzekał, bowiem nie liczył, by udało mu się uzyskać więcej.

- Ale mogę ze swej strony też kogoś wysłać? Wypada mi osobiście odpowiedzieć Zygmuntowi, choćby ogródkami.

- Dobrze.

Kilka dni później z Wiednia do Krakowa wyjeżdżał komornik Ernesta Jonas von Heissberg, który nie był dotąd w Polsce i nikt go tam nie znał. Zamierzał dyskretnie przekroczyć granicę i unikać polskich starostów. Wiózł listy od arcyksięcia i miał przykazane, by spotkać się w Krakowie z Wraderem i Sycymińskim oraz hrabią Gustawem Brahe i samym królem i uzyskać stanowczą obietnicę cesji w miejsce niewiążącej propozycji.

Tymczasem Daniel Printz, Ślązak, tajny radca cesarski znający język polski, często wysyłany z misjami do Polski, odbierał w Pradze listy cesarza do króla Zygmunta. Podkanclerzy Jakub Kurtz, który je przygotował, wręczając pisma posłowi, dodał:

- Czekaając na odpowiedź jego królewskiej mości, udacie się do gospody „Pod Jeleniem” przy krakowskim Rynku. Tam spotkacie doktora Kala, którego znacie. Powiedzcie mu, że jak najprędzej życzymy sobie mieć w Pradze Gustawa Erikssona. Cena nie gra roli. Niech mu obieca, co tylko zechce.

- Wymienimy Erikssona na arcyksięcia Maksymiliana?
- To nie takie proste. O losie Maksymiliana nie decyduje król, lecz kanclerz i sejm polski. Ale Eriksson przyda nam się na wypadek, gdyby król polski zmienił zdanie w pewnej delikatnej kwestii.

314

* " tA

Kraków, czerwiec 1588 roku

- Więc jak? Przyjmujesz tę robotę, acan? - spytał zniecierpliwiony przedłużającym się milczeniem tamtego. - Ponoć jesteś najlepszy w tym fachu. Zaczynam w to wątpić.
- To trudna sprawa. On jest jednym z dwóch najniebezpieczniejszych ludzi, jakich znam. A możesz mi wierzyć, wasze, że to nie byle jaka rekomendacja.
- Znasz go?
- Bardzo dobrze.
- To ułatwia sprawę.
- Albo nie. On też wie, na co mnie stać. Ciężko będzie go podejść.
- Dam ci ludzi. Żaden z nich nie jest na tyle dobry, by mu powierzyć to zadanie, lecz na pomocników nadadzą się doskonale.
- Nie trzeba. Zawsze pracuję sam.
- A jak zdrowie?
- Już w porządku. Dzięki za polecenie chirurga. Sprawił się doskonale.
- Więc jak będzie?
- Zgoda. Jednak potrzebuję czasu na opracowanie planu.
- Miesiąc wystarczy?
- Powinien. Pozostaje kwestia ceny. Wedle mojego szacunku cel jest wart tysiąc dukatów. Połowa teraz, połowa po robocie.
- Nie lękasz się, że nie otrzymasz drugiej raty? - spytał, bez żalu odliczając pięćset czerwonych złotych, ponieważ wszystkie były fałszywe.
- Zawsze odbieram, co mi się należy. - Albinos uśmiechnął się zimno. - Zawiązką, jeśli zleceniodawca jest niesłowny.

- Ja również - powiedział, od początku zamierzając pozbyć się zabójcy, gdy tylko ten wykona zadanie. Jeśli był taki dobry, jak niosła fama, i w istocie zdoła tego dokonać, tedy dla nich dwóch miasto będzie za ciasne.

- Zatem rozumiemy się doskonale - odparł bielak. Zasięgnął języka o tym człowieku i wyrobił sobie o nim zdanie, dlatego z góry zakładał, że będzie musiał siłą odebrać należność i zabić nieuczciwego mocodawcę, choćby po to, by dać odstrasżający przykład naśladowcom.

315

- I jeszcze jedno - tamten podsunął mu woskową tabliczkę z jakimiś bazgrołami. - Chciałbym, żebyś po wszystkim wymalował te buksztaby na ścianie. Krwią. A potem zniszczył tabliczkę.

- Nie ma problemu. Inkaustu będzie pod dostatkiem.

- Mości Kettler - padło niespodziewanie, gdy już docierał do drzwi. - Czy lubicie swoją profesję?

- A cóż tu jest do lubienia? - zdumiał się. - Robota jak robota. Trzeba z czegoś żyć.

Oświęcim, czerwiec 1588 roku

Lambert Wrader czekał na cesarskiego posła w Ołomuńcu, jak było umówione. Był sam, ponieważ Sędziwój został w Pradze. Chciał nacieszyć się dawno niewidzianym synem, odwiedzić starych znajomych, a w drodze powrotnej, jak zwierzył się Inflantczykowi po pijanemu, wziąć w jakimś wiejskim kościółku cichy ślub z Teresą Rokosz primo voto Seton. Ona co prawda spodziewała się hucznej uroczystości, lecz Sędziwój wolał uniknąć skandalu, jako że od śmierci jej pierwszego męża minął zaledwie miesiąc z okładem.

Kiedy Printz przybył nareszcie, mimo nalegań Wradera, który podróżował już od miesiąca i miał prawo czuć się o wiele bardziej zmęczony, nie chciał zaraz ruszać w drogę. Zwłaszcza że Stanisław Pawłowski, biskup ołomuniecki i poseł cesarski zarazem, przyjął ich bardzo serdecznie. Kiedy goście zmierzali do sali biesiadnej, ksiądz biskup skreślił kilka zdań, złożył kartę, zapieczętował ją i dopiero wówczas wezwał sekretarza.

- Pojedziecie do Oświęcimia i oddacie to tamtejszemu staroście, imię Piotrowi Myszkowskiemu. Odpowiedzi nie będzie. Ruszajcie.

Wrader przez skórę czuł zbliżające się kłopoty. Ten dar rzadko go zawodził. Dlatego chętnie ominąłby Oświęcim, zwłaszcza że starosta Piotr Myszkowski był zwolennikiem hetmana Zamojskiego, pod którego komendą walczył pod Byczyną. Jednak obaj z Printzem byli zbyt znani, żeby przemknąć niepostrzeżenie aż do Krakowa. Starostowie odpowiadali za obcych na swoim terenie, zwłaszcza pogranicznym, więc gdyby podróżni nie opowiedzieli się Myszkowskiemu, wyglądałoby to bardzo podejrzanie. Szczególnie że Wrader

316

z Sędziwojem przejeżdżali niedawno przez Oświęcim w drodze do Czech.

Oba przygraniczne miasta dzieliła niewielka odległość, ale chociaż rozłożyli podróż na dwa etapy, z noclegiem w Cieszynie, do Oświęcimia dotarli dopiero pod wieczór, ponieważ poseł cesarski biesiadował do późna, wstawał przed południem, nie ruszał w drogę, nim się nie pokrzepił, a potem przykazywał woźnicy, by jechał wolno i ostrożnie, aby kolasą zbyt nie trzęsło. W tej sytuacji nie dało się zaraz jechać naprzód i zatrzymać dopiero w Zatorze, jak chciał Lambert.

- Niemożliwe - stwierdził kategorycznie Myszkowski. - W Zatorze wciąż żałoba po nagłym zgonie imię wojewody krakowskiego i starosty Zatorskiego Jędrzeja Tęczyńskiego...

- Jak to? - zdumiał się Inflantczyk. - Toć pan wojewoda podejmował nas z imię Sędziwojem w Zatorze nie dalej jak przed miesiącem... Nie wyglądał na chorego. Kiedy umarł?

- 22 maja. Miał siedemdziesiąt osiem lat. A waszmość kiedyś go widział ostatni raz?

- Nie pomnę. Osiemnastego albo dziewiętnastego.

- Coś podobnego! A co dziwniejsze, dzień potem umarła jejmość wojewodzina Zofia z Dembowskich...

- Nie może to być!

- A jednak. Ciała w ołowianych trumnach już czekają na przewiezienie do Końskowoli, w rodzinne strony imię wojewody.

Kręcąc głowami nad niepewnością ludzkiego losu i osobliwymi zbiegami okoliczności, udali się na traktament. Zamek był stary i od dawna nieremontowany. Choć starosta przydzielił gościom najwygodniejsze kwatery, z murów wiało chłodem mimo ognia płonącego w kominkach. Wraderowi to nie przeszkadzało. Był wykończony. Zamierzał opatulić się dokładnie i spać jak zabity do rana. Dlatego wcześniej wstał od stołu, pożegnał towarzystwo i udał się na spoczynek. Printz miał inne plany, zwłaszcza że w jego izbie stało wygodne łóżko z kotarą, wprost zachęcające do miłosnych igraszek. A podczas biesiady wpadła mu w oko pewna fertyczna służka, hojnie obdarzona przez naturę. Myszkowski raczył cesarskiego posła najlepszym winem, a gdy ten chwiejnym krokiem wybierał się wreszcie do spania, mrugnął do piersiastej dziewczki i polecił:

- Odprowadź pana radcę i pomóż mu się rozdziać.

317

Nie dała się prosić, a Printz był zachwycony, mogąc złapać ją za jędrny zadek. W drugiej ręce trzymał napoczętą flaszkę. Chichocząc, grzebał w kieszeni, znalazł klucz, przekręcił go w zamku, pchnął drzwi i wpadł do komnaty głową naprzód, wykładając się na posadzce jak

długi i pociągając za sobą dziewczkę. Zaczął obślinać jej piersi, które nagle znalazły się na wysokości jego twarzy, lecz wyrwała mu się ze śmiechem:

- Zaczekajcie krzynę, wielmożny panie, do łoża już niedaleko.

Popęzł w tamtym kierunku na czworakach, poszczekując jak pies.

- Zam.. .knij drz.. .wi, ep - polecił, czkając i usiłując wdrapać się na wysokie legowisko.

Przekręciła klucz w jedną, potem w drugą stronę, a wskakując do łóżka, już nie miała na sobie sukni i niczego innego.

- Mein Gott! - westchnął Printz i pociągnął zdrowy łyk. - Jestem w niebie!

- Dopiero będziesz - obiecała, ściągając mu spodnie, a potem koszulę.

Przewrócił ją na plecy, wczuł się na nią, resztką wina oblał nabrzmiałe piersi, wielkie jak arbuzy i zaczął zlizywać trunek, mlaszcząc i pochrzäkując jak knur.

- Łaskoczesz mnie - poskarżyła się i dotknęła kluczyka zwisającego mu z szyi. - Co to jest?

- Nic takiego, duszko.

- Tedy precz z tym! - Ściągnęła mu sznurek przez głowę i odrzuciła kluczyk w kierunku drzwi.

Chciał zaprotestować, lecz przewróciła go i teraz ona usiadła na nim, a jej obfite, wilgotne łono przyłgnęło do jego gorącego przyrodzenia. Dziesięć minut później do izby wśliznął się Myszkowski. W świetle ognia z kominka dostrzegł zasunięte ściany namiotu i uśmiechnął się z zadowoleniem, słysząc dobiegające stamtąd odgłosy. "TYzeba będzie jutro dziewczkę sowicie wynagrodzić, bowiem najwyraźniej się nie oszczędzała. Podniósł kluczyk z pawimentu, podszedł do kowanej szkatuły wsuniętej pod krzesło, otworzył ją, wyjął wszystkie znajdujące się tam papiery i zamiast nich włożył własne. Zamknął skrzynkę, odstawił na miejsce, a wychodząc, położył kluczyk na posadzce, to samo robiąc z kluczem od drzwi. Zawsze mógł wypaść. Pan radca z pewnością nie będzie rano zbyt

318

wiele pamiętać. Trzymał dłoń na kłamce i już miał wyjść, kiedy zza kotary dobiegł go głośny jęk, a potem krzyk rozkoszy. Zaśmiał się bezgłośnie, pokręcił głową i wyszedł, przekręcając w zamku własny klucz.

Do Krakowa dotarli nazajutrz tuż przed zamknięciem bram, tylko dlatego że Wrader stracił cierpliwość i kazał poganiać konie, a Printz nie protestował, kołysany rozkosznymi wspomnieniami. Z rozmarzenia wyrwał go dopiero zimny ton króla:

- Może nas objaśnicie, panie pośle, co to ma znaczyć?

Oprócz Wradera w prywatnym apartamencie króla byli tylko

Sycymiński, hrabia Gustaw Brahe i królowna Anna. Brahe wybierał po kolei rzekome listy ze szkatuły, łamał niewyraźne pieczęcie i otwierał puste karty.

- Nie pojmuję... - wystękał Printz. - Toż przy mnie imć kanclerz Kurtz pieczętował listy...

Wtem pojął, kiedy i w jaki sposób mogło dojść do podmiany papierów, i oblał się zimnym potem.

- Chńst\ To sprawka starosty oświęcimskiego! Było tak...

- Będziesz się tłumaczył swemu panu, pośle - król zgrzytnął jak nienaoliwiony zawias.

- Myszkowski to człowiek Zamojskiego - wtrącił Brahe. - Wyprze się wszystkiego, a my nawet nie możemy się przyznać, że wiedzieliśmy o istnieniu tych listów. Zresztą pewnie są już w drodze do Zamościa.

- Myślisz, że tego nie wiemy, hrabio? - rzekł Zygmunt z goryczą.

- Co teraz? - spytał zmartwiony Sycymiński.

- A co ma być? Zamojski ujawni listy i będziemy skompromitowani - westchnął król z rezygnacją.

- Jeszcze do tego nie doszło. - Królowna szwedzka jako jedyna w tym gronie nie straciła zimnej krwi. - Znam kogoś, kto może nam pomóc.

319

■

Krasnystaw, lipiec 1588 roku

Doktor Georg Kai po serdecznym powitaniu z arcyksięciem, który niezwykle ucieszył się na widok rodaka i zarzucił miłego gościa pytaniami o sprawy w rodzinie i cesarstwie, spojrział wymownie na Marka Sobieskiego. Ale książęcy dozorca nie przejął się tym niemym wyproszeniem.

- Wszystkie rozmowy z jego wysokością muszą się odbywać w mojej przytomności, zaś wszelka korespondencja przechodzić przez moje ręce - oświadczył niewzruszony. - Takie mam rozkazy.

Kał wzruszył ramionami i odwrócił się plecami do strażnika, jawnie okazując mu swoje lekceważenie.

- Przybywam prosto od imię hetmana, wasza wysokość, u którego w imieniu jego cesarskiej mości oraz arcyksięcia Ernesta negocjowałem warunki pokoju i waszego uwolnienia - oznajmił.

- Rychło mnie wypuści?

- Niestety, nie prędzej, niż zostaną spełnione następujące kondycje, przedstawione jego cesarskiej mości za moim pośrednictwem: zwrócić zajętą Lubowlę, wyrzec się układów z Moskwą przeciw Polsce i Szwecji, zaprzestać wtrącania się w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej, a zwłaszcza popierania waszej wysokości i jego stronników... Przypominam, że ja jedynie powtarzam, co mi kazano - zastrzegł. - Ponadto Dom Austriacki musi uznać Zygmunta III za króla polskiego i wielkiego księcia litewskiego, zaś wasza miłość zrzec się tytułu króla polskiego...

- Niedoczekanie!

- Tedy o uwolnieniu możecie zapomnieć, wasza wysokość. Jego cesarska mość stawia sprawę jasno: o waszą osobę wojny z Rzeczpospolitą toczyć nie zamierza.

Doświadczony dyplomata nie cenił Maksymiliana, uważając go za najmniej udanego z arcyksiążąt. Chętnie by mu wprost wygarnął: nawarzyłeś piwa, to je teraz wypij. Ale nie mógł.

- Bezczelne żądania! Nie do przyjęcia! Nie zgadzam się! To wszystko wina Ernesta! O, wiem ja dobrze, o co mu idzie! Sam chciałby zostać polskim królem! Dogadał się z tym uzurpatorem Zygmuntem! Niedoczekanie wasze, niecni praktykanci! Już ja wam pokrzyżuję szyki!

320

Miotając gniewnie żale i pogrożki, przemierzał izbę wielkimi krokami, zupełnie zapomniawszy o obecności Sobieskiego, do której tak przywykł, że już mu nie przeszkadzała. Zrodziła się między nimi owa dziwaczna więź, często spotykana między więźniami a ich dozorcami, przypominająca jakiś chorobliwy rodzaj przyjaźni. Raptem rzucił się do pulpitu i zaczął pospiesznie pisać. Z nerwów złamał pióro, odrzucił je, klnąc pod nosem, porwał drugie i dokończył pisanie, po czym bez słowa wręczył list Sobieskiemu.

Silacz dokładnie przeczytał pismo, celowo napisane po łacinie, a nie po niemiecku, i nie znalazł w nim nic podejrzanego. Zresztą Zamojski podczas ostatniej wizyty uprzedził Sobieskiego, że wiadomość podobnej treści wolno będzie więźniowi przesłać. Zwrócił więc list, który Maksymilian zapieczętował i podał Kałowi.

- Zawieziecie to do Wiener Neustadt, doktorze, i oddacie do rąk własnych imię Janowi Duckerowi, którego znacie. - Ducker, zaufany sekretarz Maksymiliana, był to szlachcic inflancki, który na dworze cesarskim pełnił podobną funkcję jak jego rodak Wrader na polskim. - On już będzie wiedział, co czynić. A mojemu cesarskiemu bratu przekażcie ustnie,

że na tak hańbiące warunki nigdy się nie zgodzę, nawet gdyby mi przyszło zgnić w więzieniu!
I basta!

- Imć Hiropoński... Co... Jak... Jakim sposobem...

- Usiądźcie, panie mieczniku wielki koronny, bo coś nie najlepiej wyglądacie. Źle się czujecie?

- Ja... Nic nie pojmuję... - Opadł ciężko na podsunięte przeze mnie nogą krzesło. - Skąd... Czyżbyś waść też...

W oku mu błysnęło. Musiałem rozwiać jego złudzenia. Bez przykrości.

- Nie jestem konfratrem róży i krzyża, jeśli o to ci szło.

Niepewny uśmiech, który wykrzywił mu przystojną twarz, zgasł

tak szybko, jak się pojawił. Rozdziawił usta.

- Wasze sekretne pismo nie sprawiło mi zbytnej turbacji, choć miałem do dyspozycji jedynie strzępy zapisków wykonanych per ciffras.

Z wolna dochodził do równowagi.

- A skąd wiesz o bractwie róży i krzyża?

- Mam swoje sposoby.

Pokręcił głową.

321

Miotając gniewnie zale i pogroźki, przemierzał izbę wielkimi krokami, zupełnie zapomniawszy o obecności Sobieskiego, do której tak przywykł, że już mu nie przeszkadzała. Zrodziła się między nimi owa dziwaczna więź, często spotykana między więźniami a ich dozorcami, przypominająca jakiś chorobliwy rodzaj przyjaźni. Raptem rzucił się do pulpitu i zaczął pospiesznie pisać. Z nerwów złamał pióro, odrzucił je, klnąc pod nosem, porwał drugie i dokończył pisanie, po czym bez słowa wręczył list Sobieskiemu.

Siłacz dokładnie przeczytał pismo, celowo napisane po łacinie, a nie po niemiecku, i nie znalazł w nim nic podejrzanego. Zresztą Zamojski podczas ostatniej wizyty uprzedził Sobieskiego, że wiadomość podobnej treści wolno będzie więźniowi przesłać. Zwrócił więc list, który Maksymilian zapieczętował i podał Kałowi.

- Zawieziecie to do Wiener Neustadt, doktorze, i oddacie do rąk własnych imć Janowi Duckerowi, którego znacie. - Ducker, zaufany sekretarz Maksymiliana, był to szlachcic inflancki, który na dworze cesarskim pełnił podobną funkcję jak jego rodak Wrader na polskim. - On już będzie wiedział, co czynić. A mojemu cesarskiemu bratu przekazacie ustnie, że na tak hańbiące warunki nigdy się nie zgodzę, nawet gdyby mi przyszło zgnić w więzieniu!
I basta!

- Imć Hiropoński... Co... Jak... Jakim sposobem...
- Usiądźcie, panie mieczniku wielki koronny, bo coś nie najlepiej wyglądacie. Źle się czujecie?
- Ja... Nic nie pojmuję... - Opadł ciężko na podsunięte przeze mnie nogą krzesło. - Skąd... Czyżbyś waść też...

W oku mu błysnęło. Musiałem rozwiać jego złudzenia. Bez przykrości.

- Nie jestem konfratrem róży i krzyża, jeśli o to ci szło.

Niepewny uśmiech, który wykrzywił mu przystojną twarz, zgasł

tak szybko, jak się pojawił. Rozdziawił usta.

- Wasze sekretne pismo nie sprawiło mi zbytnej turbacji, choć miałem do dyspozycji jedynie strzępy zapisków wykonanych per ciffras.

Z wolna dochodził do równowagi.

- A skąd wiesz o bractwie róży i krzyża?
- Mam swoje sposoby.

Pokręcił głową.

321

- Ostrzegano mnie przed waścią. A mimo to dałem się zaskoczyć. Czego chcesz?
- Porwaliście mi syna. Naraziliście go na niebezpieczeństwo i prawie śmiertelnie przestraszyliście moją żonę. Nie ujdzie wam to płazem, ponieważ muszę mieć pewność, że to się nigdy nie powtórzy.

Uciekł z oczyma i starł wierzchem dłoni pot, który wystąpił mu na czoło.

- Nie maczałem w tym palców - stęknął.
- Ale byłeś przy tym. To czyni cię współwinnym.
- Jeśli wiesz tyle, choć, na miły Bóg! nie mam pojęcia skąd, to powinieneś także wiedzieć, że próbowałem go powstrzymać...
- Skoro sam o tym wspomniałeś, to powiedz mi o Araneusie.

Wytarł wilgotne dłonie o aksamitny czarny kaftan i poluzował

kryzę pod szyją, jakby nagle zaczęła go dusić.

- Dobry Boże!

- Przeceniasz mnie.
- Jesteś chyba diablem!
- Już lepiej, acz mimo wszystko wciąż mnie przeceniasz. No dalej, mów.
- To on wprowadził mnie do różokrzyżowców. W Pradze.
- Sędziwoja też?
- Nie. Sędziwój od razu się na nim poznał. Poza tym woli chodzić własnymi drogami.
- Dlaczego się z nimi związałeś?
- Bo lubię alchemię, ale nie znam się na niej za dobrze. Sędziwoja poznałem na studiach w naszej akademii. Podróżyliśmy się, gdyż obu nas pasjonowały nauki tajemne. Araneus też wówczas jeszcze studiował, a poza tym dorabiał sobie jako pomocnik librariu-sza. Dzięki temu mogliśmy pożyczać księgi, do których inaczej nie mielibyśmy przystępu. Potem straciliśmy Araneusa z oczu i wszyscy razem spotkaliśmy się dopiero w Pradze. Już wówczas należał do bractwa. Przekonał mnie, bym też do niego wstąpił, wtedy wyjawi mi tajemnice alchemii, które posiadał. Kusił niczym szatan, a ja, głupi, dałem się omamić. Wkrótce tego pożałowałem.
- Dlaczego?
- Bo wnet pokazało się, że to frant i nie umie więcej ode mnie. W Pradze szybko się na nim poznali i nie cieszył się poważaniem,

322

a na jego przyjaciół także spoglądano nieufnie. Po elekcji króla Zygmunta wróciliśmy z Sędziwojem do kraju. Niedługo potem Araneus przybył za nami. Dowiedział się, że Sędziwój jest bliski odkrycia Wielkiego Magisterium, a ponieważ nie zgodził się na współpracę, Araneus próbował go zmusić do przystąpienia do bractwa...

- Napadając na jego dom i przywiązując do różanego krzyża, żeby sobie to i owo przemyślał, nim sięgną po mocniejsze argumenty?
- O tym też wiesz? Racja, Sędziwój wspominał, że go wtedy wybawiłeś. Gdyby uległ i wstąpił do bractwa, musiałby ujawnić swoje sekrety, gdyż wszyscy konfratry mają obowiązek wzajem się wspierać i pomagać sobie w każdej potrzebie.
- Dlatego nie mogłeś mu odmówić, kiedy dowiedział się o waszych spotkaniach na Wawelu i zechciał się przyłączyć?

Westchnął.

- Niestety. Dlatego Sędziwój, choć do bractwa nie należy, to jako alchemista siłą rzeczy przyjaźni się z wieloma sodalisami. Tak to jest: jeśli wejdiesz między wrony, musisz krakać jak one. Zatem Sędziwój pogodził się z Araneusem, a kiedy dowiedział się, że jego dawny mistrz Angielczyk Seton... Słyszałeś o nim?

- To ten jedyny z żyjących, który odkrył Wielką Tajemnicę?

- O tym też wiesz? Dobry Jezu, czy nic się przed tobą nie ukryje? Zatem Seton został uwięziony przez księcia saskiego, a Sędziwój na początku tego roku, sprzedawszy wszystko, co miał, i pożyczwszy znaczną sumę ode mnie, wyruszył mu w sukurs...

To dlatego Sędziwój sprzedał dom na Garbarach i to w tej sprawie peregrynował, kiedyśmy go z Janką podejrzewali, że udał się do Wilna wykraść dzieło Twardowskiego.

- ... Udało mu się wyrwać Setona z więzienia i przywieźć do Krakowa, lecz sławny alchemista rychło zmarł w wyniku otrzymanych podczas tortur obrażeń. Niedawno odbył się jego pogrzeb. Wiedziałaś o tym?

- O tym akurat nie.

Odetchnął z pewną dozą ulgi.

- Jednak nie jesteś wszechwiedzący. To pocieszające.

- Wróćmy do rzeczy - sprowadziłem go na ziemię. - Dlaczego Araneus porwał mojego syna?

- Spotykaliśmy się tutaj, bo tak było najwygodniej. Araneus był za młodu pomocnikiem imć Górnickiego, kiedy ów zawiadywał

323

królewską biblioteką, i wtedy odkrył sekretne przejście. Wykorzystywaliśmy je potem czasami, żeby nie wzbudzać ciekawości dworzan i sług. Nie robiliśmy nic złego, studiowaliśmy księgi i obmyślaliśmy eksperymenty, lecz dla niektórych alchemia to sprawa diabelska, a mnie dodatkowo nie ufano, bo przybyłem prosto od cesarza. Szczęściem król myśli inaczej, ale niewiele trzeba, by stracić jego łaski...

- Ad rem - przypomniałem.

- Kiedy wasz synek wypadkiem odkrył sekretny przełaz, Araneus przestraszył się bardzo. Zna ciebie i twoją żonę chyba także...

- Owszem. I pozna jeszcze lepiej.

- Zabroniłem mu ich tykać, ale nie posłuchał, a w hierarchii bractwa stoi wyżej. Zapewniał jednak, że żadna krzywda małemu się nie stała. Że to była jedynie przestroga dla jejmości Hiropońskiej, aby nic ci nie mówiła.

- A księga Twardowskiego skradziona z kolegium wileńskiego?

Odwrócił wzrok.

- Nie było innego sposobu, by ją zdobyć, kiedy zorientowaliśmy się, że w tutejszej librarii jej nie ma. Sędziwój pojechał po Setona, więc Araneusa zżerała zazdrość, że Sendivogius pierwszy zdobędzie tynkturę od swego wdzięcznego za ratunek mistrza. Tedy postanowił go uprzędzić. Ale doprawdy nie pojmuję...

- Skąd o tym wiem? Bo ten łotr miał czelność podszyć się pode mnie, a wcześniej w moim imieniu pisemnie poprosił imć Górnickiego o list instancjonalny do ojców jezuitów. Zapewne uznał, że umrę i nigdy się o tym nie dowiem. Nie mów tylko, żeś nie słyszał o tym frantostwie.

- Nie, Bóg świadkiem! Uwierz mi!

Patrzył na mnie błagalnie. Dałem mu wiarę, co zresztą nie miało wielkiego znaczenia. Wolski, a i Sędziwój, nie patrzyli mi na ludzi zdolnych do podłości. Do oszustwa w imię nauki lub dla potwierdzenia jakichś swoich dziwacznych teorii, owszem. Pewnie nawet nie dostrzegliby w tym nic złego. Woleli się sami oszukiwać i zawsze mieli na podporządku dobre usprawiedliwienie. Nie ufałem mu, ale nie miałem go za takiego łotra, jakim niewątpliwie stał się Araneus. Co do Sędziwoja - miało się okazać.

- Gdzie znajdę Araneusa?

324

Rozłożył ręce. Już nie był tak przestraszony jak na początku.

- Nie wiem, gdzie mieszka. Nigdy tam nie byłem. Naprawdę.

Gdyby wiedział, pewnie też by nic nie rzekł ze względu na solidarność konfratrów róży i krzyża.

- Ale - dodał - za kilka dni przybędzie na Wawel, by zademonstrować swą sztukę przed królem. Musiałem mu to obiecać, bo taka była umowa, o ile posiadzie Tajemnicę. A twierdzi, że ją posiadał. Nie mogłem odmówić.

- Łże. To szacher-jur.

Spojrzał na mnie chytrze.

- Zatem uprzędę króla o takiej możliwości, a waść położysz areszt na oszuście.

- Będę chciał dokładnie obejrzeć pracownię przed eksperymentem i zaraz po nim.
- Dopilnuję tego - rzucił skwapliwie, po czym spytał: - Czemu tak dziwnie na mnie patrzysz?
- Bo jestem ciekaw, dlaczego nagle stałeś się taki chętny do współpracy.
- Będę z tobą szczerzy, doktorze. Araneus jest nieodpowiedzialny i niebezpieczny. I zadaje się z nieprzyjemnymi ludźmi. Nie znam ich, ale nawet on się ich boi. Zdaje się, że został wplątany w coś, co go przerosło. Lękam się, by nie skompromitował mnie wobec króla. Dlatego wolę się zabezpieczyć. Świętej pamięci króla Stefana alchemia nie zajmowała wcale. Król Zygmunt jest inny. Kocha ją jak ja i Sędziwój. Razem możemy dokonać wielkich rzeczy, które uszczęśliwią wielu ludzi. Całe życie czekałem na taką sposobność i nie pozwolę, by Araneus to zepsuł.
- Pojmuję. A Sędziwój? Jesteś go pewny?
- Jak siebie samego. A waść nie?
- Będę, kiedy znajomy złotnik sprawdzi dla mnie dwa dukaty, które w przytomności króla Sędziwój jakoby uzyskał alchemickim sposobem.

To na powrót nim wstrząsnęło. Znow popatrzył na mnie ze strachem. Skorzystałem z okazji, by jeszcze bardziej nadważyć jego pewność siebie i przekonanie, że oto wytworzyła się między nami jakaś prawie braterska więź. Wydobyłem sztylet i machnąłem nim tak szybko, że zdążył tylko pobladnąć, po czym z niedowierzaniem poruszył ręką, której nawet nie drasnąłem. Końcem

325

4

ostrza rozchyliłem rozcięcie w kaftanie i koszuli, obnażając różę wypaloną na ramieniu.

- Na waszym miejscu, mości mieczniku, pozbyłbym się tego albo zastąpił innym signum. Niezyczliwi mogliby to wykorzystać, by zohydzić twoją osobę w oczach króla.
- Dzięki za dobrą radę, doktorze - rzeki, przełykając ślinę.
- Od tego są medycy.
- Możemy już iść? - Podniósł się z krzesła, trzymając dłoń na rozcięciu.
- Chyba że korzystając z okazji, pragniesz w spokoju oddać się lekturze. - Też się podniosłem. - Którędy wyjdziemy, przez drzwi czy przez kominek za przełazem?
- TYefniś z ciebie. - uśmiechnął się z przekąsem.

- To cały ja. Do rany przyłoż.

Sądząc z tego, jak na mnie spojrział, niezupełnie się z tym zgadzał. Ale rozstaliśmy się w zgodzie. Tydzień później, grubo przed świtem, tłumiąc ziewanie, za imię Wolskim udawałem się do prywatnych apartamentów króla. Towarzyszył nam Gustaw.

- Zabierz mnie ze sobą - poprosił, dowiedziawszy się, dokąd i po co się wybieram.

- Bez ciebie bym się nie ruszył - odparłem zgodnie z prawdą, ponieważ na gruncie alchemii wciąż czułem się niepewnie, a do Wolskiego miałem ograniczone zaufanie.

Miecznik koronny zaprowadził nas prosto do Alchemii, jak nazwał pracownię alchemiczną, którą razem z Sędziwojem pomagali królowi wyposażyć. Była to dość obszerna komnata ze starodawnym krzyżowym sklepieniem wspartym na jednym, centralnym filarze oraz z dwoma dużymi oknami.

- Dzisiejsza projekcja odbędzie się bez postronnych spectato-rów - oznajmił. - Tylko król, ja i Araneus.

- Doskonale - rzekłem. - Tylko co to jest projekcja?

- W procesie tyngowania, czyli uszlachetniania metali, to moment wrzucenia na roztopiony metal nieszlachetny tynktury alias kamienia filozoficznego w postaci conterfeksu, w efekcie czego następuje transmutacja, to znaczy przemiana dowolnego metalu w złoto.

- A czemu o tak nieludzkiej porze?

- Złoto jest nasieniem Słońca - objaśnił Gustaw. - Tedy najlepiej je robić o pierwszym brzasku.

326

- To prawda - potwierdził Wolski. - Mamy kęs czasu, gdyż Araneus pokazuje królowi skradzione księgi i objaśnia swoją metodę.

- A zatem sprawdźmy, co sam mamy. - Rozejrzałem się po pracowni, gdzie w okazałym kominie już buzował ogień, oświetlając całe pomieszczenie tajemniczym, czerwonym blaskiem.

Nie był to dla mnie nadzwyczajny widok, bawiłem bowiem ongi w pracowni Twardowskiego, niedawnymi czasy widziałem też tę w sklepach domu Sędziwoja. Hitaj także na stole leżały księgi, niektóre otwarte, zwinięte pergaminy i przyrządy do pisania. Pod ścianami zaś leżały i stały miechy i mieszki do podsycania ognia, duże kowadło i kilka mniejszych. Młoty, młotki, szczypcy i drugie narzędzia. A naczyń: szklanych, glinianych i metalowych nikt by nie zliczył. Wagi z odważnikami, moździerze z tłuczkami, wielkie i małe słoje, flaszki o smukłych kształtach, flakoniki, alembiki z długimi zakrzywionymi szyjkami, tygły i Bóg wie

co jeszcze. Niektóre były wypełnione przeróżnymi, kolorowymi płynnymi likworami lub miążkami proszkami.

- To służy do kalcynacji, czyli prażenia. - Widząc, na co patrzę, Wolski pokazał mi coś na kształt patelni. - A to tygiel do rewerberacji, to jest powolnego palenia zamkniętym i ukrytym ogniem.

- Fuj - pochyliwszy się nad jakimś garnkiem, podniosłem pokrywkę i zaraz odłożyłem. - Ależ to śmierdzi!

- To substancja poddana putrefakcji.

- A to co u licha?

- Gnicie. Tak je nazwał Paracels - wyjaśnił Gustaw. - Uważaj!

Wyjął mi z ręki zakorkowany flakon i odstawił na miejsce.

- Nie umiesz czytać? To olej wiotriolowy¹. W jednej chwili spaliłby ci rękę do kości.

- A to co?'

- Woda królewska² - wtrącił Wolski. - Cudowny płyn zdolny rozpuścić złoto. Naleziona niedawno przez Libaviusa.

- Wystarczy. - Zniecierpliwiło mnie to badanie na chybił trafił. -Pora obejrzeć to, co Araneus przyniósł ze sobą i przygotował do projekcji.

1 Stężony kwas siarkowy.

1 Mieszanina kwasu solnego i kwasu azotowego w stosunku 3:1.

327

Wolski zaprowadził nas ku kominkowi, gdzie na szerokiej ławie spoczywały rozmaite akcesoria. Gustaw starannie obejrzał tygiel.

- Zdarzało się już - powiedział - że nieuczciwy magicus podczas rzekomej transmutacji sypał z góry proszek ołowiczny, zaś dołem wyciekało czyste złoto. Tymczasem okazywało się, że tygiel składał się z dwóch skręconych części. Ten wszak jest w porządku.

- Wspominałeś o pomocniku ukrytym w skrzyni... - Podeszedłem do jedynej, za to sporej, włoskiej skrzyni stojącej pod ścianą naprzeciw kominka, pomiędzy oknami.

- To ulubiona sztuczka Honauera, niemieckiego franta. Robi ją w ten sposób, że po wsypaniu w obecności tego, kto za to słono zapłacił, fałszywej tynktury do stopionego ołowiu, z powodu gryzącego dymu obaj wychodzą z pracowni, zamykanej osobiście jedynym kluczem przez zleceniodawcę. Nazajutrz w tyglu znajdują złoto, którym w nocy zastąpił ołów ukryty w skrzyni pomocnik alchemisty. Wszyscy o tym wiedzą, a mimo to Honauer wciąż znajduje naiwnych.

- Kiedyś powinie mu się noga - dodał Wolski.
- W tej skrzyni nie ma nikogo - powiedziałem. -1 jest wewnątrz tak zagracona, że nawet karzeł by się nie wcisnął.

Zmierzyłem głębokość skrzyni, ale nie miała drugiego dna.

- Miihlenfelsowi nawet w obcym miejscu zawsze jakoś udawało się dostać drugi klucz, który dawał swojemu pomocnikowi - powiedział Wolski.

- Co za jeden ten Miihlenfels?

- Inny nieuczciwy alchemista. I główny szampierz Sędziwoja, któremu zazdrości powodzenia.

- Słyszałem - rzekł Gustaw - że Miihlenfels udoskonalił metodę Honauera. Za skrzynią w swojej pracowni ma sprytnie ukryty otwór, zamaskowany zasuwą pomalowaną w kolorze ściany, przez który jego pomocnik przedostaje się do pracowni.

- I ktoś daje się nabierać na takie prostackie sztuczki? - Zdziwiłem się. - Żądza złota naprawdę zaślepia. Czy Araneus przybył z pomocnikiem?

- Nie - odparł Wolski.

Ale na wszelki wypadek z ich pomocą odsunąłem skrzynię i opukałem ścianę. Nic nie odkrywszy, dosunęliśmy skrzynię z powrotem. Wolski położył palec na ustach, podkraść się do wąskich drzwi

328

naprzeciw wejścia, szarpnął klamkę i... mogliśmy podziwiać królewski wychodek. Próżny. Przynajmniej po wierzchu.

- Nic - stwierdziłem. - Z tego, co mówiliście, wynika, że primo: do oszustwa potrzebny jest pomocnik, secundo: najlepiej dokonywać rzekomej transmutacji we własnej pracowni, tertio: frant potrzebuje sporo czasu na swe sztuczki i aby go zyskać, zadymia pracownię, by nikt w niej nie mógł wytrzymać. Ergo gdy Araneus dojdzie do tego etapu i wyprosi obecnych, wtedy zaczniemy się zastanawiać, co knuje. A teraz wróćmy do jego przyrządów.

Po kolei brałem je do ręki i sprawdzałem, po czym podawałem dalej. Nic nie wyglądało podejrzanie. A tym bardziej żadna z substancji nie przypominała złota. Największe nadzieje wiązałem z tygłem, obracając go na wszystkie strony. Ale z którejkolwiek bym na niego spozierał, zawsze wyglądał tak samo. Ot, zwyczajny żelazny drajfus z długą rączką.

- Przypomniałem sobie coś! - Palnął się w czoło nieoceniony Gustaw. - Zdarzało się, że ukrywano srebro lub złoto w węglu, po czym wrzucano je do tygla, dodawano rtęci i wytapiano amalgamat srebra lub złota, niczym nieróżniący się od tych metali. Albo wkładano do tygla złoto i kunsztownie zalewano je zaczernionym woskiem. Do takiego niby pustego naczynia wrzucano różne ingrediencje dla niepoznaki i wytapiano czyste złoto.

To było najbardziej obiecujące, lecz tygiel bez wątpienia nie został spreparowany. Dźgałem dno sztyletem i osiągnąłem jeden effectus - odłupałem trochę rdzy i osadu z poprzednich eksperymentów. Znalazłem pilnik i ponacinałem wszystkie narzędzia odłożone do projekcji, bowiem przyszło mi do głowy, że któreś mogło być ze złota, by potem ulec stopieniu. Niestety, bez wątpienia były stalowe. Sprawdziłem także węgle przygotowane do spalania. Ale miały one sobie właściwy ciężar i nie nosiły żadnych śladów manipulacji. Dla pewności rozkruszyłem jeden. I nic. Ubabrałem się tylko.

- Musimy kończyć - ogłosił Wolski, zerkając w okno. - Niedługo zacznie świtać.

Zaprowadził nas do kąta, gdzie za gęstą oponą znajdowało się wybite w grubym murze ciasne, łukowate przejście do małego pomieszczenia z oknem w głębokiej niszy. Na portalach umieszczono budujące łacińskie sentencje: Tendit in ardua virtus oraz

329

Velis quod possis¹. Ale zabraliśmy stamtąd jedynie dwa stołki i wróciliśmy do kotary.

- Stańcie na zydlach. Na wysokości oczu znajdziecie otwory w tkaninie. Tylko się nie zdradźcie. Idę po króla.

Czekaliśmy najwyżej kilka minut, kiedy do komnaty wkroczył król, a za nim Wolski i Araneus, niosąc dwie księgi pod pachami. Ten ostatni miał na sobie jedwabną szatę z powtarzającym się wzorem półksiężycy (albo raczej Luny) i wysoką czapkę. Uświadomiłem sobie, że i Sędziwój zazwyczaj ubierał się podobnie, Wolski zaś miał zapinę oraz pierścień w takim kształcie. Nawet Gustaw nosił długi kaftan haftowany w półksiężycy. Może chodziło o to, by wszyscy alchemiści mogli się rozpoznać zawsze i wszędzie bez żadnego dubium.

- Te są cele alchemii - tokował Araneus, gnąc się przed królem w wiernopoddańczych ukłonach i kończąc jakiś przydługawy wywód. - Uzyskanie alkaestu; rafinacja spiritus mundi, to jest substancji nasyconej wszelkimi planetarnymi wpływami; pozyskanie quinta essentia, czyli ekstraktu z wszystkich minerałów, roślin i zwierząt, pomocnego dla życia człowieka; uzyskanie aurum potabile, płynnego złota, jako panaceum; tudzież eliksiru wiecznej młodości i nieśmiertelności, który mógłby ożywiać zmarłych; odkrycie arcanum, cudownej ingrediencji wszystkich leków; opracowanie metody paligenezy, to znaczy rekonstruowania żywych organizmów z prochu, w tym stworzenia istoty lub człowieka sztucznym sposobem, homonkulusa w postaci karzełka lub olbrzyma albo bazyliuszka...

- Powiedzcie nam coś, czego nie wiemy - zniecierpliwiał się król. -A najlepiej zademonstrujcie.

- Już się robi, wasza królewska mość. Zaiste, najwyższa pora ognia na alchimia zapalać².

Zaczął się krzątać przy naczyniach i instrumentach, odważając, przesypując, dosypując i dolewając do tygla, i co chwila zerkając do otwartej księgi, rozłożonej wprost na pawimencie.

Pomagał mu Wolski, którego o to poprosił. Król, wcześniej obejrzawszy substancje i narzędzia przeznaczone do użytku i wypytawszy

1 Tend. it in ardua virtus; Velis quod possis (lac.) - odpowiednio: cnota dąży ku wzniosłości; jeżeli zechcesz, to potrafisz.

2 Ognia na alchemia zapalać - zaczynać eksperymenty.

330

0 wszystko dokładnie, siedział w wygodnym krześle i nie spuszczał alchemika z oczu. Ten raptem przerwał pracę, zawiesił obie dłonie nad tygłem, jakby błogosławiąc jego zawartość, po czym zaintonował coś na kształt modlitwy, czy też inwokacji, wysokim błagalnym tonem:

- Doctissime¹ Basiliusie Valentinusie², niechaj twój geniusz ożywia mój alkahest, gdyż corpora non agunt nisi soluta³. Jutrzenka wszechwładnego słońca wschodzi nad tajemną tynkturą. Dzisiejszy dzień powinien oświecić wskreszenie potęgi Trismegistosa! Niczego nie zaniedbałem, wszystko wykonałem tak, jak zalecałeś: w pełni księżyca Diana opiekowała się zapłodnieniem, fermentacja w łonie nocy do światła jasnym strzeliła promieniem. A teraz opiekuńcze duchy wspierajcie Wielkie Magisterium!

- W życiu nie słyszałem większych bzdur - szepnąłem do Gustawa, który spiorunował mnie wzrokiem.

- Ciii...

- Za chwilę, gdy walka nocy z dniem stanie na niebie w punkcie przechylenia, pod opieką Oriona pora rozpocząć dzieło. Mości Wolski, wstawcie ten wielki tygiel ołówkowy, oblóźcie węglami

1 u góry na kracie rozpalcie płomień, albowiem igne natura renova-tur integra⁴, aby ciąg wiatru jak błyskawice unosił dymy w komin. Tb zaś niech będą gotowe te dwa recypiensy. Niechaj w ogniu rudy kobaltu i arseniku pomieszane z siarką wyzioną z siebie zjadliwą parę. Odsuńcie się, wasza królewska mość, by nie wdychać jadu.

Tygiel napełniony rudą zaczął syczeć i trujące obłoki ulatywały w górę. Alchemik raz po raz zaglądał do księgi, przewracając karty, radził się jej i przyrzucał nowe substancje do rozgrzanego tygla, mieszając szklistą masę żelaznym prętem. Smrodliwy fetor docierał aż do naszej kryjówki i wiercił w nosie. Bałem się, że zaczniemy kichać i zdradzimy swą obecność.

Na szczęście wydobyli wreszcie tygiel z żaru. Araneus dostał z zanadru papierowy zwitek, rozwinął go z nabożeństwem i pokazał królowi, ciekawie wyciągającemu szyję.

1 Doctissime (lac.) - najuczeńszy.

2 Sławny piętnastowieczny alchemik.

3 Corpora non agunt nisi soluta (lac.) - ciała nie reagują, jeśli nie są rozpuszczone.

4 Igne natura renouatur integra (łac.) - ogniem natura odnawia się cała.

331

- Oto czerwony lew albo inaczej krew szarej gołębiczy, miłościwy panie.
- O czym on gada? - szepnąłem do Gustawa.
- O tynkturze - odszepnął.
- Coś jej mało. Poza tym jest złotawa, a Sendivogiusowa była czerwonawa - zauważył król.
- Moja jest lepsza i pewniejsza. Tedy wystarczy jej tyle, co na czubek noża, ze trzy grany najwyżej.

Mamrocząc pod nosem jakieś pacierze, a może zaklęcia, i wykonując okrągłe, zamaszyste ruchy, tłumaczył kolejne posunięcia:

- Oto dodaję dwa łuty Mercurii vivi¹ na to kładę lumen astrale² -wrzucił do naczynia zwitek z cennym proszkiem - i wypełniam tygiel do połowy potażem³. Wszystko razem wstawiam do ognia i mieszam po raz ostatni - zademonstrował, po czym odstąpił od kominka.
- Avrah KaDabra⁴ Teraz pozostaje tylko czekać. Będzie dymić, więc wasza królewska mość zapewne zechce się na chwilę oddalić...
- Zaczekam - uciął król.

Zatem czekaliśmy. Staralem się nie uronić niczego i wytrzeszczałem oczy aż do bólu, ponieważ, jeśli miało się zdarzyć jakieś oszustwo, to najpewniej w ciągu najbliższych chwil. Nagle wichur zakręcił się w kominie, aż węgle sypnęły iskrami na środek komnaty, a biały, gryzący dym, buchając z tygla, wypełnił całą pracownię. Kichaliśmy i pokastywaliśmy za oponą, nie przejmując się tym zbyt, ponieważ w pracowni kichano i kasłano jeszcze donośniej. O obserwacji mogłem w tych warunkach zapomnieć. Wreszcie Wolski poszedł po rozum do głowy, a następnie do okna i otworzył je. Gdy dym zaczął się rozwiewać, zajrzało do pracowni wschodzące słońce.

Araneus podszedł do ognia, zdjął zeń tygiel i przelał zawartość do przygotowanej miski z wodą. Zasyczało, kłęb pary znów uniósł się ku powale. Alchemik wziął z ławy szczypce, wyjął nie-foremną bryłę z naczynia i położył na rozpostartym wcześniej białym ręczniku.

- 1 Mercurii vivi (łac.) - żywej rtęci.
- 2 Lumen astrale (łac.) - światło gwiazd; kamień filozoficzny.
- 3 Węglan potasu.
- 4 Avrah KaDabra - w starożytnym mistycyzmie znaczy podobno po aramejsku: stwarzam, wypowiadając.

332

- Oto jest! - powiedział z dumą i odstepił na bok, kłaniając się nisko królowi i gestem zapraszając go do podejścia.

Król zważo podniósł się z krzesła. Gnany ciekawością porzucił maskę powagi i żywo postąpił ku ławie, nachylając się nad ręcznikiem.

- Niesłychane! Wygląda jak złoto! - Dotknął bryłki palcem.

- Bo to jest złoto!

- Mości Wolski, sprawdźcie dla pewności.

Miecznik posłusznie wziął grudę ostrożnie w dwa palce, zważył w dłoni, zaniósł na kowadło i delikatnie uderzył kilka razy młotkiem.

- Na mój rozum nie ma wątpliwości. To czyste złoto -orzekł. - Oczywiście, można je jeszcze poddać dokładniejszym badaniom, ale...

- Mistrzu Araneusie - rzekł król do tryumfującego alchemika. -Zechciejcie zaczekać w przedpokoju. Niedługo was wezwiemy.

Zamiatając czapką pawiment, szalbierz wycofywał się rakiem, nim, radosny jak szczygieł, nie zniknął za drzwiami, które zamknął za sobą. Przyszła na nas pora, więc wyszliśmy z ukrycia.

- Mości "Ibropoński - zwrócił się do mnie król, patrząc zimno spod nastroszonych brwi.
- Imć Wolski uprzedził nas, że powątpiewacie w uczciwość mistrza Araneusa. Dlatego znaleźliście się sam. I co macie teraz do powiedzenia?

Skinął na Wolskiego, który podał mu bryłę. Jak przedtem starosta krzepicki, tak teraz on zważył ją w dłoni, po czym podał mnie.

- Ecce miraculum': na oko ćwierć funta aureum najwyższej próby. A może uważacie inaczej?

Tam do kata! Przeklęta bryła ciążyła mi w dłoni jak kamień, który oczyma imaginacji widziałem uwiązany do szyi, jak ciągnie mnie na dno. I nie dziwota, bo mało co jest cięższe od złota. Rzuciłem ciężkim (lecz nie aż tak jak złoto, niestety) wzrokiem na Wolskiego, który uśmiechnął się lekko i nieznacznie wzruszył ramionami. A to mnie urządził przebiegły pan miecznik wielki koronny! Jako pomysłodawca całego przedsięwzięcia ponosiłem za nie całkowitą odpowiedzialność. Fiasko obciążało tylko mnie, zaś Wolski był zabezpieczony z każdej strony. Obojętnie, czy wygram ja, czy Araneus,

1 Ecce miraculum (lac.) - oto cud.

on i tak będzie górą. Nie straci pańskiej łaski, podczas gdy moja przyszłość wisiała na włosku. Nawet Gustaw, jak mi się zdawało, odsunął się ode mnie nieco. Przegranym można współczuć, lecz lepiej się od nich trzymać z dala. Tylko powodzenie ma wielu ojców, przegrani zostają sami ze swoją klęską.

- To złoto, bez dubium - przyznałem niechętnie, zwracając grudę. - Ale nie pojmuję... Araneus to szalbierz!

- To wy tak twierdzicie, doktorze - zgrzytnął król. - Jednak fakty mówią co innego. Uprowadzeni przez was, patrzyliśmy mistrzowi na ręce. Ani chwili nie był sam, wszystko robił na naszych oczach. Kiedy pracownia zasnęła się dymem, stał tuż obok nas i zaręczam, że nie uczynił nic podejrzanego. Nie użył do projekcji niczego nowego okrom tynktury, zaś pozostałe składniki leżały na wierzchu i każdy mógł się im przypatrzeć do woli.

- To wszystko prawda, wasza królewska mość. Ale musi być jakieś wytłumaczenie, tylko my go nie widzimy! - rzuciłem rozpaczliwie.

Rozum kazał mi się bronić, ponieważ nie mogłem dopuścić do siebie myśli, żeby stek bredni, który dziś usłyszałem i zobaczyłem, miał racjonalne podstawy. Klóciło się to z całym moim życiowym doświadczeniem i zdobytą wiedzą. A także znajomością ludzi. Gdybym się mylił, nie miałbym czego szukać ani jako inwestygator, z czym na szczęście skończyłem, ani nawet jako lekarz. Jakoś nie potrafiłem imaginować siebie wróżącego sobie i drugim z gwiazd albo z kart, aplikującego pacjentom kość z serca jelenia albo spluwającego przez lewe ramię i obchodzącego z daleka czarne koty.

- Tedy dajemy wam pięć minut, żebyście zobaczyli. - Słowa króla, wskazującego mi duży zegar stojący na kominie, być może jego własnej roboty, brzmiały jak wyrok. - My bowiem wiemy, cośmy widzieli, i jesteśmy wielce usatysfakcjonowani. Pięć minut, doktorze. Po upływie tego czasu poprosimy sam mistrza Araneusa, by odebrał należną nagrodę, zaś was wyprosimy i nie zechcemy już nigdy oglądać.

Spojrzałem nerwowo w pierw na zegar, tykający bezlitośnie, potem na Gustawa, rachując, że być może wpadł na jakiś pomysł. Ale rozłożył bezradnie ręce i spuścił głowę. Nie miał nowego konceptu. Co gorsza, ja też. Myśl, Kacper, myśl! Nikt ci nie pomoże.

334

Trudno wszak było chłodno rozumować, kiedy rozsadzała mnie wściekłość. Na siebie, że na własne życzenie wplątałem się w taki ambaras. I na Araneusa, że bezczelne szachrajstwo ujdzie mu płazem. Ba! Uczyni sławnym i wpływowym. Moje poczucie sprawiedliwości przeżywało katusze, a ja razem z nim. Ale niewiele mi to pomagało. Zaś czas biegł nieubłaganie. Dlatego zmusiłem się do spokoju. Dotrę do prawdy i zdemaskuję franta, jestem od niego bystrzejszy... A jak nie? Nie, nie mogę w sobie zwątpić. Zwłaszcza teraz. Myśl, Kacper, myśl. I przestań się pocić jak szczur schwytyany w potrzask.

Jedyne, co mogłem uczynić, to jeszcze raz wszystko sprawdzić. Dlatego brałem po kolei każde naczynie i każde narzędzie użyte do projekcji. Jedno po drugim odkładałem na miejsce,

niczego nie odkrywszy. Robak zwątpienia drażył mi trzewia, lecz jeszcze się nie poddawałem... Czułem, że trzy pary oczu śledzą każdy mój ruch, co bynajmniej nie podnosiło mnie na duchu.

- Zostały dwie minuty - oznajmił król, jakbym sam nie śledził wskazówek.

Szczypce nie kryły w sobie żadnej tajemnicy, tygiel wyglądał jak wprzódy.

- Minuta - odliczał król beznamiętnym tonem. - Pół minuty...

Wziąłem w dłoń stalowy pręt do mieszania.

- ...Ćwierć...

- Znalazłem, wasza królewska mość - odparłem, siląc się na spokój, choć rozsadzała mnie radość.

Luby rozumie, mój najpewniejszy sojuszniku, dzięki, żeś mnie nie zawiódł. I Tobie, Boże, żeś mi go dał i tak pokierował moim życiem, zem się nauczył nim z pożytkiem posługiwać. Mrugnąłem do Gustawa i rzuciłem mu mieszadło. Próbował odskoczyć, lecz nie zdążył. Pręt odbił mu się od wyciągniętej obronnym gestem ręki, upadł na stopę, odbił się od niej jak piłka i potoczył po pawimencie, wydając charakterystyczny brzęk. Gdy zatrzymał się na jego bucie, Wolski podniósł go.

- To rurka! - zawołał i z głupim wyrazem twarzy podał ją królowi.

- Właśnie - powiedziałem, siląc się na spokój i pilnując, by moja profesjonalna satysfakcja nie uraziła obecnych. Nikt nie lubi okazać się łatwowiernym głupcem, a jeszcze mniej świadków swej

335

naiwności. - Wszyscy trzymaliśmy ją wcześniej w rękach. I myśleliśmy, że to żelazny pręt. Tymczasem to była stalowa rura wypełniona złotem, z poczernionymi końcami. Żelazo ma podobny ciężar do złota, to nas zmyliło. Ale złoto topi się szybciej i Araneus to wykorzystał. Udając, że miesza ingredencje w tyglu, wypuścił do niego złoto z rurki, którą ukradkiem znów zasklepił trzymanym na podporządku czarnym woskiem. Inne składniki ulotniły się z tygla podczas prażenia, złoto pozostało. Frantostwo prawie doskonałe. Jedyne, czego nie zdołał uczynić, to wypełnić na powrót rurę. Jednak słusznie rachował, że nie wzbudzi ona niczyjzego zainteresowania, a potem zamierzał ją zabrać ze sobą.

Fortuna vañabilisK Teraz spoglądali na mnie zupełnie inaczej niż przed kilkoma minutami. To mi się spodobało, ale starałem się tego nie okazywać. Zwłaszcza że król milczał.

- Mości Wolski, sprowadźcie alchemistę - rzekł wreszcie tonem niewróżącym nic dobrego.

Wolski zniknął za drzwiami. Czekaliśmy dobrą chwilę, nim wrócił.

- Nie ma go! Uciek! Pewnie podsłuchiwał... Pobiegnę aż do schodów, ale rozwiął się jak dym.

Ostrzegłeś go - pomyślałem - dlatego zeszło ci tak długo. Powinienem to przewidzieć. Bracia różokrzyżowcy muszą się wspierać.

- Przynajmniej złoto zostało. - Pozwoliłem sobie na małą uszczypliwość i dorzuciłem niedawno poznaną sentencję: - Ażeby robić złoto, trzeba mieć złoto.

Chciałem dodać złośliwie: Auri sacra fames² zaślepią, lecz się powstrzymałem. Wystarczyło mi, że wykazałem swoją rację: poszukiwanie kamienia filozoficznego rokowało podobne powodzenie, co zajmowanie się kwadraturą koła albo machiną wiecznego ruchu.

- Waszmościowie... - Król podniósł się z krzesła. - Bardzo byśmy byli nieradzi, gdyby ktokolwiek z postronnych dowiedział się, co sam się dziś podziało. Doktorze Hiropoński, spodziewamy się, że odzujesz waść łotra, który tak szpetnie z nas zakpił.

Opuścił pracownię razem z Wolskim, który nie omieszkał zabrać ze sobą złotej bryły. Oni przynajmniej coś zyskali. Ja też

1 Fortuna variabilis (tac.) - szczęście jest zmienne.

2 Auri sacra fames (lac.) - święty głód złota.

336

nie miałem prawa narzekać. Dostałem piękną nagrodę - nowe zadanie do wykonania. Na koszt własny. Alleluja! A to się Janka uraduje...

- Chodźmy stąd - powiedziałem do Gustawa.

- Widziałeś minę mego królewskiego brata? - spytał po drodze. -Nie był zadowolony.

- A ty byś był? Nikt nie lubi być oszwabiany.

- Nie zrozumiałeś. Przeżył wielkie rozczarowanie. Myślę, że w waszym pojedynku sekundował raczej Araneusowi niż tobie. Wyznam zresztą, że ja też. I Wolski zapewne także.

Aż przystanąłem.

- Nadal nie pojmuję...

- To proste. Odarłeś nas ze złudzeń. I odebrałeś marzenia. W skry-tości ducha miałem nadzieję, że nareszcie ujrzę cud transmutacji. A tu masz...

- Od cudów to jest Bóg. Myślałem, że wy, ludzie scjencji, chcecie odkrywać sekrety natury. Że dążycie do prawdy. Ventas non quaerit angelas'.

- Są różne prawdy, Kacper. A poza tym czasem lepiej jej nie znać. Szczęście bywa ważniejsze.

- Nie zgadzam się.
- Wiem, niezłomny poszukiwaczu prawdy, wiem. A gdybyś do szaleństwa miłował żonę, a ona cię zdradzała, nie wolałbyś żyć w nieświadomości?

Musiałem się zastanowić.

- Nie. Ze wszystkich rodzajów kłamstwa najgorsze jest oszukiwanie samego siebie. Z tego nigdy nie wynika nic dobrego. Dla nikogo. Prawda wyzwala. I oczyszcza.
- Jesteś nieludzki. Prawie się ciebie boję.

Nie mogłem od razu zacząć uganiać się za Araneusem, gdyż forsowna aktywność ostatnimi czasy dała mi solidnie w kość i musiałem sobie zrobić przerwę. Znow przez kilka dni i nocy z niepokojem wsłuchiwałem się w swój organizm, szukając oznak niszczyielskiego działania ostawionego w nim kęska żelaza. Jednak nic złego się nie działo. Mimo to miałem na głowie ważniejsze sprawy od wytropienia nieuczciwego alchemika. Właśnie zamyślałem przystąpić

1 Veritas non quaerit angelas (lac.) - prawda nie potrzebuje aniołów.

337

do przeprowadzki na nowe-stare locum w gospodzie „U Balcera”, nawet zdołałem przekonać Jankę, że tak będzie najlepiej, ponieważ zyskam więcej czasu i swobody, by poszukać dla nas stosownego domu na dal, kiedy przyszedł list od Zamojskiego.

W kwietniu Tatarowie wtargnęli na Ukrainę i Podole, i musiałem wyjść w pole, by ich pogromić. Dopiero co wróciłem, lecz zaraz pewnie trzeba znów ruszać, bowiem chodzą wieści, że w ślad za ordą ma pociągnąć sułtan z całą turecką potencją. A tu Żółkiewski jeszcze nie całkiem zdrow, do tego zajęty pochówkiem rodzica i nie ma na kogo się zdać. Do tego muszę pilnować arcyksięcia Maksymiliana niczym oka w głowie, bo zbyt wielu chciałoby jego uwolnienia, zanim jeszcze do traktatów z cesarzem przyjdzie. Mówił mi Marek Sobieski, którego uczyniłem stróżem księżęcia, że Zborowscy zamia-rowali wybić w wieży mur i razem z Maksymilianem zbiec na Szląsk, z czego najgorsze terminy mogłyby na Rzeczpospolitą nadejść. Tedy, tymczasem, czy mi się to podoba, czy nie, siedzę w Zamościu niby majtek na bocianim gnieździe i wypatruję niebezpieczeństw, o które ta nasza państwowa nawa, prowadzona ręką nieopierzonego młokosa, roztrzaskać łącno się może...

[...] Bóg wie, jak bardzo chciałbym przyjechać do Krakowa na pogrzeb mego dobrodzieja króla Stefana, lecz w obecnej sytuacji jest to niemożliwe. Zatem możesz czuć się w Rabsztynie jak gospodarz, bo nie prędzej zagładnę do stolicy, jak na jesieni po sejmie [...].

Co do owej nowiny, którą mi przekazałeś za pośrednictwem Żółkiewskiego, to już podjąłem w tej sprawie odpowiednie kroki. Ciebie zaś, jeśli miałeś jakoweś dubia, a jak Cię znam, to miałeś, pragnę upewnić, żeś uczynił słusznie.

Wciąż nie byłem co do tego przekonany, a pochwała hetmana wcale moich rozterek nie ukoila, wprost przeciwnie. Ale stało się, zrobiłem, co zrobiłem, i nie było sensu płakać nad

rozlanym mlekiem. Janka, którą Zamojski, „miłując jak córkę”, kazał serdecznie wyściskać, też tak uważała. Ponieważ pismo należało do rodzaju tibi et igni na wszelki wypadek, gdyby „nieopierzonemu młokosowi” jakimś sposobem wpadło w ręce, spaliliśmy je.

1 Tibi et igni (łac.) - dla ciebie i ognia (przeczytaj i spal).

338

Pogrzeb króla Stefana rozpoczął się tydzień przed Zielonymi Świątkami i wedle starego obyczaju trwał 3 dni. 21 maja ciało Batorego dotarło do Łobzowa. Pojechała tam królowa Anna i królewna szwedzka, by przy nim czuwać. Dwa dni potem, w niezwykle upalny poniedziałek krzyżowych dni, kondukt ruszył do Krakowa. Naprzeciw wyszły procesje scholarów i profesorów z akademii, księży i mnichów, kanoników, biskupów i infulatów na czele z legatem papieskim Annibalem z Kapui. Wyjechał też król w żałobie, z wszystkimi senatorami oraz drabantami w czarnych płaszczach i z halabardami. Przed kościołem Świętego Floriana na Kleparzu postawiono trumnę i wszyscy dostojnicy udali się do świątyni na pierwsze nabożeństwo. W Krakowie do orszaku dołączyli żacy ze wszystkich szkół i ośmiuset ubogich w kapach, między których rozdano zapalone świece. Oraz chorążowie ziemscy z trzydziestoma pięcioma chorągwiami, w tym chorągwią wielką koronną oraz chorągwią Wielkiego Księstwa na przodku. Za nimi czwórkami niesiono trzydzieścioro mar, a masztalerzy wiedli trzydzieści koni, w tym jednego w kirze. Następnie jechała osoba udająca zmarłego, którą był podstoli Piotr Śreniawa w szatach króla Stefana, w towarzystwie trzech jeźdźców w zbrojach: miłośnik króla Ferens Wesselenyi trzymał w dłoni miecz, pozostali zatkniętą na drzewcu magierkę króla oraz tarczę. Potem szli śpiewacy i muzykanci, wszystkie dwory, szlachta i cudzoziemscy posłowie. Trumnę poprzedzali miecznik Wolski z obnażonym mieczem oraz dostojnicy z pozostałymi insygniami. Wóz z trumną pokrytą czarną kapą ze srebrnym krzyżem ciągnęło dwanaście koni, a po bokach szli dworzanie z zapalonymi świecami. Za ciałem postępowali król, królowa stara, królewna szwedzka, Olbracht Radziwiłł i synowcy zmarłego: kardynał Andrzej oraz Baltazar Batorowie. Za królową szły wojewodziny, fraucymer, stu drabantów i pięciuset hajduków.

Po drodze tłumy mieszczan żegnały króla z płaczem i wzruszeniem. Pamiętano go jako władcę twardego, ale sprawiedliwego. Powtarzano: „Za króla Stefanka strach było i na panka”, bowiem za żadnego innego króla łby warcholów i awanturników z najprzedniejszych rodów nie spadały tak często. Przeczuwano przez skórę, że te czasy już nie powrócą. Oplakiwano więc nie tylko

1 Już ostatni taki (trzydniowy i wystawny).

339

zmarłego króla, ale i utracony złoty wiek, który oto razem z nim odchodził w niebyt.

Nie szedłem w kondukcje, Janka, opisała mi potem wszystko detalicznie. Cały dzień stania i chodzenia w skwarze to było ponad moje siły. Czekałem w chórze katedry, do której wniesiono ciało. Spoczywało w cynowej trumnie. Na jej boku, pod szkłem, wiernie wymalowano oblicze króla Stefana. Ogarnęło mnie wzruszenie, gdyż wiele mu

zawdzięczałem. Został pochowany za wielkim ołtarzem w kaplicy specjalnie dobudowanej staraniem królowej Anny.

Już w katedrze spostrzegłem, jak Gustaw z kimś szeptem. Po wyjściu z kościoła znów zobaczyłem ich razem, zatopionych w rozmowie. Nie znałem jego rozmówcy, lecz wyglądał na cudzoziemca. Co prawda wzorem króla Zygmunta wielu przypochlebnych dworzan zaczęło się nosić na modłę hiszpańską, tak jak wprzód małpowali węgierski strój króla Stefana, ale jeszcze do tego nie przywykli i było to widać. Na tym natomiast szatki leżały niby druga skóra. Do tego miał ostre, badawcze spojrzenie, któremu niewiele umykało. Mimo iż starałem się to robić dyskretnie, zauważył, że mu się przyglądam, pożegnał Gustawa i odszedł w kierunku miasta równym, miarowym krokiem.

- Kto to był?
- Doktor Kał. Radca cesarski. Wspominałem ci o nim.
- Czego chciał?
- Niczego. Spotkaliśmy się przypadkiem na pogrzebie i tyle. Co mnie tak wypytujesz?
- Bo za ciebie odpowiadam. Nie chcę, żebyś zrobił jakieś głupstwo.
- Nie ma obawy. Kai aż do dziś czekał na Zamojskiego, licząc, że hetman jednak przyjedzie do Krakowa na pogrzeb króla Stefana. A teraz musi udać się do Zamościa, aby w imieniu cesarza uzgodnić warunki pokoju i uwolnienia arcyksięcia Maksymiliana. Chciał się tylko pożegnać.

We wtorek, na koniec obchodów pogrzebowych, z udziałem króla i królowej odbył się obchód kościołów krakowskich: Wszystkich Świętych, Franciszkanów, Świętej Anny, Świętego Szczepana, Mariackiego i Dominikanów, gdzie biskupi i arcybiskupi odprawiali msze.

340

Lato zaczęło się już pod koniec maja i w czerwcu także trwało w najlepsze. Kacper junior, zdrów jak ryba i rozbrykany jak szczeniak, przypomniał mi obietnicę, że nauczę go pływać. Janka wpierw słuchać o tym nie chciała.

- Jest za mały!
- I dobrze. To najlepszy wiek do nauki.
- Nie ma mowy!

Dopiero gdy malec się rozryczał, uległa. Pożyczyliśmy łódkę, do pomocy w wiosłowaniu zabrałem Gustawa, który był jakiś smętny i zamyślony, i popłynęliśmy we czwórkę na drugi brzeg Wisły, naprzeciw Skałki, gdzie na wysokości Ludwinowa wypatrzyłem piaszczysto-

trawiastą łachę, wyglądającą bardzo zachęcająco. Zabraliśmy ze sobą spyżę i coś do picia, więc dzień zapowiadał się wspaniale. I nie rozczarował nas. Junior odkrył, że woda to jego żywioł. Wpierw pod okiem matki chlapał się tylko z brzegu i tarzał w piachu albo budował zamki. Potem poszliśmy na ciut głębszą wodę.

- Nie rozmyśliłeś się?

Pokiwał przecząco głową. Oczy miał po matce, zielone i błyszczące. A po mnie? Z wyglądu niewiele, na czym raczej nie tracił, a co do reszty, to było jeszcze za wcześnie, by wyrokować.

- No to do roboty. Nic się nie bój, będę cię mocno trzymał.

Podtrzymałem go pod brzuchem, gdy udawał, że pływa, rażno przebierając rękami i nogami. Zmęczyłem się szybciej od niego.

- Muszę wracać do zamku - oznajmiła Janka, więc ogłosiłem koniec zabawy i powrót do domu.

- Dobrze było? - spytałem malca.

- Barrdzo! - Ostatnio nauczył się wymawiać „r” i był z tego dumny. Szybko uczył się nowych słów, a szczególnie bawiły go właśnie te z „r”.

Wracaliśmy potem w to samo miejsce jeszcze niejednym razem. Czasem z Janką, gdy miała wolne, ale częściej z Gustawem, o ile akurat nie był zapraszany przez króla do pracowni alchemicznej na wspólne eksperymenty albo nie składał wizyty siostrze. Nadrabiał miną, lecz czułem, że już znudziło mu się przebywanie w tym samym miejscu i chętnie dokądś by pognał, ścigać jakieś nowe fantomy. Mały Kacper był odważny i gdy tylko opanował sztukę wstrzymywania oddechu pod wodą, poczynał sobie coraz śmielej. Już nie chciał mojej pomocy. Wciąż szybko szedł na dno, ale się

341

tym nie zrażał i próbował na nowo. Nie można było spuścić go z oka ani na chwilę. Siedziałby nad rzeką od rana do wieczora, albo mocząc się w wodzie, albo próbując łapać w dłonie ryby lub raki, albo grzebiąc w piachu czy obserwując okolicę przez teleskop Gustawa, który łaskawie pozwalał mu pod kontrolą z niego korzystać. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów miałem tyle wolnych chwil, nic do roboty i czułem się tak beztrosko. Wszystko co dobre jednak się kiedyś kończy. Kres moich wakacji nastąpił akurat tego dnia, gdy junior krzyknął:

- Ojczy, patrz! Ja pływam! - I rzeczywiście przez chwilę udało mu się samodzielnie utrzymać na powierzchni.

Po powrocie powierzyłem go piastunce, bo Janki akurat nie było, i wróciłem do Rabsztyna. Gustaw też się gdzieś zawieruszył, więc byłem sam i czytałem, gdy przyszła Janka, a razem z nią szwedzka królowna z miną jeszcze poważniejszą niż zazwyczaj.

- Muszę z waścią porozmawiać, doktorze - oznajmiła.
- Zamieniam się w słuch.

Skinieniem pozwoliła nam spocząć i usiadła sama.

- Mam poważną turbację. A właściwie nie ja, lecz jego królewska mość, ale on jest zbyt dumny, by poprosić o pomoc.
- Pomogę, jeśli tylko zdołam - odparłem, domyślając się, co ją sprowadziło, i wiedząc, że nie będę mógł im pomóc.

Janka też to wiedziała i dlatego unikała mego wzroku.

- Sprawa jest nad wyraz delikatna - zaczęła królowna z ciężkim westchnieniem.
- My, medycy, stale mamy z takimi do czynienia - zachęciłem ją wyświechtanym frazesem.
- Nic z tego, co zostanie tu powiedziane, nie może wydostać się na zewnątrz.
- To się rozumie.
- Skradziono ważne pisma, które wyszły z kancelarii cesarskiej, a były adresowane do króla.
- Mam złapać złodzieja i odzyskać skrypty?
- Złodziej jest znany. A listy pewnie zdążył oddać swemu mocodawcy. Co gorsza, wolno przypuszczać, że ów wszedł już w posiadanie listów, które poszły w drugą stronę, albo lada moment je zdobędzie. Jest zaś za późno, by temu zapobiec.
- W takim razie na czym ma polegać moje zadanie?

342

- Ba, żebym to ja wiedziała... - Potarła wysokie czoło. - Słyszac wiele o waścinej sławie inwestygatora, potwierdzonej niedawnym zdemaskowaniem szalbierza alchemisty, miałam nadzieję, że wasz-mość coś wymyślisz...
- Wiem zbyt mało. - Bóg mi świadkiem, że wiedziałem o wiele więcej, niżbym sobie życzył.

Wpatrywała się we mnie niebieskimi oczyma tak intensywnie, jakby chciała się upewnić, że może mi całkowicie zaufać. Aż chciało się ją ostrzec, by tego nie robiła. Ale nie posłuchała mego niemego błagania i podjęła decyzję, widać uznawszy mnie za osobę godną najwyższego zaufania. Cóż, nawet najrozumnijsi są omylni, a ona była jeszcze bardzo młoda i nie znała się na ludziach tak dobrze, jak jej się zdawało.

- Cała turbacja polega na tym, że przechwycone listy zawierają tajniki tak sekretne, wagi wręcz międzynarodowej, iż ich ujawnienie spowodowałoby wprost niewyobrażalne konsekwencje. Dlatego nie można ścigać sprawcy kradzieży, skoro za nic nie łąza przyznać się do istnienia tych pism, a co dopiero ujawnić ich treści, zaś jemu właśnie o to idzie. Chce za ich pomocą szachować króla.

- Kto to jest? - spytałem pro forma.

- Jego największy nieprzyjaciel. Człowiek, który na każdym kroku stara się upokorzyć króla. A teraz dostał do ręki potężną broń, której z pewnością nie zawaha się użyć - dodała z goryczą. - Wiesz, o kim mowa, bo to rzecz nietajna nikomu.

Teraz ja potarłem czoło. Aż się prosiło wygarnąć wprost: trzeba było nie praktykować, nie byłoby teraz turbacji, ale rzecz jasna tego nie mogłem powiedzieć. Zresztą nie proszono mnie o zdanie, tylko o radę i pomoc. I czyniła to osoba, którą szanowałem i zdążyłem polubić. Ciekawe, jakby zareagowała, gdybym jej powiedział, że to za moją przyczyną odkryto machinacje króla, wpędzając go w matnię, z której teraz chyba tylko cudownym sposobem dałoby się go wyciągnąć. A co ja miałem powiedzieć? Oto kamień, który sam wypuściłem z procy, zatoczył koło i wyrznął mnie w zęby. Ale nie mogłem się skarżyć, bo tego należy oczekiwać, kiedy się miesza w nie swoje sprawy.

- Nie rachowałem na moją zażyłość z tą osobą, jeśli to waszą wysokość do mnie przywiódło. Nie gram w szachy, ale powiem tak: zbyt mało znaczący ze mnie pionek, by hetman miał się ze mną

343

liczyć. A już na pewno nie w sprawie, w której gra idzie o władzę. Ergo niczego bym nie wskórał i nawet nie zamierzam próbować. Zaś zbyt wiele mu zawdzięczam, aby udając przyjaciela, podstępnie wykraść mu cokolwiek, nawet jeśli on doszedł do tego fortelem. To byłaby zdrada.

- Przynajmniej jasno powiedziane - odparła z kamiennym licem, bardzo przypominając teraz brata. - Zresztą nie spodziewałam się po waści innej postawy, więc nie mogę rzec, żeś mnie rozczarował. Ale musiałam spróbować. Jego królewska mość popełnił błąd, którego teraz żałuje, i chętnie cofnąłby czas, gdyby mógł. Lecz nie może, a mnie go żal. Od początku czuł się tutaj obco, a teraz czuje się zapędzony w koziego róg. Boję się, by nie poczynił jakichś desperackich kroków, których pożałujemy wszyscy.

Wstała i myśmy się też podnieśli.

- Bardzo chciałbym pomóc, naprawdę - tym razem mówiłem zupełnie szczerze. - Tylko nie bardzo wiem jak...

- Nikt już nic nie poradzi. W Bogu jedyna nadzieja, że nie przyjdzie do najgorszego - odparła.

Wyszły obie, a mnie nagle zrobiło się duszno i też musiałem wyjść. Ruszyłem do miasta.

- Masz coś dla mnie?

Izaak aż podskoczył na mój widok. Tym razem był w kramie zupełnie sam.

- Mam.

Poszperał w fałdach swej obszernej szaty i wyjął dwie nadpiło-wane monety.

- Ta jest dobra - pokazał. - To dukat. A ta zła. Widzisz? Ma jedynie cienką złotą powłokę, zaś reszta jest srebrna. To pozłocony talar.

- Jak go pozłocono?

- Zasięgnąłem języka u pewnego źródła. To ponoć prosta sztuka. Wystarczy zrobić amalgamat merkuriusza ze złotem i pokryć nim powierzchnię mińca. Potem wyżarzyć go w ogniu. Wtedy merkuriusz się ulatnia i pozostaje złota powłoka. Ale ja tego nigdy nie robiłem - zastrzegł szybko. - Takie sztuki potrafią tylko alchemiści.

- Pojmuję, lecz jak wytłumaczyć, że ten talar ma stempel jak dukat.

344

- W tym sęk - stęknął. - To jawne fałszerstwo. Ktoś zrobił potrzebne do tego nakowadła i stemple, i bije fałszywe mińce. Skąd wzięłeś swoje?

- Tego na razie nie mogę powiedzieć.

- Szkoda, bo wyznam ci w zaufaniu, że po mieście krąży coraz więcej fałszywych mińców. Ten przynajmniej - szturchnął palcem pozłoconego talara - jest srebrny. Drugie bywają z sychu albo zgoła ołowiane. I co więcej, to nie są odosobnione przypadki. Fałszywe mińce spotykało się zawżdy, lecz nigdy w takiej liczbie. A teraz to już prawdziwa plaga. Aż lękam się sprawdzić, ile w mojej kasie może być tego paskudztwa. Ale jeśli nie odsięję dobrego ziarna od plew, jeszcze ktoś gotów mnie oskarżyć o fałszerstwo. Inni przekupnie i rękodzielnicy, a zwłaszcza bankierzy, są w tej samej sytuacji. - Kiwnął, żeby się nachylił, i szepnął mi do ucha: - Wszyscy uczciwi kupcy zmawiają się, by ukrócić ten proceder, który rujnuje nam handel. Chcieli nawet wysłać protestację do wojewody, a tu masz ci los, raptem panu Tęczyńskiemu się zmarło, a następca jeszcze niewyznaczony.

Wieść o nagłym zgonie imć wojewody i jego małżonki dzień później, która dotarła do Krakowa tuż po pogrzebie królewskim, do dziś powodowała żywe komentarze, często najdziwniejsze. Ostatecznie takie dubeltowe zejścia nie zdarzały się często. Na dodatek w tym miesiącu zmarł wojewoda lubelski Mikołaj Firlej. Jakiś pomór na wojewodów czy co?

- Powiem ci jeszcze - dodał Izaak - że kupcy chętnie złożyliby się na godziwą nagrodę, sam bym grosza nie poskąpił dla tego, kto by wykrył łotra parającego się fałszowaniem pieniędzy i zalewającego nimi rynek. Pomyśl o tym.

- Pomyślę. Co z wnukiem?

Zafrasowane oblicze starego Żyda pojaśniało.

- Urodził się dwie niedziele temu. Wielki jak smok. Daliśmy mu na imię Beniamin.

- Bardzo ładnie. Pogratuluj Rebecce.

- A co z tymi mińcami? - Pokazał kancery.

- Wymienimy się. - Pogrzebałem w sakiewce, wyostałem dwa czerwonce i wymieniłem na tamte.

- Takie interesy lubię najbardziej. - Chuchnął na monety i zacisnął je w garści.

345

- Nie sprawdzisz? - rzuciłem, unosząc dłoń na pożegnanie.

- Wierzę ci.

Kiedy jednak już z oddali zerknąłem wstecz, ujrzałem, jak gryzie mińce zębami, i uśmiechnąłem się, bo wiedziałem, że ledwo się odwrócę, z pewnością tak zrobi. Skoro już tak daleko się zapuściłem, to wstąpiłem na Szewską do znajomego warsztatu i obstałowałem solidne buty z cholewami i wszytymi od wewnątrz podługowatymi kieszeniami. Jeśli majster zdziwił się taką fanaberią, to-nie dał nic po sobie poznać. Wręczyłem mu zadatek i chciałem wracać do domu. Ale okazało się to nie takie proste.

Nagle od strony bramy Szewskiej rozległ się pomruk jak przed burzą, po czym wrzawa narastała, a w końcu dziki, wyjący tłum, otaczający grupkę strażników miejskich, wylał się na ulicę i parł naprzód jak wzburzona rzeka po przełamaniu wspancznicy. Równocześnie z przeczni Żydowskiej i pobliskiego Collegium Maius zaczęli wybiegać scholarzy i przyłączać się do cizby wrzeszczącej:

- Ukrzyżować łotra!

- To mało! Poćwiartować żywcem!

- Heretyk! Nieprzyjaciel Chrystusa!

- Na stos z nim!

To hasło spodobało się najbardziej.

- Na stos! Na stos! Na stos!

Mieszkańcy ulicy w gorączkowym pośpiechu zawierali okiennice, ponieważ zewsząd sypały się kamienie i śmieci, dzwoniąc po hełmach drabów miejskich, a kilka szyb pękło z hukiem pistoletowego wystrzału. Hizin pachołków odpychał napierających ludzi, pragnących gołymi

rękami rozszarpać kogoś, kogo pojмали i teraz chronili justycjariusze, rozdając razy na prawo i lewo. A gdy to nie pomagało, użyli cepów i kordów, wałąc i płazując bez litości. Kiedy ten zbity ludzki kłęb przytoczył się ku mnie, cofnąłem się do bramy, z której przed chwilą wyszedłem. Gdy pochód mnie mijał, przez mgnienie zdołałem dostrzec skutego więźnia, skulonego i wystraszonego, ale chyba zadowolonego z siebie. Było w jego wzroku coś, co już widywałem u szaleńców albo fanatyków dumnych ze swego dzieła i wierzących, że spełniali wolę bożą i Bóg nie pozwoli ich pokrzywdzić. Obok niego z marsową miną, niby rzymski tryumfator, a nie zwykły funkcjonariusz prowadzący złoczyńcę do ratusznych kabatów, kroczył podhutmani Matys Szarski.

346

Tłum podążył na Rynek i przerzedziło się, bowiem ciągnęli już tylko nienadążający starcy i kaleki, a na końcu samotny starszy mężczyzna podpierający się laską. Powłóczył nogą, ale ogólnie wyglądał lepiej niż podczas naszego poprzedniego widzenia. Zniknęły wory pod oczami, mętny wzrok i cuchnący gorzałką oddech. Zaczepiłem go.

- Kto to był, hutmanie?
- Niejaki Zakrzewski, łotr udający głupiego lub głupi w istocie.
- Co zrobił?
- Włamał się do kaplicy Panny Marii na Piasku, pobił mnicha podczas mszy oraz śmiertelnie zranił ministranta, Sakrament wyrwał i roztrzaskał o pawiment, potargał korporał, stawiał opór podczas aresztowania. Jeśli na mękach wyjdzie na jaw, że nie jest taki szalony, na jakiego wygląda, zostanie spalony przed kościołem Mariackim.
- Został złapany in flagranti'?
- Tak. Akurat przechodził tamtędy Szarski z patrolem. Dopiero później, kiedy zebrał się tłum i nie mogli się przebić do miasta, posłali po mnie do ratusza, żebym przybył z posiłkami.
- A więc Szarski znów był pierwszy na miejscu zbrodni.
- To się nazywa wyczucie, nie? - sarknął. - I ta cizba, wyrosła nagle znikąd, a złożona głównie z żaków, którzy powinni być wtedy w szkołach, i rozmaitych mętów, to też przypadek.

Zmieniłem temat.

- Wyglądacie lepiej. To dobrze, żeście się pozbierali.
- Nie miałem wyjścia. Widzisz, co się dzieje. Po nocach wciąż znajdujemy trupy, a teraz nawet w dzień nie ma spokoju. Kupcy się skarżą, że miasto zalewają fałszywe pieniądze. Wśród żaków, studentów i czeladzi rzemieślniczej wrze. Ktoś ich podburza przeciw innowiercom. Dzisiejszy wypadek mógł być prowokacją, wstępem do potężnego tumultu. Komuś zależy na tym, by miasto ogarnął chaos, widać spodziewa się wyłowić sporo tłustych ryb z mętnej wody.

- Macie już podejrzanego?

- Nie, ale wiesz kto był prowodyrem zruderowania Brogu w zeszłym roku? Famulus Grota, scholar zwany Smokiem, drab wysoki

1 In flagranti (lac.) - na gorącym uczynku.

347

prawie na siedem stóp, który oczywiście uniknął kary, potem rzucił studia i został substytutem naszego kata. Przypadek? Grot na potęgę sięga stronników spośród rady miejskiej, a niepokornych próbuje zastraszać. Zhardział po śmierci wojewody Tęczyńskiego i chwali się, że następca zmarłego z pewnością uczyni go członkiem rady urzędującej. Ja mu wierzę. A kiedy zostanie burmistrzem, pierwsze, co uczyni, to wywali mnie z urzędu, bo przestał się z tym skrywać. Chyba ma już upatrzonego następcę, młodszego i tiddanego, widziałeś go dziś przy robocie. Aż strach myśleć, co się stanie, kiedy zdobędzie władzę i pozycję taką albo i większą jak niegdyś Czeczotka. Idziesz w moją stronę?

- Nie chce mi się przebijać przez tłum na Rynku. Pójdę dookoła przez Garbary i Smoleńsk.

Gdy się rozstawaliśmy, zdało mi się, że pociągał nogą bardziej niż wprzód i więcej się garbił. Widok tak dobrze kiedyś znanych mi przedmieść też mnie przygnębił. Drewniane domy spaliły się doszczętnie, murowane miały osmolone mury i były pozbawione dachów. Wypalona skorupa kościoła na Piasku wyglądała okropnie. To, że kaplica Panny Marii wraz z obrazem ocalała, należało uznać za jawny cud. Wszędzie śmierdziało spalenizną i poniewierały się popsute sprzęty, nieprzydatne nikomu do niczego. A jednak pośród tej nędzy kwitło życie. Puste place porastała świeża trawa, pośród ruin i zgliszczy uwijali się ludzie. Odgruzowywali, stawiali ściany z odzyskanych cegieł, naprawiali dachy i kryli je czym popadło. Miałem nadzieję, że król, jak obiecał, wyjedna na najbliższym sejmie odszkodowania i ulgi dla miasta i tych nieszczęśników, którzy dochowując mu wierności, tak bardzo ucierpieli.

Nie chciałem oglądać naszego domu i obiecywałem sobie, że tego nigdy nie zrobię, ale nogi same mnie tam zaniósły. Jednak nie wszedłem do środka, zwłaszcza że w ruderze zadomowili się jacyś bezdomni. Udałem się za to na sąsiednią posesję. Tak jak mówił Kettler, pod murem leżały szczątki Leżaka. Kości były osmolone i częściowo rozwłózione przez dzikie zwierzęta. Pozbierałem, ile się dało, i zakopałem. Tym sposobem definitywnie zakończyłem kilkuletni rozdział w życiu. Nie miałem zamiaru ani odbudowywać zniszczonego domu, ani osiedlać się w tej okolicy.

1 Tak się stało.

348

W Rabsztynie zastałem Gustawa, który dopiero co wstał, bo jeszcze ziewał i się przeciągał, zbierając niektóre swoje rzeczy. Zdziwiłem się, bo zazwyczaj nie drzemał popołudniami. Dawno też nie widziałem go tak podekscytowanego.

- Dobrze, że jesteś - powiedział. - Niedługo ma przybyć do Krakowa legat papieski kardynał Hippolitus Aldobrandinus¹, mediować w sprawie wypuszczenia arcyksięcia Maksymiliana. Jego królewska mość pragnie go obdarować monstrancją własnej roboty, a za jego pośrednictwem papieża zegarem kominkowym, też wykonanym własnoręcznie. Dlatego będziemy od dziś pracować dniami, a jak trzeba będzie, to i nocami, bo czasu jest mało. Ergo na razie zamierzam sypiać w pobliżu pracowni.

Ktoś zapukał i wszedł. Wolski.

- Witam, panowie. Gotów?

- Tak - odparł Gustaw. - Możemy iść.

- Znalazłeś już Araneusa, doktorze?

- Nie, ale mam coś dla waści. - Podałem mu dwie nacięte monety. - To mińce wyczarowane przez Sędziwoja w przytomności króla. Musimy pogadać.

- Gustawie, pójdz przodem i rzeknij jego królewskiej mości, że zaraz do was dołączę.

Ledwie za Erikssonem zamknęły się drzwi, Wolski rzekł:

- Skąd waść je masz?

- Nieważne.

- Pytam, bo obawiając się czegoś podobnego, wymieniłem już wszystkie użyte wtedy monety na pewne z własnej kiesy. Byłeś bardzo przewidujący i szybki, doktorze.

- Staram się.

- Ale pozbyłeś się jedynych dowodów, jakie miałeś. - Zacisnął dłoń na monetach.

- Już to pojąłem. Waść też byłeś przewidujący.

- Staram się. Kiedy się zadaje z alchemistami, to konieczne. Zawsze może ich podkusić, by wypróbować niesprawdzoną metodę. Przed drugą projekcją Sędziwój wyznał mi, że stracił tynkturę, którą dostał od arcymaga Setona, dlatego wolałem się zabezpieczyć. Ale to nie wina Sędziwoja, on jest najuczciwszy spośród wszystkich

1 Przyszły papież Klemens VIII.

349

alchemistów, jakich znam. Potrzebuje tylko jeszcze trochę czasu, by dopracować metodę.

- Ale tak czy owak, oszukał króla. Myślisz, że to się jego królewskiej mości spodoba? A może mniemasz, że król mi nie uwierzy, nawet bez dowodów? Choć, oczywiście, wciąż mogę urwać ci rękę i odzyskać mińce...

- Niestety, tobie uwierzy. A ja nie mogę cię powstrzymać, choć przyjdzie mi za to zapłacić urzędem i pozycją. Ale mniejsza o mnie. Unieszczęśliwisz króla. Nie wiem dlaczego, lecz ostatnio jest bardzo przygnębiony. Odżywa tylko w pracowni. Chcesz go pozbawić jedynej przyjemności? Już i tak szalbierstwo Araneusa wytrąciło go z równowagi. A jeśli ci zaręcę szlacheckim słowem, że od tej pory nigdy już nie dopuszczę, by Sendivogius używał tynktury w przytomności króla i mojej? Że będziemy robić w pracowni wszystko z wyjątkiem złota?

Patrzyłem mu w oczy i zdawało mi się, że mówił szczerze. Przynajmniej w tej chwili. Ale nie byłem jeszcze dość stary i doświadczony, więc mogłem się mylić. Przypomniałem sobie czasy młodości, kiedy i mnie ożywiał podobny entuzjazm i cieszyło każde odkrycie, każda nowa zabawka, a do celu dążyłem nie zawsze szlachetnymi sposobami.

- Trzymam cię za słowo.

Zaskoczyłem go, widać miał mnie za bezwzględne. Czy wszyscy tak mnie postrzegali? Może w istocie taki byłem? Chciał coś powiedzieć, otworzył nawet usta, ale nie powiedział nic, skłonił się tylko i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Nareszcie po długiej przerwie znów dysponowałem całą izbą i nie zamierzałem zmarnować kolejnej nocy. Kiedy już się sobą nasyciliśmy, Janka powiedziała z westchnieniem:

- Czuję się winna, że powiadomiliśmy hetmana o praktykach króla.

- Ja też. Chociaż to nie ma sensu, bo sam jest sobie winny. I królowna też. Wiadomo, że król niczego nie robi bez jej rady i zgody. Nie kazaliśmy im spiskować. A teraz mamy po nich posprzątać?

- Wiem, ale czy naprawdę nie dałoby się z tego jakoś wybrnąć?

- Myślałem o tym cały dzień. I nic nie wymyśliłem.

- Mimo wszystko szkoda.

350

Zastanawiałem się nad tą sprawą niemal całą noc. I wreszcie coś wykoncypowałem. Gdy Janka wybierała się rankiem do zamku, powiedziałem:

- Niechaj królowna zdobędzie skrypty napisane ręką wszystkich, którzy wymieniali listy, zarówno z naszej, jak i rakuskiej strony. Treść obojętna, mogą być najniewinniejsze. A także podpisy ich oraz króla i cesarza. I wzory pieczęci. Muszę je mieć jak najprędzej. Niczego nie gwarantuję, lecz może jednak da się jeszcze coś zrobić. Ale muszą mi całkowicie zaufać, o nic nie pytać i cierpliwie czekać. Aha, razem ze skryptami będę potrzebował na początek co najmniej stu dukatów. Nie zamierzam płacić za ich sprawki z naszej sakiewki, jeszcze tego by brakowało. Jeśli tyle nie mają, niech poproszą o pożyczkę Wolskiego albo królową starą.

Ucałowała mnie i pobiegła na zamek jak fryga, zanieść królownie i jej bratu cień nadziei. Około południa na dziedzińcu przed katedrą wybuchło zamieszanie. Hajducy biegali tam i sam, pokrzykując, wyprowadzając konie ze stajen, pospiesznie poprawiając mundury i uprzęż, sprawdzając uzbrojenie. Obserwowałem to wszystko z okna, po czym zaciekawiony wyszedłem z domu, właśnie gdy pan Przyjemski formował szyki, ostrym tonem wydając komendy.

Marszałek koronny Stanisław Przyjemski dostał urząd zabrany zdrajcy Andrzejowi Zborowskiemu, ponieważ Maksymilianistów wciąż nie ukarano więzieniem, czekając na decyzję sejmu, ale odebrano im urzędy i musieli płacić odszkodowania wojenne z własnych majątków, drżąc, by i ich im nie odebrano.

- Co się dzieje, mości marszałku? - spytałem.

- W mieście dzieją się burdy, z którymi draby miejskie nie potrafią sobie poradzić, dlatego wezwano nas na pomoc. Ponoć podburzona przez kogoś młodzież szkolna i motłoch w liczbie kilkuset, a wciąż przyłączają się następni, przypuścili szturm na zbór ariański przy Szpitalnej. To już nie zwykła awantura, lecz prawy tumult. Daj Boże, żebyśmy zdążyli na czas.

Założył hełm i ruszył naprzód z kopyta, a za nim stu hajduków. Rację miał stary hutman ratuszny - wybryk Zakrzewskiego był tylko wstępem do poważniejszych rozruchów. Łatwo przyszło je wywołać. Ośmielona bezkarnym, drugim już w ciągu ostatnich lat, zruderowaniem Brogu (w maju zeszłego roku) młodź znów

351

uderzyła. Byłem pewny, że i tym razem nie znajdzie się winnych, a jeśli nawet, to i tak zostaną uwolnieni bez kary. Tylko za króla Stefana takie rzeczy nie miały prawa się zdarzać i nie zdarzały. Trudno zaś było liczyć na to, by „król jezuitów” przejmował się zbytnio losem kacerzy. Przeczuwałem, że względny pokój między wyznawcami różnych religii nie da się dłużej utrzymać i wkrótce zacznie się u nas dziać to samo co w innych krajach. Ktoś umiał to przewidzieć i wykorzystał do własnych celów. Na razie jedynie w Krakowie. Kiedy dwie godziny potem zdążyłem do zamku, od strony miasta dobiegały przytłumione odgłosy strzałów.

Wracaliśmy z Janką do Rabsztyna z wieczerzy, którą mieliśmy zaszczyt spożyć z królową wdową i królowną szwedzką, gdy nadjechał Przyjemski z połową hajduków. Zeskoczył z wierzchowca, zdjął szyszak, otarł pot z czoła i wtedy nas zobaczył. Skłonił się Jance, a mnie odpowiedział, zanim jeszcze o to zapytałem:

- Spóźniliśmy się. Motłoch zdążył już zdobyć zbór, zrabować i zniszczyć wnętrze, a potem podłożyć ogień, pobiwszy wprzód ministra. Rozochoceni scholarze planowali jeszcze najść Bróg, ale przynajmniej temu udało nam się zapobiec. Na wszelki wypadek zostawiłem tam połowę swoich ludzi na straży.

Z tego wszystkiego niemal zapomniałem, że miałem odszukać Araneusa. Tymczasem znalazł się sam. Akurat wówczas, gdy na kwaterę wrócił wykończony po wielu dniach i nocach ciężkiej pracy, ale zadowolony z wykonanej roboty Gustaw. Tego dnia obudziło mnie pukanie do drzwi, za którymi stał znajomy strażnik z Dolnej Bramy, stary wiarus spod Wielkich Łuków i Pskowa, któremu od czasu do czasu dawałem kilka groszy na piwo.

- Przepraszam, doktorze, ale mam tu człowieka, który utrzymuje, że was zna i koniecznie musi widzieć.

Odsunął się i dopiero wtedy go zobaczyłem, a jeszcze później rozpoznałem, tak się zmienił.

- W porządku, wachmistrzu, dobrzeście zrobili.

Obrócił się na pięcie i odszedł sprężystym krokiem, a ja odstąpiłem od drzwi i powiedziałem do nieproszonego gościa:

- Wejź.

Na jego widok Gustaw, już rozbudzony, zakrzyknął:

- Mathias Araneus!

352

- Alias Maciej Pająk1 - dodałem.

- Mo...gę u...siaść? - wyszeptał i zgiął się wpół.

Pchnąłem mu krzesło, na które opadł, ciężko dysząc. Cerę miał niezdrową, lico spotniałe, potargane brodę i odzież. Na pierwszy rzut oka było widać, że jest ciężko chory, a ostatnie dni nie upływały mu w luksusach. Ale nie wzbudził we mnie litości.

- Musisz mi pomóc...

- Muszę? Masz czelność, niech cię nie znam. Czego zresztą od dawna żałuję.

- Proszę...

- Pomagałem ci nieraz w przeszłości. A ty pięknie mi się odwdzieczyłeś. Porywając syna i strasząc żonę. Nawet gdyby król nie polecił mi cię odnaleźć, uczyniłbym to na własną rękę. Masz szczęście, że się zmieniłem i zamiast samemu wyrównać rachunki, oddam cię sprawiedliwości królewskiej. Gustawie, bądź tak dobry i przypilnuj go, a ja pójdę po hajduków, żeby zabrali tego szczura do Wieży Złodziejskiej.

- Zaczekaj! Wysłuchaj mnie. Błagam... - Krótki odpoczynek dobrze mu zrobił, mówił składniej. - Przez pamięć na dawne czasy. Przecież pomogłem ci ongi w sprawie Bractwa Trójcy, pamiętasz? Nadstawiając głowę...

Dawno temu Janek Grot, podówczas student prawa, zorganizował sekretne bractwo, Sodalitas Trinitatis, aby wywołać ferment pośród fanatycznie katolickich zakonów i namówić ich do

zburzenia Brogu, zboru na ulicy Świętego Jana, dzierżonego pospołu przez kalwinów i lutrów. Co dziwnie przypominało obecną sytuację... Bardzo wówczas młody Maciek Pająk, uczeń mistrza Twardowskiego, dopiero co podjął studia na wydziale artium, zgodnie z życzeniem swego mistrza, który w spadku zostawił mu pieniądze na opłacenie nauki i zakazał uprawiania magii. Pająk istotnie pomógł mi wtedy rozpracować bractwo, ale i tak nie udało mi się zażegnać tumultu wobec obojętnego stanowiska władz akademii, skrycie sekundujących żakom.

- Zapłaciłem ci za to szczerze, więc nie mam u ciebie żadnego obligu.
- Kacper! Wiem, że postąpiłem podle, ale ulituj się, na Boga żywego! Ja umieram...

1 Araneus (lac.) - pająk.

353

W to mogłem uwierzyć.

- W wieży dostaniesz księdza.
- Nie chcę księdza. Chcę żyć, aby móc się zemścić. Zostałem otruty przez socjuszów.
- Więc uczyn mi tę łaskę i idź zdychać gdzie indziej.

Osunął się z krzesła, przypełził do mnie z zapłakaną gębą i podjął mnie za nogi.

- Litości! Tylko ty możesz mnie ocalić!
- Niby jak? Nie jestem cudotwórcą.
- Pomnisz, jak zaprowadziłem cię do Krzemionek na drodze do Tyńca, gdzie mistrz Twardowski miał pracownię w grocie? Tę, którą morderz Kettler wysadził w powietrze, mniemając, że nas w niej grzebieł? Mistrz pozazdrościł włoskiemu alchemiście Giovanniemu Battiście delia Porta, który w 1560 roku powołał w Neapolu Akademię Tajemnic Przyrody. Chciał mieć podobną. Długo nad tym rozmyślałem i wreszcie pojąłem, że wspomniana grotka nie była tym miejscem, które nazywano Akademią Twardowskiego, choć wyglądało podobnie: wszędy białe skały, głębokie jary i las dookoła. Byłem tam krótko, mając ledwie pięć czy sześć lat, zaraz po tym jak mistrz mnie przygarnął. Dlatego pamiętam wszystko jak przez mgłę. Jeny dół w ziemi, zewsząd otoczony skałami, podobny do owych amfiteatrów starodawnych Greczynów, gdzie mistrz wykładał swe nauki licznie zgromadzonym kandydatom na magów i czarownice, przybyłym z najdalszych stron. Był tam też duży dom, cały w malowidłach, i grotka, inaksza od tamtej kolo Pychowic, z bardzo wysokimi stopniami wykutymi w skale, w której Twardowski wykonywał najtajniejsze eksperymenty. Pomóż mi odszukać to miejsce! Tylko tobie może to się udać! Od lat

rozpytywałem wszędy i wszystkich, i nikt tego nie wiedział... Jużem zaczął wątpić, zali mi się to wszystko nie zwidziało... Lecz na pewno nie!

Upadł na pawiment, wyczerpany długą przemową, wstrząsany szlochem. Spojrzałem na Gustawa, który słuchał z otwartymi ustami, zupełnie rozbudzony. Z oczu wyzierało mu współczucie, ale przede wszystkim ciekawość. Ja nie żywiłem ani jednego, ani drugiego. Oczekałem, aż Araneus się wyplacze, i spytałem:

1 Szczegóły w I tomie przygód Ryksa.

354

- Na co ci ta wiedza? Przecież umierasz.

- Nie pojmujesz? - Otarł rękawem łzy i smarki. - Chodzi o tynk-turę! Musi tam być! Wiem, że jest! To eliksir życia. Mała cząstka sprawi, że natychmiast ozdrowieję!

Tyle nadziei było w jego wzroku, że nawet mnie to ruszyło. Wzbraniałem się, bo nie był wart litości. Widać naprawdę się starzałem, bo zmiękleł. A niech to szlag! Podszedłem do skrzynki, w której trzymałem rozmaite drobiazgi, i wyszperałem zwitek. Podąłem go Pająkowi.

- Jeżeli tylko o to ci idzie, nie musisz się nigdzie wybierać. Masz.

Nieufnie obracał go w palcach.

- Co to jest?

- Formuła mistrza Twardowskiego na uczynienie tynktury, którą ongiś znalazłem w jego pracowni w sklepach domu Pod Krzysztofory. To jej daremnie szukaliście w tutejszej libracji.

- Ha! Wiedziałem, żeś ją znalazł i gdzieś schował!

Porwał kartkę, rozwinął z gorączkowym pośpiechem i przebiegł oczyma. Po czym mina mu się wydłużyła i ze ślepiów znów trysnęły łzy.

- To na nic! - krzyknął z rozpaczą, zmiął kartkę w dłoni i ze złością cisnął na pawiment.
- Każdy alchemista wie, że do zrobienia tynktury potrzeba soli, siarki i rtęci. Ale w jakich proporcjach? I z użyciem jakiego alkahestu? A drugie ingredience? Tego żaden adept nie wyjawi postronnym. Nie było tego także w księgach, które ukradłem bez potrzeby. Poza tym przygotowanie do działania i samo działanie, czyli tworzenie tynktury, trwa tygodniami. Tygodniami! Ergo receptura mi na nic! Potrzebuję gotowego kamienia! Kacper, błagam na wszystko, zaprowadź mnie do niego!

Gustaw podniósł zmiętą kartkę, rozpostarł i przeczytał. Uniosłem brwi pytająco. Pokręcił głową.

- Ja też nic tu nie poradzę. Nie jestem adeptem.

- Zrobiłem, ile się dało - powiedziałem zniecierpliwiony. - Więcej nie mogę i nie chcę. Kończmy tę komedię...

Wstałem, zamierzając złapać alchemika za kołnierz i odstawić do starosty.

- Nie! - Pająk chwycił mnie za rękę. - Posłuchaj! Znajdź dla mnie tynkturę Twardowskiego, a wyjawię ci, co się szykuje w mieście!

355

Uwierz, że straszne rzeczy. Powiem, kto za tym stoi i co zamierza uczynić. Powiem wszystko, co wiem. Tylko mnie uratuj!

Zawahałem się. To był jakiś argument. Wyczuł swoją szansę i nie czekał na moją decyzję.

- Nie chciałem pokrzywdzić twojej rodziny. Przestraszyłem się. Wiem, że zrobiłem głupstwo. Ale bałem się, że kiedy twoja żona ci opowie, cośmy tu robili z Sędziwojem i Wolskim...

- A coście robili?

- Przecież wiesz. Zawiodłem się na nich. Myślałem, że to adepci, a oni nie wiedzieli więcej ode mnie. Zatem społem szukaliśmy książki Twardowskiego i tego, co znalazłeś Pod Krzysztofory.

- Nie wspominałem ci, że coś znalazłem.

- Ale ja to czułem. No więc lękałem się, że jak raz wpadniesz na trop jakichś sekretnych praktyk, to nie popuścisz, przecież cię znam... I po nitce, czyli mnie, trafisz do kłębka, czyli ludzi, z którymi współpracowałem. I bynajmniej nie mam na myśli Wolskiego i Sędziwoja...

- A kogo?

Uśmiechnął się chytrze i wtedy jasno zobaczyłem jego charakter. Przebiegły i podły. Może się zmienił, a może zawsze taki był, tylko tego nie dostrzegałem. Ale chyba nie. Nie mogłem się aż tak mylić. Kiedyś był inny: szczery, otwarty i odważny. Czy człowiek może się aż tak zmienić? I co go zmieniło? Alchemia i magia? Żądza bogactwa i sławy? Złe towarzystwo? Pewnie wszystko po trosze.

- Powiem, jak znajdziesz tynkturę...

Nagle dostał bóli w żywocie i zaczął kasłać. Kiedy się wyprostował, krew ciekła mu z nosa i ust. Rzuciłem mu swoją chustkę. Otarł twarz i wzdrygnął się na widok krwi.

- To mnie urządziły, łotry... - jęknął. - Oby nie wyjrzeli z piekła! A tyle dla nich uczynilem...

- Na przykład?

- Chcieli, żebym zrobił dla nich tynkturę, ale nie potrafiłem... Więc próbowałem wywołać ducha mistrza Twardowskiego.

- Zatem owe koła w sklepie Pod Krzysztofory to twoja robota.

- Tak. Ale duch się nie objawił. A tamci naciskali i żądali efektów. Wtedy powiedziałem Wolskiemu o księdze mistrza i o formule, a on wprowadził mnie na Wawel, byśmy razem z Sędziwojem przeszukali bibliotekę. To ja zdradziłem im sekretne przejście. Musiałem, żebyśmy

356

stale nie leżeli w oczu twojej pani, która mnie znała i mogła się zaciekawić, co robię na zamku. Odkryłem ów przełaz, kiedy pomagałem mistrzowi Górnickiemu przy księgach, ale nie zdradziłem mu tego...

- Zatem już wtedy byłeś podłą gnidą. Powinienem się sprać po pysku, że tego nie spostrzegł i poleciłem cię Górnickiemu. Wolskiego i Sędziwoja też pewnie zamierzałeś wystawić do wiatru, kiedy nie byłiby ci już potrzebni?

Udał, że nie usłyszał, i ciągnął dalej:

- Nie mając na razie kamienia mędrców, musiałem pokazać moim mocodawcom, jak alchemicznym sposobem fałszować pieniądze, by wyglądały na złote lub srebrne. Ale wciąż domagali się tynktury, dali mi nawet pieniądze na wyprawę do Wilna. Nadto znam hebrajski i byłem przy tym, jak rabin ben Becalel stworzył w Pradze golema. Powiedziałem im o tym. Zażądali, żebym i ja stworzył golema. Dla nich. Nie mówili po co...

- I udało ci się? - spytał Gustaw z przejęciem.

- Nie. Nie wiem czemu. Wszystko zrobiłem, jak trzeba.

- Znasz hebrajski? - zdziwiłem się.

- Nie wierzysz? Jeden Żyd pokazał mi ichnie buksztaby.

Zobaczył na stole ołówek, którego wciąż nie oddałem, i luźne

kartki. Wziął jedną i nakreślił kilka znaków.

- Widzicie? - Pokazał nam. - Żeby ożywić stwora z gliny, trzeba mu wrazić w usta kartkę z takim napisem, który po hebrajsku znaczy emet, po naszymu „prawda”.

Wziąłem od niego kartkę i przyjrzałem się napisowi. Wyglądał tak:

✓ nas

- Tzeba było wypełnić wolę mistrza, dokończyć studia i nie zajmować się czarami-marami. Nie posłuchałeś. Zdradziłeś starych druhów i znalazłeś sobie gorszych. Ale

alchemistą i czarnoksiężnikiem też jesteś marnym. Brak ci wiedzy i metody. Oszukujesz i dajesz się oszukiwać. Niczego nie potrafisz zrobić jak należy.

- Co zrobiłem źle? - obruszył się.

- Wszystko. Szczerze wątpię, czy udałoby ci się cokolwiek wywołać, ale kół do wywoływania duchów nie narysowałeś jak trzeba. Nie wierzę w istnienie golema, hebrajskich buksztab znam ledwie kilka, ale w przeciwieństwie do ciebie, a widziałem, jak to robięś,

357

i.....

wiem, jak się pisze po żydowsku. Od prawej do lewej, głupcze. Dlatego wyraz emet powinien wyglądać tak:

K73n

- Źle ze mną... Nie mamy wiele czasu... - Znów chwyciły go bóle. - Pomożesz mi czy nie?

- Wyjaw imiona twoich współników.

- Nie. - Zaciśnął usta. - Ocal mnie, a wtenczas wyjawię. A teraz mogę ci jeno rzec, że to ludzie straszni i gotowi na wszystko. Jeśli nikt im nie przeszkodzi, poleje się wiele krwi. Już się leje...

Gustaw spojrział na mnie, a ja wciąż nie mogłem zdecydować. Na to weszły Janka i służka z koszykiem wiktuałów.

- Pająk! - krzyknęła Janka na widok gościa. - iy podły łotrze! Chętnie wydrapałabym ci te fałszywe ślepie! A więc złapałeś go nareszcie, Kacper.

- Niezupełnie - odparłem, odebrałem od służącej koszyk i odprawiłem ją. - Sam się zgłosił.

Odciągnąłem Jankę na bok i pokrótce wyjaśniłem sytuację.

- Nie zamierzasz chyba pomagać temu wstrętnemu żmijowi?

- Spójrz na niego... - ściszyłem głos. - Niewiele mu zostało. On umrze i żadna tynktura mu nie pomoże. Ale skoro w to wierzy, dajmy mu ostatnią okazję, żeby na koniec uczynił coś pożytecznego.

- Miałeś się w nic nie mieszać.

- I nie będę. Zdobyte informacje przekażę komu trzeba i tyle.

Milczała, wreszcie ciężko westchnęła i rzekła:

- A wiesz przynajmniej, gdzie szukać tej akademii?
- Domyślam się. To niedaleko, ale jednak za miastem. Będziemy potrzebowali wierzchowców. I mogę nie wrócić przed nocą.
- To zabierz Niziołka. Będę spokojniejsza.
- Jeśli ma czas i ochotę. Poślesz po niego? Ja bym się do tego czasu przygotował.
- Sama pojedę. Choć wolałabym, żebyś pozwolił Pająkowi zdechnąć.

Wyszła, nie zaszczycając Araneusa spojrzeniem. Chociaż mówiliśmy cicho, strzygli uszami i wszystko słyszeli.

- Jadę z wami - oznajmił Gustaw, podniecony, że będzie miał okazję zobaczyć pracownię sławnego magusa i alchemisty.
- Jak chcesz.

358

Si »

m-

Nawet Araneus się ożywił i wyglądał lepiej. Niewiarygodne, co może zdziałać nadzieja.

- Dokąd pojedziemy?
- Dowiesz się, kiedy dotrzemy na miejsce.

Zjedliśmy śniadanie. Pająk nie chciał stawy, napił się tylko trochę wina. Przyszykowałem się do drogi, zabierając do juków na wszelki wypadek trochę prochu i kul oraz kilka pochodni, i poszliśmy do stajen wybrać wierzchowce. Maształerz mnie znalazł i nie czynił wstrętów, nawet wybrał sposobne konie, spokojne i łagodnego usposobienia. Minęły czasy, gdy całkiem dobrze radziłem sobie w siodle, Gustaw także nie wyglądał na dobrego jeźdźcę, o Araneusie i jego stanie nie wspominając. Na to nadjechała Janka z Niziołkiem, dla którego zabrała wierzchowca już wcześniej. Olbrzym niezbyt pewnie siedział na koniu, lecz nadrabiał miną.

- Jak za dawnych lat, co Kacper?
- Prawie. Jestem rad, że się zdecydowałaś.
- Weź to na wszelki wypadek. - Widząc, że wsadziłem do olstra pistolet, Janka podała swoją króciwą Niziołkowi, który miał tylko kord u boku. - Wracajcie szczęśliwie.

Przez boczną furtę przy Lubrance mielibyśmy bliżej, ale wtedy trzeba by przejechać przez dziedziniec zamkowy, a nie chciałem wzbudzać zainteresowania. Dlatego wyjechaliśmy przez Dolną Bramę, a potem przez bramę Grodzką i Stradom dotarliśmy do Kazimierza. Dopiero

gdy przebyliśmy i to miasto oraz Wisłę i wjechaliśmy na trakt węgierski, Pająk odważył się zapytać:

- Daleko jeszcze?
- Jesteśmy prawie na miejscu.

Na wprost nas widniała Góra Lasoty zwana też Lasotnią albo Górą Miasta Kazimierza lub Górą Na Zbóju, lecz z wolna dla okolicy przyjmowała się nazwa Krzemionki. Na wschodnim zboczach góry stał stareńki kościółek Świętego Benedykta, zaś na zachodnim - szubienica kaźmierska, doskonale widoczna od strony miasta¹. Nie wiedziałem dokładnie, gdzie szukać miejsca opisanego przez Pajaka, zatem ujechaliśmy jeszcze kęs, by potem skręcić w prawo

¹ W okolicy dzisiejszego placu Lasoty (tu w 1651 r. stracono Kostkę Napierskiego, słynnego watażkę ludowego, nieślubnego syna króla Władysława IV i agenta Bohdana Chmielnickiego, dla którego próbował wznieść w górach rebelię i opanował Czorsztyń).

359

i wspiąć się do podnóża kopca Krakusa, zwanego także Rękawką. Jakoby z tego powodu, że gdy zmarł legendarny król Krak, poddani usypali nad grobem kurhan, nosząc ziemię w giezlach z zawiązanymi rękawami.

- To tu? Tak blisko? - nie dowierzał Araneus, mimo iż przerwę w podróży przyjął z ulgą.

Znów wyglądał marnie i zwątpilem, czy podoła prawdziwym trudom, które nas dopiero czekały.

- Nigdy nie byłeś na Rękawce?

Rękawką nazywano też odpust odbywany w kościele Świętego Benedykta we wtorek po Wielkiej Nocy. Ale główna zabawa miała miejsce na kopcu Krakusa. Wtedy to bogaci mieszcianie każ-mierscy zrzucali z góry cisnącemu się w dole ubogiemu ludowi, a zwłaszcza dziatwie, pierniki, owoce, orzechy, a nawet pieniądze. Dzieci turlały się po zboczach ku uciesze gawiedzi i próbowały je łapać. Często wybuchały spory i bijatyki. Zresztą przy okazji rozgrywano także popisy walki na kije-palcaty i zapasy osiłków. Nawet w Krakowie mało kto o tym wiedział z powodu oddalenia od miasta. To tłumaczyło, dlaczego Pająk, z pewnością wiele razy przejeżdżając mimo, nie zorientował się, że okolica za wzgórzami bardzo przypominała tę między Dębnikami a Tyńcem. Ja to wiedziałem, ponieważ jako otrok wiele razy bywałem tu przyprowadzany przez ojca Rocha w dzień świętego Benedykta, 21 marca, oraz w trzeci dzień świąt wielkanocnych. A to dlatego, że opiekę nad kościołem sprawowali ojcowie duchacy, lecz msze odprawiali jedynie w wymienione dni, ponieważ była to głusza. Najbliższe osady, Zabłocie i Janowa Wola, dawniejszy folwark rycerski, które Kazimierz Wielki podarował zbudowanemu przez siebie miastu Kazimierzowi, leżały nad samą Wisłą. Z kolei dobra mila gościńcem przez las dzieliła Krzemionki od Woli Duchackiej i Bonarki,

założonej nie tak dawno przez Bonerów, którzy korzystając z dobrej wody, zbudowali tam papiernię.

- Nie. I nie sędzę, żebyśmy byli w dobrym miejscu.
- Jesteśmy, tylko trzeba się rozejrzeć. Kto idzie ze mną na kopiec?

Zniechęcony Araneus machnął przecząco i położył się na trawie, Niziołek poklepał znacząco okazały żywot i rzekł przepraszająco:

360

- Takie wspinaczki to już nie dla mnie. Też sobie krzyne odsapnę.

Zatem zeskoczyliśmy z koni i wdrapaliśmy się na szczyt tylko

we dwóch. Gustaw zabrał ze sobą swój teleskop. Rozciągał się przed nami widok wprost nieprawdopodobny, który zawsze mnie zachwycał. I bez teleskopu mieliśmy jak na dłoni nie tylko cały Kazimierz, ale i Kraków, na zachodzie Tyniec, na wschodzie Puszcę Niepołomną, zaś na południu widok na Wolę Duchacką, Kurdwa-nów i Swoszowice, a nawet góry mające na horyzoncie. Jednak chociaż wytrzeszczaliśmy oczy aż do bólu, w bliskości nie widzieliśmy niczego przypominającego amfiteatr. Poza tym widoczność utrudniał las, gęstniejący w miarę obniżania się terenu. Dałem hasło do odwrotu.

- Może z Góry Lasoty będzie widać więcej.
- Co przykładaliście do oczu? - zaciekawiał się Niziołek.

Gustaw podał mu teleskop. Olbrzym przytknął go do oka i byłby wypuścił z rąk, gdyby Eriksson nie czuwał.

- Czary! Święci Pańscy, ratujcie mnie nieszczęsnego!
- Nie czary, tylko optyka.

Nawet Araneus zdobył się na zainteresowanie, dokładnie oglądając teleskop.

- Słyszałem, że pracują nad czymś takim w Niderlandach, alem nie wiedział, że jest już w użyciu - powiedział, zwracając przyrząd.

Zjechaliśmy w siodło pomiędzy kopcem Krakusa a Górą Lasotnią, mineliśmy stojącą pośrodku latarnię umarłych, kęs dalej zsiadliśmy z wierzchołków, wzięliśmy je za wodze i wijącą się ścieżką poszliśmy na wierzchołek. Stąd istotnie najbliższą okolicę było widać lepiej, ale wciąż niewystarczająco. Sosny, brzozy, modrzewie, dęby i klony skutecznie maskowały teren. Jednak Pająkowi wrócił humor, gdyż krajobraz nareszcie zaczął mu odpowiadać. Widzieliśmy urwiska skalne i obniżenia między nimi, lecz które było właściwe? Bez wskazówki mogliśmy się błąkać ze trzy dni, a Pająk z pewnością nie miał aż tyle czasu.

Dosiedliśmy koni. Mijaliśmy zamknięty na głucho kościół Świętego Benedykta, a wiedząc, że Niziołek uwielbia podobne baśnie, opowiedziałem im tę, którą w dzieciństwie usłyszałem od ojca Rocha.

- Ponoć kościółek postawiono w miejscu pogańskiej świątyni bożka Pośwista. W pradawnych czasach obok był też dwór albo

361

zamek, w którym mieszkała okrutna księżniczka, bez miary uciskająca poddanych, a starających się o jej rękę skracająca o głowę. Za karę śmiertelnie poraził ją piorun. Nie umarła, lecz została zaczarowana i, czarna jak smoła, zamieszkała pod stopniami kościoła. Pilnuje swoich nieprzebranych skarbów ukrytych pod ołtarzem. Z zaklęcia może uwolnić ją tylko ten młodzieniec, który szkaradę pokocha i poślubi. Musi przybyć pod kościół o północy, w porze duchów. Wtedy księżniczka mu się pokaże i wręczy sak pełen pieniędzy do wydania w ciągu trzech dni na hulankę i zbytki, nie dzieląc się z nikim, bo inaczej straci głowę...

- Mnie by to pasowało! - zawołał Niziołek, któremu zaświeciły się oczy.

- Przecież boisz się duchów - zgasilem jego zapał. - Poza tym masz już żonę. I dziecko, któremu chyba nie poskapiłbyś niczego? Zresztą podobno znalazł się już kiedyś śmiałek, który przyjął warunki, lecz wracając do oblubienicy, spotkał diabła pod postacią żebraka i wysupłał dla niego ostatni grosz. Gdy o północy stawił się przed księżniczką, urwała mu głowę. Lepiej jedźmy stąd, bo Czarna Księżniczka często snuje się po okolicy... Wszelako dopiero po północy! - dodałem, lecz wielkolud już zdążył wysforować się naprzód.

Dogoniłem go.

- Wiesz, dokąd jechać?

- Nie. A dokąd jedziemy?

- Tam. - Pokazałem leżącą niżej gospodę, posadowioną przy bocznej drodze, ale widoczną z gościńca.

Nie licząc kościoła, był to jedyny budynek na tym bezludziu. Krzemionki stanowiły matecznik dzikiego zwierzcha i rozbójników, kryjących się w pobliskich licznych grotach, jaskiniach i pieczarach, którzy ze wzniesień wypatrywali ofiar. Przez Krzemionki przebiegał bowiem szlak solny do Wieliczki, łączyły się także trakty wiodące na Ruś, Węgry i do Czech. Zdawać by się mogło, że posadowiona tu szubienica powinna być ostrzeżeniem dla grasantów, ale tak nie było. Sprzyjał im teren i oddalenie od ludzkich sadyb. Karczma zwała się stosownie - „Na Zbóju”¹, gdyż tutaj spotykali się złoczyńcy. Obmyślać plany i czyhać na nieostrożnych kupców i podróżnych,

1 Znajdowała się w rejonie dzisiejszej ul. Tatrzańskiej (dawna ul. Na Zbóju).

362

którzy sami leźli im w łapy. Spostrzegłszy bowiem, że nie zdążą do Kazimierza przed zamknięciem bram, czasem decydowali się sam nocować, mylnie mniemając, iż gospoda przyjęła dowcipną nazwę od pobliskiego miejsca straceń, a nie od stałych bywalców. Niejeden z takich naiwnych zaginął bez śladu razem ze swoim towarem. Pater Roch nazywał karcznię „Czerwoną Oberżą” i omijał ją z dala. Ja także z pierwotku nie zamierzałem do niej zaglądać, dlatego próbowałem z góry wypatrzeć Akademię Twardowskiego. Ale skoro to się nie powiodło, tedy nie było innego wyjścia. Musieliśmy zasięgnąć języka. Spodziewałem się tego poniekąd, dlatego zabrałem broń i Niziołka. Nie uśmiechała mi się żadna awantura i nie szukałem kłopotów, ale gdyby do nich doszło, dobrze było mieć olbrzyma u boku.

Zjeżdżając w dół do karczmy, po lewej ręce mijaliśmy niewielki plac na stoku góry ze sterczącą w górę szubienicą. Na postronku, grzechocząc kośćmi, kołysał się nagi wisielec z oczyma wydziobanymi przez ptaki. Trup był stary, jeszcze z zimy. Ktoś odarł go z koszuli i portek, ale nie odważył się odciąć ze sznura. Luty mróz wysuszył ciało, pozostawione do czasu, aż zgniło i odpadło od kości. Wciąż trzymało się w kupie, ale było lekkie i wiatr targał nim na wszystkie strony niczym chorągwią. Wielki kruk siedział na poziomej belce, łypiąc na nas ciekawie i bez strachu. Zakrakał złowieszczo, gdyśmy się z nim zrównali, ale nie odleciał.

- Zły znak - wymruczał przesądny Niziołek i nie odwracając się, wiedziałem, że się przeżegnał.

Spłoszyliśmy za to rozczochną starowinę, albo raczej wiedźmę z haczykowatym nosem, przygarbioną i odzianą w łachmany. Grzebała w ziemi pod wisielcem. Ponoć w takich miejscach, gdzie gniły ludzkie szczątki, szczególnie chętnie rosły przestęp (inaczej czarcie wąsy) i pokrzyk, wydający jakoby z siebie krzyk podczas wyciągania z ziemi, którym przypisywano własności mandragory. Płożący się przestęp był trujący, a jego korzeń przybierał ludzki kształt. Czarownice chętnie wykorzystywały go do rzucania uroków na bydło. Na przykład zakopując korzeń pod progiem obory, rzekomo odejmowały krowom mleko. Pokrzyk wilcza jagoda, zwany też belladonną, nieduży kierz, miał pełne silnego jadu jagody, używane do trucia wilków albo i ludzi, oraz korzeń, czasem również człekokształtny. Zresztą wszystko, a zwłaszcza każda

363

rzecz należąca do skazańca lub jego szczątek, jak wierzył ciemny lud, nadawały się na afrodyzjaki, medykamenty lub do praktykowania czarnej magii. Z uciętych palców wisielców czarownice warzyły lubczyki i zapobiegające impotencji mikstury. Ujrawszy nas, wiedźma zaskrzeczała, zamachała gwałtownie szponiastymi rękami, jakby chciała naszą gromadkę przepędzić, a gdy to się nie powiodło, czmychnęła do pobliskiej kępy chaszczy, skąd zapewne bacznie nas obserwowała.

Karczma wyglądała jak zwykła chłopska chata, drewniana i kryta strzechą. Była tylko bardziej rozłożysta i miała podcień oraz dostawioną stajnię. Nikt nie wyszedł nam na powitanie, jedynie w oknie zamajaczyła jakaś twarz i zaraz znikła. Uwiązaliśmy konie do żerdzi, przy której ustawiono kamienny wodopój.

- Zgłodniałem - oznajmił Niziołek. - Zawsze tak jest, gdy wy-trzęsę się w siodle. Przegryzłbym coś.

Weszliśmy do wnętrza. Z obszernej sieni wiodła drabiną na stryszek i schody do loszku. Z prawej były drzwi prowadzące do dwóch izb mieszkalnych, z lewej otwarte wejście do izby karczemnej z paleniskiem w głębi. Dopiero teraz pojawił się gospodarz. Arendarz był Żydem, co zdarzało się nader często. Nie miałem nic przeciw starozakonnym, niektórych nawet lubiłem. Temu to nie groziło. Jeśli pogłoski o „Czerwonej Oberży” odpowiadały prawdzie, tedy musiał być informatorem zbójców, a także paserem upłynniającym zrabowane dobra. Z brodatej gęby były chytrość i fałsz, maskowane służalczością. Rozbiegane oczka taksowały naszą odzież jak wprzódki konie przez okno. Może nie byliśmy nadzwyczajną zdobyczą, lecz i tak nie do pogardzenia.

- Aj-waj! Co za honor, jaki zaszczyt! Co podać wielmożnym panom?

- Jajecznicę - zadysponowałem, ponieważ jajek nie sposób zatruć, i szturchnąłem Niziołka, polecając mu szeptem: - Patrz mu na ręce, gdy ją będzie przyrządzał.

Oprócz nas w karczmie było tylko dwóch wieśniaków, pewnie wracających z targu w mieście. Siorbali piwną polewkę. Oraz jakiś niechlujny staruch obwieszony różańcami. Skulony drzemał na ławie, z głową wspartą na żebraczym tobołku przywiązany do kostura, chrapiąc donośnie. Przez okno wychodzące na zadź zobaczyłem biegnącego dokądś wyrostka.

364

- Cóż to gospodarzu, nie macie pomocnika? - spytałem Żyda, gdy razem z wielkoludem przynieśli parujący i przyjemnie pachnący traktament.

- Aj, jasny panie, żona leży złożona niemocą, a chłopaka niecnotę zawždy kajsi ponieście akurat, gdy jest robota. Teras tys polos kajsik, a jo nie wiy kaj - z jakiegoś powodu był spięty i z nerwów przeszedł na tutejszą mowę.

- Jedzcie szybko, przeczuwam kłopoty - powiedziałem, gdy wrócił za szynkwias, oddzielony od izby drewnianą kratą.

- Nie mogę. - Pająk odsunął od siebie półmisek. - Pospieszcie się... Żle się czuję...

Znów się pocił.

- Ja zjem chętnie. - Niziołek, który pochłonął już swoją, radośnie porwał dodatkową porcję.

Nie czekając, aż skończy, podszedłem do szynkwiasu, zamówiłem pięć piw, z których trzy Gustaw zaniósł towarzyszom i poczęstowałem gospodarza piątym. Poczekałem, aż upije solidny łyk, i dopiero potem spróbowałem sam. Było niespodziewanie dobre. Ale i tak nie zamierzałem go wypić.

- Szukamy pewnego miejsca - zagaiłem. - Zwą je Akademią Twardowskiego. Słyszałeś o nim?

- Coś słyszałem... - przyznał niechętnie. - Ale nigdy tam nie byłem. To nawiedzone miejsce. Od dawna nikt tam nie zachodził i wszystkie ścieżki zarosły. Pytajcie jego, panie - pokazał śpiącego starca.

- Nalej jeszcze jedno piwo.

Z dwoma kuflami podszedłem do dziadka, postawiłem przed nim piwo i szturchnąłem go.

- Co jest? Co się dzieje? - ocknął się i usiadł.

Zobaczyłem, że jest ślepy. Miał także wielką włochatą brodawkę

na policzku, ropę w kącikach oczu, ciekło mu z nosa, lepił się od brudu i cuchnął szczynami na milę. Jajecznicza zaczęła mi ciążyć w żołądku, a nawet gwałtem zbierała się do powrotu tą samą drogą, którą weszła. Za pomocą piwa zmusiłem ją do zawrócenia. Na coś jednak się przydało.

- Powiedziano mi, dziadku, że wiecie, gdzie szukać akademii czarnoksiężnika Twardowskiego. Napijcie się piwa i opowiedzcie mi o niej.

365

Hm

- Oho, ho - stary wypił od razu pół kufla i beknął. - Stare to dzieje, będzie roków ze trzydzieści z okładem, kiedy mistrz Twardowski sam bywał... Co to się wówczas działo! Wiedźmy na miotłach zlatywały jak na sabat, to samo strzygi, upiory, dziwo-żony, wilkołki i wampire, a czartów toby nikt nie porachował... Wszyscy oni ciągnęli do mistrza na jego rozkazanie, albowiem wielką on władzę miał nad mocami nieczystymi, którą mu księżę piekiel Mefistofil darował w zamian za cyrograf na byczej skórze spisany...

- Idźże, idźże, bajoku - nie wytrzymał jeden z wieśniaków, niepewnym jednak głosem.

- A wy skąd to wszystko wiecie, starcze? - kontynuowałem indagację.

- A bo żem kiedyś przysnął w gęstwinie i wszystko widział, bom naonczas był jeszcze widzący. Mnie zaś, chwalić Boga, żaden z owych piekielnych wysłanników nie wypatrzył... Widział żem także na koniec, kiedy dniało, kur trzy razy zapiał i całe zebrane towarzystwo rozplynęło się w powietrzu, jak mistrz Twardowski na malowanym koniu wjechał do swojej szkoły, w której pono dziatki porwane do praktyk niecznych przyuczał, i już stamtąd nie wyjechał...

- To jest i szkoła?

- A jakże! Dom murowany, co popod skałą stoi, do którego po dziś dzień nikt ze śmiertelnych nie zaglądnął...

- A to czemu?

- Bo tam straszny, ot co! Dzień czy noc, z wnętrza jakoweś jęki, stękania, płacze i wycia dobiegają... To nieczyste dusze zwiedzionych przez Twardowskiego młodzianków, męki piekielne cierpiąc, tudzież owych niewinnych dzieciaków, które zabił, krew z nich uprzednio wytoczywszy, w głos się skarżą...

- Zaprowadźcie nas tam, dziadku? Dobrze zapłacę.

- A Boże broń! - Przeżegnał się po trzykroć. - Nawet końmi mnie nie zaciągniecie! Jeszcze mi życie i zbawienie wieczne drogie!

- To choć wskażcie drogę - kuśiłem, pobrzękując sakiewką.

Pewnie by się w końcu zdecydował, ale do tego nie doszło. Bo

oto z hukiem i przytupem do izby weszło ośmiu chłopów, za nimi zaś jak wąż wśliznął się otrok, którego wcześniej widziałem. Wszyscy pozostali byli zwaliści, kudłaci, zbrojni w kordy i sztylety, a na paskudnych gębach mieli wypisaną swoją profesję.

366

- Gorzałki! - rozkazał karczmarzowi najroślejszy i najpaskudniejszy z nich i cała kompania rozsiadła się naprzeciw nas.

- Chodźwa, kumie. - Wieśniacy, którzy wprzódy razem z moimi towarzyszami pilnie słuchali opowieści prośalnego dziada, natychmiast porwali się z miejsc i sunąc przy ścianach, wypadli z izby, jakby ich gonił sam diabeł.

To samo uczynił ślepy dziad, zapomniawszy nawet dopić piwa. Nikt ich nie ścigał. Nowi goście zajęli się piciem i grą w trzy karty, klnąc i przekrzykując się na wypródkę.

- Idziemy - zakomenderowałem i zaczęliśmy się zbierać.

Kiedy Gustaw, siedzący najbliżej tamtych, przechodził obok wyglądającego na ich herszta osiłka, ów chybnął się na ławie tak, że spadł na Erikssona, oblewając się gorzałką.

- Bajklok! Popchłes mnie, ciuścoku! - wrzasnął, zerwał się na równe nogi i bez ostrzeżenia pchnął Gustawa tak silnie, że ten przeleciał całą izbę i wyrznął w ścianę, aż zadudniło.

Zanim zdążyłem go powstrzymać, Niziołek ruszył na łotra niczym szarżujący byk. Olbrzym miał sześć i pół stopy wzrostu i ważył ze cztery cetnary z wahnięciem o kamień w tę lub w tamtą stronę. Jego przeciwnik był rosły, ale nie aż tak, może ciut wyższy ode mnie, a liczyłem prawie sześć stóp. Za to młodszy, barczysty i nabity, same mięśnie, oraz szybki, co zaraz się pokazało. Niziołek zaś dawno przestał być zwrotny. Gdyby jego cios, wymierzony wielką pięścią w szczękę zbira, doszedł celu, nie byłoby co nawet drutować. Lecz nie doszedł. Tamten uchylił się zwinnie, po czym sam wymierzył kilka bolesnych ciosów, które wstrząsnęły bezradnym i kręcącym się jak bąk olbrzymem, po czym kopnął go w podbrzusze i obalił na podłogę. Skrzypnęła, Niziołek stęknął, cały dom zatrzęsł się w posadach, a w górę uniósł tuman kurzu. Przy wtórze radosnych wrzasków swoich kompanów, ich zwycięski

hetman usiadł okrakiem na wielkoludzie, lewą ręką z rozstawionymi paluchami szykując się do oślepienia powalonego przeciwnika, prawą zaś sięgając po króciwę, która wypadła Niziołkowi zza pasa.

- Ani się waż - powiedziałem, przytykając mu pistolet do łba i przydeptując łapę wyciągniętą po króciwę. - Co prawda nie strzelam

Bajklok, ciuśmok - niedojda, oferma [w gwarze krakowskiej).

367

już tak celnie jak kiedyś, lecz z tej odległości ciężko chybić. Chcesz sprawdzić?

Pozostali zbóje umilkli i chwycili za kordy.

- Spokojnie, chłopcy - poradziłem im, podnosząc króciwę i wymierzając w nich. - Zaczekajcie grzecznie na swoją kolej. I odsuńcie się, żeby rozbryzgi z mózgu waszego naczelnika nie powpadały wam do gorzałki. Teraz jestem zajęty, lecz potem, jeśli zechcecie, i wy zarobicie swoją kulkę.

- Wszystkich nas nie zabijesz - warknął herszt, złażąc z Niziołka i łypiąc na mnie wilkiem.

- Ale mogę spróbować. Zacznę od ciebie i a nuż się uda. Jednak mam inną propozycję.

- Jaką?

- Żebyś się zmierzył ze mną.

- Chcesz się bić?

- Niezupełnie. Chcę z tobą zagrać.

Zbójcy zaczęli rechotać, zaś na gębie ich hetmana pojawił się szyderyczy grymas.

- Zgoda.

Odjąłem mu lufę od łba, po czym wręczyłem i pistolet, i króciwę Niziołkowi, który zdążył powstać i dojsć do siebie, i przykazałem:

- Dopilnuj, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

Dosiadłem do rozbójników, którzy zrobili mi miejsce, zaskoczeni moją śmiałością.

- O co gramy? - spytał herszt.

- Jeśli wygrasz, oddam ci swoją sakiewkę. Jeśli wygram ja, wskażecie nam drogę do szkoły mistrza Twardowskiego i rozejdziemy się w zgodzie.

- Niech tak będzie.

Rozłożył przede mną trzy karty. Był to czerwieny tuz, winny wyżnik i żółdny niżnik.

- Czarne przegrywa, czerwone wygrywa. Do trzech razy sztuka.

- Zgoda. Lecz jeśli pozwolisz, wprzód pozbędziemy się tej karty, która dziwnym sposobem sama wskoczyła ci do rękawa. Z pewnością jej nie potrzebujesz.

Nim zdążył zareagować, wyciągnąłem mu z rękawa drugiego czerwienego tuza i odrzuciłem na bok. Pokraśniał, a jego druhowie znów pochwycili za broń, ale zdołał się opanować.

368

- Grajmy! - syknął przez zaciśnięte wargi, gestem uśmierzając kompanów.

Obrócił karty licami do dołu i zaczął mieszać. Podziwiałem wprawę, z jaką to robił. Jego dłonie tylko migały tam i nazad.

- Wybieraj!

Zawahałem się. Wszystkie oczy gapiły się na mnie w napięciu. Zerknąłem wstecz. Za plecami miałem wszystkich druhow, bo nawet Pająk zapomniał o swojej słabości. Nie brakowało także karczmarza i jego pomagiera. Na brak widowni nie mogłem zatem narzekać. Już wysuwałem dłoń po skrajną kartę z lewej, lecz w ostatniej chwili zmieniłem zdanie i odwróciłem środkową. Czerwieny tuz.

- Za pierwszym razem i głupim fortuna sprzyja - zbój zlekceważył mój sukces. - Dalej!

Mieszał karty jeszcze szybciej niż poprzednio. Ja zaś dłużej się namyślałem. Ale znów wybrałem czerwonego tuza. Wszyscy westchnęli. Moi towarzysze z ulgą, zbiry z niedowierzaniem. Ich naczelnik potrząsnął głową ze złością, aż zawirowały długie włosy i cienkie warkoczyki, w które przy skroniach miał zaplecioną czuprynę.

- Dawaj ostatni raz!

Kiedy po raz trzeci wskazałem czerwień, zapadła grobowa cisza. Całe towarzystwo wstrzymało dech. Wiedziałem, że tamci zaraz wybuchną, więc powiedziałem szybko:

- Powtórzmy?

- Kacper, nie kuś losu! - przestrzegł mnie Niziołek.

- Szum, podaj trzy kubki, żywo! - pogonił karczmarza zbójecki hetman, po czym zwrócił się do mnie: - Prawidła te same. Tylko teraz ja wybieram. Masz coś przeciwko?

Wzruszyłem ramionami. Jeśli myślał, że z kubkami pójdzie mu lepiej, jego sprawa. Wałęsając się w młodości w kompanii linosko-ków i kuglarzy, przyswoiłem sobie więcej zręcznych sztuczek, niż tym parafianom kiedykolwiek się przyśniło.

- Jak sobie chcesz.

Wyjąłem z mieszka srebrnego talara i przykryłem go jednym z drewnianych kubków przyniesionych przez gospodarza. Wykonałem jeden błyskawiczny ruch i kazałem mu wybierać.

- Już? - zdziwił się. - Przecież nie zamieszałeś!

- Zamieszałem.

369

Pewny siebie podniósł kubek i oniemiał. Monety nie było. Nerwowo obrócił pozostałe kubki i pod trzecim znalazł talara. Po raz pierwszy w jego wzroku zobaczyłem przestrach. Przełknął ślinę i dał mi znak. Tym razem mieszałem dłużej, aż im oczy biegały.

- Hi! - rzekł po długim zastanowieniu.

Podniosłem wskazany kubek, pod którym nic nie było. Jego

ludzie zaczęli szemrać i mamrotać pod nosem, strwożeni, jemu drżały wargi, lecz nic nie rzekł. Sprawdził jednak i pod sąsiednim znalazł talara.

- Gramy dalej? - spytałem.

- Dawaj! - polecił ponurym tonem.

Zamieszałem. Znowu tak szybko, że nie nadążyli wzrokiem. Bez namysłu, ale i bez przekonania, z jakąś rezygnacją i przeczuciem klęski wskazał środkowy kubek. Uniosłem go i nic nie znalazłem. Wściekłym machnięciem strącił z blatu pozostałe kubki. Talar błysnął w blasku słońca wpadającym przez okno do izby. Zabrałem go, wrzuciłem do sakiewki i spokojnie wstałem od stołu. Dopiero teraz pękła panująca dotąd jak makiem posiał cisza.

- Widziołeś? Jo zem łod rozu godoł, ze lón mi na Złego paczi! Utyko kiej Kusy!

- Czarownik!

- Charakternik!

- Chroń nos łode złego, Ponie Boże!

- Carcie nasienie!

- Uceń carnoksięznika!

Ale mówili to cicho, żebym przypadkiem nie dosłyszał. Pozostali milczeli, unikając mojego wzroku, jednak wszyscy trzymali ręce z dala od broni. Herszt też stracił na wojowniczości, acz nadrabiał miną.

- Cóż, było miło, ale na nas już pora... - Dałem znak swoim, odebrałem od Niziołka pistolet, zatknąłem go za pas, puściłem ich przodem i przypomniałem hersztowi: - Gdzie ten przewodnik?

Patrzył na mnie dziwnie i wskazał siwego zbója o wydatnej łysinie maskowanej dużym, dziurawym kapeluszem i rozkazał:

- Pokaż im, Lysek.

- Cemu jo?

- Ruszaj!

370

Już w progu odwróciłem się, jakbym sobie coś przypomniał, choć Żyd o nic się nie upominał.

- Rozumie się chyba samo przez się, że przegrany funduje wszystkim traktament?

- Idź do diabła! - warknął herszt.

- Właśnie tam się wybieram, ale dzięki za przypomnienie.

- Tamoj! Prosto kiej szczelił - Lysy zbir pokazał palcem kierunek i smyrnął do wnętrza, jakby go czarci gonili.

Zgodnie ze wskazówką pojechaliśmy na południowy zachód. Gustaw wyglądał niewyraźnie, Araneus leciał z siodła, Niziołek był przybity i zawstydzony swoją porażką. Doprawdy graniczyło z cudem, że z takim wojskiem udało mi się wygrać bitwę, i to bez jednego strzału. Tak jak zapowiedział karczmarz, wjechaliśmy w gęsty las, gdzie nie było żadnej ścieżki, a teren stopniowo się wznosił. Przepuściłem jadącego ze zwieszoną głową olbrzyma, zeskoczyłem z konia i cofnąłem się po śladach do skraju zarośli. Odczekałem chwilę, ale nikt za nami nie szedł. Musiałem napędzić zbójcom solidnego stracha. Wróciłem, dosiadłem wierzchowca i dogoniłem pozostałych.

- Zaskoczył mnie, suczy syn - usprawiedliwił się wielkolud, wciąż przeżywający swoją klęskę. - Gdyby nie to, to ho, ho...

- Jasne. Nie przejmuj się.

Obaj zdawali sobie sprawę, że minęły czasy, kiedy nie było na niego mocnych.

- Ale tyś wystrychnął ich na dudków, aż miło było patrzeć! - poweselał.

- Poszczyło mi się.

Wjechaliśmy na krawędź przepaści. Las ucinał się tu jak nożem, a białe skały zewsząd otaczały położoną w dole głęboką nieckę. Na jej końcu, pod przeciwległym urwiskiem, widniało samotne domostwo. Skręciliśmy w prawo, gdzie grunt się obniżał aż do jedynej wyrwy w skałach, która niby brama wiodła do wnętrza kotliny. Zsiadliśmy z koni i

zaczęliśmy schodzić. Im niżej, tym zarośla gęstniały, a wchód do doliny zasłaniała prawdziwa zielona brama z gęstych chaszczy i drzew. Przedarliśmy się przez nią i stanęliśmy jak oniemiaли. Oto znaleźliśmy się w kotlinie, istotnie przypominającej grecki amfiteatr. Nagie skały osaczały nas zewsząd, pnąc się ku górze stromymi stokami. Kotliną nie była wielka, więc tym

371

bardziej wyglądała tak, jakby jakiś baśniowy olbrzym wybrał skałę gigantycznym czerpakiem. Na samej górze, niby korona, okalał ją wieniec sosen i brzoź. Promienie zachodzącego słońca przebijały się przez gałęzie drzew i rzucały refleksy na białe skalne ściany. Nie docierały wszak do dna niecki, które tonęło w mroku. Prawe uroczysko.

- Niesamowite - westchnął Gustaw.

- Dotarliśmy! Poznaje! To Akademia Twardowskiego! Wykuły ją diabły na rozkaz mistrza - oświecił nas nagle ożywiony i uszczęśliwiony Araneus.

- Nie opowiadaj bzdur! - ofuknąłem go, bo Niziołek już zaczął dygotać. - To stary i od dawna nieczynny kamieniołom¹. Wybierano stąd wapień, z którego wzniesiono najstarsze budowle w Krakowie.

Opowiadał mi o tym pater Roch, ale nigdy mnie tu nie przyprowadził. Kamieniste dno wyrobiska tylko miejscami porastały kępy trawy i niskich krzewów. Ruszyliśmy ku widocznemu z góry porośniętemu bluszczem domowi, obok którego szemrał niewielki, rączy strumień, wypływający spod budynku.

- Stójcie! - zawołał nagle Niziołek i stanął jak wryty. - Słyszycie?

Teraz i my usłyszeliśmy przenikliwe świsty, gwizdy, a nawet wycia, jak w opowieści prozalnego dziada. Tworzyły jakąś upiorną melodię i nasilały się w miarę zbliżania się do domu. Był murowany, zbudowany z wapiennych ciosów, zamiast okien miał wąskie, podobne do strzelnic otwory i gontowy, łamany dach ze sterczącym wysoko w górę potężnym kominem. Tylną ścianą przylegał do wyniosłej, pionowej skały.

- Ja dalej nie idę! - oświadczył olbrzym stanowczo, acz drżącym głosem. - Nie ma mowy!

Zostawiliśmy mu zatem konie pod opieką, bo zaparł się i za nic nie chciał wejść do środka, i we trzech stanęliśmy pod dwuskrzydłowymi drzwiami, szerokimi jak wrota. Aby się do nich dostać, musieliśmy zerwać zasłonę z bluszczu. O dziwo, nie zaopatrzone ich w kłódkę, nie były nawet zamknięte na klucz. Miały za to mosiężne antaby wyrobione na kształt zwiniętych w obwarzanek smoków.

1 Dziś Park Bednarskiego.

372

Najbardziej niecierpliwy z nas, Pająk, pociągnął naraz oba skrzydła. Bezszelestnie rozwarły się na zewnątrz. Wtem coś wyrosło jak spod ziemi i przeraziło Pajaka, który odskoczył z wrzaskiem, a drzwi zawarły się na powrót.

- Diabeł! Chciał mnie porwać do piekła! - wrzeszczał Araneus. - Widzieliście!?

Gdybym go mocno nie trzymał, wyrwałby się i pobiegł gdzie oczy poniosą.

- Widziałem - odparłem uspokajająco. - Nie przywidziało ci się. Zaraz to sprawdzimy.

Wtem poryw wiatru, hulającego gdzieś górą, zabłądził na dół i smagnął nas po twarzach, unosząc z dna doliny kurz i zeschnięte liście. Równocześnie szarpiąca nerwy muzyka buchnęła ze zdwojoną siłą, że nawet mnie zrobiło się nieswojo. Nie mogłem już utrzymać Pajaka, który pobiegł ku Niziołkowi. Gustaw także nie wytrzymał i do nich dołączył. Pospiesznie wdrapywali się na siodła i zawracali wierzchowce.

- Stać! - wrzasnąłem. - Zaczekajcie na mnie i przestańcie zachowywać się jak baby!

Robiło się coraz ciemniej, więc wyjąłem z juków pochodnię, zapaliłem i zdecydowanym krokiem zbliżyłem się do drzwi, aby pozostałym zademonstrować pewność siebie. Nie czułem się aż tak pewnie, to miejsce i na mnie działało dziwnie, ale nie mogłem okazać słabości. Pociągnąłem skrzydła, przekroczyłem wysoki próg i uskokczyłem w bok, o włos unikając uderzenia przez czarną postać, która skoczyła na mnie jak wcześniej na Pajaka. Kiedy wszak drzwi zaczęły się za mną zamykać, stwór zwiotczał i ułożył się za progiem. Podniosłem pochodnię i odetchnąłem z ulgą.

Potwór okazał się kukłą, zrobioną ze słomy i odzianą na czarno, z umocowanymi na łbie rogami i doszitym chwostem. Istny diabeł, który miał napędzić stracha intruzom i zniechęcić nieproszonych gości do nawiedzania domu pod nieobecność właściciela. Wisiał na giętym drucie podczepionym u powały, a na końcu umocowanym do drzwi. Kiedy je otwierano, drut się napinał, a „diabeł” unosił w górę. Gdy się zamykały, drut luzował i kukła wracała do pierwotnego położenia. Przeciąłem drut i podniosłem ją. Kichnąłem, tak była zakurzona. Odłożyłem stracha i podszedłem do drzwi. Mechanizm, który je otwierał i samoczynnie zamykał, był

373

4.

zarazem prosty i sprytny, opierający się na kombinacji lin i podwieszonych z obu boków głazów-obciążników. Ciągnąc skrzydła, napinało się sznury i unosiło kamienie, które następnie, spadając, domykały wrota.

Teraz mogłem spokojnie rozejrzeć się po domu. Nie miał sieni, tylko obszerną izbę, a z boku drugą, mniejszą, która okazała się stajnią bez osobnego wyjścia. To dlatego Twardowski wjeżdżał do domu konno. W stajni było trochę starej mierzwy, a z tylnej ściany, a właściwie

litej skały, tryskało źródło, płynąc przez stajnię wyżłobionym kanałem i wypływając wybitym w murze otworem. W odróżnieniu od świetlicy stajnia nie miała powały, tylko kilka luźnych desek rzuconych na tragarze stropowe. Po dostawionej drabinie wdrapałem się na strych. Wielki i pusty, nie licząc odrobiny zetla-łego siana. Przeróżliwe dźwięki, słyszalne na zewnątrz, tu wręcz ogłuszały. I nie dziwota, gdyż dotarłem do ich źródła. Były nim rury, mnóstwo blaszanych rur z otworami, działających jak organy. Kilka z nich wchodziło w ażurowy komin. Wiatr hulał po strychu przez dymniki w szczytach oraz dziury w gontach, wciskał się do rur i powodował upiorny hałas. Kolejna tajemnica znalazła racjonalne wyjaśnienie.

Zszedłem na dół z dwoma gontami. Otworzyłem drzwi na oścież i zaparłem gontami. Podniosłem kukłę i wyrzuciłem ją przed dom.

- Oto wasz diabeł! Przestańcie się trząść ze strachu i chodźcie sam. Konie możecie puścić luzem, niech się pasą. Nigdzie nie uciekną.

Pierwszy odważył się Pająk, za nim poszli następni. Niziołek dla pewności kopnął kukłę, która rozpadła się na kawałki. Powiedziałem im, jak sprytnie Twardowski zapewnił sobie spokój i samotność. Ulżyło im trochę, lecz nie do końca. Przez rozwarte drzwi zaglądnął do wnętrza ostatni promień gasnącego słońca. Zapaliliśmy więcej pochodni i pozwoliliśmy wrotom się zamknąć.

Świetlica była wyposażona zgoła po spartańsku. Przy stole z surowych desek stały dwie ławki, w jednym kącie duża prycza i dwie mniejsze w drugim oraz półka przy kominku, zastawiona nielicznymi naczyniami.

- Poznaję tę izbę! - zawołał Pająk. - To było moje łóżko!

Usiadł na jednym z mniejszych legowisk, osłabiony wzruszeniem i nie tylko.

374

- Patrzcie! - Odsunął siennik i pokazał wydrapany w desce koślawy napis: MACIEK.

- Czyje było to drugie łóżko? - spytałem.

- Chłopca, trochę młodszego ode mnie. Znajdy jak ja. Był tu już, kiedy mistrz mnie przygarnął. Nie pamiętam, jak miał na imię.

- Co się z nim stało?

- Nie wiem - odparł niepewnie.

- Wiesz, a przynajmniej się domyślasz.

- Zniknął któregoś dnia. Wtedy gdy mistrza odwiedził sławny niemiecki mag Faustus. Zabrali małego i nigdy potem go nie widziałem.

- Zabili go - wtrącił Gustaw. - Czarnoksiężnicy potrzebują dziecięcej krwi do swoich magicznych praktyk.
- Mistrz płakał potem przez wiele dni... - szepnął Pająk. - Myślę, że nigdy sobie tego nie wybaczył...
- Twoje szczęście, że ruszyło go sumienie, bo byłbyś następny -wtrąciłem brutalnie. - Którędy do pracowni?
- Nie wiem... Wtedy, gdy tam byłem, jeden jedyny raz, po prostu się w niej obudziłem. Potem pojąłem, że kiedy mistrz szedł pracować, podawał mi laudanum... Znajdźcie ją! Pospieszcie się. Umieram...

Wyciągnął się na posłaniu i skulił jak dziecko. Dyszał ciężko i znów się poccił. Tym razem krwią.

- Poświećcie sam! - poleciłem.

Oświetliliśmy ścianę z desek w głębi, przylegającą do skały. Wejście do pracowni alchemicznej musiało być za nią. Ba, kiedy ściana była zupełnie gładka.

- Dobry Boże! - wzdrygnął się Niziołek na widok pokrywających ją barwnych malowideł.
- To symbole i alegorie alchemiczne - powiedział Gustaw i wskazał centralny fizyrunek.
- Oto pożerający własny jadowity ogon wąż Uroboros.

Szkaradny rysunek przypominał bardziej smoka niż żmija, zwłaszcza że z boków sterczały mu nietoperzowe skrzydła. Mniejsze obrazy, wszystkie w piekielnie intensywnych barwach, przedstawiały już to salamandrę w ogniu, już to orła wzbijającego się w przestworza albo lwa w wieńcu laurowym na łbie, a poza tym upersonifikowane słońca i księżyce, pawie i bazyliuszki.

375

- Orzeł oznacza sublimujący kamień filozoficzny, lew także - tłumaczył Gustaw. - A to Trójjednia Lucyferyczna, symbol transmutacji.

Ten obraz był najszkaradniejszy. Przedstawiał smoka czy też bazyliuszka zwiniętego w obwarzanek, na kogucich łapach, ze skrzydłami i czterema diabelskimi pyskami zionącymi ogniem oraz dwoma splecionymi ogonami zakończonymi ludzkimi głowami. Nad nim albo na nim stała skrzydlata (ale skrzydła, jedno zielone, drugie niebieskie, były skrzydłami nietoperza albo raczej diabła, nie anielskimi) postać złożona z dwóch połówek, o dubeltowej głowie zwieńczonej wspólną koroną: mąż-król w czarnej zbroi dzierżył w wystawionej ręce miecz, niewiasta-królowa - koronę.

- Ohyda! - powiedział olbrzym, splunął i cofnął się na wszelki wypadek.

Ja przeciwnie - przybliżyłem się, by dokładnie obejrzeć ścianę. Ciężko było, ponieważ malunki tworzyły celowy galimatias czarnych konturów i jaskrawych plam. Ale jednak wypatrzyłem obrys furtki, ukryty pośród czarnych linii. Była też podłużna szpara na wsunięcie palców. Wsunąłem i pociągnąłem. Furta się otworzyła, odsłaniając wykuty w skale korytarz, z którego ciągnęło chłodem.

- Idziemy. Pająk, dasz radę?
- Chyba nie... - jęknął.
- Niziołek, Gustaw, pomóżcie mu, ja poprowadzę.

Zanurzyliśmy się w mrok, a furtka sama się za nami zawarła. Tym

razem mechanizm zamykający stanowiła mocna sprężyna. Zaraz za ścianą wykuto w skale wnękę, rodzaj loszku będącego zapewne spiżarnią, bo znajdowały się tam jeszcze jakieś smętne resztki spyży i kilka flaszek ze zgęstniałym winem. Hinel, dość wysoki, byśmy nie potrzebowali się schylać, był na tyle wąski, że Niziołek musiał sam ponieść Pajaka. Hiż za mną podążał Gustaw.

- Spójrzcie! - powiedziałem, gdy na bocznych ścianach, na wysokości oczu, symetrycznie po obu stronach, zaczęły się pojawiać narysowane węglem znaki, w następującej kolejności:

o c t 9 6 ♀ \

- Słońce-złoto, Księżyc-srebro, Saturn-ołów, Wenus-miedź, Mars--żelazo, Merkury-rtęć, Jowisz-cyna... - odcyfrowywał je na głos Gustaw w miarę, jak się wyłaniały z ciemności.

376

- Stać! - wrzasnąłem i sam stanąłem jak wryty, ponieważ ostatni symbol coś mi przypomniiał. - Już raz widziałem signum takie jak to ostatnie. Pod Krzysztofory, w pracowni Twardowskiego. Omal nie straciłem wówczas życia.

- I co z tego? - zapytał Gustaw.

- To ja ciebie powinienem zapytać. Ponoć różokrzyżowcy wywodzą się od templariuszy, a u nich...

- Już wiem, o co ci idzie! Symbol Jowisza, wryty w kamieniu lub cegle, u templariuszy oznaczał: uwaga, niebezpieczeństwo!

- Otóż to. Trudno przypuścić, by nasz zmyślny mistrz nie zgotował tu jakiejś niemiłej siurpryzy dla intruzów naruszających jego sanktuarium.

Pułapka nie należała do zbyt wyszukanych. Między jednym a drugim znakiem Jowisza, na wysokości łydek, rozpięto nić jedwabną. Prawie niewidoczną i mocną, lecz nie na tyle, by nie zerwał jej nieostrożnie stąpający człowiek, zwłaszcza że już zetlała. Kazałem im się wycofać,

po czym sam zrobiłem krok wstecz, przeciąłem nic sztyletem i błyskawicznie odskoczyłem jeszcze dalej. Z pozornie litej skały ponad naszymi głowami oderwał się duży głaz i z hukiem gruchnął prosto w to miejsce, w którym jeszcze niedawno stałem. Gdybym tam został, nie byłoby co zbierać. Aż się spociłem z emocji.

Poszliśmy naprzód, omijając zawalidrogę. Sekwencja znaków znów się powtórzyła i ponownie zatrzymaliśmy się przy symbolu Jowisza.

- Co tym razem wymyślił ten piekielnik!? - zawołał z tyłu Niziołek.
- Żeby to wiedział... - Mimo rozglądania się, niczego nie wypatrzyłem. - Zaraz...

Dotychczas podłoże skalne było chropowate i nierówne. Tymczasem mieliśmy przed sobą odcinek płaski jak stół, wysypany miążkim piachem i aż zachęcający do postawienia na nim stopy. Skąd tu tyle piachu?

- Niziołku, zostaw Pająka, zawróć i przytocz tutaj ów głaz, który omal mnie nie spłaszczył. Poradzisz sobie?
- Co by nie!

Jakoż i wrócił zaniechęcony, bynajmniej nie tocząc, ale dźwigając głaz, lekko tylko zasapany.

377

- Co teraz?
- Ciśnij go w środek owej piaszczystej łąchy.
- Już się robi.

Przecisnął się na przodek, uniósł ciężar na wysokość piersi i pchnął skalny odłam z całej siły, ja zaś w tejże chwili szarpnąłem go wstecz. Ta pułapka była jeszcze prymitywniejsza niż poprzednia. Tworzył ją wilczy dół z żelaznymi ostrzami osadzonymi na dnie, po wierzchu nakryty przysypaną piaskiem klapą z cienkich deszczulek, które pod ciężarem głazu roztrzaskały się w drzazgi.

Ominęliśmy głęboką na sążeń dziurę i podążyliśmy dalej. Na szczęście więcej niespodzianek nie było, a kolejny układ znaków nie zawierał signum Jowisza. Zamiast niego pojawiły się trzy bardzo wysokie stopnie wiodące w dół. Spuściliśmy się po nich bardziej, niż zeszliliśmy, odbierając na dole Pająka, bo nawet Niziołek nie dałby rady razem z nim pokonać tej przeszkody. Zwłaszcza że Araneus leciał przez ręce i był półprzytomny.

W świetle pochodni zobaczyliśmy grootę, mniejszą jednak niż tamta za Dębnikami. Nie zdziwiło mnie to, ponieważ dzieciom rzeczy zawsze zdają się większe niż w rzeczywistości, a Pająk zapamiętał grootę z czasów, gdy był pachołkiem. Na ścianie widniał taki napis:

S A T O R A R E P O T E N E T O P E R A R O T A S

- Co to znaczy? - spytałem.

- Nic - odparł Gustaw. - To znany od czasów rzymskich magiczny kwadrat zawierający czarodziejską formułę czy też zaklęcie. Jest stosowany jako amulet przeciw chorobom, pożarom, katastrofom i wszelkim nieszczęściom. Osobliwy z tego powodu, że z każdej strony czyta się tak samo.

- W samej rzeczy! - zawołał z podziwem Niziołek, dumny z tego, że posiadał sztukę pisania i czytania, choć nie uczęszczał do żadnej szkoły.

- A to?

378

Ponad wchodem do pieczary widniał jeden wyraz, uczyniony wielkimi buksztabami:
VITRIOL.

- To skrót formuły medytacyjnej: Visitia interiora terrae, rectificando invenies occultum lapidem. Taki napis można znaleźć w an-sambleach różokrzyżowców. Widać Twardowski należał do bractwa róży i krzyża.

Poza tym pracownia niczym nas nie zaskoczyła. Z jednym wyjątkiem. Był nim osobliwy, wielki żelazny cylinder, złożony z trzech pierścieni i nakryty szklaną kopułą z otworem pośrodku.

- Atanor! - zawołał Araneus, przytomniejąc i wskazując ów przyrząd palcem. - Wiedziałem, że tu będzie! Jestem uratowany!

Spotniałe lico, na którym śmierć już odciskała swoje piętno, jaśniało radością i nadzieją.

- Atanor to piec alchemiczny do wytwarzania tynktury - objaśnił Gustaw. - Wielkie Dzieło dokonuje się w czterech etapach: przygotowanie działania; działanie, które jest najtrudniejsze, a polega na zrobieniu tynktury; pomnożenie kamienia, co jest stosunkowo proste, oraz projekcja, czyli posługiwanie się kamieniem. Spójrzcie tu. - Pokazał kuliste naczynie, skręcone z dwóch połówek, z krótką szyjką zatkaną korkiem, widoczne pod szklaną kopułą. - To ovum philosophicum², znane także jako tetrasomia, „czworojednia”, ponieważ sporządza się je ze stopu miedzi, żelaza, ołowiu i cyny, których symbole widzicie wytrawione na powierzchni. To w nim powstaje tynktura...

- Z czego?

- Ze złota, lecz nie pospolitego, aurum positivum, ale najdoskonalszego, aurum superlativum, srebra i nawozu, to jest substancji sprzyjającej putrefakcji. Potrzebny jest jeszcze „azoth mędrców”, czyli alkahest, oraz terra Virginia³...

- Gdzie jej szukać?

Wzruszył ramionami.

- A bo ja wiem? To wiedzą tylko adepci. Zresztą są alchemiści zwani trymaterialistami, uważający, że do zrobienia tynktury

1 Visitia interiora terrae, rectificando invenies occultum lapidem (łac.) - odwiedź głębię ziemi, a dzięki oczyszczeniu znajdziesz tu ukryty kamień.

2 Ovum philosophicum (łac.) - jajo filozoficzne.

3 Terra Virginia (łac.) - ziemia dziewicza.

379

niepotrzebne są metale szlachetne, ale trzy zasady: rtęć, siarka i sól.

- Jak to działa? - Niziołek z zainteresowaniem podziwiał atanor, bojąc się wszak go dotknąć.

- Na samym spodzie jest popielnik z drzwiczkami, wyżej palenisko z rusztem... O, przez ten otwór dokłada się paliwa. Najwyższy człon cylindra to komora robocza. W niej, jak widzicie, znajduje się „jajo mędrców” umieszczone na trójnożnym stojaku. Palenisko od komory oddziela zasuw, za pomocą której reguluje się dostęp płomienia do jaja. Przez otwór w kopule wydostają się dym i gazy. Proces powstawania tynktury w jaju jest długi, trwa tygodniami, dlatego wymaga nie tylko wiedzy, ale i cierpliwości. W pierwszych tygodniach zwęglania substancja przybiera rozmaite barwy. Ta pora to Królestwo Merkurego. W porze Królestwa Saturna masa zielenieje i czernieje. W Królestwie Jowisza substancja odradza się i brązowieje, by w porze Królestwa Diany przybrać oślepiająco białą postać. To już jest Mała Przemiana, z takiej tynktury można robić srebro. Chcąc uzyskać tynkturę do robienia złota, należy przebyć kolejne etapy: Królestwa Wenery, w którym substancja robi się ciemnoczerwona i Królestwo Marsa, w którym mieni się niczym ogon pawia. Nareszcie w Królestwie Apollina substancja wprawdzie paruje, po czym skrapla się do postaci krystalicznego proszku jasnoczerwonej albo szafranowej barwy, lub też ciała stałego, ciemnorubinowego, kruche jak szkło. I to jest właśnie tynktura.

- A skąd wiadomo tak dokładnie, co dzieje się w jaju, skoro nie sposób tego obserwować? - spytałem.

- Tego nie wiem. Tak to opisano w uczonych traktatach.

- Znajdźcie kamień! Błagam! - ponaglił nas Pająk.

Zwijał się z bólu, rwąc włosy, które wychodziły całymi kępami. Zaczęliśmy przetrząsać pokryte kurzem kąty i półki.

- Mam coś! - Niziołek wyciągnął skądś blaszaną puszkę, a z niej zapisany pergamin i podał mi, ponieważ tekst był łaciński.

- „TVzy są rzeczy, z których można sporządzić eliksir - przetłumaczyłem głośno. - Siedem metali, siedem esencji oraz inne rzeczy... Siedem metali to: złoto, srebro, miedź, cyna, ołów, żelazo i rtęć; siedem esencji to: merkuriusz, siarka, sól amoniakalna, aurypigment,

I Ówczesna „zasada” oznaczała co innego niż w nowoczesnej chemii.

380

biel cynkowa, magnezja i markasyt, inne zaś rzeczy to: żywe srebro, krew ludzka, krew końska i mocz, mocz zasię jest ludzki”.

- To z Elixiru filozofów Jakuba De Osy, który zanim został papieżem Janem XXII i potępił alchemię w bulli, sam był zawołanym alchemistą - wyjaśnił Gustaw. - Ale nie tego szukamy, tylko gotowej tynktury. Myślę, że ją znalazłem.

Z głębokiej wnęki wydobyl szklany pojemnik z nieforemną grudką kryształu rubinowej barwy. Wyjął go i mi podał. Znalazłem zakorkowany flakonik, otarłem z kurzu, odłupałem sztyletem kęsek tynktury, rozgniotłem go w oczyszczonym z grubsza faceletem małym aptecznym moździerzcu, wsypałem proszek do flakonu, zmieszałem z winem z bukłaka podanego przez Niziołka, wstrząsnąłem i podałem Araneusowi. Pochwycił go łapczywie, przytknął do ust i wypił duszkiem zawartość. Na wynędzniałym licu odmalował się wyraz błogości.

- W samą porę... - wyszeptał. - Czuję, że zaczyna działać. Już mi lepiej...

Byłem innego zdania, dlatego przypomniałem mu:

- Ja dotrzymałem obietnicy. Teraz twoja kolej. Podaj mi nazwiska twoich współników z miasta.

- Słusznie... To...

Przerwał mu gwałtowny atak kaszlu. Krew puściła się ustami, nosem i uszami. Konał.

- Mów! - ponagliłem.

Ale nie mógł już mówić. Ostatkiem sił przewrócił się na bok i w kurzu pokrywającym skalne podłoże narysował palcem coś takiego:

Po czym umarł. Rozszedł się okropny fetor, a spod ciała wypłynęła kałuża krwi i rzadkiego kalu. Byłem wściekły. Tyle trudu i wszystko nadaremnie! Ale nic nie dało się na to poradzić.

- Wracamy.

- A on? - spytał Niziołek.

381

- Zostawimy go tu. Myślę, że nie miałby nic przeciwko temu.

Obróciłem Pająka na wznak, skrzyżowałem mu ręce na piersiach

i zamknąłem powieki.

- Jeśli chcesz - powiedziałem do Gustawa - możesz sobie zabrać tynkturę.

- Nie chcę. - A w odpowiedzi na moje zdumione spojrzenie, wyjaśnił: - Stworzyć kamień filozoficzny może tylko człowiek godny, wybrany przez Boga. Myślisz, że mistrz Twardowski taki był? Nie sądzę. A zresztą dowód mamy przed sobą - wskazał trupa. - Prawdziwa tynktura uzdrowiłaby go albo wskrzesiła umarłego. Nie chcę kamienia także z innego względu, nawet gdyby był prawdziwy, a zwłaszcza wtedy. Posiadanie go to wielka odpowiedzialność. Co zrobić z wiecznym życiem, które gwarantuje? Z niewyobrażalnym bogactwem, które zapewnia? A praca? Po co robić cokolwiek, do czego dążyć? Nie nauczyłem się jeszcze panować nad sobą, a mam panować nad ludźmi niczym Bóg? Mając kamień filozofów, łatwo płynąć z prądem i nie odmawiać sobie niczego. Oparcie się tej pokusie wymagałoby nadludzkich sił, a ja ich w sobie nie czuję. Kiedyś marzyłem o posiadaniu kamienia filozoficznego, lecz już go nie pożądam.

Zostawiliśmy zatem Araneusa w jego skalnym grobowcu i z pustymi rękami rozpoczęliśmy odwrót. Kiedy opuszczaliśmy dom czarnoksiężnika, był środek nocy. Ale nie chcieliśmy tu nocować. Poza tym na wszelki wypadek, gdyby zbójcy jednak nie dali za wygraną, lepiej było wymknąć się stąd, korzystając z ciemności, rozjaśnionych jedynie mglistą poświatą gwiazd. Nawet ja czułem dużą ulgę, kiedy opuszczaliśmy to niesamowite miejsce. Po wydostaniu się z kamieniołomu, zamiast w prawo, skąd przybyliśmy, do traktu lwowskiego, skierowaliśmy się w lewo, w kierunku traktu wiedeńskiego, do którego dotarliśmy po dobrej godzinie przedzierania się przez las i wądoły. Kiedy dotarliśmy do Ludwinowa i na wysokości Skałki wjechaliśmy na wiodący przez Wisłę do Kazimierza most Świętego Stanisława, zaczęło świtać i zgrzytnęły wieże otwieranej bramy miejskiej.

Dwa dni dochodziłem do siebie po tej eskapadzie. A trzeciego odebrałem buty od szewca. Zaraz po powrocie włożyłem noże do wewnętrznych kieszeni i założyłem buty, by je rozchodzić. W tej chwili zauważyłem brak rzeczy Gustawa, zasłane łóżko, a na nim

382

V

teleskop w futerale i kartkę z napisem: DLA MAŁEGO KACPRA NA PAMIĄTKĘ. DZIĘKI ZA WSZYSTKO. ŻEGNAJCIE. GUSTAW.

Z wściekłością zmiąłem papier w garści i wybiegłem z domu tak jak stałem, nawet bez laski. Strażnicy przy Bramie Dolnej nie zauważyli Gustawa, ale ci przy Górnej Bramie tak. Z biesagami przewieszonymi przez ramię przed półgodziną zdążył ku bocznej furcie obok Lubranki. Strażnik przy furcie to potwierdził. Znał Gustawa i nie widział powodu, by go zatrzymać. Zbiegłem rącho ze wzgórza wawelskiego, zapominając o bolącej nodze. Dała o sobie znać na Stradomiu i wtedy pożałowałem, że nie zabrałem laski. Za to dostrzegłem Gustawa na moście Glinianym. Prawie go miałem, gdy pod kościołem Świętej Katarzyny wsiadł do czekającej na niego czarnej kolasy.

Dopędziłem ją, zanim ruszyła. Ale w chwili, gdy prawie dotykałem tyłu karety, ktoś zarzucił na mnie płachtę. Poczulem ból głowy, a potem już nic.

rozdział 6 | CZARNA ŚMIERĆ

Kraków, lipiec 1588 roku

- Panie, panie!

Z początku ignorował pukanie i wołanie Bodowskiego, aż nie zdzierzył i otworzył drzwi.

- Ile razy ci mówiłem, żebyś mi nie przeszkadzał, kiedy pracuję?

- Kiedy pani kazała mi sprowadzić jegomościa bez względu na wszystko. Macie gościa, panie.

- Znam go? - spytał, starannie zamykając pracownię i chowając klucz do kieszeni.

i

- Bywał tu kiedyś - odparł sługa, uciekając z oczyma.

Domyślając się już, kogo diabli przynieśli, ociężałym krokiem

poszedł na górę. Czekali na niego w bawialni, ona radosna jak ptaszę, z zadowoleniem pełniąc honory pani domu, on poważny.

- Czego chcesz, wasze? - spytał prosto z mostu, nie ukrywając niechęci. - Nigdy nie byłeś mile widziany w moim domu.

- Ale teraz to nasz dom - przypomniała Teresa.

- Tym bardziej.

- A jednak będziesz się musiał przyzwyczaić do mojego widoku, mistrzu - odparł tamten niezmiyszany. - A na razie usiądź, bo mamy co nieco do obgadania.

- Wątpię.

- Przekonasz się.

- Zatem mów szybko i odejdz. Jestem zmęczony. Dopiero poza-wczoraj wróciliśmy z dalekiej podróży.

- Wiem i poniekąd dlatego tu jestem. Około 20 maja, w drodze do Pragi, zatrzymaliście się w Zatorze, czyż nie?

- Jesteś dobrze poinformowany. - Rzucił żonie pełne złości spojrzenie, lecz nie przejęła się tym. - Owszem, tak było. Mam zaszczyt

384

zaliczać się do przyjaciół wojewody Tęczyńskiego, więc korzystając z okazji...

- Zatem jeszcze nie wiecie, mistrzu - gość przerwał mu bezceremonialnie - że imć wojewoda umarł zaraz po waszym odjeździe, a jejmość wojewodzina dzień później?
- Nie wiedziałem... - wyjąkał i z wrażenia usiadł na podsuniętym krześle.
- Jeszcze nikt nie skojarzył tych nagłych śmierci z waszą tam bytnością - ciągnął przybysz bezlitośnie - lecz to może się zmienić. Od was zależy, czy tak się stanie.
- Nie mam z tym nic wspólnego! - zawołał oburzony.
- Wy nie, lecz wasza żona tak. A któż wam uwierzy, że nie maczaliście w tym palców?

Spojrzał przerażony na Teresę, licząc, że ona wszystkiemu zaprzeczy, lecz tylko uśmiechała się krzywo. Mróz przeszedł mu po kościach.

- Uknuliście to we dwoje!
- Nie będę przeczył, bo i tak nic ci z tego nie przyjdzie. Mąż i żona to jedno. Jak tylko się dowiedziałem, że zamierzacie jechać przez Zator, uzgodniłszy z jejmością, co należy uczynić.

„Dlaczego?“, cisnęło mu się na usta pytanie, którego nie zadał, sparaliżowany świadomością życiowej klęski, którą sam spowodował. Seton miał po stokroć rację, nazywając go głupcem. Teraz zbierał owoce swej żądy wydarcia staremu alchemiście jego sekretu, zamiast kroczyć do celu własną drogą. I co osiągnął? Zamiast tynktury Setona dostała mu się jego żona. Która nie dochowywała wierności ani pierwszemu, ani drugiemu mężowi. I przez którą stał się mimowolnym współnikiem ohydneho, dubeltowego mord. A był pewien, że to jeszcze nie koniec.

- Nie zapytasz dlaczego? - drażył tamten. - To proste. Imć wojewoda okazał się niepodatny na rozumne argumenty i dlatego musiał przedwcześnie opuścić ten padół. Niestety, jego następcą jeszcze nie został wyznaczony i pewnie nieprędko zostanie. A mnie już zmęczyło czekanie. Dlatego musimy kontynuować naszą współpracę, mistrzu. Zwłaszcza po tak udanym początku.

- Nie ma mowy.
- Wiemy, że jesteś uparty. Mieliśmy okazję się o tym przekonać, kiedy nie ugiąłeś się wobec forsy, którą wywarliśmy na ciebie, za radą Araneusa podszywając się pod bractwo róży i krzyża...

385

- A więc to byliście wy! - przerwał mu z satysfakcją. - Czułem, że ten łotr Araneus nie miał za sobą poparcia bractwa!
- To już bez znaczenia. Nie udało się was przymusić do wydania sekretu pozyskiwania tynktury, bo ten dureń Pająk nie znał się na ludziach. Gdyby nie jego głupie rady, dawno doszlibyśmy do korzystnego dla obu stron porozumienia. Ale lepiej późno niż wcale. Araneus

popenił znacznie więcej błędów, bardzo nas zawiódł i dlatego musiał umrzeć. Wy go nam zastąpicie, mistrzu, i ręczę, że nie będziecie się uskarżać na współpracę.

- Nie będzie żadnej współpracy!

- Jeszcze nie skończyłem - rzekł tamten zimno. - Nie wymagamy cudów. Na razie zadowoli nas tynktura Setona, którą posiadliście wraz z ręką jego małżonki.

- Tynktura! - sarknął z goryczą. - To nie tynktura, lecz pozłota¹, acz przyznaję, wyjątkowo skuteczna i wydajna... Zostałem oszukany i wykorzystany.

Spojrzał z goryczą na żonę, która najwidoczniej nie zamierzała obwiniać się o to, co dla niego było największym rozczarowaniem, jakie można sobie wyobrazić.

- To żaden kłopot - odparł przybysz. - Wprost przeciwnie. Już dawniej najęliśmy trzech ludzi do fałszowania monet, właśnie zakładamy po sąsiedzku sekretną mincarnię i potrzebujemy jedynie twoich, mistrzu, fachowych porad oraz owej pozłoty, która do naszych potrzeb nada się znakomicie. To nie koniec! - Podniósł głos, równocześnie dając gospodarzowi znak, by mu nie przerywał. - Ponieważ ani nam, ani tobie nie zależy, by nas ze sobą łączono, tedy z twoich sklepów do naszych przebijemy pod ziemią tajemne przejście. Zresztą połowę tej roboty, przy okazji reperacji zruderowanej przez wojska Maksymiliana baszty Katowskiej, zdążyliśmy wykonać pod waszą nieobecność, wykorzystując w tym celu stare, żydowskie sklepy...

- Nie chcę o tym słuchać!

- Będziecie wszak musieli. Na pociechę rzeknę wam, że teraz usłyszycie coś, co was z pewnością zaciekawi. Oto, w połowie podziemnej drogi pomiędzy naszymi domami urządzimy pracownię alchemiczną, tak wielką i doskonale wyposażoną, jakiej jeszcze

¹ Przymuszczałnie był to siarczek cynowy SnS₂ albo chlorek złotawy AuCl.

386

1

nie widziano. Dostaniecie pomocników i wszystko, czego sobie zażyczycie do eksperymentów. Zastanawialiście się kiedykolwiek, dlaczego nie powiodło się wam uzyskanie kamienia filozoficznego? Ponieważ macie zbędne skrupuły i wzdragacie się przed użyciem krwi dziecięcej, ot co. My zdejmujemy wam ten ciężar z sumienia i dostarczymy owej ingrediencji w nieograniczonej ilości. Na razie będzie to krew pospolitych dzieci, lecz urodziło się w Mieście Żydowskim cudowne dziecko, którego juszka bez ochyby nada się wybornie do wykonania kamienia mędrców...

- Skąd wiecie o tym dziecieniu? - spytał, mimo woli zaintrygowany.

- Nieświętej pamięci Araneus niedawno widział ponoć w Krakowie rabina ben Becalela z Pragi, który stworzył golema, i upierał się, że ów Żyd przybył do Kazmierza, by chronić owe dziecko przed niebezpieczeństwem. Obiecuję wam, mistrzu, że niedługo dostaniecie krew tego malca, który bardzo stosownie zowie się Megale Amukot, czyli Odkrywca Tajemnic. No to jak z nami będzie? Zgodzicie się współpracować dobrowolnie, zali mamy was zmusić, albo nawet zniewolić? Czego, wyznam szczerze, pragnąłbym uniknąć.

Miotaly nim sprzeczne uczucia. Z jednej strony z całego serca, nie licząc się z konsekwencjami, chciał odrzucić propozycję i wygarnąć tamtemu w oczy, co o nim myśli. Lecz szatan kusiciel szeptał mu do ucha: „Zgódź się, to twoja jedyna okazja, by unikając wiecznego potępienia, spełnić zarazem marzenie własne, jak i całej ludzkości. Pro publico bono¹ nie wolno ci jej zmarnować”.

- A mam inne wyjście? - odparł, przegrywając walkę z samym sobą i mimo wszystko czując się tak, jakby właśnie podpisał cyrograf.

Udręczonym wzrokiem odprowadził gościa i żonę, która powiodła go do wyjścia. Oto poślubił trucicielkę i zawarł pakt z diabłem, jej kochankiem. Czy można było bardziej się ukarać? Oby spodziewana nagroda była tego warta, bo inaczej... Podszedł do okna, otworzył je na oścież i wypuścił z izby, jak mu się zdawało, duszący fetor siarki i ogni piekielnych.

1 Pro publico bono (lac.) - dla dobra publicznego.

387

Kraków, sierpień 1588 roku

Wychynął z grobu czarny jak otaczająca go ciemność bezksiężycowej nocy. Drzemiący strażnik ocknął się, gdy lekko skrzypnęły drzwi tymczasowego grobowca dla zmarłych w zimie, ale nie zdążył zareagować. Morderca delikatnie złożył ciało na świeżo usypanym grobie. Drugi strażnik też ani zipnął. Teraz zadanie było trudniejsze. Od drewnianej budy, strzeżonej przez czterech czujnych zbrojnych, dzieliła go otwarta przestrzeń, niemożliwa do przebycia w sposób niepostrzeżony. Z drugiej strony, dzięki temu sylwetki tamtych rysowały się jako tako. Zdjął z pleców niewielką lecz mocno bijącą kuszę, napiął ją, założył belt i wymierzył. Kiedy jeden ze strażników skreślił za węgiel, wystrzelił. Mimo mroku i niezupełnie sprawnej lewej ręki, trafił bezbłędnie. Stróż padł bez jęku i nie zaniepokoił pozostałych. Ale niedługo zauważą jego nieobecność. Musiał się spieszyć. Odłożył kuszę. Wążąc w dłoni nóż, czekał na dogodny moment. Wtem drugi stróż podszedł pod mur i zaczął oddawać mocz. I on umarł, milcząc, lecz runął na spróchniały krzyż, który pękł z lekkim trzaskiem. To natychmiast zaalarmowało pozostałych. Nie było na co czekać. Wyprysnął niczym wcześniej belt i przebił przedostatniej ofierze gardło. Ostatni strażnik zdążył jednak dobyć kord i potężnie ciąć. Był tak pewny siebie, że nawet nie próbował wzywać pomocy. Z niedowierzaniem patrzył na swój miecz, który zamiast obciąć napastnikowi dłoń, ugrzązł

między jego palcami i zgrzytnął, aż sypnęły się iskry. Wykorzystując dłoń jak lewaka, morderca wytrącił broń z ręki wartownika, równocześnie podrzynając mu gardło rapierem.

Cicho niby kot postąpił ku kłecie i ostrożnie, z prawej dłoni nie wypuszczając rapiera, lewą złapał za krawędź byle jak zbitych drzwi i pociągnął. Ustąpiły. Wśliznął się do wnętrza, jak zawsze przewidując niespodziankę. Ale nic takiego nie nastąpiło. Na stole, jak było umówione, zastał samotną świecę, która właśnie się dopalała. Jednak to wystarczyło, żeby oświetlić scenę niczym z sennego koszar, która nawet na nim zrobiła wrażenie.

Przyziemie kłety zajmowała jakby świetlica albo duża sień, z długim stołem i ławami dokoła. Na stole poniewierały się próżne i na wpół opróżnione faszki, kubki i resztki jedzenia. TYupy spoczywały wszędzie. Siedziały z głowami wspartymi na blacie, zwiślały z ław,

388

wałały się pod ścianami na słomianych legowiskach i na środku pomieszczenia. Niektórzy umarli tak szybko, że wyglądali, jakby spali, na twarzach innych widniały okropne grymasy. Ci wiedzieli, że umierają. Nigdzie nie było kropli krwi. A na ciałach, których naliczył równy tuzin, żadnej rany. Wszyscy zostali otruci.

Przestępując trupy, zabrał świecę ze stołu i ruszył ku drabinie prowadzącej na piętro, czy raczej antresolę oddzieloną od świetlicy grubymi oponami. Delikatnie rozsunął kotary, ale nie poszedł dalej.

- Jest tam kto? - szeptął.
- Najwyższy czas. Wejdz.

Znalazł się w małej komnacie, której luksusowego wyposażenia nikt by się w takim miejscu nie spodziewał. Nawet niektóre pałace, w których gościł, nie mogły się pochwalić takim przepychem. Na królewskim łożu spoczywał jakiś człowiek, związany w kij. Drugi siedział przy inkrustowanym macicą perłową stole na czymś w rodzaju tronu i popijał wino.

- Napijesz się?
- Nie. Czy on nie żyje? - Kiwnął głową w kierunku łożka.
- Tylko uśpiony. - Napełnił kryształowy kielich winem, podniósł się, podszedł do łoża i chlusnął w twarz leżącego.

Śpiący otworzył oczy. Zamrugął powiekami i potrząsnął głową, po czym jego zmętniałe spojrzenie nabrało blasku. Zobaczył przybysza i natychmiast wszystko zrozumiał.

- Kulas, ty padalcu. Ryx ostrzegał mnie przed tobą. A ja, dureń, mu nie wierzyłem.
- Dawno czekałem na tę chwilę, Garbus - człowiek nazwany Kulasem pochylił się i plunął tamtemu w twarz. - Teraz to wszystko moje. - Zatoczył ręką wkoło. - Jestem królem, a ty trupem!

- Jesteś tchórzliwym szczurem, którym zawsze byłeś - odparł Król Żebraków z pogardą.
- Bez pomocy Kettlera nigdy byś się nie poważył na taki hazard. A mimo to lękasz się mnie rozwiązać. Kettler, chcę, żebyś ty to zrobił. Uczyń mi tę łaskę.

- Dobrze - rzekł zabójca i postąpił krok naprzód, jednym ruchem przecinając Garbusowi więzy.

Kulas rzucił się naprzód, chcąc mu przeszkodzić, lecz zabójca odepchnął go gwałtownie i warknął:

- Precz!

389

- Uff - odetchnął Garbus i usiadł, rozcierając ścierpnięte dłonie. -Dobrze umrzeć jako wolny człowiek. Dzięki.

- To nic osobistego - powiedział morderca, jakby się usprawiedliwiając.

- Wiem. Powiedz mi jeszcze tylko, dla kogo pracujesz.

Albinos pochylił się, objął Króla Żebraków za szyję i coś mu szepnął do ucha.

- A to ci dopiero... - zdziwił się Garbus i były to jego ostatnie słowa.

Morderca wbił mu lewą dłoń w serce, po czym ułożył bezwładne ciało. Przytknął zmarłemu palec do powiek, odczekał chwilę i wstał.

- Dlaczego nie pozwoliłeś mi go zabić? - powiedział Kulas z urazą. - Chyba sobie na to zasłużyłem?

- Bo nie lubię zdrajców - odparł Kettler i wraził mu w trzewia rapier aż po rękojeść.

Obojętnie minął wijącego się w mękach zdrajcę, odpalił nową świecę od dogasającego ogarka i skierował się ku drabinie. Po namyśle zatrzymał się, chwycił rannego za kołnierz, podciągnął ku krawędzi i pomagając sobie nogą, zepchnął na dół. Dopiero potem zszedł po drabinie, dowlókl jęczącego Kulasa do wyjścia, kucnął przy nim i dotknął przebitego brzucha, z którego wciąż ciekła krew.

- Zdziwiający, że najgorsi z nas najskwapliwiej czepiają się swego nędznego żywota. Nigdy się nad tym nie zastanawiałeś? -mruknął.

- Do... dobij - stęknął konający.

- Broń Boże! Chcę, żebyś umierał długo - mówił zabójca, równocześnie maczając dłoń we krwi i malując na ścianie szopy jakieś znaki, po czym wytarł rękę w kaftan umierającego.

- To daję ci sporo czasu, by sporządzić rachunek sumienia, zanim staniesz przed Stwórcą. Nie zmarnuj go. Jeszcze mi za to podziękujesz, kiedy się spotkamy w piekle.

Wiedeń, sierpień 1588 roku

- Uspokój się, wasze, nikt nas tu nie zna - powiedział Jan Ducker, totumfacki arcyksięcia Maksymiliana do swego towarzysza, jednego z pisarzy w kancelarii sekretarza arcyksięcia Ernesta, Westernachera.

Celowo na miejsce spotkania wybrał podłą tawernę nad samym Dunajem, której klientela składała się głównie z podejrzanych typów, pożądliwie spoglądających na rzadko tu spotykanych, przyzwoicie wyglądających gości. Jednak Inflantczyk nie przejmował się nimi, ponieważ bronią, którą nosił za pasem, posługiwał się bardzo sprawnie. Poza tym skłamał skrybie - był tu dobrze znany i cieszył się zasłużoną reputacją awanturnika, z którym lepiej nie zadzierać.

Tamten jednak, w myśl zasady, że na złodzieju czapka gore, nie mógł się powstrzymać od nerwowego strzelania oczyma na boki i ocierania co chwila potu z niskiego czoła.

- Mam to dla waści - rzekł wreszcie, wyjął z zanadrza kilka wymiętych kart i położył przed Duckerem.

Inflantczyk pobieżnie przebiegi tekst wzrokiem, rozpoznając pismo Westernachera, a nawet samego Ernesta, który na marginesach własnoręcznie porobił uwagi.

- Doskonale. Co to jest?

- Asekuracja, jaką arcyksiążę Ernest wystawił dla polskiego króla. A raczej jedna z wcześniejszych roboczych kopii, którą kazano mi zniszczyć. Wciąż zresztą powstają nowe, bowiem na ostateczną wersję przyjdzie pora dopiero wówczas, gdy arcyksiążę Maksymilian wróci bezpiecznie do domu.

- Wybornie się spisałeś - pochwalił szpiega Ducker i podsunął mu sakiewkę, którą tamten porwał z zadowoleniem. - Pracuj tak dalej, a niedługo zostaniesz bogatym człowiekiem. Interesuje mnie nie tylko to, co wychodzi z waszej kancelarii, a tyczy spraw polskich, lecz także to, co do was z Polski przychodzi. Gdyby zaś trafił się jakiś list hetmana Zamojskiego do arcyksięcia Ernesta lub odwrotnie, tedy zapłacę podwójnie. Albo zwyczajną stawkę za kopię.

- Postaram się.

- Zatem wypada wypić za terażniejszą i dalszą udaną współpracę - odparł zadowolony Inflantczyk, chowając pisma i zamawiając trunk.

Ocknąłem się pod wpływem wstrząsu, który rzucił mnie na tylną ściankę kolasy, podskakującej na wertepach. Wewnątrz panował półmrok, ponieważ okna były zasłonięte.

Kiedy ból głowy nieco ustąpił, zorientowałem się, że leżałem na ławce ze związanymi rękoma i nogami, zaś naprzeciwko mnie, plecami do kierunku jazdy, siedziały dwie osoby pogrążone w rozmowie. Ponieważ mówili po niemiecku, usiłując coś zrozumieć marnowałbym tylko czas, więc zająłem się sobą.

Mimo iż półmrok mi sprzyjał, nie spieszyłem się, by nie zwrócić na siebie uwagi. Wprzód podgiąłem nogi, potem manipulowałem tak, by móc palcami sięgnąć do jednego z noży ukrytych w butach. Kilka razy byłem o włos od celu i zawsze raptowny wstrząs udaremniał moje starania. Aż się zmęczyłem i spocilem z wysiłku. Ale nie ustawałem i wreszcie się powiodło. Teraz czekało mnie trudniejsze zadanie: przeciąć więzy na przegubach, nie podcinając sobie przy okazji żył. A najpierw obrócić w palcach nóż. Raz omal nie wysliznął mi się, tak były zdrętwiałe. Nareszcie jednak uwolniłem dłonie i czekałem tylko, by wróciło mi krążenie. A potem jęknąłem, poruszyłem się gwałtowniej i zacząłem zdradzać inne objawy dochodzenia do siebie, które nie umknęły moim towarzyszom podróży.

- Wraca do przytomności - zauważył Gustaw, tym razem, nie wiadomo czemu, przechodząc na polski.

- Najwidoczniej.

- Co zamierzacie z nim zrobić? Zaprzyjaźniliśmy się i nie chciałbym, by stała mu się jakaś krzywda.

- Nic mu nie grozi. Wysadzimy go po prostu gdzieś w lesie, pomiędzy Tyńcem a Zatorem. Zanim wróci do Krakowa, my już będziemy niedaleko granicy.

Spuściłem jeszcze związane w kostkach nogi, usiadłem i włączyłem się do rozmowy:

- Wasza troska o moją osobę napawa mnie wzruszeniem. Długi spacer niewątpliwie jest korzystny dla zdrowia i sam go często zalecam pacjentom. Jednakże dopiero co wróciłem z dość męczącej przejażdżki. Bez przykrości zatem muszę was powiadomić, że nastąpiła zmiana planów. Zawracamy.

Odsłoniłem jedno okno, wpuszczając więcej światła do środka, pochyliłem się i przeciąłem więzy, z ulgą wyciągając nogi.

392

- Ostrzegałem - burknął Gustaw do człowieka w średnim wieku, zadbanego i odzianego na hiszpańską modłę, którego już widywałem, po czym zwrócił się do mnie: - Nie miałem z tym nic wspólnego. Nie kazałem im ani cię ogłuszyć, ani porywać.

- Jak się waszmość uwolniłeś? - zaciekawił się ten drugi, zerkając na nóż w mojej dłoni, lecz nie zdradzając ani lęku, ani zmieszania. - Moi ludzie obszukali cię dokładnie.

- Mam swoje sposoby. Doktor Kai, nieprawdaż?

- Owszem. Wyznam, że jestem bardzo ciekaw, jak zamierzasz nas zmusić do spełnienia twojej woli? TU jest nas dwóch, a na koźle jeszcze dwóch, dobrze uzbrojonych.

- Zaraz ci pokażę.

Cisnąłem trzymanym w rękę nożem. Niezbyt silnie, nie zamierzałem bowiem nikogo zabijać. Przynajmniej na razie. TUŻ obok ucha tajnego radcy cesarskiego ostrze przebiło przednią ścianę karety. Równocześnie rozległ się krzyk bólu i pojazd gwałtownie stanął. Przewidziałem to i zaparłem się, dzięki czemu nie poleciałem naprzód. Za to wydobyłem drugi nóż z buta, wolną ręką szarpnąłem Kala za kryzę pod szyją, pociągnąłem ku sobie i przystawiłem mu ostrze do gardła. W tej samej chwili drzwiczki otworzyły się, do wnętrza zajrzał jakiś dryblas z wystawionym przed siebie garłaczem i coś zaszwargotał. Zza jego pleców wyglądał jęczący i trzymający się za zadek woźnica, którego widać uszkodziłem, acz nie za bardzo. Zastawiłem się Kalem i szepnąłem mu do ucha:

- Każ im wracać na miejsce i ruszać z powrotem do Krakowa, bo obetnę ci ucho. Na początek.

- Nie odważysz się. Jestem posłem.

- Jesteś raczej osłem, skoro będąc posłem, podniosłeś rękę na obywatela kraju, z którego gościny korzystasz. A o osła uszy nikt się nie upomni.

Naciąłem mu lekko małżowinę, trysnęła krew. Wrzasnął, tracąc olimpijski spokój dyplomaty, i rozkazał po polsku, żebym zrozumiał:

- Fryc, Hans, wracamy do Krakowa. Wykonać.

Po czym powtórzył to po niemiecku. Oba sługusy wróciły na kozioł i zajęły się skomplikowanym manewrem zawracania na wąskiej drodze, za czym kolasa potoczyła się z powrotem. Dopiero wtedy pozwoliłem Kałowi usiąść. Zaraz przyłożył sobie do ucha chusteczkę i siedział z ponurą miną, unikając mego wzroku.

393

1&*

- Nic nie rozumiesz - powiedział Gustaw. - Nie chciałem, żeby do tego doszło i dlatego zamierzałem ulotnić się po cichu. Przejadło mi się już w Krakowie, a jego cesarska mość zaprosił mnie do Pragi. Tym razem otrzymam status gościa specjalnego. Dostanę pracownię i nieograniczone środki na eksperymenty. A jeśli zechcę, będę mógł wyjechać do Hiszpanii, o czym zawsze marzyłem. Wiem, co mi powiesz: że chcą mnie wykorzystać przeciw memu królewskiemu bratu. Mam tego świadomość, lecz zapewniam cię, że na to nigdy nie przystanę.

- Powiesz to królowi - uciąłem.

Wkrótce ujrzałem górujący nad Tyńcem klasztor Benedyktynów, potem minęliśmy karczmę „Rzym” w Pychowicach, w której ongi Kettler dopadł Twardowskiego, wjechaliśmy między skałki tamtejszych Krzemionek, gdzie sławny mag miał jedną ze swych grot--pracowni i

zaczęliśmy zjeżdżać w stronę Dębnik. Godzinę później pojazd przystanął przy Dolnej Bramie na wawelskim wzgórzu.

- Wachmistrzu, przypilnujcie tych ludzi - poprosiłem znajomego weterana.

Zabrałem ze sobą Gustawa i poszliśmy na zamek. Król przyjął nas natychmiast. Oprócz niego w komnacie była tylko królowa wdowa, królowna szwedzka i panna Sygryda. Słowem - rodzina. Złożyłem krótkie sprawozdanie i chciałem wyjść, lecz król mnie zatrzymał.

- Zostańcie, mości Hiropoński. Chcemy, abyście i wy usłyszeli, co mamy do powiedzenia naszemu bratu.

Odwrócił się ku Gustawowi, który stał przed nim ze zwieszoną głową i miną winowajcy.

- Przyjęliśmy cię serdecznie jak brata i osłoniliśmy przed wrogami. A tyś jak się odwdzieczył? Uciekając chyłkiem jak złodziej. I dobrowolnie oddając się w ręce ludzi, którzy nie życzą nam dobrze.

Eriksson podniósł głowę, przełknął nerwowo ślinę i powiedział:

- To wszystko prawda. Zaznałem od waszej królewskiej mości samej dobroci i źle się odplaciłem. Jest mi przykro z tego powodu. Ale nie mogę tu zostać. Już nie wytrzymam dłużej. Nigdy nie potrafiłem usiedzieć w jednym miejscu. Mogę však obiecać i przysiąc na honor, że nigdy nie dam się nikomu użyć przeciw waszej królewskiej mości.

394

+ M

Król długo mu się przyglądał, nim rzekł:

- Pragniemy w to wierzyć. Jedź zatem i szukaj swego przeznaczenia. Nie będziemy ci tego wzbraniać. Lecz od tej chwili musisz sobie radzić sam. My już z tobą skończyliśmy. Pożegnaj się z siostrami, a potem obierz od imię Brahego glejt na bezpieczny przejazd do granicy.

Podniósł się z krzesła i poszedł ku bocznym drzwiom, za którymi zniknął. Kiedy rodzina się żegnała, i ja wyszedłem. Już zrobiłem swoje. Gustaw dogonił mnie na dziedzińcu.

- Nie chciałem, żeby tak wyszło - powiedział. - Bywaj, Kacper.

- Bywaj, Gustawie. I mimo wszystko: powodzenia.

Pod koniec lipca przyjechał do Krakowa, na negocjacje w sprawie wypuszczenia Maksymiliana, legat papieski kardynał Hippolitus Aldobrandinus¹ w asyście czterech biskupów włoskich. Przybywał od strony Tyńca, od opactwa jadąc na osiołku, witany na drodze przez rzesze gapiów, których błogosławił. Od bramy Skawińskiej na Kazimierzu witało go ośmiuset hajduków uszeregowanych w hufce, duchowieństwo świeckie i zakonne, a pod zamkiem król w otoczeniu dworzan i setki drabantów.

TYzy dni później Janka przyniosła mi umówione sto dukatów oraz, złożone w safianowej teczce, papiery, o które prosiłem w swoim czasie królową szwedzką. Widać purpurat przy okazji odegrał rolę posłańca.

- Zachodzę w głowę i wciąż nie mogę się domyślić po co ci one.

Powiedziałem jej.

- Coś podobnego! Tylko ty mogłeś wpaść na taki koncept! Myślisz, że to poskutkuje?

- Nie mamy alternatywy.

- Musisz zdążyć przed jesiennym sejmem. Król jest przekonany, że hetman właśnie wtedy przypuści szturm.

- Zrobię, co się da.

Ale nie okazało się to wcale takie proste, niczego innego zresztą nie oczekiwałem. Jeśli coś może pójść nie tak, z pewnością pójdzie. W gospodzie „Pod Jeleniem” nie zastałem swojego człowieka. Karczmarz, pięćdziesięcioletni Niemiec Jakub Ludwig, właściciel kamienicy, przysiężnik wyższego prawa majdeburckiego, był dość

1 Aldobrandini, przyszedł papież Klemens VIII.

395

zamożny, żeby nie pracować za szynkwasem. Ale lubił tę robotę, pewnie dlatego że dzięki temu miał sposobność stykać się z różnymi, często ważnymi gośćmi, bowiem jego tawerna cieszyła się w mieście popularnością, zwłaszcza wśród cudzoziemców.

- Nie ma go.

- Dobrze zapłacę. Jemu i waści za pośrednictwo.

Rozłożył tłuste ręce w bezradnym geście.

- Spóźniłeś sze, faszmoszcz. Fyjechał przet tygodniem w ja-kiejsz sprafie. Sapowiedział, sze sejdzie mu kens czasu, nafet miesionc. Saglondnijcie sa tfie niedziele, mosze bende fieciał fien-cej. - Mieszkał w Krakowie od wielu lat, po polsku mówił biegle, acz nieco koślawię, może dlatego że jego gospodę często wybierali goście z Rakuz, Rzeszy czy Prus i częściej miał okazję mówić po niemiecku niż po polsku. Ale w niedziele chadzał do Świętej Anny, a nie na msze po niemiecku do Świętej Barbary.

Pogoda się popsuła. Pochłodziło i zaczął deszcz. Owinąłem się opończą. Kiedy przecinałem Rynek, zaczęła mnie niewiasta, jeszcze niestara, z naznaczoną cierpieniem twarzą, po której spływały krople dżdzu, i trochę szalonymi oczami. Złapała mnie za rękę.

- Panie! Nie widziałeś mojej córeczki, Zosi? Ma trzy latka, włoski jak len i błękitne oczka.

- Iwi jesteś, wszędzie cię szukam. - Postawny mężczyzna, z wyglądu solidny rzemieślnik, złapał kobietę za ramię i delikatnie pociągnął. - Wybaczcie, panie - zwrócił się do mnie. - Ale pięć dni temu zginęło nam dziecko. Tylko na chwilę straciliśmy ją z oczu, gdy wybiegła na podwórze. I jak kamień w wodę. Żona odchodzi od zmysłów. Co dzień rusza do miasta i zaczepia przechodniów. Pójdź, moja droga, wracajmy do domu. Coraz bardziej pada, jeszcze się zaziębisz.

Odciągnął ją i poszli przed siebie, ale prawie natychmiast wyrwała mu się i znowu kogoś zagadnęła.

Sierpień był ładny i ciepły, padało z rzadka. Miałem trochę pracy, ponieważ księżniczka Sygryda po wyjeździe brata popadła w melancholię, co - jak się zdaje - było częstą dolegliwością w rodzie Wazów. Natychmiast napędziło mi to następne pacjentki i pacjentów z obu dworów, cierpiących na podobne dolegliwości, mniej lub bardziej wydumane, najczęściej wynikające z nudów.

396

Ale były też poważniejsze przypadki. Kilka razy wybraliśmy się całą rodziną nad rzekę. Król za pośrednictwem szwedzkiej królowny dopytywał o postępy w sprawie kompromitujących listów, lecz nie miałem dla nich dobrych wieści. Dwa razy odwiedziłem gospodę „Pod Jeleniem”. Bez rezultatu. I choć w mieście wyczuwało się jakieś napięcie, nic nie zapowiadało katastrofy. Co prawda nie byłem na bieżąco, ponieważ, zgodnie z obietnicą daną Jance, z dala omijałem ratusz.

- Kacper, proszę cię, nie mieszaj się w żadne dodatkowe sprawy - poprosiła zmartwiona, gdy po raz pierwszy wybierałem się „Pod Jelenia”. - Wystarczy nam tych turbacji, które mamy.

- Coś muszę zrobić - odparłem. - Inwestycją już się nie zajmuję, straciłem swoją praktykę. Muszę ją odbudować, a poza tym potrzebujemy mieszkania. Nie będziemy przecież wiecznie siedzieć na łasce hetmana. Muszę się porozglądać i popytać tu i tam.

- To prawda. I na to zgoda. Ale obiecaj mi, że nie będziesz się narażał.

- Nie zamierzam.

Chciałem szczerze wytrwać w tym postanowieniu, lecz po trzeciej bezowocnej wizycie w karczmie „Pod Jeleniem” nie wytrzymałem i pod pozorem schronienia się przed deszczem zaglądnąłem do kramu Izaaka. Znowu był u niego stary Żyd.

- Dobrze, że cię widzę - ucieszył się Izaak na mój widok, co odnotowałem podejrzliwie.

- Właśnie o tobie mówiliśmy. To jest rabbi Liwa ben Becalet z Pragi, zwany Marahalem.

- Twórca golema? - upewniłem się i skinąłem głową z uszanowaniem.

Odkłonił mi się uprzejmie.

- Słyszałeś o mnie?

- O tobie i o twoim dziele. Któż zresztą nie słyszał.
- I co o tym sądzisz?
- Zamknę kram - oznajmił Izaak. - I tak dziś z handlu już nici, deszcz wypłoszył klientów. A my będziemy mogli swobodnie porozmawiać.

Pomogłem mu złożyć ładę, spuścić okiennicę, założyć sztaby i zasuwę, po czym wróciliśmy do kramu i czekającego cierpliwie rabina.

- Pytałem, co sądzisz o mnie i moim dziele - przypomniał łagodnie.

397

Po naszymu mówił bardzo dobrze, bez obcego akcentu.

- Przyznaję, że sporo o tym myślałem - przyznałem - kiedy i do nas dotarła wieść o tym, co wydarzyło się w Pradze.

- I do jakich wniosków doszedłeś?

Błękitne oczy, kontrastujące swą młodzieńczą żywością z pomarszczonym obliczem porośniętym białą brodą, spoglądały na mnie z życzliwą ciekawością.

- Że to niemożliwe - odparłem szczerze.
- Kacper! - zachnął się Izaak, zarumieniony z zażenowania. -Wybaczcie mu, rabbi. To człek niewątpliwie uzdolniony, ale nieokrzesany i w mowie, i w obejś...

Rabin uspokoił go jednym gestem, a potem zapytał mnie z uśmiechem:

- Dlaczego tak mniemasz?
- Bo nie wierzę, by człowiek mógł stworzyć istotę podobną do siebie, jakkolwiek zresztą. Golema, homonkulusa, a choćby bazyliszka. To baśnie dla naiwnych prostaczków. Życie jest sprawą boską, nie ludzką. Nie wierzę także w człowieczą moc wywoływania duchów ani w odkrycie panaceum na wszystkie choroby. Gdyby życie człowieka na ziemi mogło trwać wiecznie, Chrystus nie musiałby umierać na krzyżu.
- Niewierny Tomasz - stwierdził, wciąż uśmiechając się pod nosem. - A jednak duchy istnieją, jest na to dość świadectw i w Starym, i w Nowym Testamencie. Poza tym chyba nie zaprzeczysz, że są na świecie dziwy, które nie śniły się nawet filozofom?
- To prawda - zgodziłem się. - Wierzę w duchy, które zsyła nam Bóg w określonym celu, ale nie w to, że potrafimy je sami przywoływać na życzenie. Wierzę także, że natura kryje w sobie wiele sekretów, które wszak można stopniowo odkryć, posługując się rozumem i doświadczeniem, bez potrzeby uciekania się do magii.
- No, proszę, jesteś zatem wyznawcą rozumu w czystej postaci. To postawa niezbyt często spotykana w naszych czasach, tym bardziej więc godna podziwu.

- Nie moja w tym zasługa, rabbi. Tego mnie nauczył mój mentor, świętej pamięci pater Roch. Stale mi powtarzał: wierz w Boga, ucz się nieustannie, obserwuj wszystko bacznie i ufaj rozumowi, który On ci dał.

398

Izaak szarpał szatę pod szyją, jakby nagle zrobiło mu się gorąco nie do wytrzymania, lecz leciwy Żyd drażył dalej:

- Jak zatem, panie racjonalisto, wyjaśnicie, że wielu ludzi, nie mniej rozumnych od ciebie, widziało mojego golema na własne oczy? Czyżby ulegli zbiorowemu omamowi?

- Jak rzekłem, zastanawiałem się nad tym - odparłem. - Lecz wnioski, do których doszedłem, nie spodobają się wam, panie.

- Mimo to chętnie je poznam.

- Jest taka choroba, bardzo rzadka - zacząłem. - Osobiście nigdy się z nią nie zetknąłem, ani nikt z tych, których znam. Ale kobietę dotkniętą tą przypadłością opisano w Kronice Norymberskiej z 1493 roku. Polega ona na nadmiernym owłosieniu całego ciała. Gęste włosy porastają nawet lico, które wygląda jak małpie albo niedźwiedzie. Myślę, że właśnie stąd wzięły się baśnie o wilkołakach. Zwie się to schorzenie hipertrichosis...

- Bardzo ciekawe, lecz co to ma do rzeczy?

- Już objaśniam. Otóż usłyszawszy o golemie, wyimaginowałem sobie taką historię: oto urodził się gdzieś w Czechach nieszczęśnik dotknięty wilkołactwem. Może nawet na domiar upośledzony na umyśle. Przerażeni rodzice ukrywali biedną istotę w zamknięciu, przez co dziczała, tym bardziej upodabniając się do zwierzęcia i rosnąc przy tym do rozmiaru prawego niedźwiedzia. Aż pomarli, a stwór wydostał się na wolność, budząc trwogę wszędzie, gdzie się pojawił. Krył się zatem po lasach, aż kiedyś dopadnięto go i pobito niemal na śmierć. Uciekając, wpadł do rzeki, która po jakimś czasie wyrzuciła go na brzeg ledwie żywego. Tam, oblepionego mułem, znalazł go pewien współczujący rabin, spacerujący nad wodą i rozmyślający nad ludzką naturą. Żał mu się zrobiło stworza, więc zaopiekował się nim, a w stosownej porze przemycił do swego domu, ponieważ ukował mu się w mądrej głowie koncept, jak z owego niby-wilkołaka uczynić powolnego sobie golema, pokrytego glinianą skorupą. Można by było uznać to za pospolite frantostwo, gdyby nie to, że owemu rabinowi przyświecał szlachetny cel: z pomocą golema, którego wszyscy się bali, chciał uchronić przed prześladowaniami swój lud...

1 Hipertrichoza (historcyzm, syndrom wilkołaka).

399

- Dość, Kacper! - zawołał Izaak, łapiąc się za głowę. - Nawet jak na ciebie to za wiele! Miałem nadzieję, że nam pomożesz, a ty tymczasem obrażasz rabiego, zaś twoje niedowiarstwo...

- ... Sprawia, że jesteś dokładnie takim człowiekiem, jakiego nam trzeba - dokończył za niego rabin. - W żadnym razie nie twierdzę, że macie rację, doktorze Hiropoński, ale waszej dedukcji nie można nic zarzucić. Nie omyliłeś się, Izaaku, proponując nam usługi kogoś tak trzeźwo rozumującego. Zatem zechciej przedstawić doktorowi naszą turbację.

Do oszołomionego Izaaka dopiero po chwili dotarł sens słów ben Becalela, więc wprzód zamknął rozdziawione usta, przełknął ślinę, po czym otworzył je na powrót i rzekł:

- Reb Liwa zatrzymał się u nas w drodze do Poznania, z którego pochodzi i do którego powraca, by objąć tamtejszą jesziwę. Miał bowiem sen, który go bardzo zaniepokoił...

- Waszmość zapewne nie wierzysz w wieszczę sny, doktorze - wtrącił Marahal - lecz zapewniam cię, że moje zawsze się sprawdzają.

- ... Ujrzał oto cudowne dziecko, którego imię, ujawnione rabbiemu przez anioła, brzmi Megale Amukot, co po hebrajsku oznacza Odkrywca Tajemnic. Wedle tegoż anioła dziecko owo dokona wielkich rzeczy, pożytecznych dla naszego ludu, o ile wcześniej nie zostanie zamordowane. W wieszczym śnie rabiego leżało bowiem na ołtarzu ofiarnym, a diabeł, lub raczej jakiś nieczysty goj utaczał mu krwi niewinnej...

- Czy takie dziecko rzeczywiście istnieje? - przerwałem mu.

Rabin skinął głową.

- Nazywa się Natan Spira. Nie ma jeszcze czterech lat, a już samodzielnie studiuje Torę i kabałę - rzekł z dumą, a ja podziękowałem w duchu Panu Bogu, że nie dał mi syna geniusza.

- Nocami zaś ponoć rozmawia twarzą w twarz z prorokiem Eliaszem. Dlatego w jego izbie stale pali się świeca.

- Zatem lękacie się, aby jakiś czarnoksiężnik nie zechciał go zamordować, by z użyciem jego krwi stworzyć kamień filozoficzny?

- Tak. Wieść o cudownym dziecięciu już się rozniosła, a każdemu magowi wiadomo, jak potężną moc ma krew takiego dziecka. To może skusić wielu.

400

- Dość, Kacper! - zawołał Izaak, łapiąc się za głowę. - Nawet jak na ciebie to za wiele! Miałem nadzieję, że nam pomożesz, a ty tymczasem obrażasz rabiego, zaś twoje niedowiarstwo...

- ... Sprawia, że jesteś dokładnie takim człowiekiem, jakiego nam trzeba - dokończył za niego rabin. - W żadnym razie nie twierdzę, że macie rację, doktorze TUropoński, ale waszej dedukcji nie można nic zarzucić. Nie omyliłeś się, Izaaku, proponując nam usługi kogoś tak trzeźwo rozumującego. Zatem zechciej przedstawić doktorowi naszą turbację.

Do oszołomionego Izaaka dopiero po chwili dotarł sens słów ben Becalela, więc wprzód zamknął rozdziawione usta, przełknął ślinę, po czym otworzył je na powrót i rzekł:

- Reb Liwa zatrzymał się u nas w drodze do Poznania, z którego pochodzi i do którego powraca, by objąć tamtejszą jesziwę. Miał bowiem sen, który go bardzo zaniepokoił...

- Waszmość zapewne nie wierzysz w wieszczce sny, doktorze -wtrącił Marahal - lecz zapewniam cię, że moje zawsze się sprawdzają.

- ... Ujrzał oto cudowne dziecko, którego imię, ujawnione rabbiemu przez anioła, brzmi Megale Amukot, co po hebrajsku oznacza Odkrywca Tajemnic. Wedle tegoż anioła dziecko owo dokona wielkich rzeczy, pożytecznych dla naszego ludu, o ile wcześniej nie zostanie zamordowane. W wieszczym śnie rabiego leżało bowiem na ołtarzu ofiarnym, a diabeł, lub raczej jakiś nieczysty goj utaczał mu krwi niewinnej...

- Czy takie dziecko rzeczywiście istnieje? - przerwałem mu.

Rabin skinął głową.

- Nazywa się Natan Spira. Nie ma jeszcze czterech lat, a już samodzielnie studiuje Torę i kabałę - rzekł z dumą, a ja podziękowałem w duchu Panu Bogu, że nie dał mi syna geniusza.

- Nocami zaś ponoć rozmawia twarzą w twarz z prorokiem Eliaszem. Dlatego w jego izbie stale pali się świeca.

- Zatem lękacie się, aby jakiś czarnoksiężnik nie zechciał go zamordować, by z użyciem jego krwi stworzyć kamień filozoficzny?

- Tak. Wieść o cudownym dziecieniu już się rozniosła, a każdemu magowi wiadomo, jak potężną moc ma krew takiego dziecka. To może skusić wielu.

- Dość, Kacper! - zawołał Izaak, łapiąc się za głowę. - Nawet jak na ciebie to za wiele! Miałem nadzieję, że nam pomożesz, a ty tymczasem obrażasz rabiego, zaś twoje niedowiarstwo...

- ... Sprawia, że jesteś dokładnie takim człowiekiem, jakiego nam trzeba - dokończył za niego rabin. - W żadnym razie nie twierdzę, że macie rację, doktorze Hiropoński, ale waszej dedukcji nie można nic zarzucić. Nie omyliłeś się, Izaaku, proponując nam usługi kogoś tak trzeźwo rozumującego. Zatem zechciej przedstawić doktorowi naszą turbację.

Do oszołomionego Izaaka dopiero po chwili dotarł sens słów ben Becalela, więc wprzód zamknął rozdziawione usta, przełknął ślinę, po czym otworzył je na powrót i rzeki:

- Reb Liwa zatrzymał się u nas w drodze do Poznania, z którego pochodzi i do którego powraca, by objąć tamtejszą jesziwę. Miał bowiem sen, który go bardzo zaniepokoił...

- Waszmość zapewne nie wierzysz w wieszczce sny, doktorze -wtrącił Marahal - lecz zapewniam cię, że moje zawsze się sprawdzają.

-... Ujrzał oto cudowne dziecko, którego imię, ujawnione rabbiemu przez anioła, brzmi Megale Amukot, co po hebrajsku oznacza Odkrywca Tajemnic. Wedle tegoż anioła dziecko owo dokona wielkich rzeczy, pożytecznych dla naszego ludu, o ile wcześniej nie zostanie zamordowane. W wieszczym śnie rabiego leżało bowiem na ołtarzu ofiarnym, a diabeł, lub raczej jakiś nieczysty goj utaczał mu krwi niewinnej...

- Czy takie dziecko rzeczywiście istnieje? - przerwałem mu.

Rabin skinął głową.

- Nazywa się Natan Spira. Nie ma jeszcze czterech lat, a już samodzielnie studiuje Torę i kabałę - rzekł z dumą, a ja podziękowałem w duchu Panu Bogu, że nie dał mi syna geniusza.

- Nocami zaś ponoć rozmawia twarzą w twarz z prorokiem Eliaszem. Dlatego w jego izbie stale pali się świeca.

- Zatem lękacie się, aby jakiś czarnoksiężnik nie zechciał go zamordować, by z użyciem jego krwi stworzyć kamień filozoficzny?

- Tak. Wieść o cudownym dziecięciu już się rozniosła, a każdemu magowi wiadomo, jak potężną moc ma krew takiego dziecka. To może skusić wielu.

400

- Ale Oppidum Iudaeorum jest strzeżone dzień i w nocy. Jakim sposobem goje mogliby porwać wasze dziecko? Zwłaszcza, że zapewne i ono jest należycie pilnowane.

- To prawda. Lecz jeśli wybuchnie tumult i rozpasana tłuszcza wedrze się do Miasta Żydowskiego, tedy malca nie da się obronić.

- Mamy powody przypuszczać - wtrącił Izaak - że ci sami, którzy podburzyli żaków i motłoch do napaści na zbór ariański, szykują się do najazdu na Miasto Żydowskie. Czekają tylko na jakiś dogodny pretekst.

- Domyślcie się, kto za tym stoi?

- Nie, ale szumi o tym coraz głośniejsz. Może nawet nie będą czekać do czasu, aż król wyjedzie na sejm, skoro już raz odważyli się wszcząć tumult w jego przytomności.

- Co zatem chcecie, abym zrobił? Mam wywieźć dziecko i gdzieś je ukryć?

- Myślałem o tym - przyznał rabin. - Zamierzałem zabrać malca ze sobą do Poznania, ale chłopiec nie chce. Powiada, że póki żyw, krokiem się nie ruszy z Kaźmierza. Tu się urodził i tu pragnie umrzeć. Poza tym mamy powody przypuszczać, że wszystkie wyjścia z Oppidum Iudaeorum są obserwowane. Nie dalej jak przed tygodniem na drodze do Wieliczki napadnięto rodzinę żydowską, która opuściła miasto. Był to jedynie ubogi krawiec, który szedł odebrać zamówienie i zabrał ze sobą bliskich. A jednak zamordowano jego i żonę, zaś pięcioletnie dziecko zniknęło bez śladu.

- Nadal nie widzę, w jaki sposób mógłbym wam pomóc.

- Mógłbyś wysledzić, kto za tym wszystkim stoi - powiedział Izaak. - Jeśli uda się zapobiec tumultowi, ocalimy także Megale Amukota. Gmina jest gotowa zapłacić za to nawet tysiąc dukatów.

- Kuszące, ale przeceniacie mnie. Poza tym już nie zajmuję się inwestycją. Jedyne, co mogę obiecać, to że będę miał oczy i uszy otwarte. Uprzedzę także starostę, by zachował czujność.

Nie tego oczekiwali, widziałem to po ich minach, ale nic nie mogłem poradzić.

- Izaak, wiesz o wszystkim, co dzieje się w mieście. Szukam nowego domu. Gdybyś słyszał o czymś odpowiednim w przystępnej cenie, daj mi znać - poprosiłem na koniec.

401

- Dobrze - obiecał. - A teraz rzuć jeszcze okiem na to. - Z poważną miną pokazał mi dwie złote monety z nawierconymi dziurkami. - Wiesz, co je łączy?

- Są fałszywe? - zaryzykowałem, bo wydało mi się, że mińce były tylko powlekane złotem.

- Właśnie - ponuro pokiwał głową. - A wiesz, co je różni?

Przecenił mnie. Rozłożyłem ręce.

- Tę - pokazał - dostałem w czerwcu. Mówiłem ci wtedy, że muszę przepatrzyć kasę. I właśnie w czerwcu odkryłem aż pięć takich. To dość marna robota i nie dałbym się oszukać, ale mój zięć, który mnie czasem zastępuje, nie ma jeszcze mojego doświadczenia. Jednak tę drugą przyjąłem sam i gdyby nie to, że jest taka nowa i błyszcząca, a zewsząd słyhać o fałszerstwach, niczego bym nie podejrzewał. Sprawdziłem ją tylko dla spokoju sumienia i masz ci los! Okazało się, że od końca lipca takich mińców pojawiło się w mieście całe mnóstwo. A także talarów ze stopu cyny z ołowiem, udających srebrne.

- I co sugerujesz?

- Że do niedawna fałszerstwem zajmowali się fuszerzy, pospolici frantowie, ale ostatnio robotą zajął się prawy majster. Rabbi uważa, że tak doskonały amalgamat potrafią zrobić jedynie alchemiści.

Ben Becalel skinął głową.

- Podejrzewasz któregoś?

- Z tych znanych mamy w mieście tylko Sendivogiusa. Rabbi, który zna go z Pragi, ma Sendivogiusa za uczciwego i bardzo zręcznego alchemistę. To drugie odpowiada prawdzie, bo jego farby do tkanin nie mają sobie równych, a barwione nimi materie idą jak woda. Lecz sam osądz: doskonale sfalszowane mińce pojawiły się prawie natychmiast z chwilą, kiedy w połowie lipca Sendivogius wrócił z jakiejś podróży. I druga sprawa: opowiadał mi znajomy, że w sklepach pod domem Sendivogiusa powstała wielka pracownia, którą budowano przez

dwa miesiące. Złotnicy, właściciele kantorów i lichwiarze, w obawie o spadek wartości kruszców i pieniądza, szykują protestację do króla i ratusza, zanim pójdziemy z torbami albo sami zostaniemy oskarżeni. Chcemy, by sprawdzono, co dzieje się w pracowni Sendivogiusa.

- Król lubi i ceni Sędziwoja, może odrzucić petycję.
- Tego się obawiamy. Może ty byś przekonał króla?

402

- Zobaczę, co da się zrobić. Ale nie spodziewajcie się zbyt wiele. Król ma teraz poważne turbacje i wątplię, by szukał dodatkowych kłopotów.
- Jednak spróbuj. A co do małego Spiry, to wedle rabiego mamy jeszcze kęs czasu.
- Z koniunkcji gwiazd wynika - potwierdził Becalel - iż najgorsze dla niego terminy przyjdą na początku naszego nowego roku, w miesiącu tiszri lub cheszwan. Straszne znaki na niebie i ziemi obwieszczą nam tę porę. Do tego czasu pozostanę w Krakowie.

Osobliwy rok żydowski zaczynał się w równonoc jesienną. Zatem chodziło o czas od końca września do połowy listopada.

- Tymczasem coraz częściej oskarżają nas o porywanie dzieci chrześcijańskich - poskarżył się Izaak. - Niedawno zaginął synek pisarza miejskiego i rajcy Pawła Pernusa, na szczęście szybko się odnalazł. Ale inne nie. Boję się, że...

Jakby w odpowiedzi na jego lęki, jak spod ziemi wyrosło przed kramem kilku wyrostków. Widzieliśmy ich przez szpary w okiennicy.

- Śmierć Żydom!
- Wynoś się z miasta, morderco!
- Porywacie dzieci i wypuszczacie z nich krew na macę!
- Ludojad!
- Precz z Krakowa!
- Wiemy, że tam jesteście. Wylaź z jamy, parchu!

Sypnęły się kamienie. Zagrzechotały o okiennicę. Jeden wybił deskę, wpadł do kramu i o włos minął głowę Izaaka. W tym czasie dwóch młokosów uzbrojonych w kije przypuściło szturm do drzwi. Na szczęście tym razem wziętem ze sobą laskę, a szermierki jeszcze ze szczętem nie zapomniałem. Jednak było ich zbyt wielu. Lecz w chwili, gdy miałem ulec, ktoś wmieszał się do walki, bez pardonu ciężką łagą rozdając razy na prawo i lewo i rycząc jak ranny tur:

- Precz mi z oczu, hultaje, bo wam łby porozwalam!

Hutman TYojan. Znali go dobrze i wiedzieli, że nie rzuca słów na wiatr, więc czmychnęli jak niepyszni. Uciekając, odgrazali się:

- Wróćmy!
- Zapłacisz za to, Żydzie!
- Do następnego razu!

403

Incydent zgromadził wielu gapiów, lecz nikt nie pokwapił się pomóc Izaakowi. Rozeszli się bez słowa, zapewne rozczarowani, że ominęła ich okazja obrabowania bogatego kramu. Wśród niemych spektatorów wyróżniał się chudzielec o głowę wyższy od pozostałych.

- To Smok - powiedział roztrzęsiony Izaak, gdy pomagałem mu zabezpieczyć kram. - Starszy nad ceklarzami. Ponoć to on podbech-tał młodzież do szturmowania zbórnicy, a pierwej, w zeszłym roku, na Bróg. Teraz widać zagiął parol na Żydów.
- Wyglądał na zbója, ale przy tym głupca. Nie on pociąga za sznurki.
- Wiem. Ale kto? Tak czy owak trzeba będzie zabrać towar i zamknąć kram. Przynajmniej na trochę.

Zostawiłem ich zafrasowanych i dołączyłem do Tiojana, który czekał na mnie, posapując z gniewu.

- Co to się porobiło, Kacper? Burdy w biały dzień! A co nas jeszcze czeka, aż strach myśleć.
- Coś ostatnio często na siebie wpadamy, hutmanie.
- Na to wygląda. Masz chwilę? Pójdź ze mną, przydasz się. To niedaleko.

Istotnie było blisko. Zaraz za bramą cmentarza przy farze Mariackiej skręciliśmy ku okazałej budzie, jednym bokiem przystawionej do muru cmentarnego, drugim do sąsiedniej kamienicy. Nikt by nie przypuścił, że ta niepozorna szopa to jeden z pałaców Króla Żebraków. Nie mogłem się oprzeć wspomnieniom, jak to przed laty byliśmy tu jeden jedyny raz z Niziołkiem i Sępem świętej pamięci. Kleta na zewnątrz wyglądała tak samo, z wyjątkiem dwóch drabów miejskich u wejścia, ale wewnątrz... Takich jatek nie widziałem nigdy, no może z wyjątkiem „Drewnianej Klety”, podlej oberży u Grodzkiej bramy, gdzie ongi Francuzi z Bractwa Syjonu urządzili rzeźl.

Zaraz za drzwiami leżało pół tuzina trupów, ułożonych jeden przy drugim.

- Tych znaleźliśmy na cmentarzu, wciągnęliśmy ich do środka -oznajmił Szarski, razem z dwoma kolejnymi strażnikami oglądając trupy. - Jeden zastrzelony z kuszy, pozostali zadżgani. Żaden nie padł od kuli.

1 Szczegóły w Kacper Ryx i król przeklęty.

404

A

W

- Kiedy zginęli? - spytałem.
- Ty mi to powiedz - burknął.

Odniosłem wrażenie, że moja obecność nieprzyjemnie go zaskoczyła. Aż trudno było uwierzyć, że kiedyś się przyjaźniliśmy. Skończyłem pobieżne oględziny i wstałem.

- Stężenie pośmiertne mięśni całkowite. Zmarli jakieś dwanaście godzin temu. Co najmniej.
- A zatem około drugiej po północy?
- Powiedzmy między północą a czwartą.
- Obejrzyj pozostałych - polecił hutman.

Pierwszy spoczywał niedaleko wejścia. Miał okropną ranę brzucha, a paskudną gębę wykrzywioną w straszliwej męce. Poznałem Kulasa.

- Ten umarł później od tamtych - orzekłem. - Nawet o dwie godziny. Umierał długo i miał ciężki skon.

Za to wszyscy pozostali, choć zastała ich w najróżniejszych pozach, śmierć mieli taką samą - zostali otruci.

- Ktoś dołał szybko działającej trucizny do wszystkich trunków: gorzałki, wina i piwa - powiedziałem, obwąchując puchary oraz kufle i biorąc próbkę na koniec języka, a potem plując, dopóki przykry smak nie ustąpił.
- Jakiej?
- Nie wiem. Jeszcze nikogo nie otrujęm.
- Nie jest możliwe, by wszyscy umarli dokładnie w tym samym czasie - stwierdził Szarski. - Zresztą widać, że niektórzy wiedzieli, iż umierają. Dlaczego nie zdążyli wyjść, szukać zabójcy lub pomocy albo zrobić cokolwiek?
- Bo oprócz trucizny użyto laudanum. Umarli, zasypiając.

Strażnicy podali nam swoje latarki i po drabinie poszliśmy

na górę. Zapamiętałem tę izbę jako kapiącą od luksusu, tymczasem była ogołocona ze wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość.

- Żebracy wpierw rozkradli wszystko, zanim nas powiadomili -powiedział podhutmani, widząc, że spoglądam na jaśniejsze miejsca na ścianach, ślad po wiszących tam cennych obrazach i kobiercach. -Dlatego przybyliśmy tak późno.

Garbus spoczywał na boku, z zamkniętymi oczyma. Wyglądał, jakby spał. Obróciliśmy zeszywniałe ciało na plecy.

405

Ł

- Tego znam - rzekł Trojan. - Posadziłem go kiedyś za okradzenie kasy miejskiej. Byłby zawisł, gdybyś nie udowodnił, że to sprawka fagasa Czeczotki.

- Zgadza się.

- Osobliwa rana - zdziwił się na widok pięciu krwawych śladów na wysokości serca nieboszczyka. - Jakby ktoś go dźgnął małymi widłami.

- A potem ułożył ciało i zamknął mu powieki. Morderca znał ofiarę i żywił do niej szacunek lub przynajmniej sympatię.

- Powieki czasem same opadają - zaprotestował Szarski.

- To prawda - odparłem - ale na jednej powiece został brudny odcisk palca. A nasz kadawer dłonie ma czyste. Zresztą byłby to pierwszy wypadek, aby nieboszczyk sam sobie zamknął oczy. Ciekawe...

- Co?

- Te ślady na przegubach rąk i kostkach nóg. Nieboszczyka związano na długo przed śmiercią. Więzy potem rozcięto. - Wskazałem na rozrzucone szczątki sznura. - Plamy na ciele nie zdążyły jednak całkowicie ustąpić, zanim zginął.

- Kto go związał, jeśli nie zabójca?

- Kulas. To ten z przebitym żywotem, który zginął na ostatku -odparłem, badając miejsce, gdzie kiedyś stał niski, inkrustowany stół.

- Skąd wiesz?

Zanim odpowiedziałem, podniosłem prawie pustą flaszkę z resztką brązowego płynu i powąchałem wylot szyjki.

- Bo w tej flaszcze była trucizna zmieszana z laudanum. Myślę, że wpierw zaaplikował samo laudanum Garbusowi, potem dodał trucizny, dolał do trunków i poczęstował kompanów. A później spokojnie popijał tokaj. - Pokazałem inną flaszkę z odrobiną bursztynowej cieczy. - Czekał na drugiego zabójcę, który przyszedł z zewnątrz. Ten jednak i jego zabił, właśnie tutaj, stąd ta kałuża krwi. Potem powłókł rannego, widzicie te smugi? Zepchnął go na dół i zaciągnął do wyjścia.

- Dlaczego to zrobił?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie mam pojęcia. To znaczy, nie wiem, dlaczego zadał sobie tyle trudu. Zabił zaś, żeby nie zostawić żadnego świadka.

406

- Do czego ów Kulas potrzebował socjusza, skoro sam poradził sobie z kompanami?

- Widać panicznie bał się Garbusa, nawet uśpionego, albo to nie on decydował i tylko zastosował się do rozkazów.

- Żebracy, których udało nam się pochwycić, zanim się rozpierzchli, utrzymują, że ów Garbus był osławionym Królem Żebraków, a Kulas jego podhetmanim - wtrącił Szarski i spojrzał na mnie złośliwie. - Ciekawe tylko, jak ty do tego doszedłeś...

Popukałem się palcem w skroń.

- Dedukcja, przyjacielu. Ale nie podoba mi się twoja sugestia. Czyżbyś sądził, że mam z tym coś wspólnego?

- Jeśli nie, to skąd wiesz, że wspólnik Kulasa nadszedł z zewnątrz, a nie był tutaj razem ze wszystkimi?

Obaj wpatrzyli się we mnie podejrzliwie.

- Bo wiem, kto to jest.

Teraz osłupieli.

- Kto?

- Niejaki Kettler. Jurgielnik, który za pieniądze zrobi wszystko. Nie jest to człowiek, który drużyłby się z żebrakami. To on zabił tych sześciu na zewnątrz. Dla niego to fraszka. Znajdźcie go, a dowiedziecie się, kto mu zlecił tę robotę i dlaczego. Jednakże łatwo go poznać, bo jest bielakiem, ale trudno zlokalizować.

- Skąd wiesz, że to jego dzieło? - w głosie Szarskiego znów zabrzmiały agresywne tony, które mi się nie spodobały.

- Bo zostawił swoją pieczęć - podszedłem do zwłok garbusa i pokazałem osobliwą ranę.
- Pół roku temu Kettler mnie postrzelił, ale wcześniej udało mi się ranić go w rękę. Ja omal nie umarłem, ale on stracił dłoń, w którą wdała się gangrena. Uciął mu ją cyrulik Jędrzejkiewicz, możecie go spytać. Po czym Kettler zamówił protezę u majstra Prota Kwaka ze Stradomia. Ale nie zwyczajną, tylko zawierającą zamiast sztucznych palców pięć stalowych ostrzy. Następnie zabił majstra owym narzędziem, żeby się nie wygadał. Możecie to sprawdzić.

Tym razem spoglądali na mnie z respektem, a nawet jakby lękiem, co spodobało mi się bardziej niż poprzednia podejrzliwość. Ostatnim spojrzeniem pożegnałem Garbusa. Już nigdy nie wyrecytuje mi kolejnego fragmentu swojej Peregrynacji dziadowskiej ani nie zaopiekuje się swymi „dziećmi”, które poza nim nie miały nikogo. Ktoś wszedł po schodach. Jeden ze strażników.

407

- Do czego ów Kulas potrzebował socjusza, skoro sam poradził sobie z kompaniami?
- Widać panicznie bał się Garbusa, nawet uśpionego, albo to nie on decydował i tylko zastosował się do rozkazów.
- Żebracy, których udało nam się pochwycić, zanim się rozpierzchli, utrzymują, że ów Garbus był osławionym Królem Żebraków, a Kulas jego podhetmanim - wtrącił Szarski i spozjrzał na mnie złośliwie. - Ciekawe tylko, jak ty do tego doszedłeś...

Popukałem się palcem w skroń.

- Dedukcja, przyjacielu. Ale nie podoba mi się twoja sugestia. Czyżbyś sądził, że mam z tym coś wspólnego?
- Jeśli nie, to skąd wiesz, że współnik Kulasa nadszedł z zewnątrz, a nie był tutaj razem ze wszystkimi?

Obaj wpatrzyli się we mnie podejrzliwie.

- Bo wiem, kto to jest.

Teraz osłupieli.

- Kto?
- Niejaki Kettler. Jurgieltnik, który za pieniądze zrobi wszystko. Nie jest to człowiek, który drużyłby się z żebrakami. To on zabił tych sześciu na zewnątrz. Dla niego to fraszka. Znajdźcie go, a dowiedziecie się, kto mu zlecił tę robotę i dlaczego. Jednakże łatwo go poznać, bo jest bielakiem, ale trudno zlokalizować.
- Skąd wiesz, że to jego dzieło? - w głosie Szarskiego znów zabrzmiały agresywne tony, które mi się nie spodobały.
- Bo zostawił swoją pieczęć - podszedłem do zwłok garbusa i pokazałem osobliwą ranę.
- Pół roku temu Kettler mnie postrzelił, ale wcześniej udało mi się ranić go w rękę. Ja omal nie umarłem, ale on stracił dłoń, w którą wdała się gangrena. Uciął mu ją cyrulik Jędrzejkiwicz, możecie go spytać. Po czym Kettler zamówił protezę u majstra Prota Kwaka ze Stradomia. Ale nie zwyczajną, tylko zawierającą zamiast sztucznych palców pięć stalowych

ostrzy. Następnie zabił majstra owym narzędziem, żeby się nie wygadał. Możecie to sprawdzić.

Tym razem spoglądali na mnie z respektem, a nawet jakby lękiem, co spodobało mi się bardziej niż poprzednia podejrzliwość. Ostatnim spojrzeniem pożegnałem Garbusa. Już nigdy nie wyrecytuje mi kolejnego fragmentu swojej Peregrynacji dziadowskiej ani nie zaopiekuje się swymi „dziećmi”, które poza nim nie miały nikogo. Ktoś wszedł po schodach. Jeden ze strażników.

407

- Hutmanie, zejście na dół. Znaleźliśmy coś.

Zeszliśmy wszyscy po kolei. Strażnik zaprowadził nas ku drzwiom i oświetlił ścianę obok. Widniały na niej wymalowane krwią znaki:

- To żydowskie buksztaby! - wykrzyknął Szarski i spojrzał na mnie z tryumfem. - Twoja teoria wzięła w łeb! Te jatki to sprawa Żydów, a nie jakiegoś Kettlera!

Trojan spojrzał na mnie skonsternowany.

- Ktoś chce, żebyście tak myśleli, choć koncept to zaiste absurdalny. Po co Żydzi mieliby to robić i jeszcze się tym chwalić?

Schyliłem się i podniosłem rozbitą tabliczkę woskową, na której zachował się ślad zapisu.

- Oto dowód. Napis uczynił Kettler, który nie umie po żydowsku, więc posłużył się wzorem dostarczonym przez kogoś innego. Dlatego zepchnął rannego Kulasa na dół. Żeby mieć pod dostatkiem inkaustu.

- Może jeszcze wiesz, co znaczy ten napis? - sarknął pod-hutmani.

- Pewnie nic nie znaczy. Buksztaby zapisał pewien głupiec, któremu się zdawało, że zna hebrajski. Nazywał się Maciej Pająk alias Mathias Araneus i był alchemikiem. Był, bo niedawno zmarł. Otruty. Dowiedźcie się, z kim go widywano, a dostaniecie zleceniodawcę tego mordu. Zaś napis powinien wyglądać tak.

Końcem laski napisałem w kurzu na podłodze, z prawej do lewej:

DU

- Czy teraz to ma sens? - spytał Trojan.

- Teraz tak. Co prawda znam tylko dwie z tych buksztab, ale łatwo domyślić się reszty. Po naszymu to będzie: GOLEM.

- Ten potwór stworzony w Pradze przez jakiegoś Żyda? Po co ktoś miałby wypisywać coś takiego?

- Żeby wzbudzić lęk i nienawiść wobec Żydów.
- A czemu nie miałyby to być dzieło golema? - zaprotestował Szarski, ogarniając szerokim gestem całą trupiarnię, zaś strażnicy zastrzygli uszami. - Czyż jakikolwiek człowiek, nawet ten twój

408

Kettler, którego nikt oprócz ciebie nie widział, zdołałby w pojedynkę uczynić coś podobnego?

- Wierz, w co chcesz - odparłem i wyszedłem, bo miałem wyżej uszu jego napastliwości oraz duszącego odoru rozlanej krwi.

Hutman podążył za mną.

- Co o tym myślisz?
- Już powiedziałem, co miałem do powiedzenia.
- Nie o to mi idzie, tylko o Szarskiego. Twój widok go zdenerwował, a twoje wnioski wprawiły we wściekłość. To zazdrość czy co innego?
- Sami sobie na to odpowiedzcie, hutmanie.
- Już to zrobiłem. I nie jestem zachwycony tym, do czego doszedłem.

Chwycił mnie pod ramię i odciągnął na bok.

- Niedawno zaczęły w mieście znikać dzieci. I chodzą słuchy, że to Żydzi porywają je na macę. A teraz ten golem... Pięknie się składa, co? Znałeś Fołtyna Rymera? Przed tygodniem napadnięto w nocy na jego dom. Zginęła cała rodzina, on i żona razem z dziećmi. Sprawców nie schwytaliśmy...

Walentego Rymera znałem jeszcze z czasów, zanim się ożenił i dorobił dzieci. Słyszałem, że za zasługi w obronie miasta przed Maksymilianem Rymer wraz z Pernusem i Waxmanem mieli być na najbliższym sejmie uszlachceni na wniosek króla.

- ... A znów chłopca Pernusa ktoś porwał, a potem zwrócił. Ciekawe, że i Rymer, i Pernus byli wrogami pewnego naszego znajomego. A teraz Rymer nie żyje, Pernus siedzi jak mysz pod miotłą i drży ze strachu, a Grot się szarogęsi. Nie mam jednak żadnego dowodu, że to on pociąga za sznurki. Ani nawet pewności. Po prostu go nie lubię, tak jak on nie lubi mnie. I dlatego chciałbym, żeby to był on. Nieważne jednak, kto to jest, i tak zdobędę dowody i zerwę łotrowi maskę - wycedził z zawziętą miną.

- Ktokolwiek nim jest, ma co najmniej jednego współnika. Pamiętajcie, że mój informator, który dla nich pracował, ów alchemista, został otruty. Bądźcie ostrożni, hutmanie. Vide, cni fide

- Mnie to mówisz? - odparł z goryczą. - Muszę wracać. Trzeba uprzątnąć ten chlew.

1 Vide, cui fide (lac.) - bacz, komu ufać.

409

Już miałem opuścić cmentarz, kiedy rozpoznałem siedzącą pod murem i niemiłosiernie zawodzącą kupę łachmanów. Kubrak albo Dziura.

- Co się stało?

Rozpoznał mnie przez łyzy żłobiące głębokie bruzdy w brudnej gębie i chlipnął:

- Wszyscy zabici... Król i Kubrak, i drudzy... Co tera z nami be-dzie? Co ja pocznę bez Kubraka?

A więc Dziura. Poklepałem go po ramieniu, rzuciłem dukata i odszedłem, bo cóż mogłem mu powiedzieć pocieszającego?

Wracałem Grodzką do domu, słońce powoli zachodziło, a ja rozmyślałem nad ostatnimi wypadkami. Wciąż nie byłem zdecydowany, czy powinienem się w to mieszać. Kiedyś potraktowałbym taką sprawę osobiście i nie spoczął, póki winni nie zostaliby zdemaskowani i ukarani. Ale teraz... Chęci i pokusa podjęcia nowej inwestygacji jeszcze raz, może ostatni, były silne, jednak brakowało dawnego entuzjazmu, a i sił nie dostawało. Niby czułem się nie najgorzej, jednak byłem słaby i szybko się męczyłem. Nie nadawałem się już na inwestygatora, należało się z tym wreszcie pogodzić i zostawić to innym. Wtem zaszło coś, przez co wszystko inne w jednej chwili przestało mieć znaczenie. Nagle bowiem zobaczyłem dwa szczury wypelzające z jakiegoś zakamarka. Zachowywały się dziwnie. Nie bały się mnie, zataczały jak pijane, po czym padły na bok i zdechły, wstrząsane straszliwymi drgawkami, wydając przeraźliwe piski. Wprzód jednak kręciły się w kółko jak bąki, zaś z pysków lala im się krew. Potem zaś natychmiast zaczęły puchnąć, zaś wąsy zeszywniały im niby druty. Włos zjeżył mi się na głowie, serce stanęło. Widywałem już takie obrazki i dużo o nich czytałem. Jeszcze się łudziłem, dopóki kilka kroków dalej nie znalazłem następnego martwego szczura, a kolejny zdechł na moich oczach. Nie było już żadnych dubiów. Zawsze się tak zaczynała. Ona, mors nigra! Czarna śmierć!

Stałem na wprost domu szwagra Michała, więc on pierwszy dowiedział się o nowinie. Pobladł, a Jadwiga zaczęła lamentować.

- Jesteś pewny?

1 Tą samą nazwą określano także czarną ospę, która jednak pochłaniała ponad dwukrotnie mniej ofiar.

410

- Całkowicie. Margotka ma krewnych gdzieś za Niepołomicami, na skraju puszczy. Musicie tam czym prędzej wyjechać. Zanim wybuchnie panika i zbiegowie zatłoczą wszystkie drogi.

- Zaraz pójdę do nich to obgadać.

Zaczął się ubierać. Ręce mu tak drżały, że miał problem z wiązaniem butów. Ja w tym czasie żegnałem się z mleczną siostrą i swoimi chrześniakami. Płakali przy tym wszyscy, jakbyśmy żegnali się na zawsze. Co było bardzo możliwe.

- Zajrzyj po drodze do Niziołka - poprosiłem, kiedy wyszliśmy na ulicę. - Jego też uprzedź. I kogo uznasz za stosowne.

- Dobrze.

Najstraszliwsza zaraza czarnej śmierci w obecnym stuleciu, z lat 1543-1544, pochłonęła ponoć do czterestu tysięcy ofiar, czyli blisko połowę mieszkańców Krakowa i przedmieść. Ale zdarzyła się jeszcze przed moim urodzeniem. Za to pamiętałem następny wielki mór, z tysiącami ofiar, w latach 1555-1556. Miałem wówczas co prawda zaledwie sześć lat, lecz takich rzeczy się nie zapomina. Wielki exodus z miasta tych, którzy mieli dokąd uciec, zabite okna i drzwi domów, w których po cichu umierały całe rodziny, trupy ludzi, których choroba powaliła na ulicy, turkoczące na kocich łbach wozy grabarzy ze stertami zwłok zrzuconych na kupę jak łachmany, ludzi z szalonymi oczyma, snujących się bez nadziei po stracie najbliższych, ludzi konających z głodu, ludzi pozbawionych wstydu i pijanych w sztok lub kopulujących na oczach przechodniów, jakby w obliczu śmierci puściły im wszelkie hamulce i chcieli jeszcze zachłysnąć się życiem; osieroczone dzieci z plamami na ciele, które łapano jak wałęsające się psy i odstawiano do szpitali, by tam czekały na śmierć... Ale przede wszystkim szczury. Setki i tysiące zdychających szczurów, które instynktownie wypełzały z ciemnych nor ku jasności, jakby w niej szukały ratunku... Brr! Przeszedł mnie dreszcz. Jutro, a najdalej za kilka dni, w mieście rozpęta się piekło.

Janki nie było w domu, więc od razu poszedłem na zamek. W an-tyszambrach czekałem niedługo. Szambelan sprowadził Wolskiego, a ten powiódł mnie do króla, który przebywał w pracowni alchemicznej i zabawiał się odlewaniem jakichś przedmiotów. Na mój widok raczył przerwać pracę i z twarzą bardziej ożywioną niż zazwyczaj, zagadnął:

- Coś nowego w sprawie listów?

411

- Niestety, wasza królewska mość. Ale w istocie jest coś nowego. Do miasta zawitała czarna śmierć.

Wolski aż sapał i pobladł, lecz królowi nie drgnęła nawet powieka.

- Mości mieczniku, zechciej sprowadzić sam doktora Bucellę. I na razie nikomu ani słowa.

Gruby Italczyk przybiegł zdyszany, co najlepiej świadczyło o powadze sytuacji.

- To pewne?

- Moim zdaniem tak.

Opowiedziałem im o dziwnym zachowaniu szczurów.

- I cóż z tego? - nadął się Włoch, wyraźnie zazdrosny o swoją pozycję medycznego orakulum. - To żaden dowód. Jak wiadomo, sprawczyny moru są dwojakie: niebieskie i ziemskie, czyli wyższe i niższe. Ergo każda pestis wiąże się z powietrzem zepsutym przez wyziewy ziemskie i wiatr przynoszący opary z miejsc cuchnących i głębokich oraz z niepomysłną koniunkcją planet. Mówi o tym Awicenna w rozdziale pierwszym traktatu czwartego O zarazie. Zaś wedle Ptolemeusza zarazie sprzyja szczególnie wielka koniunkcją Saturna, Marsa i Jowisza. Lecz obecny układ ciał niebieskich nie zapowiada żadnych nieszczęść.

- Nie jestem biegły w astrologii - odparłem. - Znam Awicennę równie dobrze jak waszmość, lecz ufam w to, co mi powiadano i co sam widziałem za młodu: nadejście moru pośród ludzi zawsze poprzedza mór pośród szczurów. Mój mentor, pater Roch ze szpitala Duchaków, mniemał, że to one roznoszą zarazę. Zresztą nie był w tym odosobniony. Już Hipokrates zabraniał dotykać szczury, podobnie jak Arystoteles, Pliniusz i wspomniany Awicenna, zaś jeograf Strabon pisał, że w czasach starożytnych pojawienie się chorych szczurów na ulicach zwiastowało zarazę...

- Bzdury! Zarazę okrom wymienionych przeze mnie sprawczyń powodują Żydzi, zatruwając studnie, zwie się ona wówczas pestis manufacta¹, albo Bóg zsyła ją na chrześcijan, kiedy grzeszą ponad miarę.

- Mości panowie - upomniał król. - Zostawcie jałowe spory, tylko radźcie, co czynić.

1 Pestis manufacta (lac.) - zaraza (dżuma) sprowadzona ludzką ręką.

412

- Nic - wyrwał się Bucella. - Przynajmniej dopóki coś się nie wyjaśni. A nawet gdyby, w co wątpię, imć Hiropoński miał rację, i tak nie ma powodu do niepokoju. Bowiem niezawodnym lekiem na zarazę jest powszechnie dostępna driakiew Andromacha zażywana raz na dwa tygodnie. Ja zaś, nie chwając się, wedle wskazań Lullusa sporządziłem swoją piątą esencję z białego wina dojrzewającego w górskiej grocie. Po przedestyłowaniu wlałem go do karafki zamkniętej korkiem z drzewa balsamicznego, odwróciłem ją do góry i umieściłem w końskim łajnie na dwadzieścia dni. Po czym zlałem jasnoniebieski destylat znad osadu i tak uzyskałem piątą esencję, której mam kilka szklanych słoiczków, starannie zamkniętych. Jest ona tak mocna, że łatwo leczy mór, a nawet wskrzesza umarłych. Mam także wyśmienite pigułki przeciw zarazie, wyrobione z takich ingrediencji, jak: bolus, biała glina, zedoaria, kamfora, pięciornik, biały dyptam, aloes, szafran, goździki, diagryd, sok z kapusty i gotowany miód...

- Mistrz Bucella ma nade mną przewagę, gdyż ja nie znam żadnego skutecznego specyfiku przeciw morowi - przerwałem mu niezbyt grzecznie. - Kaźcie przynajmniej zamknąć bramy na Wawel, miłościwy panie. Trzeba kontrolować zwłaszcza dostawców spyży i wszelkich przybyszów. Pod byle pozorem, aby na razie nie wzbudzać paniki.

- Tak zrobimy - zdecydował król.
- Jezus, Maria! - zawołała wstrząśnięta Janka, wróciwszy wieczorem. - To prawda, o czym szepczą na dworze?
- Niestety.

Padła mi w ramiona i rozszlochała się.

- Co z nami będzie? Co zrobimy? - spytała, gdy już się jako tako uspokoiła.
- Na razie nic. Skoro król nie chce się ruszać z Krakowa, możemy się tylko modlić. I czekać.

Nie czekaliśmy długo. Na początku września wszystko się wyjaśniło. Mór wpiery ogarnął Oppidum Iudaeorum, potem błyskawicznie dotarł do Kazimierza, stamtąd jak płomień ogarnął Kraków, a na koniec Kleparz. Okazało się, że zarazę przywlekli kupcy żydowscy wracający z Jarosławia, „polskiego Frankfurtu”, gdzie w Pannę Marię Zielną odbywał się sławny jarmark. Jak zazwyczaj, zarazone powietrze skrywały skóry, futra, jedwabie, wełna, konopie i szaty

413

sprowadzone z Ukrainy, Multanów i drugich krain znad Morza Czarnego. Mimowolne sprawstwo żydowskich merkatorów wystarczyło, by podburzony motłoch krakowski i kaźmierski, niebacznym na to, że przecież to Żydzi stali się pierwszymi ofiarami moru, ruszył na Miasto Żydowskie. Na szczęście energiczny podstarość Jan Stasz-kowski, który wprzód rozbił zbójcką ordę grasującą w lasach nad Promnikiem, rozgonił tumultantów, zanim przyszło do rzezi i rabunków. Jednak wrzenie w mieście nie ustawało, bo kogoś trzeba było oskarżyć o plagę, a Żydzi nadawali się do tego najlepiej.

Kiedy ludzie zaczęli padać na ulicach i mrzeć po domach, w mieście powołano władze powietrzne. Zaraz z pierwotku opuścili miasto patrycjusze, w tym prawie wszyscy rajcy okrom wyznaczonego burmistrza „powietrznego” (z nadzwyczajnymi pełnomocnictwami), dwóch rajców i pisarza ku pomocy, więc cały ciężar utrzymania porządku w tych ciężkich terminach spadł na nich oraz hutmana ratusznego i kata. Ci zaś powiększyli znacznie liczbę pachołków miejskich o strażników powietrznych i stróżów nocnych, zbrojnych w halabardy i samopały, najęli dodatkowych kopaczy-grabarzy morowych, cyrulików i ich pomocników, kobiety zajmujące się pielęgnacją chorych w szpitalach, kucharzy warzących strawę dla zapowietrzonych oraz ludzi roznoszących ją po domach, tragarzy, gońców. Wszyscy oni dostawali godziwe wynagrodzenie i mieli po wszystkim otrzymać jeszcze więcej pieniędzy w formie remunera-cji (o ile przeżyją, by z nich skorzystać), lecz nikt im tego nie żałował, zwłaszcza że kto jeszcze nie zachorzał i miał gdzie i za co się schronić, uciekał z miasta byle dalej. Tak uczyniło wielu rzemieślników, kanoników, księży (i tak nie mieli co robić, bo kaznodziejom wzbroniono kazań), profesorów i żaków, a akademię i szkoły pozamykano. Merkatorowie z Sukiennic i kramów pakowali towary, magazynowali je po sklepach, zamykając owe na głucho, a klucze zostawiając w ratuszu. Pachołki miejskie miały pilnować

ich dobytku, co nie zawsze się udawało, ale jeśli towar ocalał, a zmarł jego właściciel, wtedy było z czego spłacić wierzycieli. Lecz skład wolno było otworzyć dopiero po trzydziestu-czterdziestu dniach kontumacji, gdy wpuszczony do magazynu ptak przeżył trzy dni.

Ubodzy nie mieli ani dokąd pójść, ani za co kupić taną odzież i żywność, która bardzo zdrożała, poza tym nie docierała w wystarczającej ilości, gdyż większość bram miejskich zamknięto i bronni

414

nie wypuszczali bez świadectwa zdrowia ani nie wpuszczali nie tylko obcych (chyba że zdołali wykazać, iż są zdrowi i przybywają z okolic niedotkniętych morem), lecz i chłopów z żywym ptactwem, owocami i grzybami, płótnem, lnem i pierzem. Niestosujących się do zakazów wtrącano do więzienia, towary zaś konfiskowano i publicznie palono. Oprócz ograniczeń targowych oraz zakazu handlowania na Wendecie starzyzną i chustami, odwołano także jarmark na świętego Michała na przełomie września i października, dlatego pojawiła się spekulacja, a ceny oszalały, więc biedacy zostali skazani na miejską dobroczynność i miłosierdzie zamożniejszych. Gorszy los czekał włóczędzów, hultajów, kostyrów, żebraków i wszetecznic, a nawet wesołków. Tych wyświecono z miasta, przy okazji paląc ich nędzne domostwa, budy i klety. Odchodzili, jęcząc i lamentując, gdyż głód zabijał pewniej od moru. Przepędzaniem próżniaków zajmowali się specjalnie w tym celu zatrudniani „wyganiacze ubóstwa”. Rekrutowano ich spośród wyrobników i dziadów, którzy tym sposobem sami unikali wypędzenia.

Zabroniono zgromadzeń i spotykania się po gospodach i szynkach w większej liczbie niż dozwolona, zamknięto publiczne łaźnie. Dzwony kościelne dla odstraszenia szczurów, które nie znosiły ich dźwięku, były prawie bez przerwy. Wyłapywano wałęsające się psy i koty. Nakazano tępić szczury, myszy, muchy i wszelkie robactwo, unikać jedzenia solonego mięsa i ryb oraz picia zepsutej wody, izby okadzać przez palenie na kominkach bobkowych łupin z octem, drewna żywicznego, a zwłaszcza jałowca, także na podwórzach palić zeń ogniska. Zakazano wylewać brudy na ulicę, wypędzać z obejść bydło i nierogaciznę, a drobiowi, którym żywili się domownicy, należało krótko przycinać skrzydła, by nie wydostał się na swobodę. Rzeźnicy nie mogli bić wołów w obrębie murów, bowiem powstawał z tego „smród najstraszniejszy”. Na gwałt udrażniano zatkane rynsztoki, sprzątano błota i wywożono daleko za miasto sterty śmieci i nieczystości na gnojne góry.

Mimo tych obostrzeń epidemia postępowała. Liczba umarłych, początkowo idąca w kilkunastu, szybko doszła do kilkudziesięciu dziennie. Nie wolno było grzebać ich w kościołach i na cmentarzach parafialnych. Dobrze, jeśli znalazł się odważny ksiądz chcący pobłogosławić nieszczęsnych na ostatnią drogę. Trupy, często jeno owinięte w płócienne całuny miast trumien lub nawet bez niczego,

415

wywożono na wielki cmentarz zapowietrzonych przy odbudowywanym dopiero kościele Świętego Piotra na Garbarach. Tam wrzucano ich społem do wielkich dołów, układano

warstwami i przesypano niegaszonym wapnem. Chorych izolowano. Wpierw w odosobnionych szpitalach za miastem, szczególnie w szpitalu świętych Sebastiana i Rocha, a gdy zabrakło miejsc - w naprędcie skleconych szałasach i szopach poza rogatkami. Wielu wywieziono łodziami na Błonie zwierzynieckie, gdzie wylana Rudawa-Nieczecza potworzyła z pagórków niedostępne suchą nogą ostrowy. Od czasu do czasu dowożono im tam żywność, a w powrotnej drodze zabierano trupy i grzebano pod kaplicą Świętej Małgorzaty, zwaną gontyną, na Zwierzyńcu.

Kto miał pieniądze i schronienie, mógł chorować w domu, jeśli zgodził się na to lekarz i jeśli w domu były warunki do późniejszej kontumacji. Oznaczało to jednak wyrok dla pozostałych domowników, bowiem drzwi domu mularze na polecenie burmistrza zamykali od zewnątrz na wprawione wrzeciędzie, zabijając również okna, zostawiając jeno mały otwór na podawanie wody i żywności (za pieniądze wprzód oczyszczone octem, albo w przypadku uboższych - na koszt gminy), dopóki ktokolwiek je odbierał albo choć pukaniem oznajmiał, że jeszcze żyje. Potem zbierano trupy, dom zaś trzeba było wywietrzyć, umyć ługiem, ściany oczyścić i pobielić wapnem. Byle jakie chaty palono.

Nic nie mówiąc Jance, która zakazała mi opuszczać dom, któregoś dnia z rana, ledwie wyszła pełnić swoje powinności na zamku, w najgorszym odzieniu wymknąłem się do miasta. Było jak wymarłe. Czystsze niż zazwyczaj, ale puste. Mieszkańcy, którzy jeszcze zostali w mieście, kryli się po domach albo wysiadali po kościołach, zanosząc modły i suplikację: Od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas, Panie! Tylko na Rynku tliło się życie, mimo iż co najmniej połowę kramów zamknięto. Ludzie omijali stragany z towarami luksusowymi, na które drzewiej lubili choć popatrzeć, oblegali za to stoiska z żywnością, acz teraz i ona często przerastała ich finansowe możliwości. Na szczęście pod ratuszem ujrzałem kolejkę przed kuchnią polową, gdzie kucharze przygotowywali jadło zarówno dla zdrowych biedaków, jak i chorych, którym pachołkowie powietrzni, a czasem strażnicy i grabarze oraz najęci w tym celu wyrobownicy roznosili żywność do domów. Za zaopatrzenie ubogich

416

potrzebujących odpowiadali szafarze powietrzni, kupując tanie mięso i chleb na wolnicach. Oprócz chleba i mięsa rozdawano też leguminy i groch.

Zazwyczaj ciężko było przejść przez Rynek, nie opędzając się od bezpańskich psów. Czasem nawet zabłąkała się jakaś świnka lub koza, która wymknęła się komuś z komórki na zadzi domu. Ale nie tym razem.

- Stój! Dawaj go! Przeklęty zwierz!

Dwóch hycli goniło wychudzonego kundla, który skądś się przy-pętał i całkiem zręcznie unikał ciosów ciężkich pałek. Do czasu. Upadł wreszcie, wycieńczony i patrzył tylko na mnie przerażonymi oczyma. Ale nic nie mogłem dla niego zrobić. Nie teraz, gdy każde zwierzę mogło być roznosicielem zarazy. Odwróciłem głowę, kiedy okuty drąg spadł na psa, gruchocząc mu stos pacierzowy. Śmiertelny krótki skowyt zabrzmiał mi w uszach jak wyrzut.

- Weźcie to, dobry człowieku. - Młody mnich z zakonu braci mniejszych¹ wcisnął mi w dłoń zadrukowaną kartę. - Modlitwa to najlepszy lek na czarną śmierć.

- Bóg zapiać, bracie.

- Z Bogiem. Niechaj nas wszystkich ma w swojej pieczy.

Poszedł dalej, rozdawać swą pociechę. Modlitwy były trzy. „Boże,

który nie chcesz śmierci grzeszników, lecz żalu za grzechy, spójrz łaskawie na Twój lud do Ciebie powracający, abys mając wzgląd na jego oddanie, oddalił od niego bicz Twojego gniewu. Pomnij, Panie Jezu Chryste, na Twoje przymierze i powiedz zadającemu cios Aniołowi: „oddal swoją dłoń”, i nie unicestwiaj człowieka, którego stworzyłeś na Swoje podobieństwo, nie poddawaj zagładzie wszelkiej żyjącej istoty. O Święty Tetragrammaton, o święty Adonai,

0 święty Emanuelu, wzywam pełen pokory Twoje, Boże w Trójcy Świętej, najświętsze i najbożniejsze Imiona, abys zachował mnie

1 cały Twój lud chrześcijański od febry i wszelkiej zarazy, i od nagłej śmierci. Święty Boże, Święty Mocny, Święty i Nieśmier...”. Ktoś szarpnął mnie za ramię i przerwał lekturę.

- Panie... - Chytra gęba wykrzywiła się przymilnie, szponia-ste palce trzymały krzepko. - Kup skuteczne remedium na zarazę. Mam wszystkie: oto niezawodne pigułki, a to niezrównany napój,

1 Franciszkanów.

417

tu zaś jest królewskie antidotum, to magiczna woda, oryginalna aqua magistralis contra pestem... Tanio sprzedam, prawie za bezcen...

Puścił moje ramię i po kolei wyjmował z drewnianej skrzynki wymienione specyfiki.

- Zabieraj się stąd, konowale, i wyrzuć te świństwa, bo zawołam straż. I żebym cię więcej nie widział...

Czmychnął, zwinnie uchylając się przed moją laską, bo też byłem naprawdę zły, wiedząc z doświadczenia, że takie franty często sprzedawały napoje z rtęcią, które zatrwały krew i zabijały pewniej od czarnej śmierci. Aby ochłonąć, wróciłem do modlitw do patronów od moru, świętych Sebastiana i Rocha. „O święty Sebastianie, znakomity Boży Męczenniku, wielkie są Twoje zasługi. Antyfona: Wstaw się za nami do Pana Jezusa Chrystusa, abyśmy na Twoje święte prośby zasłużyli na miłosierne uwolnienie nas od zarazy. Módl się do Pana za nami, święty Sebastianie, aby zostały nam odpuszczone nasze winy...”. Przerwałem czytanie, ponieważ dotarłem na miejsce. Poza tym dobrze znałem te modlitwy i to po łacinie, bo Maciej Miechowita, sławny medyk i rektor naszej Akademii z początku wieku, zwany „polskim Hipokratesem”, pomieścił je w swoim traktacie *Contra saevam pestem regimen accuratissimum*¹. Jeśli chodzi o skuteczność, to były z pewnością lepsze od wszelkich

medykamentów. Tenże Miechowita podsumował ludzką wiedzę o czarnej śmierci, jej sprawczynach i sposobach zapobiegania wedle reguły pięciu „F” w wierszyku:

Peste fatiga, fames, fructus quoque, femina, flatus.

Fleubothomia, fuga, focus, fricatio, fluxus.

Prima nocent quinqué, sed prosunt altera quinqué².

Nie istniał jednak pewny lek na czarną śmierć. A przynajmniej ja takiego nie znałem.

1 Contra saevam... (lac.) - szczegółowe przepisy o zabezpieczeniu się przed groźną dżumą, Drukarnia Hallera, Kraków 1508. Pierwsza polska drukowana książka (raczej: broszura) medyczna.

2 Peste fatiga... (lac.)- podczas zarazy zmęczenie, głód, owoce, kobieta, wyziewy. Puszczanie krwi, ucieczka, ogień, pobudzanie ciała (ruch, lekkie ćwiczenia), odpływ (oczyszczenie z humorów). Pierwszych pięć szkodzi, następnych pięć wspomaga.

418

- Dawno cię nie widziałem - rzekł mój dawny wykładowca Marcin Fox, opiekun lecznicy dla ubogich żaków przy ulicy Wiślniej, obok której miał izbę mieszkalną.

Wyglądał na przemęczonego. A przy tym miał już swoje lata, czego wcześniej jakoś nie spostrzegłem.

- Co waść robisz?

Przestał ucierać jakąś masę w moździerzu i zaczął ją przekładać do form.

- W aptekach kończą się medykamenty. Przygotowuję lek wedle recepty Miechowity. Znasz ją?

Znałem: mieszać w równych dozach po jednej drachmie dyp-tamb, imbir, cukier kandyzowany, żywokost, kość z serca jelenia, aloes, skórkę z cytryny. Rozpuścić cukier z wodą driakwiową lub boragową, czyli ogórecznikową, zimą, zaś z wodą różaną lub roztworem octu w lecie. Wyrobić masę w morselki alias tabliczki, zażywać dwie z rana i za każdym wyjściem z domu.

- Myślisz, mistrzu, że poskutkuje?

Wzruszył ramionami.

- Wątpię, ale coś trzeba robić. Nie ma nic bardziej przygnębiającego dla lekarza, jak poczucie bezradności. Poza tym już sobie nie radzę, a wszystko jest na mojej głowie. Przyszedłeś pomóc?

- Na razie nie mogę.

- Szkoda. Brakuje mi rąk.
- A inni medycy?

Skrzywił się kwaśno.

- Nie ma innych. Wszyscy wyjechali ze swymi możliwymi protektorami, aby troszczyć się o ich cenne zdrowie. Dostałem do pomocy jedynie balwierzy morowych z czeladnikami. Ale wiesz, jak jest w taki gorący czas. Najlepsi cyrulicy też opuścili miasto, a starszy cechu, Jędrzejkiewicz, dał się niedawno zabić jakimś hultajowi. Zostali ci, których skusiły wysokie salaria.
- Zaglądnąłem do lecznicy. Pusto tam.
- Bo większość żaków uciekła z miasta. Kto nie uciekł, jest albo głupi, albo gorzej: ma nadzieję się obłowić.
- W jaki sposób?

Ściszył głos.

- Chodzą słuchy, że szykuje się wielki tumult przeciw Żydom i drugim innowiercom, jak tylko król opuści miasto. A poza tym... - zawahał

419

się. - Były już włamania do opuszczonych domów, obrabowano także dwa składy kupieckie. Przynajmniej o tylu wiem. I o jednym okradzionym składzie miejskim. Akurat tym z siarką i to teraz, gdy jest najbardziej potrzebna. Ktoś nieźle skorzysta, sprzedając ją pokątnie po zawyżonej cenie. No, ale dość tego gadania, muszę iść na obchód.

- Dużo ludzi umarło?
- Kilka setek. W tym tempie niedługo dojdzie do kilku tysięcy! Jak zwykle większość z nich umrze w ciągu pierwszych dwóch miesięcy, czyli do końca października. Dalby Bóg, żeby zima była sroga i wybiła kontagiony, bo wtenczas jest nadzieja, że mór nie wróci na wiosnę.
- Zwykle wraca - zauważyłem, pomagając mu przywdziać ubiór ochronny i okadzić go siarką.

Smętnie pokiwał głową.

- Niestety. Nie wiem, co będzie dalej, bo szpital Świętych Sebastiana i Rocha już teraz pęka w szwach... Słuchasz mnie?
- Przepraszam. Zamyśliłem się.

Wzmianka o siarce podsunęła mi pewien koncept. Skuteczność siarki jako środka odkażającego była powszechnie znana i sprawdzona. Dlatego używano jej zapobiegawczo, rozsypując w izbach podczas zarazy. Wyszliśmy na zewnątrz. Poczekaliśmy, aż zamknie drzwi na klucz, i zagadnąłem:

- Mistrzu... A gdyby tak przewozić zarażonych, którzy nie mieszczą się w szpitalach, do kopalń siarki w Swoszowicach? Tam cuch zgniłych jaj aż zapiera dech. Jednak na chorych może mieć zbawienny wpływ. Są też siarczane cieplice, które zalecał chorym doktor Oczko. Mogliby pić leczniczą wodę i brać w niej kąpiele. Trzeba by tylko pobudować dla nich prowizoryczne chaty, albo choćby szałas i namioty, a drugie, w oddaleniu, dla członków ich rodzin, jeszcze niezarażonych. Zresztą każdy, kto nie ma się gdzie podziać, mógłby tam się przenieść...

Aż przystanął z wrażenia.

- Ty to masz radziecką głowę, Kacper! Że też sam na to wpadłem! Jeśli nie zdecydujesz się wyjechać z królem, dołącz do mnie. Przydasz się bardzo. Jeszcze dziś pójde do burmistrza powietrznego i przedstawię mu sprawę.

1 Dżuma z lat 1588-1589 pochłonęła w Krakowie 6 tysięcy ofiar.

420

41

Wyraźnie poweselał.

- Kto nim został?

- Nie wiesz? Był nim Urbanek, ale dwa dni temu ktoś wysmarował mózgiem zmarłego na zarazę drzwi i okna w jego domu. Na drugi dzień opuścił miasto razem z rodziną. Jego urząd wziął jeden z dwóch rajców Jan Grot. Zdaje się, że go znasz?

- Aż za dobrze.

Patrzyłem, jak się oddala. Przygarbiona postać w luźnej ciemnej szacie, czarnym kapeluszu, rękawicach i w masce z wielkim dziobem, skrywającym wonne zioła. Gdyby nie pałeczka do badania, którą rażno wymachiwał, można by go było wziąć za wielkiego, czarnego ptaka. Zwiastuna śmierci, bo choć pragnął nieść ludziom pomoc i nadzieję, częściej wieszczył nieuchronny wyrok.

A więc to tak. Burmistrz powietrzny, którym zostawał pechowiec będący aktualnym burmistrzem, mógł ustąpić z urzędu, jeśli znalazł następcę. Grot wykorzystał niepowtarzalną okazję i sięgnął po wymarzony urząd, którego nie mógł się dochrapać zwykłą drogą. Dobrze to sobie obmyślił i zrećcznie przeprowadził. I na pewno nie chodziło mu o trzy floreny tygodniowo i sześćdziesiąt florenów re-muneracji po zarazie. Miałem pewność, że marzy mu się o wiele więcej, a-raz usadowiony w siodle, nie da się już z niego wysadzić. Czyżby

hutman słusznie uważał go za najbardziej prawdopodobnego sprawcę zła dziejącego się w mieście, czy raczej powodowała nim osobista ansa? Czy to Grota chciał mi wydać Araneus w zamian za życie? Co oznaczała cyfra 1, którą narysował ostatkiem sił? I kto byłby ewentualnym współnikiem Grota? Szarski? Same pytania bez odpowiedzi. Rozbolała mnie głowa i dałem sobie z tym spokój. Nie moja turbacja.

Szedłem właśnie wyludnioną ulicą Kanonną, na której dla oczyszczenia powietrza paliły się jedynie pochodnie i ognie wprost na burku, gdy wtem, nieostrożnie stąpawszy, potknąłem się na jakiejś dziurze. Nic wielkiego, stłukłem sobie jedynie kolano, a plecami uderzyłem o mur narożnej kamienicy, lecz w momencie przeniknął mnie ból tak straszliwy, jakby ktoś wbił mi od tyłu nóż. Ogarnięty wielką słabością krzyknąłem, złamałem się wpół jak kozik, upadłem i omdlałem. Wybudziło mnie szturchanie czymś twardym.

- Ejże, człowieku, żyjesz?

421

Jt*

Żyłem, choć byłem słaby i spocony jak mysz. Otworzyłem oczy i podniosłem się, pomagając sobie laską.

- Przebóg, pan Ryx!

On mnie znał, lecz ja nie znałem jego, choć twarz okolona niedużą brodą wydawała mi się znajoma...

- Nie poznajecie mnie, panie? Jestem Szymon, przyboczny hut-mana Trojana.

- Teraz poznaję. Zmężniałeś.

I nie dziwota, bo ostatnio widziałem go dobre dziesięć lat temu, kiedy sypał mu się dopiero wąs i wołano nań Szymek. Pokraśniał z zadowolenia.

- Jesteście chorzy, panie?

- Nie. Odezwała się stara rana. Ale już wszystko w porządku.

Oprócz tego, że zabijał mnie mały kęsek żelaza, nie większy od

paznokcia, pomyślałem. On zaś zrobił zakłopotaną minę, przestąpił z nogi na nogę, machnął trzymaną w ręku pałką i niepewnie spojrzął na dwóch tragarzy, trzymających w pogotowiu nosze nakryte czarnym całunem, którzy stali za nim z obojętnymi minami.

- Darujcie, panie, ale muszę sprawdzić. Takie mam rozkazy.

- Pojmuję.

Rozpiąłem kubrak i giezło i prawie obnażyłem się do pasa. Nie wiadomo, który z nas odetchnął z większą ulgą, nie widząc na moim ciele śladów zarazy. Odeszli, szukając

większych ode mnie nieszczęśników, ja zaś poczłapałem wolno na Wawel. Miałem o czym myśleć. Niespodziewany wypadek przypomniał mi o odroczonym wyroku, o którym już prawie zapomniałem, i pomógł podjąć niełatwą decyzję.

Jednak zwlekałem z jej ogłoszeniem, póki się dało. Po powrocie do domu natychmiast spaliłem starą odzież, którą miałem na sobie, i wziąłem kąpiel. Nie przyznałem się Jance do wizyty w zapowietrzonym mieście. Tydzień później, gdy liczba trupów w Krakowie przekroczyła setkę dziennie, a na zamku pojawili się pierwsi chorzy z objawami zarażenia, których trzeba było umieścić w wydzielonym specjalnie lazarecie w jednej z wież, król zdecydował się na wyjazd i rozpoczęto przygotowania.

- A twoje rzeczy? - spytała Janka, gdyśmy popakowali do skrzyń niezbędne statki dla niej i malca.

422

i 3H

Wiele dni szykowałem się do tej rozmowy. Obmyślałem ją na wszelkie sposoby, a gdy przyszło do tego, miałem w głowie zupełną pustkę. Przełknąłem ślinę i rzekłem:

- Ja nie jadę.

Wpierw nie zrozumiała.

- Jak to: nie jedziesz?

- Po prostu. Zostaję.

- Nie możesz.

- Nie chcę. Ale muszę.

- To nie ma sensu!

- Ma. Jak nic innego.

- Co ty sobie imaginujesz? Całego miasta i tak nie uratujesz. Nie jesteś wszechmogący.

- Wiem. Ale zrobię, ile się da. W mieście z medyków i fizyków został jeden Fox i już nie daje rady, a najgorsze dopiero przed nami.

- Chcesz się poświęcić dla ludzkości? Tedy przypominam ci o twojej powinności wobec Kacpra juniora, jeśli moja osoba dla ciebie nic nie znaczy.

- Nigdy bym was dobrowolnie nie zostawił, wierzaj mi.

- To dlaczego nie pojedziesz z nami? Nic nie pojmuję. Przeczysz sam sobie.

- Ja umieram, Janeczko. Już niewiele życia mi zostało i chciałbym z tej resztki zrobić jakiś pożytek.

- Co ty opowiadasz!?

Powtórzyłem jej, co orzekł Syreniusz.

- Jeśli mi nie wierzysz, możesz go sama zapytać. Łudziłem się do niedawna, że nie sprawdzi się najgorsza możliwość, że organizm poradzi sobie z intruzem. Lecz kilka dni temu miałem sygnał, że tak się nie stało. Przekłęty odłamek dał o sobie znać. Teraz albo przebiję naczynia wieńcowe, albo zaropieje. I żadna operacja nie pomoże, bo nawet nie wiadomo, gdzie go szukać. To kwestia godzin, może dni, najwyżej tygodni.

Usiadła na łóżku z wrażenia. Była blada jak całun i bliska omdlenia.

- Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?

- Nie chciałem cię martwić. A poza tym miałem nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby.

423

Żar

Wyciągnęła rękę, ujęła moją i pociągnęła lekko. Usiadłem obok niej i objęliśmy się ciasno.

- Nie mogę w to uwierzyć! To nie może być prawda! To nie mogło się przydarzyć! Nie nam!

- Ale zdarzyło i nic na to nie poradzimy.

- Skoro tak niewiele czasu nam zostało, tym bardziej nie powinniśmy się rozstawać - chlupnęła. - Jeśli ty nie możesz jechać, tedy i ja zostanę.

- Nie ma mowy.

- Tak postanowiłam i tak będzie.

- Musisz jechać. Dla dobra Kacperka. Co prawda im człowiek młodszy, tym rosną jego szanse na przeżycie zarazy, a dzieci do lat sześciu umiera mniej niż połowa. Ale lepiej nie kusić losu. Świadomość, że traficie w bezpieczne miejsce, ulży także mnie. Poza tym będziecie mieli do dyspozycji Bucellę, a słyszałem, że królowa szwedzka zabiera ze sobą Syreniusza.

- Nikt nam ciebie nie zastąpi - powiedziała i rozryczała się na dobre.

Tej nocy, naszej ostatniej, nie kochaliśmy się. Ani nawet nie rozmawialiśmy, choć nie zmrużyliśmy oka. Janka, wtulona we mnie, cały czas płakała. Jednak rano starała się wyglądać zwyczajnie. Jakby pogodziła się z losem, acz wiedziałem, że tak nie było. To także nas łączyło - nigdy się nie poddawaliśmy. Zdobyła się nawet na coś w rodzaju uśmiechu. Śniadanie zjedliśmy we trójkę, przez okno obserwując, jak na dziedzińcu uwijali się słudzy i hajducy, zaprzęgając konie do ładownych wozów i karet i znosząc do nich skrzynie, sakwy i pakunki. Kiedy pojawili się pierwsi dworzanie, powiedziałem:

- Musicie się zbierać.

Janka uprzedziła juniora, że z nimi nie pojedę, ale nie wydawał się tym zbytnio przejęty, ponieważ podniecała go myśl o dalekiej podróży. Pierwszej w jego krótkim życiu.

- Jakiego konia dla mnie wybraliście?

- Żadnego - odparłem. - Pojedziesz z mamą kolasą jak król. To znacznie wygodniejsze. A konno jeszcze się najeździsz.

Mimo wszystko wyglądał na nieco rozczarowanego, ponieważ niedawno na jarmarku świętojańskim w Kazimierzu kupiliśmy mu konia na biegunach, zdążył go już zajeździć i uważał się za znakomitego jeźdźca.

424

- Chciałem kupić ci na drogę jakąś zabawkę, lecz smatruz był zamknięty. Za to dostaniesz to. - Podąłem mu skórzany futerał z cenną zawartością.

- Teleskop Gustawa! - wykrzyknął z zachwytem, zaglądając do środka.

- Jest twój. Takie było życzenie Gustawa. Miałeś go dostać, gdy dorośniesz, ale jesteś już duży i ufam, że go nie uszkodzisz, kiedy będziesz przez okno karety podziwiał okolicę i wypatrywał zbójców, żeby ostrzec króla...

Oczy mu błysnęły na myśl, że może zostać bohaterem.

- ... Lecz stawiam jeden warunek: przede wszystkim musisz troszczyć się o matkę. Od teraz ty jesteś jej opiekunem.

Aż urósł z dumy, a Janka odwróciła głowę, by otrzeć łzy.

- Dobrze - odparł i rzucił mi się na szyję.

Po czym zajął się obserwacją dziedzińca za pomocą teleskopu.

- Nie płacz. - Przytuliłem Jankę i pocałowaliśmy się tak, jak jeszcze nigdy.

- Nie wyznałeś mi dotąd, że mnie miłujesz - wypomniała, kiedy odzyskała dech.

- Coś podobnego! Szkoda, że musicie już iść. Ale obiecuję, że uczynię to, kiedy spotkamy się następnym razem. Miałem sen, że tak się stanie. Dlatego nie ma pośpiechu.

- Naprawdę? Zatem jest nadzieja?

- Oczywiście, głuptasie - skłamałem, bo tak było łatwiej się rozstać.

Co do snu, to istotnie miałem taki, tyle że nie wierzyłem w żadne wieszczce sny.

- Wrócimy tak szybko, jak to będzie możliwe - obiecała z pojaśniałym nagle, najpiękniejszym na świecie licem. - A ty obiecaj, że na nas zaczekasz.

- Verbum nobile

Odprowadziłem ich do kolasy. Potem pożegnałem się ze wszystkimi znajomymi, od króla poczynając, a najserdeczniej z Wojtaszkiem Długorajem i księdzem Skargą, który nie chciał opuszczać swoich biedaków, kiedy najbardziej go potrzebowali, ale musiał się zastosować do woli króla, a ten chciał go mieć przy sobie.

1 Verbum nobile (lac.) - słowo szlachcica.

425

X

- Pamiętaj waszmość o listach - przypomniał mi król. - W razie potrzeby zgłoś się do imię podstarościego, którego uprzedziliśmy, żeby udzielił ci wszelkiej możliwej pomocy.

- Nie zapomnę, wasza królewska mość. Jedźcie spokojnie i bądźcie dobrej myśli.

Zaczekałem, aż długi szereg pojazdów i jeźdźców opuści Wawel, po czym poszedłem się spakować. Jeszcze tego samego dnia przeprowadziłem się do gospody „U Balcera”. Niziołek, który odesłał rodzinę, niezwykle uradował się na mój widok. Dopiero po jakimś czasie zorientowałem się, że jego serdeczność wynikała nie tylko ze starej дружбы, ale przede wszystkim strachu. Olbrzym, do niedawna nieustraszony wobec ludzi, a lękający się jedynie duchów i czarów, panicznie bał się zarazy. Do tego stopnia, że choć nie musiał, zamknął gospodę na głucho, odesłał służbę i w ogóle nie wychodził z domu, korzystając z zapasów nagromadzonych w loszku. Mnie uważał niemal za cudotwórcę i sądził, że moja obecność gwarantuje mu ochronę przed morem. I nawet to, że codziennie wychodziłem i stykałem się z chorymi, zupełnie mu nie przeszkadzało, ponieważ nie wierzył, bym mógł się zarazić. Zatem i on czuł się bezpiecznie.

Pomagał mi nawet co rano odziać się w ubiór chroniący przed kontagionami przenoszonymi przez miazmaty, to jest zepsute powietrze, i wnikającymi porami skóry w głąb ciała. Dlatego zarażenie nazywano zachwyceniem powietrza. Co prawda pater Roch zauważył kiedyś, że na czarną śmierć zapadła osoba, którą wcześniej pogryzły pchły, gdy odszczurzała sklep. Zaniedługo, dokładnie w miejscach ukąszeń, pojawiły się martwicze, czerniejące krosty zwane krostami morowymi, znamionami lub carbone. Kilka dni potem w okolicy węzłów chłonnych: na szyi, pod pachami i w pachwinach, wystąpiły czarne guzy, czyli dymienice i pacjent zmarł przed upływem dziesięciu dni od wystąpienia pierwszych objawów.

Niezupełnie zgadzało się to z teorią kontagionów. Jednak z drugiej strony mors nigra miała trojaką postać. Oprócz dymienicz-nej alias gruczołowej, zwanej anguinaia, którą przeżywało dwóch na dziesięciu zapowietrzonych, była także krwotoczna i płucna.

1 Dżumę wywołuje pałeczka bakterii *Yersinia pestis*, atakująca gryzonie i pasożytujące na nich pchły, które z kolei zarażają ludzi.

426

Tą ostatnią zarażali kaslający chorzy i wówczas nie było ratunku: krwioplucie, duszności, sinica i nieuchronna śmierć z powodu wstrząsu i duszności. To głównie przed nią mógł ochronić odpowiedni ubiór: długa szata, kaptur ze szczelną maską z wprawionymi szklami na oczy i dziobem wypełnionym wonnościami (z pewnością chroniącymi przed jednym - nieznośnym fetorem zwłok) oraz rękawice, a całość obsypana siarką. Dlatego tak starannie z pomocą Niziołka celebrowałem ubieranie się do pracy, wcześniej dokładnie oglądając nasze nagie ciała, czy nie mamy zmian skórnych, a po powrocie natychmiast brałem gorącą kąpiel w balneoli. Niziołkowi nakazałem sprzedać wszystkie hodowane na zadzi zwierzęta, a gotową żywność przenieść w miejsce niedostępne dla gryzoni.

Podzieliliśmy się z Foksem pracą w ten sposób, że on zajął się chorymi intra muros, ja zaś, o ćwierć wieku młodszy i mimo wszystko sprawniejszy, przejąłem pieczę nad szpitalem Świętych Sebastiana i Rocha, dawnym leprozorium przy kościele Świętego Walentego¹ na Kleparzu, nieszczęśnikami osadzonymi na wyspach rozlewiska, jakim okresowo stawała się spora część błonia zwierzynieckiego, a przede wszystkim lazaretem pod chmurką w Swoszowicach. Oddalone tylko o milę od Krakowa okazały się idealnym miejscem dla zapowietrzonych oraz zdrowych krakowian, którzy ciągnęli tam tłumnie. . Woń siarki w pierwszej chwili zapierała dech, z czasem można się było do niej przyzwycząić jak do wszystkiego innego. Okolice kopalń siarki i siarczanych cieplic zamieniły się w tym czasie w prawie, acz prowizoryczne miasteczko namiotowe. Chorzy byli oddzieleni od zdrowych przez strażników. Pośród zdrowych przypadków zachorowań było zadziwiająco mało, a i pośród zarażonych nadzwyczaj często zdarzały się przypadki wyzdrowień, i to nawet w ciągu dwudziestu czterech godzin! Może dlatego, że staraliśmy się kierować do Swoszowic głównie tych, których plamy i guzy były barwy czerwonej, a nie czarnej, ci bowiem rokowali lepiej.

W mieście tymczasem działały się sceny tyleż z Dantego, co z Dekameronu jego rodaka Boccaccia. „Wypędzacz ubóstwa” zawzięcie polowali na nędzarzy kryjących się w przeróżnych zakamarkach i opuszczonych domach, zakapturzeni grabarze i ich pomocnicy, dzwonkiem lub głosem uprzedzający przechodniów

1 Już nieistniejący.

427

0 swoim zbliżaniu, w czarnych płóciennych opończach z wielkimi białymi krzyżami naszytymi na piersiach i plecach oraz mniejszymi znakami instar palae¹, codziennie wynosili z domów

1 zbierali z ulic trupy o ohydnie wzdętych i poczerniałych ciałach, bez certacji wywlekając bosakami zwłoki z trudno dostępnych miejsc, ponieważ prostaczkowie wierzyli, że zagrzebanie po szyję w gnoju ich uzdrowi.

- Jest coś do zabrania!?! - Makabryczny okrzyk grabarzy łomoczących do zabitych drzwi mroził krew w żyłach.

Wywożące ciała za miasto wozy ze swoim koszmarnym ładunkiem, śmierdzącym rozkładem i łajnem, co rusz wybijały na burku śmiertelne werble, głosząc ponure memento. Na rozpalanych na ulicach i placach ogniskach palono odzież i pościel należącą do zmarłych. Nic jednak nie pomagało na czarną śmierć. Ani, zalecane przez Aleksego Pedemontanę i naszego Marcina Siennika w jego Herbarzu², oczyszczenie głowy i żołądka ze złych i zbytnej wilgotności dzięki środkom przeczyszczającym i upuszczaniu krwi, zażywanie teriaku z winem lub gorzałką z dodatkiem moczu niewinnego chłopięcego oseska, ani terra sigillata³ czyli „glinka ormiańska” pita z białym winem, ani płynne złoto, aurum potabile, nie mówiąc o orzechach włoskich i figach. Nie pomagał też ocet siedmiu złodziei (ocet winny, w którym przez dwanaście dni moczył się piołun, ruta, rozmaryn, szalwia i drugie zioła), wedle legendy wykonany przez siedmiu łotrów przyłapanych na okradaniu zmarłych na zarazę, ani mitrydat (rzekomo uniwersalna odtrutka z różnych jądów w minimalnych ilościach zmieszanych w miodzie lub syropie), mirra (wonna żywica), nawet cudowna driakiew alias teriak, przykładany do dymienia i wybroczyn, ani przecinanie ropni, wyciskanie ich, przyżeganie rozpalonym żelazem, stawianie ciętych baniek, przykładanie pijawek, okładanie cebulą, rozłupaniem gołębiem, płucem zabitego psa czy suszoną na słońcu żabą, by wyciągnąć szkodliwą wilgoć. Nie mówiąc o zażywaniu pocziwego czosnku - „teriaku ubogich”, picciu na

1 Instar palae (lac.) - w postaci łopat.

2 Kraków 1568; do swego zielnika Siennik włączył też (we własnym tłumaczeniu) wydane w Wenecji w 1555 r. Sekrety Aleksego z Piemontu.

³ Terra sigillata (lac.) - ziemia pieczętowana lub biała albo ormiańska glinka; kaolin, czyli glinka porcelanowa.

428

czczo moczu lub zakopywaniu się w gnoju. Skutek zawždy był jednaki - kto miał umrzeć, umierał, komu Bóg przeznaczył życie, przeżywał. My, medycy, mogliśmy jedynie samą swoją obecnością dodawać chorym nadziei na wyzdrowienie.

Los tych, którzy nie ulegli zarazie, także był nie do pozazdroszczenia. Ogrom nieszczęścia, choroba i śmierć najbliższych powodowały u nich prostrację, przejawiającą się całkowitym załamaniem, zwątpieniem w sens życia, myślami samobójczymi albo apatią. Widziałem wielu takich, siedzących pod murem w bezruchu, obojętnych na to, co działo się dookoła, z nieobecnyim spojrzeniem obróconym ku sobie i swoim koszmarom. Śmierć zrównywała bogaczy z biedakami, a zaraza w wielu wypadkach weryfikowała ustalone poglądy. Niektórzy zamożni, stateczni i szanowani okazywali zadziwiająca solidarność i współczucie biedakom, drudzy okazywali się tchórzami, nieużytymi sobkami, nieczułymi nawet wobec najbliższych. Niejeden, którego nigdy by o to nie podejrzewano, wykazywał się prawdziwym bohaterstwem, z poświęceniem i nie bacząc na niebezpieczeństwo niosąc bliźnim pomoc, z

innych wylażyły bestie. Widywałem pary gżące się publicznie albo łotrów napadających na przechodniów w biały dzień. Z otwartych jeszcze karczem mimo zakazów dobiegały śmiechy i pijackie wrzaski.

Przechodziłem akurat obok domu, który niedawno się częściowo zawalił i był teraz dla bezpieczeństwa przechodniów rozbierany do fundamentów. Wtem z rumu wynurzyło się dwóch zakurzonych grabarzy z latarkami. Penetrowali zasypane sklepy i jeden natychmiast się porzygał, aż robieńcy zatrudnieni przy rozbiórcie odskoczyli z obrzydzeniem i popatrywali na niego zdumieni. Bo też wydawało się, że grabarzy nic już nie zdoła poruszyć. Ten jednak był tak wstrząśnięty, że mówić nawet nie mógł. Ujrzawszy mnie, jego towarzysz zawołał:

- Doktorze! Pozwólcie sam...

Wziąłem latarkę od wciąż oszołomionego grabarza i zszedłem za przewodnikiem do lochów. W jednym ze sklepów spoczywały cztery trupy. Dwoje dorosłych i dwójka dzieci. Chyba chłopiec i dziewczynka. Chyba, bo oboje byli prawie do kości ogryzieni. I nie

1 Na dzumę skuteczne są jedynie nieznane wtedy antybiotyki oraz przestrzeganie zasad higieny i deratyzacja.

429

uczyniły tego szczury, gdyż na kościach widniały ślady ludzkich zębów. Dotąd tylko słyszałem o wypadkach ludożerstwa wśród tych, do których nie dotarła żadna pomoc, lecz po raz pierwszy zetknąłem się z czymś tak horrendalnym. Co podziało się w głowach tych ludzi? Jak bardzo musieli cierpieć, skoro uczynili coś tak nieludzkiego i przeciwnego naturze?

- Chryste... - jęknął grabarz. - Musiało ich przysypać i odciąć wyjście. Nikt nie usłyszał wołania. Kiedy zabrakło spyży, rodziciele pożarli własne potomstwo, a wcześniej pewno wypili z nich krew. Z martwych czy jeszcze żywych, doktorze?

- Miejmy nadzieję, że przynajmniej pierwsze umarło samo. I tak dzieci miały więcej szczęścia od dorosłych.

Ciała obojga rodziców były potwornie spuchnięte i szerniały. W małym pomieszczeniu panował smród nie do opisanego. Fortunnie maska spełniła swoje zadanie, zaś grabarz miał usta i nos przesłonięte chustką zmoczoną octem. Mimo to z ulgą wyszedłem na powierzchnię. Drugi grabarz już ochłonął i obaj zabrali się do wyciągania zwłok, wprzód poprosiwszy:

- Przyślijcie wóz, jeśli go napotkacie po drodze, doktorze.

Wozu nie spotkałem, lecz natknąłem się na dwóch nowo najętych strażników powietrznych wraz z dwoma „wyganiaczami ubóstwa”, ścigających jakiegoś obszarpańca. Dopadli go i zaczęli okładać kijami.

- Wynocha z miasta, łachmyto!

- To za paskudną gębę. Masz!

- Odechce ci się bawić z nami w kotka i myszkę!
- No już, wstawaj! Idziemy do brony!

Szturchańcami i kopniakami poganiali go w moim kierunku.

- Dziura! - zawołałem. - Gdzieś się podziewał? Wszędzie cię szukam, huncwocie. I co mają znaczyć to porwane odzienie i skorupa brudu? Tarzałeś się w chlewie?

Szarpnąłem go za ramię i wyrwałem z łap pacholków.

- Ale... - któryś próbował protestować.
- To mój pomocnik. Nicpoń, lecz nie mam lepszego. Rusz się, łobuzie. Porachujemy się w domu.

Zostawiliśmy zбитych z pantaląku prześladowców. Popychając przed sobą niewiele mniej zaskoczonego żebraka, dotarłem do gospody „U Balcera”. Przed drzwiami zatrzymałem go i spytałem:

430

- Jakim sposobem udało ci się tak długo uchronić w mieście?
- Ukrywał żem się. Znam wiele sekretnych miejsc. Ale syćcy moi druhowie abo pogineli, abo ostali wypędzeni z miasta, więc żem musiał czasem wychodzić dla zdobycia spyży.
- Zjesz coś, dam ci pieniądze, prowiant na drogę i odprowadzę do bramy, bo następnym razem mogą cię załuc na śmierć.
- Nie! - oświadczył twardo. - Nikaj się nie ruszę wprzódy, nikim się nie dowiem, kto pomordował moich przyjaciołów. Już sporo wim, wždy poczebuje jeszcze kęsek czasu.

No proszę, nie spodziewałem się po nim takiego charakteru i determinacji.

- Wejdz, omówimy to.

Niziołek był bardzo niezadowolony na widok biegusa, lecz uspokoił się trochę, gdy moje badanie wykazało, że Dziura jest zdrowy. Żebrak za nic nie chciał się wykapać i zmienić odzienia, lecz uległ, gdy zagroziłem, że w przeciwnym razie wydam go justycjariuszom. Natychmiast spaliłem jego stare łachmany. Wieczerzę pożarł raczej, niż zjadł, jednak nocować nie chciał, ku wielkiej uldze Niziołka. Mojej zresztą też.

- Mówiłeś, żeś coś odkrył? - przypomniałem mu, gdy się wreszcie nasycił i złopał piwo.
- A jakże! Wybito naszyk, coby zrobić miejsce dla drugik, o wiele gorszyk.
- Zatem w mieście zagnieździło się nowe bractwo żebraków, frantów i furów?

- Gorzej. Takoz morderzy. Król Żebraków nigdy nie zezwalał na takowe rozpasanie, do jakiego posuwaj o sie te nowe, bo i nie mógł se na to pozwolić.

- A nowi mogą? Co to za jedni?

- Sługi miejskie.

- Którzy?

- Rozmaite. Strażniki, ceklarze, grabarze, wyganiacze ubóstwa. Zwłaszcza ci, któryk najęto w czas moru, gdy nikt nie garnął sie do służby. Najgorsi złoczyńcy z drugik miast, abo grasanty wprost z gościńca. Niektóre aże ze Szląska, niedobitki owej ordy, co to ją imć starosta rozbił nad Promnikiem. Nie brak byłyk żołnierzów, wałęsajacyk sie jeszcze od wojen moskiewskich za poprzedniego pana. Szukajo roboty, a najlepiej znajo sie na zabijaniu i nie majo

431

skrupułów. Nocami włamuj o sie do sklepów i składów, nawet miej-skik, morduj o po domach zapowietrzonyk bogaczów, co szybko umrzeć nie kco, bioro, co kco, a rano udaj o, że szukajo sprawców mordów i łupiestwa. Czasem łapio kogoś takiego jak ja, oskarżajo, torturami zmuszajo do przyznania sie i raz-dwa traco na kabacie.

- Skąd to wiesz?

- Ludziska gadajo. W szynkak i na ulicy. Ale po cichu, bo sie bojo.

- Kto jest hersztem tych łotrów?

- Jeszcze nie wiem, lecz sie dowiem. Dlatego musze już isć, bo one takoz o ćmoku wychodzo na łów.

- Postaraj sie przeżyć tę noc i następne, bo naprawdę potrzebuję pomocnika, a ty jesteś mi coś winien. Rano chcę cię sam widzieć.

- Kiedyś musze spać. W południe odszukam waszo wiel-możność.

- Zgoda.

Poszedł sobie, a zmartwiony Niziołek powiedzial:

- Jeżeli to prawda, co ten łotrzyk powiada, tedy mamy w mieście dwie plagi. Nie wiada, która gorsza.

- To prawda. Załóż dodatkowe wrzeciądze na drzwi i trzymaj broń w gotowości. Wiadomo, że w gospodach zawsze są zapasy spyży i trunków. Mogą kogoś skusić. A teraz daj garniec gorzałki, napijemy sie.

I tak wróciłem do picia. Nie dało sie tego uniknąć. Nie miałem już nic do stracenia, zapicie na śmierć było zaś na pewno lepsze (i o niebo przyjemniejsze) niż skon od zarazy albo zakażenia

krwi. Zresztą wszyscy robiący koło chorych i umarłych tak czynili, inaczej by nie zdzierzyli. Mocne trunki uchodziły przy tym za najskuteczniejszy lek przeciw zarazie i coś było na rzeczy. Odtąd upijałem się regularnie co wieczór. Niziołek przyjmował to wyrozumiale, wedle zalecenia Horatiusa, o którym pewnie nigdy nie słyszał: Ne sis patruus mihi! Rano wylewał mi kubel zimnej wody na głowę i pomagał dojść do siebie. W osobie Dziury niespodziewanie zyskałem dobrego pomocnika. Dotrzymał słowa i odtąd każdego dnia sumiennie stawiał się na rozkazy, pracując

1 Ne sis patruus mihi (łac., Horacy) - nie bądź mi wujem (nie zrzędź, nie gań).

432

I

z oddaniem i bez słowa skargi, jedynie za wyżywienie i możliwość pobytu w mieście. Nie bał się chorych i opiekował się nimi z pieczołowitością, która mnie zadziwiała. Jednocześnie nie ustawał w swojej inwestygacji. Przypuszczałem, że tylko chęć pomszczenia przyjaciół dodawała mu sił, które zdawał się mieć niespożyte, mimo iż prawie nie sypiał. Bardzo mi się przydał, zwłaszcza gdy zostałem jedynym medykiem w mieście.

Stało się to 7 października. Pięć dni wcześniej pod wieczór, jak zwykle to czyniłem po skończonej pracy, zaglądnąłem do Foksa. Leżał na łóżku i nie wyglądał dobrze. Zdjąłem kapelusze i chciałem zdjąć maskę, lecz powstrzymał mnie gestem.

- Dopadła mnie.

Zmartałem. My, lekarze, jakoś nigdy nie zakładaliśmy, że możemy się zarazić, a przynajmniej staraliśmy się o tym nie myśleć. Tymczasem byliśmy narażeni na chorobę tak samo jak inni, a nawet bardziej.

- Jesteście pewni, mistrzu?

- Całkowicie. Leżę tak od południa, bo poczułem się źle, miałem zimną ograżkę i musiałem przerwać obchód. Od razu wiedziałem, że to ona. Po powrocie prawie natychmiast dostałem pałającej gorączki i wzdęcia, ledwo zdążyłem legnąć, nim omdlałem. A teraz okropnie boli mnie głowa, mam kurcze i jestem słaby jak nowo narodzone dziecko. Pomóż mi się pomodlić.

Wyjąłem z kieszeni zapomnianą kartkę i odczytałem na głos ostatnią z pomieszczonych na niej modlitw, ponoć najskuteczniejszą, bo skierowaną do patrona zapowietrzonych, świętego Rocha: „O Lampo świecąca cnotą, o zwierciadło skromności, o podczaszy rosy miłosierdzia, święty Rochu, najdroższy wyznawco Chrystusowy, Ty zaprawdę jesteś apteką ubogich, pocieszycielem smutnych i szczególną ucieczką dla chorych. Proszę Cię więc, święty Ojciec Rochu, przez ową radość serca, jakiej doznałeś, kiedy na głos anielski odczułeś, że zostałeś uwolniony od zarazy, a także przez ów zbawienny znak krzyża, który żywy i rosnący wraz z Tobą nosiłeś w ciele, proszę Cię także przez tę niestrudzoną posługę miłosierdzia, którą pełniłeś dla chorych na zarazę morową, abyś przyszedł z pomocą mnie i wszystkim ufającym

Tobie i pokładającym w Tobie nadzieję i ocalił ich, zachowując od śmiertelnej wrzodowej zarazy...".

433

Obmyłem go i nakarmiłem, lecz zjadł niewiele. Wziąłem od niego klucz i zamknąłem go, wychodząc. Nie dlatego, że mógłby wyjść w tym stanie, na to był zbyt odpowiedzialny, ale żeby nikt nie mógł do niego przyjść po poradę i się zarazić. Zachodziłem do niego odtąd dwa razy dziennie. Był coraz słabszy i miał kolejne objawy: ociężałość umysłu, majaki, mdłości, konwulsje, czkawkę, mętny mocz, suchy język, gwałtowny kaszel i zaczerwienienie oczu. Ale przede wszystkim pod pachami i w pachwinie pojawiły się nabrzmienia, przyjmujące postać bolesnych i miękkich w dotyku jablek albo jajek, potem zaś na rękach, biodrach i gdzie indziej wystąpiły czarne i sine plamy, czyraki i krosty za uszami i kolanami. Owe plamki, guzy (glantes, czyli żołądzie) i bolączki zwano petocjami lub dymienicami. Dzielono je na namiastki albo makuły, czyli plamy skórne, gorsze od nich morówki, czyli wysadzone wrzody oraz najgorsze karbun-kuły - mało swędzące, lecz zawsze śmiertelne czerwone krosteczki.

Niektórzy powiadali, że częściej umierali ludzie tłuści, krwiści, cholerycy, gniewliwi i delikatne niewiasty albo słabe dzieci. Ale to bzdura. Czarna śmierć nie była wybredna i kosiła równo.' Fox był suchy, żyłasty, łagodny i mimo wieku krzepki, a i tak go dopadła. Wpierw jego oddech stał się smrodliwy, co było niechybnym zwiastunem śmierci, potem zaczęły pękać apostema, ropnie, i umarł.

Z pomocą Dziury z desek wziętych z łoża i stołu zbiliśmy skromną trumnę i dopiero wówczas wezwałem grabarzy, aby zabrali ciało, popalili odzież i pościel zmarłego, okadzili wnętrze i zabili dom na czas kontumacji.

Następnego dnia zebrałem wszystkich trzech chirurgów, którzy zostali w mieście i podjęli się doglądania chorych, i najbardziej doświadczonego z nich Jana Kazimierczyka zrobiłem swoim zastępcą. Łącznikiem między nami miał być Dziura w roli mego osobistego gońca. Ponieważ nie miałem już siły biegać tam i nazad, do nich należała opieka nad szpitalami i lazaretami polowymi, ja zaś zająłem się chorymi intra muros. Dwa dni później, mimo rozdzielania pracy i tak niemożliwie skonany, z głową pękającą od przepicia, zwlokłem się z trudem z łożka, by otworzyć drzwi, do których ktoś natarczywie łomotał. Za oknem było jeszcze ciemno.

- Kto tam?

- To ja, wasza łaskawość, Dziura.

Zdjąłem wrzeciądze i odsunąłem rygle.

434

- Mam ik! - zawołał podniecony. - Jest okazja pokwycić łotrów na licu. Odbili deski i zdjęli wrzeciądze z haków, a tera wynoszo z domu co cenniejsze dobroci!

- Gdzie?
- Zara za rogiem, na Tworzyjańskiej1. Kole gospody „U Strasza”.
- Zaczekaj chwilę.

Oplukałem twarz zimną wodą, ubrałem się szybko, zabrałem sztylet, noże, pistolet i latarkę i obudziłem Niziołka, aby zamknął za nami drzwi. Niby też chciał iść, lecz bez przekonania i chętnie dał się przekonać, że ktoś musi pilnować traktierni.

Fołyn Strasz nie ożenił się po raz wtóry po nagłym zgonie żony, ubitej z rusznicy przez szlachcica Morawickiego, który z moją pomocą dał za to głowę. Osierocone dzieci Strasza wychowywała jego siostra, też wdowa, on zaś nadal prowadził karczmę, o tej porze wszak zawartą na głucho. Z sąsiedniej, piętrowej kamienicy czterech zakapturzonych ludzi wyniosło pękate wory, uginając się pod ich ciężarem. Kiedyśmy z Dziurą wychynęli z Kącika, właśnie znikali za rogiem, zmierzając w głąb ulicy Świniej. Nie zamierzałem ich ścigać. Wołałem zaskoczyć dwóch pozostałych, zajętych zakładaniem na powrót wrzeczadźwów, aby ukryć ślady włamania i rabunku. Lecz mimo iż staraliśmy się stąpać cicho, spostrzegli nas i przerwawszy robotę, pierchnęli w kierunku zawartej Brony Floriańskiej.

- Chwataj furów! - wrzasnął Dziura i chciał ich gonić.
- Zostaw - powstrzymałem go. - Wszyscy jeszcze śpią i nikt ci nie pomoże, zarobisz jedynie cios nożem albo kulkę. Dostaniemy ich, nie trap się.

Ponieważ rabusie nie zdążyli zamknąć drzwi, weszliśmy do przestronnej sieni, a z niej schodami na piętro, tak jak prowadziły nas ślady zostawione przez włamywaczy. Cały dom bowiem wysypano siarką i saletrą dla ochrony przed morowym powietrzem, co świadczyło o zamożności właścicieli, bowiem owe środki zapobiegawcze, odkąd okradziono składy miejskie, a dowóz ze Swoszowic nie zaspokajał potrzeb, bardzo zdrożały. Stąpałem z duszą na ramieniu, ponieważ w pośpiechu nie zdążyłem wdziać kostiumu lekarskiego, ani nawet zażyć odrobiny octu z rutą. A jednak, choć

1 Floriańskiej.

435

wilgoć sprawiała, że dało się wyczuć specyficzny zapach siarki, to nie śmierdziało chorobą, jak to zazwyczaj bywało w domach nawiedzonych przez zarazę, niezależnie od tego, jak wiele wonności i specyfików odkażających użyto. Tymczasem w izbach, które oglądaliśmy, powietrze było trochę stęchłe, jak to w zamkniętych pomieszczeniach, ale dobre, a co uderzało, to że były ogołocone ze wszystkiego przedstawiającego jakąkolwiek wartość. Widać rabusie ciężko harowali, może niejedną noc, a zaskoczyliśmy ich na licu, kiedy kończyli dzieło.

Nie natknęliśmy się na nikogo, jakby dom był zupełnie opuszczony. Dopiero w sypialni znaleźliśmy trupa. Była to staruszka z lekko wysadzonymi oczyma i otwartymi ustami, wykrzywionymi w grymasie cierpienia. Leżała na wznak na łożu z baldachimem. Pościel była skotłowana, pierzyna odrzucona na bok. Nieboszczka nie żyła co najmniej od dwóch dni albo więcej i zaczynała się rozkładać. Na chudym ciele, przynajmniej w tych partiach, których nie okrywało nocne gieżło, nie spostrzegłem ani szernień, ani innych oznak zarazy.

- Nie powalił jej mór - zauważył zdumiony Dziura. - Tedy czemu dom zabito na głucho?

- Oto jest pytanie. Zaraz zacznie świtać. Pójdź do ratusza, powołaj się na mnie i sprowadź sam hutmana Trojana. Ale nikogo innego. I nikomu innemu nie mów, o co chodzi.

Pół godziny potem wrócił Dziura, a razem z nim przybył hutman i trzech strażników, w tym Szymon. TYoan stąpał ciężko, stukając grubą laską. Zanim nadeszli, zdążyłem dokonać pewnych spostrzeżeń, dzięki którym szybciej otrzeźwiałem.

- Stara Bartschowa... Wdowa po Hanuszu Bartschu, przysięż-niku. Kiedy umarła? - spytał hutman, długo stojąc wsparty na lasce i dysząc.

- Trudno powiedzieć... Stężenie mięśni niedawno ustąpiło i zaczął się rozkład... Na pewno nie żyje od ponad doby, raczej dwóch. Ergo umarła pozawczorajszej nocy.

Czasem rigor mortis ustawał wcześniej niż przed upływem czterdziestu ośmiu godzin, ale do tego musiałoby być ciepłej, w domu lub na dworze. Tymczasem mieliśmy październik i choć nie padało, to jednak było dość chłodno i wilgotno. Zyskałbym pewność, gdyby tężenie trwało. Wówczas wedle tempa sztywnienia poszczególnych

436

W *

partii mięśni dałoby się czas zgonu określić dość precyzyjnie, a tak mogłem jedynie podać przybliżony termin.

-Jak?

- Raczej nie w sposób naturalny. Powiem więcej, jeśli będę miał lepsze światło.

Skinął na pachółków. Otworzyli okno i wyłamali deski, którymi było zabite od zewnątrz. Razem z orzeźwiająjącym podmuchem wiatru do komnaty wpadły promienie wschodzącego słońca.

- Odsuńcie się. Zasłaniacie mi - upomniałem ich, gdy obstąpili mnie, ciekawie wyciągając szyje.

Moje wstępne ustalenia znalazły potwierdzenie.

- Podejdźcie tu, hutmanie. Widzicie oczy nieboszczki?

- Widzę. Martwe.
- I wpatrzone w podsiębiecie. Rozszerzone źrenice częściowo zakrywają tęczę. Ciecz szklista z ledwo widocznymi popękkanymi naczyniami krwionośnymi tuż pod powierzchnią gałki ocznej. Widzicie zaczerwienienie? To się nazywa wylew podspojówkowy. Założę się, że kość gnykowa w gardle jest złamana, lecz tego nie sposób wykazać bez sekcji.
- I cóż z tego wynika?
- To chyba jasne. Imć Bartschowa została uduszona.

Ani drgnął, mimo iż jego ludzie aż się wzdrygnęli.

- Jesteś pewny?
- Całkowicie. - Naciągnąłem jedną powiekę. - Spójrzcie: błękitnawe powieki w zapadniętych oczodołach, do tego wargi uchylone i ściągnięte nieco wstecz na zaciśniętych zębach jakby w paroksyzmie bólu, nozdrza rozszerzone i z lekkimi zadrapaniami, usta pokaleczone, ślady zębów na górnej wardze. Ktoś przycisnął rękę na jej licu, żeby przerwać oddech. Nieboszczka była stara, wątła i słaba, do tego pogrążona we śnie, jeśli morderca przyszedł nocą. A jednak każdy, choćby najsłabszy lub najgłębiej śpiący, będzie walczył o oddech. Jeżeli coś przyciska mu się do twarzy, musi to wciągnąć wraz z powietrzem, chyba że to rzecz twarda i gładka, lecz taką ciężko kogoś udusić...

Pochyliłem się i latarką zaświeciłem staruszce wprost w rozwarte usta, po czym, wtykając dwa palce między zepsute zęby, sięgnąłem do jamy ustnej.

- Domyślasz się, czym ją uduszono?

437

- Tak. - Pokazałem mu swoje znalezisko.
- Pierze!
- Yhm... - Znow dłużyłem, tym razem w nozdrzu i wydobyłem kolejne delikatne piórko. - Morderz zadławił ją poduszką. Tą.

Leżący przy głowie nieboszczki niewielki jasek miał w poszewce małe rozdarcie, z którego wyłaziło pierze.

- Wystarczyło mocno przycisnąć, wcześniej unieruchomiwszy kończyny ofiary... Jezu!

Właśnie kończyłem rozcinać nocne gieżło zmarłej i obnażać ciało, by dokonać dokładnej prezenty. Było nieprawdopodobnie wychudzone, z zapadniętą piersią i żywotem, widocznymi żebrami i kośćmi rąk i nóg ledwie obciążniętymi skórą.

- O co chodzi? - nie wytrzymał hutman.

- Głodzono ją, bo nie przypuszczam, by w tak zamożnym domu zabrakło jedła. -
Niestety, wielu ubogich chorych nie miało tego szczęścia i głód oraz woda z
zanieczyszczonych studni pochłaniały podczas zarazy prawie tyle ofiar, co czarna śmierć. - A
kiedy mimo to nie chciała umrzeć, wtedy dopiero ją zaduszono. Widzicie te sine pręgi i
krwawe otarcia na nadgarstkach i kostkach stóp? Była przywiązana sznurami do balasek łoża.
Po zabójstwie morderca odciął więzy, żeby zatuszować zbrodnię.

Bestialstwo tego mordu dokonanego z zimną krwią na bezradnej starowinie poruszyło nawet
mnie.

- Co my tu mamy... - zamruczałem, gdyż w zagłębieniu między wysuszonymi piersiami
zobaczyłem osobliwy odcisk.

Oświetliłem go, żeby wszyscy mogli zobaczyć. Miał kształt krzyża z mocno zaznaczonymi
trzema punktami pośrodku i słabiej odbitym zarysem łańcuszka, na którym wisiał.

- Dziwny ten krzyż - zauważył Szymon.

- To karawaka - odparłem. - Nosila go dla ochrony przed morem. I pełnił swoją funkcję.
Nie mógł jej jednak ocalić przed ludzką podłością.

Karawaka, krzyż o dwóch belkach, górnej krótszej, i rozszerzonymi na kształt kielichów
końcami, cieszył się sławą skutecznego talizmanu przed zarazą, odkąd w mieście hiszpańskim
też nazwy ustrzegł od śmierci tych, co się przed nim modlili albo go nosili. Zrobił się dosyć
popularny po wielkiej zarazie w Italii w 1545 roku, kiedy to okazał się wielce pomocny, i
odtąd był

438

przywożony przez pobożnych pielgrzymów także do Polski, choć jeszcze z rzadka. Karawaki
przybierały też formy relikwiarzy albo wielkich krzyży stawianych czasem po wsiach i w
miastach, aby je zaraza omijała.

- Jeżeli znajdziemy karawakę pasującą do odcisku na nieboszczce, mamy morderca.
Nawet jeśli zdążył się jej pozbyć, dojdziemy po nitce do kłębka - stwierdziłem.

- To prawda - przyznał hutman. - Stara nie miała krewnych. Żyła samotnie, nie licząc
dwojga służby, kucharza i pokojowej, też niemłodych. Może to ich sprawka?

- Nie natknęliśmy się na nikogo, ale nie wszędzie sprawdzaliśmy. Może w istocie
gdzieś się skrywają. Żywi lub martwi.

- Myślisz? - Uniósł brew.

- Jeżeli nie maczali palców w zbrodni, tedy musieli zostać usunięci.

Wysłał Szymona i pozostałych, by spenetrowali kamienicę od sklepów po strych, zaglądając
do każdego kąta i każdej skrzyni. Kiedy nikogo nie znaleźli, kazał im sprawdzić podwórze i
szopy na zadzi! Tym razem skutek był lepszy, jeśli wolno tak powiedzieć. Kiedy bowiem

poblądły Szymon wezwał nas na dół, jego towarzysze, znalezionymi w szopie hakami i widłami, wyciągali właśnie ze studni jakieś ciało. Był to mężczyzna z siwą brodą, potwornie napęczniały i cuchnący, w stanie daleko posuniętego rozkładu. Jeden z strażników zwomitował.

- To Józef, kucharz Bartschowej - orzekł ponuro Trojan.
- Ten umarł dużo wcześniej od Bartschowej - stwierdziłem, zatykając nos. - Co najmniej dwa do czterech dni przed nią. Ale też nie zabiła go czarna śmierć. Ktoś ogłuszył nieboraka i wrzucił do studni.
- W studni pływa jeszcze jeden trup - oznajmił Szymon. - Mamy go wydobyć?
- Nie trzeba, to musi być żona Józefa - odparł hutman. - Zostawcie ich grabarzom. Wiemy już wszystko, co trzeba. Słudzy nie zabili i nie okradli starej. Kto zatem zamordował całą trójkę? Kto jako jedyny ma dostęp do zapowietrzonych domów?

Nie fatygowaliśmy się odpowiedzią, która była oczywista: cyrulicy i grabarze.

- Szymek, czyj to rewir?

439

- Starszego nad kopaczami, Bieniasza. - Poskrobał się w głowę. - Teraz sobie przypomniałem, jak jeden z pomocników Bieniasza wspominał przy kielichu, że wywozili kiedyś na cmentarz Świętego Piotra starca, który nie miał na ciele śladów moru. Bieniasz naskoczył wtenczas na tamtego, zwyzywał od ślepych gamoni i kazał siedzieć cicho...

- A co na to oglądacz?

Oglądacze zwłok byli to ludzie stwierdzający śmierć chorego i zezwalający grabarzom na pogrzebanie ciała.

- Pewnie nic. Pił razem z nami i patrzyło na to, że jest w dobrej komitywie z Bieniaszem.
- Pomniesz, jak nazywał się ów starzec?
- Chyba Buchwicz.
- Matys Buchwicz. To by się zgadzało. Też mieszkał przy Floriańskiej, był stary, samotny i bogaty. Weź chłopców i sprowadźcie mi tu duchem Bieniasza. Tylko, chłopcze! Zróbcie to stanowczo, lecz dyskretnie. I ani słowa, co sam zastaliśmy. A jeśli spotkasz któregoś z naszych, ale nie tych nowych, lecz ze starego zaciągu i pewnych, każ im sprawdzić dom Buchwicza. Niech potem zaraz dołączą sam do nas i trzymają gęby na kłódkę.

Kiedy zostaliśmy we trzech, spytałem go:

- Myślicie, hutmanie, że to Bieniasz jest sprawcą?

Było to dość prawdopodobne, ponieważ zdarzało się już, że grabarze kopacze okradali zmarłych zapowietrzonych, bezczęścili ciała i handlowali rzeczami zakażonymi, mimo iż bezwzględnie groziło im za to powieszenie lub ścięcie. Jednak powszechny strach przed zarażeniem i zbliżaniem się do chorych, a także grzebanie zmarłych w zbiorowych mogiłach bez świadków, wzbudzały w niektórych grabarzach poczucie bezkarności i przemożną żądzę dorobienia sobie do i tak niemałych salariów. Ale nigdy dotąd nie zdarzyło się, by mordowali zdrowych i organizowali rabunek na taką skalę, wymagającą współpracy wielu ludzi, w tym także strażników powietrznych, z których dwóch, jeden od przodku, drugi od zadzi, miało obowiązek pilnować domów zapowietrzonych, by nikt się z nich nie wydostał, a chorym dostarczać pożywienia i lekarstw. Zwyczajny grabarz jakoś nie pasował mi do wizerunku człowieka potrafiącego obmyślić i przeprowadzić taki skomplikowany plan.

- Wkrótce się przekonamy.

440

Wróciliśmy na górę. Stary szedł z trudem, ciągnąc za sobą chromą nogę. W sypialni dokonaliśmy następnego odkrycia, które z pier-wotku umknęło naszej uwadze, ponieważ koncentrowaliśmy się na ofierze, poza tym słońce padało pod innym kątem. Pierwszy spostrzegł to Dziura.

- Obaczta, co to!

Wysokie oparcie za wezglowiem łoża było wymazane jakąś substancją, tak samo ściana za nim.

- Nie dotykaj! - ostrzegłem. - Morderca wprzód zabawiał się w mazacza, koniecznie chcąc zarazić staruszkę morem. Dopiero wtedy, gdy to nie poskutkowało, podjął radykalniejsze, ale i bardziej ryzykowne kroki. Gdybyśmy mu nie przeszkodzili zabrać zwłok, z pewnością usunąłby i te ślady swoich poczynań.

Mazaczami zwano niepoczciwych ludzi, zwykle spośród funkcjonariuszy służb powietrznych, którzy ze złośliwości, pustoty lub najczęściej dla zysku, smarowali drzwi domów ropą z dymieniem lub mózganiami i wnętrznościami zmarłych na czarną śmierć (w tym celu rozbijając czaszki i rozpruwając żywoty) lub rozpylali po domach proszek z nich utarty, by przyspieszyć śmierć upatrzonych przez siebie ofiar. Tym, którym udowodniono taki proceder, ucinano ręce i dekapitowano ich bez pardonu.

Znalazłem jeszcze czarną nitkę we włosach staruszki i w tejże chwili usłyszeliśmy rumor w sieni, podzwanianie i tupot wielu nóg na schodach.

- Uwinęliście się - pochwalił stary Szymona, który pierwszy przekroczył próg sypialni.

Za nim do izby weszło trzech grabarzy w czarnych opończach z białymi krzyżami i naszywkami na kształt rydli, a na końcu dwóch ludzi hutmana.

- Akurat szli do pracy, więc nie musieliśmy długo szukać.

- O co chodzi, hutmanie? - donośnym, pewnym siebie głosem zapytał pleczysty grabarz z nosem jak topór kata i czarną brodą, niedbale wywijając białą laską, która podobnie jak dzwonki jego pomocników z daleka ostrzegała zdrowych, by trzymali się od nich z dala. - Mamy huk roboty, jak codzień.

- Umarli mogą poczekać. A my musimy pogadać.

- Byle szybko. Co chcecie wiedzieć?

- Tyś jest Bieniasz?

441

- Jam jest.

- Czy ulica Floriańska to wasz rewir?

- Jak cały wiertel rzeźniczy.

- Zatem ten dom także tobie podlega?

- Tak. Właśnie się sam wybieraliśmy.

- Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

- Powód zawsze jest jednaki: po trupy. Pozawczoraj zgłoszono nam, że z domu nikt nie odpowiada na wołanie i stukanie. Ale wczoraj mieliśmy za dużo roboty gdzie indziej, dlatego tutejsi zmarli musieli poczekać.

- Kto wam zgłosił?

- Stróże, którzy sam warowali. Któż by inny? Nie znam ich, tylu teraz nowych podjęto do pilnowania domów zapowietrzonych, nie zawsze solidnych... A co, podnieśli fałszywy raban? Toć widzę trupa - wskazał nieboszczkę.

- Przyjrzyj się jej lepiej.

Przybliżył się i pochylił nad zmarłą.

- Triip jak trup. Na oko najmniej dwudniowy.

- Znacie ją?

- Pierwszy raz widzę na oczy.

- Ale potraficie poznać, jak umarła?

W oczach grabarza błysnęło zdumienie. Jeśli udawał, robił to bardzo dobrze. Zsunął z głowy kaptur i podrapał się w skołtunioną głowę.

- Na pewno nie na czarną śmierć - oświadczył. - Chyba po prostu ze starości i wycieńczenia.

- Obecny tu doktor Hiropoński dowodnie wykazał, że została uduszona. A wprzód była związana i morzona głodem.

Nic niemówiący wzrok prześliznął się po mnie obojętnie.

- Skoro pan Hiropoński tak twierdzi, tedy tak musi być. Nadal nie pojmuję, po co mnie sam sprowadzono. Ja mam uprzątać nieżywych, a nie dociekać, na co zmarli i za czym sprawą, boską zali ludzką.

- Zatem nie macie nic wspólnego ani z tą ohydą zbrodnią, ani z dwoma trupami znalezionymi w studni na podwórzu, ani z ogołoceniem domu ze wszystkich cennych sprzętów, ani z ludźmi, którzy to zrobili i o mało przed świtem nie zostali przez doktora Hiropońskiego pochwyteni na licu?

442

- Pierwsze słyszę. Oczywiście, że nie. Po co miałbym to robić? Na zarobek nie narzekam. Jeśli dożyję, podejmę dodatkową nagrodę, a na razie chyba jeno ptasiego mleka mi brakuje.

Jego spokój był imponujący. Bronił się dobrze, odpowiadał do-rzecznie. To prawda, że podczas zarazy grabarzom powodziło się doskonale. Nie tak jak cyrulikom i lekarzom, lecz i tak nie mogli narzekać. Zarabiali do piętnastu groszy tygodniowo, zaś starsi nad kopaczami, jak Bieniasz, pewnie ze dwa razy tyle, do tego dochodziło kilka groszy od każdego pogrzebanego zapowietrzonego nędzarza, za którego pochówek płaciło miasto. Nadto, ponieważ musieli być izolowani od zdrowych mieszkańców, ratusz wynajmował dla nich osobny dom razem z kucharką i posługaczkami, otrzymywali darmową odzież, obuwie, leki i żywność, a także gorzałkę w sporych ilościach. Zwalniano ich także ze świadczeń na rzecz miasta. Słowem: żyć, nie umierać, o ile oczywiście ktoś lubił tę profesję i hazard z nią związany.

Hutman był stropiony dotychczasowym fiaskiem swojej indagacji, lecz jeszcze się nie poddawał.

- Tak czy siak, mój Bieniaszu, ktoś kazał zabić ten dom na głucho, mimo iż nie zagościła w nim zaraza. Kto?

Znów wzruszenie ramion, tym razem wyraźnie lekceważące. Pewność siebie Bieniasza, miast maleć, wciąż rosła.

- Pewnie pan burmistrz na wniosek doktora Foksa albo mistrza Jędrzejkiewicza wydał decyzję, a kamieniarze i mularze wprawili wrzeczadze.

- A kiedy to się stało?

- Nie pamiętam.

- Równo przed tygodniem - po raz pierwszy odezwał się jeden z pozostałych kopaczy, pomocników Bieniasza.
- Zgadza się - potwierdził Szymon. - Miałem wtedy służbę i przechodziłem tędy. Teraz sobie przypominam.
- Widzicie więc, hutmanie, że wypytujecie niewłaściwego człeka. - Bieniasz rozłożył ręce.
- Jędrzejkiewicza dużo wcześniej zasztyletowano na ulicy, więc to nie on poświadczył zarazę w tym domu - przytomnie zauważył hutman.
- Tydzień temu doktor Fox był już chory i nie wychodził ze swojej kwatery - wtrąciłem.

443

- Bardzo dogodnie. Obaj nie żyją i nie mogą się bronić - sarknął TYojan.
- Tak czy owak, to nie moja rzecz, co wykazałem równie dowodnie jak doktor Hiropoński sprawczynę zgonu tej starowiny. Jeśli nie macie więcej pytań, hutmanie, tedy pozwólcie nam wracać do pracy. Marnujemy tylko czas.

Tym razem w czarnych, zmrużonych oczach bez żadnych du-biów załśniła drwina, a wąskie usta wykrzywił szyderyczy uśmiezek. Trojan w poczuciu bezradności zaciskał tylko szczęki i garści. Targała nim bezsilna złość, bo nie dostawało konceptu, jak dalej prowadzić inwestygację.

- Jedna chwila, mój Bieniaszu - przejąłem inicjatywę. - Jeśli pozwolisz...

Zanim zdążył zareagować, pochwyciłem go pod szyją za opończę, przy okazji nieco ją rozchylając i wysuplując pojedynczą nić. Wyjąłem drugą ze schowka za pazuchą, ująłem każdą w dwa palce obu dłoni i uniosłem ku światłu.

- Spójrzcie wszyscy - obwieściłem. - Tę drugą wyjąłem z włosów zadławionej. Zostawił ją morderca. Są identyczne. Obie czarne, obie lniane, ergo... - zawiesiłem dramatycznie głos.

Równie błyskawicznym ruchem jak mój, Bieniasz sięgnął do kapy jednego ze swych pomocników, szarpnął i po chwili trzymał w brudnych palcach trzecią nić. Przystawił ją do moich i zawołał kpiąco:

- A tu macie trzecią, też czarną i lnianą. I co wy na to, doktorze? Wasz dowód jest niewart funta kłaków!

A jednak udało mi się go wreszcie poruszyć, a tylko o to mi szło. I kiedy napawał się swoim tryumfem, zadałem cios.

- Wybaczcie, Bieniaszu, lecz zauważyłem na waszej szyi jakąś błyskotkę. Możecie nam pokazać to cacko?

W jednej chwili grabarz stracił swoje opanowanie. Ślepią błysnęły nieskrywaną już nienawiścią, obnażył zęby i jego gęba przyjęła wyraz wilczego pyska. I to wilka schwytanego w potrzask. Zdolnego do wszystkiego. Dłonie mu drgnęły i zacisnęły na białej lasce. Zrobił ruch, jakby chciał ją unieść do ciosu. Ale hutman był czujny, a przede wszystkim nareszcie zwęszył szansę na przygwożdżenie głównego podejrzanego, który dotąd grał mu na nosie. W mgnieniu oka ze swej grubej laski, w istocie będącej granatem, wyszarpnął długie ostrze i przystawił grabarzowi do gardła.

444

- Ani drgnij. I rób grzecznie, o co proszą.

Dał znak Szymonowi, który przytknął Bieniaszowi strzelbę do pleców. Pozostałe draby pilnowały dwóch kopaczy, przerażonych obrotem sprawy. Bez słowa wyciągnąłem otwartą dłoń. Bieniasz wściekłym gestem zdjął z szyi zawieszony na łańcuszku klejnot i rzucił mi. Złapałem w locie i zawiesiłem sobie na palcu. Hutman złożył laskę w całość i podszedł do mnie.

- Karawaka!

- Tak. Z czystego złota, tak jak i łańcuszek. A tu, między wyrytymi buksztabami, widzicie wprawione trzy rubiny... Te same, które odcisnęły się na ciele Bartschowej. Podczas szamotaniny karawaka musiała się obrócić wierzchem do spodu...

- Nie wiem, o co wam idzie - przerwał mi Bieniasz gwałtownie. - To cacko dał mi pan Buchwicz, zanim umarł, abym go w zamian godnie pogrzebał. Mam na to isćców.

Obejrzał się na kompanów, którzy niepewnie pokiwali głowami. Twardy był z niego łotr. Walczył do końca. Niby nie dziwota, bo stawką była szyja, lecz niejednen na jego miejscu i w obliczu nieodpartych dowodów, dawno dałby za wygraną. Wystarczyło wszak spojrzeć na kwadratową szczękę, złe oczy i zaciśnięte usta, by wiedzieć, że będzie się wypierał wszystkiego nawet pod szafotem.

Trojan wziął ode mnie karawakę i położył na ciele ofiary.

- Pasuje idealnie. Nie ma żadnego dubium. Nieboszczka sama wskazała swego zabójcę.

- I co z tego? Widać babcia miała taki sam krzyż jak pan Buchwicz! - zuchwale rzucił Bieniasz.

- Sprawdźmy to. Wypytamy sąsiadów i znajomych zarówno Bartschowej, jak i Buchwicza. Ale przede wszystkim weźmiemy na spytki ciebie i twoich ludzi. Szymek! Zabierzcie ich do kabatów. Niech mistrz sprawiedliwości natychmiast się nimi zajmie. Ja niedługo do niego dołączę. I jeszcze jedno. Jeśli spróbują uciekać, zabijcie ich bez wahania jak wściekłe psy. Potem znajdź innych grabarzy i przyślij ich sam po ciała.

Nawet wychodząc pod strażą i wiedząc, co go czeka, Bieniasz nie tracił rezonu, choć jego kompani dygotali ze strachu i z płaczem zapewniali, że są niewinni. Natomiast Bieniasz pożegnał nas długim spojrzeniem, jakby chciał sobie dobrze wryć

445

w pamięci nasze twarze na wieczność. Kiedy zostaliśmy sami, Trojan powiedział:

- Znów się spisałeś, Kacper. Może za wcześniej zrezygnowałeś z inwestycji?
- Miałem furę szczęścia. A z inwestycją już koniec. Jestem do niczego. Ledwo łączę, z trudem radzę sobie z chorymi.

Czknęło mi się. Niuchnął i spojrzał na mnie dziwnie.

- Pijesz? To nic nie da. Wiem, co mówię. Moich turbacji gorzałka nie rozwiązała.
- Moje rozwiązuje wybornie.

Wzruszył ramionami.

- Więc mi nie pomożesz? Szkoda. Wolisz się rozczulać nad sobą, twoja sprawa. Bieniasz jest winny jak diabli, ale nie on to wszystko obmyślił. Obaj wiemy, że zapewne to człowiek Grota, który teraz jest w mieście najwyższą i jedyną władzą. Dlatego Bieniasz był tak pewny siebie. Wierzy, że ujdzie mu to na sucho, bo ma możnego protektora. Ale przeliczą się obaj. A swoją drogą, skąd wiedziałeś, że Bieniasz nie pozbył się karawaki albo jej nie ukrył lub nie oddał do podziału?

- Bo była zbyt piękna i cenna, spodobała mu się i skusiła go, więc zatrzymał ją dla siebie. A może słyszał o cudownych właściwościach karawaki i uznał, że w jego fachu przyda mu się jak mało co i komu? Miałem cichą nadzieję, że tak się stanie. Dlatego gdy ściągnął kaptur i pod szyją błysnęło złoto, byłem prawie pewien swego. Ale dobrze się bronił, łotr. Co będzie, jeśli nie znajdziecie isćców, którzy widzieli karawakę u staruszki, a nie widzieli u Buchwicza, zaś Bieniasz się nie przyzna?

- Przyzna, już moja w tym głowa - odparł z zawziętą miną, którą rzadko u niego oglądałem. - Dotąd grali ze mną jak kot z myszą, teraz zmuszę ich, by zatańczyli, jak ja im zagram, najlepiej na szubienicy. Obojętnie, kim się okażą.

Zeszliśmy wolno na dół, dwóch kuternogów pomagających sobie wzajem. Pożegnaliśmy się i każdy miał pójść do swojej roboty, gdy nadbiegło dwóch strażników miejskich.

- Dobrze, że was widzimy, hutmanie. Szymon powiadał, że was sam zastaniemy.
- To wy mieliście sprawdzić dom Buchwicza?
- My.
- I co znaleźliście?

- Nic. Dosłownie. Dom został wyczyszczony ze wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość, choć wciąż był zabity, a wrzeciędzie na drzwiach nienaruszone. Musieliśmy wzywać śło-sarza. I jeszcze coś. W nocy wykradzono strzelby i prochy z cekhauzu miejskiego¹, ostały jeno armaty. Podhutmani Szarski już tam jest i bada, jak do tego doszło...

- Jeszcze i to! Wróćcie tam i rzeknijcie Szarskiemu, żeby stawiał się na ratuszu, zaraz jak skończy badanie. Znajdzie mnie w męczennicy. Być może jeszcze dziś dowiemy się, kto za to wszystko odpowiada.

Poszliśmy z Dziurą do gospody na śniadanie i by zdać relację z wypadków ciekawemu nowin Niziołkowi. Potem zatrzymałem przy sobie Dziurę, bo z powodu niewyspania czułem się jeszcze słabszy niż zazwyczaj. Obchód także zakończyłem wcześniej i z niewypowiedzianą ulgą zrzuciłem strój lekarski oraz wziąłem gorącą kąpiel, a potem zmusiłem do ablucji mego pomocnika, który wciąż nie mógł do tego przywyknąć.

- Jak myśłita, panie, zali hutman zdoła przymusić Bieniasza do gadania? - spytał przy wieczerzy.

- Na pewno.

- I dojdzie, kto rozbił nasze bractwo, ubił Króla Żebraków, Kubraka i drugik?

- Być może. Ale nie myślę, aby akurat tym trapił się najbardziej. Zresztą wątpię, by była to robota Bieniasza.

- A czyja?

- Za wcześnie o tym wyrokować. Po zeznaniach grabarzy będziemy mądrzejsi. Przynajmniej mam taką nadzieję.

- Kacper, może wystarczy - nieśmiało napomknął Niziołek, kiedy wlewałem w siebie drugi kubek gorzałki.

- Daj pokój, dzień już się skończył, a do jutra będę jak nowy.

Przeliczyłem się, i to dubeltowo, bo oto posiłek przerwało nam

łomotanie do drzwi i wołanie:

- Doktorze! To ja, Szymon! Wpuśćcie mnie! Nieszczęście!

Kiedy Niziołek otworzył mu drzwi, wpadł do środka z obłędem

w oczach i zapłakany licem.

¹ Zbudowany w XVI w. przez Gabriela Słońskiego (Słoninkę) niedaleko Bramy Floriańskiej, dziś część Muzeum Czartoryskich.

- Co się stało?

Długo szlochał, nie mogąc się uspokoić, wreszcie wystękał:

- Hutman... Hutman Ttojan nie żyje!

Zamarliśmy.

- Jak to się stało? - spytałem, oszołomiony po równo trunkiem i hiobową nowiną.

- Nie wiem... Podhutmani i burmistrz nikogo do niego nie dopuścili okrom małodobrego. Ale pośród pacholków już się to roz-niosło... Starzy się smucą, bo sprawiedliwy był człek, choć surowy, lecz nowi w głos radują...

- Masz, napij się, to ci dobrze zrobi. - Podałem mu kubek gorzałki, którą wychylił jednym haustem. - A teraz chodźmy. Wy zaś -zwróciłem się do Niziołka i Dziury - nie ruszajcie się stąd na krok i pilnujcie domu.

Przed wejściem do ratusza odprawiłem Szymona.

- Idź spać. Lepiej dla ciebie, by nas razem nie widziano.

Szumiało mi w głowie, z trudem i tylko dzięki lasce zachowywałem równowagę. Strażnicy na odwachu zdziwili się i popatrywali na mnie ciekawie, ale nie czynili mi wstrętów, gdy powiedziałem, po co przyszedłem, i jeden z nich sprowadził mnie do lochów, gdzie zastałem wymienioną przez Szymona trójcę, zatopioną w ożywionej rozmowie, którą na mój widok nagle przerwali.

- Patrzcie, państwo, kogo sam licha przyniosło - powitał mnie Grot z wyraźnym niezadowoleniem. - Czego chcesz? Nikt cię nie wzywał.

- Wiem, co sam się stało.

- Ciekawe skąd?

- Gołąb mi wygruchał.

- Już ja znajdę tego ptaszka, co zbyt dębem kłapie - warknął Grot z pogroźką w głosie.

- I tak się mnie nie pozbędziesz, więc lepiej od razu pokażcie mi ciało.

Miał ochotę odesłać mnie do diabła, ale nie odważył się. Moja reputacja jeszcze działała, choć zrobiłem wiele, by ją zniszczyć. Jednak mimo że nie przyjąłem od króla Zygmunta serwitariatu na uprawianie profesji prywatnego inwestygatora, mało kto o tym wiedział. Wszyscy zaś pamiętali, że z dobrym skutkiem parałem się tym fachem za trzech poprzednich panów. Rozstąpili się zatem, żebym mógł ujrzeć rozciągnięte na polepie zwłoki. Trojan, mimo

wieku dość tęgi i wciąż krzepki, po śmierci jakby się skurczył. Jedno oko patrzyło martwo w ceglane sklepienie, z drugiego zsunęła się opaska i łyskało podeszłym krwią bielmem. Izba tortur, w której się znajdowaliśmy, była oddzielona kratą od pomieszczenia, gdzie przetrzymywano oskarżonych poddawanych mękom, i dość dobrze oświetlona pochodniami. W ich świetle, przynajmniej na pierwszy rzut oka, nieboszczyk nie miał na ciele żadnej rany. Wciąż nie mogłem uwierzyć, że jeszcze kilka godzin temu kipiał życiem i wolą wyświetlenia prawdy o zbrodniach wstrząsających miastem. Czyżby właśnie to go zgubiło? Brakowało oznak sztywnienia, a ciało jeszcze nie wystygło. Odwróciłem je na bok i wtedy spostrzegłem trochę krwi tam, gdzie spoczywała głowa. Obmacałem ją i znalazłem rozcięcie skóry i wgniecenie w czaszce, na samym jej czubku.

- Ruszaliście ciało?

Tym razem odpowiedział kat, mistrz Matusz Strzelbicki, zwany też Jędrzejem, człowiek niewiele ode mnie starszy, śniady na licu, wąsaty i brodaty, któremu zbiegające się u nasady nosa krzaczaste brwi nadawały groźny wyraz. Tako i wszyscy w mieście bali się go panicznie.

- Tylko trochę, żeby przysunąć go bliżej światła. Ale nic nie dało się już zrobić.

- Co tu się podziało?

- Tego nikt nie wie. Wartownicy powiadają, że hutman zszedł do lochu, wtóry raz tego dnia, by dokończyć przesłuchania Bieniasza. Wracając na górę, musiał pośliznąć się na schodach, upadł i uderzył głową o stopień. Tak to w każdym razie wygląda.

- Was przy tym nie było, mistrzu?

- Nie, skończyłem oprawiać Bieniasza i byłem już w drodze do domu.

Kat mieszkał w baszcie Katowskiej, posadowionej w ciągu murów pomiędzy bronami Szewską a Sławkowską, u wylotu ulicy Rogackiej. Sąsiadowała z basztą Ceklarzy, zamieszkaną przez jego pomocników, zwanych też szargami, oprawcami lub hyclami. Ta partia miasta, między cmentarzem Świętego Szczepana a kościołem Świętego Marka, niezabudowana porządnymi domami i kamienicami, cieszyła się złą sławą. Nikt przyzwoity wolał się tu nie zapuszczać, nie tylko z obawy przed małodobrym i jego ludźmi, których tyle się bano, co nimi pogardzano, ale także dlatego, że było to królestwo hołoty

gnieźdzącej się w szopach i kletach po obu stronach ulicy Psiej, a przede wszystkim kobiet wszetecznych. Prawy kurewski zaułek. Wszystkie tamtejsze zamtuzy podlegały katu, który w zamian za „opiekę” nad małpami pobierał od nich opłaty.

- Ja kazałem zawrócić mistrza - wtrącił Grot. - Jak tylko któryś z drabów, zaniepokojony długą nieobecnością hutmana, znalazł go nieprzytomnego i powiadomił mnie

o wypadku. Brak mi już balwierzy, a na domiar Jędrzejkiewicz dał się zakłuć jakimś hultajowi.

Z racji swego fachu każdy kat poniekąd znalazł się na anatomii, lepiej lub gorzej umiał opatrywać rany przez siebie zadane podczas obcinania uszu czy rąk i w razie potrzeby mógł zastąpić cyrulika. A już Strzelbicki był lepszym anatomem i chirurgiem od niejednego medyka. Świadkiem publicznej lekcji anatomii, jaką mistrz Matusz podczas ćwiartowania skazańca dał zgromadzonym medykom, przy okazji wyszydając ich nieuctwo, był doktor Siennik i opisał to w swoim herbarzu.

- Samiście oprawiali Bieniasza?
- Był przy tym subtortor Smok.
- Gdzie jest teraz?

Wszyscy trzej wymienili błyskawiczne spojrzenia.

- Wyszedł jeszcze wcześniej ode mnie - szybko rzekł kat. - Bieniasz kopnął go w głowę. Opatrzyłem go i odesłałem na kwaterę.

Nie drażyłem kwestii. Uświadomiłem sobie bowiem, jakie głupstwo popełniłem, przychodząc tutaj w pojedynkę. TYzy pary oczu wpatrywały się we mnie z taką intensywnością, że omal czułem, jak wypalają mi dziury w ciele. Wiedziałem, że jeśli wyjdę z tego cało, będzie to granoczyło z cudem. Ttojana nie omyliło przeczucie. To Grot odpowiadał za całe zło, zaraza tylko trochę ułatwiła mu sprawę i dała nowe możliwości. I nie działał sam. Ta dobrana trójca była w zмовie, a ja miałem tylko dwa noże ukryte w butach. Kiedyś może bym sobie z nimi poradził, lecz ten czas minął, choć prawie wytrzeźwiałem. Teraz wynieść cało skórę z paszczy lwa, w którą wszedłem na własne życzenie, z bezmyślną pijacką brawurą, granoczyło z cudem. Grot aż się palił, by skorzystać z doskonałej okazji, i tylko mitygujący wzrok Strzelbickiego trzymał go w ryzach, a po Szarskim, uparcie unikającym mego spojrzenia, nie mogłem się spodziewać wsparcia. Człowiek może się oswoić ze śmiercią, stykając się z nią co dzień i spodziewając się jej w każdej chwili, jak ja, ale

450

może się lękać formy, w jakiej ona przyjdzie. Kiedy patrzyłem na rozliczne narzędzia tortur zgromadzone w tortorni, wiedząc, że Grot marzy, by je na mnie wypróbować, aż mnie ciarki przechodziły. Nie chciałem umierać w tej norze jak zaszczuty szczur. Stąpałem po cienkiej linii. Nie mogłem być ani zbyt dociekliwy, ani udawać łatwowieznego, bo od razu zorientowaliby się w podstępie. Wyjąłem jedną z pochodni z uchwytu i oświetliłem schody.

- Nie widać żadnych śladów krwi - zauważyłem, w duchu myśląc: i nie dziwota, bo aby zrobić sobie dziurę w ciemieniu, musiałby albo skoczyć na głowę, albo schody mu na nią spaść, a jedno i drugie wydawało się równie prawdopodobne.

I znów to Strzelbicki zareagował najszybciej.

- Bo upadł na własną łaskę - powiedział, podniósł ją i pokazał mi.

Istotnie była zajązowana.

- Hmm... W rzeczy samej... - mruknąłem.

- Możesz ją sobie wziąć na pamiątkę - powiedział łaskawie Grot. - Jemu już niepotrzebna, a wiem, że się drużyliście.

- Chętnie.

Wziąłem łaskę i chustką otarłem ją z grubsza, zastanawiając się, czyja to krew, Trojana czy Smoka. Bo nie uwierzyłem w kłamstwa, którymi mnie poczęstowano. Czy Smok wyrwał Trojanowi łaskę i zabił go jego własną bronią, czy też hutman wcześniej zdążył mu solidnie przyłożyć, zanim tamten zadał z góry śmiertelny cios? Skoro walka nie odbyła się na schodach, bowiem brak śladów krwi to wykluczało, zaś Trojan nie był ułomkiem, to tylko ktoś tak wysoki jak Smok mógł trafić go w ten sposób. Ale dlaczego? Odpowiedź była oczywista: podczas przesłuchiwania Bieniasza, przy którym był także, wbrew słowom Strzelbickiego, obecny Smok, stary justy-cjariusz musiał coś ważnego zobaczyć lub usłyszeć, więc nie mógł żywy opuścić katowni.

- A gdzie Bieniasz? - rzuciłem z głupia frant.

- Tam - odparł spokojnie Strzelbicki, wskazując celę w głębi. - Tak wymęczony, że śpi jak dziecko.

Nie mogłem powstrzymać zdumienia, bowiem byłem jakmiarzysta pewny, że Bieniasza również zamordowano, żeby zamknąć mu usta. Grot spostrzegł moje zaskoczenie i uśmiechnął się drwiąco.

- Przyznał się do wszystkiego - oznajmił. - Jak to ludziom bogatym a zapowietrzonym, którzy za długo chorowali, udawaniem

451

do śmierci pomagał i mordował ich, rabował poza tym sklepy i składy, ogołocił cekhauz z broni i prochów oraz handlował skradzionymi siarką i saletrą. Jutro, ale raczej pojutrze, żeby ludziska zdążyli przygotować się na wielkie widowisko, zetniemy go dla przykładu przed farami Mariacką, wprzód ogłosimy publicznie wyrok. Niechaj wszyscy zobaczą, jak sprawnie i szybko działa sprawiedliwość w mieście, odkąd ja jestem burmistrzem!

Czyżby Bieniasz rzeczywiście działał na własną rękę? Wydawało mi się to niemożliwe. Po co zatem zabili Tyojana? Nic-tu do niczego nie pasowało. Cała łamigłówka rozłąziła mi się w szwach jak stare łachmany Dziury. Leb mi pękał.

- A jego pomocnicy?

- Tych dwóch pojmanyh razem z nim? Nic nie wiedzieli o jego sprawkach, więc ich uwolniliśmy. Za to szukamy rabusiów, współników Bieniasza, którym ty dzisiejszego ranka

pozwoleńs zbiec z łupem. - Szyderczo wyszczerzył zęby. - Zajął się tym hutman Szarski. Jak tylko zostaną pochwyceni, zawisną. Czy to już wszystko, co chciałeś wiedzieć? Robi się późno.

- Tuszę, że godnie pochowacie TYojana - ustąpiłem, bo była na to najwyższa pora, choć nie byłem już tak pewny jak przed paroma minutami, że szykowali się mnie zamordować, gdybym okazał się zanadto wścibski. Oźralcy mają spaczone widzenie rzeczywistości.

- Oczywiście. Miasto nie poskąpi niczego, by odpowiednio wyprawić go w ostatnią drogę. Zasłużył sobie na to, a póki ja jestem burmistrzem, każdy otrzyma to, na co zasługuje. Pozwól, że cię odprowadzę do wyjścia.

Ścisnął mnie za ramię i wywlókł raczej, niż odprowadził na górę. Nie opierałem się, rad, że mi się upiekło. Może niepotrzebnie się wystraszyłem? Przecież wciąż nie miałem pewności ani żadnego dowodu. Nie wiedziałem nawet, czy właściwie wykoncypowałem powód zabicia Trojana. A jeśli istotnie był to nieszczęśliwy wypadek? Jeżeli zaś nie, to może stał za tym sam Smok, który współdziałał z Bieniaszem, zaś Trojan na to wpadł? A kat? Jaka odegrał rolę w tym wszystkim? Współpracował z Grottem lub Smokiem czy tylko próbował osłaniać swego podwładnego? A Szarski? Spiskował, żeby pozbyć się zwierchnika i zająć jego miejsce, które mu obiecano za współpracę, czy tylko chciał uniknąć szumu związanego ze śmiercią starego, którego był naturalnym następcą? Może imaginacja kazała

452

* 1

mi doszukiwać się zbrodni tam, gdzie były jedynie wygórowana ambicja i zwykła ludzka chęć unikania kłopotów? Raptem podejrzenie, że przez chwilę zamierzali za jednym zamachem pozbyć się i mnie, wydało mi się absurdalne i niedobrze świadczące o moich nerwach i rozsądku. Zabójstwa dwóch znanych osób w jednym miejscu i prawie tym samym czasie nie dałoby się łatwo zatuszować, zbyt wielu było świadków. Z pewnością podniósłby się huczek, zaś Grotowi nie zależało na rozgłosie. Chciał w spokoju tkać swą pajęczą sieć. Nawet się z tym specjalnie nie krył. Ale czy aby nie demonizowałem go? Z pewnością był wielkim łajdakiem, na dodatek chorym na władzę, które to połączenie zdarzało się nader często, lecz czy równie wielkim zbrodniarzem, pozbawionym wszelkich zahamowań? On, który skończył prawo? A może po prostu zręcznie wykorzystywał wszystkie nadarzające się okazje, stwarzane przez takich pospolitych złoczyńców, jak Smok czy Bieniasz?

- Wiem, co ci chodzi po głowie - rzekł półgłosem, gdyśmy stanęli na szerokich schodach przed ratuszem, a wartownicy nie mogli nas usłyszeć. - Ale radzę ci, byś nie próbował mi szkodzić. Nie chcesz chyba i ty spaść ze schodów? Nie miałem ze śmiercią starego nic wspólnego, lecz nie lubił mnie i podejrzewał o wszystko, co najgorsze. Jednak Opatrzność jawnie opowiedziała się po mojej stronie. Skorzystaj z tej nauki. Co prawda w tej chwili jesteś jedynym medykiem w mieście, lecz każdą stratę można przeboleć. Opuść sobie, a i ja dam ci spokój. Byliśmy wrogami, ale pora zapomnieć o przeszłości i patrzeć w dal.

Powiem wprost: przyłącz się do mnie. Dla człowieka o twoich talentach znajdzie się godny urząd. Nie pożałujesz. Co ty na to?

Milczałem. Wziął moje milczenie za namysł.

- Śmierdzisz jak gorzelnia. Wiem, że pijesz od dawna. Skończyłeś się, Ryx. Stoczyłeś na dno. A ja daję ci szansę powrotu na szczyt. I jeszcze dodam coś gratis. Wiem, kim byli twoi rodziciele. Dowiedziałem się tego przypadkiem. Powiem ci, jeśli dojdziemy do porozumienia.

Ostatnie opary wódki uszły ze mnie niby dym do komina. Grot z pewnością kłamał, by w stosownym czasie naigrawać się z mojej łatwowierności. A nawet jeśli nie, to nie miało żadnego znaczenia. Był czas, kiedy oddałbym wszystko, by wyjaśnić sekret swego pochodzenia. Potem nauczyłem się żyć z tą niewiedzą. Skoro naturalni

453

rodzice mnie porzucili, nie chciałem ich znać. A teraz ta przemożna chęć wróciła za sprawą Grota. Ale tylko na chwilę. Zamiast tego wspomniałem z wdzięcznością tych, którzy mnie wychowali.

- Miałem rodziców: matkę Balcerową i ojca Rocha. Innych nie znam i znać nie chcę. Niech żyją lub spoczywają w pokoju. Bóg z nimi.

Zmarszczył czoło.

- A co z naszą współpracą? To miasto jest wystarczające dla nas obu.

- Mylisz się. Aż tak wielkie nie jest - odparłem i odszedłem w noc.

Nie wiem, czemu tak mu się odszczeknałem. Dla zasady i po starej antypatii. Nie uwierzyłem, by jego propozycja była szczerą, chciał mnie tylko ostatecznie upodlić. A może było mi wstyd, że zbyt łatwo go wybieliłem, bo tak było wygodniej i pozwalało mi to uspokoić sumienie. Nie pomogłem Trojanowi, kiedy tego potrzebował, a gdy osamotniony zginął, zdradziłem go. Ze strachu. Ba, nawet trupa porzuciłem ochoczo, kiedy tylko łaskawie mi na to pozwolono. Kiedyś to Grot bał się mnie, a teraz wyglądało na to, że ja bałem się jego, a on to wyczuł. Dlatego powinienem być konsekwentny i udać, że przyjmuję propozycję, albo przynajmniej obiecać, że się zastanowię. Lub choćby powściągnąć język. I nie dać nic po sobie poznać. Est gaudia prodentem vultu. m celare¹. A skoro i tego nie potrafiłem zrobić, to chociaż nie powinienem był tracić czujności. Już doszedłem do gospody i łapałem za kłamkę, kiedy ktoś dźgnął mnie sztyletem w plecy. Zgiąłem się wpół, walnąłem głową o drzwi i zobaczyłem wszystkie gwiazdy, które pogasły równie szybko, jak się pojawiły.

1 Est gaudia... (lac., Horacy) - dobrze jest nie zdradzać uczuć wyrazem twarzy.

- W

Kraków, październik 1588 roku

Jak stary basior, nieomylnie wyczuwający pułapkę i niedający się pochwycić w potrzask, choćby najstaranniej założony, Kettler wprzód z oddali długo obserwował dom. Potem przemknął na zadź sąsiedniej kamienicy, znalazł poniewierającą się deskę, przystawił do zniszczonego muru i wykorzystując dziury po wykruszonych ceglach, przełazi na drugą stronę. Znalazłszy się w zapuszczonym ogrodzie, chwilę zbierał siły. Jak na swój wiek nadal był bardzo sprawny, lecz rana po uciętej dłoni od niedawna dawała o sobie znać. Proteza musiała ją w którymś momencie obetrzeć, a on nie zauważył tego w porę i zaczęła się jątrzyć. Nie mógł z tym nic zrobić, ponieważ w mieście zabrakło lekarzy, do podrzędnych balwierzy nie miał zaufania, a Jędrzejkiewicza zabił jakiś hultaj.

Odpoczywając w krzakach, obmyślał dalsze kroki. Po czym zakradł się do sporej szopy z narzędziami, znalazł drabinę i po niej wspiął się na dach. Bacząc, by się nie zapaść, gdyż gonty w wielu miejscach były na poły spróchniałe, dotarł do okna na pierwszym piętrze kamienicy. Przyklejony do muru wychylił ostrożnie głowę i zerknął do wnętrza. Uśmiechnął się krzywo. Zgodnie z oczekiwaniami izbę wypełniało pół tuzina zbrojnych. Odłożywszy kordy i samopały, oddawali się popijawie oraz grze w karty i kości. Posturą wyróżniał się od innych olbrzym wysoki na sześć i pół stopy co najmniej.

Wiedział już, co chciał wiedzieć. Posuwając się wzdłuż muru, ruszył ku kolejnemu oknu. W niewielkiej izbie pełniącej funkcję gabinetu ujrzał postawnego blondyna, pochłoniętego przeglądaniem zawartości zamczystej skrzyni, z której wyjmował pękate mieszki i szkatuły. Kettler przygiął się i na czworakach przepelzł pod oknem. Dotarłszy do następnego, wyprostował się, wy dobył zza

455

pasa lewak, wsunął w szparę między kwaterami i szarpnął. Okno otwarło się z cichym trzaskiem. Odczekał chwilę dla pewności, po czym przełożył nogę przez parapet i wśliznął się do środka. Znalazł się w kosztownie urządzonej sypialni, zapuszczonej niemożliwie, od dawna niesprzątanej i zagraconej cennymi meblami, obrazami i ozdobami. Domyślał się, że wszystkie izby, a także sklepy pod domem były istnymi składami, wypełnionymi skradzionym dobrem. Właściciel tego domu był zaś prawym krezusem, a przy tym skąpcem i szalbierzem, co nie stanowiło dobrego połączenia, biorąc pod uwagę drogę, jaką doszedł do takiej fortuny. Niedługo miał za to zapłacić. Uchylił drzwi. W ciemnym korytarzu wartował drzemiący stróż. Cicho jak kot bielak podkradł się do niego i uśpił na dłużej, po czym podszedł do najbliższych drzwi, otworzył je bez pukania i przekroczył próg.

Człowiek pochylony nad skrzynią był bardzo czujny, a może zaniepokoił go odgłos zamykanych drzwi, choć intruz uczynił to niemal bezszelestnie, bo odwrócił się błyskawicznie. Nie wpadł w panikę, ale wyraźnie pobladł. Jednak w jego głosie nie słychać było strachu ani zaskoczenia.

- Imć Kettler... Spodziewałem się waści.

- Nie wątpię - zadrwił przybysz. - Widziałem przygotowania. Zawsze podejmujesz swoich gości z tak licznym orszakiem powitalnym? A może tylko wierzycieli?
- Właśnie odliczałem należną waści sumę.
- Nie spieszyło ci się. Albo marnie rachujesz.
- Niełatwo zgromadzić tyle pieniędzy. Czasy mamy ciężkie.
- Widzę. - Albinos ogarnął gestem izbę, kapiącą od dóbr wszelakich podobnie jak sypialnia. - Miło spotkać kogoś, kto w tych trudnych czasach jakoś wiąże koniec z końcem.

Gospodarz gładko przełknął kpinę i zanurzył rękę głębiej w skrzyni. Kettler skoczył jak żbik i przydepnął wieko butem. Opadło, omal miażdżąc tamtemu rękę. Rozchylił wargi, z oczu pociekły mu łzy, lecz tylko jęknął, bowiem dłoń Kettlera zamknęła mu usta.

- Ciii... - rzekł zabójca półgłosem. - Zachowuj się spokojnie, a pożyjesz dłużej.

Odjął dłoń.

- Chciałem jedynie wydać ci należność... - wystękał poszkodowany.

456

- To bardzo ładnie z twojej strony. - Kettler podniósł wieko, sięgnął do skrzyni, pomacał na oślep, nie spuszczać oka z ofiary i podniósł z dna nabity pistolet. - A to zapewne miała być remu-neracja? - Przytknął koniec lufy do czoła gospodarza, któremu natychmiast skroplił się na nim pot.

- To nie tak jak myślisz - rzekł szybko, masując uszkodzoną rękę. - Wszystko ci wytłumaczę...

- Słucham - odparł albinos uprzejmie. - Nigdzie mi się nie spieszy.

Spokojnie patrzył, jak tamten wyjmując ze skrzyni okazały sącdek i podsuwa w jego stronę.

- To dla ciebie. Jak było umówione, pięćset florenów plus sto extra. Nie zamierzałem cię oszwabić. Kęs czasu zajęło mi zgromadzenie takich pieniędzy, a przede wszystkim sprawdzenie ich, ponieważ namnożyło się ostatnio fałszywych mińców...

- Cieszę się, że o tym wspomniałeś - Kettler odłożył pistolet, wydobyl z zanadru pękaty mieszek i rzucił go tamtemu. - Ima-ginuj sobie, że kiedy, tknięty przecuciem, udałem się do kantoru Soderinich, by sprawdzić twoje zadatkowane mińce, wszystkie okazały się jeno pozłoczone. Niemiła siurpryza, zwłaszcza że imć Soderini spoglądał na mnie podejrzliwie, koniecznie chciał wiedzieć, skąd je mam, i okazywał wielką chęć sprowadzenia strażników, aby odświeżyli mi pamięć. Z trudem go od tego odwiódłem.

- To nie moja wina, przecież mówiłem ci, że... - Nie mógł oderwać oczu od protezy, z której morderca zdjął rękawiczkę, odsłaniając pięć błyszczących, złowrogich ostrzy.

- Wiem. i ty też padłeś ofiarą fałszerzy. Obaj mieliśmy pecha. Ale dlatego, jeśli pozwolisz, teraz sam wybiorę sobie należność.

Znów wziął pistolet i kazał pokazać sobie zawartość wszystkich skrzyń, skrzynek i szkatuł zgromadzonych w gabinecie. Gwizdnął z podziwu, gdy ukazały swe skarby, a w izbie aż pojaśniało. W jednych były złote węgierskie floreny, polskie dukaty i portugaly, weneckie cekiny, hiszpańskie dublony i francuskie skudy. W drugich srebrne talary. Wszystkie monety wyglądały na używane, a zatem niefałszowane. Pozostałe skrzynie i szkatułki wypełniały precjoza, niektóre przepięknej roboty, wysadzane drogimi kamieniami.

- To po przodkach - wyjaśnił gospodarz. - Zbierali je latami.

457

- Oczywiście. Ani mi w głowie nie powstało, że z rabunków, o których tyle się mówi na mieście. Pogratulować zapobiegliwych przodków. Weź z łaski swojej te kieszenie, co leżą w kącie, i przesył mi do nich zawartość tej skrzynki i tej szkatuły. - Wskazał, o które mu chodziło. - Nie jestem chciwy i biorę jeno to, co mi się należy. W życiu nie odarłbym nikogo z dziedzictwa i drogich sercu pamiątek po antenatach.

- Oszalałeś! Toć umawialiśmy się na tysiąc dukatów, a tego będzie za pięciokroć tyle!

- Właśnie na tyle szacuję procent za zwłokę oraz szkody moralne. Łąduj! - warknął groźnie i podniósł lufę pistoletu, beznamiętnie patrząc, jak tamten, kipiąc z wściekłości, wykonuje polecenie.

Zarzucił sobie ciężkie sakwy na ramię.

- A teraz odprowadzisz mnie grzecznie na dół i każesz swoim psom nie wychylać nosów z budy, bo inaczej rozwałę ci łeb.

- A potem?

- Wybierzemy się na małą przechadzkę.

Z kim innym może by mu się udało, jednak tamten był ulepiony z tej samej gliny i wiedział, że zabójca nie wypuści go żywego, szczególnie po tym, jak chciał go w pierw oszukać, a potem zlikwidować. Dlatego ryknął na cały głos:

- Smok, do mnie! - I dał nura za największą ze skrzyń.

Kula ominęła go o włos, za to postawiła na nogi cały dom. Kettler nie czekał. Odrzucił wystrzelony pistolet, otworzył okno, zeskoczył na dach szopy, zbiegł po drabinie, powlókł ją za sobą i był w połowie muru dzielącego sąsiadujące posesje, kiedy sypnęły się za nim kule i przekleństwa. Jeden pocisk odłupał kęs cegły tuż obok, drugi strącił mu kapelus, ale niedrażnięty znalazł się po drugiej stronie. Podniósł z ziemi rzucone przed skokiem sakwy i lekko utykając, zdążył ku bramie, gdy rozległ się wściekły wrzask:

- Odciąć mu drogę, durnie!

Już bezpieczny, odprężył się zupełnie. Uwielbiał takie przygody i ryzyko z nimi związane. Co prawda nie zdążył ukarać łotra i prze-niewiercy, lecz co się odwlecze, to nie uciecze. Żeby tylko ta przeklęta lewa ręka przestała go boleć...

458

Kraków, październik 1588 roku

Dziesiątnik Szymon, awansowany na podhutmaniego przez Matysa Szarskiego, tymczasowo pełniącego obowiązki hutmana po zmarłym niespodzianie TYojanie, z ulgą powitał szarość zwiastującą nadejście świtu i koniec służby na dziś. Miał serdecznie dosyć patrolowania wymarłego miasta, przesiąkniętego wonią choroby i śmierci, i wypatrywania nocnych rabusiów, poczynających sobie coraz zuchwałej. Co prawda zawsze do włamań i kradzieży, a czasem i zabójstw dochodziło daleko od miejsc, które obchodził i przybywał tam po fakcie. Zastanawiał się jednak, co by było, gdyby przyłapał złoczyńców na gorącym uczynku. Zwłaszcza że z takich jak on pachółków, dobieranych przez Trojana i pewnych, oprócz niego zostało tylko dwóch. Reszta pochodziła z nowego zaciągu i nie miał do nich za grosz zaufania, bo sami patrzyli na niezgorszych łotrów. Jak ci dwaj, którzy mu towarzyszyli.

- Dobra, wracamy do ratusza - ogłosił z ulgą.
- Jeszcze nie czas, hutman zmyje nam głowy - zaprotestował jeden z tamtych.
- A ty coś taki nagle gorliwy?
- Obejdźmy na koniec Rynek - zaproponował drugi ugodowo.

Na rynku powoli zaczynał się ruch. Nieliczni przekupnie otwierali kramy lub wykładali na straganach towary w oczekiwaniu na pierwszych kupujących. Jak zwykle pierwsze pojawiły się służące z bogatych domów, by zdążyć zadowolić swych państwa, zanim inni przebiorą towar. Strażnicy wolno szli tępem, nie musieli zadzierać głów w górę, ponieważ podczas zarazy nie wolno było pomyj wylewać z okien wprost na ulicę. Zegar na wieży ratuszowej wybił szóstą, trębacz na wieży mariackiej zaczął wygrywać hejnał. Miasto z wolna się budziło. Obeszli kościół Świętego Wojciecha, dotarli do wylotu Grodzkiej i mieli skręcić, gdy wtem z kamienicy Guterowskiej, sąsiadującej z domem Pipanów i apteką „Pod Złotą Głową”, ktoś wyszedł. Albo raczej coś. Zamarli, a Szymon poczuł, że nogi się pod nim uginają, włos jeży, a zęby szcękają ze strachu. Przeżył już coś podobnego dawno temu, kiedy razem z Szarskim natknęli się w nocy na Upiora Bez Głowy, który terroryzował miasto. Szymon, odważny wobec ludzi, panicznie bał się duchów i potworów. Uciekł wówczas co sił w nogach, zostawiając towarzysza.

459

Wstydził się tego do dziś, lecz teraz też miał ochotę umykać gdzie oczy poniosą, wrzeszcząc wniebogłosy.

Tymczasem wprost na nich, wymachując rzeźnickim toporem, szedł potwór. Istny olbrzym, wielki na sążęń z okładem. Ze szkaradnego łba wystawała paszcza pełna kłów i łyskały gorejące ślepia. Przypominał niedźwiedzia, lecz nie był to ani niedźwiedź, ani wilkołak, ani żaden inny zwierz. Tym bardziej człowiek. Bestia była z gliny! Tors miała schlapany krwią, krew skapywała także z topora.

- Golem! - krzyknął rozdzierająco jeden z pachołków.
- Ratunku! - wrzasnął Szymon i zerwał się do ucieczki, lecz drugi pachołek pochwycił go mocno.
- Stój! On nas nie widzi!

Potwór istotnie minął ich, jakby zupełnie nie zauważając, i kroczył w stronę Wielkiej Wagi. Stąpał miarowo, ani nie zwalniając, ani nie przyspieszając, jak jakaś piekielna machina. Już go dostrzeżono, a może ludzie usłyszeli wrzaski Szymona i jego towarzyszy, bo zewsząd rozlegały się okrzyki przerażenia:

- Antychryst!
- Diabeł!
- Wilkołak!
- Upiór!
- Nie, to golem! Nasłany przez Żydów razem z zarazą!
- Chroń nas Panie Boże ode złego!
- Ratuj się, kto może!
- Apokalipsa!

Na Rynku wybuchła panika. Kupcy porzucali kramy, klienci zakupione towary, grabarze wóz, którym jechali zbierać trupy, i wszyscy rozbiegali się niczym spłoszone ptactwo. Zaciekawieni mieszkańcy, którzy słysząc hałasy, otwierali okna, na widok potwora zatrzaszywali je z hukiem. Szymon ogromnym wysiłkiem woli poskromił strach, ścisnął w garści rusznicę i zakomenderował:

- Musimy za nim iść...

Powiedział to jednak bez przekonania, pozostali także nie kwapili się do pościgu, więc zanim ruszyli, po golemie nie było śladu, nie licząc rozsypanych tu i ówdzie grudek gliny i kropel krwi. Poszli tym tropem. Między Wielką Wagą a wchodem do Sukiennic spotkali dwóch dygoczących ze strachu „wyganiaczy ubóstwa”.

- Dokąd poszedł? - spytał ich Szymon.

Bez słowa wskazali kierunek, po czym jeden oprzytomniał na tyle, że podzwaniając zębami, rzucił za nimi:

- Co to było?
- Golem. Żydowski potwór - odparł skwapliwie pachołek, który pierwszy rozpoznał stwora.

Ślady gliny i krwi doprowadziły ich do ratuszowych schodów.

- Dobry Jezu... - westchnął Szymon. - Morduje naszych!

Ale na odwachu panował spokój.

- Gdzie on jest?

Wartownicy wytrzeszczyli oczy.

- Kto?
- Golem! Wszedł tutaj przed chwilą!

Jeden spojrzął na drugiego, a potem obaj na Szymona, jakby mieli do czynienia z szaleńcem.

- Jaki golem? Nikogo sam nie było.
- A to co? - zawołał tryumfalnie Szymon, który już sam zaczął wątpić w swoje zdrowe zmysły, dostrzegłszy gliniany okruch przed izbą strażników czekających na swoją zmianę. - Oślaniajcie mnie!

Mając za plecami uzbrojonych towarzyszy, zdobył się na odwagę, szarpnął drzwi, rozwarł je na oścież i zdębiał. Izba była pusta.

- Gdzie hutman? - spytał zmęczonym głosem, zamykając drzwi.
- W Izbie Pańskiej, ale...

Ale Szymonowi było wszystko jedno. Wtargnął do sali posiedzeń rady miejskiej, akurat gdy Szarski przed burmistrzem powietrznym Grotem i pisarzem Pernusem składał jurament:

- Urząd mój, na który obrany jestem, porządnie i wiernie od-prawować będę, uchowaj Boże jakiego rozruchu w mieście wszelakiej pilności i ostrożności około miasta przykładać będę, w ratuszu wszelakiego porządku około więźniów doglądać i wszelkiej przy-stojności, poczciwości, pokoju i ochędostwa w ratuszu, po Rynku i po ulicach, aby było zachowane, przestrzegać i tych wszystkich, co pod władzą moją będą, w dozorze i posłuszeństwie trzymać chcę!

Lecz na twarzy hutmana, który jak Szymon wiedział, marzył o takiej chwili od dawna, próżno było doszukiwać się radości. Obrócił ku niemu zmęczone lico i zapytał:

- O co chodzi, Szymek? Znów coś się stało?

I Autentyczna rota przysięgi hutmańskiej.

461

- W mieście pojawił się golem!
- Ten potwór stworzony w Pradze przez jakiegoś Żyda? Bzdura!
- A jednak. Dwaj moi ludzie też go widzieli. I wielu innych na rynku. Wielkiego stwora z gliny, ociekającego krwią i wymachującego zajuszonym toporem rzeźniczym. Wszedł z domu Guterow-skiego...
- A dokąd poszedł?

Szymon się zawahał.

- Ślady gliny i krwi prowadzą do ratusza. I tu się urywają. Jakby rozpląnął się w powietrzu.
- Dworujesz sobie.
- Chciałbym.
- Nie ma nad czym deliberować! - przerwał im burmistrz stanowczo. - Nie ma też powodu nie wierzyć Szymonowi. Wszystko jasne jak słońce! Żydzi wpierw wywołali w mieście zarazę, a teraz sprowadzili albo stworzyli golema, by mordował tych chrześcijan, których oszczędził mór!
- Brak dowodu, że ów golem kogoś zabił - sucho wtrącił Pernus.
- A skąd by się wzięła krew na toporze? - warknął Grot. - I dlaczego rajca Gutteter nie zjawił się dziś rano w ratuszu? Hutmanie, natychmiast pójdźcie do domu imć rajcy i sprawdźcie, co się tam stało. Ale wcześniej przepatrzcie cały ratusz. Nie życzę tu sobie żadnego golema. Aha, wracając od Guttetera, przepędźcie z Rynku i Wendety wszystkich żydowskich przekupniów, poniszczcie ich kramy i ogłoście, że to kara za golema. Na początek.

Pernus chciał coś powiedzieć, lecz się rozmyślił.

- Nie podoba mi się to, burmistrzu - powiedział ponuro Szarski. - Myślę...
- Nie musi. Masz tylko wykonywać rozkazy, po to zrobiłem cię hutmanem. Myślenie zostaw mnie.
- W takim razie chcę to mieć na piśmie.
- Będziesz miał. Mości Pernusie...

Ów znowu otworzył usta, jednak Grot zmroził go wzrokiem, i tamten uległ.

- Zaraz wystawię papier.

Lublin, październik 1588 roku

Do czekającego w antyszambrach Jana Duckera, zaufanego sekretarza arcyksięcia Maksymiliana, wyszedł Jan Sycymiński.

- Jego królewska mość przyjmie waszmościa.

Zamek lubelski z trudem mieścił trzy orszaki: króla, królowej wdowy i królowny szwedzkiej, zmuszone schronić się tutaj, gdy Sandomierz, do którego skierowano się z Krakowa, okazał się już ogarnięty zarazą. W niewielkim gabinecie na Inflantczyka w austriackiej służbie oprócz króla czekali jego siostra i hrabia Gustaw Brahe. Poseł skłonił się nisko, wyprostował i czekał.

- Zaciekawiliście nas, panie pośle - odezwał się Brahe, gdy milczenie przedłużało się, a król nie zdradzał ochoty, by zabrać głos. - Cóż macie takiego, co waszym zdaniem mogłoby nas zainteresować?

- Mam dwa listy, nie przy sobie, rzecz jasna. Jeden napisany manu propria przez imię kanclerza wielkiego Zamojskiego do jego wysokości arcyksięcia Ernesta i drugi vice versa. Jest w nich dość, by oskarżyć imię kanclerza o zdradę stanu.

- Jaką mamy pewność, że istotnie owe pisma, jeśli istnieją, zawierają treść, o której mówicie, mości pośle? - dociekała królowna.

- To proste, wasza książęca mość. Wystarczy je kupić, by się przekonać.

- Tedy jaka jest cena?

- Dziesięć tysięcy florenów za oba.

Zygmunt po raz pierwszy stracił panowanie nad sobą.

- Dziękujemy wam, mości pośle, za fatygę, lecz nie skorzystamy z oferty. Król polski bowiem nie ma do dyspozycji nawet tysiąca dukatów. Ba, choćby stu - rzeki z nietajoną goryczą, a widząc, że wysłannik chce coś powiedzieć, dodał stanowczo: - To wszystko. Targować się nie będziemy. Możecie odejść.

A kiedy poseł wyszedł, Zygmunt rzekł:

- Nic się nie zmieniło. Cała nadzieja w imię Turopońskim.

- Niestety - odparła smutno królowna. - Pani Turopońska wczoraj wieczorem dostała pilną wiadomość, że jej mąż kona i życzy

1 Manu propria (lac.) - własnoręcznie.

sobie zobaczyć ją i syna przed śmiercią. Dałam im poszóstną kolasę i wyprawiłam w drogę dziś rano.

- Zatem jesteście zgubieni - powiedział król.
- Zamojski już jest w drodze do Lublina, by omówić z waszą królewską mością sprawę kondycji, na jakich zgodzi się uwolnić arcyksięcia Maksymiliana - przypomniał Brahe. - A przy okazji pewnie choć ogródkami wymieni cenę, za którą zgodzi się nie ujawniać skradzionych listów. Wtedy będzie można się potargować.
- Nie będziemy pertraktować z człowiekiem, który chce nas zniszczyć! - uniósł się ambicją król.
- Zostawcie to mnie, najjaśniejszy panie - powiedziała spokojnie królowa. - Coś mi się ukowało w głowie. A gdybyśmy tak sami zachęcili Zamojskiego, by napisał do arcyksięcia Ernesta, a potem przechwycili ów list? Wtedy moglibyśmy się wzajem szachować.

Lublin, listopad 1588 roku

Zamojski stanął kwaterą w mieście, zdając sobie sprawę, że na zamku był niemile widziany. Spotkał się już z królem i ustalili, że w obliczu moru sejm z jesieni przeniosą na wiosnę przyszłego roku i wówczas też zapadną decyzje co do losu Maksymiliana i traktatu pokojowego z cesarstwem. Zamojskiemu zależało na wakującym województwie krakowskim, ale zgodził się z tym poczekać do sejmku w zamian za natychmiastowe mianowanie Żółkiewskiego hetmanem polnym koronnym. Ku jego zdziwieniu Zygmunt od razu nakazał wystawić nominację. To nastroiło hetmana przychylniej i ani słowem nie napomknął o posiadanych przez siebie kompromitujących króla listach. Zaczął się nawet wahać, czy warto je upubliczniać. W takim stanie ducha zastał go Bucella. Gruby medyk był spocony i roztrzęsiony.

- Jezus, Maria! - rzekł wstrząśnięty. - Całe podzamcze płonie! Ktoś podpalił dzielnicę żydowską niby z pomsty za posianie morowego powietrza i teraz motloch łupi Żydów na potęgę. Starościnscy nie mogą powstrzymać grabieży, a król chce jutro opuścić Lublin. Boże, kiedy szedłem do waszej miłości, zabłąkana kula świsnęła mi koło ucha!

464

- Ib nic ci nie grozi. Siadaj, luby przyjacielu, napij się wina, uspokój i mów, z czym przybywasz.

Kiedy medyk się wysapał i wychylił dwa kielichy wybornego węgryzyna, nabrał animuszu.

- Przybywam do waszej miłości po starej przyjaźni i w sekrecie przed królem. Dowiedziałem się bowiem, że król potajemnie zamyśla porzucić Rzeczpospolitą i oddać koronę arcyksiążęciu Ernestowi...

- Doprawdy? - udał zdziwienie Zamojski. - Nie wierzę.

- A jednak to prawda. Udało mi się podsłuchać, jak rozmawiał

0 tym z siostrą. Chyba nawet zdążyli już w tej sprawie wymienić z Ernestem listy i arcyksiążę wstępnie wyraził zgodę. Gdyby zaś do tego przyszło, co Boże broń! tedy jest pewne, że nowy pan wyniesie do najwyższych godności Zborowskich, największych nieprzyjaciół waszej miłości.

- Hmm... Cóż zatem radzisz, bym uczynił, doktorze?
- Trza wziąć byka za rogi, ot co!
- Czyli?
- Samemu napisać do arcyksięcia, obiecać mu swoje poparcie

1 zażądać w zamian co najmniej zachowania dotychczasowych urzędów i faworów. Mając taką pisemną asekurację w ręku, zagra wasza miłość Zborowskim na nosie. Ja zaś bywałem i w Pradze, i w Wiedniu, mógłbym więc pośredniczyć w układach. Ergo oddaję swoją osobę do dyspozycji waszej miłości.

Rad z siebie, popatrzył na kanclerza oczekująco. Ten zaś, jako wytrawny statysta, wciąż uśmiechał się życzliwie, w duchu jednak kipiał ze złości, bo przejrzał chytrą intrygę. A więc tak to chcieli załatwić! Listy za listy, milczenie za milczenie. Niedoczekanie! Najbardziej go wszak zezłościła nie naiwna próba zastawienia nań pułapki, lecz zdrada tego zarozumiałego tłuściocha, którego miał za przyjaciela i który wiele mu zawdzięczał.

- Prawdziwy z ciebie przyjaciel - powiedział, z trudem powstrzymując się, by nie poczęstować Włocha kopniakiem i nie wywalić z domu na zbity pysk. - Doceniam oddanie dla mojej osoby, ale z rady nie skorzystam. Zbytek troski.
- Dlaczego? - Medykowi wydłużyła się mina.
- Ponieważ primo nie wierzę, by król naprawdę chciał nas opuścić, a secundo, gdyby nawet, to nie jest powiedziane, że Ernest

465

- Hi nic ci nie grozi. Siadaj, luby przyjacielu, napij się wina, uspokój i mów, z czym przybywasz.

Kiedy medyk się wysapał i wychylił dwa kielichy wybornego węgryzyna, nabrał animuszu.

- Przybywam do waszej miłości po starej przyjaźni i w sekrecie przed królem. Dowiedziałem się bowiem, że król potajemnie zamyśla porzucić Rzeczpospolitą i oddać koronę arcyksiążęciu Ernestowi...
- Doprawdy? - udał zdziwienie Zamojski. - Nie wierzę.
- A jednak to prawda. Udało mi się podsłuchać, jak rozmawiał

0 tym z siostrą. Chyba nawet zdążyli już w tej sprawie wymienić z Ernestem listy i arcyksiążę wstępnie wyraził zgodę. Gdyby zaś do tego przyszło, co Boże broń! tedy jest

pewne, że nowy pan wyniesie do najwyższych godności Zborowskich, największych nieprzyjaciół waszej miłości.

- Hmm... Cóż zatem radzisz, bym uczynił, doktorze?
- "IYza wziąć byka za rogi, ot co!
- Czyli?
- Samemu napisać do arcyksięcia, obiecać mu swoje poparcie

1 zażądać w zamian co najmniej zachowania dotychczasowych urzędów i faworów. Mając taką pisemną asekurację w ręku, zagra wasza miłość Zborowskim na nosie. Ja zaś bywałem i w Pradze, i w Wiedniu, mógłbym więc pośredniczyć w układach. Ergo oddaję swoją osobę do dyspozycji waszej miłości.

Rad z siebie, popatrzył na kanclerza oczekująco. Ten zaś, jako wytrawny statysta, wciąż uśmiechał się zyczliwie, w duchu jednak kipiał ze złości, bo przejrzał chytrą intrygę. A więc tak to chcieli załatwić! Listy za listy, milczenie za milczenie. Niedoczekanie! Najbardziej go wszak zezłościła nie naiwna próba zastawienia nań pułapki, lecz zdrada tego zarozumiałego tłuściocha, którego miał za przyjaciela i który wiele mu zawdzięczał.

- Prawdziwy z siebie przyjaciel - powiedział, z trudem powstrzymując się, by nie poczęstować Włocha kopniakiem i nie wywalić z domu na zbity pysk. - Doceniam oddanie dla mojej osoby, ale z rady nie skorzystam. Zbytek troski.
- Dlaczego? - Medykowi wydłużyła się mina.
- Ponieważ primo nie wierzę, by król naprawdę chciał nas opuścić, a secundo, gdyby nawet, to nie jest powiedziane, że Ernest

465

4P

wyniesie w górę Zborowskich. To ludzie Maksymiliana, a nie jego. Ergo nie mam czego się obawiać ani ochoty o nic zabiegać. Raczej niech inni boją się mnie i zabiegają o moje względy.

W ostatnich słowach zabrzmiał ton pogrożki i Bucella pojął, że jeśli nawet jego rola nie została odkryta, to i tak nie uzyska tego, po co przybył. Pożegnał się więc szybko, prosząc o eskortę do zamku, której hetman mu nie odmówił. Fiasko misji Bucelli przyjęto na dworze królewskim z przygnębieniem.

- Może teraz ja udam się do Zamojskiego i powiem, że wasza królewska mość jest zdecydowany wracać do Szwecji, a jeśli hetman poprze sprawę w sejmie i uzyska na to zgodę senatorów, tedy wasza królewska mość zaleci go do korony polskiej - zaproponował Brahe.

- To na nic - westchnął król. - Nawet gdybyśmy mu to szczerze zaproponowali, i tak weszylby podstęp i odrzucił propozycję choćby po to, by nas upokorzyć.

Nazajutrz wyruszono do Warszawy. Jednak mór szedł za nimi, gdzie się tylko obrócili. Gdy zapowietrzyło się naraz kilku dworzan, król wyjechał do Piotrkowa, królową z królewną zostawiwszy po drodze w Radomiu.

- W sprawie listów jedno jest pocieszające - dodała Zygmuntowi ducha siostra podczas pożegnania. - Skoro Zamojski w Lublinie nic o nich nie napomknął, tedy może doktorowi Hiropońskiemu udało się przed skonem odzyskać pisma?

- Oby tak było. Bo inaczej, najpóźniej na wiosennym sejmie, rozpęta się takie piekło, że niech nas ręka boska broni, gdyż żaden człowiek nie zdoła.

- Chwała Bogu, wraca do przytomności - jak przez mgłę usłyszałem pełen ulgi głos Niziołka.

Zamrugalem oczyma.

- Co się stało?

- Ty nam to powiedz. Wpierw usłyszeliśmy huk, jakby kto taranował drzwi, a potem znaleźliśmy cię leżącego bez ducha na progu.

- Mocno mnie dziabnął?

Zdumiewające, lecz sztylet musiał ominąć ważne narządy, bo nie czułem bólu, tylko wielką słabość.

- Kto?

466

M

- Nie wiem. Dostałem od tyłu.

- Co ty opowiadasz? - Na pocziwej twarzy olbrzyma odbiło się niebotyczne zdziwienie. - Nie masz na ciele żadnej rany, morowych wyrzutów też na szczęście nie. Balim się, czy to aby nie zaraza, bo febra cię trzęsła, nikogo nie poznawałeś, przez pół nocy miałeś majaki i coś wywrzaskiwałeś. Najczęściej „głupiec”, „pająk” i „miałaś rację”.

- Długo leżę?

- Noc i pół dnia.

- Muszę wstać. Chorzy czekają...

Próbowałem się podnieść, lecz zaraz opadłem z powrotem na poduszki. Cała pościel była mokra i śmierdziała potem.

- Nigdzie nie pójdziesz - zaprotestował. - Dziura miał uprzedzić ratusz i starszego nad cyrulikami, żeś złożon niemocą.

- A gdzie on jest?

Wzruszył ramionami.

- A bo to mi się opowiada? Ponoć coś zwęszył i poszedł się upewnić. Był tu z rana dowiedzieć się, co z tobą, i wtenczas odkrył, że drzwi i okna gospody zostały przez mazaczy wysmarowane mózgami i kiszkaami zapowietrzonych. Kazałem mu to paskudztwo czym prędzej zmyć. Kacper, o co tu chodzi?

- Ktoś wypowiedział nam wojnę. A raczej mnie.

- Kto?

- Lepiej, żebyś nie wiedział. Sam nie mam całkowitej pewności.

- Chcesz mnie przerazić?

- Ciebie to nie dotyczy. Jutro się wyprowadzę.

- Teraz chcesz mnie obrazić. Nigdzie nie pójdziesz. Zawsześmy umieli sobie radzić i teraz też nikomu się nie damy. A co!?

Jego wiara w mój rozum i własną krzepę była niezachwiana, a przecież przekonał się już na własnej skórze, że dawne czasy minęły bezpowrotnie. A może tylko sam siebie oszukiwał, rozpaczliwie pragnąc zatrzymać utraconą młodość, kiedy wszystko wydawało się łatwe i proste, a siły niespożyte.

- Skoro tak, to pomóż mi dotrzeć do balneoli.

Najpierw nagrzał wody i praktycznie mnie tam zaniósł. Nie każdy dom, patrycjuszowski nawet, miał prywatną łaźnię, do tego było potrzebne zezwolenie ratusza na podłączenie się do miejskiego rurmusu. Razem z ojcem Rochem póty naciskaliśmy cioteczkę

467

Balcerową, aż w końcu zgodziła się na tę kosztowną fanaberię i nigdy nie żałowała ekspensu.

Zmywając z siebie cuchnący pot, myślałem o morderstwach, fałszerstwach, porwaniach, tumultach. Świętej pamięci hutman Trojan odkrył w końcu, kto chciał łowić ryby w mętnej wodzie, i drogo za to zapłacił. A nie musiało tak się stać, bo miałem klucz do zagadki. I to od dawna. Dlatego w malignie wołałem: „głupiec”, „pająk” i „miałaś rację”. Powiedział mi to Araneus. Tylko z początku, głupiec, tego nie zrozumiałem. A powinienem, z pomocą Janki. Kiedy opowiedziałem jej o przygodzie w grocie Twardowskiego i niedokończonym wyznaniu Araneusa, pierwsze, co przyszło jej do głowy, to primas. Lecz myśl, że mogłoby chodzić o burmistrza, pierwszego spośród rajców, zdała mi się absurdalna. Jednak przypadkowe

skojarzenie nie było aż takie niedorzeczne, ponieważ istotnie Araneus miał na myśli rajcę. Grota. Bowiem znak, którego Pająk nie zdążył dokończyć, miał wyglądać tak:

W

Jednak wtedy nie bardzo chciało mi się pochylać nad tą zagadką. Co też by mi przyszło z tej wiedzy? Odkąd miałem rodzinę, nie było nic ważniejszego. Gdybym myślał inaczej, nigdy dobrowolnie nie zrezygnowałbym z profesji inwestygatora. Ale nic nie było warte narażania bliskich, choć nic mnie również nie usprawiedliwiało. Przecież nie musiałem się angażować bezpośrednio, nikt tego ode mnie nie wymagał. Wystarczyło w porę wysilić mózgowicę, wskazać Trojanowi winowajcę, a poradziłby sobie. Tymczasem nie zrobiłem nic. Z tego powodu zbrodniarz się rozzuchwalił i zmienił w potwora, a hutman zginął. Ale teraz, gdy zostałem sam i czas uciekał mi nieubłaganie, podjąłem decyzję. Dowiem się wszystkiego, zdobędę niepodważalne dowody i dopilnuję, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Z Bożą pomocą, jeśli tylko On zechce mi jeszcze udzielić prolongaty, tak właśnie uczynię! Kiedy miasto ogarnia zaraza, trzeba je odszczurzyć. Nie mogłem dłużej zwlekać

468

i stać z boku, bo już nie było nikogo, kto zrobiłby to za mnie. Nie miałem nic do stracenia. Kolejny atak mógł być ostatni. Nadeszła pora działania. Czepianie się resztek życia doprowadziło mnie na skraj tchórzostwa i upodlenia. I odebrało wolę oraz trzeźwość myślenia (w czym i gorzałka miała niemały udział). To do mnie mówił Horatius: Qui metuens vivit, liber mihi non erit unquam. Zamiast uzalać się nad sobą i okrutnym losem, przynajmniej na koniec wypadało odkupić winy i uczynić wszystko, co było jeszcze w mojej mocy. Żeby, kiedy święty Piotr (lub kto inny, zależy, dokąd trafię) powita mnie u bramy, nie musiał świecić oczyma, że zmarnowałem okazję zabrania ze sobą kilku dusz, bez których na ziemskim padole ubyłoby łez i zrobiło się znacznie przyjemniej. Powziąwszy mocne postanowienie, od razu poczułem się lepiej. Wylazłem z balii i energicznie wytarłem się winiuchem, przebrałem w czyste rzeczy i poczułem jeszcze lepiej.

- Wyglądasz jak nowo narodzony - ucieszył się Niziołek.
- Jakbyś zgadł.

Dziura, który wpadł na wieczerzę, także uradował się moim ożyciem.

- O choryk sie nie frasujta, dochtorze. Żem sie nimi zajon jak należy. .
- Wielu nowych się zapowietrzyło?
- Bedzie ze śtyry dziesiątki. Góra pińc. Jednyk żeśwa odstawili do Swoszowic, drugik zamkli w domak.

Mimo wszystko była to dobra wiadomość. Od kilku dni liczba chorych zaczęła spadać. Najpierw poniżej setki dziennie, teraz do połowy tego. Może dlatego, że pochłodniało, a zarazem było sucho. Jeśli taka pogoda utrzymałaby się do nadejścia zimy, zaraza wygasłaby samoistnie, przynajmniej do wiosny.

- Mam też inne nowiny - dodał tryumfalnie. - Cheba żem cosik nalaz.

- Mów.

- Na Psiej ulicy długo w noc świętowali śmierć hutmana. Pili i radowali się. Ja żem tamoj bał się zachodzić, ale godoł mi potem jeden grabarz. Fur, ale swój chłop, poćciwy z kośćciami. Sam się tamtyk boi. Pono wołali: hulaj dusza, nie ma hutmana, miasto

1 Qui metuens vivit... (lac.) - kto żyje w strachu, nie będzie nigdy dla mnie wolny.

469

nasze. Tak się myślę, że to oni wybili naszyk, nikt inszy. Ten grabarz powiada, że mają dużo broni, mieczów i samopałów i umieją się nimi posługiwać. I nie dziwota, bo jeden w drugiego to prawi zbójce. Ino kto im zezwolił się tamoj zagnieździć? Pod samym nosem kata i hycli? I czemu, skoro drugik wagabundów, żebraków i dziadów proszalnych wyświecono z miasta, tyk ostawiono?

- Dobre pytania.

- Znasz odpowiedzi? - spytał mnie Niziołek.

- Chyba tak. Dziura ma rację. Kat należy do miejskich justycja-riusz. Dzielnica rozpusty w bliskości baszty Katowskiej podlega jego jurysdykcji. Nie może nie wiedzieć, co tam się wyprawia. Myślę, że od dawna zasiedlał swój rewir gotowymi na wszystko łotrami, żeby mieć swoje wojsko. Kiedy zaś przyszła pora, spuścił ich ze smyczy i pozbył się starego Bractwa Żebraków razem z Królem. Zaraza dała im wyborną okazję, aby uczynić z hulta-jów funkcjonariuszy: grabarzy, „wypędzaczy ubóstwa”, kopaczy, a nawet drabów miejskich. Odtąd mieli wyłączność na łupiestwa, i to w majestacie prawa.

- I nasz małodobry miałby być ich hersztem? - Niziołek kręcił głową z niedowierzaniem. - Toć to człek zasłużony dla miasta. Podczas oblegania Krakowa przez wojsko Maksymiliana dzielnie stawał na murach i celnie prażył ze strzelby, aż go pan Zamojski pochwalił. Sam widziałem. A potem ze swymi ceklarzami partycypował w odbiciu Garbar z łap ludzi Zborowskich i Stadnickiego.

- A przy okazji zapewne dobrze się obłowił i spodobało mu się to.

Kat i jego pomocnicy zawsze stanowili pomost między uczciwymi obywatelami a światem przestępczym. Nie mieli łatwego życia. Byli użyteczni, lecz pogardzano nimi i traktowano jak trędowatych. Dlatego mieszkali osobno, a słyszałem, że w niektórych miastach odmawiano im sakramentów i nie wpuszczano ich do kościołów. A ponieważ mieszczanie ich odrzucali, zaś z racji pełnionych funkcji stale stykali się ze złoczyńcami, zdarzało się, że przechodzili na drugą stronę prawa. Jednak nigdy na taką skalę jak obecnie.

- I nikt w ratuszu, okrom świętej pamięci hutmana Trojana, nie zorientował się, co w trawie piszczy? Nie chce mi się dać temu wiary.

- Nie, ponieważ jeden z rajców jest socjuszem małodobrego, a może nawet sam obmyślił cały proceder.

470

- Który?

- Grot.

- Terazniejszy burmistrz!? Co ty gadasz!?

- Teraz Grot jest burmistrzem, większość rajców wyjechała, hut-mana zabili, pozorując wypadek, zatem z nikim nie musi się liczyć. A wcześniej pewnie ucinał w zarodku wszelkie podejrzenia Trojana, zaś jemu samemu przypisał gębę niedołężnego starca, który bredzi od rzeczy, żeby tuszować własną nieudolność. Zresztą przekabacił Szarskiego, więc samotny hutman niewiele mógł wskórać. Nikt by mu nie uwierzył, prędzej wzięto by go za szaleńca ze skażoną głową i pozbyto się czym prędzej.

- To hutmana zamordowano? A Matys Szarski jest w to zamieszany? Niemożliwe.

- A jednak. Obiecali mu urząd po Trojanie i dał się skusić.

Wstrząśnięty olbrzym poszedł do szynkwasu i wrócił do stołu

z dzbanem gorzałki, którą zamierzał rozlać do trzech kubków. Przykryłem swój dłoń.

- Nie napijesz się? - spytał zdziwiony.

- Nie mogę, choć Bóg jeden wie, ile mnie to kosztuje. Ale odtąd muszę być trzeźwy jak nigdy. Poza wczoraj byłem tak pijany, że najpierw wlałem im w łapy jak ostatni tuman, a potem Grot prawie mnie kupił.

- Co zamierzasz uczynić? - dociekał. - Pójdiesz z tym do grodu?

- Z czym? Po pierwsze nie mam dowodów, a po drugie nie wiem wszystkiego.

- Przecież wystarczy uderzyć na dzielnicę rozpusty, pochwytać łotrów, a zaraz wszystko wyśpiewają jak na spowiedzi!

- Wątpię. Tamci z pewnością to przewidzieli i kierowali zbirami przez pośrednika. Idę o zakład, że dla hultajstwa to Bieniasz był hersztem i innych nie znają.

- Tedy jego trzeba przycisnąć!

- Poniewczasie - wtrącił Dziura. - Jutro da głowę przed farą Mariacką. Zaraz po pogrzebie hutmana. Już to ogłoszono na Rynku. Przypisali mu wszelakie zbrodnie, jakie się w mieście przydarzyły. Hultajstwo z dzielnicy rozpusty burzyło się trochę, lecz wyszedł przeciw nim hutman Szarski z pachółkami i pogromił towarzystwo.

- Sam widzisz - powiedziałem do Niziołka. - Nagrabili się już dosyć. Osiągnęli, co chcieli. Stracą Bieniasza i ukręcą łeb sprawie,

471

- Który?

- Grot.

- Terazniejszy burmistrz!? Co ty gadasz!?

- Teraz Grot jest burmistrzem, większość rajców wyjechała, hut-mana zabili, pozorując wypadek, zatem z nikim nie musi się liczyć. A wcześniej pewnie ucinał w zarodku wszelkie podejrzenia Trojana, zaś jemu samemu przypisał gębę niedołężnego starca, który bredzi od rzeczy, żeby tuszować własną nieudolność. Zresztą przekabacił Szarskiego, więc samotny hutman niewiele mógł wskórać. Nikt by mu nie uwierzył, prędzej wzięto by go za szaleńca ze skażoną głową i pozbyto się czym prędzej.

- To hutmana zamordowano? A Matys Szarski jest w to zamieszany? Niemożliwe.

- A jednak. Obiecali mu urząd po Trojanie i dał się skusić.

Wstrząśnięty olbrzym poszedł do szynkwasu i wrócił do stołu

z dzbanem gorzałki, którą zamierzał rozlać do trzech kubków. Przykryłem swój dłońią.

- Nie napijesz się? - spytał zdziwiony.

- Nie mogę, choć Bóg jeden wie, ile mnie to kosztuje. Ale odtąd muszę być trzeźwy jak nigdy. Pozawczoraj byłem tak pijany, że najpierw wlałem im w łapy jak ostatni tuman, a potem Grot prawie mnie kupił.

- Co zamierzasz uczynić? - dociekał. - Pójdiesz z tym do grodu?

- Z czym? Po pierwsze nie mam dowodów, a po drugie nie wiem wszystkiego.

- Przecież wystarczy uderzyć na dzielnicę rozpusty, pochwytać łotrów, a zaraz wszystko wyśpiewają jak na spowiedzi!

- Wątpię. Tamci z pewnością to przewidzieli i kierowali zbirami przez pośrednika. Idę o zakład, że dla hultajstwa to Bieniasz był hersztem i innych nie znają.

- Tedy jego trzeba przycisnąć!

- Poniewczasie - wtrącił Dziura. - Jutro da głowę przed farą Mariacką. Zaraz po pogrzebie hutmana. Już to ogłoszono na Rynku. Przypisali mu wszelakie zbrodnie, jakie się w mieście przydarzyły. Hultajstwo z dzielnicy rozpusty burzyło się trochę, lecz wyszedł przeciw nim hutman Szarski z pacholkami i pogromił towarzystwo.

- Sam widzisz - powiedziałem do Niziołka. - Nagrabili się już dosyć. Osiągnęli, co chcieli. Stracą Bieniasza i ukręcą łeb sprawie,

471

a potem oczyszczą miasto z niepotrzebnych już mętów i jeszcze zyskają sławę dobrodziejów.

- I nic się nie da zrobić?

- Pomyślę o tym i od jutra zacznę działać. Dziura, od dziś ja przestaję się uchlewać, a ty włóczyć po nocach. Wiemy już wszystko, co trzeba. A teraz przepatrzmy całą broń, jaka jest w domu, bo wkrótce może się przydać. Wymazanie okien i drzwi móżgami zapowietrzonych to była jeno krotofila harcowników.

Niziołek nie miał najszcześliwszej miny, ale też nie rozpaczał. Dopóki nie kazałem mu wychodzić z domu, nie tracił odwagi. A o swoją chudobę był gotów walczyć jak lew. W nocy obudziło mnie skrobanie do drzwi. Stał za nimi Dziura, który sypiał w kącie izby karczemnej na dole. Trzymany w garści łojowy kaganek oświetlał brzydką twarz z malującym się na niej napięciem.

- Zdaje mi się, że coś żem słyszał. Jakby szmery na zadzi.

- Obudź Niziołka, zaraz do was przyjdę.

Nie tracąc czasu na wdziwanie spodni, narzuciłem tylko na grzbiet kaftan, bo noc była zimna, porwałem ciężką laskę hutmana, pistolet i wyszedłem. Zupełnie rozbudzony Niziołek byłby pocieszny w długiej nocnej koszuli, gdyby nie marsowa mina i wielkie łapska zaciśnięte na okutej pałce. Bezszelestnie zeszedliśmy po schodach. Wielkolud przystawił niewiele mniejsze od słoniowego ucho, którym mógł się wachlować w upalne dni, do drzwi na zadzi. Chwilę nasłuchiwał, potem odwrócił się do nas i pokiwał głową. Odwiodłem kurek.

- Teraz! - szepnąłem.

Przekręcił klucz w zamku, odciągnął zasuwę i wypadliśmy na zewnątrz. Dwa cienie odskoczyły od studni na środku podwórza i podbiegły do muru, który odgradzał gospodę od ogrodów na zadzi domu Bonerowskiego. Błyskawicznie jeden wspiął się na drugiego, wdrapał na mur i wyciągnął rękę do kamrata. Strzeliłem do niego, ale w mroku i na tę odległość nie widziałem dobrze i obu udało się zbiec. Dziura pobiegł pod mur z kagankiem.

- Któryś oberwał. Jest trocha świeżej juchy, ale niedużo. I próżna flaszką - oznajmił po powrocie.

W oczach Niziołka zobaczyłem jakby rozczarowanie.

- I co tak patrzysz? Światło było kiepskie, a i oczy już nie te, co kiedyś. A nawet gdybym go ubił, cóż by to dało? Okazałoby się, że

to jakiś rzezimieszek nikomu nieznany i uznano by to za najście pospolitych rabusiów.

- A nie było tak?
- Nie bądź naiwny. Dziura, przynieś tę flaszkę.

Ale samo opróżnione szkło nie mogło nam zdradzić swojej zawartości. Podszedłem do studni. Kłapa na ceber była otwarta.

- Zatruli studnię? - Niziołek nareszcie także pojął, o co szło nocnym markom. - Przecież korzystamy z wody dostarczanej z rurmusu wprost do gospody. Ta ze studni jest ino dla gadziny.
- Widać o tym nie wiedzieli.
- Może to były Żydy?
- Nie gadaj głupstw! - ofuknąłem go ostro.

Uporczywe plotki głosiły, że Żydzi nie tylko sprowadzali zarazę dla pognębienia chrześcijan, ale także potęgowali ją poprzez zatrucie studni ropą zbieraną z ciekących wrzodów zapowietrzonych. Brało się to stąd, że istotnie wielu ludzi chorowało po wypiciu wody, niekoniecznie na zarazę, choć podczas niej zwłaszcza, bowiem studnie przydomowe z powodu zwykłego niechlujstwa często bywały źle utrzymywane i pełne wszelakiego paskudztwa. Inne zaś kopano zbyt płytko i wypełniała je woda gruntowa, z natury niezdrowa z powodu bliskości licznych cmentarzy, ścieków i gnojowisk.

- Upewnijmy się - powiedział i podszedł do kojca, gdzie z trzymanego tam drobiu został samotny kapłon z przyciętymi skrzydłami, wychudzony i osowiały.

Mimo to usiłował protestować i dziobnąć Niziołka, kiedy olbrzym wydobył go z kojca i niósł do studni.

- I tak miał jutro iść na rosół - rzekł i polecił Dziurze: - Nabierz wody. •

Zgrzytnął rozwijany i nawijany na powrót łańcuch, po czym żebrak postawił na ziemi pełny ceber, a Niziołek zanurzył kurczakowi dziób w wodzie i nie puścił, nim ptak nie opił się jak bąk. Z pier-wotku nie działało się nic, lecz po kilku chwilach kapłonem szarpnęło. Wyrwał się prześladowcy, ale nie ubiegł nawet kilku susów i padł wstrząsany drgawkami.

- No i po rosole - stwierdził z żalem Dziura.

Spojrzelśmy po sobie pobladli. Po czym Niziołek bez słowa

poszedł do szopy po rydel, wykopał dół, wrzucił truchło i zasypał je ziemią, którą mocno ubił. Nie wiem jak tamci, lecz ja do rana

nie zmrzyłem oka. Przypomniał mi się „pałac” Króla Żebraków i otruci w nim hultaje, którzy pomarli równie nagle jak ów kapłon. Zdumiewała mnie szybkość i skuteczność użytej trucizny. Nie znałem występującego w naturze jadu, który działał błyskawicznie, i to w tak niedużej dawce. Cóż bowiem znaczyła jedna flaszka wobec galonów wody w studni! Może była to jakaś bliżej nieznana trucizna sprowadzona z Nowego Świata, ale prędzej substancja wyprodukowana sztucznie sposobem alchemicznym. W pierwszej chwili przyszedł mi na myśl Araneus. Czyżby temu nieudacznikowi powiodło się wyprodukowanie niezawodnej trucizny dla swoich mocodawców? Jakoś nie chciało mi się w to wierzyć, poza tym zdaje się, że sam został otruty pocziwym, dobrze znanym arsenikiem, wszystkie objawy na to wskazywały. A w takim razie dla Grota i spółki pracował inny, znacznie zdolniejszy alchemista. Do głowy przychodził mi tylko Sędziwój. Czyżby rację miał Izaak i drudzy kupcy, podejrzewając Sendivogiusa o fałszowanie monet na wielką skalę? Ich skargi do ratusza zbywano, bo może Grot osłaniał swego socjusza i dusił wszelkie oskarżenia w zarodku? A skoro Sędziwój pracował dla Grota, tedy może nie tylko do fałszerstw ograniczała się ich współpraca? Doprawdy, sieć utkana przez Grota była tak imponująca, że mimowolnie poczułem podziw. Zawsze miał zmysł do kierowania i manipulowania ludźmi, lecz tym razem przeszedł sam siebie. Prawy strateg. No i trafiła mu się zaraza, której nie mógł przecież przewidzieć, a jednak potrafił ją wykorzystać do własnych celów w sposób równie śmiały, co bezwzględny. *Audaces fortuna iuvat* \ Do czego mógłby dojść ten człowiek, gdyby spożytkował swe zdolności w inny sposób! Jednak odkąd sięgałem pamięcią, mimo iż studiował prawo, zawsze był z nim na bakier. Urodzony złoczyńca. Nie to mnie zatem uderzało, lecz to, o ile rozumowałem prawidłowo, jak taki Sędziwój mógł związać się z ludźmi tego pokroju? Pewnie, że nie był kryształowo uczciwy, lecz do łotra było mu daleko. A może został zmuszony do współpracy, bo coś na niego mieli, a na Pajaku się zawiedli? Teraz wszak wyglądało na to, że Grot osiągnął już swój cel i zaczął po sobie sprzątać dla zatarcia śladów. Na pierwszy ogień miał pójść Bieniasz, potem inni. Wzbogacony Grot nie

1 *Audaces fortuna iuvat* (lac., Wergiliusz) - śmiałym szczęście sprzyja.

potrzebował fałszywych mińców na przekupywanie drugich rajców i tym podobne ekspensy, miał dość prawdziwych. Nie wróżyłem zatem długiego żywota ani Sędziwojowi, ani Szarskiemu, który od początku nie pasował mi do tej kompanii. Musiałem się pospieszyć, żeby dotrzeć do tych, moim zdaniem najsłabszych ogniów, zanim Grot mnie uprzedzi i zerwie wszystkie nici do niego prowadzące.

Rankiem, a była sobota, nie poszedłem na obchód, tylko na cmentarz Mariacki, gdzie z honorami grzebano Trojana w przytomności - a jakże! - samego burmistrza Grota, który publicznie oddał zmarłemu cześć, wysławiając jego zasługi pod niebiosa. Jakiś ksiądz pokropił trumnę i było po wszystkim. Szedłem o zakład, że gdyby Grotowi nie zależało na wykorzystaniu własnej ofiary do budowania fizyrunku siebie jako męża opatrnościowego, kazałby cisnąć zwłoki do jakiegoś dołu razem z zapowietrzonymi. A tak przy okazji przypomniał żałobnikom o mającej się niedługo odbyć egzekucji Bieniasza, sprawcy

wszystkich nieszczęść nękających krakowian, „grabarza miejskiego, krakowianina z ojca i matki”. Złoczyńca ów, „kiedy się ino zapowietrzyło w domu, a czuł tam u kogo o pieniądzech, a nie mógł umrzeć rychło, tedy go zadławił i zamordował. Mając do tego łotrostwa pomocniki, łupał sklepy, wkładał do prochów pod murami miejskimi, to kradł, brał siarkę, saletrę i sprzedawał, z czego wszystkiego pieniądze wielkie zebrał, a miastu szkodę czynił i za to pójdzie pod miecz”.

Jako i przed cmentarzem zbijano już podwyższenie i ustawiano pień, a stukot młotków i zgrzyt pił zakłócały pochówek. Tłumek wylał się z cmentarza natychmiast po tym, jak ostatnia łopata ziemi spadła na grób hutmana, aby tylko zająć najlepsze miejsca. Zostałem tylko ja, żeby się w spokoju pomodlić za duszę przyjaciela, i Grot. Nie dziwił go mój widok, bo pewnie już wiedział o spłoszeniu nasłanych na mnie trucicieli i przewidział, że domyśliłem się, po co przybyli. Zawahał się, jakby chciał do mnie podejść, lecz rozmyślił się i podążył za drugimi. Za chwilę modlitwę przerwały mi entuzjastyczne okrzyki:

- Niech żyje nasz burmistrz!
- Wiwat ostoja ładu i porządku w naszym mieście!
- Wiwat! Wiwat! Wiwat!

Z trudem przecisnąłem się przez wciąż rosnącą ciżbę, żądną widowiska i pokazu miejskiej sprawiedliwości oraz skuteczności

energicznego burmistrza, i podążyłem pod ratusz, by być świadkiem wyprowadzenia Bieniasza na kaźń. Ciekawiło mnie, w jaki sposób zamkną łotrowi usta, by nie mógł w głos wykrzyknąć prawdy. A z pewnością miał na to ochotę, odkąd pojął, jak bezlitośnie został wystawiony do wiatru i rzucony na żer. Perfidia Grota, który nie kazał zgładzić po cichu współnika, lecz postanowił po raz ostatni go wykorzystać, zasługiwała na uznanie. Spodziewałem się zatem ujrzeć mordercę zakneblowanego staranniejsz niż zazwyczaj i miotającego się w bezsilnej wściekłości, lecz znów spotkała mnie niespodzianka.

Kiedy Bieniasza wyprowadzono z lochu, wcale nie miał na ustach knebla ani opaski, tylko uśmiech. Zrezygnowano z obwożenia głównika wokół rynku i po prostu pognano go pod kościół Mariacki najkrótszą drogą. Pochód poprzedzał kat w urzędowym stroju, ze złowrogim czerwonym kapturem z otworami na oczy nasuniętym na lico i drugą oznaką swego fachu - naszytymi na rękaw kaftana trzema kęsami płótna: białym, czerwonym i zielonym. Na ramieniu niósł nie zaokrąglony na czubku miecz, bo ten rezerwowano dla szlachetnie urodzonych zbrodniarzy, lecz topór, którego błyszczące ostrze odbijało blade promienie jesiennego słońca. Obnażonego do pasa skazańca otaczali ceklarze z batogami, a po bokach szły draby miejskie zbrojne w halabardy, by odpędzać napierający tłum. Widziałem wśród nich Szymona, ale nie Szarskiego. Jego nieobecność uderzyła mnie już na cmentarzu.

Coś innego też mnie uderzyło, lecz zrozumiałem co dopiero wówczas, kiedy na obnażone płuca Bieniasza spadły pierwsze razy. Wprzód jego ciało było zupełnie gładkie! Bez najmniejszej ranki! Osobliwe jak na łotra poddanego mękom. To właśnie spostrzegł Trojan i dlatego zginął. Pewnie przyłapał Bieniasza i Smoka na przyjacielskiej pogawędce. Albo raczej... Hycle uwijali się jak w ukropie, tors skazańca spływał juchą, odurzony krwią tłum był jak opętany, ale Bieniasz kroczył nieporuszony i sztywny, jakby kij połknął. Z gęby nie znikał mu głupawy uśmiezek, źrenice zaś miał rozszerzone i tępo wpatrzone w dal. To było niesamowite. Pierwszy raz widziałem coś podobnego. Aż dziw, że tylko ja zdawałem się to dostrzegać.

Może Trojan zauważył nie tylko brak śladów męczenia więźnia, ale trafił na moment, gdy oprawca i jego ofiara raczyli się trunkiem.

476

Tylko że Bieniasz dostał napitek z jakąś domieszką, która go otępiła. Ale laudanum działało usypiająco. Teraz zaś łotr zachowywał się tak, jakby laudanum połączono z czymś jeszcze, jednak za diabła nie wiedziałem z czym. Aż mnie zmroziło, bo znów ujrzałem w tym rękę biegłego alchemika, a zarazem zawołanego znawcę wszelakich trucizn.

- Złodziej!
- Morderz!
- Przeklętnik!
- Obyś z piekła nie wyjrzał!
- Ściąć takiego to mało!
- Racja! Pasy drzeć z łotra!

Dopiero na szafocie Bieniasz jakby oprzytomniał, rozejrzał się wokół, zmarszczył brwi i potrząsnął głową. Otworzył nawet usta, lecz nic powiedzieć nie zdążył, gdyż małodobry dał znać dwom ceklarzom, którzy pochwycili głównika, podcięli mu nogi, przygięli kark i docisnęli tak, że głowa spoczęła na pniu. Kat tylko na to czekał. Wziął zamach i ciął potężnie, odwalając kudłaty łeb razem z kęsem ramienia. Z kikuta szyi krew bluznęła jak z fontanny, a głowa sturlała się z podwyższenia. Tłum ryknął radośnie. A potem jął skandować nazwisko burmistrza. Odszedłem, żeby się przebrać i doglądnąć chorych. Wieczorem próbowałem odszukać Szarskiego, lecz w ratuszu go nie zastałem, a dom był zamknięty i nikt nie odpowiadał. Nie zdziwiłem się, bo budynek był dość zrurowany, a hutmanowi przysługiwało mieszkanie (z osobnym wejściem) na piętrze ratusza, w sąsiedztwie cel dla „dystyngowańszych gości”.

Sędziwój mieszkał na końcu przeczni Żydowskiej, przy placu na wprost kościoła Świętego Szczepana. Kamienica była okazała, lud zdążył już ochrzcić ją mianem Sędziwojki i opowiadał niestworzone rzeczy o tym, co tam się rzekomo działo. Podobno nocami dobiegały z tamtejszych sklepów potępieńcze krzyki.

- Pana nie ma, wyjechał - oznajmił z błyskiem w oku Bodowski, sługa alchemisty, kiedy mnie rozpoznał. - Ale jest pani.

Ślub Sędziwoja z wdową po swym mistrzu, wyjątkowo rychło po zgonie poprzednika, nie przysporzył mu sympatii i wciąż wzbudzał

1 Dziś plac Szczepański (róg z ul. Świętego Tomasza), ale oryginalna Sędziwojka została zburzona.

477

komentarze. Jego żonę uważano za wiedźmę, która wpierw wpędziła do grobu pierwszego męża, a potem opętała drugiego.

- Nie, dziękuję. Mam sprawę osobistą. Zайдę kiedy indziej.

Zawahał się, jakby chciał mnie zatrzymać.

- Chcesz mi coś powiedzieć?

Chyba coś usłyszał, bo szybko zerknął za siebie.

- Nic. Do widzenia. - I zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

Tej nocy czuwaliśmy na zmianę, lecz nic się nie wydarzyło. Dwa kolejne dni także upłynęły w miarę spokojnie. Szarski wciąż był nieuchwytny. Co dzień, idąc na obchód, zabierałem ze sobą Dziurę, oddając mu swój pistolet z przykazaniem:

- Pilnuj mi zadka.

Trupów na ulicach znajdowano coraz mniej, mniej także było zarażonych, a pierwsza grupa ozdrowieńców opuściła szpital Świętych Rocha i Sebastiana. Trzeciego dnia przed południem z dała ujrzeć zbiegowisko koło kościoła Świętego Wojciecha i usłyszeliśmy wrzaski rozwścieczonego i przerażonego tłumu:

- Golem!

- Chcą nas wymordować, Żydy plugawe!

- Zabijają chrześcijan we własnych łózkach!

- Że też nie ma na nich kary!

Na widok mojej ptasiej maski ludzie rozstępowali się ze strachem. Przepchnęliśmy się do kamienicy Gutteterów, zwanych też Dobrodziejскими. Pochodzący z Niemiec, wielce zasłużeni dla miasta Gutteterowie otrzymali polski indygenat i pieczętowali się herbem Grzymała. Stanisław był znanym w Krakowie medykiem, zaś mój imiennik Kacper Gutteter wziął radzieństwo po swoim ojcu Zygmuncie i był jedynym rajcą oprócz Grota, który pozostał jeszcze w mieście.

- Przykro mi, doktorze - Szymon zatrzymał mnie u bramy, której strzegło dwóch drabów, nastawionymi halabardami trzymając gapiów na dystans - ale mamy rozkaz burmistrza, by nikogo postronnego nie wpuszczać do środka. A zwłaszcza ciebie. Tamtego biedaka żaden lekarz już nie poskłada do kupy.

- Ale możesz mi powiedzieć, co tam się podziało? - spytałem, ściągając maskę i powierzając ją Dziurze.

- Straszne jatki. Ktoś porąbał rajcę Guttetera na sztuki. Cała izba zajązowana niby rzeźnia.

478

- Wiadomo kto?

- Tak. Golem.

- Dworujesz sobie?

- Chciałbym, doktorze, Bóg mi świadkiem. Lecz na własne oczy widziałem glinianego potwora, jak wychodził z tej bramy z zajązowanym toporem. I nie ja jeden, bo przeszedł przez rynek. Dobry Boże, omal nie porobiłem się ze strachu i wcale się tego nie wstydzę!

Spojrzał na mnie wyzywająco, jakbym chciał zakwestionować jego odwagę i trzeźwość umysłu, lecz byłem od tego daleki.

- Wielu jeszcze zabił?

- Chwalić Pana, chyba nikogo.

- A dokąd poszedł?

- To jest najdziwniejsze. Patrzy na to, że do ratusza. Jeny, że nikt go tam nie widział. Zniknął jak kamfora.

W tej chwili z sieni wyłoniło się dwóch grabarzy z trumną. Zaraz czterech mężczyzn, być może lutrów, gdyż zamordowany był starszym zboru lutersko-kalwińskiego, skoczyło pomóc im ją dźwigać do kaplicy Świętego Wawrzyńca w kościele Panny Marii, uposażonej przez Dobrodziej skich i nazywanej Gutteterowską. Za grabarzami wyszedł Szarski z trzema pacholami i skinął na czekających już mularzy i stolarzy, by zajęli się zamknięciem domu na głucho. Nie zdziwił go mój widok.

- Nie masz tu nic do roboty. Ani jako medyk, ani jako inwestygator. Ofiara jest tak martwa, że bardziej być nie może, a sprawca znany.

- Słyszałem, ale ciężko dać wiarę.

- To uwierz. Widziało go ze dwudziestu isćców, niektórzy całkiem z bliska, a wszyscy godni zaufania. Pamiętasz te znaki, wymalowane juchą w żebraczej klecie na cmentarzu Mariackim? TU buksztaby były takie same, tylko tym razem napisane prawidłowo. Nie ma żadnego dubium: to golem, żydowski potwór z gliny. Taki sam jak ten z Pragi.

- Nie podoba mi się to, Matys. I nie tylko to. Musimy pogadać.

- Nie mam ci nic do powiedzenia. Przepuść mnie. Mamy robotę do wykonania.

- Chcecie schwytać golema?

- Niby jak? Nie, ukarzymy tych, co go wypuścili na miasto. Zniszczymy kramy żydowskie, zarekwirujemy towary i wyświecimy Żydów poza mury. Na początek.

479

- Nie możecie tego zrobić!

- Możemy i zrobimy - powiedział stanowczo, ale minę miał ponurą jak noc. - Rozkaz burmistrza. Odsuń się.

Odepchnął mnie i skinął na strażników, by poszli za nim. Ktoś musiał usłyszeć naszą rozmowę i powtórzyć innym, bo ciżba natychmiast ochoczo ruszyła za pacholkami, rycząc radośnie:

- Hajda na Żydów!

- Niech żyje sprawiedliwy burmistrz Grot! Najlepszy, jakiego kiedykolwiek mieliśmy!

- Wyżenąć z miasta łotrów, co zabili Chrystusa!

- A kto sprowadził do miasta zarazę i golema? Żydy!

- Precz z Żydami!

Motłoch zawsze był skłonny do gwałtów, zwłaszcza gdy nie musiał obawiać się justycjariuszy. Zaraza podsyciła niechęć do sta-rozakonnych, a pojawienie się morderczego golema i strach przed nim jeszcze spotęgowały nienawiść. Patrzyłem bezradnie z oddali, jak wyłamywano okno i drzwi w kramie Izaaka i innych kramach należących do Żydów. Nie było ich wiele, bowiem tylko nieliczni Izraelici mieli prawo handlować w Krakowie, a i tak na noc musieli wracać do Miasta Żydowskiego. Na szczęście Izaak przewidująco opróżnił kram dawno temu i od tej pory nie pojawiał się w mieście. Ale krawcy i drobni przekupnie z Wendety nie mieli tyle szczęścia, a do nich dobrano się w następnej kolejności. Wkrótce dobiegły stamtąd płacze i krzyki, a na Rynku pojawili się pierwsi łupieżcy objuczeni zrabowanym towarem i udawali, że umykają przed udającymi, że ich gonią, pacholkami. Nałożyłem maskę i wróciłem do swojej roboty, choć pałeczka, którą dotykałem petocji i dymienie na ciałach chorych, drżała mi w dłoni. Jeśli szybko czegoś nie wymyślę, Żydzi lada dzień stracą swego Megale Amukota i nie tylko jego. Myliłem się bowiem, mniemając, że Grot już zrealizował swój plan. Owszem, skończył z rabunkami w mieście z chwilą wydania

na śmierć Bieniasza, ale teraz miał nowy cel - Oppidum Iudaeorum. Czas zaś był odpowiedni: wojsko wyszło z zamku razem z królem, a osamotnieni starościnscy byli zbyt słabi, by powstrzymać krucjatę, którą Grot sobie wykoncypował w swym zbrodniczym umyśle.

Polubiłem rabina ben Becalela, więc sprawa Megale Amukota, za którego czułem się poniekąd odpowiedzialny, przypomniła mi o innym, dawniejszym zobowiązaniu, którego się podjąłem, i wciąż

480

nic w tej sprawie nie działałem. A czas uciekał. Na szczęście imć Ludwig z gospody „Pod Jeleniem”, z chciwości albo braku wyobraźni, nie zdecydował się zamknąć swego przybytku na czas zarazy jak Niziołek. Acz, zgodnie z prawem, przyjmował ograniczoną liczbę gości i nie dopuszczał do pijackich ekscesów. Jednak znów nie miał dla mnie dobrych wieści. Teraz wszak jego zaprzeczeniu na pytanie o Pawełka Kichlarczyka jakoś brakowało zdecydowania.

- Znacie mnie, mości Ludwigu?
- No pszeciesz! Któs w mieszczce fas nie sna, doktorze Hiropoński!
- Macie do mnie zaufanie?

Chrząknął.

- Pefnie. Nikdy nie syszaem o faszczu nic słego, pszczefnie.
- Zatem zapewniam was, że nie zamierzam go pokrzywdzić. Przeciwnie. Dostanie okazję do dobrego zarobku, a przy okazji możnego protektora.

Podrapał się po łysym czerepie.

- No nie fiem... A bo mu tu szle?

Wyjąłem mieszek, a z niego dukaty i nieśpiesznie zacząłem układać je w stosik, aż doszło do dziesięciu. W oku karczmarza pojawił się błysk. Jednak był chciwy. Podsunąłem stosik w jego stronę.

- To dla was. Za nic. Po prostu powiedzcie, gdzie go znajdę.
- Jest na kósze. Piersze czfi na lefo. Sjawił sie tu tusz pszet sa-rasom i jusz ostał. Ale nie fychoci i nikogo nie przyjmuje.
- Mnie przyjmie.

Wzruszył ramionami i zajął się innymi gośćmi. Wdrapałem się na piętro i zapukałem.

- To wy, gospodarzu?
- Nie.
- No to nie ma mnie. Idź precz.

- Jeśli odejdę, zabiorę ze sobą dziewięćdziesiąt dukatów, które przyniosłem dla ciebie.

Niemal natychmiast drzwi się otworzyły, lecz tylko na małą szparę, w sam raz by wystawić oko.

- Nie znam cię.

- Nie musisz. Zresztą nie dla mnie masz pracować, jestem tylko pośrednikiem.

- Naprawdę masz dla mnie dziewięćdziesiąt czątych?

481

Brzęknąłem pękającym mieszkaniem. W odpowiedzi drzwi uchyliły się szerzej, a potem zamknęły za mną. Izba była niewielka i okropnie zabałaganiona. Resztki jedzenia, próżne szkła i pojedyncze sztuki odzienia walały się wszędzie, wymieszane ze sobą. Mieszkaniec tej izby był niechlujem. Ale stojące pod oknem pulpit i mały stolik z przyborami do pisania były utrzymane we wzorowym porządku. Z ciekawości przyjrzałem się człowiekowi o tak dwoistej naturze. Uderzyło mnie, że Kichlarczyk był bardzo młody. Najwyżej osiemnastoletni. Musiał wcześniej zacząć bawić się w fałszerza dokumentów. Pewnie jeszcze w szkole, bo jakąś musiał skończyć, zanim zabrał się do wyrabiania pierników, co porzucił chyba jeszcze prędzej niż naukę łaciny. Cóż, każdy inaczej pożytkuje swą wiedzę i umiejętności. Poza tym, choć wygląd miał niedbały, nie patrzył na łotra. Na bystrego spryciarza owszem.

- Czemu nie sto? - Łypnął szelmowsko niewiarygodnie niebieskim okiem spod bujnej rudopszenicznej czupryny.

- Bo dziesięć wziął gospodarz.

- A to chciwiec!

W tym byliśmy zgodni.

- Co to ma być?

- To, co zazwyczaj. Podróbki listów. Bieda w tym, że muszą być napisane po łacinie.

- Żaden kłopot. Znam łacinę lepiej od księży, którzy mnie uczyli. Poradzę sobie także z niemieckim. Co więcej, nigdy nie zapominam raz poznanego pisma czy podpisu!

- Wybornie.

- Zatem załatwione. Biorę tę robotę.

Wyciągnął rękę po pieniądze.

- Hola! Sprawa jest delikatna. Musisz pójść ze mną.

- Dokąd?

- Na zamek.

Podrapał się po nieistniejącej brodzie.

- Wbrew pozorom wysoko urodzeni panowie wcale nie są najlepszymi klientami. Nie płacą terminowo albo wcale. A gdy się upomnieć o swoje, grożą kijami.

- Ten taki nie jest. To król.

Gwizdnął.

- No, no. Ale skąd mam mieć pewność, że to prawda?

482

Rzuciłem mu kieskę. Złapał ją w locie i natychmiast zajrzał do środka.

- Myślę, że jeśli sprawisz się dobrze, dostaniesz więcej. Lecz to już nie moja sprawa.

Bez słowa porwał sak, wrzucił do niego kilka sztuk odzienia oraz mnóstwo ryz rozmaitego papieru, całą kolekcję gęsich piór i kałamarzy. Pochwyciwszy moje spojrzenie, wyjaśnił:

- Zbieram papiery, nasze i postronne, ponieważ każda papiernia ma swój wodny znak alias filigran. To samo tyczy inkaustu. Jest ich wiele rodzajów, a każdy piszący ma swój ulubiony.

- Pojmuję.

- No, to możemy iść.

- "tylko nie próbuj zemknąć z pieniędzmi. - Ostrzegawczo rozchyliłem połę kaftana i pokazałem mu pistolet za pasem.

- Bez obawy. I tak cknęło mi się już sam niemożebnie. Każda odmiana będzie lepsza.

Na ulicy czekał na mnie Dziura, którego zostawiłem tam, by dawał baczenie, czy ktoś za mną nie szlakuje.

- Nikogo podejrzanego zem nie widział - oznajmił niepytany.

Mimp to kazałem mu iść za nami w pewnej odległości i udaliśmy się na Wawel. Straż przy Dolnej Bramie rozpoznała mnie, lecz wpuścić nie chciała.

- Rozkazy - usprawiedliwił się podoficer, ale posłał hajduka do Grodu.

Jako i po chwili dostaliśmy wolne przejście.

- Nareszcie! - ucieszył się podstarość Jan Staszkowski. - Bo nie dalej jak wczoraj przybył z Lublina umyślny od króla. Akurat miałem pchnąć kogoś do miasta, by rozpytał o waszmościa.

- Ja właśnie w tej sprawie. Goniec może już wracać i zapewnić jego królewską mość, że już nie musi się trapić. Ten tu młodzian zwie się Pawełek Kichlarczyk. Trzeba mu przydzielić wygodną kwaterę, wikt i opierunek, aby na niczym mu nie zbywało i mógł całkowicie poświęcić się swemu zadaniu.

Falszerz nadał się w poczuciu ważności swej osoby.

- Zrobi się, doktorze.

- Pójdę teraz do Rabsztyna po materiały, z którymi chłopiec będzie pracował. Niedługo wrócę i objaśnię mu dokładnie, co ma robić.

483

Majordomus zarządzający Rabsztynem pod nieobecność Zamojskiego powitał mnie jak domownika. Oddał mi dwa listy, które nadeszły podczas mojej nieobecności, i zaproponował wieczerzę. Odmówiłem, lecz poprosiłem, by w kuchni poczęstowano czymś Dziurę, chciałem bowiem pobyc trochę w samotności.

W mojej dawnej kwaterze nic się nie zmieniło. Statki, których nie zdążyłem zabrać ze sobą do gospody „U Balcera”, wciąż czekały na mnie lub Jankę. Długo stałem przed portretem żony, wpatrując się w kochane rysy. Czy zdążymy się jeszcze zobaczyć? Z największym trudem otrząsnąłem się z żalu i tęsknoty. Usiadłem za stołem, starłem kurz z blatu, złamałem pieczęcie i zająłem się lekturą.

Stachnik Żółkiewski wyrażał nadzieję, że Bóg ustrzeże nas wszystkich od zarazy i dozwoli doczekać lepszych chwil. Pisał o swoim długim powrocie do zdrowia i skarżył się na nogę, która mu wciąż doskwierała, nie przeszkadzając jednak w planowaniu rozbudowy Winnik 1. Zamierzał w przyszłości uczynić z nich dobrze prosperujące i tętniące życiem miasteczko. Przypominał, że jak tylko ustanie żałoba po ojcu, zamierza się ożenić z panną Reginą Herburtówną. Byli po słowie i wszystko zostało ustalone. Uroczystość miała się odbyć w katedrze lwowskiej, zaś oboje narzeczeni nie wyobrażali sobie, by Janki i mnie mogło tam zabraknąć. Co do buławy hetmańskiej, to Zamojski, jadąc do Lublina na spotkanie z królem w sprawie Maksymiliana, obiecał definitywnie załatwić tę sprawę, lecz czy tak się stanie, Bóg raczy wiedzieć. Między wierszami wyczuwałem zdenerwowanie Stachnika. I nic dziwnego, bo jego misternie budowane plany na dal od tego zawisły. Na koniec dołączał dla nas obojga najserdeczniejsze uściski w imieniu własnym i swojej pani.

List od Zamojskiego był późniejszy, sprzed zaledwie pięciu dni. Oprócz pozdrowień zawierał sporo nowin:

Nie chwalcąc się, chcę Cię pierwszego (Stachnika nie rachując, bo umyślny, któremu posiał z listami, wprzód miał zajechać do niego) uwiadomić o szczęsnej nowinie. Otom przymusił króla, by nareszcie przyznał Żółkiewskiemu buławę! Z pierwotku, jak to on,

1 Późniejsza Żółkiew (28 km na pn.-wsch. od Lwowa; nazwa na pamiątkę gniazda rodowego w powiecie krasnostawskim).

wahał się i czynił wstręty (słyszałem, że już śmieją się z tej i drugih jego przywar i powiadają: „Trzy T wyrządziły zło naszemu królowi: taciturnitas, tenecitas, tarditas”¹; obzywają go też „3 P”: pius, par-cus, pertinax² - takiego żeśmy sobie pana wybraли!), tom mu rzekł śmiejąc: Nie psiać wżdy krew tego nieboraka Żółkiewskiego, której tak wiele wydał! I co? I dostał nasz Stachniczek nie samą buławę hetmana polnego koronnego i przewodzenie obroną potoczną kresów przed Tatarami, lecz także starostwo hrubieszowskie, kałuskie i kasztelanię lwowską, by mógł piastować godność senatora! Godny podarek ślubny, nieprawdaż?

Co do sprawy, o której wiesz, to jeszcze nie zdecydowałem, czy zrobię użytek z dowodów, które zdobyłem. Zależy, jak rzeczy się potoczą. Może i nie jest to wcale taki zły pan, jak się zdaje? Pożyjemy, zobaczymy.

Notabene, zaraza zatacza coraz szersze kręgi i ludzie wszędy mrą jak muchy. Dotarła już do Lublina, tedy kto żyw chce stąd uciekać. Ja wracam do Zamościa, zaś król z królową starą i królewną szwedzką lada dzień ruszają do Warszawy. Chciałem ten list przesłać przez Twoją Panią, lecz już wyjechała. Ponoć jesteś konający? W Bogu nadzieja, że jak to z Tobą nie raz i nie dwa bywało, jakoś się urykara-skasz. Będę się o to modlił i o to także, by to pismo dotarło w Twoje ręce. Tuszę, że spalisz je zaraz po przeczytaniu...

Tak uczyniłem. Nie wyrzucałem sobie, że zapewne popsuję mu misterną grę, jaką prowadził z królem. Ja mu dałem broń do ręki i ja ją odbiorę. On też niejedną raz robił machinacje za plecami przyjaciół, kiedy mu tak dogadzało, tłumacząc to racją stanu. Wystarczy wspomnieć, jak zniszczył ongiś, nie pytając nikogo o zdanie, dowody przeciw matactwom Mniszchów, które zdobyłem z narażeniem życia. Ufałem, że nie poweźmie urazy i nie okaże niełaski Jance i Kacprowi juniorowi. Mimo wszystkich wad z pewnością nie był małostkowy.

Potem sam zasiadłem do pisania. Krótko odpowiedziałem na listy, po czym sporządziłem dla króla dokładną instrukcję, w jaki sposób należy wykorzystać niecodzienne umiejętności Kichlarczyka.

- 1 Taciturnitas, tenecitas, tarditas (lac.) - malomówność, upór, powolność.
- 2 Pius, parcus, pertinax (lac.) - pobożny, oszczędny, zacięty.

Na koniec wziąłem teczkę z papierami i wzorami pieczęci, które otrzymałem od króla, i poszedłem do Grodu, po drodze zabierając Dziurę. Pawełkowi przypadła do gustu nie tylko kwatery, ale i zainteresowanie, jakie mu okazywano.

- Wiesz, że nie będziesz mógł opuścić Wawelu, dopóki nie skończysz roboty? - tonowałem jego entuzjazm.

- Donikąd mi nie pilno. Mam tu wszystko, co trzeba. A pokojowe... Palce lizać! Jest na czym oko zaczepić.

- To świetnie.

Wy tłumaczyłem mu dokładnie, na czym ma polegać jego robota.

- Pamiętaj, że treść jest obojętna, im głupsza, tym lepiej. Byle charakter pisma się zgadzał i podpisy oraz pieczęcie wyglądały na autentyczne. Poradzisz sobie?

Uważnie obejrzał pod światło dostarczone dokumenty.

- Co by nie. Tylko z pieczęciami może być kłopot. Ale znam pewnego pieczętarza i grawera w jednej osobie, który...

- Każdą potrzebę zgłaszaj panu podstaroście, on wszystko załatwi. A kiedy będziesz gotów, odstaw cię do króla. Nieprawdaż? - Odwróciłem się do Staszковского, który w pierw zapukał, a potem wszedł do izby i słyszał ostatnie słowa.

- Tak jest. Czy potrzebujecie jeszcze czegoś, doktorze Turo-poński?

- Mam jedną ważną sprawę do waszmości, ale na osob...

Nie dokończyłem, ponieważ uderzył mnie wygląd Kichlarczyka. Chłopak stał osłupiały i gapił się na mnie wytrzeszczonymi oczyma.

- Wasza miłość... Nazywasz się... Tbro-poński? - wyjąkał.

- Owszem.

- Jezu!

- Co się stało?

- Toż ja pisałem list w pańskim imieniu!

- Wiem. Prawie rok temu.

- Też. Ale drugi nie dalej, jak tydzień temu! Przykro mi...

Poczułem, że robi mi się słabo.

- Mów. Co było w liście i kto zlecił ci jego napisanie?

- Taki jeden, bardzo wysoki. Istna wieża. Nie znam go. Żle mu ze ślepiów patrzyło, lecz zapłacił dobrze, pięć dukatów. A w liście stało, że wasza wielmożność jeste konający i koniecznie chcesz widzieć przed śmiercią żonę i syna...

Jak błędny zrobiłem kilka niepewnych kroków na uginających się nogach i opadłem ciężko na stołek. Teraz pojąłem nie tylko niejasną wzmiankę w liście od Zamojskiego: „Chciałem ten list przesłać przez Twoją Panią, lecz już wyjechała”. Z pierwotku myślałem, że to królewna szwedzka posłała ją przodem do Warszawy, by przysposobiła komnaty na jej przybycie. Ale już wiedziałem, że to Grot za pośrednictwem swego fagasa Smoka posłużył się Kichlarczykiem, by zwabić Jankę i Kacperka w pułapkę. Mając ich, trzymał mnie za gardło. Dlatego nie nastawa! na mnie po nieudanym zamachu trucieli. Znalazł pewniejszy sposób, by zamknąć mi usta. Zapewne od Kettlera dowiedział się, że Pawełek potrafi podrobić moje pismo. Co powiedział fałszerz? „Nigdy nie zapominam raz poznanego pisma czy podpisu”. Zaś Grot znał Kettlera, skoro podnajął bielaka do zlikwidowania Króla Żebraków. Mój Boże! Co mam teraz robić? Janka z pewnością nie podejrzewała podstępu i gnała do Krakowa jak na skrzydłach, zaś ludzie Grota już na nią czekali przed rogatkami. Rany boskie... Vae mihi!

- Doktorze, co waści? - zatroszczył się podstarość. - O co tu chodzi? I kim właściwie jest ten człowiek?

To ostatnie odnosiło się do Kichlarczyka, który miał minę winowajcy.

- Już w porządku - odparłem, zbierając siły. - Chodźmy stąd. A ty, młodzieńcze, bierz się do dzieła. Wszystko zostaje po staremu. Nasza umowa wciąż obowiązuje.

Jakoś udało mi się o własnych siłach zejść na dół, gdzie w sieni cierpliwie czekał Dziura.

- Dwie sprawy na koniec, mości starosto. Pńmo: Kichlarczyk ma robotę do wykonania dla króla, nie tylko ważną, lecz i sekretną. Dlatego jest istotne, by jak najmniej osób go poznało i żeby nikt, nawet waszmość, nie wiedział dokładnie, na czym ta robota ma polegać. Trzeba go strzec jak żrenicy oka, a kiedy skończy pracę, natychmiast pod strażą odstawić do króla razem z jego dziełem i zapomnieć o wszystkim, chyba że jego królewska mość zarządzi inaczej.

Poważnie skinął głową.

1 Vae mihi (lac.) - biada mi.

487

- Tak uczynię. A secundol

- Druga sprawa jest natury publicznej. Idzie o bezpieczeństwo w mieście.

- A co się dzieje?

Opowiedziałem mu pokrótce.

- Jutro, najdalej pojutrze, można spodziewać się najścia motłochu na Miasto Żydowskie. Wszystko, co działo się do tej pory, było jedynie przygotowaniem gruntu.
- A ten, jak mu tam, golem?
- To sztuczka dla zamydlenia oczu. Ktoś sprytnie wykorzystuje praską baśń do własnych celów.
- Kto?

Zawahałem się, wiedząc, że mi nie uwierzy.

- Burmistrz powietrzny Jan Grot. Do spółki z katem Matuszem Strzelbickim i dawnym podhutmanim, a obecnie hutmanem Matysem Szarskim. Stary hutman Bartłomiej TYojan nie partycypował w spisku, więc zginął. Podejrzewają, że ja także wiem za dużo, i dlatego porwali moją żonę i syna, zawróciwszy ich z Lublina podstępem.

Milczał. Minę miał zafrasowaną, unikając mego wzroku, oczy wbijał w czubki butów. Wreszcie rzekł:

- Szanuję was wielce, doktorze. Wiele słyszałem o waszych przewagach wojennych i tych jako inwestygator jego królewskiej mości także. Dlatego wierzę waści, choć to, o czym prawicie, doprawdy w głowie się nie mieści. Współczuję ci także, jeśli istotnie twoi bliscy znaleźli się w objęty. Ale musisz mnie zrozumieć. Urząd mój piastuję tymczasowo, do najbliższego sejmu. Jeden błąd i po mnie. Nie mogę, ot tak sobie, położyć aresztu na burmistrzu! Ukrzyżowano by mnie lub rzucono lwom na pożarcie. Potrzebuję demonstratio ad oculos¹, a najlepiej czarno na białym, i to niepodważalnego, a i tak ryzykuję skórą. Jednak gotów jestem uczynić to dla ciebie, doktorze, tylko mi dostarcz dowodów. I to nim dojdzie do tumultu, bo wyznam szczerze, że nie zdołalibyśmy powstrzymać tumultantów. Połowa moich ludzi zległa w lazarecie, złożona niemocą. - Rozłożył bezradnie ręce. - Przykro mi.

Zrozumiałem, że zostałem sam.

1 Demonstratio ad oculos (łac.) - dowód naoczny.

488

- Postaram się dostarczyć waści dowody. Jeśli zdołam. Proszę jedynie, byś przy okazji odesłał te pisma. - Podałem mu listy.

Skinąłem na Dziurę i po kładce na Rudawie przed Kanonną ulicą wróciliśmy do miasta. Było już grubo po zmierzchu. Nagle ciemności rozdarła wielka jasność, a na niebie pojawiły się straszliwe migotania. Całe sklepienie niebieskie jakby ożyło, pulsując nieopisaną grozą i zapowiadając apokalipsę.

- Chryste! - jęknął wystraszony Dziura, kuląc się ze strachu. -Koniec świata!

A ja przypomniałem sobie proroctwo rabina ben Becalela, który przewidział możliwość najścia motłochu na Oppidum Iudaeorum i śmiertelne zagrożenie dla cudownego dziecięcia Megale Amu-kota: „Straszne znaki na niebie i ziemi obwieszczą nam tę porę”. Koło kościoła Wszystkich Świętych spotkaliśmy Szymona i dwóch strażników.

- Doktor Hiropoński! Niebezpiecznie chodzić po nocy, i to takiej... - Wzdrygnął się, spoglądając w niesamowite niebo nad miastem. - Może odprowadzić waszą wielmożność do domu?

- Dziękuję, nie trzeba. Nie wiesz, gdzie zastanę hutmana Szarskiego, w ratuszu, zali na starych śmieciach? Pilnie muszę się z nim rozmówić.

Stropił się i odciągnął mnie na bok.

- Hutman miał dziś po południu sprowadzić się do ratusza. Ale nie uczynił tego. Co więcej, ostro posprzeczał się z burmistrzem. Nie wiem, o co poszło, bo nie śmiałem podsłuchiwać. Lecz hutman wyszedł od burmistrza z nachmurzonym obliczem, trzasnąwszy drzwiami, i wieczorem nie stawiał się na służbę.

Rozstaliśmy się. Oni poszli ku Grodzkiej, ja zaś skręciłem ku Wiślniej, gdzie niedaleko brony tejże nazwy, zawartej na głucho, tuż obok karczmy „Rzym” dla pobożnych pielgrzymów, podczas zarazy zamkniętej jak nasza „U Balcera”, mieszkał Matys Szarski. Odebrałem od Dziury swój pistolet.

- Leć do gospody i czekajcie na mnie. Nie wiem, kiedy wrócę, lecz nic mi nie grozi.

Pognał jak na skrzydłach, zadzierając głowę i lekliwie obserwując niebo, na którym wciąż rozgrywało się upiorne spectaculum. Dom Szarskiego był niepozorny, parterowy, drewniano-gliniany, gont na dachu dopominał się o wymianę. Nigdy nie byłem wewnątrz.

489

m

Znaliśmy się od dziecka i lubili, bowiem obaj wychowaliśmy się w przytułku, lecz wielkiej zażyłości między nami nigdy nie było. Zbyt wiele nas dzieliło. Długo musiałem się dobijać, nim usłyszałem ciężkie kroki i mało przyjazny głos:

- Kogo tam diabli niosą o tej porze?

- To ja, Ryx. Musimy pogadać.

- Dobrze ci radzę: wynoś się.

- Będę tu stał i łomotał, dopóki mnie nie wpuścisz.

Zgrzytnął rygiel.

- Wejdz, skoro chcesz. Szybko!

Ledwo wśliznąłem się do mrocznego wnętrza, zasunął rygle i cofnął się ku schodom wiodącym na strych, na których dostrzegłem przygotowany istny arsenał: garłacz z rozszerzoną na końcu lufą, trzy pistolety, dwie rusznice oraz prochownicę i ładownicę na kule. Nie przejmując się mną ani możliwością zapalenia się prochu od iskry, usiadł na stopniu, płonący kaganek postawił obok i zajął się ładowaniem jednej z rusznic.

- Stój lub usiądź obok, jak wola. Szczerze rzekłszy, miałem nadzieję, że przyjdiesz. Tylko nie wiedziałem, kto zjawi się pierwszy. Ty czy oni.

- Jacy oni?

- Zbiry burmistrza. Pod przewodem jego fagasa, Smoka. Bo wątpię, by nasz małodobry zechciał się osobiście pofatygować. Dotąd krył się w cieniu, dobrze na tym wychodził i pewnie tego się będzie trzymał do końca. A gdy, a raczej jeśli ów nadejdzie, pozbędzie się Grota i zatrze ślady prowadzące do siebie. Taki to człowiek. Grot myśli, że jest głową całego przedsięwzięcia, ale tylko mu się tak zdaje, bo szyją, która tym wszystkim kręci, jest małełepszy. Kęs czasu mi zajęło, by do tego dojść.

- Od dawna dla nich pracujesz?

- Nie. Z początku mi nie ufali, więc obserwowali mnie i ostrożnie badali, zali zechcą do nich przystać. Aż dopięli swego.

- Wciąż ciężko mi dać wiarę, że dałeś się skaperować takim łotrom.

Parsknął pogardliwie.

- Łatwo ci gadać i prawić morały! Tobie zawsze wszystko się udawało. Nigdy nie cierpiałeś niedostatku. Ja nie miałem tyle szczęścia w życiu. Wszystko musiałem wyszarpać pazurami. I do czego

490

Znaliśmy się od dziecka i lubili, bowiem obaj wychowaliśmy się w przytułku, lecz wielkiej zażyłości między nami nigdy nie było. Zbyt wiele nas dzieliło. Długo musiałem się dobijać, nim usłyszałem ciężkie kroki i mało przyjazny głos:

- Kogo tam diabli niosą o tej porze?

- To ja, Ryx. Musimy pogadać.

- Dobrze ci radzę: wynoś się.

- Będę tu stał i łomotał, dopóki mnie nie wpuścisz.

Zgrzytnął rygiel.

- Wejdz, skoro chcesz. Szybko!

Ledwo wśliznąłem się do mrocznego wnętrza, zasunął rygle i cofnął się ku schodom wiodącym na strych, na których dostrzegłem przygotowany istny arsenał: gałacz z rozszerzoną na końcu lufą, trzy pistolety, dwie rusznice oraz prochownicę i ładownicę na kule. Nie przejmując się mną ani możliwością zapalenia się prochu od iskry, usiadł na stopniu, płonący kaganek postawił obok i zajął się ładowaniem jednej z rusznic.

- Stój lub usiądź obok, jak wola. Szczerze rzekłszy, miałem nadzieję, że przyjdiesz. Tylko nie wiedziałem, kto zjawi się pierwszy. Ty czy oni.

- Jacy oni?

- Zbiry burmistrza. Pod przewodem jego fagasa, Smoka. Bo wątpię, by nasz małodobry zechciał się osobiście pofatygować. Dotąd krył się w cieniu, dobrze na tym wychodził i pewnie tego się będzie trzymał do końca. A gdy, a raczej jeśli ów nadejdzie, pozbędzie się Grota i zatrze ślady prowadzące do siebie. Taki to człowiek. Grot myśli, że jest głową całego przedsięwzięcia, ale tylko mu się tak zdaje, bo szyją, która tym wszystkim kręci, jest małełepszy. Kęs czasu mi zajęło, by do tego dojść.

- Od dawna dla nich pracujesz?

- Nie. Z początku mi nie ufali, więc obserwowali mnie i ostrożnie badali, zali zechcą do nich przystać. Aż dopięli swego.

- Wciąż ciężko mi dać wiarę, że dałeś się skaperować takim łotrom.

Parsknął pogardliwie.

- Łatwo ci gadać i prawić morały! Tobie zawżdy wszystko się udawało. Nigdy nie cierpiałeś niedostatku. Ja nie miałem tyle szczęścia w życiu. Wszystko musiałem wyszarpać pazurami. I do czego

490

doszedłem? - Objął gestem niepozorne wnętrze. - Pociągnij nosem. Czujesz?

Od dawna wyczuwałem wszechobecny zapach pleśni, zgnilizny i czegoś, co dobrze znałem: choroby i śmierci.

- Mój pierworodny nie dożył pięciu lat. Medyk powiedział, że to z powodu grzyba w domu i marnego odżywiania. Drugi syn był szpotawy, a córeczkę ostatnio dręczył suchy kaszel. Żona też wiecznie się na coś uskarżała...

- Dlaczego mnie do nich nie wezwałeś? - przerwałem mu, poruszony.

- Bo nie było mnie na ciebie stać.

Tym razem uraził mnie boleśnie.

- Bzdury! Nigdy nie brałem pieniędzy ani od biedaków, ani tym bardziej od przyjaciół!

Spuścił głowę.

- Wiem. Prawda jest taka, że było mi wstyd prosić cię o pomoc, zwłaszcza odkąd się tak świetnie ożeniłeś i zamieszkałeś za miastem w domu, o jakim ja mogłem tylko pomarzyć. Długo łudziłem się nadzieją, że Trojan ustąpi z urzędu i mnie nań zaleci. Zyskałbym godne mieszkanie i lepsze wynagrodzenie. Ale on jeno mnie zwodził i uparcie trwał na urzędzie, choć był już stary i coraz bardziej nieudolny, a cała jego robota właściwie spadała na mnie.

- Nie miał nic oprócz tej pracy. Tylko ona trzymała go przy życiu.

- To też wiem. Ale nie mogłem dłużej czekać. Miałem rodzinę na utrzymaniu. Grot od dawna planował opanować ratusz. Dopóki starczyło mu pieniędzy, kupował rajców i ławników, by zyskać poparcie. Nienawidzili się z Trojanem, który przejrzał jego grę i szkodził mu, jak mógł. Starsi rajcy ufali Trojanowi i Grot nie mógł go usunąć z urzędu, choć bardzo się starał. Dlatego pożyczył mi sporą sumę, gdy byłem w potrzebie, a kiedy nie mogłem zwrócić długu, trzymał mnie w garści. Zresztą z początku patrzyło na to, że Grot naprawdę miał pomysł, jak rządzić miastem sprawniej i energiczniej niż drudzy, i wpuścić do zatechłych urzędów trochę świeżej krwi. To mi się spodobało. Lecz pieniądze szybko mu się skończyły, a celu nie osiągnął. Nie wszedł do rady urzędującej, ponieważ wojewoda Tęczyński go nie lubił. Myślę, że Grot popełnił błąd i spróbował przekupić wojewodę fałszywymi pieniędzmi, kiedy zabrakło mu prawdziwych. Tęczyński się zorientował, ale nie mógł

491

nic uczynić, nie przyznając się równocześnie do przyjęcia łapówki, jednak odtąd był na Grota okropnie cięty.

- Skąd Grot brał fałszywe mińce?

- To pomysł Strzelbickiego, przynajmniej tak mi się zdaje. Ma-łodobry od dawna parał się magią i alchemią. Chyba jednak nie osiągnął w tym fachu zbyt wiele, za to poznał drugich alchemistów. Przez jakiś czas pracował dla nich taki jeden...

- Maciek Pająk.

Zdziwił się.

- Co ty powiesz? Nie poznałem go, tak się zmienił. Nazywali go Araneusem. Ale i on nie był wystarczająco dobry. Jego mińce z daleka śmierdziały fałszerstwem i wzbudziły w mieście duże poruszenie. Dlatego znaleźli lepszego alchemistę.

- Sędziwoja.

- To też wiesz? Nie wiem, czym go skusili ani co się stało z Pajakiem. Któregoś dnia po prostu zniknął.

- Otruli go.

Nie wyglądał na zdziwionego.

- To tak jak wojewodę Tęczyńskiego i jego żonę.

- Co ty mówisz? - Tym razem naprawdę mnie zaskoczył.

- Też mnie to poruszyło, kiedy wypadkiem się o tym dowiedziałem. Zdaje się, że do tej roboty wynajęli Sędziwoja, który w tamtym czasie przejeżdżał przez Zator, znał Tęczyńskich i miał do nich łatwy przystęp. Odtąd trzymają go za gardło. Grot miał nadzieję, że nowy wojewoda będzie mu przychylny, lecz się przeliczył. Nowego wojewody wciąż nie ma i nie wiada, kiedy zostanie wyznaczony. Zaraza spadła im zatem jak z nieba. Ale byli już dobrze przygotowani do opanowania miasta. Starych strażników i hycli pozbyli się, niektórych mordując sekretnie z pomocą łotrów, których mało-lepszy od dawna sprowadzał i osiedlał w pobliżu baszt Katowskiej i Ceklarzy, stopniowo najmując ich do służby. Potem Grot podnajął jakiegoś morderza-jurjeltnika, by pozbyć się hetmana miejscowego bractwa furów i żebraków. Tym sposobem miasto zostało wystawione na pastwę zbirów podległych małolepszemu. A do czego są zdolni, to miałeś okazję obserwować ostatnimi czasy. Słyszałeś o znikających bez śladu dzieciach? Do dziś, wedle mojej rachuby, zaginęło czternaścioro, w wieku od czterech do sześciu lat. Głównie chłopców, ale nie tylko. Ponoć małolepszy i Sędziwój potrzebują ich

492

krwi do eksperymentów alchemicznych. Trzymają je w podziemnej pracowni wybudowanej pomiędzy basztą Katowską a Sędziwojką. Dlatego odkąd porwali dziecko Pernusa, a potem mu je zwrócili, Pernus jest gotów uczynić wszystko, czego zażąda Grot. Gutteter był twardszy, dlatego zabił go golem.

- Kto udaje golema, Smok?

- Chyba tak. Nie we wszystko mnie wtajemniczają. Nigdy do końca mi nie zaufali. Pewnie wcześniej ode mnie pojęli, że nigdy nie stanę się taki jak oni.

Przerwał i siedzieliśmy w milczeniu, dopóki się nie odezwał:

- O co pokłóciłeś się z Grotem?

- Jutro lub pojutrze Grot zamierza poprowadzić mieszczan na Miasto Żydowskie w pomście za mór i golema. W baszcie Katowskiej zgromadzono wiele pokradzionego prochu i broni, a wszyscy hycle z baszty Ceklarzy to zbóje dobrani przez małolepszego. W odpowiedniej chwili wesprą zbrojnie mieszczan. Szykuje się rzeź i rabunek, o jakich jeszcze nie słyszano. To dla mnie za wiele. Poróżniły nas także mordy na Trojanie i Gutteterze. Na to się nie godziłem i Grot o tym wiedział. Hutman miał zostać zwolniony i zaopatrzony na starość, a Gutteter tak wystraszony, by po dobrej woli uszedł z miasta'. Oszukali mnie.

Powiedziałem Grotowi, że to koniec naszej spółki. Zresztą odkąd lekką ręką pozbyli się Bieniasza, który wykonywał za nich połowę brudnej roboty, czułem, że na mnie też przyjdzie rychło kolej. Wiem nawet, kto ma mnie zastąpić. Smok.

- Mimo wszystko wciąż nie pojmuję, dlaczego pracowałeś dla nich nawet wówczas, gdyś już wiedział, do czego są zdolni. A tym bardziej, żeś ich porzucił, mając taką wiedzę.

Podniósł się ciężko, wziął kaganek i powiedział:

- Chodź.

Otworzył na oścież drzwi po prawej stronie sieni i uniósł światło nad głowę.

- Dobry Boże...

Zaparło mi dech. Nie tylko z powodu smrodu, który buchnął z wnętrza. Skromnie urządzona izba sypialna lśniła czystością. Proste łóżeczka dziecięce były próżne. Za to na podwójnym małżeńskim łożu spoczywało ciało kobiety w stanie posuniętego rozkładu. Poczerniała twarz i dłonie, widoczne spod całunu, świadczyły, że zmarła na zarazę. Po jej prawej leżał chłopiec może dziesięcioletni,

493

zmarły na to samo i mniej więcej w tym samym czasie, przed kilkoma dniami. Za to dziewczynka w wieku mojego Kacperka, przytulona do lewego boku matki, musiała umrzeć niedawno, wczoraj lub najdalej dwa dni temu. Na jej wychudłej twarzyczce nie było śladów moru.

- Teraz już znasz odpowiedzi - odparł Matys szorstko, zamykając drzwi. - Wszystko, czego się dopuściłem, robiłem dla nich, żeby mieli lepsze życie. Ale dla zła nie ma wytłumaczenia ani wybaczenia. Dlatego Bóg mi ich zabrał. Marię i Kubusia jednego dnia. Nie oddałem ich grabarzom. Przenieśliśmy się tylko z Justysią do kuchni. A kiedy i ona zachorzała, byłem gotów na wszystko, by ją ocalić. Grot obiecał mi panaceum wyrobione alchemickim sposobem przez Sędziwoja z użyciem krwi niewinnej. Właśnie do tego potrzebowali małych dzieci. Zamierzali potem na cudownym leku zbić fortunę. Ale specyfik nie podziałał i moja kochana córeczka wczoraj umarła... Wpierw zamierzałem się powiesić, lecz pomyślałem, że lepiej będzie zabrać ze sobą do piekła kilku z tych łotrów...

Przerwał i zaczął nasłuchiwać.

- Już są. Zaraz się zacznie.

Wydobyłem pistolet.

- Zostanę z tobą.

Pokręcił głową, sięgnął za pazuchę i wyjął jakieś złożone we czworo pismo.

- Nie. Skoro los mi cię zesłał, weźmiesz to i oddasz staroście. To moje wyznanie. Spisałem w nim wszystko, co wiem, czego sam byłem świadkiem i o czym słyszałem od drugich, o postępkach Grota, Strzelbickiego, Bieniasza i Smoka. Opatrzono datą, własnoręcznym podpisem i podpisami dwóch iszców, Pernusa i Szymka. Nie wiedzieli, co podpisują, bo nie dałem im przeczytać skryptu. I bez tego byli wystarczająco wystraszeni. Myśleli, że poświadczają moją ostatnią wolę. I wiele się nie omylili. Chcę, by łotry zostały ukarane. A ty tego dopilnujesz.

Odebrałem pismo i schowałem w zanadrze. W tej chwili zapukano do drzwi wejściowych, a równocześnie zachrobotło w zamku drzwi wiodących na zadź.

- Idź na górę. - Ruchem głowy wskazał mi schody i podał kaganek. - Znajdziesz tam drabinę. Powinna dosięgnąć dachu karczmy. Stamtąd przedostaniesz się na Kocią ulicę. Bóg z tobą.

494

- I z tobą.

Kiedy otwierałem klapę na strych, na dole runęły wyłamane drzwi i huknęły pierwsze strzały. Ktoś wrzasnął rozdzierająco i nie był to głos Szarskiego. Strzelanina trwała w najlepsze, gdy wciągałem drabinę na dach i modląc się, by spróchniałe gonty wytrzymały mój ciężar, przerzucałem ją na dach karczmy „Rzym”. Nie potrzebowałem światła, bo niebo wciąż jarzyło się i migotało. Usiłując przyciągnąć drabinę do siebie, omal nie spadłem z dachu, ale jakoś sobie poradziłem. Powlokłem drabinę na tył gospody i spuściłem na ziemię. Kiedy stawiałem stopę na pewnym gruncie, strzelanina ustała. Po drodze do domu nie spotkałem nikogo.

- Zabili Szarskiego - oznajmiłem po powrocie, niczego nie wyjaśniając i od razu idąc spać.

Zerwałem się skoro świt.

- Idę na ratusz - oznajmiłem, odmawiając spożycia wspólnego śniadania. Nie byłem głodny. - Gdybym nie wrócił do południa, oddajcie to na zamek.

Podąłem Niziołkowi wyznanie Szarskiego.

- Musisz tam iść? - spytał ze smutkiem, obracając papier w wielkich dłoniach.

- Muszę.

- Pójdę z panem, do doktorze - zgłosił gotowość Dziura.

- Nie trzeba. Idź pomóc imć Kazimierczykowi przy chorych i uprzedź go, że dołączę do was później, o ile będę mógł.

Wyszedłem z domu i już miałem skręcić w Świętego Jana, kiedy z przeciwnej strony usłyszałem dziwne odgłosy i zwabiony nimi poszedłem ku Floriańskiej. Całą szerokością

ulicy ciągnęła kilkudziesięcioosobowa grupa obszarpańców. Na głowach mieli kaptury osłaniające lica i obnażone do pasa ciała, które bezlitośnie smagali (sami lub sobie nawzajem) biczami z rzemieni powiązanych w supły lub zakończonych haczykami. Wzdragali się pod każdym ciosem, prężyli, wyginali, jęcząc przy tym i zawodząc. Byli wśród nich zarówno mężczyźni, jak kobiety, starcy i dzieci. Spodnią odzież mieli w strzępach i schłapaną zaschłą krwią, której smród, wymieszany z potem niemytych od wielu dni ciał, wiercił w nosie. Niewiastom spod poszarpanych koszul wyzierały na wpół obnażone piersi. Niektórzy nieśli przed sobą krzyże lub wlekli je uwieszone na szyi. Wirując w obłąkańczym

495

tańcu, zaczepiali przechodniów, podtykając im pod nosy swoje bicze.

- Ludzie, przyłączcie się do nas! - wrzasnął staruch z długą, niechlujną brodą, strzykając śliną na dwa kroki. - Pokutujcie za grzechy, a zaraza ustąpi!

- Do nas! Do nas! Żałujcie za grzechy! - nawoływała piskliwym głosem chuda jak szkielet kobieta. - Tylko z nami zyskacie zbawienie wieczne!

- Ból was uzdrowi i oczyści wasze dusze! - nawoływał zezowaty wyrostek, trzęsąc się niby w napadzie choroby świętego Wita.

Niewiasta z nieprzytomnym, gorejącym spojrzeniem, obnażoną głową z włosami sztywnymi jak druty i jedną wyschłą piersią na wierzchu przyskoczyła do mnie, próbując wetknąć mi w dłoń bicz. Odrzuciłem ją, ale niektórzy z gapiów, porwani przykładem, zrzucali kaftany i koszule i dołączali do biczowników alias flagelantów lub kapników. Tak bowiem nazywało się to bractwo, narodzone w wiekach ciemnych po pierwszej wielkiej zarazie i od dawna zakazane przez Kościół, ponieważ sakramentów udzielali sobie sami, rozgrzeszając się z największych nawet nieprawości, w tym rozpusty, której ponoć oddawali się z upodobaniem, i odprawiając osobliwe nabożeństwa. Jednak podczas epidemii zawsze gdzieś się odradzali, by zniknąć po ustaniu moru. Śpiewając dziwaczną pieśń, pełną niezrozumiałych słów, pociągnęli na Rynek, na którym nie handlowano, ponieważ była niedziela.

Mimo to kto jeszcze żył i mógł się poruszać o własnych siłach, przybył pod ratusz, gdzie zgromadził się całkiem spory tłum, z ożywieniem komentujący wypadki poprzedniego dnia i niepokojące nocne zjawiska.

- Na co czekacie? - spytałem pulchnego jegomościa.

- Na burmistrza. Wczoraj wieczorem obwoływacze zapowiedzieli, że dziś z rana wygłosi odezwę.

Zacząłem się przepychać. Na szerokich schodach przed wchodem do ratusza dwóch drabów ze skrzyżowanymi alabardami zastawiło mi przejście. Nie znałem ich, ale sądząc po gębach, byli to zbóje Strzelbickiego.

- Nie wolno!

- Ja do burmistrza - opowiedziałem. - Jestem lekarzem.

496

- Precz!

Dałem nura między skrzyżowane drzewca, pochwyciłem laskę oburącz i pchnąłem ich tak, że na łeb na szyję polecieli w zgromadzoną ciżbę. Nie tracąc czasu, podążyłem do wnętrza, rzucając rozkazująco strażnikowi w sieni:

- Gdzie burmistrz!?

Odruchowo wyprostował się na baczność i odparł:

- Na górze. Szykuje się do wygłoszenia mowy...

Drapiąc się po schodach, dostałem zadyszki i z trudem dobrnąłem do właściwych, jak mi się zdawało, drzwi. Nie trudząc się pukaniem, wtargnąłem do izby. Zdziwiony Grot, z ręką na klamce okna, odwrócił się w moją stronę. Wydobyłem zza pleców pistolet i wymierzyłem w niego.

- Odejdź od okna.

Był wściekły, ale opanował się i rzekł szyderczo:

- Bo co? Zabijesz mnie?

- Na początek przestrelę ci kolano. To bardzo bolesne, a noga już nigdy nie będzie sprawna. O ile jej nie stracisz.

Mierzyliśmy się wzrokiem. Wreszcie pojął, że nie żartuję. Odszedł od okna, odsunął krzesło od stołu, rozwalił się w nim i za-bębnił palcami po intarsjowanym blacie.

- Gadaj prędko, z czym przyszedłeś, bo nie mam czasu. Ludzie czekają.

- Na próżno. Najścia na Oppidum Iudeorum nie będzie.

Zmrużył oczy.

- Dziś i tak nic by z tego nie wyszło, bo Smok z najlepszymi ludźmi jeszcze nie wrócił stamtąd, dokąd go wysłałem. Ale jutro też jest dobry dzień, a nawet lepszy. Święto ofiarowania Panny Marii. Tak więc fatygowałeś się na darmo. A z ciekawości, skąd się dowiedziałeś o moich planach?

- Byłem wczoraj wieczorem u Szarskiego.

- Ach tak... Zatem pewnie zmartwi cię wieść, że zaraz po twoim wyjściu żydowski golem zamordował go z całą rodziną, i to mimo interwencji przechodzącego akurat tamtędy patrolu. Straciłem trzech dobrych pachołków, a czwarty jest ciężko ranny. Ale nie trap się, Żydzi zapłacą i za tę zbrodnię.

- Przestań udawać, Grot. Nic ci z tego nie przyjdzie. Wiem już wszystko i nie pozwolę ci na dalsze łajdactwa. To koniec.

497

- Doprawdy? - Uśmiechnął się kpiąco, lecz drgająca powieka świadczyła o tym, że w istocie denerwuje się bardziej, niż chciał to okazać.

Wtem obaj usłyszeliśmy rumor na schodach. Usiadłem szybko przy drugim końcu stołu, oburącz ściskając broń.

- Nie rób nic głupiego - ostrzegłem. - Pistolet, choć niewidoczny, nadal jest w ciebie wycelowany. Zyskasz tyle, że oberwiesz w żywot zamiast w kolano. A przy okazji możesz stracić jajca.

Jak przedtem ja, teraz Smok bezpardonowo wpakował się do izby. Za progiem zostało dwóch zbrojnych. Wielgus spojrział na mnie spode łba i położył prawe łapsko na rękojeści kordą. Lewe nosił na temblaku.

- Mam go wywalić na zbity pysk, burmistrzu?

Grot nie odpowiedział od razu, widać rozważał różne opcje. Wyręczyłem go.

- Zawsze mnie zdumiewało, że ta małpa umie mówić, Grocie. -Po czym zwróciłem się bezpośrednio do Smoka: - Gdzie podziałeś swój kostium golema, małpoludzie? W nim z pewnością było ci znacznie bardziej do twarzy.

Spurpurowiał, a równocześnie stracił na pewności siebie i spojrział zdezorientowany na mocodawcę.

- Zostaw nas samych, hutmanie - powiedział Grot. - Zejdź na dół i powiedz ludziom, że nie dziś, ale jutro nastąpi dzień sądu nad winnymi moru i drugich zbrodni. Niechaj każdy przyjdzie z taką bronią, jaką posiada. Jak wam poszło?

Pachoł spojrział na mnie ze złośliwą satysfakcją.

- Dobrze. Mamy ich.

- A co ci się stało w rękę?

- Ta wiedźma zastrzeliła jednego pachółka, drugiemu rozbiła łeb kolbą. A mnie ugryzła do krwi. Co z nimi zrobić?

- Potem ci powiem. A teraz idź do ludzi. I niech nam już nikt nie przeszkadza.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. A ja zostałem z trwogą w sercu, bo wiedziałem, o czym mówili. Mieli już Jankę i juniora w swoich łapach, a ja, chociaż chciało mi się wyć i zamordowałbym ich z zimną krwią, nie mogłem niczego dać po sobie poznać.

- Z tym kostiumem golema, to przesadziłeś. - Uśmiechnął się Grot pod nosem.

- Daj spokój. Lepiej powiedz, z czego go zrobiliście.
- Przyznaj, że koncept był przedni. Pamiętasz sprawę sprzed lat, z niedźwiedziem Samuela Zborowskiego, którego strażnicy zabili na rynku? Skóra poniewierała się gdzieś w ratuszu i żarły ją mole. Wystarczyło utytłać futro w glinie i golem gotowy. Ale ta wiedza na nic ci się nie przyda. Kostium przestał być potrzebny i został spalony. Co jeszcze chciałbyś wiedzieć?
- Dlaczego kazałeś zabić Czeczotkę?
- Dogadaliśmy się wstępnie. Miał wpływy na dworze i obiecał mnie wprowadzić do rady urzędującej. Nie za darmo, rzecz jasna. Potem się rozmyślił, widać dostrzegł we mnie szampierza. Ale za dużo wiedział, bo wtedy jeszcze byłem nieostrożny. Zresztą, nie chwaląc się, wciąż się uczę. Dziś też bardziej mi pomogłeś, niż zaszkodziłeś. Jutro pod pozorem niedyspozycji wyślę Smoka, żeby jako nowy hutman wpierv ogłosił krucjatę, a potem poprowadził mieszczan na Miasto Żydowskie. Na niego spadnie całe odium za tumult, a wtedy się go pozbędę.
- Jak skaperowałeś Sendivogiusa? Nie jest tak podły, jak był Araneus, zaczął robić karierę na dworze, miał piękne perspektywy, a jednak zabił dla ciebie małżonków Tęczyńskich i zajął się fałszowaniem pieniędzy, choć musiał sobie zdawać sprawę, że na dłuższą metę nie da się tego ukryć.

Uśmiechnął się krzywo.

- W istocie, zdaje się, że wiesz prawie wszystko. Tym gorzej dla ciebie. A co do Sędziwoja: mam swoje sposoby, a on słaby punkt. Wystarczyło poruszyć właściwą strunę. Notabene, dobrze, że o tym wspomniałeś. Będę się musiał nim zająć. Z chwilą ustania zarazy i powrotu drugich rajców do miasta, chcę mieć wszystkie sprawy dopięte i wyczyszczone. Zaś z Sendivogiusem jest ten sam kłopot, co z Szarskim: uwiera go sumienie. A poza tym ktoś musi odpowiedzieć za zalewanie miasta fałszywą monetą. Tego oczekują kupcy, rzemieślnicy i wszyscy uczciwi obywatele. Kiedy dam im na tacy głowę szalbierza, co psowa interesy, będą mnie sławić pod niebiosa.
- A Jędrzejkiewicz, dlaczego musiał zginąć?
- Przez ciebie. Napuściłeś na niego Trojana. Jędrzejkiewicz operował Kettlera, potem w pierwszych dniach zarazy kwalifikował domy bogaczy do zamknięcia i wydawał fałszywe świadectwa choroby.

Poza tym był chciwy i tchórzliwy, a to najgorsze połączenie, vide Araneus. Przyciśnięty, wyśpiewałby wszystko jak na spowiedzi. Nie mogłem ryzykować. A teraz moja kolej, jeśli pozwolisz. Kiedy zacząłeś mnie podejrzewać?

- Od początku. Odkąd spotkaliśmy się nad ciałem Czeczotki. Ale potem przestało mnie to zajmować, czego teraz żałuję. Powiniennem posłuchać Trojana i przyłożyć się do tej sprawy. Zlekceważyłem ją i dlatego wielu porządnych ludzi przypłaciło to życiem. Kiedy zaś Araneus wyjawiał mi twoje imię i zdobyłem pewność, sprawy doszły za daleko.

- Wiedziałem, że ten głupiec przysporzy mi turbacji! Przeklęty nieudacznik! Cale to jego rzekomo potężne bractwo róży i krzyża, umiejętność wywoływania duchów, produkowania złota z byle czego albo tworzenia golemów i homonkulusów okazały się diabła warte. Miał wkraść się w łaski króla i mnie zapewnić królewski fawor, paradne. Jak mogłem mu uwierzyć, do dziś zachodzę w głowę. Nawet mińców porządnie fałszować nie potrafił, matol! A na koniec ta łajza jeszcze zdążyła mnie wydać. Czy to nie zakrawa na kpinę, sam powiedz?

- Każdemu łotrowi, nawet najsprytniejszemu, w końcu powinie się noga.

To mu się nie spodobało.

- No, dobra, mądralo. Kończmy te pogaduszki. Co ci przyjdzie z twojej wiedzy? Nie masz żadnego dowodu ani świadków. A bez tego nikt nie uwierzy w twoje rewelacje. Możesz mnie zastrzelić, lecz nie radzę. Sam Kettler tego próbował i nie udało mu się. Wiesz, skąd wrócił Smok? Zgarnął twoją żonę i syna z traktu lubelskiego. Nawet ja jeszcze nie wiem, dokąd ich zabrał. Zabij mnie, a twoi najbliżsi zginą. Tego chcesz? Sprawiedliwość przede wszystkim? No i co teraz powiesz? Ot siurpryza, co? Mam ci powiedzieć, w jaki sposób wpadli w moje ręce?

Z całej siły starałem się zachować spokój.

- Nie trzeba, rozmawiałem z Kichlarczykiem.

Zaskoczyłem go i uśmiezek wyższości zniknął mu z gęby.

- Ja też mam dla ciebie siurpryzę - ciągnąłem. - Wczoraj w nocy dostałem od Szarskiego jego pełne zeznanie o wszystkich twoich łotrostwach, w których partycypował lub o których się dowiedział. Potwierdzone przez Pernusa i dziesięć Szymka, choć obaj nie

500

y

wiedzieli, co podpisują. Zdążyłem już dostarczyć je podstaroście Staszicowskiemu z prośbą, by otworzył papier po mojej śmierci. Jak myślisz, co się stanie, gdy przeczyta pismo i dowie się, gdzie szukać zbójców, którzy wymknęli mu się z pogromu nad Promni-kiem, i pod czyją teraz są komendą?

Znów zabębnił palcami po stole.

- Co proponujesz?

- Wymianę. Spowiedź Szarskiego za moich bliskich. Myślę, że to uczciwa transakcja.

Oko mu błysnęło. Walnął pięścią w stół.

- Do kroćset! Do czego byśmy razem doszli, gdybyśmy współdziałali, zamiast się żreć od czasu studiów! Szkoda, że odrzuciłeś moją propozycję. Zgoda. Wracaj do domu i czekaj na wiadomość, kiedy i gdzie nastąpi wymiana. I pamiętaj: masz być sam i bez broni. Za to ze skryptem Szarskiego w zębach.

Wytarłem ukradkiem spotniałe ręce, zwolniłem kurek, schowałem pistolet i wstałem.

- Nie wyglądasz dobrze, choć o niebo lepiej, niż kiedyśmy się widzieli poprzednio - zauważył z udawaną troską. - Lękam się, czy aby zdołasz dotrzymać umowy.

- Martw się o siebie.

Obróciłem się na pięcie i wyszedłem. Rynek był prawie pusty. Nawet biczownicy gdzieś się podzieli. Wróciłem do gospody i zmusiłem się do zjedzenia kawałka szynki. Czułem się źle. Byłem słaby i rozdygotany, miałem kłopoty z zebraniem myśli. Dziura jeszcze nie wrócił. Widząc mój stan, Niziołek wiercił się, by mnie wypytać, lecz z tego samego powodu gryzł się w język. Niedługo potem jak trębacz na wieży mariackiej odtrąbił południe, ktoś załomotał do drzwi.

- Ja otworzę - uprzedziłem Niziołka.

Jednak za drzwiami nikogo nie było, tylko kartka wsunięta za próg. Rozwinąłem ją.

HEM EFFIGLAFED

n onoLrou3<

501

Żarcik Grota nie ubawił mnie. Pewnie dowiedział się od Pająka, że poznałem sekretne pismo różokrzyżowców, lub sam na to wpadł. A może nie dbał o to? Igrał ze mną, ponieważ wymyślił lepszy sposób wydostania wyznania Szarskiego od podstarościego? Albo domyślił się, że jeszcze nie zdążyłem odesłać skryptu. Albo nie chciał dostarczać mi kolejnego dowodu, czarno na białym, swych podłych machinacji. Ale chyba nie, przecież równie dobrze jego goniec mógł mi to samo przekazać ustnie. Nie miało to większego znaczenia. I tak zamierzał zabić, i mnie, i moich najbliższych, o ile ja nie zabiję go pierwszy, to nie ulegało kwestii. Obaj o tym wiedzieliśmy.

- Co to jest? - Niziołek zrobił wielkie oczy, kiedy dla pewności jeszcze raz zabrałem się do odcyfrowania napisu.

- Grot przysłał mi wiadomość. Dopadł Jankę i Kacperka i chce ich wymienić na dowody swoich zbrodni, które dostałem od Szarskiego, zanim go zamordowali. Hi - stuknąłem palcem w papier -powiadamia mnie, gdzie i kiedy dokonamy wymiany.

- I potrafisz to odczytać?

- Tak.
- No to gdzie macie się spotkać?
- A po co ci to wiedzieć? Pójdiesz tam ze mną?

Zadałem to pytanie z premedytacją. Wiedziałem, że stawiam go pod ścianą. Ale nie miałem wyjścia. Grot, jak wynikało z jego słów, pokłócił się o coś z Kettlerem. Pewnie oszwabił bielaka na nagrodzie za zamordowanie Garbusa. Dzięki temu odpadał mi najgroźniejszy przeciwnik. Ale i bez niego Grot miał na usługach całą czeredę zbirów, ze Smokiem na czele, i z pewnością zabierze ich ze sobą. Ja zaś mogłem liczyć tylko na siebie. Nie było Stachnika Żółkiewskiego, podstarości miał związane ręce, "IYojan i Szarski nie żyli, tak samo Król Żebraków. Zostali mi jedynie Niziołek, lękający się wyściubić nos z domu w panicznym strachu przed morowym powietrzem i szwagier Michał, zajęty pilnowaniem dobytku swojego i Jędrzejów.

Olbrzym jakby skurczył się w sobie. Przelknął głośno ślinę, po czym, nie patrząc mi w oczy, potrzęsnał wielką głową i powiedział ze smutkiem:

- Nic z tego, Kacper. Nawet gdybym się przemógł i ruszył z domu, nie zdałbym ci się na nic. Dotąd mogłem sam siebie okłamywać,

502

że to, co się stało w karczmie na Krzemionkach, to był jeno wypadek przy pracy. Ale obaj wiemy, że nie jestem już taki silny i szybki jak ongi. To przez niego! - Ze złością walnął się w wypięty żywot. - Za dużo dobrego jadła i piwa, za mało ruchu. Byłbym ci jeno zawadą. Tobie bym nie pomógł, za to ty musiałbyś bronić mnie i zginął tym pewniej. Przykro mi...

Zanurzył twarz w dłoniach. Spomiędzy palców zaczęły skapywać łzy wielkie jak groch. Poklepałem go po ramieniu.

- Rozumiem. Trudno, tak bywa. Czasu nie cofniemy. Zatrzymaj Dziurę, kiedy się objawi. Będę go potrzebował. I strzeż domu, bo jeśli Grot nie uwierzył, że odesłałem skrypt Szarskiego na zamek, może spróbować go odzyskać przed wyznaczonym terminem. Niedługo wrócę.

Zostawiłem go zupełnie załamanego niemocą, tak nagle i brutalnie uświadomioną. Po drodze wstąpiłem do fary Mariackiej pomodlić się i prosić Jezusa i Jego Matkę, by czuwali nad Janką i juniorem. Przecinając Rynek, rzuciłem okiem na zegar na wieży ratuszowej. Dochodziło wpół do pierwszej. Powinienem się spieszyć, lecz byłem tak słaby, że ledwie się wlokłem. Do domu Michała dotarłem zupełnie'wykończony. Długo nikt nie odpowiadał na moje stukanie. Wreszcie usłyszałem kroki i zachrypnięty głos:

- Czego?
- To ja, Kacper.

Wpuścił mnie do środka i zaraz zamknął drzwi. Kiedy odwiedziłem go przed tygodniem, był okazem zdrowia i uwijał się w warsztacie za dwóch, zabijając w ten sposób czas, odkąd zwolnił pracowników, odesłał rodzinę na wieś pod opieką Andrzeja i został stróżem ich wspólnego dobytku zgromadzonego razem w domu przy Grodzkiej. Teraz zaś chwiał się na nogach, był nieogolony i cuchnęło mu z ust niestrawioną gorzalką.

- Co się dzieje, Michale?

Kiwnął na mnie i zataczając się, poprowadził do zapchanego różnymi statkami warsztatu, gdzie na stole stolarskim stała napoczęta już flaszka okowity, obok dwóch próżnych. Zdziwiło mnie to, bo zwykle pijał z umiarem i tylko w towarzystwie. Ciężko zwałił się na zydel i wskazał mi drugi.

- Na...pij się. - Czknął. - Gdzieś tu powinien być jakiś ku...bek...

503

- Nie, dziękuję. Mów, co się stało.

- To. - Odchylił kołnierz i pokazał mi guza u nasady szyi. -1 to. -Zdarł koszulę z ramienia i uniósł rękę, bym mógł zobaczyć drugą dymienicę pod pachą. - Ujrzałem je dziś rano i odtąd piję. Wolę się zapić na śmierć, niż zdechnąć od moru. Po co przyszedłeś?

Wsunął rękę z powrotem do rękawa, sięgnął po flaszkę i napił się prosto z niej.

- Już po nic - odparłem.

- Mów śmiało. Potrzebujesz czegoś? Bierz, co chcesz.

- Skoro tu jestem, wziąłbym kuszę i kilka beltów.

Machnął ręką w nieokreślonym kierunku.

- Powinna być jakaś w tamtym ką...cie. Albo gdzie indziej.

Musiałem przerzucić całą stertę rozmaitej broni, nim znalazłem

kuszę w sam raz taką, bym zdołał ją naciągnąć i unieść, a także pół tuzina beltów.

- Mogę ją także wziąć? - Wskazałem króciwą o dwóch lufach.

- Jasne.

Nie chciałem, by widziano mnie na ulicy z całym arsenałem, dlatego póty szukałem, póki nie znalazłem odpowiednio dużego saka, do którego włożyłem broń.

- Wiesz, co u Jadwisi i Jędrzejów?

- W porządku. Niedawno przez znajomego przysłali wiadomość, że chwalić Pana, mór ich omija. A co u twoich?

- Też w porządku.

Spojrzał na mnie załzawionymi oczyma skazańca.

- Kacper, czy ja umrę?

- Szczęście w nieszczęściu polega na tym, że twoje guzy są czerwone, nie czarne, bo te zawsze bywają śmiertelne. Masz więc szansę wyzdrowieć. Niestety, muszę zgłosić twój przypadek i zamknąć cię w domu. Jak tam z jadłem i wodą?

- Pod dostatkiem. Część spyży już zaczęła się psuć...

- To ją wyrzuć. Jedz tylko dobrą i pij przegotowaną wodę. Przeżyjesz, bylebyś istotnie nie zapił się na śmierć. A teraz chodź ze mną zamknąć drzwi. I nie waz się opuszczać domu.

I tak odpadł mi ostatni potencjalny sojusznik. Zostałem sam jak palec. Może nie przejąłbym się tym tak bardzo, gdyby nie to, że czułem, jak ogarnia mnie gorączka. Ocierając pot z czoła, ujrzałem na rękach pierwsze martwicze plamy. Zakażenie krwi postępowało.

504

- Nie, dziękuję. Mów, co się stało.

- To. - Odchylił kołnierz i pokazał mi guza u nasady szyi. -1 to. -Zdarł koszulę z ramienia i uniół rękę, bym mógł zobaczyć drugą dymienicę pod pachą. - Ujrzałem je dziś rano i odtąd piję. Wolę się zapić na śmierć, niż zdechnąć od moru. Po co przyszedłeś?

Wsunął rękę z powrotem do rękawa, sięgnął po flaszkę i napił się prosto z niej.

- Już po nic - odparłem.

- Mów śmiało. Potrzebujesz czegoś? Bierz, co chcesz.

- Skoro tu jestem, wziąłbym kuszę i kilka beltów.

Machnął ręką w nieokreślonym kierunku.

- Powinna być jakaś w tamtym ką...cie. Albo gdzie indziej.

Musiałem przerzucić całą stertę rozmaitej broni, nim znalazłem

kuszę w sam raz taką, bym zdołał ją naciągnąć i unieść, a także pół tuzina beltów.

- Mogę ją także wziąć? - Wskazałem króciwą o dwóch lufach.

- Jasne.

Nie chciałem, by widziano mnie na ulicy z całym arsenałem, dlatego póty szukałem, póki nie znalazłem odpowiednio dużego saka, do którego włożyłem broń.

- Wiesz, co u Jadwisi i Jędrzejów?

- W porządku. Niedawno przez znajomego przysłali wiadomość, że chwalić Pana, mór ich omija. A co u twoich?

- Też w porządku.

Spojrzał na mnie załawionymi oczyma skazańca.

- Kacper, czy ja umrę?

- Szczęście w nieszczęściu polega na tym, że twoje guzy są czerwone, nie czarne, bo te zawsze bywają śmiertelne. Masz więc szansę wyzdrowieć. Niestety, muszę zgłosić twój przypadek i zamknę cię w domu. Jak tam z jadłem i wodą?

- Pod dostatkiem. Część spyży już zaczęła się psuć...

- To ją wyrzuć. Jedz tylko dobrą i pij przegotowaną wodę. Przeżyjesz, bylebyś istotnie nie zapił się na śmierć. A teraz chodź ze mną zamknąć drzwi. I nie waź się opuszczać domu.

I tak odpadł mi ostatni potencjalny sojusznik. Zostałem sam jak palec. Może nie przejąłbym się tym tak bardzo, gdyby nie to, że czułem, jak ogarnia mnie gorączka. Ocierając pot z czoła, ujrzałem na rękach pierwsze martwicze plamy. Zakażenie krwi postępowało.

504

r »

W mm

„Boże - poprosiłem żarliwie - pozwól mi jeszcze przeżyć tę jedną noc i pomóż uratować najbliższych, nil amplius oro! ". Resztką sił dowlokłem się do gospody. Zegar na wieży wskazywał dwadzieścia po pierwszej.

- Jesteś cały rozpalony! - przeraził się Niziołek, gdy bezsilny padłem mu w ramiona. - Czy to zaraza?

- Nie, to samo, co przedtem. Nie obawiaj się, nie jest zaraźliwe. Czy Dziura już wrócił?

- Jeszcze nie.

- Jak wróci, daj mu pismo, które leży na pulpicie w mojej izbie. Niech je dostarczy do Grodu i powie podstaroścemu, żeby je otworzył, gdybym do północy nie zjawił się u niego osobiście. I niechaj trzyma hajduków w gotowości, bo jeszcze tej nocy mogą się w mieście dziać dziwne rzeczy.

- Dobrze.

Musiałem stracić przytomność, bo obudziłem się we własnym łóżku. Nade mną pochylali się Niziołek z Dziurą. Wykręciłem głowę i w panice popatrzyłem w okno. Na dworze było jeszcze jasno. Poczułem wielką ulgę.

- Która godzina?
- Niedawno trąbiono na trzecią - odparł olbrzym.
- Chwała Bogu. Pomóżcie mi wstać, muszę pójść do balneoli. Nie mam wiele czasu, za godzinę muszę wyjść.

Jak wcześniej byłem rozpalony, tak teraz trząsałem się z zimna, spocony jak szczur cuchnącym, krwawym potem. Ledwo jednak uniosłem się na łokciach, zaraz opadłem z powrotem na poduszki. Tak słaby jeszcze nie byłem. I to teraz, gdy musiałem być sprawny jak nigdy. Z bezsilności chciało mi się płakać. Szczerą prawdę wyłożył mistrz Kochanowski w tych strofach:

Ślachtetne zdrowie, Nikt się nie dowie, Jako smakujesz, Aż się zepsujesz².

1 Nil amplius ono (lac., Horacy) - o nic więcej nie proszę.

2 J. Kochanowski, Na zdrowie, w: tegoż, Fraszki, oprac. J. Pelc, wyd. 3 poprawione, Wrocław 1998, s. 149.

505

- Leż - powiedział Niziołek. - Przyniosę tu balię i natargam wody. Już ją nagrzałem.
- Pomogę - zaofiarował Dziura.
- Byłeś na zamku? - spytałem go, widząc, że skrypt zniknął z pulpitu.
- Jeszcze nie. Dopiero żem przyszed, ale zara póde, ino pomogę gospodarzowi. Pismo jużem wzion. - Klepnął się w pierś.

Uwinęli się w kwadrans, po czym Niziołek zaczął mnie obmywać jak dziecię, a Dziura poszedł na zamek. Po kąpieli poczułem się lepiej. Wielkolud wyniósł brudną wodę i pościel, po czym miał przygotować coś na ząb. Ubrałem się i zasiadłem do pisania. Ale szło mi niesporo. Podarłem dwie karty i miałem to samo uczynić z trzecią, ale gdy spojrzałem na duży kominkowy zegar ciotki Balcerowej, z którego była taka dumna, bezlitośnie ukazujący upływający czas, zmieniłem zdanie. Szybko skreśliłem kilka wersów:

Najukochańsza Janko!

Kończy się czas dany mi przez Boga. Jedyne, czego naprawdę w życiu żałuję i darować sobie nie mogę, to tego, że nigdy nie powiedziałem Ci, jak bardzo Cię miłowałem, miłuję i miłować będę do ostatniego tchu. Myślałem, że to oczywiste, i droczyłem się z Tobą. Ale teraz chcę, żebyś to wiedziała bez najmniejszego dubium. Jeśli Bóg będzie dla mnie łaskaw, spotkamy się w przyszłym życiu. Ze względu na Was oboje tuszę wszak, że nastąpi to jak najpóźniej.

Powiedz Kacperkowi, że jego także bardzo kocham i jestem z niego dumny. Oby, obojętnie jaką drogę wybierze, zasnął w życiu tyle szczęścia, ile ja miałem. Niechaj zatrzyma dla siebie szablę, którą dostałem od króla Stefana, natomiast drogocenną karabelę, dar króla Augusta, chciałbym, aby otrzymał Stachnik Żółkiewski z okazji ślubu, wraz z moimi powinszowaniami. Żegnajcie i nie płaczcie po mnie, bo zawsze będę z Wami. Amor vincit omnia, nawet śmierć.

Podpisałem: Kacper, złożyłem list i dopisałem na wierzchu: Dla mojej żony do rąk własnych. Szybko poskładałem czystą kartę, zaadresowałem: Do JM Jana Staszковского podstarościego krakowskiego, otworzyć po mojej śmierci, zalakowałem, odbiłem swoją

1 Amor vincit omnia (lac.) - miłość zwycięża wszystko.

506

pieczęć i schowałem kartę za pazuchę. Było już po czwartej, kiedy zszedłem na dół, zjadłem nawet trochę pieczeni przyrządzonej przez Niziołka i popiłem odrobiną węgryzna. Wprost czułem, jak wracają mi siły. Na krótko, lecz może wystarczy. Sprawdziłem broń i byłem gotów.

- Na mnie pora. Na górze zostawiłem list do żony, oddasz go jej, gdybym nie wrócił.

Objął mnie tak, iż zdawało mi się, że połamię mi kości.

- Daj pokój, stary druhu, bo mnie udusisz. Wieczność jest długa, na pewno jeszcze się spotkamy i powspominamy stare dzieje.

Odprowadzając mnie do wyjścia, jeszcze się trzymał, ledwo jednak drzwi się zawarły, dobiegło mnie zza nich jego beczenie, głośniejsze chyba od ryku rannego tura. Rozejrzałem się, lecz żadnego szpiega nie zauważyłem. Rynek był praktycznie wyludniony. Gdzieś na Brackiej skrzypiał wóz grabarzy, a wiatr przyniósł okrzyk: Jest tam co do zabrania! Zegar na wieży ratuszowej wskazywał wpół do piątej. Niedługo miał nadejść zmierzch. Wdziałem opończę z kapturem, by ukryć dwa pistolety i sztylet za pasem, na plecach dźwigałem sak z kuszą i bełtami, a w dłoni laskę Trojana i ciężko byłoby rozpoznać mnie na pierwszy rzut oka, ale i tak z dala ominąłem ratusz i bocznymi ulicami przedostałem się do Bramy Szewskiej. Podczas zarazy była zamknięta, także w dzień, podobnie jak inne z wyjątkiem bron Floriańskiej i Grodzkiej. Upewniłem się, że nikt za mną nie szlakował, i przemknąłem ku nieużywanej furcie u wylotu ulicy Świętej Anny. Wytrych nie sprawił mi niemiłej siur-pryzy i po chwili znalazłem się za murem. Zamykaniem furty się nie trudziłem. Na szczęście nie musiałem przeprować się przez śmierdzącą fosę, bo o ile brama była zamknięta, to wycieczka zniszczona od czasu oblężenia, a zwodzony most opuszczony. Na Gar-barach nie spotkałem nikogo, choć przedmieście wyglądało lepiej niż wówczas, gdy byłem tu poprzednio. Kościół Panny Marii na Piasku jeszcze nie odbudowano do końca, bo wieża wciąż nie miała nowego dachu, a ściany nadal nosiły ślady spalenizny, ale pnące się w górę rusztowania świadczyły, że odnowa była w toku. Wątpiłem, by udało się ją zakończyć przed wyznaczonym na 9 listopada pochówkiem w kościelnym chórze zmarłego w marcu księcia Fryderyka legnickiego. Zresztą pogrzeb i tak miał się odbyć bez pompy, bo zmarły był lutrem.

Kościół był zamknięty, jak większość świątyń w czas zarazy, i pierwotnie zamierzałem się doń włamać, by dostać się na wieżę, lecz dzięki rusztowaniom nie musiałem. Wdrapanie się do wysokości wieży kosztowało mnie sporo czasu i trudu. Pełzłem jak ślimak, dysząc tak, że słyszano mnie chyba w Warszawie. Długo leżałem potem na szorstkich deskach, odzyskując siły.

Za to widok miałem stąd wyborny, aż po Młyn Królewski za młynówką i letni pałac biskupów na jurydycie Biskupie. Przez chwilę żałowałem, że oddałem teleskop juniorowi. Ale i bez niego wypatrzyłem, co trzeba. Na Tasenbergu tylko trzy domy miały już solidne dachy, w tym dwa, niestety, w staroświeckim stylu, czyli strome, i na wszystkich siedział strzelec ze strzelbą. Dwa kolejne zbiry czały się we wnękach bramnych. Należało doliczyć co najmniej dwóch po niewidocznej dla mnie stronie ulicy, to już dawało siedmiu. A drugie tyle pewnie czyhało przy spalonym kościele Świętego Piotra. Imponujący orszak powitalny. Chyba powinienem czuć satysfakcję, że Grot uznał mnie za godnego takiego przyjęcia, lecz jakoś nie potrafiłem ani tego docenić, ani zawstydić się swojej niewdzięczności. Już wolałem, kiedy mnie nie doceniał. Co ciekawe, wszyscy zabójcy nosili barwy straży miejskiej, co wskazywało, że została już prawie w całości opanowana przez zbójów Grota i Strzelbickiego. Los dziesiątnika Szymka i tych dwóch czy trzech uczciwych drabów miejskich, którzy jeszcze pozostali, zdawał się przesądzony.

Nakręciłem kuszę, założyłem bełt i wybrałem pierwszy cel. Nie spieszyłem się, mimo iż dzień wyraźnie już się kończył. Najważniejsze było to, aby cichaczem pozbyć się jak najwięcej łotrów, zanim drudzy odkryją moją obecność. Należało zacząć od góry, bo strzelcy z dachów z pewnością dostrzegliby, gdyby coś stało się tym z dołu, natomiast odwrotnie - niekoniecznie. No chyba, żeby kompan zleciał im na łby. Dlatego na początek wybrałem tego na dachu pograżonym i przesłoniętym attyką. Kłopot polegał na tym, że strzelec krył się za balustradą, i widziałem go fragmentarycznie. Nareszcie wystawił głowę, by zerknąć, co dzieje się na dole, i wówczas pocisk wbił mu się w czerep. Musiał dotrzeć do mózgu, gdyż śmierć nastąpiła natychmiast. Uff, jednego mniej. Przyszła teraz kolej na drugiego, który, moim zdaniem, wygodniej się usadowił -okrakiem na kalenicy. Celowałem długo. Ręce mi drżały. Wreszcie

zwołniłem spust i bełt pomknął do celu. Trafił idealnie, tuż pod szyją. Zbir ani zipnął, kładąc się na dachu, jakby chciał odpocząć. A ponieważ strzelbę dla wygody trzymał przewieszoną przez plecy, wszystko odbyło się w absolutnej ciszy. Odetchnąłem z ulgą. Na razie dopisywało mi szczęście. Kiedyś wszak musiało się skończyć.

Ledwo zdążyłem napiąć kuszę, a trzeciego ze strzelców dachowych coś zaniepokoiło, bo uniósł się nieco, spoglądając w kierunku kompana spoczywającego na dachu naprzeciwno. Utrzymanie ciężkiej broni sprawiało mi coraz więcej turbacji. Pociłem się i kiepsko

widziałem. Strzał mi nie wyszedł. Zamiast w szyję, łotr dostał w ramię. Pocisk pewnie je przebił i wszedł pod pachę, lecz rana nie była śmiertelna. Jęk bólu musiałem usłyszeć nie tylko ja. Wypuszczona z rąk rusznica, grzechocząc po dachówkach, ześliznęła się z dachu i spadła na ulicę. W chwilę potem z wrzaskiem podążył za nią właściciel, kopiąc i zdrową ręką bezskutecznie usiłując powstrzymać upadek.

No i po moim incognito. Dwaj z naprzeciwka już się zorientowali w sytuacji. Wskoczyli z bram i rozglądali się dookoła. Byłem dopiero w połowie rusztowania, kiedy mnie spostrzegli. Wisząc jak małpa, wystrzeliłem do nich z pistoletu i oczywiście chybiłem, ale ubyło im przez to zapału i zbliżali się ostrożniej. Kusza zaczęła się o jakiś gwóźdź. Zostawiłem ją i zeskoczyłem, lecz źle oceniłem wysokość. Znaczący - byłyby w sam raz dla dawnego mnie. Ja dzisiejszy gruchnąłem jak kamień. Cud, że sobie niczego nie połamałem, ale prawie mnie dostali. Jednemu wypaliłem z króciwej wprost w brodatą gębę, aż się rozpadła niby harbuz. Ale z drugiej lufy wystrzał nie padł. Odturlałem się na bok w ostatniej chwili. Pierwszy cios kordą minął mnie o włos. Ostrze zgrzytnęło o kamienie, krzesząc iskry. Jedna spadła mi na dłoń. Rozszedł się swąd palonej skóry, ale nic nie poczułem. Rozpaczliwie usiłowałem wyszarpnąć sztylet, lecz wiedziałem, że było za późno.

I wtedy znikąd wyskoczyła znajoma mikra postać i uwiesiła się uniesionego ramienia zbira. To mi wystarczyło. Uporałem się z dobytciem sztyletu, podniosłem się i wbiłem go w serce zbója. Nie tracąc czasu, schyliłem się, wyszarpnąłem jeden z noży ukrytych w butach i z przykłęku cisnąłem w nabiegającego kolejnego napastnika. Upadł. To już szósty. Dopiero wówczas spytałem Dziurę:

- Co tu robisz?

509

—

Nim odpowiedział, spojrzał na trupa u swoich stóp i zrobił płaczącą minę.

- Pierwszy raz zabił zem człowieka...

- To ja go zabiłem, nie ty. A on zabiłby mnie, gdybyś mi nie pomógł.

- Ja nie o tym - chlipnął. - Jeno o tym, co szlakowoł za waszo miłością.

- Ktoś za mną szedł?

- A juści. Dopad go zem za furtom i zadźgał... Jezu, jak on na mnie patrzył, jak patrzył... I dugo nie kciał umrzeć... A potem stoczył się do fosy i utonął...

Mój Boże, ale było ze mną źle, skoro nie wypatrzyłem szpiega. Gdyby nie ten poczciwy wydrwigrosz, który nieraz dał już dowody niezwykłej odwagi, o którą chyba sam siebie nie podejrzewał, nie mówiąc o innych, szpieg ostrzegłby w porę towarzyszy. To ja leżałbym teraz martwy zamiast nich, a wkrótce potem Grot pozbyłby się Janki i Kacperka. Dziura ocalił mnie dwukrotnie i dał mi następną szansę.

- Nie odniosłeś pisma do zamku, jak przykazałem?
- Żem odniósł, a potem wrócił pendem w sam raz, żeby wypatrzeć, jak wasza wielmożność bieży ku furcie, a tamten w ślad... Od razu żem się domyślił, że idziecie walczyć z tymi, co zabili Króla i Kubraka, panie...
- Uratowałeś mi życie. I to dubeltowo. Jestem ci wdzięczny. Ale teraz odejdz - chciałem go zniechęcić, więc umyślnie byłem szorstki. I tak zrobił dla mnie aż za dużo, więcej nie miałem prawa żądać.

Otarłem sztylet, nabiłem pistolet i króciwę, wymieniwszy w niej uprzednio krzoskę, wsadziłem wszystko z powrotem za pas, a nóż do buta, i podniosłem łaskę, która wypadła mi z ręki, kiedy spadałem z rusztowania. On zaś wciąż nie odchodził, patrząc na mnie jak zbity pies.

- Swoje już zrobiłeś. Z nadwyżką.

Odwrociłem się i pokuśtykałem przed siebie. Znalazłem siódmego z niepoczciwych. Leżał przywalony strzelcem, który spadł z dachu. Miał złamany kark. Oto, do czego prowadzi ciekawość. Nie powinien się wychylać. Usłyszałem szmer, odwróciłem się i powiedziałem:

- Nie bądź uparty. Wracaj do domu i wypijcie z Niziołkiem za moje powodzenie.

510

- Zostanę.
- Możesz zginąć.
- Wwiem... - zaszczękał zębami.
- Umiesz strzelać?
- Nnie...

Trząsł się ze strachu, ale był zdecydowany. Najdzielniejszy tchórz, jakiego spotkałem w życiu. Uścisnąłem mu dłoń i wetknąłem w nią kord odebrany łotrowi ze skrzyconym karkiem.

- To chodźmy. Trzymaj się za mną i nie narażaj bez potrzeby.

Rozglądając się na boki, szedłem czujnie przez Tasenberg. Było

pusto. Od zniszczonych młynów, topni i słodowni wciąż jeszcze zionęło spalenizną. Strzały nie wywabiły nikogo. Garbary były praktycznie wyludnione i zapewne dlatego Grot wybrał je na miejsce naszego spotkania. Wiatr od strony cmentarza za spalonym kościołem Świętego Piotra niósł ohydny fetor niezliczonych, byle jak pogrzebanych zwłok, zwożonych tu każdego dnia. Ci z mieszkańców, którzy przeżyli masakrę podczas oblężenia, a potem zarazę, żyli w strachu przed ludźmi i morowym powietrzem i woleli nie wychylać nosów z domów. Zwłaszcza że się ściemniło i tylko minut brakowało do zmierzchu. Przyspieszyłem kroku.

W zasadzie dobrze oszacowałem liczbę zbirów, których Grot rozstawił w tym miejscu. Pomyliłem się nieznacznie. Nie było ich siedmiu, ale ośmiu. Ostatni czekał za węglem na wpół zgorzałego drewnianego domu. Musiał widzieć, jak razem z Dziurą rozprawiłem się z pozostałymi, dlatego wyczekał do ostatniej chwili.

- Baczość! - krzyknął za mną Dziura, rzucając się naprzód.

Dopiero wówczas i ja ujrzałem pełgający płomyk. Pojąłem natychmiast, że to zapalony lont muszkietu, ale na reakcję było za późno. Huknął strzał, rozległ się rozdzierający krzyk, coś uderzyło mnie w plecy i obaliło na ziemię. Poczułem krew ciekącą mi po twarzy. Dobrą zdrowaśkę trwało, nim dotarło do mnie, że nie zostałem trafiony, a krew nie była moja. W reszcie dziennego światła zobaczyłem szeroko otwarte i zachodzące już mgłą oczy Dziury na wprost moich. Równocześnie usłyszałem ciężkie kroki i padł na mnie cień ogromnej sylwetki. Porwałem się na równe nogi i stanąłem oko w oko ze Smokiem. Wielkolud odrzucił zbędny muszkiet, w łapskach trzymał berdysz, który zapewne wcześniej posłużył mu za forkięt, a uprzednio, kiedy odgrywał

511

golema, do zarabiania rajcy Guttetera. Na zarośniętej gębie widniał szeroki uśmiech.

- Długo na to czekałem - wychrypiał, biorąc zamach berdyszem.

Mogłem uczynić tylko jedno. Szarpnąłem rękojeść laski Trojana,

będącej de facto granatem, obnażając długi brzeszczot i wraziłem go Smokowi w brzuch. Aż zgrzytnął, wychodząc na wylot i zahaczając o stos pacierzowy. Dla pewności przekręciłem żelazo. Smok zamarł w bezruchu, wywalając na mnie gały i rozwierając pysk, z którego dobył się jedynie charkot.

- Ja też - odparłem. - To za hutmana TYojana. Ja jeno zrobiłem to, czego on nie zdążył uczynić.

Z przyjemnością patrzyłem, jak przygasa nienawiść w jego ślepiach, a berdysz wypada mu z rąk. Jednak wciąż stał. Oburącz wyszarpnąłem żelazo, zamachnąłem się potężnie i ściałem mu łeb. Dopiero wtedy sikający juchą bezgłowy kadłub runął na ziemię. Głowa zaś odturlała się pod nadpaloną ścianę, za którą się wprzód zaczął, odbiła od niej i dotoczyła z powrotem do mych stóp. Odkopnąłem ją.

- I tyle w kwestii golema - mruknąłem do siebie.

Otarłem skrwawione ostrze o kurtkę Smoka i schowałem do laski. Pochyliłem się i zamknąłem oczy leżącemu na boku Dziurze. Obróciłem go na wznak i złożyłem mu dłonie na przestrzelonej piersi.

- Spoczywaj w pokoju, wierny druhu.

A potem odszedłem w mrok, stoczyć swą ostatnią bitwę. „Młyn Królewski o zmierzchu”. Tak brzmiała wiadomość od Grota. I oto byłem na miejscu, zmierzch właśnie zapadł, a od Młyna Królewskiego dzieliła mnie tylko szerokość młynówki.

Młynówka Królewska był to przekop powstały w dawnych czasach, wodą z Rudawy zasilający liczne stawy rybne, fosy miejskie, doprowadzający do miasta i zamku wodę pitną, a w okolicach Lob-zowa służący do nawadniania urodzajnych gruntów. Jaz w pobliżu Mydlnik spiętrzał wodę dla rozmaitych urządzeń, nie tylko młynów zbożowych, lecz stęporów do ubijania skór, foluszy do spilśniania sukna i szlifierni. O ile zbożowe Dolne Młyny na Krupnikach meły mąkę, stępami wybijały gruby śrut i kaszę, to Górne Młyny w okolicy Tasenbergu służyły głównie produkcji przemysłowej. Między Broną Szewską a kościołem na Piasku stał stareńki młyn mączny, zamieniony potem na garbarski, z trzema kołami, z których jedno wprzód

512

poruszało folusz, potem szlifiernię noży, zanim po sąsiedzku, przy Szerokiej, nie powstał osobny toczny młyn, czyli szlifiernia z prawdziwego zdarzenia, zaopatrująca dwór królewski w sztucce. Naprzeciwko młyna tocznego stanął zaś kolejny młyn dębny do mielenia kory dębowej na garbnik potrzebny garbarzom, a przy okazji poruszający stęporę. Były także dwie słodownie za kościołem Panny Marii i miejska topnia przed bramą Szewską.

Wszystkie te budowle spłonęły podczas oblężenia i dotąd nie zostały odbudowane. Z wyjątkiem rumosu¹, niezbędnego miastu, bo jedyne, w przeciwieństwie do innych urządzeń. Majaczył teraz po mojej prawej ręce, lśnić bielą świeżego drewna. Był to budynek podobny do młyna, z kołem zaopatrzonym w czerpaki nabierające wodę i wlewające ją do rzępi osadzonych w wieży wodnej, skąd płynęła podziemnymi drewnianymi rurami z wydrążonych pni jodłowych do publicznych rzępi wkopanych w okolicy rynku oraz do domów prywatnych.

Potężny Młyn Królewski, zwany tak, ponieważ monarchowie czerpali zeń dwie trzecie dochodu, a młynarze nosili zaszczytny tytuł „machinatorów”, ocalał (ale nie dwa mniejsze młyny przytykające do głównego budynku), przynajmniej częściowo, bowiem przyziemie zostało zbudowane z kamienia, więc spłonął jedynie dach, kęs ściany z dyli na piętrze i kilka z aż dziesięciu kół, z których każde uruchamiało inną maszynę. Pozostałe poruszały się bezproduktywnie w kierunku przeciwnym do biegu strugi, bowiem nie były to koła korzeczne, ale walne, poruszane od spodu². Jednak nawet te ocalałe w większości były potrzaskane, a z ich łopatek sterczały ostre drzazgi.

Ostrożnie wysunąłem głowę za węgiel narożnego domu, gdzie Tasenberg zbiegał się z ulicą Świętego Piotra, będącą raczej polną drogą i częściej zwaną Rybakami. Przy zruderowanym kościele Świętego Piotra czyhał następny człowiek Grota. Nigdy bym go nie wypatrzył, gdyby nie żarzący się punkt, jakby kęsek węgla, który

1 Wodociąg, stał w miejscu dzisiejszej ul. Asnyka, zniszczony przez Szwedów podczas „potopu”.

2 Koła młyńskie dzielą się na nasiębierne (dawniej: korzeczne), poruszane siłą wody spadającej z góry, i podsiębierne (walne), o połowę mniej wydajne od nasiębiernych. Oba typy należą do kół wertykalnych (pionowych), zaś najwcześniejsze koła młyńskie były horyzontalne (poziome).

513

co jakiś czas poruszał się w dół i w górę. Myślało mi się coraz trudniej, więc dopiero po dobrej chwili, kiedy do mego nosa dotarła smuzka dość przyjemnego dymu, domyśliłem się, że to lulka. Moda na palenie tutuniu nie przyjęła się u nas jeszcze, gdyż potępiał je król Stefan, dlatego widok był niecodzienny. Lotr, o ile nie był głuchy albo oszelmowany, musiał usłyszeć odgłosy potyczki na Tasenbergu, a jednak nie ruszył się z posterunku. Widać dostał taki rozkaz. Dzięki lulce mogłem dokładnie wymierzyć odległość, zanim cisnąłem nożem. Nie dobiegł mnie żaden odgłos. Tylko lulka upadła na ziemię i wciąż się żarzyła, kiedy odchodziłem.

Młyn Królewski znajdował się na kleparskim brzegu Młynówki, prawie naprzeciwko kościoła Świętego Piotra. Wiodła doń kładka, a raczej mostek na palach, solidnie nadpalony i potrzaskany kulami podczas oblężenia, co zaobserwowałem z rusztowania na wieży kościoła Na Piasku. Ale i tak nie zamierzałem z niego skorzystać. Pełzając, natrafiłem na wyrwę po bombie w od roku nienaprawianym wale i podczołgałem ku brzegowi, równie zaniedbanemu jak cała okolica i porośniętego krzami, zaś nad samą wodą trzcinami. Uciałem jedną, pistolety razem z przygotowanym dla Grota papierem wsadziłem do ładownicy, uniosłem ją nad głowę, a koniec trzciny wetknąłem do ust i bezszelestnie zsunąłem się do wody. Była bardzo zimna, lecz nie czułem tego, wprost przeciwnie - dobrze mi to zrobiło, gdyż znów chwyciła mnie febra. Na wpół płynąc, na wpół brodząc, dotarłem pod most. Cały drżący, przywarłem do pala. Kręciło mi się w głowie, nogi się uginały, ręce drżały, prawie traciłem przytomność. Chciałem się modlić o prolongatę danego mi czasu, lecz nie mogłem zebrać myśli. Potężna machina dudniła mi nad głową, a jej huk rozsadzał mózg... Nie, to był golem! Stapał ciężko, a gliniane okruchy sypały się na mnie z góry... Przytomniejąc, pojąłem, że to kolejny strażnik Grota, zapewne czymś zaniepokojony, opuścił swą kryjówkę i ostrożnie szedł mostem, unikając dziur, aż stanął dokładnie nade mną. Puściłem trzcinę, wyjąłem sztylet, wsadziłem go między zęby, po czym lekko plasnąłem otwartą dłońią o powierzchnię wody. Raz i drugi. Człowiek na moście ukląkł, po czym wychylił się poza krawędź, chcąc zobaczyć, co tak hałasuje pod mostem. Na to czekałem. Pochwyciłem go za gardło i pociągnąłem. Runął do wody głową naprzód. Rzuciłem ładownicę na most i zanurkowałem. Gdy go odnalazłem,

514

- 9 m

W

miotał się w panice, siejąc wokół srebrzyste bąbelki powietrza. Na oślepie uderzałem sztyletem dopoty, aż pęcherzyki przestały się ukazywać. Trzy razy próbowałem wdrapać się na kładkę,

za każdym razem zsuwając się bezsilnie do wody, taki byłem słaby. Dopiero gdy wbiłem sztylet w pal, udało mi się na nim wesprzeć i podciągnąć. Tyle, że nie potrafiłem go potem wydobyć. Trudno. Podniosłem ładownicę i ociekając wodą, poszedłem naprzód z pistoletem w garści, gotów zastrzelić każdego, kto stanąłby mi na drodze. Dalsze ukrywanie się już nie miało sensu. Ale nikt się nie pojawił. Widocznie Grot uznał, że dziesięciu zbirów (jedenastu, jeśli doliczyć szpiega zabitego przez Dziurę) plus Smok w zupełności wystarczy, by mnie powstrzymać. A jednak mnie nie docenił. Ale przecież ostatnio sam zauważył, że źle wyglądam, więc akurat to mogłem mu wybaczyć.

Obok młyna stał niegdyś dom młynarza, obecnie rozebrany aż do fundamentów, widać właściciel z wolna szykował się do odbudowy. Zachowała się za to otwarta szopa przystawiona do młyna, w której znajdował się wylot zwisającego z piętra pytła, nowomodnego urządzenia, które niedawno trafiło do nas z Niemiec i jeszcze nie było powszechnie stosowane. Widać ta partia długiego budynku stanowiła młyn zbożowy. Kula armatnia musiała uszkodzić nasyp nad Młynówką i wyryła w klepisku głęboką bruzdę, przez co woda z rzeki częściowo zalała majdan przed młynem, na który ongi zajeżdżali odbiorcy mąki. Po omacku odnalazłem drzwi do młyna. Nie miały zawiasów, osadzono je na drewnianych biegunach. Skobel był podniesiony. Skrzypnęły, kiedy pchnąłem je i wszedłem do środka. Wpierw zdało mi się, że ciemność wewnątrz jest zupełna, jednak z góry padało nieco światła. Z początku myślałem, że może to prześwity w zniszczonym dachu, lecz światło było sztuczne. Ujrzałem wystający z muru gruby wał, na zewnątrz obracany przez koło młyńskie, który tutaj, w przyziemiu, uruchamiał koło zębate alias paleczne, najeżone kołkami. Kołki te zahaczały o umocowane podłużnie laski cewii, która z kolei wprawiała w ruch wrzeciono, to jest pionowy wał, ginący w powale. Bywałem już w młynach, choć nie w tym, więc wiedziałem, że na piętrze koniec wrzeciona wchodził w paprzycę, czyli żelazną płytkę wbudowaną w górny kamień młyński, inaczej biegun, obracając go. Ten zaś rozgniatał mlewo znajdujące się pomiędzy nim a nieruchomym dolnym

515

glazem - leżakiem. Cała ta maszyna stukała i zgrzytała, zagłuszając inne odgłosy.

Stanąłem u stóp szerokich schodów i postawiłem nogę na stopniu. Skrzypnął. Serce biło mi jak oszalałe. Kurczowo uchwyciłem się poręczy. Co zastanę na górze?

- Czy to ty, Ryksie? - dobiegło właśnie stamtąd. Musiał być bardzo czujny.

-Ja.

- Spóźniłeś się.

- Coś mnie spowolniło.

Rozległ się stłumiony śmiech.

- Ty jesteś jednak prawie niezniszczalny. A już mi się zdawało, że wystarczy cię tknąć palcem, abys się przewrócił. Cóż, skoro dotarłeś tak daleko, tedy zapraszam.

Wspinałem się powoli, podpierając laską i mobilizując wszystkie siły, jakie tylko mi jeszcze zostały. Kiedy znalazłem się na górze, oślepiło mnie światło latarki.

- Rzuć broń!

Pochyliłem się, położyłem pistolet na deskach i wyprostowałem się.

- Kopnij go do mnie!

Zrobiłem, jak kazał.

- Zabierz to światło - poprosiłem. - Nic nie widzę.

- I o to chodzi. Jak cię znam, niegrzeczny chłopcze, trzymasz pewnie jeszcze jakąś niemiłą zabawkę za plecami.

Wyjąłem króciwą i szurnałem w stronę światła. Dopiero wtedy odstawił latarkę. Kiedy odzyskałem widzenie, wpięram, w miejscu niemal całkowicie zniszczonego gontowego dachu, zobaczyłem niebo nad głową, potem zadziwiająco dobrze zachowane ściany z bali, rząd sąsieków na zboże pod nimi, dwa jałowo obracające się z chrzęstem wielkie kamienie młyńskie z wyspem na ziarno nad nimi oraz częściowo oderwanym pytlem pod spodem, którego koniec niknął w ścianie. A potem... Grota trzymającego przed sobą Kacpra juniora z zawiązanymi ustami i przerażonymi oczyma, a wolną ręką przytykającego malcowi pistolet do głowy. I skrzepowaną Jankę, leżącą u ich stóp i wyglądającą na martwą. Coś ścisnęło mi gardło.

- Nie dotrzymałeś słowa - powiedziałem przez zaciśnięte zęby.

516

glazem - leżakiem. Cała ta maszyna stukała i zgrzytała, zagłuszając inne odgłosy.

Stanąłem u stóp szerokich schodów i postawiłem nogę na stopniu. Skrzypnęła. Serce biło mi jak oszalałe. Kurczowo uchwyciłem się poręczy. Co zastanę na górze?

- Czy to ty, Ryksie? - dobiegło właśnie stamtąd. Musiał być bardzo czujny.

- Ja.

- Spóźniłeś się.

- Coś mnie spowolniło.

Rozległ się stłumiony śmiech.

- Ty jesteś jednak prawie niezniszczalny. A już mi się zdawało, że wystarczy cię tknąć palcem, abys się przewrócił. Cóż, skoro dotarłeś tak daleko, tedy zapraszam.

Wspinałem się powoli, podpierając laską i mobilizując wszystkie siły, jakie tylko mi jeszcze zostały. Kiedy znalazłem się na górze, oślepiło mnie światło latarki.

- Rzuć broń!

Pochyliłem się, położyłem pistolet na deskach i wyprostowałem się.

- Kopnij go do mnie!

Zrobiłem, jak kazał.

- Zabierz to światło - poprosiłem. - Nic nie widzę.

- I o to chodzi. Jak cię znam, niegrzeczny chłopcze, trzymasz pewnie jeszcze jakąś niemłą zabawkę za plecami.

Wyjąłem króciwą i szurnąłem w stronę światła. Dopiero wtedy odstawił latarkę. Kiedy odzyskałem widzenie, wpiers, w miejscu niemal całkowicie zniszczonego gontowego dachu, zobaczyłem niebo nad głową, potem zadziwiająco dobrze zachowane ściany z bali, rząd sąsieków na zboże pod nimi, dwa jałowo obracające się z chrzęstem wielkie kamienie młyńskie z wysypem na ziarno nad nimi oraz częściowo oderwanym pytlem pod spodem, którego koniec nikał w ścianie. A potem... Grota trzymającego przed sobą Kacpra juniora z związanymi ustami i przerażonymi oczyma, a wolną ręką przytykającego malcowi pistolet do głowy. I skrępowaną Jankę, leżącą u ich stóp i wyglądającą na martwą. Coś ścisnęło mi gardło.

- Nie dotrzymałeś słowa - powiedziałem przez zaciśnięte zęby.

516

- O co chodzi? O nią? - Skierował lufę na Jankę. - Nic jej nie jest. Musiałem ją ogłuszyć, kiedy chciała mi wydrapać oczy. Ten pistolet też należy do niej. Trzymała go tam, gdzie nigdy nie przy-szłoby mi do głowy go szukać. Muszę przyznać, że dobrana z was para. Rozdzielenie was na zawsze byłoby wręcz nieludzkie.

Rzeczywiście, na gębie miał cztery paskudne krwawe szramy, a za pasem drugi pistolet. Zauważyłem jeszcze coś. Oto Janka otworzyła jedno oko i wyraźnie do mnie mrugnęła. Ale trwało to tylko mgnienie i może tylko mi się zdawało.

- Masz skrypt?

- Oddaj mi syna.

- Nie drażnij mnie, bo może mam ochotę zrobić to, co nie udało się tym fuszerom ze Smokiem na czele: zabiję cię i odbiorę pismo? Nie uważasz, że tak byłoby najprościej?

Naprawdę zamierzał to uczynić. Nie później, lecz w tej chwili. Palec na cynglu zaczął już mu się zginać. Schyliłem się błyskawicznie, wyjąłem nóż z buta i rzuciłem od dołu. Wbił się o cal od buta Grota.

- Nie bądź taki pewny siebie. Mogłem i powinienem cię zabić. Tak byłoby najprościej. Następnym razem tak zrobię. Więc lepiej mnie nie drażnij. Dokonajmy wymiany i rozejdźmy się w zgodzie, jak było ustalone.

Obaj wiedzieliśmy, jak to się musi skończyć, ale ta gra, jak każda, miała swoje prawa. Moja demonstracja ukrytych możliwości zrobiła na nim wrażenie. Opuścił uzbrojoną rękę. Nie podejrzewał, że nie chciałem go jedynie postraszyć. Janka jednak powinna się domyślić, po co to zrobiłem.

- Skrypt! - Pchnął chłopca w moją stronę i wyciągnął zwolnioną rękę. ł

Nie spieszyłem się. Kucnąłem, rozwiązałem juniorowi knebel, odrzuciłem i przycisnąłem malca mocno. Hilił się do mnie, obejmując rączkami, pochlipując, a w przerwach powtarzając:

- Ojcie... Tatusiu... Wiedziałem, że po nas przyjdiesz...

- Skrypt! - warknął Grot.

Znów go zignorowałem.

- Musisz być dzielny i robić bez pytania, co ci każe, a wszystko skończy się dobrze. Zaufaj mi - powiedziałem poważnie do Kacperka.

517

Otarł łzy i choć usta wciąż układały mu się w podkówkę, pokiwał głową. Dzielny otrok. Ogarnęło mnie wzruszenie. Byłem prawie wdzięczny Grotowi, że umożliwił nam spotkanie, kiedy już straciłem na to nadzieję. Bóg jednak był dla mnie łaskaw. Oby teraz raczył pomóc mi ocalić synka.

- Zatem stań za mną, nie wychylaj się i nic nie mów.

Dopiero gdy tak zrobił, sięgnąłem do ładownicy, wyjąłem zalakowaną kartę i nie ruszając się z miejsca, podałem ją Grotowi, zmuszając go, by postąpił dwa kroki naprzód. Jak się spodziewałem, Janka natychmiast z tego skorzystała i przysunęła się do wbitego przeze mnie dla niej noża. Kacperek musiał to zauważyć, bo głośno wciągnął powietrze. Swoją spoutniałą dłonią ścisnąłem jego dłoń. Zrozumiał i nie otworzył ust. Grot, znów mierząc do mnie z pistoletu, wyrwał mi kartę i szybko cofnął się o krok.

- Skąd mam wiedzieć, że mnie nie oszukałeś? - spytał, nieufnie obracając ją na wszystkie strony.

- Sprawdź, jeśli mi nie wierzysz. Myślisz, że poświęciłbym życie żony i syna dla jakiegokolwiek sprawy? Nawet żeby zniszczyć taką kanalię jak ty?

Bez skrupułów łągałem w żywe oczy, co zresztą niczego nie zmieniało, bo nawet gdybym mu oddał zeznanie Szarskiego, i tak zabiłby nas wszystkich. Walczyłem o minuty potrzebne Jance, by przeciąć więzy i dojść do siebie. A w zasięgu ręki miała dwa nabite pistolety z

trzema kulami do dyspozycji. Zabicie mnie też zajęłoby Grotowi bezcenną chwilę. Grot jednak spiorunował mnie tylko wzrokiem i pomagając sobie zębami, rozerwał pieczęć. Karta rozchyliła się, ukazując niezapisane wnętrze. Korzystając z chwilowego osłupienia Grota, porwałem Kacperka za kark jak psiaka, odchyliłem naderwaną nasadę pytla i wrzuciłem malca do rękawa nogami naprzód, wołając:

- Uciekaj jak najdalej i dobrze się ukryj!

Dopiero zsuwając się, nie wytrzymał i krzyknął ze strachu. Obróciłem się do Grota, ale podnieść upuszczoną laskę i wyszarpnąć z niej ostrza już nie zdążyłem.

- Wiedziałem! - ryknął i wycelował mi w pierś.

Huknął strzał. Nie poczułem nic i nic nie rozumiałem. Czyżby chybił? Z takiej odległości? Kiedy dym się nieco rozwiął, ujrzałem zdumiony, że zgięty wpół Grot z grymasem bólu i bezbrzeżnego

518

zaskoczenia trzyma się za bok jedną ręką, a z drugiej wypada mu pistolet. Odciągnięty kurek opadł w zetknięciu z podłogą, znów padł strzał, ale tym razem zupełnie nieszkodliwy. Byłem tak pewny, że to Janka strzeliła do Grota, iż widok czarnej postaci, która wyłoniła się z jednego z pustych sąsieków, z trudem przelazła przez krawędź i zbliżała się ku nam niepewnym krokiem, kichając raz po raz, zaskoczył mnie tak samo jak Grot.

- Uff, naczekałem się w tej skrzyni, nałykałem mącznego pyłu i nawet kichnąć sobie nie mogłem, ale było warto. No i jak, mości rajco? Było oszukiwać na nagrodzie, a potem próbować mnie zamordować? Od tamtej pory chodziłem za tobą jak cień. Powiedz, jak to jest umierać w chwili, gdy tryumf wydawał się tak bliski?

Grot nic nie odparł, patrzył tylko na Kettlera z tak bezmierną nienawiścią, że gdyby wzrok mógł zabijać, bielak wiłby się w przed-śmiertelnych mękach. Tymczasem nic z tych rzeczy. Albinos spokojnie wy dobył rapier i wbił go w pierś Grota. Ten upadł na kolana, głowa mu zwisła. Wreszcie przewrócił się na twarz i znieruchomiał.

- Tak kończą zdrajcy i lotry bez czci i wiary. Coraz ich więcej, niestety. Świat schodzi na psy - mruknął Kettler i wsparł się ciężko na żelazie.

Z natury bladej, teraz i z bliska wydał mi się wręcz przezroczysty. Lewy rękaw miał pusty, z mankietem zatkniętym za pas. Może się umoczył na licu, lecz zroszone potem czoło i głębokie cienie pod oczyma wskazywały, że to raczej kostucha położyła już na nim swoją dłoń jako i na mnie, bo musiałem wyglądać podobnie. Odgadł, o czym myślałem, bo smętnie pokiwał głową.

- Tak, doktorze, nie mylisz się. Umieram, i to za niczyją inną, lecz twoją sprawą - zsunął z lewego ramienia kubrak razem z gie-złem i pokazał okropnie poczerniały kikut ramienia ze smugami sięgającymi barku. - Kiedy dziabnąłeś mnie prawie rok temu, amputowano mi dłoń. Za pierwszym razem jeszcze się udało, ale potem wdała się zgorzel i

nawet druga amputacja nie pomogła. Nie chciałbym schodzić z tego świata, nie wyrównawszy wszystkich rachunków. Nie mówiąc o starym obliżu wobec nieboszczyka Zborowskiego.

Pojąłem, co miał na myśli, i wyjąłem żelazo z granatu.

- Bardzo dobrze - rzekł z uznaniem i uniósł rapier. - Byłeś jedynym godnym mnie przeciwnikiem, jakiego spotkałem w życiu. Do

519

zobaczenia w piekle. Może spotkamy się w jednym kotle. Będzie

0 czym pogwarzyć.

Były to jego novissima verba'. Nie zdążyliśmy skrzyżować ostrzy, bo oto gruchnęły dwa strzały. Kettler chybnął w przód i w tył, po czym jak kłoda zwałił się na plecy, nie wypuszczając rapiera z garści. Oczy uciekły mu w głąb czaszki.

- Szybko, do Kacperka! - krzyknęła do mnie Janka, odrzucając wystrzeloną króciwą i chwytając latarkę.

Nie czekając na nią, rzuciłem się ku schodom, w biegu niezdarnie usiłując schować sztylet do laski, gdy znów usłyszałem krzyk Janki.

- Kacper!

Odróciłem się i zobaczyłem, jak siłuje się z kimś rozpaczliwie. Nie do wiary! Grot tylko udawał martwego, choć niewątpliwie był ciężko ranny. Ale nie śmiertelnie. Uczępiona jego ramienia Janka próbowała oddalić od siebie ostrze sztyletu, z wolna, lecz nieubłaganie zbliżając się ku jej twarzy. Nie zdążyłbym dobiec z pomocą. Cisnąłem ostrzem jak oszczepem. Weszło mu pod odsłoniętą pachę

1 wniknęło głęboko. Niby pchnięty niewidzialną sprężyną runął naprzód i zniknął mi z oczu. Jego przedśmiertelny krzyk urwał się jak ucięty nożem. Janka porwała upuszczoną latarkę, dołączyła do mnie, złapała za rękę i razem pobiegliśmy ku wyjściu.

- Nie ma go! - zawołała zrozpaczona, kiedy ani u wylotu pytła, ani w pobliżu nie znaleźliśmy chłopca. - Kacperku, gdzie jesteś!?

- Poświeć tutaj - poprosiłem i w świetle zobaczyłem świeży ślad niknący w szeroko rozlanej kałuży. - Wpadł z pytła, stracił równowagę i wpadł do wody.

- Jezus, Maria, utonął mój Kacperek!

Wszedłem do bajora i brodziłem ku Młynówce rowem wyżłobionym przez kulę armatnią, Janka z uniesioną latarką szła brzegiem.

- Tam jest, widzę go!

Woda sięgała mi już piersi, kiedy do niego dotarłem. Unosił się na wodzie, uczepiony trzciny na brzegu Młynówki. Gdyby się ich nie uchwycił, nurt porwałby go niechybnie i byłby z pewnością utonął.

- Pływałem! - oznajmił mi z dumą, gdy brałem go w ramiona i niosłem do matki.

1 Novissima verba (lac.) - ostatnie słowa (umierającego).

520

Przejęła ode mnie chłopca i wtedy poczułem potężne uderzenie gorąca. Kiedy się ocknąłem, leżałem na wznak na czymś miękkim i przytulnym, lecz było mi tak zimno, że szczykałem zębami. Nade mną zaś działy się rzeczy dziwne i straszne. Oto od dołu ku górze wystrzelały niesamowite jasności, jakby ogniste słupy krwawe, co chwilę przecinane poruszającymi się z niezwykłą szybkością czarnymi chmurami.

- Gdzie ja jestem? - wyszeptałem do siebie. - W niebie, zali w piekle?

- Na ziemi. Chwała Bogu, bo już myślałam, że w istocie umarłeś - powiedziała Janka, siadając przy mnie, kładąc moją głowę na podołku i gładząc po twarzy. - Jest środek nocy. Byłeś nieprzytomny przez kilka godzin, bredziłeś i rzucałeś się w malinie. Z trudem udało mi się ciebie przebrać.

Dopiero teraz pomacałem i stwierdziłem, że mam na sobie suche odzienie.

- Skąd je wzięłaś?

- Pożyczyłam od Kettlera. Nie protestował.

- Na czym leżę?

- Na podbitej sobolami szubie Grota.

- A gdzie junior?

- Biega, żeby się rozgrzać. Obcięłam dla niego oponczkę Kettlera, ale pod spodem jest nagi. Nic na niego nie pasowało. Próbowałam go nakłonić, żeby się krzynę przespał, lecz jest zbyt podniecony.

- Niepotrzebnie wracaliście. Nie wzywałem was.

- Wiem. Od razu wiedziałam. - W oku błysnęła jej łza, uśmiechnęła się leciutko i jakby z goryczą. - I nigdy nie napisałbyś do mnie tak błagalnie i od serca. Domyśliłam się, że wpadłeś w tarapaty i ktoś zagiął na ciebie parol, a nas potrzebuje na wabia. Zresztą potem Grot mi wszystko objaśnił, chełpiąc się przy tym niemożliwie. Tymczasem udało im się pojmać mnie tylko dlatego, że było ich zbyt wielu.

- Trzeba było nie wracać - upierałem się.

- Musiałam. Nie powinnam w ogóle wyjeżdżać, wiedząc, w jakim zostawiam cię stanie. Żałowałam tego już następnego dnia i przez wszystkie następne. Cieszę się, że wróciłam.

- Szczerze mówiąc ja też. - Pocałowałem ją w rękę. - A teraz pomóż mi wstać, musimy wrócić do miasta.

521

- Przyniosłam ci twoją laskę, a sobie wzięłam króciwą, resztę broni zostawiłam. Na razie nie będzie nam potrzebna.

Wolałem nie wyprowadzać jej z błędu. Noc się jeszcze nie skończyła i moje zadanie też nie. Dwa razy usiłowałem wstać, lecz mimo pomocy Janki nie poradziłem. W tym czasie pędem przybiegł Kacperek i ciekawie przyglądał się moim nieudolnym wysiłkom.

- Zostań tu - powiedziała Janka. - Sprowadzimy pomoc z zamku.

- Nie. Zaczekaj.

Zacisnąłem zęby, uwiesiłem się na lasce i nadludzkim wysiłkiem podźwignąłem na kolana, a potem zdołałem powstać.

- Możemy iść.

I poszliśmy, choć raczej to Janka mnie niosła. Kacperek biegł przodem. Latarka dawno zgasła, zresztą nie potrzebowaliśmy jej przy tak rozjarzonym niebie. Najgorzej było na kładce, gdzie, straciwszy równowagę, omal nie zwałem się do rzeki. Wtedy zobaczyłem Grota. Musiał wypaść przez wybite okno. Nadziany na drzazgę z uszkodzonego koła młyńskiego niby na pal, obracał się razem z kołem, to nikiąc w wodzie, to wynurzając się z powrotem. Requiescat in pace!

Potem poszło trochę lepiej. Furta w murze była otwarta, jak ją zostawiłem. Janka chciała skrócić w stronę Wawelu.

- Stój. Ib się rozstaniemy. Mam jeszcze jedną sprawę. Nic niebezpiecznego - zapewniłem pospiesznie - ale muszę to załatwić przed świtem.

- Nie ma mowy, sam nigdzie nie dojdiesz.

- Dojdę. Już mi lepiej.

- Pójdę z tobą.

- Nie. Musisz czym prędzej dotrzeć na zamek. Niech imć Stasz-kowski natychmiast przeczi skrypt, który mu posłałem. Wtedy wszystko pojmie. Powiesz mu, że aby oczyścić miasto z plugastwa, musi, nie mieszkając, zabrać hajduków i uderzyć na baszty Cękla-rzy i Katowską, gdzie zgromadziły się największe łotry okrom tych, których już zlikwidowaliśmy.

- A ty gdzie będziesz?

1 Reguiescat in pice (lac.) - spoczywaj w smole (piekle).

522

- W domu Sędziwoja albo w jego pracowni gdzieś pod domem. Nie lękaj się, naprawdę nic mi nie grozi. Z pierwotku zamierzałem najpierw odwiedzić basztę Katowską, lecz porzuciłem ten koncept, ponieważ poradziłoby sobie ze mną niemowlę, a co dopiero krzepki małodniejszy, nawet zaskoczony i sam.

- Zaczekaj tam na mnie.

- Nigdzie się stamtąd nie ruszę.

- I powiesz mi wtedy nareszcie, że mnie miłujesz?

- Z pewnością.

Ucałowaliśmy się, uściśnaliśmy Kacperka i zawróciłem, a oni pobiegli naprzód. Dopóki mogli mnie widzieć, jakoś się trzymałem, ale na Szczepańskiej padłem i długo nie wstawałem. I pewnie zostałem już tam na wieczność, gdyby nie słowa rabina ben Beca-lela, które nie dawały mi spokoju: „Straszne znaki na niebie i ziemi obwieszczają nam tę porę”. Porę, w której cudowne żydowskie dziecię będzie wystawione na największe niebezpieczeństwo. Megale Amukotowi co prawda raczej nic już nie groziło, mojemu synkowi także, lecz zostały drugie dzieci, porywane i więzione od miesięcy. Może niektóre z nich jeszcze żyły? Musiałem je uwolnić, zanim będzie za późno. Miałem zaś do dyspozycji tylko to ostatnie już chyba Incidum intervallum¹. Najpóźniej o świecie Strzelbicki dowie się, co przygodziło się Grotowi, Smokowi i reszcie, i stanie się nieobliczalny. Z pewnością zechce pozbyć się wszystkich, którzy mogli coś wiedzieć o jego sprawkach, a zaczną od Sędziwoja i dzieci. Nawet gdyby podstarość nadciągnął niebawem, i tak może nie zdołać mu w tym przeszkodzić.

Dźwignąłem się na kolana i na czworakach posuwałem wzdłuż muru cmentarnego okalającego kościół Świętego Szczepana. Najwidoczniej na Tasenbergu udało mi się przy pomocy Dziury zlikwidować całą nocną straż, bo szczęśliwie nie napotkałem ani żadnego patrolu, ani w ogóle żywej duszy. Przez przecznę Żydowską nie miałem siły przeleźć nawet na czworakach, więc przepełzłem, ciągnąc za sobą laskę. Kiedy dowlokłem się do pierwszej kamienicy, obróciłem się i dobry kwadrans leżałem na wznak, bezmyślnie obserwując niebo, na którym w dalszym ciągu rozgrywało

1 Lucidum intervallum (lac.) - jasna przerwa, chwila przytomności, przebłysk w chorobie.

523

się niezwykle spectaculum. Potem zebrałem się w sobie i korzystając z laski oraz muru, udało mi się stanąć. Czepiając się ścian niczym oźralec, jakoś dobrnąłem do Sędziwojki i zakolatałem. Raz, drugi i trzeci. Nareszcie usłyszałem kroki i przestraszony głos Bodowskiego zapytał:

- Kto tam?

- Doktor Hiropoński. Otwieraj, bo przestrzelę zamek.

Wpuścił mnie do środka. Mimo nocnej pory był kompletnie

ubrany i znużony, jakby w ogóle nie kładł się spać. Nie traciłem czasu na wyjaśnienia. Wyjąłem sztylet z laski i przystawiłem mu do gardła.

- Prowadź do pracowni.

- Nie mogę.

- Czemu?

- Bo klucze do lochów ma pani.

- Więc zaprowadź mnie do niej.

- Ale...

- Już!

Nie poradziłbym sobie z wdrapaniem na piętro, gdyby nie pomoc Bodowskiego.

- Gdzie sypialnia?

- Pani nie ma w sypialni. Jest w bawialni. Ma gościa. Przyszedł o północy i wciąż tam siedzą...

- A pan?

- Pan jest... - uderzył się w usta. - Tego mi mówić nie Iza.

Położyłem dłoń na klamce.

- Dobra, wchodzę. Wejdiesz ze mną?

- A niech mnie Bóg broni! - Cofnął się o krok, latarka w ręku zakółysała się, w oczach miał niewypowiedziane przerażenie.

Kogo lub czego aż tak się bał? Wzruszyłem ramionami.

- Jak chcesz. Tylko się stąd nie ruszaj. Będę cię jeszcze potrzebował.

Bez pukania wtargnąłem do środka, nie fatygując się zamykaniem drzwi. Lecz one, z lekkim poskrzypywaniem, przymknęły się same. Okazałe pomieszczenie, urządzone wystawnie, ale niespójnie, jakby czyjeś wulgarne upodobania usiłowano pogodzić z dobrym smakiem, który jednak przegrał nierówną walkę, rozświetlał kandelabr na pięć świec. Stał na środku stołu, a obok napoczęta flaszka wina i dwa puchary.

Dobrze, że nie wybrałem się najpierw do domu kata. Bo oto nocnym gościem okazał się imię Strzełbicki we własnej osobie. Siedzieli z gospodynią na wprost siebie, oddzieleni stołem, i o czymś rozprawiali, a raczej mówiła ona, a on tylko słuchał, wyprostowany sztywno, jakby kij połknął. Nie wyglądało to na spotkanie kochanków, nawet nie dlatego, że jedynie ona była odziana niekompletnie, a z rozcięcia w gieźle kusząco wychylały się kształtne piersi. Spoglądali na siebie intensywnie, lecz afekt w nich widoczny określiłbym jako skondensowaną nienawiść, a już z pewnością nie miłowanie. Na mój widok przerwała w pół słowa i obróciła ku mnie twarz, wpierw rozjaśnioną, jakby spodziewała się kogoś innego. Powitalny uśmiech szybko zniknął. Zmarszczyła czarne brwi. On ani drgnął, tylko oczy o rozszerzonych źrenicach pobiegły w moją stronę i błysnęło w nich zaskoczenie.

- Kim jesteś? - burknęła. - I co ma znaczyć to najście?

- Jestem Ryx. Kacper Ryx-Ttiropoński. - Musiała o mnie słyszeć, bo i jej źrenice nagle się rozszerzyły. - Przyszedłem po klucze do sklepów pod domem. Nie zmuszaj mnie, bym je odebrał siłą. Jeśli będę musiał przy tym cię zabić, zabiję.

- Wątpię. Wyglądasz, jakbyś stał nad grobem. Jednak nawet nieproszony gość w dom, Bóg w dom. Usiądź. I napij się wina, to cię wzmocni.

W jednej chwili jej widoczna aż nadto niechęć zmieniła się w serdeczną gościnność dobrej gospodyni. Uśmiechnęła się do mnie mile, podniosła się, odsuwając dla mnie jedno z krzeseł, po czym zakręciła się jak fryga, wyjęła z abakusa trzeci puchar z kompletu, wróciła do stołu i naląła sobie i mnie.

- A imię Strzełbicki? - spytałem, odstawiając laskę, zajmując miejsce i obserwując małodobrego, który wciąż trwał nieruchomo niby posąg.

- On już ma dosyć - zachichotała bardziej upiornie niż żartobliwie i zwróciła się do niego: - Nieprawdaż, kochanieńki?

Nic nie odpowiedział, tylko wyraz nienawiści, z jaką na nią patrzył, jeszcze zintensywniał.

- Widzisz waść? - uśmiechnęła się do mnie promiennie, nachyliła tak, bym dostrzegł niewidoczną dotąd partię toczonych piersi, trąciła pod stołem swoim kolaniem moje i pieszczotliwie pogładziła moją dłoń. - No, to na zdrowie. - Uniosła swój puchar w górę. - I za

525

początek pięknej przyjaźni. Podobasz mi się waść. Nie wiem, co o mnie naopowiadał ten niecnota Bodowski, lecz wszystko zaraz ci wytłumaczę i spełnię każde twoje życzenie.

Anioł nie mógłby być słodszy, a szatan bardziej kusicielski. Doprawdy, ta niewiasta była nie tylko powabna, gdy chciała, ale umiała zmieniać nastrój i wygląd na zawołanie. W pewnym sensie podziwiałem ją.

- Jednak wolałbym, by i imię Strzełbicki spełnił toast - nalegałem.

Skrzywiła się, odstawiała swój puchar i nachyliła, by napełnić

kielich małodobrego, na moment spuszczając mnie z oka. Potem usiadła i stuknęła swym pucharem w mój.

- No, do dna. Nie daj się dłużej prosić.

Nie dałem. Bardzo chciało mi się pić.

- Jeszcze?

- Wystarczy.

Długą chwilę siedzieliśmy, nic nie mówiąc. Obserwowała mnie ciekawie, a wyraz jej urodziwego lica z wolna zmieniał się od zalotnego po pełne okrucieństwa zadowolenie z siebie. Przypominała mi kotkę, która złapała mysz i bawiła się nią, wiedząc, że ofiara już jej nie ujdzie.

- Smakowało? - spytała wreszcie.

- Bardzo.

- A jednak jesteś głupi jak wszyscy mężczyźni. To wino było zatrute. Zawiodłeś mnie, panie Tbropoński. Wiele o tobie słyszałam, nie tylko od męża. Grot też mnie przed tobą ostrzegał. A tu proszę, dałeś się podejść jak dziecię.

- Był twoim kochankiem? - Ostatnie fragmenty łamigłówek zaczęły się układać w logiczną całość. - Dla niego otrułaś małżonków Tęczyńskich? Dlatego Sędziwój musiał z nim współpracować, bo inaczej odpowiadałby za współudział w zbrodni?

- Miałam zostać burmistrzową - powiedziała z goryczą. - A tymczasem ten łotr i wiarołomca nasłał na mnie swego współlnika. - Ruchem brody wskazała milczącego jak głaz kata. - Żeby mnie udusił. Na szczęście dureń zgodził się odłożyć egzekucję, by wpiąć się mną nasycić i skosztować wybornego wina. No to dostał, czego chciał - zaśmiała się złośliwie.

Zatem nie omyliłem się. Tej nocy Grot i Strzelbicki ostatecznie zamykali wszystkie swoje stare sprawy.

526

- Co nam zadałaś?

- Zgadnij. Przecież jesteś medykiem.

Od początku, kiedy tylko zobaczyłem Strzelbickiego, zastanawiałem się, czym został otruty. Od razu wykluczyłem arsenik, bo skutkował po dłuższym czasie. Cukier ołowiany vel sapał, którym już Rzymianie dosładzali cierpkie wina, też nie działał błyskawicznie. Rtęć tak samo. Pozostawały zioła. Zatrucie bielunem, niedawno sprowadzonym z Nowego Świata, objawiało się pobudzeniem, płaczem, słowotokiem, drgawkami i majakami. Pokrzyk wilcza

jagoda, czyli belladonna zawierająca atropinę, dawał podobne objawy, nijak pasujące do stanu Strzelbickiego. Została cykuta. Nazwą tą określano dwa zioła selerowate: szalej jadowity, *cicuta virosa*, zwany też blekotem oraz szczwół alias pietrasznik plamisty. Szalej dawał

0 sobie znać już po kilku minutach pieczeniem w gardle, nudnościami i womitami, ślepieniem, drgawkami i omamami podobnymi do szaleństwa, bredzeniem, napadami duszności i na koniec ciężką śmiercią przez uduszenie. Odpadał. A więc to szczwół, *conium maculatum*. Działał równie szybko jak szalej. Zaczynało się od paraliżu postępującego w górę, począwszy od nóg. Otruty nie mógł się ruszyć, ale mógł mówić, umysł miał sprawny i zachowywał pełną świadomość do samego końca. Dopiero kiedy odrętwienie dochodziło do pasa, język kołowaciał, uniemożliwiając mowę, zaczynały się duszności, a gdy zimno docierało do serca - następowała śmierć przez zatrzymanie pracy serca lub oddechu. Tak, w sumie łagodnie, skończył Sokrates, a teraz w ten sam sposób umierał Strzelbicki.

1 nie tylko on.

- Cykuta.

- Brawo. Więc wiesz, co cię czeka.

- Ja tak, ale ty jeszcze nie.

Odpocząłem sobie, a właśnie tego potrzebowałem. Było ze mną bardzo źle. Otarłem rozpalone czoło i ujrzałem na rękawie krwawy pot. Znow zbliżał się atak febry. Wątpiłem, bym zdołał go przeżyć. Pora się zbierać.

- Bodoński!

Sługa Sędziwoja ostrożnie wsunął głowę w uchylone drzwi.

- Wchodź, nie obawiaj się. Znajdź klucze. Pospiesz się.

1 Octan ołowiu.

527

Mimo to zbliżył się nieufnie, z wyraźnym strachem spoglądając na swą panią.

- No, dalej. Nie wiesz, gdzie są klucze?

- Wiem. W szkatule schowanej w abakusie, ale... Ale kluczyk do niej pani nosi na szyi...

- To go zabierz.

- Precz ode mnie z plugawymi łapami! - wrzasnęła i próbowała zerwać się z miejsca.

Ale nie zdołała. Jej twarz w jednej chwili zmieniła się w upiorną maskę, na której niedowierzanie mieszało się z przerażeniem.

- Teraz i ty wiesz, jak smakuje cykuta - powiedziałem, wsparłem się mocno na lasce i wstałem. - Wino było w istocie bardzo dobre, ale czas się pożegnać. Dzięki za traktament. Bodowski, rób swoje.

Ośmielony jej bezruchem, zerwał jedwabną nić z kształtnej szyi i poszedł do abakusa.

- Ty diable! - syknęła, łzy jak groch ciekły jej po licu, wargi drżały. - Jak zamieniłeś puchary?

- Nie chwaląc się, równie sprawnie i szybko, jak ty wysunęłaś fiolkę z trucizną z rękawa i schowałaś ją z powrotem.

- Obyś nie wyjrzał z piekła!

- Być może, lecz ty trafisz tam z pewnością. Na pociechę powiem ci, że Grota już wysłałem przodem. Nie będzie się wam nudziło.

Strzelbicki wydał z siebie dziwny dźwięk, z grubsza przypominający śmiech, który przeszedł w charkot, po czym zwałił się z krzesła na pawiment.

- Podaj mi ramię - poprosiłem pobrzękującego kluczami sługę. -I zabierz świecznik.

Opuściliśmy komnatę, ścigani przeraźliwym wyciem trucicielki, umierającej i pozostawionej w całkowitej ciemności, sam na sam z nieboszczykiem. Do podziemi, mimo pomocy Bodowskiego, ledwo dotarłem. W głowie mi wirowało, przed oczyma latały mroczki.

- Dobrze się wasza miłość czujesz? - zatroszczył się Bodowski.

- Tak. Ruszaj.

Za okutymi drzwiami ciągnął się długi korytarz z licznymi sklepami po bokach, zagrodzonymi kratami. Pierwsze były składami. Hitaj gromadzono większość łupów, włącznie z, sądząc po zapachu, workami i beczkami z siarką, saletrą i prochami skradzionymi ze składów miejskich. Dzieci znajdowały się w dwóch sąsiadujących

528

celach, osobno chłopcy, osobno dziewczynki. Chłopców było pięciu, dziewczynek - cztery. Żadne nie miało mniej niż trzy i więcej niż sześć lat. Nie wyglądały na zagłodzone, były tylko bardzo brudne, a nocników dawno nie opróżniano, więc okropnie śmierdziało. Wystraszone naszym przyjściem i oślepione, z początku w zupełnym milczeniu zbiły się w dwie strwożone gromadki. Dopiero gdy pojęły, że nie jesteśmy ich prześladowcami, rzuciły się ku kratom, wyciągając ku nam ręce przez pręty i wołając:

- Ja chcę do mamy! Wypuście nas! Ratunku! Tatko!

Skinąłem na Bodowskiego, który trzęsącymi się rękami otworzył

po kolei oba zamki. Czeredka dzieci, płacząc i krzycząc, obstała nas, przywierając i obejmując za nogi.

- Brakuje pięciorga! - powiedziałem do sługi, przekrzykując hałasującą dziatwę.
- Zabili je. Po jednym. Na krew do alchemickich eksperymentów. Po śmierci pierwszego mój pan się zbuntował i odmówił dalszej współpracy.
- Co z nim zrobili, zamordowali?
- Nie, uwięzili w pracowni. Byliby go zgładzili, lecz mieli nadzieję wprzódę wydobyć zeń wszystkie alchemiczne sekrety. A ja nie mogłem .nic zrobić, ani nikomu pisnąć słowa, bo pani zagroziła, że w przeciwnym razie zabiją pana od razu. To wcielona diablina. Zły duch pana. Wprzódę opętała pana, a potem omal nie przywiodła do zguby.
- Gdzie ta pracownia?
- Na wprost, za tymi drzwiami. Za nią zaś ciągnie się przełaz aż pod basztę Katowską. Odebrałem od niego klucze i jedną świecę.
- Wyprowadź stąd dzieci. Niedługo zacznie świtać i te starsze same trafią do domów, pozostałe powierzysz podstaroścemu, kiedy sam niebawem przybędzie. Dzieci, cisza! - zawołałem, a gdy umilkły wystraszone, powiedziałem: - Idźcie za tym człowiekiem, on was stąd wywiedzie.

Znów wybuchł radosny harmider i cała hurma rzuciła się w ślad za Bodowskim. Na końcu dreptała mała, zapłakana dziewczynka o kiedyś lnianych, teraz zaś brudnych i lepkich włosach oraz niebieskich jak chabry oczach. Chwyciłem ją za ramię.

- Masz na imię Zosia?

529

Kiwnęła głową.

- Rodzice bardzo za tobą tęsknią. Biegnij do nich. Czekają na ciebie. - O ile nie zabiła ich tęsknota lub zaraza, pomyślałem.

Popędziła za pozostałymi szybka jak strzała i radosna jak skowronek. Kiedy otworzyłem drzwi do pracowni, padłem jak długi. Świeca wypadła mi z dłoni i zgasła.

- Mości Sędziwoju, gdzie jesteś? - wydyszałem.
- Hi. A kto pyta?

Nie tracąc cennych sił na odpowiedź, zacząłem się czołgać do niego, po drodze gubiąc laskę. Dwa razy trafiłem na jakieś kanciaste przeszkody, które musiałem omijać, aż wreszcie napotkałem coś nieznacznie miększego, co okazało się czyjąś bardzo wychudzoną nogą. Musieli go więzić od dłuższego czasu i z pewnością nie przekarmiali.

- Ktoś ty? - powtórzył.
- Ryx.
- Chwała Bogu! Bałem się, że któryś z nich albo Teresa postanowili wreszcie ze mną skończyć. Nie masz waść pojęcia, co ja przeżyłem!
- Mam. Nie przyszłoby do tego, gdybyś od początku był ze mną szczery.
- Nie wiesz wszystkiego...
- Wiem, że kiedy cię poznałem, byłeś pełnym zapału badaczem, który marzył o uszczęśliwieniu ludzkości. Twoje szczęście, że o tym pamiętam, bo potem się zmieniłeś. Z powodu twych szalbierstw oraz milczenia zginęło wielu dobrych ludzi.
- Chcesz mnie za to ukarać?
- Ukarze cię własne sumienie, jeśliś się go ze szczętem nie wyzbył, a wierzę, że nie.
- To po co przyszedłeś?

Czepiając się jego odzienia, podciągnąłem się w górę.

- Auuu... - zawył z bólu, gdy przypadkowo szarpnąłem go za długą brodę.

Na szczęście przykuli go na siedząco, tylko ręce miał uniesione. Na chybił trafił wybrałem klucz i uwolniłem z kajdan jedną rękę Sędziwoja, po czym osunąłem się pod mur. Gdyby klucz nie pasował, nie dałbym rady ponowić próby. Wsunąłem cały pęk kluczy do jego uwolnionej dłoni i mruknąłem:

530

- Dalej radź sobie sam...

Odpływałem. Zawróciło mnie szarpanie.

- Doktorze, co ci jest?
- Nic takiego. Umieram. Odejdź.
- Zabiorę cię stąd.
- Nie. Uchodź i zabierz ze sobą Bodowskiego. Uwolniłem dzieci. Zaraz zjawi się tu mnóstwo ludzi dyszących zemstą. Nie zdziwiłbym się, gdyby puścili wszystko z dymem, a was przy okazji ukrzyżowali lub upiekli żywcem.

Usłyszałem, jak się krząta, potem krzesze ogień i pewnie zapala świecę lub pochodnię. Ale nie zobaczyłem światła. Choć miałem otwarte oczy, przesłaniała je mgła.

- Doktorze!
- Co?

- Musisz wiedzieć, jak bardzo żałuję, że tak to się wszystko niefortunnie potoczyło...
- To dobrze, ale teraz daj mi już pokój...

Odszedł. Chyba. W gruncie rzeczy nic mnie to nie obchodziło. Najważniejsze, że przestał mi przeszkadzać w zbieraniu myśli.

Dziwne... Bólu prawie nie czuję... Właściwie to jest mi zupełnie dobrze... Zawsze byłem ciekaw, jak to jest, gdy się umiera... Już raz zdawało mi się, że konam... Było to podczas ucieczki króla Henryka Walezego, kiedy postrzelili mnie jego ludzie... Wówczas jednak udało mi się wylizać, teraz nie ma o tym mowy... Spodziewałem się tego od wielu miesięcy, a jednak jestem zaskoczony... Chyba zawsze tak bywa... Nawet glownicy zapewne do końca ludzą się, że jakimś cudem zostaną ułaskawieni... Powiadają, że w tym ostatnim momencie człowiekowi staje przed oczyma cały żywot... Nie wiem, jak to wyglądało u innych, bo ja potrafię się cofnąć jedynie do chwili, kiedy to wszystko się zaczęło... Może mam gorszą pamięć od drugich. .. ? Było to wtedy, gdy polecono mi przechwycić listy kompromitujące króla... Nie! Cała ta sprawa zaczęła się, kiedy włamano się do domu sławnego krakowskiego alchemisty... Nie! Mój Boże, wszystko zaczyna mi się mieszać... Oczywiście, że sprawa, która przywiodła mnie do tego marnego końca, zaczęła się wówczas, gdy wezwano mnie do domu Czeczotki... W marcu... Nie! Na początku kwietnia roku osiemdziesiątego siódmego...

531

Leżę tak sobie z otwartymi oczyma, a szpula z nicią wspomnień powoli się rozwija, aż dochodzi do kresu. W sumie miałem udane życie i niczego bym w nim nie zmienił, gdyby dane mi było rozpocząć wszystko od nowa. Nie prześladują mnie widma ludzi, których posiałem na tamten świat przed sobą. Wszyscy byli łotrami. No, może z wyjątkiem zabitych na wojnie. Ale wojna rządzi się swymi prawami i każdy ma jednaką szansę, by zabić lub zostać zabitym. Zapewne mogłem też zrobić więcej dobrego, ale bez przesady, ostatecznie nigdy nie aspirowałem do świętości. Jedyne, czego naprawdę żałuję, to tego, że nie zdążyłem Jance powiedzieć, jak ją miłowałem...

Co to? Jakim sposobem znalazłem się nad morzem? Jaka ciepła woda! Nie mogę odpłynąć, przecież umówiliśmy się z Janką na brzegu. Nie wolno mi się stąd ruszyć. Ale woda sama mnie porywa i niesie, i niesie... A im dalej wypływam, tym mniej się męczę. Jak wspaniale tak pruć fale, a potem unosić się na nich, spoglądając w błękitne niebo bez jednej chmurki. Jak lekko i przyjemnie. Dalej, dalej! Tam, gdzie kończy się horyzont...

- Kacper! Kacper!

Kto mnie wola? Kto stoi na brzegu, który opuściłem dawno temu? Jak boleśnie jest zawracać, a fale, które dotąd same mnie niosły, teraz stawiają nieznośny opór. Ale trzeba, bo została jeszcze ostatnia rzecz do zrobienia.

- Janeczka?
- Mówiłam, że wrócę! A ty miałeś na mnie czekać...

- Czekalem, ile poradzilem, bo przeciez musialem ci powiedziec, jak bardzo cię miłowalem...

- Nie męcz się. Wiem. Zawsze wiedziałam, tylko się z tobą droczyłam. Ja także nigdy nie przestanę cię miłować.

Kamień spada mi z serca. Teraz już mogę popłynąć aż po kres horyzontu.

EPILOG

Warszawa, październik 1592 roku

Trwający od września sejm nazwano inkwizycyjnym, ponieważ miano na nim osądzić sekretne znoszenie się króla z cesarzem i arcyksięciem Ernestem, które stało się tajemnicą poliszynela, odkąd agent arcyksięcia Maksymiliana (rozsierdzonego zatwierdzeniem przez Rudolfa II traktatu pokojowego z Polską i pieczętującym go, zawartym w marcu małżeństwem Zygmunta III z Anną Austriaczką), niejaki Ducker, Inflanctzyk, poinformował o tym szlachtę zgromadzoną w czerwcu na zjeździe w Jędrzejowie, okazując przy tym przechwyconą przez siebie korespondencję między dworem królewskim a cesarskim. Król co prawda od razu przez podkanclerzego Tarnowskiego zdementował te rewelacje, zapewniając kłamliwie, że nigdy Polski nie zamierzał opuszczać i żadnego traktatu z Ernestem nie zawierał, ale nie mu uwierzono. Zwłaszcza gdy kanclerz Zamojski zapewnił szlachtę, iż wszedł w posiadanie listów Zygmunta do Ernesta oraz kopii odwrotnej korespondencji, sporządzonych przez Gustawa Brahego, lecz okaże je dopiero na warszawskim sejmie, by nieobecny w Jędrzejowie król mógł się bronić i wytłumaczyć.

Czekano więc na ten moment w napięciu, spodziewając się rabanu co najmniej tak gwałtownego, jak na sejmie ubiegłorocznym. Na posiedzeniu senatu doszło wówczas do wielkiej i gorszącej awantury między królem a kanclerzem. Zdenerwowany mianowaniem przez króla Jana Tarnowskiego na podkanclerzego za ustępującego Baranowskiego, zamiast faworyta kanclerza Piotra Tylickiego, Zamojski zawołał: „Jeśli król nie dotrzyma obietnic, w przyszłości ani słowom jego, ani skryptom, ani listom żadnej wiary dawać nie będę!”. Zygmunt potraktował to jako groźbę ujawnienia swoich konszachtów i oświadczył dumnie: „Królem jestem

533

polskim i nie mam ochoty ani nie mogę dzielić z kimkolwiek władzy królewskiej!”. Podrażniony Zamojski krzyknął: „Królem zostałeś wybrany przez Polaków, a nie tyranem!”. Na to rozżalony król chwycił za rękojeść miecza i zawołał z gniewem: „Dłużej dumy tego człowieka znosić nie mam zamiaru!”. I wyszedł, chociaż senatorowie usiłowali go zatrzymać. Sala opustoszała, a wokół Zamojskiego nie został nikt, ponieważ mimo wszystko dopuścił się obrazy majestatu, i to publicznie.

Z tym większą jednak ciekawością czekali na kolejną próbę sił. Tymczasem sejm już się kończył, i nic właściwie się nie działo. Co prawda kolejny wysłannik Maksymiliana, Operstorf, potwierdził prawdziwość listów okazanych wcześniej przez Duckera, lecz uznano to za nieudolną próbę pokłócenia Polaków z ich królem przez zżeranego zawiścią przegranego rywala do tronu, mszczącego się za uwięzienie i upokorzenie. Dopiero 17 października Zamojski, któremu przez zdradę niejakiego Birkona wpadła w ręce instrukcja dla Operstorfa oraz listy Maksymiliana, kompromitujące jego wciąż wcale licznych stronników i w ogóle partię cezarian, okazał je publicznie. A do tego dołączył listy od Zygmunta do Ernesta. Jednak ich autentyczność regaliści natychmiast podważyli.

- Tak? - zirytował się Zamojski. - A co, mości panowie, powiecie na to?

Wybrał jeden z listów, rozłożył i zacytował:

- „Znaszaj się ze mną, jać będę panem łaskawym”. To słowa skreślone własną ręką arcyksięcia Ernesta, a skierowane do miłościwie nam panującego króla Zygmunta III. Kto nie wierzy, niech sprawdzi charakter pisma, podpis i pieczęć!

Król zachował wzdorliwe milczenie. Jednak wśród części senatorów rozległ się pomruk źle wróżący monarsze, ale gdy hetman chciał puścić list w obieg, zerwał się z miejsca Gustaw Brahe i powiedział:

- Wstrzymajcie się, mości kanclerzu, zanim ostatecznie się skompromitujecie.

Skinął na stojącego u drzwi Sycymińskiego, który do sali obrad wpuścił niepozornego czelczyne, wyraźnie speszonego dostojnym audytorium, przed którym przyszło mu stanąć. Rozległy się okrzyki:

- Kto to jest?

- Co ten człowiek sam robi?

534

- Wytlumaczcie się, mości hrabio!

- Wedle życzenia, mości panowie - skwapliwie podjął Brahe. - Ten człek zwie się Pawełek Kichlarczyk, rodem z Krakowa. Umie on na życzenie naśladować każde raz zobaczone pisanie, osobliwie zmarłego króla Stefana i terażniejszego Zygmunta, ale nie tylko. Niechaj sam opowie wam, dostojni panowie, co mu się przygodziło. No, śmiało, mój chłopcze.

- Będzie ze trzy albo nawet cztery roki temu nazad - zaczął ośmielony Kichlarczyk - gdym mieszkał kątem w gospodzie „Pod Jeleniem” przy krakowskim Rynku, u pana Ludwiga, kiedy zjawił się tam pewien człek. Nie znałem go, jegomość Ludwig także, ale był dobrze odziany i patrzył na szlachcica. Pokazał mi próbki rozmaitych pism i spytał, czy za sto dukatów potrafiłbym takim samym charakterem napisać listy, których treść mi podyktuje, i opatrzyć je podrobionymi podpisami i pieczęciami. Odparł żem mu na to: „Czemu nie,

wielmożny panie. Ino będę potrzebował odpowiedniego papieru". Bo musicie wiedzieć, dostojni panowie, że każda papiernia ma swój filigran, to jest znak wodny, i...

- Dość! - przerwał mu siny z gniewu Zamojski, widząc, do czego sprawy zmierzają. - To łgarstwo mające na celu zanegowanie autentyczności skryptów, które okazałem!

Ale zakrzyczano go.

- Niech pokaże, co potrafi!

- Tak jest, przekonajmy się, zali to nie przechwałki!

- Chłopcze, a potrafiłbyś na poczekaniu napisać list od jego królewskiej mości do arcyksięcia Ernesta i vice versa - zaciekawiał się kardynał Jerzy Radziwiłł.

- Nigdy nie zapomnę raz poznanego pisma, wasza eminencjo - nadął się z dumy fałszerz.

Znów rozległy się nawoływania.

- Chcemy to zobaczyć!

- Niechaj siada i pisze!

- Do dzieła!

Zaraz uczyniono Kichłarczykowi miejsce, on zaś, wyzbyty początkowej nieśmiałości i rad z okazji popisania się swoimi umiejętnościami, rozsiadł się wygodnie, z przyniesionych biesagów wyjął z tuzin kałamarzy z inkaustami w różnych odcieniach, dwa razy więcej niezastruganych gęsiich piór, ostry nożyk i cały plik rozmaitych

535

czystych kart, które starannie posegregował. Na koniec wydobył mieszek z pieczęciami i lakami w wielu kolorach.

- Jestem gotów - oznajmił. - Co mam napisać?

- Cokolwiek! - zawołał ktoś.

- Nie, niechaj napisze: „Znaszaj się ze mną, jać będę panem łaskawym". I podpisze imieniem arcyksięcia - zaproponował inny.

- Tak jest! - Ta propozycja wszystkim przypadła do gustu.

Kichłarczyk, nie spiesząc się, przystąpił do roboty, po kolei tłumacząc zasluchanym senatorom:

- Każdy człek pisze inaczej. Inaczej struga pióro, inaczej układa rękę, ma swój ulubiony kolor inkaustu... Na ten przykład arcyksiężę Ernest, w przeciwieństwie do arcyksięcia

Maksymiliana, pisze porządnie, buksztaby stawia prosto i nie dociska pióra... I lubi zielonkawy inkaust...

Patrzyli zafascynowani, jak fałszerz pewną dłonią wodzi piórem po uprzednio dobranej karcie, na koniec podgrzewa wosk, nalewa i odciska pieczęć.

- A ot, gotowe! - Podniósł kartę i machał nią, przyspieszając wysychanie wosku i inkaustu.

- Mości kanclerzu, pokażcie swój list z rzeczonym tekstem - zażądał kardynał, spoglądając na Zamojskiego złośliwie, ponieważ należeli do przeciwnych frakcji i nie znosili się.

Zamojski nie mógł odmówić, choć minę miał ponurą i pełna wzdąry. Natychmiast zaczęto porównywać oba manuskrypty.

- Niesłychane!

- Są identyczne!

- Jak dwie krople wody!

- I papier, i inkaust, i pismo, i podpis, i nawet pieczęć, wszystko się zgadza!

Niektórych taka demonstracja już przekonała, jednak na stanowcze życzenie Brahego Kichlarczyk musiał dać próbkę pisma króla oraz samego Brahego, gdyż wiadano, że ten często sporządzał pisma w imieniu swego pana. A ponieważ wszyscy obecni byli z dokumentami z kancelarii królewskiej dobrze zaznajomieni, więc umieli rozpoznać ich pismo i podpisy na pierwszy rzut oka i nie potrzebowali oryginałów do porównania. Fałszerstwa były doskonałe. Na końcu tylko najwięksi zwolennicy hetmana byli jak

536

—

on przekonani o wielkiej i bezczelnej mistyfikacji. Ale stanowili mniejszość i woleli milczeć.

- Mości kanclerzu - krzyknął ktoś z tylnych rzędów, na wszelki wypadek kryjąc się za plecami towarzyszy - a wieleście dali oszustowi za te fałszywe skrypty, którymi tak wymachujecie!?

Gruchnął śmiech. Zamojski poczerwieniał. Nie umiał przegrywać, ale wiedział, kiedy trzeba się wycofać i przegrupować siły.

- Ten się śmieje, kto się śmieje na ostatku - burknął. - Obaczymy, komu jutro w sejmie będzie do śmiechu!

Ale było za późno, sejm już kończył obrady i nie podjął sprawy.

Kraków, styczeń 1595 roku

29 stycznia tego roku na dworze panował srogi ziąb, lecz do królewskiej pracowni alchemicznej na zamku zimno nie miało przystępu. Z powodu gorąca uchylono nawet okno. Król i Mikołaj Wolski, teraz już marszałek nadworny, z podwiniętymi rękawami uwijali się przy ogniu buzującym na kominie nieprzerwanie od wielu godzin. Król zdawał się mieć niespożyte siły, jak zawsze, gdy coś go bardzo zajęło, lecz Wolski aż nadto odczuwał wyczerpanie. Za oknem od dawna panowała ciemność. Zerknął na zegar kominkowy, wykonany królewską ręką, i powiedział:

- Późno już, wasza królewska mość. Pora mi wracać na kwaterę.
- To idź. My jeszcze popracujemy. Szkoda, że nie masz z nami imć Sendivogiusa. Co u niego, wciąż bawi w Czechach?
- Tak, lecz tęskni za krajem. Nakłaniam go, by wrócił i poprowadził moje zakłady pod Krzepicami.
- Niech wraca. Przydałby się nam, a ludzie już pewno zapomnieli o bezpodstawnych oskarżeniach i pomówieniach, którymi go pokrzywdzili.
- Spróbuję go przekonać.

Po wyjściu współpracownika, za którym zamknął drzwi na klucz, aby nikt mu nie przeszkadzał, Zygmunt stracił zapał. Też byłby udał się na spoczynek, lecz jego wzrok padł na wykonaną niedawno monstrancję, którą zamierzał podarować któremuś z kościołów. Nie udała mu się, choć wszyscy ją chwalili. Ale on był perfekcjonistą.

537

€

Podjął decyzję, która dojrzywała od dawna. Postanowił przetopić ją z powrotem na sztabki, a potem odlać nową. Z zapałem zabrał się do roboty.

Był jednak bardzo zmęczony. Potknął się i wywrócił tygiel z wrzącym metalem. Wielki płomień buchnął w głąb dawno nieczyszczono-nego komina, podpalając sadze, które płatami odpadły z wielkim hukiem. Kłęb czarnego dymu, strzelając iskrami i miotając naokoło płonące kawałki sadzy niby kartacze, w jednej chwili ogarnął izbę. Przerażony Zygmunt, w którego znużonych oczach -dym i ogień przybrały postać diabła, padł na posadzkę jak nieżywy. I pewnie faktycznie by umarł, gdyby dworzanie nie dostrzegli dymu wydobywającego się przez otwarte okno i nie wyłamali drzwi, ratując króla. Ale pożar strawił kilka komnat, a podczas gaszenia zniknęła szuba z soboli należąca do królowej oraz wszystkie słoiki z konfiturami.

Na czas odbudowy trzeba było przeprowadzić się do letniej rezydencji w Łobzowie, gdzie przyszedł na świat królewicz Władysław.

Kraków, marzec 1596 roku

8 marca tego roku zdawał się krakowianom dniem jak inne. Cieszyli się wcześniej nadeszłą wiosną, zniknięciem śniegów i kry na Wiśle. Ogrzewając się w jeszcze trochę nieśmiałyłch promieniach słonecznych, przypatrywali się ciekawie, jak cały dwór królewski przeprowadza się z zamku na trzy szkuty, zakotwiczone przy brzegu na wprost Wawelu. Służba już przeniosła prywatny dobytek podróżnych, najcenniejsze wyposażenie komnat i potrzebne statki. Królowa z malutkim królewiczem i fraucymerem zdążyła zająć całą jedną skutę, urządzoną wygodnie, gdyż podróż miała trwać dziesięć dni. Czekało tylko na króla, który oglądał postępy robót i ustalał z Włochem Janem Trevano ostatnie szczegóły dalszej odbudowy zniszczonych podczas ubiegłorocznego pożaru partii zamku.

Zniecierpliwiona czekaniem kobieta po trzydziestce, nawet bliżej czterdziestki, lecz wciąż jeszcze piękna, z chłopcem lat około dwunastu zeszła ze statku po pochylni. Gapie rozstąpili się, dając im przejście. Zamyśleni, w milczeniu przechadzali się nabrzeżem, niepostrzeżenie oddalając się od przystani.

538

- Matko, czy długo zabawimy w Warszawie? - spytał wreszcie chłopiec.
- Wygląda na to, że długo. Przynajmniej do czasu, aż zamek krakowski zostanie odnowiony. A chodzą słuchy, że król nie zamierza już wracać do Krakowa, bo z Warszawy ma bliżej do Szwecji. Może przyjdzie nam na dobre zamieszkać w Warszawie.

W tej chwili dobiegł do nich zdyszany paż.

- Jejmość Turopońska, wszędy was szukam! Odpływamy! Król już przybył na statek. Czekamy tylko na was.
- Już idziemy.

Kiedy opłynęli Kazimierz i oba miasta zaczęły im z wolna niknąć z oczu, chłopiec, który razem z matką stał u burty, jakby nie mógł pożegnać się ze znajomymi widokami, odjął od oka teleskop i powiedział stanowczo:

- Ja tu wrócę.
- Po co? Nic tu nas nie trzyma. Możemy zamieszkać wszędzie.
- A grób ojca?
- Przeniesiemy szczątki.
- Kochał to miasto. Myślę, że nie chciałby się stąd ruszać. Ja też tu niedługo przyjadę. Będę studiował medycynę i zostanę inwesty-gatorem jak on. Już postanowiłem.

Objęła go w pasie.

- Uczynisz, jak zechcesz.

POSTSCRIPTUM

Wiele gwałtów widziała nieszczęsna Czerwona Ruś w ciągu swych burzliwych dziejów. Ale nigdy takiego rozpasania, skondensowanej nienawiści i bezgranicznej podłości, jak podczas sąsiedzkiej wojny między Diabłem Łańcuckim a starostą leżajskim Łukaszem Opalińskim (synem marszałka wielkiego koronnego Andrzeja, powiernika króla Stefana) w latach 1607-1610.

Wojnę rozpętał Stanisław „Diabeł” Stadnicki, warchoł i okrutnik pierwszej wody, rozzuchwalony, odkąd prawem kaduka udało mu się zająć Łańcut, a potem ożenić z godną siebie połowicą, prawdziwą wilczycą Ślżaczką Anną z Ziemeckich. Wkrótce po śmierci Batorego, „króla z żelaza”, Stadnicki stał się dla całej ziemi przemyskiej istnym biczem bożym, a raczej szatańskim. Wojny i zatargi ze wszystkimi o wszystko nie miały końca. Cierpieli potężni Potoccy, Ligęzowie, Korniaktowie, Drohojowscy, Wapowscy i inni, i nikt nie mógł sobie poradzić z awanturnikiem, który wynajmował na swoje usługi żądnych łupów Szkotów oraz sprowadzał zza gór samborskich dzikich sabatów z Węgier i Multan, spadających potem na miejscową ludność niczym jastrzębie na bezbronne ptactwo domowe. Nie było na niego mocnych ani w polu, ani w sądzie, ponieważ zawsze pierwszy oskarżał fałszywie swoje ofiary, z pie-niactwa czyniąc puklerz skutecznie osłaniający go przed nieudolną sprawiedliwością królewską. Oprócz Łańcuta drugim zbójcekim gniazdem stały się Wojutyce, odebrane siłą wdowie po referendarzu Janie Tomaszu Drohojowskim, zabitym przez Diabła.

Karta z wolna zaczęła się obracać, gdy Stadnicki, razem z drugim niepoprawnym warchołem Janem Szczęsnym Herburtem, wziął udział w rokoszu Zebrzydowskiego, lecz swoim zwyczajem obrażał tylko słownie i publicznie króla Zygmunta, a gdy zrobiło się gorąco,

540

zemknął haniebnie, ponieważ odwaga zazwyczaj opuszczała go natychmiast, kiedy przeciwnik zyskiwał przewagę. Ale choć wielu buntowników spotkała kara, jemu jak zawsze się upiekło. Jednak bezprzykładne spostonowanie osoby króla i późniejsza tchórzliwa rejterada pozbawiły go wielu wpływowych popleczników.

Zemknąwszy z podkulonym ogonem z obozu rokoszan na długo przed tym, zanim wojska królewskie dowodzone przez hetmana polnego koronnego Stanisława Żółkiewskiego i hetmana wielkiego litewskiego Jana Karola Chodkiewicza rozgromiły rebeliantów pod Guzowem 5 lipca 1607 roku, Stadnicki zapadł gdzieś jak kamień w wodę. Kiedy jego towarzysze ginęli lub uciekali z krwawej łaźni, nagle objawiony Diabeł wychynął z ukrycia i od razu rozpętał prywatną wojnę z Opalińskim, ponieważ w takich starciach czuł się najlepiej.

Poszło o charta. Albo o zająca, raroga czy cokolwiek, ponieważ dla Diabła każdy pretekst był dobry, a gdy go brakowało, sam go preparował, przed lub po napaści. Teraz zaś zależało mu na dobrach żony Opalińskiego, spowinowaconej z zasłużonym rodem Kostków. Nadał przy tym swej cheiwości pozór sprawiedliwego odwetu prześladowanego kalwina na tryumfującym katolicyzmie reprezentowanym przez rodzinę, która wydała świętego. Na

dobry początek, kiedy jego niczego niespodziewająca się ofiara bawiła w rodzinnej Wielkopolsce, napadł na dzierżawcę Opalińskiego szlachcica Cięż-kowskiego, zrabował jego dwór i zgwałcił młodą krewniaczkę.

Po powrocie Opaliński zorganizował obronę, korzystając z pomocy zaprzyjaźnionej księżnej Anny z Kostków Ostrogskiej z Przeworska, Andrzeja Ligęzy z Piotraszówki, Krzysztofa Ramuła i Stanisława Wapowskiego, ponieważ wszystkim im Diabeł aż nadto dał się we znaki. Mimo to Stadnicki był górą. Pod Łukowem zadał Opalińskiemu ciężką klęskę, a potem zdobył i złupił Łękę z pysznym pałacem. Wystraszony Opaliński opuścił Leżajsk i przemykał bokiem ku Przemyślowi, pragnąc ominąć Łańcut. Jednak Stadnicki przez szpiegów dowiedział się o tym i zaczął na drodze z całym zbójceckim wojskiem i armatami. Ale tym razem trafiła kosa na kamień. Zaskoczeni ludzie Opalińskiego stawili zdecydowany opór, a potem przeszli do kontrnatarcia. Stadnicki, swoim zwyczajem, pierzchnął, gdy tylko sprawy przybrały zły obrót, a zwycięzcy z rozpadu zdobyli Łańcut, biorąc do niewoli Diablęcę z Diablętami.

541

Zbójceckie gniazdo kryło ogromne skarby, które natychmiast rozdrapano. Większość najcenniejszych łupów Stadnicki ukrył pod powierzchnią stawu, co zdradził jeden z poniewieranych przez swego pana poddanych, z których wielu ochoczo partycypowało w rabunku. Kiedy spuszczone ze stawu wody, znaleziono nieprawdopodobne bogactwa. Zaś w podziemiach łańcuckiego zamku odkryto fabryczkę fałszywych monet oraz lochy, z których uwolniono wielu nieszczęśników.

Klęska nie załamała Diabła i niczego go nie nauczyła. Wpierw najechał Andrzeja Ligęzę w Piotraszówce, a potem zaczął nękać Opalińskiego z bezprzykładną zaciętością, doprowadzając go do ruiny i rozpacz. Rozpoczęła się gra na śmierć i życie. Opaliński wyzwał Stadnickiego na pojedynek, ale ten oczywiście się nie stawił. Kiedy obu przyszło stanąć przed trybunałem w Lublinie, Stadnicki, wbrew zakazowi, przybył tam z licznym wojskiem, chcąc, sterroryzować miasto i sędziów. Ale gdy napadł na gospodę, w której zatrzymał się Opaliński, motłoch miejski skorzystał z okazji i pogromił Diabła i jego zbirów, łupiąc ich do żywego. „Bezecny Katyliną" umykał z miasta jak zbity pies.

Popelniał wówczas jawną zdradę i w zamian za obiecaną pomoc zbrojną poparł innego awanturnika Gabriela Batorego zwanego Gaborem, który właśnie został księciem siedmiogrodzkim, a miał chrapkę na polską koronę. W tym samym czasie Opaliński, wspierany głównie przez wojewodzinę wołyńską, księżnę Ostrogską, gromadził siły do ostatecznej rozprawy. Czekał na posiłki z Siedmiogrodu, Stadnicki z wiernym sługą Janem Zegartem przyczał się, odzyskaną połowicę i dzieci umieszczając w Wojutyczach, a swoją kwaterę przenosząc z Łańcuta do małej fortalicji w Rybotyczach, bliżej siedmiogrodzkiej granicy. Nie czuł się tu jednak zbyt pewnie, mając przy sobie tylko setkę zbirów. Krążył więc bezustannie w okolicy Sambora, co rusz zmieniając miejsce pobytu, w końcu, zniecierpliwiony, wyprawił się w góry samborskie na spotkanie spodziewanych sabatów Gabora.

Zaś Opaliński na czele zgromadzonej armii najechał Wojutycze, zdobył je, wyrznął załogę i po raz drugi wziął do niewoli Stadnicką. Po czym rozesłał na wszystkie strony podjazdy w celu wytropienia Stadnickiego. "IYafiono na ślad Diabła, gdy w Tarnawce, własności księżnej Ostrogskiej, zamordował młynarza i jego syna, obcinając

542

im głowy. Po czym udał się do Tarnawy koło Chyrowa, własności swego brata Krzysztofa. Powiadomiony o tym Opaliński natychmiast wyruszył tam z obozu pod Starym Samborem. Był upalny dzień, 20 sierpnia 1610 roku.

Obrońcy dworu tarnawskiego nie mieli szans, zdążyli jednak wystrzelić na alarm. Stadnicki wybiegł na majdan, gdy napastnicy już wdzierali się do dworu. Natychmiast pojął, że jego położenie jest beznadziejne, dopadł konia i pomknął ku pobliskiemu lasowi.

- Piekło i szatani! - westchnął Opaliński, który właśnie nadjechał i rozpoznał uciekiniera. - Znów nam ujdzie!

- Niekoniecznie - powiedział Stanisław Wapowski, najspokojniejszy i najbardziej praworządny z okolicznych dziedziców, który jednak, gdy Stadnicki przysłał mu czarną strzałę i złupił włości, wsparł Opalińskiego. - Spójrz waść!

Ku dworowi zmierzał w skok niewielki oddział złożony z Kozaków i Tatarów. Wiódł go młody człowiek, lat około dwudziestu pięciu, o zawadiackim wąsie i skupionym obliczu. Czaple pióro na jego kołpaku kołysało się na wietrze.

- Nie znam go. Kto zacz?

- Mój siostrzan, Kacper Ryx-Turopoński junior. Ma dom w Krakowie, skończył tam medycynę, ale nie wykonuje tej profesji.

- A co robi?

- Jest inwestygatorem jak jego ojciec. Na własną rękę ściga złoczyńców. Niedawno wrócił z wojny. Pod przewodem hetmana Żółkiewskiego na czele własnej roty gromił Moskwicinów pod Kłuszynem. Jego matka, a moja owdowiała przyrodnia siostra, Joanna, która po śmierci mej macierzy zarządza naszym wspólnym dziedzictwem, poleciła jego usługi księżnej Ostrogskiej. Nie jest tani, ale niezawodny. A oto i on.

Młodzieniec gwałtownie zatrzymał przed nimi wierzchowca. Jego ludzie karnie stanęli za nim. Z dworu dobiegały strzały i wrzaski.

- Czołem waszmościom. - Przybysz dotknął kołpaka. - Gdzie Stadnicki?

- Spóźniłeś się, waść - kwaśno stwierdził Opaliński. - Uszedł. Tam. - Wskazał palcem. - Już go nie widać. Szukaj wiatru w polu.

Tamten wcale się tym nie przejął. Wyjął z olstra jakąś rurę i przytknął do oka.

- Widzę go - rzekł, schował rurę i dał znak podwładnym. -Za mną!

Zawrócił konia i poprowadził pościg.

- Co to było? - spytał osłupiały Opaliński.

Wapowski domyślił się, o co chodziło staroście leżajskiemu.

- Teleskop alias perspektywa, czyli szkła przybliżające. Najnowszy italski, czy też niderlandzki nalazek. Spozierając przezeń, najbardziej oddalona rzecz zdaje się na wyciągnięcie dłoni.

- Coś podobnego! - zdumiał się Opaliński. *

Tymczasem ludzie Turopońskiego dojechali do lasu, zeskoczyli

z koni i rozbiegłszy się na kształt półksiężyca, zaczęli przeczesywać las.

- Szowleha i Persa, do mnie.

Przy dowódcy zostało dwóch podkomendnych, Kozak i Tatar. Szli ostrożnie, rozglądając się czujnie. W pewnej chwili Hiropoński stanął i na migi pokazał przybocznym stertę zwalonych na kupę kłód. Stadnicki musiał się zorientować, że jego kryjówka została odkryta, bo wychylił się zza pni z wymierzonym półhakiem. Płynnym, a równocześnie szybkim jak mgnienie ruchem Turopoński wy dobył pistolet zza pasa i wypalił w odsłoniętą pierś Diabła. Stadnicki chybnął wstecz, wypuszczając z rąk niewystrzeloną rusznicę.

- Brać go!

Przyboczni, niczym charty spuszczone ze smyczy, rzucili się ku rannemu. Żył jeszcze i próbował się bronić. Kozak Szowleha przeszył go szablą, a potem dźgał gdzie popadło, aż Diabeł przestał się ruszać. Tatar Persa wziął potężny zamach...

Dwór dawno zdobyto, lecz Opaliński i Wapowski wciąż trwali w miejscu, czekając w napięciu na powracający pościg.

- I jak? - nie wytrzymał Opaliński. - Jednak się wymknął? Wiedziałem...

Turopoński skinął na Persę, który odjął od łęku sak i wytrząsnął zawartość. Wypadła zeń odcięta głowa z długimi włosami i bujną brodą, wytrzeszczonymi ślepiami i ustami wykrzywionymi w śmiertelnej męce, i potoczyła pod nogi oczekujących.

NOTKA HISTORYCZNA

Jak w każdej z książek z tego cyklu, autor starał się zachować wierność prawdzie historycznej. Dlatego w czasie rzeczywistym i ówczesnych realiach rozgrywają się nie tylko wydarzenia ważne i ogólnie znane, jak oblężenie Krakowa przez wojska Maksymiliana Habsburga (o nocy z 23 na 24 listopada 1587 roku, poprzedzającej podstępny szturm cezarian

na mury krakowskie, kronikarz Bielski napisał tak: „a mgła natenczas była wielka”), epidemia dżumy (trwała, z zimową przerwą, najmniej do końca wiosny 1589 roku, pochłaniając w samym Krakowie sześć tysięcy ofiar, wróciła w 1590 roku - wtedy tylko w Wilnie umarło dwadzieścia tysięcy ludzi; druga fala nastąpiła w 1591 roku - znów kilka tysięcy zmarłych - i ustała dopiero w 1592 roku po Trzech Królach), napaść motłochu na zbór ariański w Krakowie (rok wcześniej napadnięto na Bróg, zaś prowodyrem był niejaki Smok, sługa Jana Grota), ale i drobiazgi w rodzaju zastosowania po raz pierwszy na masową skalę leczenia „zapowietrzonych” siarką w podkrakowskich Swoszowicach (według Francuza Esprincharda pod koniec XVI wieku w kopalniach siarki w Swoszowicach podczas zarazy lokowano chorych, którzy w ciągu doby odzyskiwali zdrowie, udawali się tam tłumnie także mieszkańcy Krakowa i w pobliżu kopalń rozbijali namioty i budy), czy dziwnych zjawisk atmosferycznych na nocnym niebie między 19 a 21 października 1588 roku, pochwylenia i stracenia profana i zabójcy Zakrzewskiego albo zadziwiającego zgonu dzień po dniu małżonków Tęczyńskich czy śmierci doktora Foksa. Odstępstwa były podyktowane tym, co uczenie nazywa się licentia prosaica.

Grabarza Bieniasza, który naprawdę (ze swoją bandą) w czasie moru z 1588 roku „ludziom bogatym a zapowietrzonym, którzy

545

za długo chorowali, udawaniem do śmierci pomagał” i mordował ich, rabował poza tym sklepy i składy oraz handlował skradzioną siarką i saletrą, przyłapano na gorącym uczynku dopiero w roku następnym i wówczas ścięto przed farą Mariacką.

Rzekomemu powieściowemu szefowi Bieniasza, katu Strzelbic-kiemu, użyczył nazwiska osiemnastowieczny kat krakowski, któremu udowodniono kierowanie szajką złodziejską i którego powieszono. Fałszowanie pieniędzy w ówczesnym Krakowie musiało istotnie przybrać zastraszające rozmiary, skoro w maju 1589 roku spalono publicznie na rynku dwóch fałszerzy monet, a trzeciego ścięto. Że planowanie pogromu kazimierskich Żydów podczas zarazy z 1588 roku było prawdopodobne, wskazuje to, że do takiego pogromu istotnie z tej okazji wtedy doszło, tyle że w Lublinie, i to pomimo obecności króla, który przed morem uciekł tam z Krakowa.

Również wizyta w Krakowie w 1588 roku poznaniaka (urodził się w tamtejszej dzielnicy żydowskiej Ha Kehillat szel Pozna - dziś okolice ulic Żydowskiej, Wronieckiej i Kramarskiej), rabina Liwy ben Becalela (Marahala) z Pragi, sławnego twórcy golema, jest prawdopodobna, skoro w tymże roku przybył on do Poznania, by zostać głównym rabinem miasta i całej Wielkopolski (tu także zasłynął jako wyśmienity matematyk, astronom i kabalista). Dziesięć lat potem na stałe wrócił do Pragi i objął stanowisko głównego rabina tego miasta. Tam zmarł w 1609 roku i został pochowany na Starym Hrzbitowie, (gdzie jego nagrobek, macewa, zachował się do dziś), jak głosi legenda, uprzednio umieściwszy uśmierconego na zawsze golema na strychu synagogi Staronowej, gdzie ów rozpadł się z czasem w pył, z którego powstał. Rabin pojął bowiem, że popełnił błąd, uzurpując sobie prawo do boskiego tworzenia życia, i zrozumiał, że jego golem nie ocali Żydów, którzy muszą czekać na nadejście mesjasza. Według legendy to właśnie przez golema, którego

Marahal zapomniał uśpić przed szabasem (i który z tego powodu, pracy w dzień świąteczny, dostał napadu szału i zaczął wszystko niszczyć, dopóki rabin nie przerwał nabożeństwa i nie poszedł go uspokoić), w praskich synagogach od tamtej pory odśpiewywano sobotnie hymny dwa razy po sobie. Podobno pierwszego golema Marahal stworzył w Poznaniu, a nie w Pradze.

Wspomniany w powieści Natan Spira o przydomku Megale Amu-kot (hebr. Odkrywca Tajemnic - od tytułu jego największego dzieła),

546

kabalista, rabin, kaznodzieja, rektor krakowskiej jesziwy, najślawniejszy z krakowskich magów żydowskiego pochodzenia, faktycznie w roku 1588 miał trzy lata. Mieszkał potem na poddaszu synagogi Na Górcie, ufundowanej przez teścia. Wieczorami w jego oknie zawsze paliła się mała świeca, przy której studiował Torę i kabałę oraz ponoć rozmawiał twarzą w twarz z prorokiem Eliaszem. Kiedyś w nocy świeca zgasła i wtedy też zmarł Spira. Pochowany na cmentarzu Remuh na Kazimierzu. A świeca w oknie synagogi Na Górcie (przy ul. Szerokiej 22) wciąż się pali - można sprawdzić.

Genialny fałszerz dokumentów z królewskich kancelarii Pawełek Kichlarczyk istniał naprawdę, choć został publicznie ujawniony nie na sejmie inkwizycyjnym, lecz na następnym, w 1593 roku. Był strzeżony dzień i noc przez dwudziestu hajduków, korzystał z kuchni królewskiej i na niczym mu nie zbywało. Wyjeżdżając w tymże roku do Szwecji, by objąć tron po ojcu, król zabrał go z Warszawy i po drodze do Gdańska zostawił pod strażą w Malborku do czasu swego powrotu. Co działo się z nim potem, nie wiadomo.

Król Zygmunt III Waza jak najbardziej zasługuje na przyznany mu przez historię tytuł (obok innych, np. „króla jezuitów”) „króla alchemików”, ponieważ jak żaden z polskich władców nie tylko interesował się naukami tajemnymi, a zwłaszcza alchemią, ale też ją uprawiał (razem z Mikołajem Wolskim i Sędziwojem) w specjalnie urządzonej na pierwszym piętrze Wawelu sali, ochrzczonej z tego powodu Alchemią (można ją zwiedzać, podziwiając oryginalny szesnastowieczny kominek), położonej tuż obok gotyckiej Kurzej Stopki. W 1595 roku ta część zamku faktycznie spłonęła na skutek alchemicznych eksperymentów Zygmunta (m.in. takich, jak „destylacje różnych cieczy w alembikach” oraz „gotowanie i mieszanie rtęci z antymonem”; wedle legendy stopione wówczas złote cegły przelały się i wtopiły w zewnętrzne mury Kurzej Stopki i - w słoneczny dzień - można je oglądać do dziś), co spowodowało przeprowadzkę rodziny królewskiej do letniej rezydencji w Lobzowie, a być może przyspieszyło decyzję o przenosinach do Warszawy, chociaż Zygmunt niemal natychmiast zarządził odbudowę zniszczonej partii zamku. Choć krakowianie upierają się, że tzw. ostateczne przeniesienie („spławienie”) stolicy nastąpiło nie w 1596 roku, ale w 1609, zaś aż do uchwalenia Konstytucji 3 maja 1791 roku Kraków formalnie zachował swą stołeczność, to fakty są inne: począwszy

547

od XVII wieku, miasto systematycznie traciło na znaczeniu, by u schyłku XVIII wieku stać się zwyczajną prowincjonalną dziurą z jedynym bezspornym atutem - Wawelem jako miejscem koronacji i pochówków królewskich oraz przechowalnią insygniów. Wracając do Zygmunta III, któremu ze wszystkich tytułów najbardziej pasuje „grabarz świętości Rzeczypospolitej” (za jego panowania liczne wojny i konflikty wewnętrzne, które często sam prowokował, doprowadziły do upadku kraj do niedawna potężny, a tron szwedzki i tak stracił przez własne niezdecydowanie na rzecz energicznego stryja Karola Sudermańskiego), to można jeszcze dodać, że był uzdolnionym majsterkowiczem (podarował papieżowi wspaniałą zegar własnej roboty), a przede wszystkim domorosłym malarzem takiej klasy, że niektóre z jego dzieł ongiś przypisywano samemu Rubensowi. Z kolei jego siostra Anna Wazówna (zmarła w 1625 roku na zamku w Brodnicy, którego była starostą, podobnie jak Golubia-Dobrzynia) interesowała się ziołolecznictwem i farmacją tak bardzo, że potrafiła samodzielnie sporządzać rozmaite medykamenty i posiadała własną aptekę.

Niesławna „afery listowa” (albo „sekret królewski”, czyli potajemne „praktyki” Zygmunta z Habsburgami), rzeczywiście rozgrywała się począwszy od 1588 roku, a sposób przechwycenia części tej tajnej korespondencji przez Zamojskiego za pośrednictwem starosty oświęcimskiego opisał biskup literat Naruszewicz na początku XIX wieku w dziele poświęconym hetmanowi Chodkiewiczowi. Do dziś nie bardzo wiadomo, dlaczego Zamojski, choć się odgrażał, nigdy nie ujawnił jednak pełnej treści przechwyconych listów. Sejm inkwizycyjny, który spełził na niczym, dał wszak Zygmuntowi do myślenia. Z powodu ożenku i namów legata papieskiego Malaspiny król zrezygnował z planów wyjazdu do Szwecji na stałe i zaprzestał knowań z Habsburgami. Zaraz po sejmie Anna Austriaczka poprzez matkę Marię wydobyla prawie wszystkie kompromitujące listy od Ernesta. Odesłał je Marii w 1594 roku, a ta je natychmiast spaliła. Ocalało kilka dokumentów zachowanych przez sekretarza Westernachera, dzięki czemu cokolwiek o tej sprawie (bardzo zagmatwanej i niejasnej) wiemy.

Zadziwiające przypadki Gustawa Erikssona, łącznie z jego wizytą incognito w Krakowie w 1588 roku (i dramatycznym rozpoznaniem przez siostrę Sygrydę), odpowiadają prawdzie. Po wyjeździe

548

w

z Krakowa do Pragi zapędził się następnie do Hiszpanii. Potem wrócił do Polski i zamieszkał w Toruniu, nim znów wyruszył do Włoch, gdzie ponoć został uczniem sławnego uczonego Galileusza. Zakończył życie w 1607 roku w Wielkim Księstwie Moskiewskim, lecz po co udał się tam z Gdańska - nie bardzo wiadomo. Może chciał okrążyć Europę jak Magellan świat albo skusiła go obietnica uzyskania nieograniczonych środków na uprawianie alchemii? Był sympatycznym dziwakiem, który nie pragnął władzy, i choć za podszeptem cara Borysa Godunowa upomniął się o swe szwedzkie dziedzictwo, to mimo iż Habsburgowie go do tego namawiali, a car proponował mu za to rękę córki, nigdy nie wystąpił przeciw Zygmuntowi III. Wolał nieskrępowane życie wagabundy. Umarł na zesłaniu.

Bractwo róży i krzyża istniało przynajmniej od połowy XVI wieku i skupiało ówczesnych wolnomyslicieli, w tym wielu alchemików. Różokrzyżowcami byli Bacon, Dee, Diirer, Paracelsus, Seton, a w czasach późniejszych Newton, Casanova i Cagliostro. Tak jak różokrzyżowcy uważali się za spadkobierców templariuszy, tak masoni (wolnomularze) uważają się z kolei za spadkobierców różokrzyżowców (których wchłonęli), a z ich radykalnego odłamu podobno w XVIII wieku wyłonili się rewolucyjnie nastawieni bawarscy iluminaci, zdecydowani wrogowie chrześcijaństwa. Podobnym szyfrem, jaki autor przypisał różokrzyżowcom, posługiwali się ponoć masoni, a dziś używają go niektóre drużyny harcerskie.

Najsławniejszym polskim magiem wcale nie był Twardowski, lecz Michał Sędziwój zwany Sendivogusem, którego cesarz Rudolf II uważał za w ogóle najwybitniejszego uczonego wszech czasów (tegoż zdania był też wielki Izaak Newton, kiedy na starość zbzikował - może znów uderzony jabłkiem, tylko mocniej - i zajął się praktykowaniem alchemii pod wpływem dzieł Sendivogiusa). Zazwyczaj Sędziwoja odmładza się o dziesięć lat, autor poszedł jednak tropem jego najwybitniejszego biografy Romana Bugaja, który datę urodzenia wybitnego alchemika ustalił na rok 1556. Zatem w czasie kiedy toczy się akcja powieści, Sędziwój miałby rzeczywiście około trzydziestki. Prawie wszystko, co o nim napisano na tych kartach, faktycznie się zdarzyło, co najwyżej autor przyspieszył niektóre wypadki o kilka lub kilkanaście lat (wyczarowanie złota na oczach Zygmunta III, dyplomatyczne misje do Pragi

549

i Rudolfa II w imieniu tegoż Zygmunta, brawurowe uwolnienie Setona, wypędzenie z Krakowa za faktyczne fałszowanie monet i, jak chce czarna legenda, konszachty z diabłem i domniemane mordy na dzieciach - ponoć do dziś w miejscu gdzie do początku XX wieku stała kiedyś Sędziwojka, zwana także Domem Alchemika, straszy duch Sędziwoja, a spod ziemi wydobywają się diabelskie chichoty i płacz mordowanych dzieci) i to jest największe odstępstwo od prawdy historycznej w tej powieści. Nic więc dziwnego, że winą za spowodowanie zarazy grasującej w 1622 roku obarczono czarownika. Wzburzony tłum zdemolował mu dom i zniszczył pracownię (w 1908 roku podczas rozbioru Sędziwojki trafiono w piwnicach na drzwi gotyckie i kamieniarkę z hebrajskimi napisami). Mistrz zdołał uciec i zaciągnął się na służbę nowego cesarza Ferdynanda II Habsburga, który oddał mu w zarząd dopiero co otwarte kopalnie ołowiu na Śląsku, hojnie go uposażając. Sędziwój zmarł na Śląsku (koło Opawy) w 1636 roku, nie wynalazłszy złota. Ponoć co rok, w noc sylwestrową, można go zobaczyć, jak ubrany w starodawną togę uczonego, przechadza się ulicami Nowego Sącza, rozrzucając wokół złote monety. Już samo ujście przynosi szczęście, nie mówiąc o dukatach. A na poważnie - był Sędziwój bez wątpliwości postacią nietuzinkową, miał poważne osiągnięcia naukowe, lecz z pewnością był także hochsztaplerem.

Przypuszcza się, że oszukańcza „tynktura” Sędziwoja, której używał do rzekomej transmutacji, był to siarczek cynowy SnS₂, powstały po zmieszaniu opiłków cyny z rtęcią i siarką, z którego po podgrzaniu ulatniała się rtęć, pozostawiając krystaliczne łuski siarczku

cynowego barwy złotożółtej - tzw. złoto mozaikowe albo „proszek brązowniczy”; ewentualnie (co bardziej prawdopodobne) stosował on chlorek złotawy AuCl₃, rozpuszczalny w eterze (eter etylowy, w ówczesnej farmakopei znany jako vitrioli dulce verum, otrzymywano z alkoholu i kwasu siarkowego od 1560 roku, według przepisu niemieckiego lekarza Cordusa), metaliczne złoto wydzielano się z roztworu natychmiast po wyparowaniu eteru.

Zaś protektor Sędziwoja, marszałek nadworny Mikołaj Wolski (przez jakiś czas zatrudniający mistrza w swych zakładach metalurgicznych w Krzepicach pod Częstochową), na stare lata żałował za wszystkie swoje grzechy, a zwłaszcza za wiarę w białą i czarną magię, wyparł się ich całkowicie, zarzucił alchemię i z równym (albo

550

i większym) zapałem oddał się praktykom religijnym. Sprowadził nawet do Polski zakon kamedułów, których poznał, bawiąc we Włoszech. A gdy przybyła stamtąd delegacja z opatem Hieronimem na czele, spodobała im się góra w Bielanych pod Krakowem. Ale właściciel Bielani, kasztelan Lubomirski, nie miał ochoty jej sprzedawać. Wolski wydał więc wspaniałą ucztę dla kasztelana i tak go rozmięczył, że wydebił nie tylko górę, ale i wieś Bielany. Kosztowało to marszałka całą srebrną zastawę użytą podczas uczy, ponoć znacznie więcej warta. Dlatego górę zaczęto nazywać Srebrną Górą, Mons Argenteus. Było to w 1603 roku, a rok później na Bielanych pojawili się pierwsi kameduli i powstał piękny klasztor. Fundator Wolski kazał się w nim pochować w mnisim habicie, z takim (łacińskim) napisem na płycie nagrobnej: „Ze strachem myślę o czynach moich i przed Tobą się rumienię. Gdy przyjdiesz sądzić, Panie, nie chciej mnie potępić”. Mimo to powiadają zakonnicy, że do dziś nieszczęsny pokutnik zjawia się podczas nocnych modłów chóralnych, prosząc o westchnienie za swą duszę, którą zaprzedał diabłu podczas zgłębiania tajników czarnej magii. Jego duch błąka się po kościele, klasztorze i lesie Bielańskim.

Co do Opus magicum Twardowskiego, napisanego do spółki z diabłem (lub wręcz przez samego diabła) kompendium czarnoksięskiej wiedzy tajemnej, darowanego królowi Augustowi, to po jego śmierci dzieło rzeczywiście trafiło do kolegium jezuickiego w Wilnie. W 1724 roku jezuita Adam Naramowski zanotował, że ponad sto lat wcześniej czytał ją ojciec Daniel Butwił. Nagle w bibliotece rozległy się potworne hałasy, a całe pomieszczenie zapełniło się demonami. Ksiądz zostawił księgę i uciekł. Kiedy wrócił, księgi już nie było - zniknęła w tajemniczy sposób.

Wciąż istnieje stary kamieniołom (dziś park im. Wojciecha Bednarskiego), z którego w średniowieczu brano wapień do budów w Krakowie, w XVI wieku już nieczynny, gdzie lokalizuje się Akademię Twardowskiego (na sztychu według obrazu Michała Stachowicza u stóp Kopca Krakusa widać dom w kotlinie, zwany Szkołą Twardowskiego). Według legendy miały ją wykuć w skałach diabły, które mu służyły. „Akademia” znajduje się na Krzemionkach Podgórskich. Podgórze (obecnie prawobrzeżna dzielnica Krakowa) nie istniało aż do rozbiórów Polski. Jako nowe miasto, Josefstadt, konkurencyjne dla Krakowa, utworzył je cesarz austriacki Józef II

w 1784 roku. W 1880, gdy rozsadzano skały pod budowę fundamentów nowego kościoła (w miejscu pierwotnego z 1832 roku, po którym została tylko drewniana dzwonnica) św. Józefa w Podgórzu, natrafiono na nieznaną dotąd grotę z wykutymi trzema stopniami wysokimi na siedemdziesiąt pięć centymetrów, którą potem zasypano. Zaś przy okazji niedawnego remontu plebanii (zaadaptowanej ze starej murowanej karczmy z końca XVIII wieku) odkryto rozległe piwnice, w których obecnie ma siedzibę „Kamieniołom Jana Pawła II”, miejsce spotkań chrześcijańskiej wspólnoty Męska Strona Rzeczywistości. Co w zasadzie nie ma nic do rzeczy.

Czy Twardowski faktycznie miał także pracownię pod kamienicą Pod Krzysztofy, nie jest pewne, choć w piwnicach odkryto niedawno pracownię alchemiczną. Zaś piec de Stesiego do wypalania majoliki został odnaleziony podczas adaptacji podziemi na ówczesną siedzibę galerii Grupy Krakowskiej (dziś część Muzeum Historycznego miasta Krakowa), a był tak wielki, że bez naruszenia zabytku udało się w nim urządzić toalety; jego kopia znajduje się ponoć w katedrze Historii Architektury Politechniki Krakowskiej.

I to, słowami klasyka, byłoby na tyle... Aha, byłbym zapomniał! W wyniku starań Opalińskiego Tatar Persa, który zdekapitował Diabła, w nagrodę na najbliższym sejmie został nobilitowany jako Macedoński. Nie zachowało się za to nazwisko oficera w służbie księżnej Ostrogskiej, który z niezwykłą zręcznością tropił i osaczał Stadnickiego, aż wreszcie go dopadł. Ale Czytelnicy tej książki już je znają.

Na koniec autor pragnie wyrazić nadzieję, że niniejszy, czwarty i ostatni tom przygód Kacpra Ryksa, spodobał się Czytelnikom i częściowo przynajmniej usatysfakcjonował tych, których być może rozczarował tom trzeci, pisany „na kolanie” w gorączkowym pośpiechu.

Jeszcze jedno - kiedy ta książka ukaże się w księgarniach, będzie już także gotowa strona internetowa kacperryx.pl, do której odwiedzenia autor zachęca zainteresowanych jego twórczością. Nareszcie (oprócz innych atrakcji) będzie można zobaczyć, jak wyglądał Ryx!

SŁOWNIK

abakus - szesnastowieczna otwarta szafa, kredens zwany też „służbą” akolita - towarzysz, popiecznik alkahest - uniwersalny rozpuszczalnik dla wszystkich ciał, niezbędnym do otrzymania kamienia filozoficznego amalgamat - roztwór jakiegoś metalu w rtęci, np. amalgamat złota służy do pozłacania ansamblea - loża różokrzyżowców antyszambry - korytarze, przedpokoje

arendarz - dzierżawca (karczmy) armaria (z łac. armarium) - szafa, a raczej zamknięta komoda z szufladami lub bez (odzież wówczas chowano raczej w skrzyniach) na kosztowności, broń, leki lub księgi (biblioteczka) artes, artistare (łac.) - wydział sztuk wyzwolonych (filozoficzny), wstępny na uniwersytecie ' / » balneola - łazienka bejsojlem, bejsakwores (jidysz) - cmentarz żydowski (z hebr.: bejt olam - dom wieczności, bejt kwa-rot - dom grobów) berdysz - topór bojowy o długiej rękojeści

białka - kobieta zameżna (od białego czepca) biegus - włóczęga

bronni - strażnicy pilnujący bram

miejskich buks(z)taby - litery

celestat - strzelnica

cetnar - dawna jednostka wagi, ponad

50 kilogramów chechłacz - rodzaj smoczka, gałganek do ssania dla małego dziecka, zawierający zazwyczaj cukier (czasem podlany alkoholem) chiffre (fr.) - szyfr cieplice - źródła mineralne complicare (łac.) - skomplikowane conterfex (łac.) - proszek corpus delicti (łac.) - dowód rzeczowy przestępstwa

dank - podziękowanie, wdzięczność dictum (łac.) - powiedziano, wykonano (stanowcze stwierdzenie) drachma - tu: jednostka wagi aptekarskiej = 1/8 uncji - Vi łuża (zob.) drajfus - trójnog, naczynie na trzech

nogach dubeltowy - podwójny dubium (łac.) - wątpliwość

elefant - słoń

extra muros (łac.) - poza murami

(miejskimi) ekstraordynaryjny - nadzwyczajny

553

facelet - chustka do nosa famulus - zaufany sługa fizyrunek - obraz, wizerunek forkiet - soszka służąca za podpórkę podczas strzelania z muszkietu forsa - nacisk, siła, przemoc frant - oszust fur - złodziej

garbuzy - garbarnie giezło - koszula glownik - skazany na śmierć Gody - czas między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, ale także (małą literą): święto, wesele, uczta, biesiada goj (hebr.) - nie-Żyd gran - ziarno, jednostka wagi aptecznej = 1/20 skrupuła (a ten - 1,22 grama); jednostka wagi złota i srebra granat - tu: laska z ukrytym sztyletem

hutman (ratuszny) - dowódca straży miejskiej

imaginować - wyobrazić imionisko - przydomek, pseudonim indagacja - przesłuchanie indermach - oficyna indygen - tubylec

indygenat - szlachectwo (obywatelstwo) polskie przyznawane cudzoziemcom infirmeria - izba chorych inkarcerat - więzień intra mums (łac.) - wewnątrz murów

(miejskich) inwestygacja - śledztwo, dochodzenie inwestygator - detektyw iściec - świadek

jajco norymberskie - pierwsze zegarki podręczne, noszone jak medaliony jakmiarz - prawie

jesziwa (hebr.) - wyższa szkoła

talmudyczna, głównie dla kandydatów na rabinów jurament - przysięga jurgieltnik - najemnik
jurydyka - obszar prawnie wydzielony (spod władzy miejskiej) justycjariusz - stróż prawa

kadawer - trup

kamień - dawna jednostka wagi, około 13 kilogramów kaper - korsarz bałtycki kichlarz -
wytwórca pierników, pier-nikarz

kierz - dawniej krzak, krzew kirkut, kierkow (od niem. Kirch-hof) - polskie określenia na
cmentarz żydowski (Żydzi określali je inaczej - zob. bejsojlem) Kitaj - Chiny klekot - kołatka
u drzwi kleta - buda, szopa, budynek sklecony z byle czego koadiutor - sufragan, prałat
dodany

do pomocy (arcy)biskupowi komiliton - towarzysz (broni), kolega, kamrat komornik -
urzędnik dworski konfekty - słodycze, owoce smażone w cukrze konfidencja - zażyłość
kontagion - zarazek kontumacja - tu: kwarantanna konwikt - szkoła z internatem kopieniak -
krótka opończa od deszczu, peleryna bez rękawów korporał - biała chusta płócienna
podkładana pod kielich mszalny i monstrancję kosa - także: warkocz kraniec - fryz,
obramowanie, fresk

w formie ozdobnego pasa krotochwila, krotofila - zabawa, żart krupy - śrut, grubo zmielona
mąka, kasza

554

lasciwia - rozpusta

lepiarz - garncarz wyrabiający kafle

i będący zarazem zdunem list instancjonalny - list polecający loca secreta (lac.) - ustępy
Luzacja - Alzacja

lut - jednostka wagi - n funta (czyli 12,797 grama)

majordomus - zarządzający domem

malodobry, małejszy - kat

merkator - kupiec

męczennica - izba tortur, katownia

mincarnia - mennica

mińce - monety

morzpręgi - salto

na licu - na gorącym uczynku nastolka - nastolatka nigromancja - nekromancja, odmiana czarnej magii polegająca na wywoływaniu duchów zmarłych niżnik - walet w dawnych kartach

obercuch - odzienie wierzchnie ograżka - dreszcze orakulum - wyrocznia ózralec - pijak

pacierz - tu: czas potrzebny na odmówienie Ojcie Nasz (około pół minuty), czasem wraz z modlitwami towarzyszącymi pawiment - posadzka per cifras (łac.) - szyfrem peregrynacja - podróż, pielgrzymka podsiębicie - strop, sufit polepa - gliniane klepisko polozysko - tłumok, toból portugal - najwyższy polski nominał wart kilka złotych dukatów, bity na przełomie XVI i XVII w. półzegar - tak w XVI w. określano nowsze zegary, dwunastogodzinne,

w odróżnieniu od dwudziestoczwierogodzinnych starszego typu praktykant - spiskowiec, intrygant prezerwatywa - bezpieczeństwo prozapia - ród, przodkowie, pochodzenie przeczie - przeczytać przeczka - granica

przenajem, przenajęcie - łapówka,

przekupienie przysiężnik - ławnik puszkarz - artylerzysta pytel - podczepiony pod otwór zsypany w kamieniach młyńskich rękaw (długi worek) z rzadko tkanego materiału wełnianego, w którym wskutek wstrząsania następował odsiew drobniejszej mąki od otrąb

rakuski - austriacki (od Rakuzy - Austria)

rapt - porwanie (panny) recypiens, recypient - odbieracz, przyjmujący; w chemii naczynie do zbierania gazów, pary itd. remuneracja - wynagrodzenie ekstra,

premia rewerenda - sutanna rigor mortis (łac.) - stężenie pośmiertne (termin medyczny) rum - gruz, ruina, rumowisko rybitwa - rybak

rzapie - wielkie beki lub skrzynie na wodę

safira - w kabale jedna z dziesięciu (razem tworzą Drzewo Życia) emanacji boskiego światła, będących kolejnymi stopniami poznania nieskończonego i nierozpoznanego Boga salarium - pensja, wynagrodzenie sąsiek - prosta skrzynia na zboże sążeń - miara długości (rozpiętość rozpostartych rąk) - około 1,8 metra (sześć stóp) do dwóch metrów

555

scjencja - nauka, wiedza sięgać (kogoś) - przeciągać, kaperować signum (łac.) - znak, symbol siurpryza - niespodzianka sklep - piwnica, magazyn skoma - ochota

socjusz - współnik, sprzymierzeniec sodalis - członek jakiegoś bractwa, towarzysz

speculum lapideum (łac.) - szesnasto-

wieczny prototyp lupy spectator (łac.) - widz sprawczyny - przyczyny srom - wstyd

stępor - wielki drewniany tłuczek stołp - donżon, wczesnośredniowieczna wieża obronna stos
pacierzowy - kręgosłup subtortor - katowczyk superior - położony w klasztorze surogat(or) -
zastępca sych - fałszywe złoto (lub srebro), tombak

szacher-jur - krętacz, kłamca, oszust szampierz - rywal, konkurent szeląg - z czasem
najdrobniejsza polska moneta (acz pod koniec XVI w. warta jeszcze około trzech groszy)
szkolnik - rodzaj agenta penetrującego środowisko przestępcze szkuta - statek rzeczny,
zwłaszcza do

przewożenia zboża szlakować (za kimś) - tropić, śledzić szpotawy - krzywonogi, koślawy,
zezowaty

śrzeż, śrzeżoga - szron, mgła Świątnik - kościelny

traktament - poczęstunek turbacja - kłopot, problem tuz - as

uncja - jednostka wagi, nieco ponad trzydzieści gramów

wagabunda - włóczęga werdiury - arrasy krajobrazowe, także ze zwierzętami (od dominującej
zieleni - fr. veri) wety - deser

wiertel - kwartał, dzielnica winiuch - chusta, ręcznik wokabularz - słownik wolentarz -
ochotnik, wolontariusz wolnica - miejsce nieograniczonego handlu (zwykle na jeden
asortyment) w określone dni tygodnia wrzeczadze - żelazne sztaby, zasuwę,

łańcuchy wspacznica - zator na rzece wycieczka - tu: obudowana murem z obu stron szyja
między bramą w murach miejskich a bramką na jej końcu, przerzucona ponad fosą

wykoczolowywany - popierany, otaczany opieką wyżnik - dama w dawnych kartach

zadz - tyły kamienicy, podwórze zażrzc - zazdrościć zdrowaśka - modlitwa Zdrowaś Mario,
a także czas potrzebny na jej odmówienie (około dwudziestu sekund)

SPIS TREŚCI

Kraków Kacpra Ryksa 6

Prolog 9

Rozdział 1 | Osaczony 15

Rozdział 2 | Osamotniona 91

Rozdział 3 | Zawrócony 152

Rozdział 4 | Poszukiwany 226

Rozdział 5 | Czary 303

Rozdział 6 | Czarna śmierć 384

Rozdział 7 | Golem 455

Epilog 533 Postscriptum 540 Notka historyczna 545 Słownik 553

Kraków i okolica w czasach Kacpra Ryksa 558